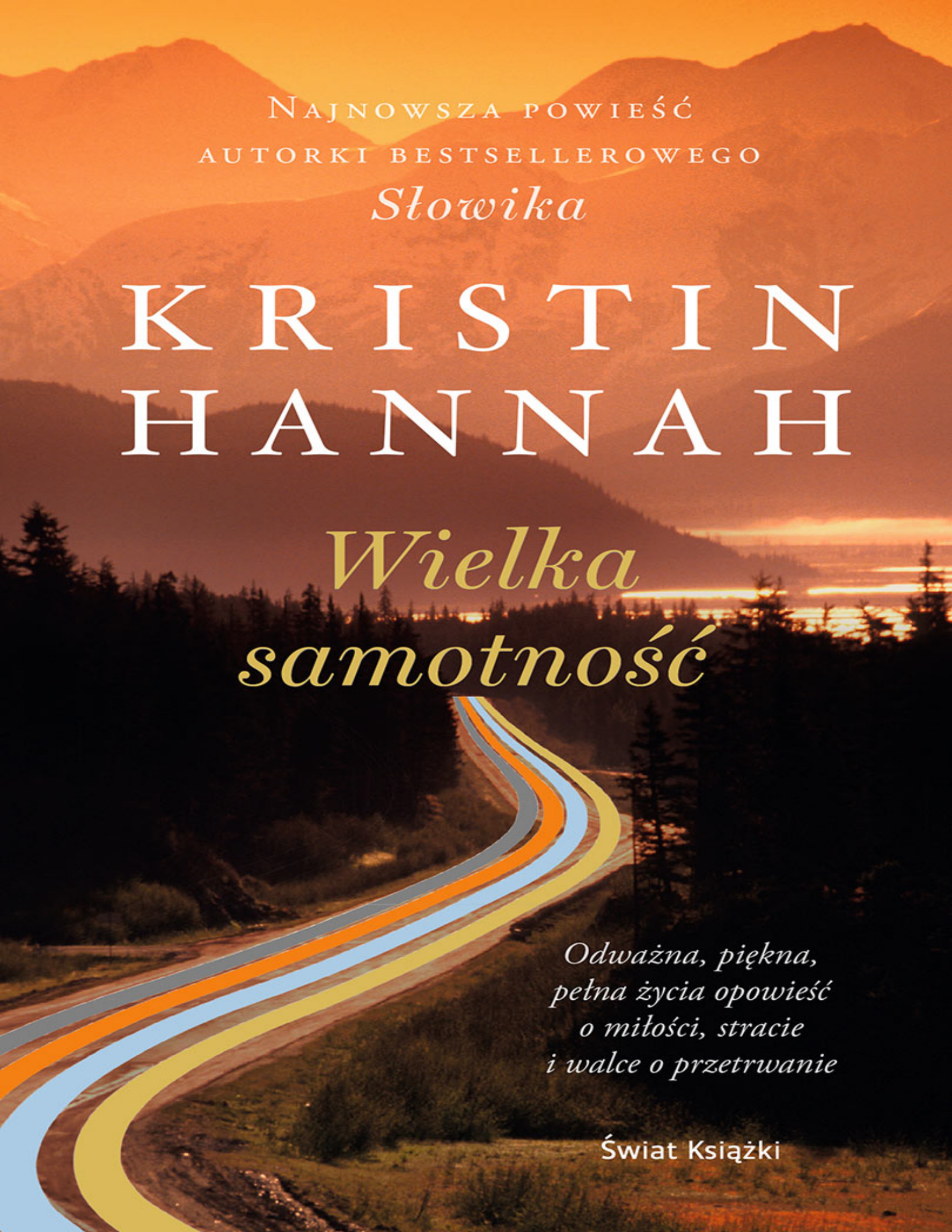
Najnowsza powieść
autorki bestsellerowego
Słowika
KRISTIN HANNAH
Wielka samotność
Odważna, piękna, pełna życia opowieść o miłości, stracie i walce o przetrwanie
Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

1974

- Rozdział 1
- Rozdział 2
- Rozdział 3
- Rozdział 4
- Rozdział 5
- Rozdział 6
- Rozdział 7
- Rozdział 8
- Rozdział 9
- Rozdział 10
- Rozdział 11

1978

- Rozdział 12
- Rozdział 13
- Rozdział 14
- Rozdział 15
- Rozdział 16
- Rozdział 17
- Rozdział 18
- Rozdział 19

Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26

1986

Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31

Podziękowania

KRISTIN HANNAH

Wielka samotność

Z angielskiego przełożyła
Anna Zielińska

Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
THE GREAT ALONE

Wydawca
Grażyna Woźniak
Jacek Fronczak

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Redakcja
Anna Landowska

Korekta
Agnieszka Piotrowicz

Copyright © 2018 by Kristin Hannah
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Anna Zielińska, 2018

Wydawnictwo Świat Książki
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Warszawa 2018

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Piotr Trzebiecki

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-919-6

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Dedykuję
kobietom w mojej rodzinie. Wszystkie są wojowniczkami:
Sharon, Debbie, Laurze, Julie, Mackenzie, Sarze, Kaylee, Toni,
Jacqui, Danie, Leslie, Katie, Joan, Jerrie, Liz, Courtney i Stephanie.
A także
Bradenowi, naszemu najnowszemu miłośnikowi przygód.

Natura nigdy nas nie oszukuje,
to zawsze my oszukujemy samych siebie.

Jean-Jacques Rousseau

1974

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

1

Wiosną deszcz targany podmuchami wiatru bębnił o dachy. Woda wdzierała się w najwęższe szczeliny i podmywała najsolidniejsze fundamenty. Skarpy, które przetrwały pokolenia, pękały i osuwały się błotnistą mazią na drogi, porywając ze sobą domy, samochody i baseny. Powalone drzewa zrywały linie elektryczne; nie było prądu. Rzeki występowały z brzegów, zalewały posesje, niszczyły domy. Ludzie, którzy normalnie się kochali, warczeli na siebie, temperatura kłótni rosła wraz z poziomem wód i ilością padającego deszczu.

Leni też się denerwowała. Była w szkole nowa, ot, po prostu anonimowa twarz w tłumie; dziewczynka z długimi włosami z przedziałkiem pośrodku, która nie miała przyjaciół i zawsze chodziła sama.

Siedziała na łóżku z chudymi nogami podciągniętymi pod brodę, obok leżało *Wodnikowe wzgórze* w miękkiej oprawie z oślimi uszami. Przez cienką ścianę ich parterowego domu słyszała matkę:

– Ernt, kochanie, proszę cię. Posłuchaj… – i gniewną odpowiedź ojca:

– Coro, odczep się, do cholery.

Znowu to samo. Kłócą się. Krzyczą.

Niedługo przyjdzie kolej na płacz.

W taką pogodę ojciec wpadał w czarny nastrój.

Leni zerknęła na zegar przy łóżku. Jeżeli natychmiast się nie pozbiera, spóźni się na lekcje, a w gimnazjum niepotrzebne zwracanie na siebie uwagi jest jeszcze gorsze od bycia nową. Boleśnie się o tym przekonała – w ciągu ostatnich czterech lat chodziła do pięciu szkół. I chociaż w żadnej z nich nie znalazła sposobu na nawiązanie przyjaźni, uparcie liczyła na akceptację. Westchnęła ciężko, wyprostowała nogi i zsunęła się z wąskiego łóżka. Cicho przeszła przez swój skromnie umeblowany pokój, wysunęła się na korytarz i przystanęła w wejściu do kuchni.

– Do cholery, Coro – odezwał się ojciec. – Wiesz, jakie to dla mnie trudne.

Mama podeszła do niego z wyciągniętymi ramionami.

– Kochanie, potrzebujesz pomocy. To nie twoja wina. Te koszmary…

Leni odchrząknęła, chcąc przyciągnąć uwagę rodziców.

– Hej! – bąknęła.

Na jej widok ojciec odsunął się o krok od matki. Widziała znużenie i rezygnację na jego twarzy.

– Ja… muszę do szkoły.

Mama wyjęła papierosa z kieszonki na piersi różowego stroju kelnerki. Wyglądała na zmęczoną. Wczoraj pracowała na wieczornej zmianie, a dziś szła na popołudnie.

– Idź, Leni. Nie możesz się spóźnić. – Głos miała łagodny, delikatny, jak ona sama.

Leni obawiała się zostać i obawiała się wyjść. To dziwaczne, a nawet głupie, jednak często miała wrażenie, że to ona jest jedyną dorosłą osobą w rodzinie, stabilizatorem, który utrzymuje trzeszczącą łajbę Allbrightów na wodzie. Mama była wiecznie zajęta „poszukiwaniem siebie”. W ciągu ostatnich kilku lat spróbowała elektrowstrząsów, psychoterapii humanistycznej, treningu duchowego, była unitarianką,

a nawet buddystką. Z kolejnych fascynacji wybierała to, co jej pasowało. Według Leni przeważnie pozostawały po nich koszulki z nadrukami oraz złote myśli w rodzaju: to, co jest, jest, a czego nie ma, nie ma. Niewiele z tego wynikało.

– Tak, idź – odezwał się tata.

Leni ściągnęła plecak z krzesła przy kuchennym stole i ruszyła do wyjścia. Zamykając za sobą drzwi, usłyszała, jak rodzice zaczynają od nowa.

– Do cholery, Coro…

– Ernt, proszę, tylko posłuchaj…

Ich życie nie zawsze tak wyglądało. Przynajmniej tak mówiła mama. Przed wojną byli szczęśliwi, mieszkali wtedy w Kent na kempingu dla przyczep turystycznych, tata pracował jako mechanik, mama chodziła roześmiana i gotując obiad, kołysała się w rytm piosenki *Piece of My Heart* Janis Joplin (tańcząca mama, tylko tyle Leni zapamiętała z tamtych lat).

A potem tatę wzięli do wojska i wysłali do Wietnamu. Został zestrzelony i trafił do niewoli. Bez niego mama się rozsypała; właśnie wtedy do Leni dotarło, jaka jest krucha. Przez jakiś czas nigdzie nie mogły zagrzać miejsca, były kolejne prace i miasta, aż w końcu znalazły dom w komunie w Oregonie. Tam doglądały uli, robiły saszetki z lawendą, sprzedawały je na targu i uczestniczyły w protestach przeciwko wojnie. Mama wzięła się w garść i jakoś się dostosowała.

Kiedy wreszcie tata do nich wrócił, Leni ledwo go poznała. Tamten przystojny, roześmiany mężczyzna z jej wspomnień zmienił się w zamkniętego ponuraka, który łatwo wybuchał. Najwyraźniej nie podobało mu się w komunie, bo się stamtąd

wynieśli. Wkrótce znowu się przeprowadzili. A potem jeszcze raz, bo tata nigdzie się nie odnajdywał.

Źle sypiał i nie potrafił utrzymać pracy, chociaż mama twierdziła, że jest najlepszym mechanikiem pod słońcem.

Dlatego dzisiaj się pokłócili – tatę znowu wyrzucono z roboty.

Leni naciągnęła kaptur na głowę. W drodze do szkoły przecinała osiedle zadbanych domów, omijała ciemny las (trzymaj się od tego miejsca z daleka), przechodziła koło fast foodu A&W, w którym dzieciaki ze szkoły średniej spędzały weekendy, i obok stacji benzynowej, gdzie czekał sznur samochodów, żeby zatankować benzynę po pięćdziesiąt pięć centów za galon.

Obecnie cena paliwa wszystkich równo wkurzała.

Leni zdążyła zauważyć, że dorośli w ogóle są nerwowi. I nic dziwnego. Wojna w Wietnamie podzieliła kraj. Gazety codziennie donosiły o tragicznych wydarzeniach: zamachy bombowe organizacji Weatherman czy IRA; porwania samolotów; uprowadzenie Patty Hearst. Masakra podczas igrzysk olimpijskich w Monachium wstrząsnęła całym światem, podobnie jak afera Watergate. A ostatnio studentki z Uniwersytetu Stanu Waszyngton zaczęły znikać bez śladu. Świat był niebezpiecznym miejscem.

Leni wszystko by oddała za prawdziwą przyjaźń. Bardzo potrzebowała kogoś, z kim mogłaby rozmawiać.

Tyle że od mówienia zmartwień nie ubędzie. W takim razie po co komu zwierzenia?

Jasne, tata czasem wpadał w złość i wrzeszczał, brakowało im pieniędzy, no i co rusz się przenosili, uciekając przed wierzycielami, ale tak już wyglądało ich życie i w sumie się kochali.

Jednak czasami, szczególnie w takie dni jak ten, ogarniał ją strach. Miała wrażenie, że jej rodzina stoi na krawędzi

przepaści i lada moment ziemia usunie się im spod stóp i porwie ich ze sobą, tak jak to się stało z tamtymi domami w Seattle, które się rozpadły, zjeżdżając z rozmokłych zboczy.

Po szkole Leni wróciła do domu w deszczu, sama.

Ich dom stał w połowie ślepej ulicy. Działka odstawała wyglądem od pozostałych: w skrzynkach na parapetach brunatnego parterowca nie rosły kwiaty, rynny były pozapychane, drzwi garażu się nie zamykały. Kępki chwastów rosły w szczelinach pomiędzy butwiejącymi szarymi gontami. Maszt pozbawiony flagi oskarżycielsko celował w niebo, jednoznacznie świadcząc o stosunku ojca do kierunku, w jakim zmierzał ich kraj. Człowiek, którego mama nazywała patriotą, nienawidził rządu.

Zobaczyła tatę w garażu. Siedział na krzywym warsztatowym stole obok forda mustanga mamy z poobijaną karoserią i dachem poklejonym taśmą izolacyjną. Pod ścianami stały rzędem kartony, których jeszcze nie rozpakowali po ostatniej przeprowadzce.

Miał na sobie – jak zwykle – wytartą wojskową kurtkę i poprzecierane dżinsy. Siedział pochylony, z łokciami wspartymi na udach. Długim czarnym włosom przydałby się grzebień, wąsy wymagały przycięcia. Ale nawet taki przygarbiony i znużony był przystojny jak gwiazdor filmowy. Wszyscy tak uważali.

Przechylił głowę i spojrzał na nią spod opadającej na oczy grzywy. Nieco smętny uśmiech, którym ją przywitał, rozjaśnił mu twarz. Taki właśnie był tata. Miewał humory, łatwo wpadał w złość, czasem nawet trochę budził strach, ale to wszystko

dlatego, że bardzo głęboko odczuwał miłość, klęskę i rozczarowanie. Przede wszystkim jednak miłość.

– Lenoro – odezwał się ochrypłym głosem palacza. – Czekałem na ciebie. Wybacz. Straciłem panowanie nad sobą. I pracę. Musisz być mną cholernie rozczarowana.

– Nie, tato.

Widziała, że jest mu przykro. Wyczytała to z jego twarzy. Kiedy była młodsza, czasem się zastanawiała, po co są te wszystkie przeprosiny, skoro nic się nie zmienia, ale mama jej wszystko wytłumaczyła. Tata był na wojnie, trafił do niewoli i wtedy coś w nim pękło. To trochę tak, jakby miał przetrącony kręgosłup, mówiła. Nie przestajesz kochać bliskiej osoby, gdy cierpi. Robisz się silniejsza, żeby ją wesprzeć. On mnie potrzebuje. Potrzebuje nas.

Leni usiadła obok ojca. Objął ją ramieniem i przygarnął do siebie.

– Tym światem rządzą szaleńcy. To już nie jest moja Ameryka. Chcę… – Nie dokończył, a ona nie spytała. Przywykła do jego melancholii, frustracji. Bez przerwy urywał zdanie w połowie, jakby obawiał się ubrać w słowa przerażające czy depresyjne myśli. Znała i rozumiała tę niechęć do mówienia; często lepiej jest milczeć.

Ojciec sięgnął do kieszeni i wyjął pomiętą paczkę papierosów. Zapalił, zaciągnął się i gryzący, znajomy zapach wypełnił jej nozdrza.

Wiedziała, jak bardzo cierpi. Czasami budził ją w nocy płacz taty i głos mamy. Uspokajała go. Ciii, Ernt, już po wszystkim, jesteś w domu, bezpieczny, tłumaczyła.

Pokręcił głową i wydmuchał smużkę niebieskoszarego dymu.

– Ja po prostu chcę… więcej, tak myślę. Nie chodzi o pracę. O życie. Chcę, idąc ulicą, nie bać się, że ktoś nazwie mnie

dzieciobójcą. Chcę… – Westchnął. Uśmiechnął się do Leni. – Nie przejmuj się. Będzie dobrze. Poradzimy sobie.

– Tatusiu, znajdziesz nową pracę – pocieszyła go.

– Jasne, Rudzielcu. Jutro będzie lepszy dzień.

Rodzice zawsze tak mówili.

Był zimny, pochmurny poranek w połowie kwietnia. Leni wcześnie wstała, umościła się w salonie na podniszczonej kanapie obitej perkalem w kwiatowe wzory i nastawiła telewizor na magazyn telewizji śniadaniowej Today. Poruszała anteną pokojową, żeby ekran przestał śnieżyć. Gdy obraz jako tako się ustawił, zobaczyła Barbarę Walters.

– Na tym zdjęciu – mówiła – widzicie Patrycję Hearst, która nazywa siebie Tanią, z karabinem M1 w ręce, podczas niedawnego napadu na bank w San Francisco. Świadkowie donoszą, że dziewiętnastoletnia dziedziczka fortuny magnata prasowego, która w lutym została porwana przez Symbionese Liberation Army…

Leni zamurowało. Nie mieściło jej się w głowie, że jakaś armia może, ot tak sobie, wmaszerować do mieszkania i porwać z niego nastolatkę. Jak w takim świecie człowiek ma się czuć bezpiecznie? I jakim cudem bogata nastolatka została rewolucjonistką o imieniu Tania?

– Leni, czas na ciebie! – zawołała mama z kuchni. – Szykuj się do szkoły.

Tata wmaszerował do domu rozpromieniony. Zarażał uśmiechem. Wyglądał jakoś inaczej, zdawał się sięgać sufitu niskiej kuchni, jaśnieć na tle szarych, poznaczonych zaciekami ścian. Krople deszczu kapały mu z włosów.

Mama stała przy kuchence i smażyła dla nich bekon na śniadanie.

Ojciec podszedł zamaszystym krokiem do laminowanego blatu i podkręcił tranzystorowe radio. Pomieszczenie wypełniły trzaski i rockandrollowa piosenka. Tata roześmiał się i chwycił mamę w ramiona.

Leni usłyszała, jak szepce:

– Przepraszam. Wybacz mi.

– Zawsze – odpowiedziała, trzymając się go kurczowo, jakby się bała, że ją odepchnie.

Objął mamę w pasie i pociągnął do stołu. Wysunął krzesło.

– Leni, chodź tu do nas! – zawołał.

Leni uwielbiała, gdy rodzice włączali ją do rozmów. Zsunęła się z kanapy i usiadła obok matki. Tata, uśmiechając się, podał jej książkę w miękkiej oprawie. *Zew krwi*.

– Będziesz zachwycona, Rudzielcu.

Potem usiadł naprzeciwko mamy i przysunął się z krzesłem do stołu. Z twarzy nie schodził mu uśmiech, który Leni nazywała Uśmiechem Wspaniałych Pomysłów. Widywała go za każdym razem, kiedy miał plan na zmianę ich życia. A takich planów było już sporo: opchnięcie całego dobytku i roczne pomieszkiwanie na kempingach wzdłuż szosy Big Sur. Hodowla norek (istny horror). Dystrybucja torebek z nasionami firmy American Seed w środkowej Kalifornii.

Wsadził rękę do kieszeni, wyjął stamtąd złożoną kartkę i triumfalnym gestem rzucił ją na stół.

– Pamiętasz mojego kumpla, Bo Harlana?

Mama dumała przez chwilę.

– Z Wietnamu?

Kiwnął głową.

– Bo Harlan był dowódcą załogi – wyjaśnił Leni – a ja strzelcem pokładowym. Trzymaliśmy się razem. I razem

trafiliśmy do niewoli, kiedy spadł nasz ptak. Przeszliśmy tam piekło.

Leni zauważyła, jak tata zadrżał. Na przedramionach widocznych spod podwiniętych rękawów koszuli widziała ślady po oparzeniach biegnące od nadgarstków po łokcie. Takie wypukłe blizny i zgrubienia, które nigdy się nie opalały. Nie wiedziała, skąd się wzięły – tata nigdy nie mówił, ona nie pytała – ale na pewno zrobili to jego prześladowcy. Skórę na plecach też miał pościąganą w fałdy i gruzły.

– Zmusili mnie, żebym patrzył, jak kona.

Leni z niepokojem zerknęła na matkę. Tata nigdy wcześniej o tym nie mówił. Te słowa je zelektryzowały.

Ojciec postukał stopą o podłogę, zabębnił palcami o stół. Rozłożył list, wygładził i obrócił tak, aby mogły go przeczytać.

Sierżancie Allbright!

Niełatwo było Cię namierzyć. Nazywam się Earl Harlan.

Mój syn, Bo, często w listach wspominał o Waszej przyjaźni. Dziękuję Ci za nią.

W ostatnim liście napisał, że gdyby coś się z nim stało w tej zasranej dziurze, chce, żebyś przejął jego ziemię tu, na Alasce. Nie ma tego wiele. Czterdzieści akrów i chata, która wymaga remontu. Ale ktoś z rękami chętnymi do pracy spokojnie wyżyje z tej ziemi, z daleka od wszystkich szaleństw, hippisów i całego tego bałaganu w czterdziestu ośmiu kontynentalnych stanach.

Nie mam telefonu, ale możesz napisać do mnie, adresując na urząd pocztowy Homer Post Office. Prędzej czy później list do mnie trafi.

Parcela leży na końcu drogi, kawałek za metalową bramą z krowią czaszką, tuż przed spalonym drzewem i słupem

z numerem 13.

Jeszcze raz za wszystko Ci dziękuję,

Earl

Mama podniosła oczy znad kartki. Wpatrywała się w tatę, przechylając głowę jak ptak.

– Ten człowiek… Bo, podarował nam dom? Dom?

– Pomyśl tylko. – Tata poderwał się z krzesła podekscytowany. – Dom, który należy do nas. Jest nasz. Miejsce, gdzie będziemy samowystarczalni, gdzie możemy hodować warzywa, polować, być wolni. Marzyliśmy o tym, Coro. O prostym życiu z daleka od tego całego syfu tutaj. Pomyśl o tym.

– Zaraz – wtrąciła Leni. Nawet jak na tatę to była duża sprawa. – Alaska? Chcecie się znowu przenosić? Dopiero co tu się wprowadziliśmy.

– No, ale… – Mama ściągnęła brwi. – Tam nic nie ma, prawda? Poza niedźwiedziami i Eskimosami?

Tata z takim entuzjazmem podniósł mamę z krzesła, że zatoczyła się i wpadła na niego. Leni nie umknęła desperacja ukryta pod tym podnieceniem.

– Coro, ja tego potrzebuję. Potrzebuję miejsca, gdzie znowu będę mógł swobodnie oddychać. Czasem myślę, że niewiele brakuje, abym zupełnie się rozsypał. Tam skończy się to całe gówno, przestaną mnie dręczyć wspomnienia. Ja to wiem. Właśnie tego nam potrzeba. Wrócą dobre dni. To Wietnam zrobił ze mnie popaprańca.

Mama uniosła ku niemu twarz. Jej bladość kontrastowała z jego opalenizną i czarnymi włosami.

– No, skarbie – odezwał się prosząco tata. – Wyobraź to sobie…

Leni patrzyła, jak matka mięknie, dopasowuje swoje potrzeby do jego żądań, wciela się w nową postać: Alaskanki. Może jej się wydawało, że to będzie coś w rodzaju terapii elektrowstrząsowej, jogi, buddyzmu. Jakaś odpowiedź. Dla niej nie było ważne, kiedy, jak i co. Liczył się wyłącznie on.

– Nasz własny dom – myślała na głos. – Ale… pieniądze… mógłbyś się ubiegać o wojskową rentę inwalidzką…

– Nie mówmy znowu na ten temat – uciął z westchnieniem. – Nie zrobię tego. Potrzebuję jedynie odmiany. I, Coro, od dziś będę ostrożniej wydawał pieniądze, przyrzekam. Nadal zostało mi trochę forsy po staruszku. No i ograniczę picie. Zgłoszę się do tej grupy wsparcia weteranów, tak jak chciałaś.

Leni już to wszystko słyszała. Tak naprawdę to, czego chciała ona czy mama, nie miało znaczenia.

Tata pragnął zacząć wszystko na nowo. Potrzebował tego. A mamie zależało, żeby czuł się szczęśliwy.

I dlatego podejmą kolejną próbę w nowym miejscu, licząc, że tym razem odpowiedzią będzie geografia. Pojadą na Alaskę, pełni wiary, że ziści się kolejne marzenie. Leni zrobi to, co każą, i nie będzie utyskiwać. Bo na tym właśnie polega miłość. Znowu będzie nowa w kolejnej szkole.

2

Następnego ranka Leni, słuchając w łóżku deszczu dzwoniącego o dach, oczyma wyobraźni widziała wyrastające pod oknem grzyby. Obłe, trujące łebki, kusząco połyskujące, w szaleńczym tempie przepychały się przez warstwę błota. Położyła się spać dobrze po północy. Czytała o bezkresnej Alasce. Ta lektura wywarła na niej zaskakujące wrażenie. Ten ostatni nieokiełznany obszar był jak jej tata. Niezwykły. Ekspansywny. Trochę niebezpieczny.

Z tranzystorowego radia z metalicznym pogłosem popłynęła piosenka *Hooked on a Feeling*. Odrzuciła kołdrę i wyszła z łóżka. Mamę znalazła w kuchni. Stała przed kuchenką, paląc papierosa. W świetle lampy wydawała się taka eteryczna. Półdługie, wystrzępione włosy miała wzburzone po śnie, twarz osnuwał sinoniebieski dym. Biały, porozciągany po niezliczonej ilości prań podkoszulek wisiał na jej szczupłym ciele, neonoworóżowe spodnie z luźną gumą w pasie opadały na biodra. Niewielki fioletowy siniec u nasady szyi, kształtem podobny do gwiazdki, dziwnie pięknie podkreślał delikatność jej rysów.

– Powinnaś jeszcze pospać. – Odwróciła się do niej. – Jest wcześnie.

Leni podeszła i oparła głowę na jej barku. Skóra mamy pachniała różanymi perfumami i nikotyną.

– My nie śpimy – przypomniała.

My nie śpimy. Mama zawsze tak mówiła. Ty i ja. Porozumienie, trwałe pocieszające zjednoczenie, jakby podobieństwo losu miało cementować miłość między nimi. Mama kiepsko sypiała, odkąd tata pojawił się w domu. Ilekroć Leni budziła się w nocy, nieodmiennie widziała, jak snuje się po domu w powiewającym, prześwitującym szlafroku. W takich chwilach zazwyczaj szeptała coś do siebie, ale Leni nie wyławiała słów.

– Naprawdę jedziemy? – spytała.

Mama zapatrzyła się w kawę parzącą się w garnuszku.

– Chyba tak.

– Kiedy?

– Znasz tatę. Wkrótce.

– Dotrwam do końca roku szkolnego?

Wzruszyła ramionami.

– Gdzie tata?

– Wyszedł przed świtem sprzedać kolekcję monet po swoim ojcu. – Nalała sobie kawy, wypiła łyk i odstawiła kubek na laminowany blat. – Alaska. Chryste. Czemu nie Syberia? – Zaciągnęła się łapczywie papierosem. Wydmuchała dym. – Potrzebuję przyjaciółki, z którą mogłabym pogadać.

– Ja jestem twoją przyjaciółką.

– Masz trzynaście lat. Ja trzydzieści. Powinnaś mieć we mnie matkę. Muszę o tym pamiętać.

Przestraszyła ją rozpacz w głosie mamy. Jak każde dziecko jeńca wojennego wiedziała, jakie wszystko jest kruche: jej rodzina, rodzice, i jak niewiele ludziom trzeba, żeby się załamać. Leni nadal nosiła błyszczącą niklowaną bransoletę upamiętniającą kapitana, który nie wrócił z wojny do swojej rodziny.

– Jemu potrzebna jest szansa. Nowy start. Wszyscy tego potrzebujemy. Może Alaska okaże się odpowiedzią – pocieszała

się mama.

– Jak wcześniej Oregon, Snohomish i paczuszki z nasionami, na których mieliśmy się wzbogacić. I nie zapominaj o tamtym roku, kiedy planował zbicie majątku na automatach do gier. Czy nie moglibyśmy tego odwlec przynajmniej do końca roku szkolnego?

Mama westchnęła.

– Nie sądzę. Idź, ubierz się do szkoły.

– Dzisiaj nie ma lekcji.

Mama zastanawiała się nad czymś przez jakiś czas.

– Pamiętasz tę niebieską sukienkę, którą dostałaś od taty w prezencie na urodziny? – zapytała cicho.

– No.

– Nałóż ją.

– Po co?

– No, leć, ubierz się. Ty i ja mamy dziś sprawy do załatwienia.

Leni, co prawda zirytowana i zagubiona, posłusznie poszła się ubrać. Tak było łatwiej. Weszła do pokoju i grzebała w szafie, dopóki nie znalazła tamtej sukienki.

Jesteś w niej jak z obrazka, Rudzielcu.

Akurat. Dobrze wiedziała, jak wygląda: patykowata, płaska jak deska trzynastolatka w niemodnej kiecce, z chudymi udami i kolanami jak gałki u drzwi. Nastolatka, która powinna zacząć dojrzewać. Tymczasem nic tego nie zapowiadało. Na pewno jako jedyna w klasie nie dostała jeszcze okresu i nie rosły jej piersi.

Wróciła do pustej kuchni pachnącej kawą i dymem z papierosów. Klapnęła na krzesło i otworzyła *Zew krwi*.

Mama dopiero po godzinie wyłoniła się ze swojego pokoju.

Leni ledwo ją poznała. Natapirowane i usztywnione lakierem jasne włosy zaczesała w zgrabny koczek i ubrała się w dopasowaną, zapinaną na guziczki sukienkę w kolorze

awokado, którą ściągnęła w talii paskiem. Ta suknia zakrywała ją szczelnie od szyi po nadgarstki i kolana. Nałożyła nylonowe pończochy. I pantofle na staromodnym obcasie.

– O ja cię!

– No, wiem – przytaknęła, zapalając papierosa. – Wyglądam jak mamuśka z komitetu rodzicielskiego.

Na powieki nałożyła perłowe jasnoniebieskie cienie. Czarne kreski pod trochę nierówno przyklejonymi sztucznymi rzęsami były nieco za grube.

– Nie masz innych butów?

Leni spojrzała na swoje łódeczkowate półbuty z zadartymi noskami, uniesionymi wyżej niż napiętki. Długo o nie prosiła. Wcześniej Joanne Berkowitz przyszła w takich do szkoły i cała klasa wpadła w zachwyt.

– Mam czerwone tenisówki, ale wczoraj pękło mi sznurowadło.

– Dobra. Niech będzie. Chodźmy.

Wyszły z domu. Wsunęły się na obdarte fotele poobijanego forda mustanga, pomalowanego podkładem pod lakier. Klapa bagażnika trzymała się na jaskrawożółtej lince.

Mama odgięła osłonę nad kierownicą i sprawdziła makijaż w lusterku (Leni była gotowa się założyć, że kluczyk nie drgnie w stacyjce, jeśli wcześniej matka nie obejrzy się w lusterku i nie zapali papierosa). Jeszcze raz pomalowała usta, roztarła szminkę wargami i rożkiem mankietu usunęła niewidoczne niedociągnięcie. Wreszcie zadowolona opuściła osłonę i uruchomiła silnik. Z radia ryknęła *Midnight at the Oasis*.

– Słyszałaś, że na Alasce można zginąć na sto sposobów? – spytała Leni. – Zlecieć ze zbocza góry albo wpaść pod lód. Zamarznąć, umrzeć z głodu. A nawet zostać zjedzonym.

– Ojciec niepotrzebnie dał ci tę książkę.

Wsunęła kasetę do odtwarzacza. *Feel the Earth Move* – głos Carole King zagłuszył rozmowę. Zaczęła śpiewać, a Leni do niej dołączyła. Przez kilka cudownych minut robiły coś bardzo zwykłego: jechały autostradą I-5 na Seattle, mama trzymała kierownicę jedną ręką, z papierosem sterczącym między palcami, i zmieniała pas, gdy tylko jakiś samochód pojawiał się przed nimi.

Zatrzymała się przed bankiem dwie przecznice dalej. Zaparkowała, ponownie sprawdziła makijaż.

– Zostań – rzuciła i wysiadła.

Leni przechyliła się i zablokowała drzwi. Odprowadziła mamę spojrzeniem do wejścia. Ona nie szła, raczej płynęła z gracją, kołysząc biodrami. Była piękną kobietą i dobrze o tym wiedziała. Kolejny powód do kłótni między rodzicami. Tacie nie podobało się, w jaki sposób mężczyźni na nią patrzyli. On się złościł, a Leni wiedziała, że mama lubi przyciągać uwagę, chociaż na wszelki wypadek wolała się do tego nie przyznawać.

Kwadrans później wyszła z banku; tym razem w jej ruchach nie było wdzięku. Zaciskała mocno delikatne szczęki.

– Sukinsyn – wysyczała, szarpnęła za klamkę i wsiadła do środka. Powtórzyła to samo raz jeszcze, zatrzaskując z impetem drzwi.

– Co takiego? – spytała Leni.

– Twój tata wyczyścił konto. Nie wystawią mi karty kredytowej, jeżeli na wniosku nie znajdzie się podpis twojego albo mojego ojca. – Zapaliła papierosa. – Słodki Jezu, mamy tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty rok. Pracuję. Zarabiam. Kobieta nie może dostać karty kredytowej bez podpisu mężczyzny. Światem rządzą faceci, córciu. – Uruchomiła samochód i popędziła ulicą w kierunku autostrady.

Leni ledwo utrzymywała się w fotelu podczas lawirowania między samochodami i ciągłych zmian pasów. Co rusz

zarzucało nią na boki. Skupiona na zachowaniu równowagi nawet nie zauważyła, kiedy zostawiły za sobą pofałdowane centrum Seattle i wjechały w cichą zadrzewioną dzielnicę z okazałymi domami.

– O kurczę – mruknęła pod nosem. Była tu przed wielu laty. Tak dawno, że ledwo to miejsce pamiętała.

Wygląd posesji świadczył o zamożności ich mieszkańców. Na wycementowanych podjazdach stały nowiutkie cadillaki, oldsmobile toronada i lincolny continentale.

Mama zaparkowała samochód przed dużym domem z szarego chropowatego kamienia i z oknami z mnóstwem szybek podzielonych szprosami. Otaczał go wypielęgnowany trawnik obramowany rabatami. GOLLIHER, informował napis na skrzynce na listy.

– Rany! Nie byłyśmy tutaj od lat – odezwała się Leni.

– Wiem. Poczekaj na mnie.

– Nie ma mowy. Kolejna dziewczyna zaginęła w tym miesiącu. Nie zostanę sama.

– Chodź no tu! – Mama wyjęła z torebki szczotkę i dwie różowe wstążki. Przyciągnęła ją do siebie i zaatakowała szczotką długie miedzianorude włosy z taką zawziętością, jakby budziły w niej złość.

– Au! – pisnęła Leni, kiedy mama zaczęła zaplatać je w ciasne warkoczyki, sterczące jak antenki po obu bokach głowy.

– Lenoro, dzisiaj masz być wyłącznie słuchaczką – zaznaczyła, zawiązując kokardy na końcach warkoczy.

– Jestem za duża na warkocze – zaprotestowała Leni.

– Słuchaczką – przypomniała mama z naciskiem. – Weź ze sobą książkę, siedź cicho i nie wtrącaj się do rozmowy dorosłych. – Otworzyła drzwiczki i wysiadła z samochodu. Leni szybko dołączyła do niej na chodniku.

Mama wzięła ją za rękę i pociągnęła za sobą ścieżką obsadzoną po obu stronach przystrzyżonym żywopłotem, która prowadziła do masywnych drewnianych drzwi.

– Raz kozie śmierć – mruknęła, zerkając na Leni, i nacisnęła dzwonek. Zza drzwi dobiegły niskie, głębokie tony gongu, podobne do kościelnych dzwonów, a po nich przytłumione kroki.

Po chwili w drzwiach stanęła babka Leni. W sukni koloru oberżyny, z wąskim paskiem w talii i trzema sznurami pereł na szyi wyglądała, jakby się wybierała na lunch z gubernatorem. Kasztanowe włosy ułożone w staranne, usztywnione lakierem loki połyskiwały niczym świąteczna chałka. Szeroko otworzyła mocno umalowane oczy.

– Coraline – wyszeptała i postąpiła krok, wyciągając ramiona.

– Zastałam tatę? – spytała mama.

Babka cofnęła się, opuszczając ręce.

– Dzisiaj jest w sądzie.

Mama kiwnęła głową.

– Możemy wejść?

Leni widziała, że tym pytaniem zirytowała babcię; blade upudrowane czoło przecięły zmarszczki.

– Oczywiście. Och, Lenoro. Dobrze cię znowu widzieć.

Usunęła się, niknąc w cieniu, a potem poprowadziła je szerokim korytarzem z wieloma drzwiami i kręconymi schodami, których koniec ginął w mroku na piętrze.

Dom wypełniał zapach cytrynowego wosku do podłóg i kwiatów.

Zaprowadziła je na oszkloną werandę na tyłach domu, z wypukłymi oknami, ogromnymi przeszklonymi drzwiami, mnóstwem roślin doniczkowych i białymi wiklinowymi meblami. Babcia wskazała Leni fotel przy małym stoliku, skąd rozciągał się widok na ogród.

– Bardzo mi was obu brakuje – powiedziała i, jakby speszona tym wyznaniem, odwróciła się i wyszła. Po chwili wróciła z książką w ręce. – Pamiętam, Leni, że bardzo lubiłaś czytać. Już jako dwulatka nie rozstawałaś się z książeczkami. Kupiłam ci to wiele lat temu, ale… nie wiedziałam, dokąd wysłać. Ta dziewczynka też ma rude włosy, jak ty.

Leni usiadła i wzięła książkę, którą czytała tyle razy, że znała całe fragmenty na pamięć. *Pippi Pończoszanka*. Historia dla dużo młodszych dziewczynek. Ona już z takich książek wyrosła.

– Dziękuję, psze pani.

– Mów mi „babciu” – poprosiła cicho, głosem zabarwionym tęsknotą, po czym skupiła uwagę na mamie.

Wskazała jej biały stolik z kutego żelaza stojący przy oknie. W pobliżu w pozłacanej klatce szczebiotała para białych ptaszków. Leni pomyślała, że żywot ptaków, które nie mogą latać, musi być bardzo smutny.

– Dziwne, że mnie wpuściłaś – odezwała się mama, siadając.

– To było niegrzeczne, Coraline. Zawsze jesteś tu mile widziana. Oboje z ojcem cię kochamy.

– Racja, to mojego męża nie wpuszczacie.

– Nastawił ciebie przeciwko nam. Tak samo jak wszystkich twoich przyjaciół. Chciał was mieć…

– Nie chcę po raz kolejny do tego wracać. Przenosimy się na Alaskę.

Babcia opadła na krzesło.

– Na miłość boską!

– Ernt odziedziczył tam dom i kawałek ziemi. Zamierzamy uprawiać warzywa, polować i żyć według własnych reguł. Będziemy wieść nieskażone życie pionierów.

– Przestań. Nie mogę dłużej słuchać tych bzdur. Pojedziesz za nim na koniec świata, gdzie nikt nie będzie ci w stanie pomóc. Oboje z ojcem ze wszystkich sił próbowaliśmy ustrzec cię przed

popełnianiem błędów, ale ty nie chcesz dać sobie pomóc, prawda? Tobie się wydaje, że życie to zabawa. Żyjesz z dnia na…

– Dość! – zaprotestowała ostro mama. – Wiesz, ile mnie kosztowało, żeby tu przyjść?

Po tych słowach zapadła cisza, zakłócana jedynie ptasim szczebiotem. Leni miała wrażenie, że w werandę uderzył podmuch zimnego wiatru. Była nawet gotowa przysiąc, że zafalowały drogie przezroczyste firany, a przecież okna były pozamykane.

Usiłowała wyobrazić sobie mamę w tym wymuskanym, uporządkowanym świecie. Tamtą dziewczynę, która w nim dorastała, i kobietę, którą się stała, dzieliła niemożliwa do zasypania przepaść. Zastanawiała się, czy tamte wszystkie marsze, pikiety przeciwko energii jądrowej i wojnie, w których uczestniczyły z mamą, kiedy taty nie było, wszelkie sesje terapeutyczne i różne religie, których mama próbowała, nie były przypadkiem wyrazem buntu przeciwko tamtemu światu.

– Coraline, zrezygnuj z tego szalonego, niebezpiecznego pomysłu. Odejdź od Ernta. Wracaj do domu. Chroń siebie.

– Mamo, ja go kocham. Nie potrafisz tego zrozumieć?

– Coro – babcia złagodziła ton – posłuchaj mnie, proszę. Ty wiesz, że on jest niebezpieczny…

– Jedziemy na Alaskę – stwierdziła stanowczo mama. – Przyszłam się pożegnać i… – zawahała się. – Pomożesz nam czy nie?

Babcia przez długi czas milczała, krzyżując i rozplatając ramiona.

– Ile tym razem potrzebujesz? – spytała w końcu.

W drodze powrotnej mama odpalała jednego papierosa od drugiego. Radio nastawione na cały regulator uniemożliwiało jakąkolwiek rozmowę. Może i dobrze. Co prawda Leni chodziło po głowie mnóstwo pytań, ale i tak nie wiedziałaby, od czego zacząć. Dzisiaj miała okazję zajrzeć do świata istniejącego obok tego, w którym się obracała. Mama bardzo oszczędnie mówiła jej o swoim życiu sprzed małżeństwa. Uciekli z tatą; to była porywająca, romantyczna historia o miłości, która pokonała wszystkie przeszkody. Rzuciła szkołę i „żyła miłością". W jej ustach brzmiało to jak bajka. Leni na tyle zdążyła dorosnąć, by już wiedzieć, że w tej ich bajce, tak jak we wszystkich, są ciemne miejsca, niespełnione marzenia i dziewczynki, które uciekły z domu.

Mama była wyraźnie zła na swoją matkę, a jednocześnie zwracała się do niej o pomoc i bez proszenia dostawała pieniądze. Leni nie potrafiła tego pojąć, to wszystko ją niepokoiło. Jak matka i córka mogły tak się od siebie oddalić?

Mama wjechała na podjazd i wyłączyła silnik. Radio umilkło, zaległa cisza.

– Nie powiemy tacie o pieniądzach od babci – uprzedziła córkę. – On jest dumnym mężczyzną.

– Ale…

– Leni, koniec dyskusji. Ani słowa ojcu. – Otworzyła drzwiczki i wysiadła z samochodu, energicznie je zatrzaskując.

Leni, zbulwersowana tym niespodziewanym zakazem, podreptała za nią przez podwórko porośnięte gąbczastą, wymieszaną z błotem trawą, omijając po drodze do drzwi wybujałe, splątane ze sobą jałowce.

Ojciec był w domu. Siedział przy kuchennym stole zarzuconym książkami oraz mapami i popijał coca-colę z butelki.

Podniósł głowę i przywitał je szerokim uśmiechem.

– Opracowałem trasę. Pojedziemy przez Kolumbię Brytyjską i Jukon. To około dwóch tysięcy czterystu mil. Moje panie, za cztery dni zaczynamy nowe życie. Zakreślcie tę datę w kalendarzu.

– Ale szkoła… – wtrąciła Leni.

– A kto tam przejmuje się szkołą? To jest prawdziwa edukacja, Leni. – Spojrzał na mamę. – Sprzedałem mojego pontiaca, kolekcję monet i gitarę. Potrzebujemy forsy. Zamienimy twojego mustanga na volkswagena busa, ale kurde, przydałoby się więcej forsy.

Leni zerknęła na mamę.

Nic mu nie mów, wyczytała z jej spojrzenia.

To nie w porządku. Przecież kłamstwo zawsze jest złe. A takie przemilczenie to niewątpliwie też kłamstwo.

Mimo to nie odezwała się słowem. Nigdy nie przyszło jej do głowy sprzeciwić się matce. W tym wielkim świecie – i z perspektywą przenosin na Alaskę, która czyniła go trzykrotnie większym – mama była jej jedynym oparciem.

3

– Leni, córeczko, zbudź się. Jesteśmy prawie na miejscu!

Uniosła powieki, zamrugała. Najpierw zobaczyła, że ma ubranie całe w pokruszonych chipsach. Obok niej leżała stara gazeta zasypana papierkami po cukierkach oraz wydanie *Drużyny Pierścienia* w miękkiej oprawie. Na wpół otwarta książka wyglądała jak namiot wsparty na wygiętych pożółkłych kartkach. Największy skarb, polaroidowy aparat, miała zawieszony na szyi.

To była niezwykła podróż. Pierwsze rodzinne wakacje. Droga na północ, o nazwie ALCAN, w wielu miejscach była nieutwardzona. Za dnia jechali w jaskrawym słońcu, nocami koczowali w pobliżu rwących rzek i cichych strumieni, pod osłoną gór o szczytach przywodzących na myśl ostrze piły. Skupieni wokół ogniska snuli marzenia o przyszłości, do której było im coraz bliżej z każdym kolejnym dniem. Na kolację jedli opiekane parówki, robili deser z herbatników przekładanych czekoladą i piankami topionymi nad ogniem i fantazjowali o tym, co odkryją na końcu drogi. Leni nigdy jeszcze nie widziała rodziców tak szczęśliwych. A przede wszystkim taty. Śmiał się głośno, chodził uśmiechnięty, opowiadał dowcipy i obiecywał im gwiazdkę z nieba. Właśnie takiego tatę pamiętała z czasów „zanim”.

Leni zazwyczaj spędzała podróże z nosem w książce, jednak tym razem nie mogła oderwać oczu od krajobrazu. Szczególnie zachwyciły ją góry Kolumbii Brytyjskiej. Siedziała w fotelu

w tyle busa i zapatrzona na zmieniające się widoki wyobrażała sobie, że jest Frodem albo Bilbem ze Śródziemia, bohaterem swej własnej wyprawy.

Bus uderzył o coś, może o krawężnik, część bagaży podskoczyła, inne pospadały na podłogę, zadźwięczały rzeczy w byle jak zapakowanych plecakach i kartonach, upchniętych z tyłu busa. Zahamowali z piskiem opon, do środka wdarł się zapach palonej gumy i spalin.

Słońce sączyło się przez zakurzone, oblepione komarami szyby. Leni przeszła nad stertą luźno zwiniętych śpiworów i otworzyła drzwi. Transparent ozdobiony tęczą z napisem: ALASKA ALBO KLAPA, przymocowany taśmą izolacyjną do karoserii, drżał na lekkim wietrze.

Wysiadła z samochodu.

– Jesteśmy na miejscu, Rudzielcu. – Tata stanął przy niej i położył jej dłoń na ramieniu. – To kraniec ziemi. Homer na Alasce. Ludzie przyjeżdżają tutaj ze wszystkich stron po zaopatrzenie. Ostatnie cywilizowane miejsce. Mówi się, że tu kończy się ziemia i zaczyna morze.

– Niesamowite – skomentowała mama.

Leni zaskoczyła dzika malowniczość Alaski, mimo że przed wyjazdem obejrzała mnóstwo zdjęć, przeczytała sporo książek i artykułów. Magiczna przestrzeń, pokryte lodowcem góry o ostrych szczytach, celujących w bezchmurne niebieskie niebo ze słonecznikowożółtą poświatą; to wszystko było jakby nie z tego świata. Kachemak Bay mieniła się w słońcu jak szczere złoto. Na wodzie kołysało się kilka łodzi. Powietrze miało słony zapach morskiej toni. Ptaki, niesione wiatrem, szybowały, opadały na taflę i bez wysiłku wzbijały się w górę.

Słynny Homer Spit, który Leni znała z opisów, był wąskim pasem ziemi o długości czterech i pół mili, łagodnie skręcającym w zatokę. Skupisko kolorowych domków na palach

przycupniętych wzdłuż brzegu wyglądało jak wesołe miasteczko. To tam poszukiwacze przygód zatrzymywali się na ostatni postój i napełniali plecaki prowiantem przed podjęciem wędrówki po dzikich terenach Alaski.

Leni podniosła polaroid i robiła zdjęcia tak szybko, jak tylko pozwalał na to wywoływacz. Wyłuskiwała jedno po drugim z aparatu i patrzyła, jak powstają na jej oczach. Rząd domków na linii wody stopniowo wyłaniał się z niebytu na połyskliwym białym papierze.

– A tam jest nasza ziemia – oznajmił tata, wskazując drugi brzeg Kachemak Bay, gdzie odległe wzgórza pokryte soczystą zielenią ginęły we mgle. – Nasz nowy dom. Co prawda Kaneq leży na półwyspie, ale drogą się tam nie dostaniemy. Potężne lodowce i góry odcinają to miejsce od głównej części Kenai Peninsula. Można tam tylko dolecieć albo dopłynąć.

Mama stanęła obok Leni. Z jasnymi włosami, bladą cerą, w dżinsowych dzwonach biodrówkach i w bluzce wykończonej koronką wyglądała jak stworzona z palety chłodnych barw tego miejsca; anielica, który sfrunęła na czekający na nią brzeg. Nawet jej śmiech, podobny do echa pobrzękiwania dzwonków wietrznych na frontach sklepów, współgrał z otoczeniem. Chłodna bryza przyklejała materiał bluzki do jej wolnych od biustonosza piersi.

– I jak, córciu?

– Fajnie – przytaknęła. Zrobiła kolejne zdjęcie, lecz nie było takich kolorów ani papieru, które w pełni oddałyby majestatyczne piękno tego górskiego pasma.

Tata odwrócił się do nich. Radosny uśmiech pomarszczył mu twarz.

– Dopiero jutro odpływa prom na Kaneq. Rozejrzyjmy się co nieco po okolicy, a potem rozbijemy się na plaży i zrobimy sobie spacer. Co wy na to?

– Super! – zawołały jednocześnie.

Odbili od Spitu i jechali przez miasto. Leni siedziała z nosem przyklejonym do szyby, zafascynowana eklektyczną zabudową tego miejsca. Koślawe przybudówki zabezpieczone płachtami plastiku i taśmą izolacyjną opierały się o duże domy z połyskującymi oknami, obok drewnianych chałup ze spadzistymi dachami stały przyczepy kempingowe i mobilne domy na kołach. Autobusy zaparkowane na poboczu miały firanki w oknach i często stały przed nimi krzesła. Niektóre podwórka były schludne i ogrodzone płotem. Na innych leżały sterty pordzewiałego złomu, walały się stare sprzęty i stały porzucone samochody. Większość domostw sprawiała wrażenie nieukończonych. Wszędzie, od pokrytej rdzą starej przyczepy, poprzez nową chatę z bali, aż po przydrożną budkę, kwitł handel i załatwiano interesy. Miejsce robiło nieco dzikie wrażenie, ale nie wydawało się aż tak obce i nieprzystępne, jak Leni to sobie wyobrażała.

Kiedy wracali na długą szarą plażę, tata podkręcił radio. Jechali teraz powoli, opony grzęzły w piasku. Cała plaża była zastawiona najróżniejszymi pojazdami – ciężarówkami, furgonetkami i osobówkami. Ludzie najwyraźniej mieszkali tutaj, w czym tylko mogli – w namiotach, w zdezelowanych samochodach, w budach skleconych z drewna wyrzuconego przez morze i brezentu.

– Nazywają ich szczurami ze Spitu – poinformował je tata, rozglądając się za miejscem na busa. – Pracują w fabryce konserw i w firmach czarterujących łodzie.

Ustawił bus w luce pomiędzy ubłoconym wanem econoline z tablicami z Nebraski i limonkowym gremlinem z przyklejonym taśmą kartonem w oknach zamiast szyb. Rozbili namiot na piasku, mocując linki do zderzaka busa. Wiatr cały czas niósł zapach morskiej wody.

Spienione fale z cichym szumem uderzały o brzeg. Ludzie dokoła nich cieszyli się dniem: rzucali frisbee psom, budowali ogniska na piasku, spychali kajaki na wodę. Ich głosy rozpraszały się i ginęły w bezmiarze przestrzeni.

Resztę dnia spędzili, włócząc się jak turyści. Mama z tatą kupili piwa w pubie Salty Dawg Saloon, a Leni lody w budce na Spicie. Potem tak długo grzebali w pojemnikach Armii Zbawienia, aż każde z nich znalazło kalosze w odpowiednim rozmiarze. Leni za pięćdziesiąt centów kupiła piętnaście starych książek (przeważnie podniszczonych, z zaciekami po wodzie), a tata latawiec do puszczania na plaży. Mama wsunęła Leni trochę pieniędzy.

– Kup sobie film do aparatu – podpowiedziała.

W małej restauracji na samym cyplu Spitu usiedli przy piknikowym stoliku i zamówili kraba kieszeńca; Leni zakochała się w słodko-słonym smaku krabiego mięsa oblanego stopionym masłem. Mewy krążyły im nad głowami, patrząc łakomie na frytki i okruchy bagietki.

Leni nie przypominała sobie lepszego dnia. Wspaniała przyszłość w jasnych barwach wydawała się na wyciągnięcie ręki.

Następnego dnia rano wjechali busem na Tustamenę (potocznie zwaną Tusty), prom należący do Alaska Marine Highway. Ten masywny stary statek zawijał do tak odległych miejscowości jak Homer, Kaneq, Seldovia, Dutch Harbor, Kodiak, a nawet do portów na dzikich Wyspach Aleuckich. Gdy tylko bus stanął na wyznaczonym miejscu, cała trójka ruszyła na pokład i ulokowała się przy relingu. Na promie panował spory tłok. Przeważali długowłosi mężczyźni z bujnymi brodami, w czapkach bejsbolówkach, kraciastych flanelowych koszulach, długich pikowanych kamizelkach i w wyświechtanych dżinsach wpuszczonych w brązowe

gumiaki. Kręciło się też kilku studentów o wyglądzie hippisów; podróżowali z plecakami, ubrani w koszule farbowane po uprzednim zawiązaniu w supły, a na nogach mieli sandały.

Wielki prom sunął powoli, plując dymem. Leni niemal natychmiast zauważyła, że wody Kachemak Bay wcale nie są tak spokojne, jak sądziła, oglądając je z bezpiecznego brzegu. Na otwartym morzu przetaczały się spienione fale i uderzały o burty. To był piękny, magiczny, dziki widok. Zrobiła co najmniej dziesięć zdjęć i schowała je do kieszeni. Stado orek wychynęło spod wody. Powarkiwały na nie morskie lwy wylegujące się na skałach. Wydry żerowały wśród wodorostów na płyciźnie przy stromym brzegu.

– Przed nami Kaneq! – padła informacja z głośnika. – Następny port: Seldovia!

– Allbrightowie, zbierać się! Migiem do busa! – rzucił komendę roześmiany tata.

Klucząc między rzędami pojazdów, odnaleźli bus i wdrapali się do środka.

– Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę nasz dom – wyznała mama.

Prom przybił do przystani. Zjechali z pokładu na pnącą się w górę szeroką drogę przez las. Na grzbiecie wzgórza stał pokryty białym gontem kościół z niebieską kopułą i prawosławnym krzyżem. Obok na małym, ogrodzonym sztachetami cmentarzu wyrastały z ziemi drewniane krzyże.

Wspięli się na wzgórze, zjechali w dół i wtedy po raz pierwszy mieli okazję zobaczyć Kaneq.

– Zaraz – odezwała się Leni, patrząc przez zakurzoną szybę. – To na pewno nie tu.

Patrzyła na przyczepy kempingowe na trawie z krzesłami wystawionymi na zewnątrz i domki, które u nich, w Waszyngtonie, nazwano by szopami. Przed jednym z nich

trzy chude psy uwiązane na łańcuchu ujadały wściekle, stojąc na rozchwierutanych budach. Porośnięte trawą podwórko było usiane dołkami, które zapewne wykopały z nudów.

– To stare miasto ma godną uwagi historię – zaczął tata. – Z początku mieszkali tu wyłącznie rdzenni mieszkańcy, potem pojawili się rosyjscy handlarze futer, a na koniec przybyli jeszcze poszukiwacze złota. Miasto bardzo ucierpiało podczas trzęsienia ziemi w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku. Dosłownie w sekundę ziemia zapadła się o pięć stóp. Domy pękały i osuwały się do morza.

Leni objęła spojrzeniem kilka krzywych zabudowań z łuszczącą się farbą, połączonych ze sobą poczerniałym ze starości drewnianym pomostem. Miasteczko przycupnęło na wzniesieniu nad pasem równiny błotnej, za którą znajdował się port z mnóstwem kutrów. Krótka główna ulica nie była utwardzona.

Po lewej stronie w poczerniałym, osmalonym budynku, zapewne ofierze pożaru, działał pub Kicking Moose. Przez brudną szybę Leni dostrzegła siedzących w środku klientów. Czwartek, dziesiąta rano, a ludzie już pili w tej wypalonej ruderze!

Na końcu ulicy po stronie zatoki zobaczyła zamknięty na głucho pensjonat, który jak spekulował tata, zbudowano przed stu laty dla rosyjskich handlarzy futer. Przyklejona do niego mała knajpka o nazwie Fish On otwartymi drzwiami zapraszała do wejścia. Leni zauważyła w środku kilka osób okupujących kontuar. Parę starych ciężarówek stało przy wejściu do portu.

Leni zrzedła mina.

– A gdzie szkoła?

To nie było miasto. Co najwyżej osada. Sto lat temu ciągnęły tędy wozy osadników zmierzających na zachód i nikt nie

zatrzymywał się w tym miejscu na dłużej. Czy znajdzie tutaj jakieś dzieciaki w swoim wieku?

Tata zajechał przed wąski wiktoriański dom ze stromym dachem. Kiedyś musiał być niebieski; świadczyły o tym zacieki farby na wyblakłym drewnie. Na szybie pozostał ozdobny pozłacany szyld URZĄD PROBIERCZY. Pod spodem przylepiono taśmą wywieszkę z odręcznym napisem: PUNKT HANDLOWY/SKLEP WIELOBRANŻOWY.

– Allbrightowie, zasięgnijmy języka!

Mama wysiadła pierwsza i szybkim krokiem ruszyła do tej wysepki cywilizacji. Dźwięk dzwonka nad drzwiami zaanonsował ich wejście. Leni z dłonią przyklejoną do biodra mamy deptała jej po piętach.

Słońce wtargnęło za nimi do środka, rozjaśniając frontową część sklepu. Środek oświetlała jedna goła żarówka pod sufitem, reszta pomieszczenia tonęła w mroku.

Wnętrze było przesiąknięte zapachem starej skóry, whiskey i tytoniu. Na rzędach półek biegnących wzdłuż ścian Leni widziała piły, siekiery, motyki, futrzane botki, sterty skarpet, kartony czołowych latarek. Z haków na słupkach zwisały żelazne pułapki i zwoje łańcuchów. Kolekcja przynajmniej dziesięciu wypchanych zwierząt zdobiła regał za ladą. Ogromny łosoś królewski tkwił przymocowany na wieki do podstawki z wypolerowanego drewna w towarzystwie łbów łosi, jelenich rogów i pobielałych zwierzęcych czaszek. W narożniku obrastał kurzem wypchany rudy lis. Po lewej stronie lady piętrzyły się artykuły spożywcze: worki ziemniaków, wiaderka cebuli, piramidy puszek z krabami, sardynkami i łososiem, worki z ryżem, mąką i cukrem, pojemniki z margaryną Crisco. Nie zabrakło też ulubionego asortymentu Leni – przekąsek. Cudownie kolorowe opakowania chipsów, kajmakowych deserów i płatków śniadaniowych przypominały jej o domu.

W tym przybytku Laura Ingalls Wilder, autorka *Domku na prerii*, czułaby się jak u siebie.

– Klienci!

Leni usłyszała klaśnięcie. Czarnoskóra kobieta z monstrualnym afro wychynęła z cienia. Była wysoka, barczysta i tak szeroka w biodrach, że musiała przecisnąć się bokiem zza wypolerowanej drewnianej lady. Twarz miała obsypaną drobnymi czarnymi pieprzykami.

Podeszła do nich żwawym krokiem, pobrzękując bransoletkami na pulchnych nadgarstkach. Była stara; miała przynajmniej z pięćdziesiąt lat. Jej ubiór składał się z długiej patchworkowej spódnicy z denimu i rozpiętej długiej niebieskiej koszuli, narzuconej na wyblakły T-shirt. Na nogach miała wełniane skarpety z różnych par i sandały. W talii na szerokim skórzanym pasie wisiał nóż w pochewce.

– Witam! Tak, tak, to wygląda jak jeden wielki bałagan, ale ja dokładnie wiem, co gdzie leży, poczynając od gumowych uszczelek, a kończąc na bateryjkach trzy A. Nawiasem mówiąc, mam ksywę Duża Marge – dodała, wyciągając rękę.

– I zgadza się pani na to? – spytała mama, obdarzając ją tym swoim uroczym uśmiechem, który zaskarbiał jej sympatię ludzi, zmuszał do uśmiechnięcia się w odpowiedzi. Uścisnęła wyciągniętą do niej dłoń.

Duża Marge odpowiedziała głośnym szczekliwym śmiechem, jakby z trudem łapała powietrze.

– Lubię kobitki z poczuciem humoru. No to kogo my tutaj mamy?

– Cora Allbright – przedstawiła się mama. – A to moja córka Leni.

– Witam w Kaneq, drogie panie. Nie widuje się tu zbyt wielu turystów.

– Jesteśmy miejscowi, a raczej będziemy – odezwał się tata, akurat wchodzący do sklepu.

– Miejscowi? – Duża Marge przechyliła głowę, jej podwójny podbródek zrolował się w trzy fałdy.

Tata uścisnął jej dłoń.

– Bo Harlan zostawił mi ziemię. Będziemy tu mieszkać.

– O rety! Jestem waszą sąsiadką. Marge Birdsall, dzieli nas jakieś pół mili. Tutaj większość ludzi ma domy w głuszy bez dostępu do prądu, ale nam się poszczęściło, bo mieszkamy przy drodze. Macie wszystko, czego potrzeba? Jak chcecie, możecie u mnie kupować na zeszyt. Rozliczycie się w pieniądzach albo w naturze. Tak to się tutaj załatwia.

– Dokładnie o takie życie nam chodzi. – Ucieszył się tata. – Przyznam, że z forsą u nas trochę cienko, lepiej więc w naturze. Jestem cholernie dobrym mechanikiem. Wyreperuję prawie każdy silnik.

– Dobrze wiedzieć. Rozpowiem po okolicy.

Kiwnął głową.

– Dobrze. Przyda nam się trochę bekonu, nieco ryżu, no i whiskey.

– Tam. – Pokazała palcem. – Za rzędem toporków i siekier.

Tata ruszył we wskazanym kierunku i zniknął w głębi sklepu.

Duża Marge odwróciła się do mamy i otaksowała ją wzrokiem.

– Coro Allbright, coś mi się widzi, że to było marzenie twojego chłopa i przyjechaliście tu bez żadnego pomysłu.

Mama przyjęła jej słowa z uśmiechem.

– Marge, my zawsze działamy impulsywnie. Wtedy życie robi się ekscytujące.

– No, Coro Allbright, tutaj musisz być twarda. Ze względu na siebie i córkę. Nie możesz polegać wyłącznie na mężczyźnie.

Musisz nauczyć się chronić siebie i tę twoją śliczną dziewczynkę.

– Zabrzmiało to bardzo dramatycznie – zauważyła mama.

Duża Marge nachyliła się i przyciągnęła do siebie duży karton. Długo w nim przebierała, poruszając czarnymi palcami jak pianistka, aż w końcu znalazła to, czego szukała. Wyciągnęła dwa duże jaskrawopomarańczowe gwizdki zawieszone na czarnej tasiemce. Założyła po jednym im obu na szyję.

– Gwizdki do płoszenia niedźwiedzi. Przydadzą się. Zasada numer jeden: na Alasce nie wolno poruszać się cicho i chodzić bez broni. I oddalać się od domu, a już szczególnie o tej porze roku.

– Chcesz nas przestraszyć? – spytała mama.

– A żebyś wiedziała. Coro, tu strach oznacza zdrowy rozsądek. Zjeżdża tutaj mnóstwo ludzi z aparatami fotograficznymi i głową pełną marzeń o prostszym życiu. Tymczasem co roku na każdy tysiąc Alaskan pięciu znika bez śladu. Jakby rozpływali się w powietrzu. A tamci marzyciele… No cóż, większość nie wytrzymuje pierwszej zimy. Przebierają nogami, żeby jak najprędzej się stąd wydostać i wrócić tam, gdzie są kina dla zmotoryzowanych i ogrzewanie na pstryknięcie włącznikiem. No i oczywiście słońce.

– To wszystko brzmi bardzo groźnie – powiedziała mama niepewnym głosem.

– Coro, Alaska przyciąga dwa typy ludzi. Takich, którzy za czymś gonią, i takich, co przed czymś uciekają. Na tych drugich lepiej mieć oko. I nie tylko przed ludźmi trzeba się tu pilnować. Alaska potrafi w jednej chwili być uroczą Śpiącą Królewną, a w drugiej wredną suką z obrzynem. Mamy takie powiedzenie: tutaj można raz popełnić błąd, drugi ciebie zabije.

Mama zapaliła papierosa trzęsącą się ręką.

– Kiepski z ciebie komitet powitalny.

Duża Marge znowu parsknęła śmiechem.

– Święta racja, Coro. Moje talenty towarzyskie poszły się bujać na tym odludziu. – Uśmiechnęła się i pocieszającym gestem położyła mamie dłoń na ramieniu. – Wiedz jedno, tu w Kaneq stanowimy bardzo zwartą społeczność. W tej części półwyspu na stałe mieszka nas niecała trzydziestka i bardzo jesteśmy ze sobą zżyci. Moja ziemia sąsiaduje z waszą. Potrzebujesz czegoś, czegokolwiek, daj znać przez krótkofalówkę. Przybiegnę galopem.

Tata położył na kierownicy kartkę z mapką narysowaną przez Dużą Marge. Kaneq było na niej wielkim czerwonym kołem z jedną kreską wychodzącą ze środka. Ta kreska to droga (jedyna, jak powiedziała Marge) z miasteczka do Otter Cove. Na kresce zaznaczyła iksami trzy miejsca. Pierwszy iks to jej dom, stojący na lewo od drogi, drugi, po prawej stronie, to siedlisko Toma Walkera, a trzeci, już na samym końcu kreski, oznaczał parcelę Bo Harlana.

– A więc tak – odezwał się tata. – Po dwóch milach miniemy Icicle Creek i zobaczymy żelazną bramę na posesję Toma Walkera. Nasza działka leży nieco dalej. Na końcu drogi – wyrecytował i zrzucił mapkę na podłogę. – Marge powiedziała, że nie sposób nie trafić.

Przetoczyli się po rachitycznie wyglądającym moście nad krystalicznie błękitną rzeką. Minęli rozmokłą bagienną łąkę obsypaną żółtymi i różowymi kwiatami i przejechali obok lądowiska, gdzie stały cztery sfatygowane małe samoloty.

Tuż za pasem startowym szutrowa droga przeszła w polną, grząską i pełną kamieni, w tunelu z gęsto rosnących drzew.

Błoto i komary przyklejały się do przedniej szyby. Stary bus, zgrzytając i klekocząc, zapadał się w dziury wielkości małego brodzika.

– Jasna cholera – mruczał tata za każdym razem, gdy podrzucało ich na fotelach.

Dokoła nie było żadnych domostw ani śladu cywilizacji aż do chwili, gdy dotarli przed podjazd zawalony pordzewiałym żelastwem i wrakami samochodów. Na kawałku deski widniało odręcznie napisane nazwisko BIRDSALL. Dom Dużej Marge.

Dalej droga była jeszcze gorsza. Bardziej wyboista. Kawałki granitu wystawały z błotnej brei. Wysoka trawa, splątane krzaki i wysokie drzewa zasłaniały widok.

Jakiś czas jechali przez pustkowie i wreszcie pojawiła się pordzewiała brama z pobielałą krowią czaszką. Siedlisko Walkera.

– Przyznam, że podejrzliwie patrzę na sąsiadów, którym łby martwych zwierząt służą za dekorację – odezwała się mama, chwytając się klamki i zostając z nią w dłoni, gdy właśnie wpadli w kolejną dziurę.

Pięć minut później tata ostro zahamował. Jeszcze dwieście stóp i runęliby z klifu.

– Jezu! – jęknęła mama.

Droga zniknęła; dalej były już tylko zarośla i granitowa półka.

– Jesteśmy na miejscu! – Tata wyskoczył z busa, zatrzaskując za sobą drzwi.

Mama spojrzała na Leni. Obie myślały to samo: tu nie ma nic poza drzewami, błockiem i klifem, z którego można spaść we mgle. Wysiadły i stały przytulone do siebie. Gdzieś w pobliżu, prawdopodobnie w dole za klifem przed nimi, fale z hukiem uderzały o skały.

– Popatrzcie tylko! – Tata rozpostarł ramiona, jakby chciał objąć to wszystko. On zdawał się rosnąć na ich oczach jak

drzewo, które rozkłada szeroko konary, nabiera siły. Jemu podobało się to wielkie pustkowie. On tego szukał.

Na ich działkę prowadził wąski pas gruntu, ograniczony po obu bokach klifami, których podnóża kąpały się w morzu. Leni pomyślała, że gdyby piorun albo trzęsienie ziemi zrobiły w tym miejscu wyrwę, ten spłacheć osunąłby się w wodę i został pływającą wyspą.

– Tam jest nasz podjazd – oznajmił tata.

– Podjazd? – Mama wpatrywała się w dukt między drzewami. Od lat nikt tędy nie przejeżdżał. Blokowały go olchy o cienkich pniach.

– Bo Harlan dawno stąd wyjechał. Musimy to wszystko wykarczować, a na razie będziemy poruszać się pieszo.

– Pieszo? – jęknęła mama.

Powyjmowali bagaże z busa. Tata zajął się rozdzielaniem najpotrzebniejszych rzeczy do trzech plecaków, a Leni z matką czekały zapatrzone na drzewa.

– Dobra. Możemy ruszać – oznajmił.

Leni z niedowierzaniem patrzyła na pękate toboły.

– Rusz się, Rudzielcu – ponaglił ją, podnosząc plecak wielki jak buick.

– Mam to nieść?

– No, raczej tak, jeżeli chcesz mieć jedzenie i śpiwór. – Uśmiechnął się, błyskając zębami. – Dalej, Rudzielcu. Dasz radę.

Tata zarzucił jej plecak. Poczuła się jak żółw z przerośniętą skorupą. Jeżeli się przewróci, w życiu się spod niego nie wygrzebie. Zrobiła pierwszy krok, ostrożnie balansując ciałem na boki, a tata w tym czasie pomógł założyć plecak mamie.

– Okej, Allbrightowie! – zawołał, łapiąc za swój tobół. – Idziemy do domu!

Szedł, wymachując ramionami w rytm kroków. Leni słyszała chrzęst kamieni i chlupot błota pod jego starymi wojskowymi

butami. Maszerował, pogwizdując jak Johnny Appleseed.

Mama tęsknie obejrzała się na bus. Potem odwróciła się do Leni i uśmiechnęła, lecz w tym uśmiechu więcej było przerażenia niż radości.

– No dobrze – powiedziała z westchnieniem. – W takim razie chodźmy.

Leni poszukała jej ręki.

Szli wąską, wijącą się ścieżką wśród ściany zieleni. Uszy wypełniał łomot fal uderzających o skały. Te odgłosy cichły, w miarę jak oddalali się od brzegu. Teren się rozszerzał. Mieli teraz przed sobą więcej drzew, więcej ziemi i więcej cienia.

– Słodki Jezu! – odezwała się mama po chwili. – Jak daleko jeszcze? – Potknęła się o kamień, zatoczyła i runęła jak długa na ziemię.

– Mamuś! – Leni, niewiele myśląc, pochyliła się nad nią i wtedy plecak przeważył ją i przewrócił. Błoto dostało się do ust. Zaczęła pluć.

Tata natychmiast znalazł się przy nich i pomógł pozbierać się z ziemi.

– Dziewczyny, oprzyjcie się na mnie – zarządził i ruszyli dalej.

Drzewa splatały się konarami, walcząc o przestrzeń. Ścieżka tonęła w cieniu. Tu i ówdzie słońce przedzierało się przez gałęzie, płosząc mrok i malując kolory. Ziemia pokryta porostami uginała się pod stopami jak gąbka. W pewnej chwili Leni przestała widzieć buty. Nogi znikły po kostki. Zmrok zdawał się podnosić znad ziemi, zamiast opadać z góry wraz z zachodem słońca. Jakby tutaj panował inny porządek rzeczy.

Brnęli po uginającej się ziemi chłostani gałęziami po twarzy, aż wreszcie wyszli na łąkę porośniętą trawą po kolana i polnymi kwiatami. Teraz zobaczyli, że te ich czterdzieści akrów jest półwyspem; trawiastym cyplem o zarysie odcisku wielkiego kciuka, z trzech stron otoczonym wodą, z wciśniętą

między klify małą piaszczystą plażą w kształcie litery C. Tam morze było gładkie i spokojne.

Leni pierwsza zsunęła szelki z ramion i zrzuciła plecak na ziemię. Mama poszła w jej ślady.

Tak, stał tam: ten dom, który przyjechali przejąć. Mała chata z poczerniałych ze starości bali, ze skośnym omszałym dachem upstrzonym wyblakłymi zwierzęcymi czaszkami. Na zbutwiałym ganku stały plastikowe krzesła pokryte zielonkawym nalotem. Po lewej stronie, między chatą a lasem, stała rozwalająca się zagroda dla zwierząt i krzywy kurnik.

Teren przypominał śmietnisko. W wysokiej trawie walały się beczki po ropie, zwoje pordzewiałego drutu, sterta żelastwa i wiekowa drewniana pralka z wyżymaczką na korbę.

Tata oparł dłonie na biodrach, odrzucił głowę do tyłu i zawył jak wilk. Kiedy umilkło echo, porwał mamę w ramiona i wykręcił z nią pirueta.

Gdy postawił ją na ziemi, zatoczyła się roześmiana, ale oczy miała wystraszone. Chata była bardzo mała i wyglądała jak schronienie starego bezzębnego pustelnika.

Czy będą się gnieździć we trójkę w jednym pomieszczeniu?

– Spójrzcie! – Tata zatoczył ręką szeroki łuk. Odwrócili się wszyscy plecami do domu. – To Otter Cove, Zatoczka Wydry.

Teraz, późnym popołudniem, półwysep i morze zdawały się emanować poświatą niczym zaczarowana baśniowa kraina. Leni nigdy nie widziała aż tak żywych kolorów. Fale obmywały kamieniste nadbrzeże, pokrywając je szklistą powłoką. Góry na przeciwległym brzegu, ciemnopurpurowe u dołu, raziły w oczy bielą szczytów.

Poniżej mieli plażę – swoją plażę – wygięty pas szarych gładkich kamyków polerowanych przez pieniące się fale. Schodziło się na nią pokrzywionymi drewnianymi schodkami

biegnącymi zygzakiem. Pociemniałe ze starości zmurszałe stopnie zabezpieczała metalowa siatka.

Przybojowa fala odsłoniła pas nadbrzeża z przyklejonymi do błota wodorostami. Na kamieniach leżały połyskliwe muszle omułków.

Leni przypomniały się opowieści taty o falach napływowych, tak ogromnych, że można na nich surfować w Upper Cook Inlet. Tyle że te w Bay of Fundy były od nich wyższe. Dopiero teraz, gdy zobaczyła, jak wysoko sięgają ślady po wodzie na tych schodach, potrafiła to sobie wyobrazić. Podczas odpływu nie było mowy o dotarciu łodzią na ich cypel.

– Chodźcie! – zawołał tata. – Obejrzyjmy dom.

Wziął Leni za rękę. Szli po łące porośniętej polnymi kwiatami, omijając przewrócone beczki, sterty drewnianych palet, stare lodówki turystyczne i druciane pułapki na kraby. Komary bzyczały nad ich głowami, gryzły i wysysały krew.

Przed schodkami na ganek mama się zawahała. Tata puścił rękę Leni, wbiegł po uginających się stopniach, otworzył drzwi i zniknął w chacie.

Mama stanęła, zasapana. Pacnęła się dłonią po szyi, rozmazując krwawy ślad.

– No cóż – powiedziała z westchnieniem. – Inaczej to sobie wyobrażałam.

– Ja też – zawtórowała jej Leni.

Nie odzywały się przez chwilę.

– No to chodźmy – zdecydowała mama.

Trzymając się za ręce, wspięły się po chybotliwych schodkach i weszły do ciemnej chaty.

Leni uderzył smród.

Jakieś zwierzę (miała nadzieję, że zwierzę) zrobiło tu sobie toaletę. Zakryła dłonią usta i nos.

Pogrążone w mroku wnętrze wypełniały ciemne kształty i zarysy przedmiotów. Z krokwi zwisały frędzle pajęczyn. Kurz utrudniał oddychanie. Podłogę zaścielały zasuszone owady; trzaskały pod butami przy każdym kroku.

– Fuj! – pisnęła Leni.

Mama odciągnęła zasłonki. Do środka wpadło słoneczne światło, mętne przez wirujące kłębki kurzu.

W środku chata okazała się większa niż oglądana z zewnątrz. Pozbijane gwoździami różne kawałki sklejki tworzyły na podłodze patchworkowy wzór. Na ścianach z okorowanych bali wisiały potrzaski, wędki, kosze, patelnie, wiaderka na wodę i sieci. W narożniku wydzielono coś w rodzaju kuchni. Leni dostrzegła tam starą kuchenkę turystyczną i zlew bez kranów wpuszczony w szafkę z zasłonką sięgającą podłogi zamiast drzwiczek. Na szafce obok stała stara, przykryta warstwą kurzu krótkofalówka, zapewne pamiętająca jeszcze drugą wojnę światową. Na środku pomieszczenia królowała opalana drewnem koza z rurą, która znikała pod sufitem, celując w niebo niczym zgięty metalowy palec. Sfatygowana kanapa, odwrócona do góry dnem skrzynka z napisem: BLAZO na boku, karciany stolik i cztery metalowe krzesła stanowiły całe umeblowanie. Wąska, stroma drabina zbita z okrąglaków prowadziła na stryszek ze świetlikiem, a w ciasnym przejściu na lewo od niej wisiała zasłona z koralików w psychodelicznych kolorach.

Leni przeszła między zakurzonymi koralikami do sypialni, niewiele większej od poplamionego, zapadniętego materaca na podłodze. Tu również wisiały na ścianach różne rupiecie, czuć było kurzem i trochę mniej odchodami. Wracając do „dziennego” pokoju, zakryła dłonią usta i nos ze strachu, że udusi się przez panujący tam smród. Cały czas pod butami chrzęściły zdechłe owady.

– A gdzie ubikacja?

Mama gwałtownie wypuściła powietrze, skręciła do drzwi, otworzyła je na oścież i wybiegła na dwór.

Leni podążyła za nią na uginający się pod stopami ganek i zbiegła po koślawych schodkach.

– Tam. – Mama wskazała drewnianą budkę wśród drzew. Półksiężyc wycięty w drzwiach nie pozostawiał wątpliwości co do jej przeznaczenia.

Wychodek.

Wychodek.

– Gówniane miejsce! – szepnęła.

– No, i to dosłownie – przytaknęła Leni. Przytuliła się do mamy. Wiedziała, co ona teraz czuje, musiała więc okazać się tą silniejszą. Tak właśnie sobie radziły, ona i mama. Na zmianę się wspierały. W ten sposób przetrwały lata wojny w Wietnamie.

– Dzięki, córciu. Tego właśnie potrzebowałam. – Objęła Leni i mocniej przytuliła. – Poradzimy sobie, prawda? Nie potrzebujemy telewizora. Ani bieżącej wody. Ani prądu – dokończyła cienkim, nabrzmiałym rozpaczą głosem.

– Poszukamy jasnych stron – oznajmiła Leni, starając się, aby to zabrzmiało pewnie. – I tym razem nam się poszczęści.

– Tak myślisz?

– Ja to wiem.

4

Rano zakasali rękawy i wzięli się do roboty. Leni z mamą sprzątały w chacie. Zamiatały, szorowały, prały. Zlew nie miał kranów, bo nie było bieżącej wody i musiały wiadrami nosić wodę z pobliskiego strumienia i gotować, żeby nadawała się do picia, przyrządzania jedzenia i do mycia. Prądu też nie było. Lampy na propan zwisały z krokwi i stały w kuchni na blatach ze sklejki. Odkryły pod chatą ziemiankę o wymiarach przynajmniej ośmiu stóp na dziesięć z rzędami zakurzonych, powypaczanych półek, obstawionych pustymi brudnymi słoikami i zapleśniałymi koszykami. Tam też posprzątały, a tata w tym czasie oczyścił podjazd i mogli już dowieźć resztę rzeczy przed dom.

Na drugi dzień (który zdawał się trwać wieki, bo słońce świeciło i świeciło) skończyli pracować dopiero o dziesiątej wieczorem.

Tata rozpalił ognisko na plaży – ich plaży. Usiedli na rozrzuconych wokół pniach, jedli kanapki z tuńczykiem, popijając je ciepławą coca-colą. Tata nazbierał omułków i wielkich małży zwanych masłowymi i pokazał im, jak otwierać muszle. Jednym siorbnięciem wyciągali z nich śliskie mięczaki.

Noc w ogóle nie zapadała. Niebo przybrało lawendową barwę, nigdzie ani śladu gwiazd. Leni popatrzyła na rodziców przez wijące się pomarańczowe płomienie i roztańczone, strzelające w górę pióropusze iskier. Okryci kocem siedzieli

przytuleni; mama z głową na ramieniu taty, on z dłonią pieszczotliwie na jej udzie. Zrobiła im zdjęcie.

Błysnęła lampa, polaroid brzęknął. Tata spojrzał na nią z uśmiechem.

– Wiesz, Rudzielcu, będziemy tu szczęśliwi.

– Tak… – odpowiedziała i po raz pierwszy naprawdę w to uwierzyła.

Leni obudził łomot – ktoś walił w drzwi chaty. Wygrzebała się ze śpiwora, zepchnęła go na bok, przy okazji rozsypując stos książek. Z dołu doszedł ją chrzęst koralików i tupot rodziców biegnących do drzwi. Ubrała się pospiesznie i zeszła po drabinie.

Zobaczyła na podwórku Dużą Marge i jakieś dwie kobiety; za nimi leżał na trawie oblepiony błotem, pordzewiały rower, a obok stał trójkołowy motocykl wyładowany rulonami metalowej siatki.

– Cześć, Allbrightowie! – Duża Marge pomachała na powitanie dłonią wielkości spodka. – Przywiozłam przyjaciółki! – Wskazała na swoje towarzyszki. Jedna drobna, z potarganymi siwymi włosami, wyglądała jak leśny duszek, druga była wysoka i chuda. Wszystkie przyjechały ubrane we flanelowe koszule i wyświechtane dżinsy wsunięte w brunatne kalosze sięgające kolan. Każda z kobiet trzymała coś w rękach: jedna piłę łańcuchową, druga przecinak, a trzecia siekierę.

– Przyjechałyśmy pomóc wam się urządzić – oznajmiła Marge. – Mamy tu parę rzeczy, które mogą się przydać.

– Masz nas za takich niezaradnych? – Leni widziała, że tata się nachmurzył.

– Ernt, my tu sobie wszyscy pomagamy – tłumaczyła Marge. – Możesz mi wierzyć, nieważne, ile naczytałeś się o Alasce, nigdy nie będziesz do końca przygotowany na swoją pierwszą zimę w tym miejscu.

Leśny Duszek wysunęła się do przodu. Była niska i chuda i miała spiczasty nosek, którym spokojnie mogłaby kroić chleb. Z kieszeni dżinsów wystawały jej robocze rękawice. Mimo mikrej postury sprawiała wrażenie pewnej siebie i kompetentnej.

– Jestem Natalie Watkins. Duża Marge powiedziała mi, że niewiele wiecie o życiu tutaj. Tak samo było ze mną dziesięć lat temu. Przyjechałam tu za moim chłopem. Typowa historia. Straciłam faceta, za to znalazłam nowe życie. Mam teraz własny kuter. Rozumiem marzenia, które was tu przywiały, ale to trochę za mało. Musicie szybko się uczyć. – Naciągnęła na dłonie żółte rękawice. – Nie udało mi się trafić na drugiego mężczyznę, który byłby godny uwagi. Wiecie, co się na Alasce mówi o znalezieniu faceta? Szanse są duże, ale dobrzy są zajęci, a reszta jest do niczego.

Tyczkowata kobieta miała płowy, sięgający niemal do pasa warkocz i jasnoniebieskie oczy w odcieniu wyblakłego nieba.

– Witamy w Kaneq. Nazywam się Geneva Walker. Gen. Genny. Generator. Znam się na wszystkim. – Uśmiechnęła się, pokazując dołeczki w policzkach. – Moja rodzina pochodzi z Fairbanks, a ja zakochałam się w ziemi mojego męża, no i tutaj zostaliśmy. Mieszkam na Alasce od dwudziestu lat.

– Na początek przyda się wam cieplarnia i jakieś schowanko – przeszła do rzeczy Marge. – Nasz Bo miał wielkie plany, kiedy kupił tę ziemię. Ale wyjechał na wojnę… A poza miał słomiany zapał.

– Schowanko? – podchwycił tata.

Duża Marge kiwnęła głową.

– No, składzik na palach. Trzyma się tam mięso, żeby niedźwiedzie się do niego nie dobrały. O tej porze roku misie chodzą głodne.

– No to do roboty, Ernt. – Natalie schyliła się po piłę. – Przywiozłam przenośną frezarkę. Ty ścinasz drzewa, ja szlifuję deski. Wszystko po kolei, zgoda?

Tato wrócił do chaty po kamizelkę i poszedł z Natalie do lasu. Po chwili Leni usłyszała zgrzytanie piły i głuchy odgłos uderzeń siekiery.

– Ja się zajmę cieplarnią – oznajmiła Geneva. – Coś mi się zdaje, że Bo gdzieś tu miał zwój rur PVC…

Duża Marge podeszła do Leni i mamy.

Wiatr się wzmógł i w mgnieniu oka pochłodniało. Mama skrzyżowała ramion na piersi. Na pewno marzła w podkoszulku z napisem: WDZIĘCZNY TATA i w dżinsach dzwonach. Komar usiadł jej na policzku. Trzepnęła go dłonią, rozgniatając na krwawą plamę.

– Mamy tu masę komarów – oznajmiła Duża Marge. – Następnym razem przywiozę repelent.

– Jak długo tu mieszkasz? – zainteresowała się mama.

– Dziesięć moich najlepszych lat – oświadczyła z dumą. – Życie w buszu to harówka, ale nic nie przebije smaku złowionego rano łososia, którego rzucasz na masło ubite z własnej śmietany. Tutaj nikt nie będzie ci dyktował, co i jak masz robić. Każdy żyje po swojemu. Jeżeli jesteś twarda, znajdziesz w tym miejscu raj na ziemi.

Leni patrzyła na tę dużą kobietę o surowym wyglądzie z czymś w rodzaju podziwu. Nigdy wcześniej nie widziała aż tak wysokiej i potężnie zbudowanej kobiety. Miała wrażenie, że Marge bez trudu mogłaby powalić spory cedr, zarzucić go sobie na ramię i pomaszerować z nim przed siebie.

– Potrzebny nam nowy start – powiedziała mama, zaskakując Leni tym wyznaniem nagiej prawdy, której mama wolała unikać.

– Był w Wietnamie?

– Trafił do niewoli. Jak się domyśliłaś?

– Jest coś w wyglądzie. No i… zapisał mu tę ziemię Bo. – Duża Marge zerknęła w stronę lasu, gdzie tata z Natalie ścinali drzewa. – Daje ci popalić?

– Niee – zaprzeczyła mama. – Naturalnie, że nie.

– Wspomnienia? Nocne koszmary?

– Nie ma, odkąd ruszyliśmy na północ.

– Jesteś optymistką – orzekła Marge. – To dobrze, na początek. Wiesz co, Coro, lepiej idź się przebrać. Te robale wariują na widok gołej białej skóry.

Mama kiwnęła głową i podreptała do chaty.

– A ty – Marge zwróciła się do Leni. – Jaka jest twoja historia, moja panno?

– Ja nie mam historii.

– Wszyscy mają. Może twoja właśnie zaczyna się tutaj.

– Może.

– Co umiesz?

Leni wzruszyła ramionami.

– Potrafię robić zdjęcia. – Wskazała aparat zawieszony na szyi. – Nie znam się na rzeczach, które mogą nam się przydać.

– No to się poznasz – skwitowała Marge. Przysunęła się bliżej i nachyliła nad Leni. – To magiczne miejsce, dzieciaku – powiedziała jej na ucho konspiracyjnym szeptem. – Musisz się tylko na nie otworzyć, a sama zobaczysz, o czym mówię. Ale jest także zdradzieckie i nie wolno o tym zapominać. Zdaje się, to Jack London napisał, że na Alasce można stracić życie na tysiąc sposobów. Bądź czujna.

– Na co mam uważać?

– Na zagrożenia.

– Jakie? Na pogodę? Niedźwiedzie? Wilki? Na co jeszcze?

Duża Marge ponownie spojrzała tam, gdzie tata z Natalie ścinali drzewa.

– Mogą pojawić się z każdej strony. Niektórzy ludzie przez tutejszą pogodę i izolację popadają w obłęd.

Leni nie zdążyła o nic więcej zapytać, bo wróciła mama, ubrana w robocze dżinsy i bluzę.

– Coro, możesz nam zaparzyć kawy? – rzuciła Marge.

Mama roześmiała się i żartobliwie szturchnęła Leni biodrem.

– Oj, Marge, chyba odkryłaś jedyną rzecz, która potrafię zrobić.

Duża Marge, Natalie i Geneva cały dzień pracowały ramię w ramię z Leni i jej rodzicami. Alaskanki uwijały się w ciszy, ograniczając komunikację do pomruków, kiwania głową i wskazywania palcem. Natalie umocowała piłę łańcuchową w czymś w rodzaju metalowej obudowy i sama cięła na deski długie pnie powalone przez tatę. Ścięte drzewa wyglądały w przekroju jak słońca.

Geneva nauczyła Leni piłować drewno, wbijać gwoździe i budować podwyższone grządki. Razem z rur PVC i desek złożyły szkielet przyszłej cieplarni i razem przydźwigały ogromną, ciężką belę plastikowej folii, na którą natrafiły w rozlatującym się kurniku.

– A niech to! – jęknęła zasapana Leni, gdy rzuciły ją na ziemię. Pot ściekał jej z czoła, strąki wilgotnych włosów, normalnie skręconych w pierścionki, kleiły się do czerwonych policzków. A jednocześnie widok zarysu przyszłego ogrodu

napawał ją dumą i dawał poczucie sensu. Już nie mogła się doczekać, kiedy posadzi rośliny, które później będą jedli.

W trakcie pracy Geneva tłumaczyła jej, jakie warzywa powinni hodować, jak należy je zbierać i jak bardzo im się przydadzą, kiedy nadejdzie zima.

– Zróbmy przerwę, dzieciaku – powiedziała wreszcie, podnosząc się z kucek. – Muszę do wychodka.

Leni na miękkich nogach wyszła z zarysu przyszłej cieplarni i natrafiła na mamę z papierosem w jednej ręce i kubkiem kawy w drugiej.

– Czuję się, jakbyśmy wpadli do króliczej nory – mruknęła. Obok niej na wyciągniętym z chaty chwiejnym stoliku do kart leżały resztki lunchu: kromki chleba podsmażone na patelni z plastrami mortadeli.

W powietrzu pachnącym dymem z ogniska, papierosami oraz świeżym drewnem niósł się odgłos pracującej piły, stuk desek rzucanych na stertę i uderzenia młotka.

Podeszła do nich Duża Marge. Wyglądała na zmęczoną, była spocona, a jednak się uśmiechała.

– Załapię się na kawę?

Mama podała jej kubek.

Stały we trójkę, wodząc spojrzeniem po kawałku ziemi, który zmieniał się na ich oczach.

– Twój Ernt nieźle sobie radzi – zwróciła się do mamy. – Sporo umie. Mówi, że jego ojciec był farmerem.

– Uhm. W Montanie.

– Dobrze wiedzieć. Jak tylko naprawicie zagrodę, mogę wam odstąpić parkę kóz. Po uczciwej cenie. Będziecie mieli własne mleko i sery. Cholernie dużo możesz się nauczyć z pisma „Mother Earth News”. Podrzucę ci całą stertę.

– Dzięki.

– Geneva chwali twoją córkę, mówi, że fajnie się z nią pracuje. To dobrze. – Klepnęła Leni tak serdecznie, że ta omal nie poleciała na twarz. – Coro, przejrzałam wasze zapasy. Mam nadzieję, że się nie gniewasz. I powiem ci, że niewiele tego jest. Jak u was z forsą?

– Kiepsko.

Marge pokiwała głową. Zamyśliła się.

– Umiesz strzelać?

Mama parsknęła śmiechem, ale Marge to nie rozbawiło.

– Coro, pytam poważnie. Potrafisz strzelać?

– Z broni?

– No, a z czego? Z broni.

Śmiech zamarł mamie na ustach. – Nie. – Zdusiła papierosa o kamień.

– Cóż, nie jesteście pierwszymi cheechako, którzy przybyli tutaj z głową nabitą marzeniami, a za to z bladym pojęciem.

– Cheechako? – podchwyciła Leni.

– Nowicjuszami. Na Alasce nie liczy się, kim byliście, zanim się tu pojawiliście. Ważne, kim się stajecie. To życie w głuszy, dziewczyny. Nie żadna bajka czy romantyczne dyrdymały, tylko twarda rzeczywistość. Do zimy niedaleko i możecie mi wierzyć, takich zim nie znacie. Zostaniecie odcięci od świata, i to bardzo szybko. Musicie wiedzieć, jak przetrwać. Musicie nauczyć się strzelać, bo to daje żywność i gwarantuje bezpieczeństwo. Tutaj nie wy jesteście na szczycie łańcucha pokarmowego.

Podeszli do nich Natalie i tata. Natalie niosła piłę łańcuchową, ocierając spocone czoło zwiniętą chustką. Była drobna, niewiele wyższa od Leni; aż dziw, że miała siłę dźwigać takie żelastwo.

Przystanęła obok mamy i oparła zaokrąglony koniec piły o nosek gumiaka.

– Będę się zbierać, muszę nakarmić moje zwierzęta. Zrobiłam dla Ernta szkic składziku.

Energicznym krokiem dobiła do nich Geneva. Włosy, twarz i przód koszuli miała oprószone ziemią.

– Leni bardzo dobrze pracuje. Udała wam się córka.

Tata otoczył mamę ramieniem.

– Nie wiem, jak wam dziękować, drogie panie.

– Tak, wasza pomoc wiele dla nas znaczy – poparła go mama.

– Cała przyjemność po naszej stronie. – Uśmiechnięta Natalie przypominała elfa. – I pamiętaj, żeby na noc dobrze zamykać drzwi. I nie wychodźcie na dwór do rana. Jeżeli potrzebny wam nocnik, dostaniecie go w sklepiku Dużej Marge.

Leni widziała, jak mamie zrzedła mina. Miała siusiać do wiadra?

– O tej porze roku niedźwiedzie są groźne. Szczególnie te czarne. Czasami atakują bez powodu – wtrąciła Marge. – Poza tym w okolicy kręcą się wilki, łosie i Bóg jeden wie, co jeszcze. Nie wychodźcie z domu bez broni, nawet do wychodka. – Wzięła piłę od Natalie i zarzuciła sobie na ramię, jakby była kawałkiem balsy. – Tutaj nie ma policji, a najbliższy telefon jest w miasteczku, a więc, Ernt, naucz swoje kobiety strzelać i zajmij się tym jak najprędzej. Spiszę dla was listę potrzebnych rzeczy, absolutne minimum, w jakie musicie się zaopatrzyć do września. I na pewno jeszcze tej jesieni musicie ustrzelić łosia. Najlepiej polować na nie w sezonie, ale… Wiecie, najważniejsze, by mieć zamrażarkę pełną mięsa.

– Nie mamy zamrażarki – zauważyła rezolutnie Leni.

Obie kobiety, nie wiedzieć czemu, parsknęły śmiechem.

Tata z powagą pokiwał głową.

– Tak jest, kapuję!

– Dobra. W takim razie do zobaczenia – odpowiedziały chórem. Pomachały na pożegnanie, podeszły do swoich

pojazdów, wsiadły i odjechały traktem do drogi. Po chwili nie było po nich śladu.

Ciszę wypełnił szum zimnego wiatru w wierzchołkach drzew. Nad ich głowami przeleciał orzeł z rybą wielkości deskorolki miotającą się w szponach. Leni zauważyła psią obrożę zaczepioną o krzak. Pewnie orzeł porwał małego psa. Czy może unieść chudą jak patyk dziewczynkę?

Bądź ostrożna. Naucz się strzelać.

Mieszkali na skrawku ziemi niedostępnym z wody podczas odpływu, na półwyspie, gdzie żyła garstka ludzi i setki dzikich zwierząt, w miejscu z bezwzględnym klimatem, który potrafił zabić. Tu nie było posterunku policji, centrali telefonicznej, nikogo, kto usłyszałby wołanie o pomoc.

Teraz dopiero naprawdę zrozumiała, co tata miał na myśli, mówiąc „głusza”.

Trzy dni później Leni obudził zapach smażącego się bekonu. Usiadła i poczuła ból promieniujący do ramion i nóg.

Cała była obolała. Skóra swędziała od ugryzień komarów. Po trzech dniach (ciągnących się bez końca, bo zmierzch nie zapadał niemal do północy) wypełnionych ciężką fizyczną pracą odkryła mięśnie, z których istnienia dotąd nie zdawała sobie sprawy.

Wygramoliła się ze śpiwora i naciągnęła dżinsy biodrówki (spała w bluzie dresowej i w skarpetkach). Czuła paskudny niesmak w ustach. Zapomniała wieczorem umyć zęby. Już nauczyła się oszczędzać wodę, którą nosiło się do domu w wiadrach.

Zeszła na dół po drabinie.

Mama stała przy kuchence turystycznej i sypała płatki owsiane do garnka z wrzątkiem. Bekon skwierczał i podrygiwał na żelaznej patelni, znalezionej na jednym z haków.

Doszedł ją stłumiony odgłos uderzeń młotka. Ten monotonny rytm stał się ścieżką dźwiękową ich codzienności. Tata pracował cały długi dzień, od świtu po zmrok.

Zdążył już połatać kurnik i naprawić zagrodę dla kóz.

– Muszę do wygódki – oznajmiła.

– Powodzenia – odparła mama.

Wsunęła stopy w buty na traktorowej podeszwie i wyszła na dwór. Dzień był krystalicznie czysty. Pod błękitnym niebem kolory zdawały się jarzyć i wyglądały wręcz nierealnie: zielona trawa na łące, fioletowe polne kwiaty, szary zygzak schodów schodzących nad niebieskie morze, migotliwe fale obmywające kamienisty brzeg. A w tle, w oddali, dostojny fiord wiekami rzeźbiony przez lodowce. Kusiło ją, żeby wrócić po polaroid i zrobić jeszcze jedno zdjęcie obejścia, ale wiedziała, że musi oszczędzać film. Nie wiadomo, kiedy uda jej się kupić następny.

Wychodek stał blisko skarpy w kępie rachitycznych świerków. Roztaczał się stamtąd widok na kamienistą linię brzegu. Na klapie deski klozetowej ktoś namalował napis: NIGDY NIE PRZYRZEKAŁEM CI OGRODU RÓŻ i ozdobił go kwiatową kalkomanią.

Podniosła ją przez rękaw bluzy i siadając, odwróciła oczy od dziury pod sobą.

Kiedy wyszła z budki, bielik zakreślił wielkie koło nad jej głową, wzbił się pod niebo i zniknął. Na jednym z drzew tuż pod czubkiem dostrzegła rybie truchło; wisiało, połyskując w słońcu jak bożonarodzeniowa ozdoba. Orzeł musiał je tam porzucić, kiedy wyskubał już całe mięso. Po prawej stronie stał prawie gotowy składzik – kwadratowa platforma o wymiarach trzy na trzy stopy, dwadzieścia stóp nad ziemią, wsparta na

czterech okorowanych palach. Poniżej sześć pustych podwyższonych grządek, zabezpieczonych ażurową konstrukcją podobną do stelaża pod krynolinę, czekało na naciągnięcie folii.

– Leni! – Tata dogonił ją, stawiając długie, sprężyste kroki. Ubranie miał poplamione smarem, brud wżarty w dłonie. Do twarzy i rozczochranych włosów przylgnęły mu różowawe trociny. Pomachał do niej uśmiechnięty.

Stanęła jak wryta na widok jego rozradowanej miny. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz był taki szczęśliwy.

– Boże, jak tu pięknie! – powiedział.

Wytarł ręce w czerwoną bandanę, wepchnął ją do kieszeni dżinsów, objął Leni i razem wrócili do chaty.

Mama akurat zdążyła zrobić śniadanie.

Stolik do kart kiwał się jak diabli, więc na stojąco jedli owsiankę z aluminiowych misek. Tata ładował łyżkę za łyżką do ust, jednocześnie żując bekon. Ostatnio jedzenie wydawało mu się stratą cennego czasu. Tyle roboty czekało na zewnątrz.

Od razu po śniadaniu mama z Leni zabrały się do porządków w chacie. Zdążyły już usunąć kilka warstw brudu i kurzu, powymiatały zasuszone owady. Wyniosły na dwór wszystkie dywaniki, wywiesiły na poręczy ganku i trzepały je miotłą tak długo, że oblepione kurzem rózgi zrównały się kolorem z dywanikami. Mama zdjęła zasłonki i wyniosła je na dwór w starej beczce po oleju, a Leni naznosiła wody z rzeki. Wlały ją do antycznej pralki, nasypały proszku i Leni przez godzinę, pocąc się na słońcu, mieszała pranie w mydlinach. Na koniec przerzuciła ciężką, mokrą stertę do beczki z czystą wodą i starannie wypłukała.

Teraz przepuszczała ociekające zasłony przez staroświecką wyżymaczkę. To była mozolna, ciężka praca.

Słyszała, jak mama, podśpiewując, pierze w mydlinach kolejną porcję brudów.

Doszedł ją warkot silnika. Wyprostowała się, rozcierając obolały krzyż. Po chwili przy chrzęście kamieni i mlaskaniu błota stary volkswagen wyłonił się spomiędzy drzew i zahamował na podwórku. Droga nareszcie była przejezdna.

Tata dał po klaksonie. Ptaki poderwały się z drzew z gniewnym jazgotem.

Mama przestała mieszać pranie i podniosła głowę. Chustka na jej jasnych włosach zdążyła nasiąknąć potem. Ślady po ugryzieniach komarów tworzyły wzorki na bladych policzkach.

– Dałeś radę! – zawołała, osłaniając dłonią oczy przed słońcem.

Tata wyskoczył z busa i przywołał je gestem ręki.

– Dziewczyny, koniec pracy! Wybierzmy się na przejażdżkę.

Leni aż zapiszczała z radości. Miała dosyć tej mordęgi. Zgarnęła wyżęte zasłonki i przerzuciła je przez obwisłą linkę, którą mama rozpięła między drzewami.

Roześmiane wsiadły do busa. Już wcześniej zdążyli go opróżnić (kilka marszów tam i z powrotem z ciężkimi tobołami) i teraz na siedzeniach leżało jedynie parę czasopism i puszki po coca-coli.

Tata zmagał się przez chwilę z luźną dźwignią, nim wskoczył pierwszy bieg. Silnik zakaszlał jak stary człowiek, zadygotał, blachy zadzwoniły, opony zabuksowały w koleinach i bus powoli wszedł w zakręt na trawiastym podwórku.

Leni nareszcie miała okazję zobaczyć drogę oczyszczoną przez tatę.

– Ona zawsze tu była! – wyjaśnił, przekrzykując postękiwanie silnika. – Musiałem tylko wykarczować zarastające ją wierzby.

Jazda po drodze niewiele szerszej od busa nie była łatwa. Gałęzie łomotały o szyby, drapały po karoserii. Oderwał się ich

transparent, odleciał i zawisł na drzewie. Stary bus wpadał w dziury i podskakiwał na kamieniach, których było tu więcej niż piachu. W mrocznym tunelu między drzewami opony ślizgały się na korzeniach i kawałkach granitu wystających spod ziemi.

Wreszcie wyjechali na słońce i prawdziwy bity trakt.

Minęli żelazną bramę Walkera, a potem działkę oznaczoną tablicą BIRDSALL. Leni z nosem przyklejonym do szyby z radością patrzyła na mijane moczary i pas startowy, bo to oznaczało, że zbliżają się do obrzeży Kaneq.

Miasto! Zaledwie kilka dni temu wydawało jej się zapadłą dziurą, tymczasem wystarczył krótki pobyt w alaskańskiej dziczy, by zmieniła zdanie. W Kaneq mieli sklep! Dostanie klisze do polaroidu, a może i czekoladowy batonik.

– Trzymajcie się! – ostrzegł je tata, skręcając w lewo między drzewa.

– Dokąd jedziemy? – zdziwiła się mama.

– Podziękować rodzinie Bo Harlana. Mam dla jego ojca pół galonu whiskey.

Leni wyglądała przez brudną szybę. Kurz przesłaniał widok. Jechali drogą przez pustkowie, gdzie nie było nic poza drzewami i wybojami. Od czasu do czasu z wysokiej trawy na poboczu wystawał pordzewiały rzęch.

Ani domów, ani skrzynek pocztowych, tylko tu i ówdzie piaszczysta przesieka ginąca w lesie. Jeżeli mieszkali tu jacyś ludzie, wyraźnie nie życzyli sobie gości.

Drogę wyznaczały dwie koleiny wyżłobione oponami traktora w kamienistym, nierównym gruncie. W miarę jak pokonywali wzniesienie, las coraz bardziej gęstniał, blokując dostęp słońcu. Na pierwszą tablicę natrafili po trzech milach. TEREN PRYWATNY. ZAWRÓĆ. NIE ŻARTUJEMY. WŁASNOŚĆ CHRONIONA PRZEZ PSY I STRZELBY. HIPPISI DO DOMU.

Na szczycie wzgórza, gdzie kończyła się droga, stała kolejna tablica z ostrzeżeniem INTRUZI ZOSTANĄ ZASTRZELENI, DO TYCH, CO PRZEŻYJĄ, STRZELIMY JESZCZE RAZ.

– Jezu – szepnęła mama. – To na pewno tu?

Wyrósł przed nimi mężczyzna ze strzelbą. Stanął na szeroko rozstawionych nogach. Spod wyświechtanej bejsbolówki sterczały brązowe poskręcane kosmyki.

– Kim jesteście? Czego chcecie?

– Chyba lepiej zawróćmy – powiedziała szeptem mama.

Tata wychylił głowę przez okno.

– Przyjechaliśmy zobaczyć się z Earlem Harlanem. Przyjaźniłem się z Bo.

Mężczyzna zmarszczył czoło, potem kiwnął głową i zszedł z drogi.

– Nie wiem, Ernt – mruknęła mama. – To mi się nie podoba.

Tata wrzucił bieg. Stary bus stęknął i potoczył się, podskakując na kamieniach i wybojach.

Wjechali na błotnistą połać z kępami pożółkłej trawy. Jej granicę wytyczały domy, a właściwie budy, sklecone z tego, co akurat było pod ręką: arkuszy sklejki, pomarszczonej plastikowej folii, okorowanych kłód. Szkolny autobus z firankami w oknach stał na felgach na wpół zatopionych w błocie. Kilka chudych psów ujadało wściekle, szarpiąc się na łańcuchach. Z metalowych beczek unosiły się kłęby dymu śmierdzącego paloną gumą. Niechlujnie ubrani mieszkańcy wylegli z chat i bud: mężczyźni z kucykami lub włosami ostrzyżonymi przy skórze i kobiety w kowbojskich kapeluszach. Wszyscy mieli strzelby albo noże w pochewkach przytroczonych do pasa.

Z centralnie stojącej chaty ze skośnym dachem, zbudowanej z bali, wynurzył się siwowłosy mężczyzna z zabytkowym pistoletem. Był chudy jak szczapa i miał długą białą brodę.

Stanął na błotnistym podwórku i z głośnym mlaskaniem obracał wykałaczkę sterczącą w wąskich ustach. Na jego widok psy zaczęły jeszcze głośniej ujadać i warczeć. Niektóre się płaszczyły, inne wskoczyły na budy. Starzec wycelował lufę pistoletu w bus.

Tata sięgnął do klamki.

– Nie wysiadaj. – Mama przytrzymała go za ramię.

Wyzwolił się z jej uścisku, złapał za butelkę whiskey, nacisnął klamkę i zeskoczył na błoto. Drzwi busa pozostawił otwarte.

– Ktoś ty?! – zawołał siwowłosy z wykałaczką podrygującą między zębami.

– Ernt Allbright, sir.

Starzec opuścił pistolet.

– Ernt? To ty? Jestem Earl, ojciec Bo.

– To ja, sir.

– A niech to! A kogoś tu przywiózł?

Tata odwrócił się i machnięciem ręki dał znak Leni i mamie, żeby wysiadły.

– No, chyba dobry pomysł – mruknęła mama, otwierając szerzej drzwi.

Leni wyszła za nią. Słyszała, jak błotna maź cmoka pod butami.

Ludzie wokół nich stali nieruchomo, bacznie obserwując tę scenę.

Tata przyciągnął je do siebie.

– To moja żona, Cora, a to jest Leni, nasza córka. Dziewczyny, ten pan to Earl, tata Bo – zwrócił się do nich.

– Ludzie mówią na mnie Szalony Earl. – Uściskał im dłonie, odebrał od taty butelkę i poprowadził ich do domu. – Wchodźcie, wchodźcie!

Leni, tocząc wewnętrzną walkę, wsunęła się do ciasnego ciemnawego wnętrza. W nozdrza uderzył ją zapach potu

i pleśni. Pod ścianami stały zapasy prowiantu: duże pojemniki z wodą pitną, skrzynki piwa, kartony puszek z żywicą, a także sterty śpiworów. Jedną ścianę zajmowała wyłącznie broń: strzelby, noże i skrzynki z amunicją. Wyżej na hakach wisiały archaiczne łuki i maczugi.

Szalony Earl opadł ciężko na stołek zbity z deszczułek po skrzynce Blazo. Otworzył butelkę, przytknął do ust i z lubością wypił duszkiem sporą porcję whiskey. Podał butelkę tacie, który też długo nie odrywał jej od ust, zanim oddał ją z powrotem Earlowi.

Mama pochyliła się nad kartonem pełnym starych masek przeciwgazowych i wyjęła jedną z nich.

– Zbierasz pamiątki wojenne? – spytała nieśmiało.

Szalony Earl pociągnął niewiarygodnie długi łyk z butelki.

– Nie. Te rzeczy nie są do oglądania. Świat oszalał. Człowiek musi się sam przed tym wariactwem bronić. Przyjechałem tu w sześćdziesiątym drugim. W czterdziestu ośmiu kontynentalnych stanach już wtedy był bajzel. Wszędzie komuniści. Kryzys kubański przeraził ludziska nie na żarty. Budowali schrony na podwórkach. Przywiozłem tutaj moją rodzinę. Nie mieliśmy nic poza strzelbą i workiem brązowego ryżu. Groziła nuklearna zima, wykombinowałem, że jak zamieszkamy w buszu, to ją przetrwamy. – Wychylił kolejny łyk, pochylił się na stołku. – Teraz tam wcale nie jest lepiej. Robi się coraz gorzej. Co oni zrobili z gospodarką… Z naszymi biednymi chłopcami, wysyłając ich na wojnę. To już nie jest moja Ameryka.

– Od lat mówię to samo – poparł go tata.

Leni nigdy dotąd nie widziała u niego takiego wyrazu twarzy. Dostrzegła coś na kształt podziwu. Jakby po długim czekaniu wreszcie ktoś potwierdził to, co sam myślał.

– Amerykanie – ciągnął Earl – stoją w kolejkach po benzynę, a OPEC i banki śmieją im się w nos. Myślisz, że Sowieci zapomnieli nam Kubę? Zastanów się. Mamy czarnuchów, którzy nazywają siebie Czarnymi Panterami i wygrażają nam pięścią, no i nielegalnych emigrantów kradnących nam pracę. A co robią ludzie? Protestują. Siadają na ulicach. Wrzucają bomby do pustych urzędów pocztowych. Maszerują z transparentami. To nie dla mnie. Ja mam plan.

Tata nachylił się ku niemu.

– Jaki? – spytał z błyszczącymi oczami.

– My tu się przygotowaliśmy. Mamy strzelby, maski gazowe, strzały, amunicję. Jesteśmy gotowi.

– Chyba naprawdę nie wierzysz… – zaczęła mama.

– Jak najbardziej wierzę – wszedł jej w słowo Earl. – Biały człowiek jest wypychany, a wojna wisi na włosku. – Popatrzył na tatę. – Wiesz, o czym mówię, zgadza się, Allbright?

– Oczywiście, że wiem. Wszyscy wiemy. Ilu ludzi masz w grupie?

Szalony Earl pociągnął długi łyk i otarł spierzchnięte wargi. Zmrużył załzawione oczy i powiódł spojrzeniem po mamie i Leni.

– Ha, to tylko nasza rodzina, ale traktujemy sprawy poważnie. I nie gadamy o tym z obcymi. Jeszcze tego brakuje, żeby wiedzieli, gdzie jesteśmy, kiedy dojdzie do GWWW.

– GWWW?

– Gówno wpadnie w wentylator.

Rozległo się pukanie do drzwi. Na okrzyk Earla „Wejść!” stanęła w nich drobna, szczupła kobieta w dresowych spodniach i T-shircie z żółtą uśmiechniętą buźką. Mimo że dobiegała czterdziestki, miała włosy zebrane w kitki. Obok niej stał potężnie zbudowany mężczyzna z długim brązowym kucykiem i grzywą opadającą na oczy. Kobieta trzymała na

rękach piramidę plastikowych pojemników spożywczych, na jej biodrze zwisał pistolet w kaburze.

– Nie dajcie się tacie śmiertelnie nastraszyć. – Uśmiechnęła się pogodnie. Weszła głębiej, a wraz z nią do środka wsunęło się dziecko, bosa umorusana dziewczynka, na oko czteroletnia. – Jestem Thelma Schill, córka Earla. Bo był moim bratem. To jest Ted, mój mąż. A to Marybet. Wołamy na nią Moppet. – Położyła rękę na główce córki.

– Mam na imię Cora – przedstawiła się mama. – A to jest Leni.

Leni uśmiechnęła się niepewnie. Mąż Thelmy przyglądał się jej spod przymrużonych powiek.

Uśmiech Thelmy był ciepły i szczery.

– Leni, przyjdziesz do szkoły w poniedziałek?

– Macie tutaj szkołę?

– Jasne. Nie jest duża, ale myślę, że znajdziesz przyjaciół. Dzieciaki przyjeżdżają do nas aż z Bear Cove. Pewnie jeszcze przez tydzień będą odbywać się lekcje. Szkoła wcześnie się u nas kończy, żeby dzieci mogły pracować.

– Gdzie jest ta szkoła? – zainteresowała się mama.

– Na Alpine Street, zaraz za pubem, u podnóża Church Hill. Trudno ją przeoczyć. Dziewiąta rano w poniedziałek.

– Będziemy – zapewniła ją mama, posyłając uśmiech Leni.

– Świetnie. Cieszymy się, że przyjechaliście – odwróciła się do nich z uśmiechem. – Bo często do nas pisał z Wietnamu. Mówił, że przyjaźń z tobą wiele dla niego znaczyła. Wszyscy chcą was poznać. – Przeszła przez chatę, wzięła Ernta pod ramię i wyprowadziła go na dwór.

Leni z mamą podążyły za nimi. Słyszały, jak Szalony Earl, szurając nogami, mamrocze coś pod nosem, niezadowolony, że Thelma ukradła mu słuchaczy.

Na dworze natknęli się na grupkę mężczyzn, kobiet, dzieci i podrostków. Czekali cierpliwie. Nikt z nich nie przyszedł

z pustymi rękami.

– Jestem Clyde – odezwał się mężczyzna z brodą Świętego Mikołaja i krzaczastymi brwiami. – Młodszy brat Bo. – Trzymał przed sobą piłę łańcuchową z ostrzem w jaskrawopomarańczowej osłonie. – Dopiero co naostrzona. – Z gromadki wystąpiła kobieta z dwoma chłopakami około dwudziestki, a za nimi wysunęły się dwie umorusane dziewczynki wyglądające na siedem, osiem lat. – A to jest Donna, moja żona, bliźniacy Darryl i Dave oraz nasze córki Agnes i Marthe.

Ta mała grupka witających potraktowała ich ciepło i przyjaźnie. Każdy chciał im coś podarować. Dostali piłkę do metalu, zwój liny, arkusze grubej plastikowej folii, rolki taśmy izolacyjnej, eskimoski nóż ulu z błyszczącą półokrągłą klingą.

Niestety nie było nikogo w wieku Leni. Jedyny nastolatek, szesnastoletni Axle, ledwo na nią spojrzał. Trzymał się na uboczu i rzucał nożami w pień drzewa. Miał brudne, długie czarne włosy i oczy w kształcie migdałów.

– Dziewczyny, musicie jak najszybciej założyć ogród – poradziła Thelma, gdy mężczyźni zgromadzili się wokół jednej z kopcących beczek i puścili w obieg butelkę whiskey. – Tutaj pogoda jest nieprzewidywalna. W niektórych latach czerwiec jest wiosną, lipiec latem, sierpień jesienią, a cała reszta zimą.

Zaprowadziła mamę i Leni do sporego ogrodu. Ogrodzenie z rybackich sieci przymocowanych do metalowych palików chroniło go przed zwierzętami.

Warzywa, zielone kępki na tle czarnej ziemi, wyglądały dość anemicznie. Wzdłuż ogrodzenia suszyły się warstwy czegoś obrzydliwego, zdaje się wodorostów, przemieszane z cuchnącymi resztkami ryb i fusami po kawie.

– Znasz się na pracy w ogrodzie? – spytała Thelma.

– Umiem rozpoznać dojrzały melon – odparła mama.

– Chętnie cię nauczę. Tutaj okres wegetacji jest krótki, trzeba się spieszyć. – Podniosła z ziemi pogięte metalowe wiadro. – Zostało mi trochę ziemniaków i cebuli. Jeszcze można je posadzić. Weźmiesz ode mnie siewki marchwi. I dam ci parę kurczaków.

– Naprawdę, nie powinnam…

– Uwierz mi, Coro, nawet sobie nie wyobrażasz, jak długo może trzymać zima i jak szybko potrafi nadejść. Faceci mają co innego do roboty; większość z nich wyjeżdża do pracy przy tym nowym rurociągu. My, matki, musimy zostać w domu i dbać, żeby nasze dzieci trzymały się zdrowo i niczego im nie brakowało. Czasami bywa ciężko, dlatego się wspieramy. Pomagamy sobie wzajemnie. Wymieniamy się tym, co mamy. Jutro ci pokażę, jak konserwować łososia. Musisz zacząć zapełniać ziemiankę zapasami na zimę.

– Przerażasz mnie – wyznała mama.

Thelma dotknęła jej ramienia.

– Pamiętam tamten czas po naszym przyjeździe z Kansas City. Moja mama bez przerwy płakała. Umarła w drugą zimę. Nadal prześladuje mnie przeświadczenie, że ona chciała umrzeć. Nie znosiła ciemności i zimna. Coro, tutaj kobieta musi być jak z żelaza. Nie ma się na kogo oglądać. Sama musi chronić i siebie, i dzieci. Musisz być silna i szybko się uczyć. Na Alasce można popełnić jeden błąd. Drugi kosztuje życie.

– Chyba nie jesteśmy na to gotowi. Może, przyjeżdżając tutaj, już popełniliśmy błąd.

– Pomogę ci – obiecała Thelma. – Wszyscy pomożemy.

5

Niekończący się dzień rozregulował biologiczny zegar Leni; czuła się dziwnie zagubiona we wszechświecie, skoro bieg czasu – jedyne, czego można być pewnym – na Alasce też wyglądał jakby inaczej. Chodziła spać za dnia i za dnia się budziła.

Był poniedziałkowy poranek.

Stała przy oknie i na próżno usiłowała zobaczyć swoje odbicie w świeżo umytej szybie, bo padające na nią światło było zbyt jaskrawe.

Widziała jedynie cień, ale nie miała złudzeń. Wyglądała kiepsko, nawet jak na Alaskę.

Przede wszystkim włosy. Długie, nie do ogarnięcia i na dodatek rude. Do tego ta jasna cera, typowa przy tym kolorze włosów, i nos obsypany piegami jak płatkami chili. Jej najmocniejszą stroną były zielononiebieskie oczy, lecz niestety, nie pomagały im rzęsy w kolorze cynamonu.

Mama stanęła za nią i położyła jej dłonie na ramionach.

– Jesteś śliczna i znajdziesz przyjaciół w nowej szkole.

Bardzo chciała, żeby te jakże dobrze znane słowa podniosły ją na duchu, jednak już tyle razy się nie sprawdziły. Była nowa w wielu szkołach i w żadnej nie znalazła koleżanek. Zazwyczaj już w pierwszy dzień spotykała się z niechęcią, nieakceptowana z powodu włosów albo ubrania czy butów. W gimnazjum liczy się pierwsze wrażenie. Boleśnie się o tym przekonała. Trzynastolatki nie wybaczają modowych wpadek.

– Prawdopodobnie będę jedyną dziewczynką w całej szkole – stwierdziła z dramatycznym westchnieniem. Nie chciała niepotrzebnie się łudzić; utrata nadziei jest gorsza od jej braku.

– Z pewnością będziesz najładniejszą – pocieszyła ją mama, zatykając jej pasmo włosów za ucho z czułością, która przypomniała Leni, że cokolwiek się stanie, nie będzie sama. Miała mamę.

Wnętrze chaty owionął podmuch zimnego powietrza. Tata wszedł do środka, niosąc dwie martwe kaczki krzyżówki. Złamane szyje zwisały bezwładnie, dzioby uderzały o jego udo. Ustawił strzelbę w stojaku przy drzwiach i położył zdobycz na drewnianym blacie przy zlewie.

– Ted zabrał mnie przed świtem do swojej czatowni. Dzisiaj kaczka na kolację. – Przywarł do mamy i pocałował ją w szyję.

Mama opędzała się od niego ze śmiechem.

– Chcesz kawy?

– Masz ponurą minę jak na dziewczynkę, która wybiera się do szkoły – zwrócił się do Leni, kiedy przeszła do kuchni.

– Nic mi nie jest.

– Chyba wiem, o co chodzi.

– Wątpię – powiedziała z rezygnacją.

– Niech pomyślę. – Zrobił przesadnie skupioną minę. Odwrócił się i zniknął w sypialni. Po chwili wrócił z czarnym workiem na śmieci. Położył go na stole. – Może to ci pomoże.

Jasne. Jeszcze tylko potrzeba jej śmieci.

– Otwórz! – polecił.

Niechętnie rozerwała worek.

Znalazła w środku spodnie dzwony w czarno-rude paski i mechaty rybacki sweter w kolorze kości słoniowej. Wyglądał, jakby wcześniej pasował na mężczyznę i skurczył się w praniu.

O Boże.

Może niewiele wiedziała o modzie, ale bez dwóch zdań spodnie były chłopięce, a sweter… hmm, za jej życia takich się nie nosiło.

Pochwyciła spojrzenie mamy. Obie wiedziały, że chciał, że się postarał i niestety, nie najlepiej mu to wyszło.

– Leni? – spytał wyraźnie zawiedziony.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Super, tato. Dzięki.

Westchnął z ulgą i uśmiechnął się.

– Uff. Sporo czasu straciłem na szperaniu w tych skrzyniach.

Armia Zbawienia. A więc wcześniej to zaplanował, pomyślał o niej tamtego dnia, gdy przyjechali do Homer. Te okropne ciuchy wydały jej się niemal piękne.

– Nałóż te rzeczy – zachęcił ją.

Z kolejnym wymuszonym uśmiechem przeszła do sypialni rodziców i się przebrała.

Irlandzki sweter był za ciasny, a wełna tak sfilcowana, że ledwo mogła zginać ręce.

– Świetnie wyglądasz – pochwaliła mama.

Leni wysiliła się na uśmiech.

– Thelma pomyślała, że ci się spodoba. – Mama podała jej pudełko lunchowe z Kubusiem Puchatkiem.

Gwóźdź do trumny; jej szanse na akceptację w szkole zostały dokładnie pogrzebane i nic nie mogła na to poradzić.

– W takim razie – zwróciła się do taty – lepiej się zbierajmy. Nie chcę się spóźnić.

Mama mocno ją uścisnęła.

– Powodzenia! – szepnęła.

Leni wdrapała się na siedzenie obok kierowcy. Jechali wyboistym duktem, skręcili na drogę do miasta, minęli pole szumnie nazywane lądowiskiem.

– Zatrzymaj się! – krzyknęła przy wjeździe na most.

Tata z całej siły wcisnął hamulec.

– Co jest?

– Mogę dalej pójść pieszo?

Rzucił jej zawiedzione spojrzenie.

– Poważnie?

Była za bardzo zdenerwowana, żeby przejmować się jego zranionym ego. We wszystkich gimnazjach, do których wcześniej chodziła, obowiązywała żelazna zasada: rodzicom wstęp wzbroniony. Ich obecność to kosmiczna żenada.

– Skończyłam trzynaście lat, a to jest Alaska, gdzie podobno mamy być twardzi – przypomniała mu. – No, proszę cię.

– Dobra. Niech ci będzie.

Wysiadła i ruszyła sama przez miasto. Minęła mężczyznę siedzącego na ziemi ze skrzyżowanymi nogami z gęsią na kolanach. „Nie ma mowy, Matildo", usłyszała, jak mówi do ptaka, gdy szybkim krokiem przechodziła obok brudnego namiotu firmy wynajmującej łodzie rybackie.

Szkoła stała na trawiastej działce na obrzeżach miasta. Była jednoizbową chatą zbudowaną z bali, przykrytą dwuspadowym stromym dachem z blachy. Bagienną zielono-żółtą połać za szkołą przecinała meandrująca rzeka z brzegami porośniętymi wysoką trawą.

Leni otworzyła drzwi, przystanęła i zajrzała do środka. Na tablicy na ścianie w głębi odczytała temat napisany drukowanymi literami: KUPNO ALASKI PRZEZ SEAWARDA. Z przodu, za wielkim biurkiem ustawionym frontem do drzwi stała autochtonka. Dobrze zbudowana kobieta z szerokimi ramionami i dużymi dłońmi. Długie czarne włosy splecione w luźne warkocze tworzyły obramowanie twarzy w kolorze kawy z mlekiem. Od dolnej wargi do podbródka biegły wytatuowane czarne kreski. Miała na sobie męską flanelową

koszulę, zamszową kamizelkę z frędzlami i wyblakłe lewisy wpuszczone w gumowce.

– Witaj! Wchodź! – zawołała na widok Leni.

Dzieciaki obejrzały się, szurając krzesłami.

Uczniów było sześcioro. Dwie młodsze dziewczynki siedziały w pierwszym rzędzie. Marthe i Agnes. Leni widziała je wcześniej w osadzie Szalonego Earla. Rozpoznała też tamtego naburmuszonego nastolatka, Axla. Dwie, na oko ośmio-, dziewięcioletnie, rozchichotane rdzenne Alaskanki siedziały przy zestawionych razem stolikach. Obie miały na głowach wianuszki z przywiędłych mleczy. Z prawej strony dwa dosunięte do siebie stoliki stały przodem do tablicy. Jedno krzesło było wolne; na drugim siedział chudy chłopak, mniej więcej jej rówieśnik, z jasnymi włosami do ramion. On jeden wydawał się nią zainteresowany. Przyglądał jej się, cały czas odwrócony przodem do drzwi.

– Nazywam się Tica Rhodes – przedstawiła się nauczycielka. – Mieszkamy z mężem w Bear Cove i czasami w zimie nie mam możliwości tu dotrzeć. Ale bardzo się staram. I tego samego oczekuję od moich uczniów. – Uśmiechnęła się. – A ty jesteś Lenora Allbright. Wiem od Thelmy, że miałaś się pojawić.

– Leni – podpowiedziała nauczycielce.

– Lat masz ile? Jedenaście?

– Trzynaście – wyznała, czując, jak pieką ją policzki. Gdyby tak wreszcie zaczęły rosnąć jej piersi!

Pani Rhodes pokiwała głową.

– Świetnie się składa. Matthew też ma trzynaście lat. Siadaj. – Wskazała miejsce obok chłopca z jasnymi włosami. – Śmiało.

Tak mocno ściskała pojemnik z Kubusiem Puchatkiem, że aż rozbolały ją palce.

– Cześć – bąknęła do Axla, mijając jego stolik.

Odpowiedział jej obojętnym spojrzeniem i wrócił do rysowania na skoroszycie czegoś, co wyglądało na kosmitkę z monstrualnym biustem.

Wsunęła się niezdarnie na krzesło obok trzynastolatka.

– Cześć – wymamrotała, uciekając spojrzeniem w bok.

Uśmiechnął się szeroko, pokazując usta pełne krzywych zębów.

– Dzięki Bogu – szepnął, odgarniając włosy z twarzy. – Myślałem, że do końca roku będę musiał siedzieć z Axlem. Ten gość prędzej czy później wyląduje w kiciu.

Leni mimo woli prychnęła śmiechem.

– Skąd jesteś? – spytał.

To pytanie zawsze sprawiało jej problem. Sugerowało coś trwałego, stałego, coś, co w jej przypadku nigdy nie istniało. O żadnym z miejsc nie myślała jako o domu.

– Ostatnio chodziłam do szkoły w Seattle.

– Pewnie się czujesz, jakbyś wpadła do Mordoru.

– Czytałeś *Władcę Pierścieni*?

– No, wiem. To obciach. Ale tu jest Alaska. W zimie ciemno jak w dupie i nie mamy telewizora. W przeciwieństwie do taty nie mogę całymi wieczorami słuchać ględzenia w radiu.

Nie potrafiła określić emocji, jakie budził w niej ten chłopak.

– Uwielbiam Tolkiena – wyznała cicho. Dziwne, że zdobyła się przy nim na taką szczerość. Większość dzieciaków w jej ostatniej szkole bardziej interesowała się kinem i muzyką niż książkami. – I Franka Herberta.

– *Diuna* jest niesamowita. „Strach zabija rozum”. Kurde, jakie to prawdziwe.

– *Obcy w obcym kraju*. Właśnie tak się tutaj czuję.

– I dobrze. Na tych rubieżach nic nie jest normalne. Na północy jest miasteczko, gdzie burmistrzem został pies.

– No co ty?

– Poważnie. Malamut. Głosowali na niego. – Matthew położył rękę na sercu. – Czegoś tak bzdurnego nie da się wymyślić.

– Idąc tutaj, widziałam faceta siedzącego z gęsią na kolanach. Chyba z nią rozmawiał.

– To Stuknięty Pete i Matilda. Są małżeństwem.

Leni kwiknęła śmiechem na cały głos.

– Masz dziwny śmiech.

Zawstydzona poczuła, że się czerwieni. Nikt jej dotąd czegoś takiego nie powiedział. Czy to prawda? Jak się śmiała? O Boże.

– Przepraszam. Nie wiem, czemu to powiedziałem. Moje obycie jest do bani. Od dawna nie miałem okazji rozmawiać z dziewczyną w swoim wieku. Taka prawda. Jesteś ładna. Ale plotę, nie? Pewnie zaraz uciekniesz z krzykiem i poprosisz panią Rhodes, żeby posadziła ciebie z tym przyszłym mordercą Axlem i dopiero poczujesz ulgę. Dobra. Lepiej już się zamknę.

Leni nie słyszała już nic, co nastąpiło po słowie „ładna". Próbowała sobie wmówić, że to nic nie znaczy. Jednak kiedy Matthew na nią spojrzał, poczuła iskierkę nadziei. Moglibyśmy zostać przyjaciółmi, pomyślała. I to nie takimi, których zbliżyła jazda szkolnym busem czy lunch przy wspólnym stoliku.

Przyjaciółmi.

Prawdziwymi, których łączą wspólne sprawy. Takimi jak Sam i Frodo, Anne i Diana, Ponyboy i Johnny. Na ułamek sekundy przymknęła powieki, puszczając wodze fantazji. Śmialiby się razem i rozmawiali, i…

– Leni? – szepnął. – Leni?!

O Boże. Dwukrotnie wymówił jej imię.

– Aha, wiem, o co chodzi. Ja bez przerwy odpływam – wyznał. – Moja mama twierdzi, że tak się dzieje, kiedy w myślach rozmawiasz z kupą wymyślonych ludzi. Akurat ona od Bożego Narodzenia czyta *Kolejną przydrożną atrakcję* Toma Robbinsa.

– Też tak mam – zwierzyła się. – Czasami zwyczajnie… odpływam.

Wzruszył ramionami, jakby dawał do zrozumienia, że nie ma w tym nic złego.

– Hej, słyszałaś, że dziś wieczorem robimy grilla?

To jak? Będziesz?

W kółko powtarzała w myślach to pytanie, czekając na przyjazd taty. Chciałaby móc powiedzieć tak. Od dawna niczego tak bardzo nie pragnęła.

Niestety, rodzice nie uczestniczyli we wspólnotowych grillach. W niczym wspólnotowym. To nie dla Allbrightów. Tam, gdzie ostatnio mieszkali, rodziny z najróżniejszych okazji skrzykiwały się na grilla na którymś z podwórek. Tatusiowie w swetrach z wycięciem w serek pili szkocką i przewracali hamburgery na ruszcie, kobiety paliły papierosy, sączyły martini i wynosiły z domu tacki z wątróbką owiniętą plastrami bekonu, a dzieciaki dokazywały, hałasując. Kiedyś zajrzała przez płot do sąsiadów i wszystko to widziała: koła hula-hoop, plastikowe zjeżdżalnie i zabawy ze zraszaczem do trawników.

– I jak tam, Rudzielcu, podobało się w szkole? – zapytał tata, gdy Leni wsiadła do busa i zatrzasnęła drzwi. Przyjechał jako ostatni z rodziców.

– Dzisiaj uczyliśmy się o tym, jak Ameryka odkupiła Alaskę od Rosji. I o Mount Alyeska w łańcuchu górskim Chugach Mountains.

Mruknął z uznaniem i wrzucił bieg.

Zastanawiała się, co właściwie chciała mu powiedzieć. Jest taki chłopak w naszej klasie. Mieszka po sąsiedzku.

Nie, lepiej ani słowa o chłopcu, zła taktyka.

Nasi sąsiedzi robią grilla i nas zaprosili.

Tata nie znosił takich okazji, a może nie znosił tylko w tamtych miejscach, gdzie wcześniej mieszkali.

Busem trzęsło na wyboistym dukcie, koła wzbijały tumany kurzu. Gdy pokonali podjazd, zobaczyli mnóstwo ludzi kręcących się po podwórku. Zjawiła się większa część klanu Harlanów. Pracowali w milczącej harmonii, schodząc się i rozpraszając niczym tancerze. Clyde ciął bale na deski tym dziwnym urządzeniem w obudowie podobnej do klatki. Ted kończył robić schowek; przybijał kantówki do słupów.

– Nasi przyjaciele stawili się tu w południe, żeby pomóc nam w przygotowaniach do zimy – wyjaśnił tata. – Nie, oni są kimś więcej niż przyjaciółmi, Rudzielcu. To towarzysze.

Towarzysze?

Leni ściągnęła brwi. Czyżby teraz zostali komunistami? Była pewna, że tata nienawidził komunistów tak samo mocno jak rządu i hippisów.

– Właśnie tak powinien wyglądać świat, Rudzielcu. Ludzie pomagają sobie wzajemnie, zamiast zabijać czyjeś matki za trochę forsy.

Leni zauważyła, że prawie wszyscy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, mieli przypasane kabury z bronią.

Tata otworzył drzwi busa.

– W ten weekend jedziemy do Sterling, będziemy łowić łososie w Farmer’s Hole na Kenai River. Podobno te królewskie łososie nie dają się łatwo złapać. – Zeskoczył na gąbczastą ziemię.

Szalony Earl przywołał tatę machnięciem dłoni w roboczej rękawicy, a on natychmiast podbiegł.

Leni przeszła obok świeżo wzniesionej konstrukcji wysokiej na dziewięć stóp, o podstawie kwadratu cztery stopy na cztery, z bokami osłoniętymi czarną folią (zapewne workami na śmieci

z rolki). Zobaczyła tam czerwone łososie przecięte wzdłuż kręgosłupa i rozwieszone na gałęziach. Thelma, klęcząc na ziemi, pilnowała ognia tlącego się w metalowym pojemniku. Kłęby ciemnego dymu owiewały płaty rybiego mięsa.

Mama podniosła wzrok znad łososi, które patroszyła na stole wystawionym na dwór.

– To wędzarnia – wyjaśniła, ruchem głowy wskazując Thelmę. Czerwona chustka przytrzymywała jej włosy, żeby nie opadały na oczy. – Uczy mnie wędzić ryby. To nie takie proste – za duży ogień i ryby się upieką, a one muszą jednocześnie się suszyć i wędzić. Pycha! Jak tam pierwszy dzień w szkole?

– Fajnie było.

– Bez tragedii z powodu ciuchów czy pudełka na lunch? Dziewczyny ci nie dokuczały?

– Wcale nie ma dziewczyn w moim wieku. – Uśmiechnęła się zadowolona. – Ale… jest chłopak…

– Chłopak? – Mama wyraźnie się ożywiła.

Leni poczuła, jak rumieniec wypływa jej na policzki.

– Kolegujemy się, mamo. Akurat tak się składa, że to chłopiec.

– Uhm. – Mama walczyła z uśmiechem, zapalając papierosa. – Fajny?

– A wiesz – Leni zmieniła temat – że wszyscy spotykają się dziś wieczorem na grillu? Też chcę pójść.

– Właśnie się wybieramy.

– Naprawdę? Cudownie!

– No. – Mama się uśmiechnęła. – Mówiłam ci, że tutaj będzie inaczej.

Kiedy nadszedł czas, żeby przebrać się przed wyjściem, Leni zupełnie odebrało rozum. Nie wiedziała, co w nią wstąpiło.

Co prawda wybór miała niewielki, ale to wcale nie zniechęciło jej do przymierzania różnych kombinacji. Wreszcie – głównie dlatego, że zmęczyły ją starania, żeby wyglądać ładnie, skoro „ładnie" absolutnie odpadało – zdecydowała się na poliestrowe dzwony w kratę i ściągaczowy zielony golf, na który nałożyła kamizelkę ze sztucznego zamszu wykończoną frędzlami. Niestety, mimo wielu prób nie udało jej się nic zrobić z włosami. Sczesała je z twarzy palcami i zaplotła w warkocz grubości pięści.

Mama w kuchni pakowała do plastikowego pojemnika grube kromki kukurydzianego chleba. Wcześniej długo szczotkowała sięgające do ramion pocieniowane włosy, które teraz zdawały się błyszczeć w świetle. Zdecydowanie chciała zrobić wrażenie, bo ubrała się w obcisłe dżinsowe dzwony i w dopasowany biały sweterek. Nałożyła też ciężki indiański naszyjnik z turkusami, który kupiła lata temu.

Zajęta hermetycznym zamykaniem pokrywki wydawała się błądzić gdzieś myślami.

– Przejmujesz się, co?

– Czemu tak myślisz? – Mama posłała jej szybki promienny uśmiech, który jednak nie sięgał do oczu. Po raz pierwszy od długiego czasu się umalowała. Z makijażem wyglądała pięknie i młodo.

– Pamiętasz tamten jarmark?

– To co innego. Facet próbował go oszukać.

Leni inaczej to zapamiętała. Świetnie się bawili na stanowym jarmarku, dopóki tata nie przesadził z piwem. Jakiś facet zaczął przystawiać się do mamy (a ona go nie zniechęcała) i wtedy tata wpadł w szał. Z wrzaskiem rzucił się na faceta i tak go pchnął, że ten wpadł na maszt w namiocie piwnym i rozbił sobie głowę. Ochroniarze próbowali interweniować, ale tata zachowywał się bardzo agresywnie. W końcu wezwano policję. Leni umierała

ze wstydu, bo świadkami całej sytuacji były dwie koleżanki z klasy. Widziały, jak policjanci wlekli ojca do radiowozu.

– Czy moje piękne dziewczyny są gotowe? – zapytał tata, zaglądając do chaty.

– Jasne – przytaknęła mama z uśmiechem.

– W takim razie jedziemy – zarządził, zagarniając je do busa.

W mgnieniu oka dojechali do żelaznej bramy z pobielałą krowią czaszką. Tym razem stała gościnnie otwarta.

Ziemia Walkerów. Ich najbliższych sąsiadów.

Tata zwolnił. Toczyli się podjazdem, czyli dwoma pasami wygniecionej kołami trawy, tu i ówdzie poprzerastanej mchem, wijącej się jak rozciągnięta litera S pomiędzy dwoma szeregami świerków o cienkich czarnych pniach. Od czasu do czasu w prześwitach między drzewami po lewej stronie migało w oddali coś niebieskiego. Dopiero kiedy wjechali na polanę, Leni ogarnęła spojrzeniem cały teren.

– Nieźle! – wymknęło się mamie.

Polana schodziła łagodnie ku spokojnej niebieskiej zatoce. Na całej ogromnej połaci wszystkie drzewa zostały wykarczowane, oprócz kilku starannie wybranych, które celowo oszczędzono.

Duży piętrowy dom niczym ukoronowanie terenu wyrastał w najwyższym miejscu. Przód o zarysie trójkąta zdobiły trapezowe okna. Dom opasywała weranda z ostrym łukiem na froncie, przez co całość przypominała część dziobową majestatycznego statku, który utknął na lądzie wyrzucony przez gniewne fale i teraz musiał patrzeć na morze – tam gdzie było jego miejsce. Na werandzie stało kilka krzeseł z różnych kompletów ustawionych przodem do imponującego widoku. Zagrody na podwórku na tyłach były pełne krów, kóz, kur i gęsi. W wysokiej trawie leżały zwoje drutu kolczastego, drewniane skrzynki, palety i części wymontowane ze starych samochodów, zepsuty traktor, zardzewiała łopata koparki. W pobliżu małej

drewnianej konstrukcji, z której sączył się dym, stały ciasno skupione ule. W prześwicie między drzewami sterczał spiczasty dach wygódki.

W morze wbijał się szary pomost ozdobiony na końcu łukiem z poczerniałym napisem: WALKER COVE – Zatoczka Walkera. Dwie srebrzyste rybackie łodzie i hydroplan kołysały się na wodzie przycumowane do pomostu.

– Hydroplan – mruknął tata. – Muszą być bogaci.

Zaparkowali bus i przeszli obok żółtego traktora z czarnym czerpakiem oraz lśniącej czerwonej terenówki. Leni, idąc po łagodnie opadającym terenie, zauważyła przynajmniej z dziesięć postaci zgromadzonych na plaży wokół ogromnego ogniska. Wysokie płomienie wiły się pod lawendowym niebem z odgłosem podobnym do strzelania palcami.

Podążając za rodzicami, zeszła schodkami na plażę. Teraz już wszystkich wyraźnie widziała. Barczysty mężczyzna z długimi jasnymi włosami przycupnięty na zwalonym pniu brzdąkał na gitarze. Duża Marge zrobiła bębenki bongo z dwóch plastikowych wiader odwróconych do góry dnem, a pani Rhodes, jej nauczycielka, szalała na skrzypcach. Natalie towarzyszyła jej na organkach, a Thelma śpiewała *Króla szos* i kiedy doszła do słów „bez telefonu, bez basenu, bez stada zwierząt”[1], wszyscy do niej dołączyli.

Clyde i Ted czuwali nad grillem zrobionym chyba z beczek po ropie. W pobliżu stał Szalony Earl i popijał coś z glinianego dzbanka. Dwie dziewczynki ze szkoły, Marthe i Agnes, razem z Moppet zbierały muszelki na brzegu.

Mama weszła na plażę z plastikowym pojemnikiem z kukurydzianym chlebem, a tata, idąc tuż za nią, niósł butelkę whiskey.

Tamten wysoki barczysty mężczyzna podniósł się z pnia i odłożył gitarę. Jak większość miejscowych był ubrany we

flanelową koszulę i wyblakłe dżinsy wpuszczone w gumowe buty, a mimo wszystko się wyróżniał. Wydawał się stworzony do życia w tutejszych trudnych warunkach, wyglądał jak ktoś, kto mógł harować cały długi dzień, rąbać siekierą wiekowe drzewa i bez wysiłku spychać grube pnie do rwącej rzeki. Nawet Leni stwierdziła, że jak na tak starego faceta jest całkiem przystojny.

– Tom Walker – przedstawił się. – Witajcie w moim domu.

– Ernt Allbright.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Cora, moja żona.

Mama z uśmiechem podała mu dłoń i spojrzała za siebie.

– A to nasza córka, Leni. Ma trzynaście lat.

– Cześć, Leni. – Uśmiechnął się. – Mój syn, Matthew, wspominał o tobie.

– Naprawdę? – Ożywiła się. Nie szczerz się tak, idiotko, skarciła się w duchu.

Do Toma przysunęła się Geneva Walker.

– Cześć! Widzę, że już poznałaś mojego męża – zwróciła się z uśmiechem do Cory.

– Byłego męża. – Tom Walker otoczył Genevę ramieniem i przygarnął do siebie. – Kocham tę kobietę jak powietrze, ale nie mogę z nią żyć.

– Beze mnie też nie możesz. – Uśmiechnęła się, spoglądając przez lewe ramię. – O, ten tam, Calhoun Malvey, to mój wybranek. Nie kocha mnie aż tak jak Tom, za to o wiele bardziej lubi. No i nie chrapie. – Żartobliwie kuksnęła Toma łokciem w bok.

– Słyszałem, że nie za bardzo jesteście przygotowani. – Walker zwrócił się do taty. – Musicie się szybko uczyć. W razie problemów wal do mnie jak w dym. Zawsze pomogę. Mam wszystko, czego możesz potrzebować. Chętnie pożyczę.

Ton, jakim tata powiedział „dziękuję”, obudził czujność Leni. Jakby go to zirytowało, obraziło. Mama też to zauważyła i spojrzała na niego z niepokojem.

Szalony Earl zbliżył się do nich chwiejnym krokiem. Miał na sobie T-shirt z nadrukiem ŁOWIĘ OD WIEKÓW – JESTEM MISTRZEM W GNĘBIENIU RYB. Zatoczył się i potknął.

– Proponujesz Erntowi pomoc, Wielki Tomie? – odezwał się z pijackim uśmiechem. – Wielce łaskawie. Niczym król John swoim biednym poddanym. Może twój przyjaciel gubernator ci pomoże.

– Boże drogi, Earl, nie zaczynaj znowu – uciszyła go Geneva. – Przyda nam się trochę muzyki. Ernt, grasz na jakimś instrumencie?

– Na gitarze – powiedział tata. – Ale sprzedałem…

– Świetnie! – Wzięła go pod ramię, odciągnęła od Earla i zaprowadziła do Dużej Marge oraz spontanicznie skrzykniętego zespołu. Wręczyła mu gitarę, którą wcześniej odłożył Tom. Szalony Earl chwiejnie wrócił do ogniska po swój dzbanek.

Leni zastanawiała się, czy mama wie, jak pięknie wygląda w obcisłych spodniach z jasnymi włosami rozwianymi przez morską bryzę. Jej uroda była perfekcyjna jak czysto wyśpiewana nuta i jak orchidea nie pasowała do tego miejsca.

Taak. Mama doskonale wiedziała. I wyraźnie podobała się panu Walkerowi.

– Mogę podać ci coś do picia? – zwrócił się do niej. – Może być piwo?

– Pewnie, Tomie. Z chęcią się napiję – odparła, pozwalając zaprowadzić się do stołu z lodówką turystyczną pełną puszek Rainiera.

Mama, kręcąc biodrami, tanecznym krokiem oddaliła się z panem Walkerem. W pewnej chwili dotknęła jego ramienia,

a raczej musnęła je czubkami palców, i wtedy on z uśmiechem pochylił ku niej głowę.

– Leni!

Obejrzała się.

Matthew stał na skarpie przy schodach i dawał znaki, żeby weszła na górę.

Wspięła się do niego po zboczu. Matthew trzymał w dłoniach dwie puszki piwa.

– Piłaś kiedyś piwo?

Pokręciła głową.

– Nie.

– Ja też nie. Chodź. – Skręcił w lewo między gęsto rosnące drzewa. Poprowadził ją opadającą ku morzu krętą ścieżką obok sterczących z ziemi skał. Wyszli na porośniętą mchem polankę. W prześwitach między świerkami widzieli bawiących się ludzi. Od plaży dzieliło ich zaledwie piętnaście stóp, tymczasem Leni miała wrażenie, że znalazła się na innej planecie. Tam ludzie się śmiali, rozmawiali, gestykulując, grała muzyka. Dzieciaki szukały całych muszelek między kamykami na brzegu. Axle, jak zwykle na uboczu, zabawiał się wbijaniem noża w spróchniałą kłodę.

Matthew usiadł na ziemi i oparł się o pień, wyciągając przed siebie nogi. Ona usiadła obok, dość blisko, pilnując jednak, żeby go nie dotykać.

Otworzył piwo z sykiem i podał jej puszkę. Wypiła łyk, marszcząc nos. Smakowało paskudnie, a bąbelki gazu łaskotały w gardle.

– Ohyda – podsumował Matthew i wtedy parsknęła śmiechem. Po trzech kolejnych łykach też oparła się o pień. Chłodna bryza od plaży niosła zapach soli i przypalonego mięsa. Impreza za parawanem z drzew coraz bardziej się rozkręcała.

Siedzieli w przyjaznej ciszy. Była zdumiona, bo zazwyczaj przy rówieśnikach, na których jej zależało, zmieniała się w kłębek nerwów.

Widzieli wszystko dokładnie w prześwicie między drzewami. Gliniany dzbanek krążył z rąk do rąk. Jej matka tańczyła, kołysząc biodrami i zarzucając włosami. Wyglądała jak leśna boginka rozświetlona wewnętrznym światłem, pląsająca pośród podpitych, nieokrzesanych tubylców.

Piwo zamroczyło Leni, czuła się lekka i beztroska.

– Co was skusiło, żeby tu przyjechać? – przerwał ciszę Matthew. Zanim zdążyła odpowiedzieć, zmiażdżył puszkę, ciskając nią o skałę.

Nie mogła zapanować nad śmiechem. Tylko chłopak mógł wpaść na taki pomysł.

– Mój tata jest… niespokojnym duchem. – Zdecydowała się na tym poprzestać. (Nigdy nie mów prawdy, nie opowiadaj, że tatę wyrzucali z pracy i musieliśmy się wyprowadzać, i absolutnie nie wspominaj, że zdarza mu się przeholować z alkoholem i lubi się awanturować). – Chyba znudziło mu się w Seattle. A wy? Kiedy tu przyjechaliście?

– Mój dziadek, Eckhart Walker, przeniósł się na Alaskę w czasie Wielkiego Kryzysu. Stwierdził, że nie będzie wystawał w kolejce po cienką zupę. Spakował dobytek i łapiąc okazje, dotarł do Seattle. Tam popracował jakiś czas, żeby zarobić na dalszą drogę. Podobno przemierzył Alaskę od wybrzeża do wybrzeża i nawet wspiął się na Mount Alyeska z przymocowaną do pleców drabinką do przeprawiania się przez szczeliny lodowe. W Nome poznał moją babcię Lily. Prowadziła pralnię i tanią restaurację. Pobrali się i postanowili osiedlić się tu na dobre.

– Czyli twój tata i ty dorastaliście w tym domu?

– Nie. Duży dom został zbudowany znacznie później, ale tak, tutaj się wychowaliśmy. Rodzina mojej mamy mieszka w Fairbanks. Moja siostra jest teraz u nich, bo studiuje tam w college'u. Kilka lat temu moi starzy się rozeszli. Mama zbudowała drugi dom na terenie siedliska i wprowadziła się tam ze swoim partnerem Calem. Cal to dupek do kwadratu. – Uśmiechnął się szeroko. – Ale pracujemy wszyscy razem. A w zimie tata grywa z nim w szachy. Wiem, to dziwaczne, ale taka jest Alaska.

– Hmm, nie wyobrażam sobie, abym miała tu mieszkać całe życie. – Zawstydziła się, słysząc tęsknotę w swoim głosie. Przytknęła puszkę do ust i wysączyła ostatnią kapkę piany.

Prowizoryczny zespół rozkręcił się na dobre; prym wiodły skrzypce, czyjeś dłonie wystukiwały rytm na wiadrach, ktoś brzdąkał na gitarze.

Thelma, mama i pani Rhodes, kołysząc biodrami w takt muzyki, śpiewały na całe gardło: *Ro-cky Moun-tain high, Colo-rado*[2]…

– Hamburgery z łosia gotowe! – zameldował Clyde, czuwający nad grillem. – Komu sera?

– Chodź! – Matthew poderwał się z ziemi. – Skręca mnie z głodu. – Wziął ją za rękę (jakie to było naturalne) i sprowadził na dół ścieżką między drzewami. Wychodząc na plażę, natknęli się na tatę i Szalonego Earla, którzy popijali we dwójkę na uboczu. Słyszała, jak Earl głośno stuknął swoim dzbankiem o dzbanek taty.

– Ten Tom Walker myśli, że jego gówno nie śmierdzi – wycedził tata.

– Kiedy zrobi się gorąco, przyjdzie do mnie na kolanach, bo jestem przygotowany – perorował bełkotliwie Earl.

Leni zamarła zawstydzona. Zerknęła na Matthew. Musiał to słyszeć.

– Urodził się bogaty. – Tata mówił powoli, przeciągając słowa. – Tak powiedziałeś, nie?

Szalony Earl kiwnął głową i zatoczył się na tatę. Podtrzymali się wzajemnie.

– Myśli, że jest lepszy od nas.

Leni odsunęła się od Matthew; wstyd sprawił, że poczuła się mała, samotna.

– Leni?

– Głupio mi, że to słyszałeś.

Nie dość, że pijany tata plótł te obraźliwe bzdury, to jeszcze mama, stojąc zbyt blisko pana Walkera, uśmiechała się do niego w taki sposób, który mógł wywołać kłopoty.

Znowu to samo. A przecież na Alasce miało być inaczej.

– Co z tobą? – spytał Matthew.

Pokręciła głową, czując, jak w jej duszę wkrada się dobrze znany smutek. Nigdy mu nie zdradzi, jak wygląda życie z tatą, który czasem ją przeraża, i z matką, która tak bardzo go kocha, że czasami posuwa się do niebezpiecznych prowokacji, na przykład flirtując, aby w ten sposób sprawdzić, jak bardzo mu na niej zależy.

To były jej tajemnice. Jej bolączki. Nie mogła ich nikomu ujawnić.

Od lat marzyła, że kiedyś znajdzie pokrewną duszę, kogoś, z kim będzie mogła o wszystkim rozmawiać. Jak to możliwe, że umknęło jej coś tak oczywistego? Przecież nie mogła liczyć na prawdziwą przyjaźń, skoro sama nie była szczera.

– Przepraszam – bąknęła. – Nie, nic mi nie jest. Chodź, pójdziemy coś zjeść. Umieram z głodu.

---

1 Roger Miller, *King of the Road* (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).

2 John Denver, *Rocky Mountain High*, sł. J. Denver, Mike Taylor

6

Po powrocie do domu rodzice rzucili się na siebie, zachowując się jak małolaty. Ciasno objęci obijali się o ściany. Alkohol, muzyka (i, być może, zainteresowanie Toma Walkera mamą) rozpaliły namiętność.

Czym prędzej przemknęła się na stryszek, przycisnęła poduszkę do uszu i nuciła pod nosem piosenkę: *Zapomnij o problemach, po prostu bądź szczęśliwa*[3]. Kiedy wreszcie na dole ucichło, podczołgała się do sterty książek, które kupiła na stoisku Armii Zbawienia. Jej uwagę przyciągnął tomik poezji jakiegoś Roberta Service'a. Wzięła książkę do łóżka i otworzyła na stronie z wierszem pod tytułem *Kremacja Sama McGee*. Nie musiała zapalać światła, bo na dworze ciągle jeszcze było jasno.

Do dziwnych rzeczy w dzień polarny
Zdolni mężczyźni, co szukają złota
Arktyczne szlaki mają swe sekrety, od których
Krwi na krążenie zamiera ochota…

Przeniosła się wyobraźnią w surowy, piękny świat tego wiersza. Zauroczona przeczytała jeszcze poemat o groźnym Danie McGrew i pani o imieniu Lou, a potem *Prawo Jukonu*:

To jest Jukon i prawo ma jasne
Nie przysyłacie głupich i słabych

Przyślijcie silnych i rozumnych.

Każdy wers odkrywał inną stronę życia w tym dziwnym stanie, do którego trafili. Jednocześnie nie mogła się uwolnić od myśli o Matthew. Pamiętała swoje zażenowanie, kiedy usłyszał tamte ohydne słowa taty.

Czy nadal będzie chciał się z nią kolegować?

Dręczyło ją to pytanie, niepewność spędzała sen z powiek. Była gotowa przysiąc, że przez całą noc nie zmrużyła oka, a tymczasem rano obudziło ją wołanie:

– Wstawaj, śpiochu. Potrzebuję twojej pomocy, kiedy mama będzie robić żarcie!

Żarcie? Nagle zostali kowbojami?

Nałożyła dżinsy, obszerny sweter i zeszła na dół po buty. Tatę znalazła na tej dziwacznej konstrukcji na palach podobnej do psiej budy. Składzik. O jego podstawę opierała się drabina z okorowanych bali, taka sama jak ta prowadząca na jej stryszek. Tata stał na najwyższym szczeblu i zbijał zadaszenie z desek.

– Rudzielcu, podrzuć mi te calowe gwoździe. Całą garść.

Chwyciła niebieską puszkę po kawie pełną gwoździ i wspięła się na drabinę. Wyjęła jeden gwóźdź.

– Ręka ci drży – zauważyła, podając go tacie.

Popatrzył na gwóźdź, który zdawał się podrygiwać na trzęsącej się dłoni. Tata był blady jak płótno, miał przekrwione i podkrążone oczy.

– Za dużo wczoraj wypiłem. Kiepsko spałem.

Leni poczuła ukłucie niepokoju. Brak snu źle działał na tatę. Robił się drażliwy. Jak dotąd dobrze sypiał na Alasce.

– Picie robi z człowiekiem różne gówniane rzeczy, Rudzielcu. Coś o tym wiem. No, skończone. – Wbił ostatni gwóźdź w zamszową roboczą rękawicę, która miała służyć za zawias

(pomysł Dużej Marge; Alaskanie wiedzieli, jak zrobić coś z niczego).

Leni zeszła na ostatni szczebel i zeskoczyła na ziemię, grzechocząc gwoździami w puszce.

Tata wsadził trzonek młotka za pas, zszedł z drabiny i stanął obok niej.

– Jesteś moją małą stolarką – powiedział, burząc jej włosy.

– Chyba twoją bibliotekarką. Albo molem książkowym.

– Mama mówi, że możesz być, kim chcesz. Gada jakieś bzdety o rybie i rowerze.

To prawda. Leni coś takiego słyszała. Zdaje się, że to Gloria Steinem powiedziała, że mężczyzna jest tak potrzebny kobiecie jak rower rybie. Kto wie? Mama cały czas sypała takimi porzekadłami. Według Leni tyle samo z tego wynikało co z palenia całkiem porządnych biustonoszy. Ale jednak to bez sensu, że w 1974 roku dorosła pracująca kobieta nie może dostać karty kredytowej na swoje nazwisko.

Światem rządzą faceci, córciu.

Poszła za ojcem na taras, mijając po drodze szkielet cieplarni i wędzarnię owiniętą workami na śmieci. Za domem na nowo ogrodzonym wybiegu grzebały w ziemi kury. Kogut przycupnięty na wsporniku płotu czyścił piórka.

Tata nabrał garść wody z beczki i obmył twarz. Po policzkach spływały mu brunatne smugi. Potem wszedł na werandę i przysiadł na najniższym schodku. Kiepsko wyglądał. Jakby pił przez wiele dni i nie mógł wyjść z kaca. (Tak samo wyglądał, kiedy dręczyły go koszmary i miał ataki furii).

– Mamie chyba podoba się Tom Walker – rzucił.

Leni zesztywniała.

– Zauważyłaś, jak on obnosił się przed nami ze swoimi pieniędzmi? „Jak chcesz, pożyczę ci traktor, Ernt. A może

czasem podrzucić cię do miasta?”. On mnie potraktował z góry, Rudzielcu.

– A mnie powiedział, że uważa ciebie za bohatera i że to wielki wstyd, co się stało z naszymi chłopakami – skłamała.

– Naprawdę tak powiedział? – Odgarnął włosy z twarzy i zmarszczył opalone czoło.

– Tato, mnie się tutaj podoba – wyznała Leni, uświadamiając sobie, że tak właśnie jest. Zdążyła już się zadomowić na Alasce, a w Seattle do końca czuła się obco. – Jesteśmy tu szczęśliwi. Przecież widzę, jaki ty jesteś szczęśliwy. Może… Może alkohol ci nie służy.

– Chyba masz rację, Rudzielcu. – Zamyślił się. – Chodź, czas się zbierać do szkoły.

Godzinę później przystanęła przed jednoizbową szkołą, przerzuciła pasek plecaka przez jedno ramię i ruszyła do drzwi z pudełkiem na lunch obijającym się o prawe udo. Bimbającym, jak powiedziałaby mama. Jednego była pewna, wcale nie spieszyło jej się do klasy.

Była tuż przy wejściu, gdy przez otwarte z impetem drzwi wybiegli ze śmiechem rozgadani uczniowie. Geneva, mama Matthew, weszła w środek gromadki i klaszcząc w dłonie, kazała im się uciszyć.

– O, Leni! Świetnie, że jesteś! – zawołała. – Spóźniłaś się, już myślałam, że ciebie nie będzie. Tica nie dała rady przyjść, więc dzisiaj uczę ja. Ha! Ledwo udało mi się skończyć szkołę. Taka prawda. – Zaśmiała się. – Ponieważ wtedy bardziej interesowali mnie chłopcy niż to, co się dzieje na lekcjach, zabieram was na wycieczkę. Szkoda siedzieć w szkole w taki piękny dzień.

Leni dołączyła do pani Walker, a ona objęła ją ramieniem i przytuliła.

– Tak się cieszę, że się tu przeprowadziliście.

– Ja też.

– Zanim się pojawiłaś, Matthew miał ogromną awersję do dezodorantów. Teraz chodzi czysto ubrany. Spełniło się marzenie tych, co z nim mieszkają.

Nie miała pojęcia, co na to powiedzieć. Zeszli do portu zbitą gromadą, jak stado słoni w filmie *Księga dżungli*. Leni czuła na sobie wzrok Matthew. Dwukrotnie złapała go na tym, jak jej się przyglądał z niepewną miną.

Kiedy dotarli do doku z poskrzypującymi kutrami, które podskakiwały na wodzie, pani Walker podobierała ich w pary i wyznaczyła kajaki.

– Matthew, Leni, ten zielony jest wasz. Nałóżcie kamizelki. Matthew, pilnuj, aby Leni nic się nie stało.

Leni posłusznie weszła do kajaka i usiadła na tylnej ławeczce twarzą do dziobu.

Matthew wskoczył za nią. Kajak zahuśtał się i zatrzeszczał.

Usiadł przodem do niej.

Leni miała niewielkie pojęcie o wiosłowaniu, ale wiedziała, że coś jest nie tak.

– Chyba powinieneś usiąść odwrotnie.

– Matthew Denali Walker. Co ty, do diabła, wyprawiasz? – ofuknęła go matka, przepływając obok z Moppet. – Rozum ci odebrało czy co? Jak ja się nazywam?

– Mamo, muszę chwilę porozmawiać z Leni. Dogonimy was.

Pani Walker rzuciła synowi znaczące spojrzenie.

– Byle nie za długo. Jesteś w szkole, nie na pierwszej randce.

– Rany boskie – jęknął. – Aleś ty dziwna.

– Tak, też cię kocham. – Roześmiała się i naparła na wiosło. – Dzieci! – zawołała w stronę pozostałych kajaków. – Kierujemy

się na Eaglet Cove!

– Obserwujesz mnie – odezwała się Leni, kiedy zostali sami.

Matthew położył wiosło na kolanach. Dryfowali coraz dalej od doku, fale uderzały o kajak z głuchym odgłosem.

Chyba czekał, że ona powie coś więcej. Tylko jedno zostało do powiedzenia. Wiatr rozwiewał jej włosy, wysnuwał spod gumki loki skręcone w korkociągi, zarzucał pasemka na twarz.

– Przepraszam za wczoraj.

– Za co przepraszasz?

– Przestań, Matthew. Nie sil się na uprzejmość.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Mój tata był pijany – powiedziała ostrożnie. To wyznanie wiele ją kosztowało, nigdy wcześniej coś takiego nie przeszłoby jej przez usta. To było nielojalne. A może nawet niebezpieczne. Oglądała kilka odcinków programu interwencyjnego ABC *Afterschool Specials*. Wiedziała, że czasem odbiera się dzieci dysfunkcyjnym rodzicom. Państwo mogło zniszczyć rodzinę z byle powodu. Nie chciała robić zamieszania ani wpędzać taty w kłopoty.

Matthew roześmiał się serdecznie.

– Wszyscy byli. Wielka mi rzecz. W zeszłym roku Szalony Earl tak się nawalił, że nasikał do wędzarni.

– Mój tata czasami… się upija i… robi się zły. Gada od rzeczy. Wiem, że słyszałeś, co mówił o twoim tacie.

– Bez przerwy coś takiego słyszę. Szczególnie od Szalonego Earla. Stuknięty Pete też nie przepada za ojcem, a Billy Horchow raz nawet próbował go zabić. Do końca nie było wiadomo, co mu odbiło. Taka jest Alaska. Przez długie zimy i alkohol ludzie robią dziwne rzeczy. Mnie to nie dotknęło. Tata też by się tym nie przejął.

– Poczekaj. Chcesz powiedzieć, że to cię nie obeszło?

– To jest Alaska. Żyj i daj żyć innym. Nie ma znaczenia, czy twój tata nienawidzi mojego. Dla mnie, Leni, ty jesteś ważna.

– Ważna?

– Dla mnie tak.

Poczuła się lekka jak piórko, mogłaby wyfrunąć z kajaka. Wyznała mu najciemniejszy sekret, a on mimo wszystko ją lubi.

– Wariat z ciebie.

– A żebyś wiedziała.

– Matthew Walkerze, przestań ględzić i zacznij wiosłować! – krzyknęła pani Walker.

– To jak, jesteśmy przyjaciółmi? – spytał Matthew. – Obojętnie, co by się działo?

Leni skwapliwie przytaknęła.

– Obojętnie, co by się działo.

– Super. – Przekręcił się przodem do dziobu i zaczął wiosłować. – Kiedy tam dopłyniemy, pokażę ci coś fajnego. – Obejrzał się przez ramię.

– Co?

– W mule jest pełno żabiego skrzeku. Takie ohydne gluty. Może uda mi namówić Axla, żeby go skosztował. Ten gościu jest nieźle popaprany.

Leni wzięła do rąk wiosło.

Dobrze, że on nie widzi jej rozanielonej miny.

Wyszła ze szkoły, śmiejąc się z czegoś, co akurat powiedział Matthew, i zobaczyła rodziców w busie. Przyjechali oboje. Mama wychylona z okna machała do niej, jakby ćwiczyła przed występem w teleturnieju *Dobra cena*.

– Jezu, traktują cię naprawdę po królewsku – zażartował Matthew.

Leni parsknęła śmiechem, podbiegła do busa i wdrapała się na tylne siedzenie.

– No, mój mały molu książkowy – zagaił tata, gdy jechali szutrową drogą za miastem. – Jakich pożytecznych rzeczy się dziś dowiedziałaś?

– Popłynęliśmy na wycieczkę do Eagle Cove i zbieraliśmy liście na projekt z biologii. Wiedziałeś, że jeżeli zjesz jagody czerńca, możesz dostać zawału? A świbka czasem powoduje niewydolność oddechową?

– No, cudownie – wtrąciła mama. – Teraz nawet rośliny mogą nas zabić.

Tata skwitował jej słowa śmiechem.

– Bardzo dobrze, Leni. W końcu trafiłaś na nauczycielkę, która uczy tego, co ważne.

– Było też o gorączce złota nad Klondike. Kanadyjska Królewska Policja Konna nie pozwalała nikomu przejść przez Chilkoot Trail bez tygla do topienia złota. Ludzie je dźwigali na plecach. Ale większość poszukiwaczy, którzy tu przybywali, płaciła Indianom za to, żeby nosili za nimi rzeczy.

Tata pokiwał głową.

– Bogacze uciskający porządnych ludzi. Historia cywilizacji w pigułce. Oto co niszczy Amerykę. Ludzie, którzy tylko biorą i biorą coraz więcej.

Leni zauważyła, że od poznania Szalonego Earla tata coraz częściej mówił takie rzeczy.

Wjechali na podjazd, podskakując na wybojach. Tata zaparkował busa na polanie przed domem.

– Okej, dziewczyny, dzisiaj uczymy się strzelać – oznajmił.

Zeskoczył ze stopnia i zza zagrody dla kur przyciągnął belę poczerniałego, spleśniałego siana.

Mama zapaliła papierosa. Dym otoczył jej jasne włosy szarą koroną.

– No, będzie zabawnie – mruknęła ponuro.

– Musimy się nauczyć. Duża Marge i Thelma, obie tak mówiły – przypomniała jej Leni.

Mama pokiwała głową.

Leni przesiadła się na fotel kierowcy.

– Mamo? Zauważyłaś, że tata przy panu Walkerze robi się… nerwowy, prawda?

Mama odwróciła się do niej. Ich spojrzenia się spotkały.

– Czyżby? – spytała chłodno.

– Wiesz, jak z nim jest. Znaczy… jak reaguje, kiedy ty, no wiesz… Flirtujesz.

Tata mocno puknął w maskę busa. Mama wzdrygnęła się, jakby ją coś ugryzło. Zaczęła szukać papierosa, który wypadł spomiędzy palców.

Leni wiedziała, że jej przemowa nie przyniesie żadnego skutku. Taka już była ta jej pokręcona rodzina. Tata wybuchał gniewem, a mama ten gniew podsycała. Może w ten sposób sprawdzała, jak bardzo on ją kocha.

Tata wywołał je z busa, poprowadził za wzniesienie i oparł o jeden z pagórków belę siana z zaznaczonym celem.

Wyjął strzelbę ze skórzanego futerału, wycelował, wystrzelił, trafiając dokładnie w środek głowy narysowanej flamastrem na kartce papieru. Chmara ptaków z gniewnym jazgotem poderwała się z okolicznych drzew i rozproszyła po niebieskim niebie. Ogromny bielik o skrzydłach rozpiętych co najmniej na sześć stóp ślizgowym lotem zajął zwolnione miejsce. Usiadł na najwyższym konarze, kierując w ich stronę swój żółty dziób.

– Tego od was oczekuję – oznajmił tata.

Mama wydmuchała dym.

– No to, córeczko, trochę tu posiedzimy.

– Dobra, Rudzielcu. – Tata podał strzelbę Leni. – Zobaczmy, jak sobie poradzisz. Patrz w celownik – nie przysuwaj go za

blisko – a kiedy namierzysz cel, pociągnij za spust. Powoli, miarowo. Oddychaj spokojnie. Dobra, celuj. Powiem ci, kiedy strzelić. Uważaj na…

Uniosła strzelbę. Ha, Matthew, nie mogę się doczekać, kiedy ci powiem, pomyślała, celując, i niechcący pociągnęła za spust.

Odrzut powalił ją na ziemię, celownik uderzył w oko z trzaskiem podobnym do odgłosu łamanych kości.

Krzyknęła i upuściła broń. Klęczała, zgięta w pół, i przyciskała dłoń do pulsującego oka. Zemdliło ją z bólu, żołądek podjechał do gardła.

Jęcząc i pochlipując, poczuła, jak ktoś przykuca przy niej, czyjaś ręka gładzi ją po plecach.

– Cholera, Rudzielcu. Nie powiedziałem, że masz strzelić. Już, już dobrze. Oddychaj. Typowy błąd rekruta. Nic ci nie będzie.

– Co z nią? – krzyknęła rozpaczliwie mama.

Tata podciągnął ją z ziemi.

– Nie płacz, Leni. To nie jest rozgrzewka przed konkursem o szkolne stypendium. Musisz słuchać, co mówię. Uczę ciebie chronić własne życie.

– Ale… – Strasznie cierpiała. Pulsujący ból rozsadzał czaszkę. Źle widziała zranionym okiem. Obraz był w połowie zamazany. Żal, że tata bagatelizuje jej cierpienie, potęgował ból. Rozczulała się nad sobą. Była gotowa się założyć, że Tom Walker w życiu nie potraktowałby Matthew w taki sposób.

– Dość tego, Lenoro. – Delikatnie potrząsnął jej ramieniem. – Podobno podoba ci się na Alasce i chcesz tu zostać.

– Ernt, proszę cię, ona nie jest żołnierzem – interweniowała mama.

Tata obrócił Leni przodem do siebie, zacisnął dłonie na jej ramionach i tym razem mocno nią potrząsnął.

– Ile dziewczyn uprowadzono w Seattle do naszego wyjazdu?

– D-dużo. Co miesiąc jedną. Czasem więcej.

– Kim były?

– Zwykłymi dziewczynami. Przeważnie nastolatkami?

– A Patty Hearst porwano z jej mieszkania. I był tam wtedy jej chłopak, tak?

Leni wytarła oczy i kiwnęła głową.

– Lenoro, chcesz być ofiarą czy zwycięzcą?

Ból głowy nie pozwalał zebrać myśli.

– Zwycięzcą?

– Tutaj musimy być gotowi na wszystko. Zależy mi, abyś umiała się obronić. – Głos mu się łamał. Widziała, że tata stara się ukryć emocje. Kochał ją. Dlatego chciał, żeby umiała o siebie zadbać. – A jeśli coś się stanie, kiedy mnie tu nie będzie? Niedźwiedź wedrze się do domu albo otoczy cię wataha wilków? Musisz wiedzieć, jak ochronić i siebie, i mamę.

Mocno pociągnęła nosem, chciała powstrzymać płynące łzy. Miał rację. Musi być silna.

– Wiem.

– No, w porządku. Podnieść strzelbę – polecił. – Spróbuj jeszcze raz.

Pochyliła się po ubłoconą broń. Złożyła się do strzału.

– Nie przysuwaj celownika tak blisko oka. Pamiętaj o odrzucie. Dobrze. Tak trzymaj. – Delikatnie poprawił ustawienie strzelby. – Połóż palec na spuście. Lekko.

Nie mogła się przemóc. Bała się, że znowu dostanie w oko.

– No już – ponaglił ją.

Westchnęła głęboko i przesunęła wskazującym placem po zimnym wygiętym kawałku metalu. Pochyliła głowę, odsuwając twarz od celownika.

Ze wszystkich sił starała się skoncentrować. Odgłosy wokół niej przycichały, krakanie wron i szum wiatru oddalały się, zagłuszane łomotem jej serca.

Zamknęła lewe oko. Walczyła ze strachem.

Świat skurczył się do małego krążka. Z początku obraz był zamazany, podwójny.

Skup się.

Zobaczyła belę siana, biały papier, zarys ludzkiej głowy i ramion. Zaskoczyło ją, jak wyraźnie to wszystko widzi. Dokładnie ustawiła broń, wycelowała w sam środek głowy.

Bardzo powoli pociągnęła za spust.

Zachwiała się pod mocnym ciosem kolby w bark, ale celownik nie sięgnął oka. Usłyszała świst pocisku i głuche uderzenie, gdy trafił w cel.

Kula utkwiła w sianie. Nie trafiła w tarczę ani nawet w kartkę, tylko w belę. O dziwo, ten mały sukces wprawił ją w dumę.

– Wiedziałem, Rudzielcu, że dasz radę. Kiedy więcej poćwiczymy, będziesz strzelać jak snajper.

---

3 Judy Garland, *Get Happy*, sł. Ted Koehler

7

Kiedy Leni weszła do klasy, pani Rhodes wypisywała na tablicy numery stron, które mieli przeczytać.

– Oho – przywitała ją – ktoś tu chyba dostał celownikiem w oko. Chcesz aspirynę?

– Błąd rekruta – oznajmiła Leni, niemal dumna z urazu. Dzięki niemu stawała się Alaskanką. – Nic mi nie jest.

Nauczycielka kiwnęła głową.

– W takim razie usiądź i otwórz książkę do historii.

Idąc na miejsce, Leni zatrzymała spojrzenie na Matthew. Uśmiechał się do niej szeroko, pokazując komplet krzywych zębów.

Gdy wsuwała się na krzesło, ich stoliki stuknęły o siebie.

– Prawie każdy za pierwszym razem zostaje trafiony w oko. Ja chyba tydzień chodziłem z podbitym. Boli?

– Bolało. Ale całkiem podoba mi się strzelanie, nie myślałam…

– Łoś! – wrzasnął Axle, zrywając się z miejsca i podbiegając do okna.

Leni i Matthew ruszyli za nim. Wszystkie dzieci zgromadziły się przy oknie i patrzyły, jak potężny łopatacz spokojnie przechadza się po boisku za szkołą. Przewrócił stolik turystyczny i zabrał się do krzewów, wyrywając je z korzeniami.

Matthew przechylił się do Leni, dotykając barkiem jej ramienia.

– Wymyślmy coś i zróbmy sobie dziś wolne od szkoły. Ja powiem, że kazali mi wrócić do domu po przerwie na lunch.

Poczuła dreszczyk ekscytacji na myśl o ucieczce z lekcji. Nigdy jeszcze nie była na wagarach.

– Mogę powiedzieć, że boli mnie głowa. Tylko muszę tu wrócić o trzeciej. Przyjadą po mnie.

– Super.

– No, już dobrze – odezwała się pani Rhodes. – Dość tego. Leni, Axle, Matthew, otwórzcie książki do historii stanu Alaska na sto siedemnastej stronie…

Przez całe przedpołudnie oboje nerwowo zerkali na zegar. Tuż przed przerwą na lunch Leni, skarżąc się na ból głowy, powiedziała, że chce wrócić do domu.

– Dojdę do sklepu i stamtąd wezwę rodziców przez krótkofalówkę.

– Oczywiście – zgodziła się pani Rhodes, nie wyczuwając kłamstwa.

Leni szybko wyszła ze szkoły, zamknęła za sobą drzwi. Przeszła kawałek drogą i dała nura między drzewa.

Pół godziny później dołączył do niej szeroko uśmiechnięty Matthew.

– To co robimy? – spytała. Jaki mieli wybór? Nie było telewizji, kina, bitych dróg do jazdy rowerem, barów, gdzie można posiedzieć przy mlecznym koktajlu, torów do jazdy na rolkach ani placów zabaw.

Wziął Leni za rękę i zaprowadził do ubłoconego trójkołowca.

– Wskakuj – zachęcił ją, moszcząc się na czarnym siodełku.

Leni nie za bardzo przypadł do gustu ten pomysł, ale nie chciała wyjść przy nim na tchórza, posłusznie więc wsiadła, niezdarnie obejmując go w pasie.

Matthew uruchomił motocykl, ruszyli ze skowytem silnika. Otoczyła ich chmura kurzu, spod grubych opon pryskały

odłamki skał. Przejechali przez miasto i most i znaleźli się na gruntowej drodze. Tuż za lądowiskiem Matthew skręcił między drzewa, przeskoczył ponad rowem i popędził ścieżką, o której istnieniu Leni nie miała pojęcia.

Wjechali po stoku na płaskowyż gęsto porośnięty drzewami. Rozciągał się stamtąd widok na niebieskie morze i atakowany przez fale poszarpany brzeg. Matthew zwolnił i umiejętnie prowadził maszynę po nierównym terenie bez ścieżek. Leni kurczowo się go trzymała, co rusz podskakując na siodełku.

Wreszcie zatrzymał pojazd i wyłączył silnik.

Natychmiast otoczyła ich cisza, mącona jedynie pluskiem fal o granitowe skały pod nimi. Matthew wyjął lornetkę z bagażnika.

– Chodź.

Ruszył przodem, pewnie stąpając po nierównym skalistym podłożu. Leni dwukrotnie o mało nie upadła, bo odłamki granitu usuwały się jej spod butów, on natomiast poruszał się jak kozica, jakby był u siebie w domu.

Zaprowadził ją do niecki podobnej do przymkniętej dłoni, wysoko nad morzem. Dwa drewniane krzesła zbite z desek domowym sposobem stały zwrócone przodem do drzew. Matthew usiadł na jednym z nich i zachęcił ją gestem, żeby zrobiła to samo.

Rzuciła plecak na trawę i opadła na krzesło. Matthew przez lornetkę lustrował okoliczne drzewa.

– Są. – Podał jej lornetkę i wskazał na kępę drzew. – To Lucy i Ricky. Moja mama tak je nazwała.

Przyłożyła lornetkę do oczu i powoli przesunęła nią od lewa do prawa. Z początku widziała jedynie drzewa, mnóstwo drzew, aż w końcu mignęło jej coś białego.

Jeszcze parę centymetrów i je namierzyła.

Wysoko, w koronie drzewa, para bielików siedziała na gnieździe wielkości wanny. Jeden z ptaków karmił trzy pisklęta. Przepychały się jedno przez drugie z zadartymi do góry łebkami, łapczywie łykając kąski. Ich kłótliwe poskrzekiwanie niosło się ponad szumem wody.

– O rany! – wyszeptała. Najchętniej wyciągnęłaby polaroid z plecaka (nigdy się z nim nie rozstawała), lecz z tej odległości nie sfotografowałaby ptaków takim prymitywnym aparatem.

– Odkąd pamiętam, przylatują w to miejsce składać jaja. Mama po raz pierwszy mnie tu przyprowadziła, kiedy byłem jeszcze mały. Powinnaś zobaczyć je podczas budowania gniazda. Niesamowity widok. I one łączą się w pary na całe życie. Nie wiem, co zrobiłby Rick, gdyby coś stało się z Lucy. Mama mówi, że to gniazdo może ważyć z tonę. Całe życie podglądam odlot orląt z gniazda.

– O rany – powtórzyła, uśmiechając się, kiedy jedno z piskląt, rozkładając skrzydła, próbowało wdrapać się na rodzeństwo.

– Ostatnio tu nie przychodzimy.

Wychwyciła zmianę w jego głosie. Odjęła lornetkę od oczu i spojrzała na Matthew.

– Ty z mamą?

Skinął głową.

– Ciężko mi, odkąd rozstała się z tatą. Może tak się czuję dlatego, że moja siostra, Alyeska, wyjechała na studia do Fairbanks. Brakuje mi jej.

– Musicie być bardzo zżyci.

– Bardzo. Ona jest fajna. Polubiłabyś ją. Jej się wydaje, że chce mieszkać w dużym mieście, ale długo nie wytrzyma. Wróci. Tata mówi, że oboje musimy skończyć studia, żeby poznać różne możliwości. Bardzo się przy tym upiera. Ja nie potrzebuję studiów, żeby wiedzieć, czego chcę.

– Już wiesz?

– Jasne. Chcę zostać pilotem. Jak mój wujek Went. Podoba mi się tam wysoko, w chmurach. Według taty to nie wystarcza. Podobno muszę poznać fizykę i takie tam bzdety.

Jak dobrze go rozumiała. Oboje byli dziećmi; nikt ich nie pytał o zdanie, niczego im nie mówił. Musieli jakoś sobie radzić w otaczającym świecie, nierzadko się gubiąc, bo nic nie miało tam sensu, a jedyną pewną rzeczą było ich ostatnie miejsce w szeregu.

Odchyliła się na szorstkie oparcie. Matthew powiedział jej coś bardzo osobistego, coś, co miało dla niego znaczenie. Musi odwdzięczyć się podobną szczerością. Czy nie na tym polegała prawdziwa przyjaźń? Przełknęła kluskę w gardle.

– Masz szczęście – zaczęła cicho – że twój tata się troszczy o ciebie. Mój jest… dziwny, odkąd wrócił z wojny.

– Dziwny?

Wzruszyła ramionami. Nie bardzo wiedziała, jak to określić, żeby nie powiedzieć za dużo.

– Miewa koszmary i robi się agresywny, kiedy zmienia się pogoda. Czasami. Ale po przeprowadzce koszmarne sny się skończyły. Może mu się poprawiło.

– No, nie wiem. Tutaj zima jest jedną długą nocą. Ludzie w ciemnościach świrują, wybiegają z krzykiem z domu, strzelają do swoich zwierząt albo do znajomych ludzi.

Leni poczuła, jak nerwowy skurcz zaciska jej żołądek. Dotąd tak naprawdę nie pomyślała o tym, że w zimie będzie cały czas ciemno, tak jak teraz na okrągło jest dzień. Właściwie odpychała od siebie te myśli o ciemnej zimie.

– Co cię martwi? – zagadnęła Matthew.

– Boję się, że mama nas zostawi. Oczywiście wiem, że zbudowała dom w naszym siedlisku i że moi starzy nadal się kochają w jakiś dziwaczny sposób, ale to nie to samo co dawniej. Któregoś dnia po prostu przyszła do domu i oznajmiła

tacie, że już go nie kocha. Teraz kocha tego popaprańca Cala. – Matthew odwrócił się na krześle i wpatrywał się w Leni. – Wiesz, to straszne, że ktoś może przestać cię kochać.

– Taak…

– Szkoda, że niedługo kończy się szkoła.

– Wiem. Zostały tylko trzy dni do letnich wakacji. A potem…

Kiedy skończą się lekcje, Leni będzie musiała całe dnie zajmować się gospodarstwem. Podobnie jak Matthew. Nieczęsto będą się widywać.

W ostatni dzień szkoły Leni i Matthew przyrzekli sobie, że postarają się widywać, zanim we wrześniu rozpoczną się lekcje, choć oboje mieli świadomość, że to raczej mało prawdopodobne. Byli dziećmi, niewiele od nich zależało, a już na pewno nie rozporządzali swoim czasem. Leni natychmiast poczuła się samotna, kiedy po rozstaniu z Matthew szła do busa, który już czekał na środku drogi.

– Córciu, jakaś ty smutna – zauważyła mama, patrząc na nią z fotela kierowcy.

Leni usiadła na miejscu dla pasażera. Po co ma się użalać, skoro i tak niczego nie zmieni. Jest trzecia po południu. Przed nią cały kawał dnia, czyli wiele godzin ciężkich obowiązków.

– Mam pomysł – oznajmiła mama, kiedy dotarły do domu. – Przynieś ten wełniany koc w paski i wyjmij baton czekoladowy z lodówki. Spotkamy się na plaży.

– Co będziemy robić?

– Zupełnie nic.

– Co? Tata nigdy się na to nie zgodzi.

– Nie ma go – odparła mama z uśmiechem.

Leni nie zwlekała ani sekundy. Wbiegła szybko do domu (żeby mama przypadkiem nie zdążyła się rozmyślić), z lodówki turystycznej w kuchni wyjęła batonik Hersheya i wyciągnęła koc zza oparcia kanapy. Owinąwszy się w niego jak w poncho, przecięła polanę i zeszła po rozchwierutanych schodkach nad zatoczkę z pasem szarych kamyków, ich prywatną plażę. Po lewej stronie piętrzyły się skały, kusząc ciemnymi grotami, rzeźbionymi przez wieki przez cieknącą wodę.

Mama stała w wysokiej trawie na skraju plaży z papierosem w ręce. Leni była pewna, że dzieciństwo będzie jej się kojarzyć z zapachem morskiego powietrza, dymu z papierosów i różanych perfum.

Rozłożyła koc na pofałdowanej ziemi i usiadły obie z wyciągniętymi nogami, przechylone ku sobie. Drobne fale na niebieskim morzu podpływały niespiesznie, obmywając kamienie. Niedaleko nich dryfująca na grzbiecie wydra krótkimi czarnymi łapkami otwierała muszlę małża.

– Gdzie tata?

– Pojechał łowić z Szalonym Earlem. Podejrzewam, że tata chce go prosić o pożyczkę. Robi się cienko z pieniędzmi. Zostało mi trochę z tych od mojej mamy, ale trzymam je na papierosy i klisze do polaroidu. – Posłała Leni nikły uśmiech.

– Nie jestem pewna, czy tata powinien widywać się z Szalonym Earlem – zauważyła Leni.

Uśmiech mamy zgasł.

– Wiem, co masz na myśli.

– Jednak tata jest tutaj szczęśliwy. – Starała się nie myśleć o tym, co usłyszała od Matthew o nadchodzącej ciemnej zimie, budzącej w ludziach szaleństwo.

– Szkoda, że nie pamiętasz go sprzed Wietnamu.

– Taa. – Słyszała dziesiątki opowieści o tamtych czasach. Mama uwielbiała opowiadać, jak było przedtem, jak wtedy żyli.

W jej ustach to brzmiało jak bajka.

Miała szesnaście lat, kiedy zaszła w ciążę.

Szesnaście.

Ona skończy czternaście we wrześniu. O dziwo, nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała. Oczywiście wiedziała, ile mama ma lat, ale dopiero teraz to do niej dotarło.

– Byłaś zaledwie dwa lata starsza ode mnie, kiedy zaszłaś w ciążę.

Mama westchnęła.

– Chodziłam wtedy do gimnazjum. Chryste, nic dziwnego, że rodzice o mało nie wykorkowali. – Rzuciła Leni krzywy, łobuzerski uśmiech. – Nie należeli do ludzi, którzy potrafiliby zrozumieć takie dziewczyny jak ja. Nie znosili moich ciuchów i mojej muzyki, a ja nienawidziłam ich zasad. Jako szesnastolatka uznałam, że wszystko wiem najlepiej, o czym nie omieszkałam ich poinformować, i wtedy oni wysłali mnie do katolickiej szkoły, gdzie podciągnięcie spódnicy powyżej kolana uważano za objaw buntu. Miałyśmy klęczeć, modlić się i dobrze wyjść za mąż.

Dla mnie poznanie twojego taty było jak fala, która zwala z nóg. Wszystko, co mówił, wywracało do góry nogami konwencjonalny świat, w którym dorastałam, i miało na mnie ogromny wpływ. Nie umiałam bez niego oddychać. Stwierdził, że szkoła nie jest mi do niczego potrzebna. Wierzyłam we wszystko, co mówił. Byliśmy zbyt zakochani, żeby uważać, no i zaszłam w ciążę. Mój ojciec wpadł w szał, kiedy mu o tym powiedziałam. Chciał mnie odesłać do jednego z tych domów dla niezamężnych matek. Wiedziałam, że tam mi ciebie odbiorą. Nigdy nie czułam do nikogo większej nienawiści niż w tamtej chwili do własnego ojca. – Mama westchnęła.

– Więc uciekliśmy. Miałam szesnaście – no, prawie siedemnaście – lat, a twój tata dwadzieścia pięć. Kiedy się

urodziłaś, byliśmy spłukani, mieszkaliśmy w przyczepie, ale to wszystko nie miało znaczenia. Co tam pieniądze, praca, ciuchy, kiedy ma się najcudowniejsze dziecko na świecie?

Mama wystawiła twarz do słońca.

– Cały czas ciebie nosił. Najpierw na rękach, a potem na barana. Uwielbiałaś go. Odcięliśmy się od świata i żyliśmy miłością, jednak ten świat brutalnie wtargnął w nasze życie.

– Wojna – podpowiedziała Leni.

Pokiwała głową.

– Kiedy dostał powołanie, błagałam go, żeby uciekał. Myślałam o Kanadzie. Sprzeczaliśmy się bez końca. Nie chciałam być żoną żołnierza, ale uznał, że skoro go powołali, to pojedzie. Spakowałam mu rzeczy, zraszając je łzami, i pozwoliłam pojechać. Podobno na rok. Nie wiedziałam, co robić, dokąd się udać, jak bez niego żyć. Skończyły mi się pieniądze, dlatego wróciłam do domu, do rodziców. Ale nie mogłam tam wytrzymać. Cały czas się kłóciliśmy. Powtarzali bez końca, że powinnam odejść od Ernta i myśleć o tobie, więc w końcu się od nich wyniosłam. Wtedy właśnie trafiłam do tamtej komuny i poznałam ludzi, którzy nie osądzali nieletniej matki. Mniej więcej w tym czasie śmigłowiec twojego taty został zestrzelony, a on sam trafił do niewoli. W ciągu sześciu lat dostałam od niego tylko jeden list.

Leni pamiętała matkę rozpaczliwie płaczącą nad tamtym listem.

– Kiedy wrócił do domu, wyglądał jak zombi – ciągnęła mama. – Ale kochał nas. Kochał jak powietrze. Mówił, że nie może zasnąć beze mnie w ramionach, a i tak bardzo kiepsko sypiał.

Jak zwykle i tym razem opowieść mamy gwałtownie się urywała; to koniec bajki. Zła wróżka zatrzaskiwała drzwi przed nosem zaciekawionych dzieci. W tym człowieku, który wrócił

z wojny, trudno było odnaleźć tamtego, który wsiadł do samolotu lecącego do Wietnamu.

– Ale tutaj radzi sobie lepiej – podsumowała mama. – Nie sądzisz? Jest prawie sobą.

Leni zapatrzyła się na nieuchronnie toczące się ku niej morze. Nie ma sposobu na powstrzymanie przypływu. Wystarczy jeden błąd, chwila nieuwagi i fale zmyją cię z brzegu, wciągną pod wodę. Czytanie map, mądre wybory i ciągła gotowość; jedynie to może cię uratować.

– Wiesz, że tutaj przez pół roku jest noc? Że zimy są ostre ze śnieżycami, a powietrze lodowate?

– Wiem.

– Zawsze mówiłaś, że w złą pogodę mu się pogarsza.

Poczuła, że matka się od niej odsuwa. Nie chciała zmierzyć się z tym faktem. Obie wiedziały, dlaczego.

– Tym razem tak nie będzie – stwierdziła mama, gasząc papierosa o kamień przy kocu. – Nie tutaj. Tu jest zdecydowanie szczęśliwszy. Zobaczysz – dodała dla większego przekonania.

Długie letnie dni łagodziły obawy Leni. Lato na Alasce było magiczne. Dzień polarny. Morze światła. Osiemnaście jasnych godzin z krótką przerwą na zmierzch, odznaczający granicę między dniami.

Światło i praca – takie jest lato na Alasce.

Tyle rzeczy należało zrobić. Cały czas się o tym rozmawiało. Przy bufecie w restauracji, w kolejce do kasy w wielobranżowym sklepie, na promie do miasta. Jak połowy? Udało się polowanie? Obrodziło w ogrodzie? Wszystkie pytania dotyczyły gromadzenia zapasów, przygotowań do zimy.

Tutaj ludzie podchodzili do zimy bardzo poważnie. Leni zdążyła już się tego nauczyć. Nadejście chłodów stanowiło podtekst wszystkich rozmów i działań. Nawet jeśli wypłynąłeś na ryby w piękny letni dzień, łowiłeś na zimę. Pod przyjemnością krył się ważny obowiązek. Przetrwanie zdawało się zależeć od najdrobniejszych spraw.

Razem z rodzicami wstawała o piątej rano i po szybkim śniadaniu każde z nich zabierało się do pracy. Łatali zagrodę dla kóz, rąbali drewno, dbali o ogród, gotowali mydło, łapali i wędzili łososie, wyprawiali skóry, wekowali ryby i warzywa, cerowali skarpety, zabezpieczali opakowane produkty taśmą izolacyjną. Cały dzień byli na nogach: dźwigali, przybijali, budowali, szorowali. Duża Marge sprzedała im trzy kozy i Leni nauczyła się nimi zajmować. Nabrała wprawy w zbieraniu jagód, robieniu dżemów, wyłuskiwaniu małży oraz w przygotowywaniu najlepszej pod słońcem przynęty z ikry łososia. Wieczorem mama gotowała im nowe potrawy – najróżniejsze kombinacje z łososia czy halibuta z warzywami z ogrodu. Tata czyścił strzelby, naprawiał żelazne pułapki odkupione od Szalonego Earla i czytał poradniki o rozbiorze mięsa. Tutaj sposobem na życie był handel wymienny i sąsiedzka pomoc. W każdej chwili na podjeździe mógł się pojawić ktoś, kto oferował płat mięsa, omszałe deski albo wiadro jagód w zamian za coś, czego sam potrzebował.

Na tych rubieżach kwitło życie towarzyskie. Ludzie skrzykiwali się przez krótkofalówki i stawiali się z lodówkami turystycznymi pełnymi łososi, przywozili skrzynki piwa. Czasem kuter z rybakami dobił do brzegu albo na zatoce wylądował hydroplan i już po chwili ludzie skupiali się gdzieś na plaży wokół ogniska, rozmawiali, śmiali się i pili, kończąc zabawę dobrze po północy.

Leni bardzo dojrzała w tamto lat; a przynajmniej poczuła się dorosła. We wrześniu skończyła czternaście lat, dostała pierwszej miesiączki i nareszcie potrzebowała stanika. Pryszcze niczym mikroskopijne różowe wulkany wybuchały jej na policzkach, nosie, pomiędzy brwiami. Początkowo miała opory, żeby zobaczyć się z Matthew; bała się, że jego nastawienie się zmieni, kiedy zobaczy ją w trakcie krępującego przepoczwarzania; tymczasem on zdawał się nie widzieć, że własna skóra stała się jej wrogiem. Spotkania z nim stanowiły jasną stronę życia w tym miejscu. Kiedy tylko mieli okazję pobyć razem, uciekali od towarzystwa, zaszywali się gdzieś i rozmawiali. On recytował wiersze Roberta Service'a lub pokazywał jej różne ciekawostki: gniazdo pełne niebieskich kaczych jaj albo ogromny odcisk niedźwiedziej łapy na piasku. Ona przy różnym oświetleniu fotografowała te osobliwości – oraz Matthew – a potem przypinała zdjęcia do ściany na swoim stryszku, tworząc z nich wielki kolaż.

Lato skończyło się tak samo szybko, jak się zaczęło. Jesienią na Alasce pogoda zmieniała się błyskawicznie. Deszcz padał bez przerwy, rozmiękczał ziemię, zalewał część półwyspu, zasnuwał powietrze szarą kurtyną mgieł. Rzeki występowały z brzegów, odrywały kawały ziemi i drążyły nowe koryta.

Liście topoli wokół ich chaty zżółkły z dnia na dzień. Potem zwinięte w poczerniałe trąbki z cichym poszumem opadały na ziemię, usypując szeleszczące, koronkowe sterty.

Zaczął się rok szkolny i Leni poczuła, że powraca dzieciństwo. Spotkali się z Matthew w klasie; usiadła przy nim, dosuwając blisko krzesło.

Jego uśmiech na nowo ją przebudził; przypomniał, że życie nie składa się z samej pracy. Dzięki niemu dowiedziała się czegoś nowego o przyjaźni: prawdziwi przyjaciele, nawet po

długiej rozłące, kiedy się spotkają, mają wrażenie, jakby w ogóle się nie rozstawali.

W zimny sobotni wieczór pod koniec września, po długim pracowitym dniu, Leni stała przy oknie, patrząc na ciemne podwórko. Obie z mamą padały ze zmęczenia – od świtu do zmierzchu wekowały łososie z ostatnich w tym sezonie połowów. Myły słoje, skrobały łuski, cięły tłuste różowe mięso na kawałki, ściągały srebrzyście połyskującą skórę. Potem zamykały ryby w słojach i pasteryzowały w szybkowarze. Na koniec znosiły słoje do ziemianki i ustawiały na świeżo zbitych półkach.

– Jeżeli w pokoju znajdzie się dziesięciu normalnych facetów i jeden świr, z góry wiadomo, kogo twój ociec najbardziej polubi.

– Co? – mruknęła Leni.

– Mniejsza z tym.

Mama stanęła obok niej. Zapadła już noc. Księżyc w pełni otulał ziemię sinobiałą poświatą. Punkciki gwiazd i eliptyczne smugi światła kreśliły wzory na niebie. Tu, w nocy, niewiarygodnie wielka kopuła nieba nigdy nie była całkiem czarna. Miała odcień głębokiego granatu. Świat pod nią prawie zupełnie znikał. Czasem tylko mignął gdzieś czerwony język ognia lub srebrne refleksy prześliznęły się po falach.

Tata z Szalonym Earlem stali na dworze przy beczce po ropie i popijali na zmianę z jednego dzbanka. Czarny dym buchał z beczki, w której paliły się śmieci. Reszta ludzi, którzy dziś im pomagali, już dawno wróciła do domów.

Szalony Earl niespodziewanie wyciągnął pistolet i strzelił między drzewa.

Tata wybuchnął głośnym śmiechem.

– Jak długo oni zamierzają tam stać? – spytała Leni. Kiedy ostatni raz wyszła do wygódki, usłyszała urywki rozmowy. „Rujnowanie kraju… zadbać o bezpieczeństwo… budzi się anarchia… nuklearna…”.

– Kto wie.

W głosie mamy pobrzmiewała irytacja. Usmażyła steki z łosia przyniesione przez Earla, upiekła ziemniaki i nakryła do kolacji na karcianym stoliku. A Leni, żeby się nie chybotał, podłożyła pod nogę książkę.

To wszystko zrobiły parę godzin temu. Teraz mięso będzie pewnie twarde jak podeszwa.

– Dość tego – stwierdziła mama i wyszła na dwór.

Leni stanęła w otwartych drzwiach. Kozy zabeczały obudzone odgłosem kroków.

– Hej, Coro! – zawołał Szalony Earl z głupawym uśmiechem. Ledwo trzymał się na nogach, potknął się i zatoczył na prawo.

– Earl, chciałbyś zostać u nas na kolację?

– Niee, ale dzięki – odparł, kiwając się na boki. – Moja córka wygarbuje mi skórę, jeśli nie zjem w domu. Robi dziś zupę rybną z łososia.

– To może innym razem – skwitowała mama, wracając do chaty. – Chodź, Ernt. Leni jest bardzo głodna.

Szalony Earl dotoczył się do ciężarówki, wdrapał do szoferki i odjechał, kilka razy hamując i trąbiąc klaksonem.

Tata drobił ostrożnie po polanie; znak, że był pijany. Leni znała ten jego chód na pamięć. Z trzaskiem zamknął drzwi i zataczając się, opadł na krzesło.

Mama przyniosła talerz z mięsem, opieczonymi ziemniakami i ciepłym chlebem na zakwasie, który Thelma nauczyła ją piec. Taki zakwas wszyscy tutaj zawsze mieli pod ręką.

– On… jest wielki – wybełkotał tata, wpychając do ust kawał mięsa i głośno go żując. Podniósł na nie mętny wzrok. – A wy musicie się jeszcze wiele nauczyć. Rozmawialiśmy o tym z Earlem. Kiedy dojdzie do GWWW, wy dwie zostaniecie pierwszymi ofiarami.

– GWWW? O czym ty, na Boga, mówisz? – zapytała szorstko mama.

Leni rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie. Mama dobrze wiedziała, że kiedy jest pijany, lepiej z nim nie dyskutować.

– Kiedy gówno wpadnie w wentylator. No, wiesz. Stan wojenny. Bomba atomowa. Pandemia. – Oderwał kawałek chleba i zamoczył w sosie z mięsa.

Mama odchyliła się na krześle. Patrząc na niego spod przymrużonych powiek, zapaliła papierosa.

Mamo, nie, błagała w myślach Leni. Nic nie mów.

– Ernt, nie cierpię tych dywagacji o końcu świata. I weź pod uwagę Leni. Ona…

Tata walnął pięścią w stół. Brzęknęły talerze i sztućce.

– Cholera, Coro, nie możesz choć raz być po mojej stronie?!

Zerwał się od stołu, podszedł do rzędu kurtek na hakach przy wejściu. Poruszał się nieskładnie. Leni słyszała, jak mruknął, zdaje się, „cholerna baba” i dodał coś jeszcze pod nosem.

Mama podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami.

– Nie dotykaj mnie – warknął, odpychając ją.

Chwycił kurtkę, wsunął nogi w gumowce i wyszedł na dwór, trzaskając drzwiami.

Leni pochwyciła spojrzenie mamy. W dużych niebieskich oczach odbijał się jej własny lęk.

– Czy on wierzy w ten koniec świata?

– Obawiam się, że tak. A może chce w niego wierzyć. Kto wie? Nieważne. To tylko takie gadanie.

Niestety, Leni wiedziała, że ważne.

Pogoda się zmieniała.

A tata razem z nią.

– Jak naprawdę wygląda? – spytała Matthew po lekcjach następnego dnia. Dzieci wokół nich zbierały rzeczy i szykowały się do wyjścia.

– Co jak wygląda?

– Zima.

Zastanawiał się chwilę.

– Jest piękna i straszna. Wtedy się dowiadujesz, czy Alaska jest dla ciebie. Większość przybyszów ucieka stąd jeszcze przed końcem zimy.

– Wielka Samotność – wyszeptała. – Tak Robert Service nazywał Alaskę.

– Żebyś wiedziała – przytaknął powagą.

Pokiwała głową, żałując, że nie może mu się zwierzyć ze swoich lęków, że boi się zagrożeń i w domu, i poza nim.

Mogła rozmawiać z Matthew o wielu sprawach. O tym, że tata za dużo pije, krzyczy, wpada w złość, ale nie mogła mu powiedzieć, że czasem się go boi. Taki brak lojalności nie mieścił jej się w głowie.

Ramię w ramię wyszli ze szkoły.

Bus już czekał. Poobijany i podrapany wyglądał fatalnie. Zderzak trzymał się na taśmie izolacyjnej. Tłumik zgubili, wpadając w dziurę na drodze, i teraz ten ich rzęch ryczał jak samochód wyścigowy. Rodzice siedzieli w środku. Przyjechali po nią razem.

– Cześć! – powiedziała do Matthew i podeszła do busa. Wsiadając, rzuciła plecak na tylne siedzenie. – Hej! – przywitała rodziców.

Tata wrzucił wsteczny bieg i zawrócił.

– Szalony Earl chce, żebym nauczył jego rodzinę paru rzeczy – oznajmił, wyjeżdżając na główną drogę. – Rozmawialiśmy o tym wieczorem.

Chwilę później byli już za miastem, szybko pokonali wzgórze i wjechali do osady. Tata wysiadł pierwszy. Po drodze zabrał z tylnego siedzenia strzelbę i zarzucił ją sobie na ramię.

Szalony Earl siedział na ganku. Na widok taty natychmiast się podniósł i pomachał do niego. Krzyknął coś, czego Leni nie zrozumiała. Wszyscy dokoła przerwali pracę. Odłożyli łopaty, siekiery oraz piły i skupili się na polanie pośrodku osady.

Mama otworzyła drzwi po stronie pasażera. Leni wysiadła za nią, czując, jak podeszwy jej „traktorów" grzęzną w wilgotnej, gąbczastej ziemi.

Do osady wjechała pogięta ciężarówka forda i zaparkowała obok busa. Wysiadł z niej Axle, a za nim Agnes i Marthe. Cała trójka dołączyła do ludzi gromadzących się przed chatą Earla.

Szalony Earl stanął na pochyłym skorodowanym ganku, przybierając dość niewygodną pozę na przesadnie szeroko rozstawionych nogach. Białe włosy, przetłuszczone przy skórze i splątane przy końcach, okalały jego obwisłą twarz. Nogawki brudnych dżinsów miał wpuszczone w gumiaki, flanelowa robocza koszula musiała pamiętać lepsze czasy.

Zamachał ramionami, dając krewniakom znak, żeby się zbliżyli.

– Chodźcie tu, chodźcie. Ernt, Ernt, stań przy mnie, synu.

Tata wyminął Thelmę i Teda; przechodząc obok Clyde'a, uśmiechnął się i klepnął go w plecy. Wskoczył na ganek i stanął obok Earla. Przy tym drobnym starcu wydawał się jeszcze wyższy i smuklejszy, no i niezwykle przystojny z tymi czarnymi włosami i gęstymi czarnymi wąsami.

– Wczoraj wieczorem my tu gadali o tym gównie, co się dzieje w Hameryce – zaczął Szalony Earl. – Nasz prezydent to oszust, a bomba rozerwała w powietrzu samolot linii TWA. Już nikt nie jest bezpieczny.

Leni odwróciła się i spojrzała na mamę, a ona w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

– Mój syn, Bo, był najlepszy z nas. Kochał Alaskę i kochał dobrą starą Hamerykę tak bardzo, że jako ochotnik poszedł walczyć na tamtej przeklętej wojnie. Utraciliśmy go. Ale nawet w tamtej diabelnej dziurze myślał o nas. O swojej rodzinie. Zależało mu na naszym bezpieczeństwie. I dlatego przysłał nam tu swego przyjaciela, Ernta Allbrighta, żeby stał się jednym z nas. – Stuknął tatę w plecy, wypychając go do przodu. – Całe lato przyglądałem się Erntowi i teraz wiem. On chce być najlepszy z nas.

Tata z tylnej kieszeni spodni wyjął złożoną gazetę i podniósł ją do góry.

WYBUCH BOMBY W SAMOLOCIE LINII TWA. 88 OSÓB ZABITYCH – krzyczał nagłówek.

– Może i mieszkamy w głuszy, ale jeździmy do Homer, Sterling, do Soldotny. Wiemy, co się dzieje na świecie. Ataki IRA, Organizacji Wyzwolenia Palestyny, smarkaczy z Weathermana. Zabójstwa. Porwania. Te wszystkie dziewczęta, które zaginęły bez śladu w stanie Waszyngton; teraz z kolei dochodzi do morderstw dziewcząt w Utah. Symbioniczna Armia Wyzwolenia. Próby nuklearne w Indiach. Wybuch trzeciej wojny światowej jest tylko kwestią czasu. Może będzie jądrowa… albo biologiczna. A kiedy do tego dojdzie, gówno naprawdę wpadnie w wentylator.

Szalony Earl, pomrukując pod nosem, potakiwał głową.

– Mamo? – szepnęła Leni. – To wszystko prawda?

Mama zapaliła papierosa.

– Coś bywa prawdą i nieprawdą, a teraz cichutko. Nie chcemy, żeby się wściekł.

Tata znalazł się w centrum uwagi i bardzo mu to odpowiadało.

– Wszyscy wykonaliście wspaniałą pracę, aby zapewnić sobie samowystarczalność na trudne czasy. Macie dobry system zbierania deszczówki i zapasy jedzenia. Zabezpieczyliście źródła wody pitnej i jesteście wspaniałymi myśliwymi. Wasze ogrody są zadbane, chociaż mogłyby być większe. Możecie wszystko przetrwać. Wszystko, oprócz skutków stanu wojennego.

– Co masz na myśli? – spytał Ted.

Tata wyglądał jakoś… inaczej. Zrobił się wyższy. Leni nie pamiętała, kiedy trzymał się tak prosto.

– Wojnę jądrową. Pandemię. Fale elektromagnetyczne. Trzęsienie ziemi. Tsunami. Tornado. Wulkaniczną eksplozję Mount Denali albo Mount Rainier. W tysiąc dziewięćset ósmym roku wybuch na Syberii był tysiąc razy silniejszy od bomby zrzuconej na Hiroszimę. Istnieją miliony sposobów na unicestwienie tego chorego świata.

– Och, daj spokój, Ernt – żachnęła się Thelma. – Po co straszyć…

– Zamilcz, Thelmo – warknął Szalony Earl.

– Cokolwiek się stanie, czy to będzie tragedia wywołana przez człowieka, czy klęska żywiołowa, zawsze natychmiast dochodzi do łamania prawa – kontynuował tata. – Sami pomyślcie. Brakuje prądu. Komunikacja przerwana. Nie ma sklepów spożywczych. Żywność jest skażona. Nie ma wody pitnej. Załamanie cywilizacji. Stan wojenny.

Tata zrobił przerwę i po kolei popatrzył wszystkim w oczy.

– Ludzie tacy jak Tom Walker, ze swoimi dużymi domami, drogimi łodziami i koparkami będą totalnie zaskoczeni. Na co

im ziemia i bogactwa, kiedy skończą się zapasy żywności i leków? Na nic. I wiecie, co się stanie, kiedy tacy Walkerowie zorientują się, że nie są przygotowani?

– Co? – zapytał Szalony Earl, patrząc na tatę z taką miną, jakby ujrzał Boga.

– Taki Walker przyjdzie tutaj, załomocze do naszych drzwi i będzie błagać o pomoc nas, ludzi, których uważał za gorszych od siebie. – Zawiesił głos. – Musimy wiedzieć, jak się obronić przed rabusiami, którzy będą próbowali wydrzeć nam to, co nasze. Przede wszystkim musimy zawsze mieć w pogotowiu plecaki przetrwania – zestawy, które pomogą nam przeżyć po katastrofie. W każdej chwili musimy być zdolni do ucieczki.

– Tak jest! – krzyknął ktoś.

– To nie wszystko. Pewne rzeczy są załatwione. Ale bezpieczeństwo kuleje. Myślę, że Bo przekazał mi tę ziemię, żeby doprowadzić mnie tutaj, do was, i pokazać, że nie jesteście dostatecznie przygotowani. Musicie walczyć o swój dobytek. Zabić każdego, kto wyciągnie po niego rękę. Wiem, że wszyscy jesteście myśliwymi, lecz kiedy dojdzie do GWWW, musicie umieć więcej. Broń tępa łamie kości. Noże przecinają tętnice. Strzały rozrywają ciało. Przyrzekam, że zanim spadnie pierwszy śnieg, wszyscy będziecie przygotowani na najgorsze; każde z was, niezależnie od wieku, będzie w stanie obronić siebie i swoją rodzinę przez czyhającym zagrożeniem.

Szalony Earl z uznaniem pokiwał głową.

– W takim razie ustawcie się w szeregu. Chcę zobaczyć, na ile sprawnie posługujecie się bronią. Od tego zaczniemy.

8

Pod koniec października dni zaczęły się gwałtownie skracać. Leni boleśnie odczuwała utratę każdej odrobiny światła. Dzień budził się ospale o dziewiątej rano, około piątej po południu nadchodziła noc. Zaledwie osiem godzin w dziennym świetle i szesnaście w ciemnościach. Noc zapadała gwałtownie, zupełnie jakby ziemię nakrywał skrzydłami jakiś niewyobrażalnie wielki drapieżny ptak.

Pogoda ciągle się zmieniała. Padał deszcz, potem śnieg, znowu deszcz albo – jak dziś pod wieczór – marznąca mżawka. Mroźny wiatr ścinał kałuże w płaty brudnego lodu poprzerastane chwastami. Leni pracowała w błocie i brudzie. Nakarmiła już kozy i kury i teraz brnęła po brei do lasku za domem z dwoma pustymi wiadrami. Jesień zmieniła topole w bezlistne szkielety. Wszystko, co żyło, kryło się skulone przed zimnem i wilgocią.

Kiedy wspinała się po wzniesieniu nad rzekę, zimny wiatr targał ją za włosy, wciskał się pod kurtkę. Zgarbiona wtulała głowę w ramiona.

Pięć razy musiała pokonywać tę drogę, żeby napełnić beczkę, którą trzymali przy domu. Co prawda deszcz pomagał, ale nie można było zdawać się na los. Woda, podobnie jak drewno na opał, zawsze musiała być pod ręką.

Gdy zlana potem zaczerpnęła kolejne wiadro wody ze strumienia i i postawiła je na ziemi, nagle zrobiło się ciemno. Noc zapadła momentalnie, jakby ktoś nakrył garnek pokrywką.

Odwróciła się w stronę domu. Miała przed sobą bezmiar czerni. Zniknęły kontury zabudowań i drzew, nad głową nie było gwiazd, księżyc nie oświetlał ścieżki.

Poszukała w kieszeni czołówki, którą dostała od taty. Sprawdziła tasiemkę, nałożyła włączoną latarkę na głowę. Wyciągnęła pistolet z kabury i wetknęła go za pasek spodni.

Z łomotem serca pochyliła się po wiadra i dźwignęła je z ziemi. Metalowe uchwyty nawet przez rękawice wrzynały się w dłonie.

Lodowaty deszcz przeszedł w śnieg, kłuł w czoło i policzki.

Zima.

Niedźwiedzie, zdaje się, jeszcze nie śpią? Teraz są najbardziej głodne, muszą się najeść, nim ułożą się do snu.

Zobaczyła w ciemnościach wlepione w nią żółte ślepia.

Nie. Tylko jej się wydawało.

Ziemia pod nogami była rozmiękła. Pośliznęła się. Woda chlupnęła z wiader na rękawice. Uspokój się. Uspokój. Uspokój.

Strumień światła z latarki omiótł zwalony pień. Dysząc ciężko i trąc dżinsami o korę, przeszła ponad nim. Nie przystanąwszy ani na chwilę, wspięła się na wzgórze, zeszła w dół, obeszła kępę gęstych zarośli i zobaczyła jasny punkt.

Światło.

Chata.

Chciała puścić się biegiem. Jak najszybciej znaleźć się w domu, wsunąć się w objęcia mamy, ale nie była głupia. Już popełniła błąd – nie dopilnowała czasu, za późno poszła po wodę.

Bliżej chaty ciemności nieco się rozrzedziły. Wyłaniał się z nich grafitowy zarys domu, nad dachem połyskiwała metalowa rura od piecyka, w rozświetlonym oknie na bocznej ścianie poruszały się cienie. Powietrze miło pachniało drzewnym dymem.

Szybko obeszła chatę, podniosła prowizoryczną pokrywę i przechyliła wiadra z resztą wody nad beczką. Dźwięk przy przelewaniu podpowiadał, że napełniła beczkę w trzech czwartych.

Drżące ręce dopiero przy drugiej próbie natrafiły na klamkę.

Trzęsąc się na całym ciele, weszła do domu.

– Jestem!

– Zamknij się, Leni – warknął tata.

Mama ubrana w powyciągane dresowe spodnie i luźny sweter stała przed nim z niepewną miną.

– Hej, córciu – odezwała się. – Powieś kurtkę i zdejmij buty.

– Coro, mówię do ciebie – wysyczał tata.

Leni słyszała złość w jego głosie, widziała, jak mama się wzdrygnęła.

– Musisz oddać ten ryż. Powiesz Dużej Marge, że nie możemy za niego zapłacić.

– Ale… na razie nie mamy łosiny – przypomniała. – Potrzebujemy…

– To wszystko moja wina, tak?! – wrzasnął.

– Wiesz, że nie to miałam na myśli. Zima coraz bardziej daje się we znaki. Potrzebujemy więcej jedzenia, a pieniądze…

– Według ciebie nie wiem, że ich potrzebujemy? – Rąbnął pięścią w stojące obok krzesło. Potoczyło się po podłodze, przewracając się z łoskotem.

Leni cofnęła się o krok przerażona dzikim wyrazem oczu taty, błyskiem białek.

Mama podeszła do niego, położyła mu dłoń na twarzy, próbowała go uspokoić.

– Ernt, kochanie, coś wymyślimy.

Cofnął się jak oparzony i ruszył do wyjścia. Zerwał kurtkę z haka przy oknie, szarpnięciem otworzył drzwi, wpuszczając do środka powiew lodowatego powietrza, i zamknął je

z trzaskiem za sobą. Chwilę później usłyszały warkot silnika, przednie światła busa wbiły się w okna, oblewając mamę złotobiałą poświatą.

– To pogoda – powiedziała, zapalając papierosa i odprowadzając bus wzrokiem. W świetle reflektorów jej piękna twarz wydawała się zapadnięta i niemal woskowa.

– A będzie jeszcze gorsza – zauważyła Leni. – Z każdym dniem robi się zimniej i ciemniej.

– Wiem. – Westchnęła, tak samo przerażona jak Leni. – Wiem.

Zima coraz bardziej dawała o sobie znać na Alasce. Życiowa przestrzeń skurczyła się do wnętrza chaty. Słońce wschodziło kwadrans po dziesiątej i zachodziło zaledwie piętnaście minut po zakończeniu lekcji. Dzień nie trwał nawet sześciu godzin. Śnieg sypał bez przerwy, pokrywał wszystko białą powłoką. Mroźny wiatr wzbijał biały puch, tworząc pryzmy, i malował wzory na szybach. Za dnia przez warstwę szarych chmur przedzierało się nie tyle światło, ile jego wspomnienie. Krajobraz ściskany mrozem zdawał się jęczeć z bólu. Oblodzone pędy wierzbówki sterczały spod śniegu, tworząc misterne rzeźby. Na tym koszmarnym zimnie wszystko zawodziło – drzwi samochodów przymarzały, okna trzeszczały, silniki odmawiały posłuszeństwa. Z radia płynęły ostrzeżenia o złej pogodzie na przemian z wiadomościami o zgonach, tak samo częstych podczas alaskańskiej zimy jak zamarzanie rzęs i brwi. Ludzie tracili życie z najbłahszych powodów. Wystarczyło, że komuś kluczyki wpadły do wody, skończył się gaz w zbiorniku, zepsuła się odśnieżarka, samochód za ostro wszedł w zakręt. Leni za każdym razem, wychodząc z domu, musiała powiadamiać rodziców, gdzie idzie i co będzie robić. Zima już

zdawała się wlec bez końca. Pas plaży pokryła lodowa skorupa. Z połyskliwymi kamykami i muszelkami przypominała kołnierz wyszyty cekinami. Wiatr hulał po obejściu, z każdym podmuchem zmieniając biały krajobraz. Drzewa kuliły się w sobie, zwierzęta kryły po norach, nie różniąc się pod tym względem od ludzi, którzy chodzili zgarbieni i szczególnie dbali o bezpieczeństwo.

Życie Leni nigdy dotąd nie było tak ograniczone. W dobre dni, kiedy udawało się uruchomić bus i pogoda w miarę sprzyjała, jechała do szkoły. W złe pozostawała jedynie praca w dającym się we znaki zimnie. Skupiała się na tym, co akurat musiała robić: na jeździe do szkoły, odrabianiu lekcji, karmieniu zwierząt, noszeniu wody, kruszeniu lodu, cerowaniu skarpet, łataniu ubrań, gotowaniu z mamą, sprzątaniu, podkładaniu drew do kozy. Codziennie trzeba było narąbać drewna, poznosić je i poukładać. Podczas tych krótkich dni nie było czasu na rozmyślania, wypełniał je automatyzm czynności koniecznych, by przetrwać. W plastikowych kubeczkach ustawionych na parapecie pod stryszkiem wysiały z mamą nasiona warzyw na rozsadę. Nawet weekendowe ćwiczenia survivalowe w osadzie Harlana zostały czasowo zawieszone.

Bardziej od pogody męczyła konieczność przebywania w zamknięciu. Odcięci od świata Allbrightowie byli skazani na siebie. Całe długie godziny spędzali skupieni wokół kozy.

Napięcie rosło. Między rodzicami dochodziło do kłótni o pieniądze, o podział obowiązków, o pogodę. O wszystko i o nic.

Leni wiedziała, że tatę martwią kurczące się zapasy i brak pieniędzy. Widziała, jak bardzo to przeżywa, i widziała również niepokój w czujnych oczach mamy przyglądającej się tacie.

Starał się panować nad sobą. Świadczyły o tym jego tiki: drganie powiek, marszczenie czoła, mimowolne zaciskanie

pięści. Często na wszelki wypadek uciekał wzrokiem przed córką i żoną. Przeważnie wstawał przed świtem i zostawał na dworze, jak długo się dało; wracał po zmroku oblepiony śniegiem, ze szronem na wąsach i brwiach, z posiniałym koniuszkiem nosa.

Widziały te jego wewnętrzne zmagania. Kiedy dni jeszcze bardziej się skróciły, zaczął krążyć nerwowo po chacie, pomrukując pod nosem. W bezsenne noce zabierał potrzaski i szedł je zastawiać głęboko w lesie, jak nauczył go Szalony Earl. Wracał skonany z zapadniętymi policzkami. Milczący. Zamknięty w sobie. Gdy udawało mu się złapać lisa lub kunę, sprzedawał skóry w mieście. Dzięki temu jakoś utrzymywali się na powierzchni, lecz nawet Leni nie umknął widok pustych półek w ziemiance. Pieniądze, które mama pożyczyła od babci, dawno się skończyły, nowych nie było skąd brać. Mama rzadko paliła. Czasami, kiedy tata nie widział, Duża Marge ukradkiem wsuwała jej papierosy i kliszę do polaroidu za darmo, ale nieczęsto jeździli do miasta.

Tata miał dobre intencje, a jednak życie z nim przypominało obcowanie z dzikim zwierzęciem. Leni przypominały się opowieści Alaskan o hippisach, którzy próbowali mieszkać wśród wilków i niedźwiedzi i w końcu przypłacali to życiem. Można oswoić drapieżnika, nawet nawiązać z nim więź. Będzie lizać człowieka po twarzy, ocierać się, prosząc o pieszczoty. Jednak nigdy nie wolno zapominać, że to dzikie zwierzę i chociaż obroża, smycz i miska pomogą je udomowić, nie zmienią jego natury. Wilkowi wystarczy ułamek sekundy na obnażenie kłów.

Obserwowanie zachowań taty i wsłuchiwanie się w ton jego głosu było bardzo wyczerpujące.

Mama źle wyglądała. Miała poszarzałą twarz i oczy pozbawione blasku. Może wykańczał ją niepokój, a może życie

w ciągłym zamknięciu.

W jeden szczególnie zimny grudniowy dzień Leni obudził krzyk. Coś grzmotnęło o podłogę.

Od razu się domyśliła, że tatę dręczą koszmary. Wyczołgała się ze śpiwora i wychyliła głowę poza krawędź stryszku. Mama ubrana w dresy stała przy zasłonie z koralików z latarnią w wysoko uniesionej dłoni. Jasne światło padało na jej przerażoną twarz i splątane włosy. W ciemności piecyk był pomarańczową kropką.

Tata niczym dzikie zwierzę rzucał się, szarpał, warczał, wykrzykiwał coś niezrozumiale… Potem zaczął otwierać skrzynie, przewracać w nich, szukać czegoś. Mama podeszła do niego i położyła mu dłoń na plecach, a on odepchnął ją z całej siły. Zatoczyła się, uderzyła o ścianę i krzyknęła z bólu.

Tata znieruchomiał i gwałtownie się wyprostował. Drgały mu skrzydełka nosa. Zaciskał i otwierał prawą pięść. Kiedy zobaczył mamę, wszystko się zmieniło.

– Jezu, Coro – wyszeptał załamany. – Wybacz. Ja… ja nie wiedziałem, gdzie jestem.

– Wiem – przytaknęła ze łzami w oczach.

Podszedł do niej, objął ją i kołysał w ramionach. Osunęli się na kolana, przytuleni do siebie czołami. Leni słyszała, że rozmawiają, ale nie mogła wyłowić słów. Wsunęła się do śpiwora i próbowała na nowo zasnąć.

– Leni! Wstawaj! Jedziemy na polowanie. Muszę wyjść z tej cholernej chaty.

Westchnęła i ubrała się po ciemku. W tych zimowych miesiącach nauczyła się żyć jak te fosforyzujące bezkręgowce

pływające w mroku na dnie morza; światło i kolor pochodziły wyłącznie z ich wnętrza.

Na dole przez szczelinę w drzwiczkach kozy sączyła się na pokój pomarańczowa poświata. Widziała sylwetki stojących przy niej rodziców. Słyszała ich oddechy. Na wierzchu w metalowym imbryku bulgotała kawa, rozsiewając w powietrzu kuszący zapach.

Tata zapalił latarnię i uniósł ją do góry. Jego twarz w ciepłym świetle wydawała się zapadnięta, oczy miał podkrążone, prawa powieka drżała.

– Dziewczyny gotowe?

Mama wyglądała na znużoną. W obszernej parce i watowanych spodniach wydawała się za delikatna na tę pogodę i zbyt krucha na długi marsz. Źle sypiała przez koszmary taty i nocne krzyki.

– Jasne – powiedziała. – Uwielbiam polować o szóstej rano w niedzielę.

Leni zdjęła z haka szarą kurtkę z kapturem i spodnie z podpinką, które w zeszłym miesiącu znalazła w Homer w punkcie Armii Zbawienia. Nałożyła używane sznurowane buty do kostek podarowane przez Matthew. Z kieszeni kurtki wyciągnęła puchowe rękawice.

– Dobra. W takim razie ruszamy – zdecydował tata.

Na dworze panowała cisza. Powietrze stało nieruchomo, nie trzeszczały gałęzie, a śnieg, sypiąc bezgłośnie, pokrywał wszystko równą bielą. Na ich widok kozy zbite w ciasną gromadkę zaczęły pobekiwać, przepychając się do ogrodzenia. Leni rzuciła im wiązkę siana, podsypała ziarna kurom i rozkruszyła lód w poidłach.

Kiedy weszła do busa, mama już tam siedziała. Leni przeszła do tyłu. Na tym zimnie uruchomienie silnika zajmowało dużo czasu, a jeszcze dłużej tajały szyby. W tej części świata bus się

nie sprawdzał. Zdążyli się już o tym boleśnie przekonać. Tata musiał założyć łańcuchy na koła i uszczelnić przerwę między przednimi fotelami dużą sportową torbą. Leni na fotelu z tyłu dygotała z zimna i obejmując się ciasno ramionami, co chwila zapadała w płytki sen.

Tata skręcił w prawo na główną drogę do miasta, ale przed lądowiskiem odbił w lewo na szlak do nieczynnej kopalni chromu. Długo jechali po ubitym śniegu, pokonując mnóstwo serpentyn. Ta droga wyglądała na wyciętą w zboczu. Głęboko w lesie na grzbiecie góry tata gwałtownie zahamował. Wręczył im po czołowej latarce i strzelbie, zarzucił plecak na ramię i otworzył drzwi.

Wiatr sypnął śniegiem do środka. Musiało być co najmniej minus osiemnaście stopni Celsjusza. Leni nałożyła latarkę, dociągnęła pasek i dopiero wtedy ją zapaliła. Cienka wiązka białego światła padała prosto w przestrzeń.

Czarne niebo bez gwiazd i sypiący gęsto śnieg. Głęboka, niezmącona czerń, pełna szeleszczących drzew i przyczajonych drapieżników.

Tata ruszył pierwszy, wydeptując im ścieżkę rakietami śnieżnymi. Leni puściła mamę przodem i trzymała się tuż za nią.

Długo szli. Policzki najpierw ją piekły, a potem zdrętwiały. Rzęsy i włoski w nosie zamarzły, pod bielizną swędziała spocona skóra. W pewnej chwili poczuła zapach własnego ciała. Ciekawe, czy tylko ona go czuła. Tutaj bardzo łatwo polujący mógł stać się łupem.

Brnęła przed siebie zgarbiona z głową wtuloną w ramiona. Nie od razu się zorientowała, że od jakiegoś czasu coraz wyraźniej widzi swoje stopy, buty, rakiety. Poświata, z początku szarawa, nie do końca realna, przemieniła się w świt, różowy jak tłuste mięso łososia.

Dzień.

Teraz dopiero mogła się rozejrzeć. Szli po zamarzniętej rzece. Przeraziło ją, że tak na ślepo pozwoliła się tacie prowadzić. A jeżeli lód jest za cienki? Jeden fałszywy krok i ktoś może wpaść do wody, zniknąć pod lodem.

Usłyszała trzask pod butami.

Tata parł przed siebie, najwyraźniej niezrażony, że pod stopami ma zamarzniętą rzekę. Na przeciwległym brzegu wyciął ścieżkę w gęstych ośnieżonych zaroślach i rozglądając się, przechylał głowę, jakby nasłuchiwał. Twarz ponad oszronionym zarostem miał czerwoną z zimna. Leni wiedziała, że szuka tropów w śniegu i zwierzęcych odchodów. Zające najczęściej żerowały o brzasku i przed zapadnięciem zmroku.

– Jest zając – mruknął do Leni, nieruchomiejąc. – Tam, na skraju lasu.

Podążyła spojrzeniem za jego palcem. Wszystko, włącznie z niebem, było białe. Trudno było cokolwiek dostrzec w monotonnej bieli.

Nagle poruszenie. Puszysta biała kula pokicała przed siebie.

– Tak, widzę go.

– Uważaj, Leni. Jest twój. Oddychaj. Uspokój się. Złóż się do strzału – instruował ją.

Podniosła strzelbę. Od miesięcy ćwiczyła strzelanie, wiedziała, co robić. Zamiast wstrzymywać powietrze w płucach, spokojnie oddychała. Wycelowała w zająca. Czekała. Świat wokół niej nie istniał. Była tylko ona i zając, połączeni ze sobą drapieżca i ofiara.

Pociągnęła za spust.

Wszystko zdawało się dziać jednocześnie: strzał, odrzut, trafienie, osunięcie się zająca na śnieg.

Celny, czysty strzał.

– Świetnie – pochwalił tata.

Zarzuciła strzelbę na ramię i gęsiego ruszyli po jej trofeum.

Patrzyła na zająca, na puszyste białe futro obryzgane krwią, leżące w jej kałuży.

Zabiła. Zapewniła swojej rodzinie pożywienie na kolejny dzień.

Zabiła. Pozbawiła życia.

Nie była pewna, co powinna czuć, a może walczyły w niej dwie sprzeczne emocje: duma i smutek. Prawdę mówiąc, zbierał się w niej płacz. Ale teraz była Alaskanką i tak wyglądało jej życie. Bez polowania nie ma jedzenia. I nic się nie zmarnuje. Z futra uszyje się czapkę, na kościach ugotuje rosół. Wieczorem mama usmaży mięso na maśle, które same robią z koziego mleka, doprawi je cebulą i czosnkiem. Kto wie, może zaszaleją i upieką parę ziemniaków.

Tata klęknął na śniegu i przewrócił zająca na grzbiet. Po drżeniu rąk i napięciu w głosie poznała, że dopadł go ból głowy.

Wbił nóż w podbrzusze i jednym pewnym ruchem przeciął skórę i kości aż do mostka. Podłożył umazany krwią palec pod ostrze noża i manipulował nim ostrożnie, żeby przypadkiem nie rozciąć kiszek. Dopiero kiedy otworzył zwierzę, wyjął wnętrzności i położył na śniegu parujący, różowoczerwony kopczyk.

Wygrzebał z niego małe okrągłe serce i podsnuł je Leni. Krew kapała mu spomiędzy palców.

– Zostałaś myśliwym. Zjedz serce.

– Ernt, proszę – odezwała się mama. – Nie jesteśmy dzikusami.

– Ależ tak, jesteśmy – wycedził głosem tak lodowatym jak wiatr za ich plecami.

Leni spojrzała na mamę. W jej oczach widziała własne przerażenie.

– Czy mam jeszcze raz powtórzyć? – spytał tata.

Ten cichy głos przerażał bardziej niż krzyk. Dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie. Wyciągnęła rękę po obłe sinoróżowe serce (czy ono nadal biło, czy to ona dygotała?).

Ojciec obserwował ją spod zmrużonych powiek. Włożyła je do ust i na siłę zacisnęła wargi. Natychmiast ją zemdliło. Śliskie, lepkie serce pękło pod zębami i wypełniło usta metalicznym posmakiem. Na wargi wypłynęły krople krwi.

Połknęła serce, walcząc z wymiotami, i otarła usta, rozsmarowując ciepłą krew na policzku.

Ojciec podniósł wzrok, na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały. Był przygaszony, znużony, ale ciągle obecny; widziała w jego oczach ogrom miłości i smutku, a jednocześnie toczącą się w nim walkę. To tamten przyczajony w nim zły człowiek usiłował się wyrwać na wolność.

– Próbuję nauczyć cię samodzielności.

To stwierdzenie zabrzmiało jak przeprosiny. Za co przepraszał? Za ataki szaleństwa czy za wprawianie jej w polowaniu? Za to, że zmusił ją do zjedzenia bijącego serca? Czy za zarwane noce, kiedy zmagał się ze swymi upiorami?

Grudzień.

Tata był drażliwy i spięty; dużo pił i chodził, mrucząc coś pod nosem. Coraz częściej męczyły go koszmarne sny. Co trzy tygodnie. Raz w tygodniu.

Wiecznie czegoś żądał, strofował je, stał się napastliwy. Jedząc, oddychając, śpiąc i pijąc, myślał wyłącznie o przetrwaniu. Survival. Znowu był żołnierzem, przynajmniej tak mówiła mama. Leni bała się przy nim odzywać, przestraszona, że powie czy zrobi coś nie tak.

Tyrając po szkole i w weekendy, powinna spać kamiennym snem, a tymczasem nocami nie mogła zmrużyć oka. Targały nią strach i obawa o przyszłość.

I tym razem, wyczerpana jak zawsze, leżała z otwartymi oczami, nasłuchując odgłosów na dole. Kiedy wreszcie zasnęła, przyśniło jej się, że jest w jakimś płonącym, pełnym niebezpieczeństw miejscu, gdzie toczyła się wojna, zarzynano zwierzęta, porywano dziewczynki, a mężczyźni krzyczeli i celowali z broni. Zaczęła wołać na pomoc Matthew, ale dziewczęcy głos ginął w chaosie rozpadającego się świata. Zresztą jak niby Matthew miałby jej pomóc? Przecież nie mogła mu nic powiedzieć. Nie o tym. Z niektórymi lękami człowiek pozostawał sam.

– Leni!

Usłyszała swoje imię. Gdzie jest? Przecież to środek nocy. Czyżby nadal śniła?

Ktoś ją chwycił i wyciągnął z łóżka. Nie, to się działo naprawdę. Ktoś przyciskał jej dłoń do ust.

Znała ten zapach.

– Tata? – wydusiła w jego rękę.

– Wstawaj! – rozkazał. – Już.

Słaniając się, dotarła do drabiny i zeszła na dół po omacku.

Na dole nie paliła się ani jedna lampa. Słyszała ciężki oddech matki.

Tata zaprowadził ją do stolika karcianego; naprawił go, już się nie kiwał. Posadził ją na krześle.

– Ernt, naprawdę… – jęknęła mama.

– Zamknij się, Coro.

Coś z głośnym brzękiem potoczyło się po stole.

– Co to jest? – zapytał, stając nad Leni.

Przesunęła dłońmi po przedmiotach na blacie.

Strzelba. Rozłożona.

– Leni, musisz więcej ćwiczyć. Kiedy dojdzie do GWWW, wszystko się zmieni. A jeżeli akurat trafi się w zimie, kiedy jest ciemno? Będziesz zaskoczona, otumaniona, senna. Tu nie ma zmiłuj, stracisz życie. Chcę, żeby umiała sobie poradzić w ciemnościach, kiedy jesteś przestraszona.

– Ernt – odezwała się mama drżącym głosem. – Ona jest tylko dziewczynką. Pozwól jej wrócić do łóżka.

– Kiedy głodni ludzie zechcą nam odebrać jedzenie, myślisz, że się przejmą jakąś dziewczynką?

Leni usłyszała kliknięcie stopera.

– No, dalej! Wyczyść i złóż broń.

Wyciągnęła ręce, namacała zimne części strzelby i zgarnęła je bliżej. Ciemność wytrącała ją z równowagi, spowalniała ruchy. Zobaczyła błysk zapałki, poczuła dym z papierosa.

– Stop! – rozkazał. Zapalił latarkę i skierował strumień światła na broń. – Porażka. Nie żyjesz. Całe jedzenie zniknęło. Jeden z tych zbirów być może chce cię zgwałcić. – Chwycił strzelbę, rozłożył ją i zepchnął części na środek stołu. Oprócz broni zdążyła zobaczyć wycior, szmatkę, specjalny rozpuszczalnik, smar i kilka śrubokrętów. Starała się zapamiętać, co gdzie leży.

Miał rację. Musi wiedzieć, jak sobie poradzić, bo inaczej zginie.

Skup się.

Światło zgasło. Kliknął stoper.

– Start!

Sięgnęła nad stół, przywołując obraz rozłożonych przedmiotów. Przyciągnęła do siebie części, poskładała, przykręciła celownik. Wyciągała rękę po szmatkę, kiedy ponownie kliknął stoper.

– Nie żyjesz – stwierdził z pogardą. – Od nowa.

Wczoraj, w drugą sobotę grudnia, dołączyli do sąsiedzkiej wyprawy do lasu po świąteczne drzewka. Tata wyciął świerk, przyciągnął na saniach i wtargał do chaty. Ustawili go w narożniku pod stryszkiem i zawiesili na gałązkach polaroidowe rodzinne zdjęcia oraz błyszczyki na ryby. Położyli pod pachnącym zielonym drzewkiem kilka prezentów owiniętych w strony wydarte z „Anchorage Daily Times" i flamastrem namalowali wstążeczki. Zawiesili propanowe latarnie. Ich jasne światło kontrastujące z ciągłym mrokiem na dworze sprawiało, że w domu zrobiło się cieplej.

Teraz, w niedzielne popołudnie, mama w kuchni piekła chleb na zakwasie. Apetyczny zapach niósł się po chacie. Zła pogoda trzymała ich w domu. Tata z uchem przy radiu wsłuchiwał się w zakłócane trzaskami głosy, bez przerwy kręcąc gałką. Leni rozpoznała skrzekliwy, monotonny głos Szalonego Earla. Brzmiał całkiem wyraźnie.

Siedziała skulona na kanapie z obszarpaną książką *Idź, zapytaj Alice*, którą znalazła przy śmietniku. Świat wydawał się niewiarygodnie mały; szczelnie zaciągnięte zasłony chroniły przed chłodem, zamknięte drzwi przed mrozem i drapieżnikami.

– Co takiego? Powtórz. – Tata jeszcze niżej nachylił się nad radiem. – Marge, to ty?

– Wypadek. Zaginęli… Grupa poszukiwawcza… Za chatą Walkera… zbiórka… Mine Road. Rozłączam… – Usłyszała Leni pośród szumów i trzasków.

Leni odłożyła książkę i usiadła.

– Kto zaginął? W taką pogodę?

– To była Duża Marge – odparł tata. – Halo? Kto mówi? Kto zaginął? Earl, to ty?

Cisza.

– Ubierajcie się. Ktoś potrzebuje pomocy.

Mama wyjęła z piekarnika na wpół upieczony chleb i nakryła go ścierką do naczyń. Leni wybrała najcieplejsze ze swoich rzeczy: watowane spodnie z mankietami, puchówkę z kapturem i sznurowane buty do kostek. Pięć minut po apelu Dużej Marge siedziała w busie, czekając, aż rozgrzeje się silnik.

To oczywiście musiało potrwać.

Wreszcie tacie udało się jako tako oskrobać przednią szybę. Sprawdził jeszcze łańcuchy na kołach i siadł za kierownicą.

– Fatalny dzień na poszukiwania – mruknął.

Manewrując ostrożnie w białym puchu sięgającym po osie, zawrócił na podjazd. Tam równa warstwa śniegu zakrywała ślady opon, a konary uginały się pod ciężarem szadzi. Para leciała Leni z ust. W busie było zimno jak w psiarni. Po każdym ruchu wycieraczek śnieg na nowo oblepiał szybę.

Gdy dojeżdżali do miasta, śnieżną kurzawę rozproszył blask samochodowych reflektorów. Nieco przed nimi Leni dostrzegła pulsujące żółte i czerwone światła. To Natalie przecierała swoim pługiem ledwo widoczny szlak do starej kopalni.

Tata zdjął nogę z gazu. Zwolnił i dołączył do kawalkady za terenowym pikapem Clyde’a Harlana.

Pokonali wzniesienie i wjechali na polanę. Leni zobaczyła kilka sań motorowych (według niej to były skutery śnieżne, ale tutaj nikt ich tak nie nazywał). Zazwyczaj używali ich ludzie mieszkający w głuszy, bez dróg dojazdowych do domostw. Wszystkie stały z pracującymi silnikami. Poświata z reflektorów sącząca się przez śnieżną mgłę nadawała otoczeniu upiorny, nierzeczywisty wygląd.

Tata ustawił bus przy skuterze. Leni wyszła na zewnątrz za rodzicami. Wyjący wiatr miotał śniegiem, chłód wdzierał się pod ubranie.

Dostrzegli Szalonego Earla z Thelmą.

– Co się stało? – zawołał tata, przekrzykując wiatr, kiedy do nich dobrnęli.

Zanim zdążyli odpowiedzieć, rozległ się świdrujący dźwięk gwizdka.

Do przodu wysunął się mężczyzna w grubej, ocieplanej niebieskiej parce i takich samych spodniach. Po kapeluszu z szerokim rondem poznali policjanta.

– Curt Ward – przedstawił się. – Dzięki, że się stawiliście. Geneva i Matthew Walkerowie zaginęli. Godzinę temu powinni dotrzeć do swojej chaty myśliwskiej. Zawsze jeżdżą tą drogą. Jeżeli coś się im stało, są ranni, powinniśmy na nich natrafić gdzieś między tym miejscem a chatą.

Leni zdała sobie sprawę z tego, że płacze, dopiero gdy mama ją przytuliła.

Matthew.

– Zamarznie na śmierć – wyszeptała, podnosząc oczy na mamę. – Niedługo zapadnie noc.

– Trzymamy się w odległości mniej więcej dwudziestu stóp od siebie – zarządził policjant, nim mama zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Zaczął rozdawać latarki.

Leni włączyła swoją i wpatrzyła się w pas bieli przed sobą. Cały świat skurczył się do tego pasa. Białe muldy, śnieżny pył w powietrzu, białe drzewa celujące w niebo.

Matthew, gdzie jesteś?

Parła przed siebie, ledwie świadoma obecności innych poszukiwaczy, innych świateł. Słyszała szczekanie psów i podniesione głosy. Czasami snopy światła z latarek się krzyżowały. Czas odmierzany oddechem jak gdyby stanął w miejscu.

Zobaczyła tropy jakiegoś zwierzęcia, kupkę kości wymieszanych ze świeżą krwią, rozsypane świerkowe igły. Wiatr na oblodzonych muldach rzeźbił górki i wiry z sypkiego śniegu. Przestrzenie między drzewami były zagrodzone gałęziami połamanymi przez zwierzęta, które zapewne szukały tu chwilowego schronienia przed mrozem.

Drzewa rosły coraz gęściej. Czuła, jak temperatura gwałtownie spada; dzień ustępował miejsca nocy. Śnieg nareszcie przestał padać. Wiatr przewiał chmury i na granatowej kopule nieba rozbłysły gwiazdy. Jaskrawy sierp księżyca oświetlał śnieg. Cały świat kąpał się w srebrzystej poświacie.

Dostrzegła coś. Ręce. Sterczące spod śniegu rozcapierzone palce. Zamarznięte. Rzuciła się przed siebie, zapadając się w kopiastym śniegu. Snop światła z latarki podskakiwał w rytm kroków.

– Matthew, już idę do ciebie – wysapała na świszczącym oddechu.

Rogi. Całe poroże zrzucone przez byka łosia. A może pod śniegiem leżało truchło, pamiątka po kłusowniku. Śnieg przykrywał wiele grzechów. Dopiero wiosną wyjdą na jaw albo na zawsze pozostaną nieznane.

Wiatr się wzmógł, szarpał koronami drzew, łamał gałęzie.

Szła przed siebie niezmordowanie, zredukowana do małego światełka pośród wielu rozciągniętych żółtawych punkcików, przeczesujących niebiesko-biało-czarną ścianę lasu. Słyszała pana Walkera. Głos mu ochrypł od nawoływania Matthew.

– Tam! Na wprost! – zawołał ktoś.

– Widzę go! – odkrzyknął Walker.

Leni próbowała podbiec, zapadając się w głębokim śniegu.

Zobaczyła szarawy kształt… Sylwetkę klęczącą ze zwieszoną głową na brzegu wysrebrzonej przez księżyc, zamarzniętej

rzeki.

Torując sobie drogę łokciami, przepchnęła się między ludźmi akurat w chwili, gdy Walker przykucnął przy synu.

– Mattie? Jestem przy tobie! – wołał, kładąc mu na plecach dłoń w rękawicy. – Jestem. Gdzie mama?

Matthew powoli uniósł głowę. Był trupio blady, usta miał spękane. Oczy, jakby chcąc wtopić się w szare otoczenie, straciły zieloną barwę. Trząsł się na całym ciele. Lód pod nim lśnił w księżycowej poświacie.

– Nie żyje – wychrypiał. – Wpadła pod lód.

Walker podźwignął syna na nogi. Matthew lał się mu przez ręce i dwa razy runąłby na ziemię, gdyby ojciec go nie podtrzymał.

Do uszu Leni docierały strzępy rozmów: lód się załamał… powinna mieć więcej rozumu… Jezu…

– Rozstąpcie się – zadudnił głos Warda. – Dajcie im przejść. Chłopak jest wyziębiony. Trzeba go ogrzać.

9

Zima zabrała pierwszą ofiarę; kogoś, kto się tutaj urodził, wiedział wszystko o przetrwaniu w alaskańskich warunkach.

Leni, zdruzgotana, nie mogła przestać o tym myśleć. Jeżeli Geneva Walker – Gen, Genny, Generator, znam się na wszystkim – tak łatwo straciła życie, nikt nie był bezpieczny.

– Boże – odezwała się Thelma, kiedy wracały przygnębione do swoich pojazdów. – Genny nigdy nie szarżowała na lodzie.

– Wszyscy popełniamy błędy – stwierdziła Duża Marge z twarzą ściągniętą smutkiem.

Natalie Watkins skwapliwie pokiwała głową.

– W tym miesiącu z dziesięć razy przechodziłam przez rzekę. Jezu. Jak to możliwe, że lód zarwał się pod nią o tej porze roku?

Leni słuchała ich i nie słuchała. Myślami była przy Matthew. Wyobrażała sobie, jak on to musi przeżywać. Matka na jego oczach wpadła pod lód i utonęła.

Jak można dojść do siebie po takim przeżyciu? Czy za każdym razem, kiedy zamknie oczy, będzie widział tamtą scenę? Czy będzie w nocy budził się z krzykiem? Jak ona może mu pomóc?

W domu, dygocząc z zimna i z przerażenia (można stracić rodziców albo życie w zwykłą niedzielę, wychodząc na śnieg), napisała do Matthew kilka listów, a potem wszystkie podarła, bo żaden nie wydał się odpowiedni.

Dwa dni później, kiedy całe miasto zgromadziło się na pogrzebie Genevy, idealny list nadal nie był gotowy.

W mroźne popołudnie dziesiątki pojazdów zastawiło uliczki i drogi dojazdowe. Parkowano wszędzie, gdziekolwiek znalazł się kawałek miejsca. Ktoś nawet postawił samochód na środku ulicy. Leni nigdy nie widziała w miasteczku tylu ciężarówek i skuterów śnieżnych naraz. Wszystkie sklepy i firmy były pozamykane. Nawet pub Kicking Moose Saloon nie działał. Kaneq znieruchomiało pokryte śniegiem i lodem w mdłej poświacie zimowego dnia.

Świat może runąć, odmienić się całkowicie w ciągu dwóch dni, kiedy znika z niego jedna osoba.

Zostawili bus na Alpine Street. Leni usłyszała buczenie generatora, który zasilał lampy w kościele na wzgórzu.

Gęsiego wspinali się po zboczu. Światło sączyło się przez zakurzone okna starego kościoła; z komina buchał dym.

Leni zatrzymała się na moment przed zamkniętymi drzwiami, żeby zsunąć z twarzy kaptur obramowany futrem. Za każdym razem, kiedy zajeżdżali do miasta, widziała ten kościół, ale nigdy nie była w środku.

Oglądany z zewnątrz wydawał się większy, niż był w rzeczywistości. W środku miał obite panelami z łuszczącą się białą farbą ściany i sosnową podłogę. Ławek nie było; całą przestrzeń wypełniali ludzie. Przed nimi stał mężczyzna w futrzanej kurtce i zimowych spodniach moro. Twarz prawie całkowicie zasłaniały mu krzaczaste wąsy, bujna broda i bokobrody.

Byli tu wszyscy ludzie, których Leni miała okazję poznać w Kaneq. Duża Marge stała pomiędzy panią Rhodes i Natalie, stawił się cały klan Harlanów, przyszedł nawet Stuknięty Pete z gęsią pod pachą.

Jednak to pierwszy rząd przyciągał jej uwagę. Obok pana Walkera stała śliczna jasnowłosa dziewczyna. To musiała być Alyeska. Przyjechała do domu wraz z krewnymi Walkerów,

których Leni nie znała. Po prawej stronie razem z nimi, a jednak jakby osobno, stał Matthew. Calhoun Malvey, facet Genevy, co chwila przestępował z nogi na nogę. Chyba czuł się skrępowany. Oczy miał podpuchnięte i zaczerwienione.

Próbowała ściągnąć Matthew wzrokiem, lecz on nie zwracał uwagi ani na trzask co rusz otwieranych podwójnych drzwi, ani na towarzyszące temu podmuchy lodowatego powietrza, zarzucające do środka śnieg. Stał ze zwieszonymi ramionami i opuszczoną głową. Profil zasłaniały włosy, których sądząc po wyglądzie, nie mył od tygodnia.

Leni stanęła wraz z rodzicami za rodziną Szalonego Earla, a ten natychmiast podał tacie flaszkę.

Ksiądz, a może pastor, kaznodzieja czy ojciec? – Leni zupełnie nie orientowała się w tych sprawach – zwrócił się do zgromadzonych.

– Wszyscy znaliśmy Genevę Walker. Należała do naszej kongregacji, była jedną z nas od chwili, gdy Tom przywiózł ją tutaj z Fairbanks. Była wesoła i zadziorna. Pamiętacie, jak w Festiwal Łososia Aly namówiła ją do zaśpiewania hymnu? Wszystkie psy zaczęły wyć i nawet Matilda uciekła? A nasza Gen wtedy powiedziała: „No i co z tego, że nie mam głosu? Zaśpiewałam, bo tak chciała moja Aly”. Przypominacie sobie tamte zawody wędkarskie, kiedy zaczepiła haczykiem o policzek Toma i domagała się pierwszej nagrody, upierając się, że złowiła największą rybę? Genny miała serce wielkie jak Alaska. – Zawiesił głos i westchnął. – Nasza Gen. Kobieta, która wiedziała, co znaczy kochać. Nie bardzo wiemy, czyją żoną w końcu była, ale to nieważne. Wszyscy darzyliśmy ją miłością.

Odpowiedział mu cichy, smutny śmiech.

Leni przestała słuchać. Straciła rachubę czasu. Myślała teraz o swojej matce i o tym, co by czuła, gdyby ją utraciła. Z zadumy wyrwał ją dopiero szurgot butów i skrzypienie podłogi.

Msza się skończyła. Ludzie wychodzili z kościoła.

Usiłowała podejść do Matthew, ale tłum poniósł ją w stronę drzwi.

Jak pamiętała, nikt nie wspomniał, że po mszy pójdą do Kicking Moose Saloon, a jednak wszyscy tam zmierzali. Zapewne tak dorosłym nakazywał instynkt.

Zeszła za rodzicami ze wzgórza i podreptała za nimi do pubu po drugiej stronie ulicy. Gdy przekroczyła próg, jej nozdrza wypełnił gryzący zapach dymu i palącego się drewna, nieodmiennie wypełniający to miejsce. Wnętrze przypominało jaskinię. Propanowe lampy zawieszone na krokwiach bujały się, poskrzypując przy każdym otwarciu drzwi i oblewając twarze gości światłem jak wodą.

Stary Jim uwijał się za barem i w szalonym tempie podawał drinki. Przez ramię miał przerzuconą brudną ścierkę, przód flanelowej koszuli znaczyły ciemne zacieki. Leni słyszała kiedyś, że prowadził tę spelunkę od dziesięcioleci. Podobno ją otworzył, kiedy na te rubieże napłynęła garstka mężczyzn, którzy albo wrócili z drugiej wojny światowej, albo tutaj się przed nią ukrywali. Tata od razu zamówił cztery szklaneczki whiskey i wypił je duszkiem.

Wysypana trocinami, pachnąca oborą podłoga tłumiła odgłos kroków zgromadzonych licznie ludzi.

Wszyscy mówili naraz, przyciszone głosy były przepojone smutkiem.

Leni wyławiała z szumu urywki rozmów: piękna… Ostatnią koszulę by oddała… Najlepszy chleb z pokrzywą… Tragedia.

Widziała, jak ta śmierć podziałała na ludzi. Wszyscy mieli szklane oczy, kiwali głowami, urywali w połowie zdania, jakby nie mogąc się zdecydować, co bardziej, słowa czy milczenie, pomagają otrząsnąć się z przygnębienia.

Pierwszy raz zmarł ktoś, kogo znała. Owszem, widziała śmierć w telewizji, czytała o niej w książkach (śmierć Johnny'ego w *Outsiderach* bardzo ją poruszyła), ale tym razem to wydarzyło się naprawdę. W literaturze śmierć niesie jakieś przesłanie, stanowi katharsis, bywa karą za ciężkie przewinienia. Czasem po prostu przestaje bić serce, a czasem śmierć staje się wyborem, jak u Froda, gdy wyruszył do Szarej Przystani. Książkowa śmierć wyciska łzy, napełnia smutkiem, ale przeważnie przynosi spokój, poczucie sprawiedliwości, wrażenie, że historia kończy się tak, jak powinna.

Teraz rozumiała, że w prawdziwym życiu pozostawał jedynie rozdzierający smutek, który na zawsze zmieniał postrzeganie świata.

Zaczęła myśleć o Bogu, o tym, co On oferował w chwilach takich jak ta. Pierwszy raz zastanawiała się, w co wierzą jej rodzice, w co ona wierzy, i zobaczyła, że wiara w Niebo może przynosić ukojenie.

Nie potrafiła wyobrazić sobie czegoś tak potwornego jak utrata matki. Już na samą myśl robiło jej się słabo. Matka to ktoś, kto trzyma sznurek latawca. Bez matczynej kontroli można odlecieć, zagubić się w chmurach.

Wolałaby odsunąć od siebie te łamiące serce myśli, ale w tej sytuacji nie miała na to szans. Jednego była pewna: gdyby znalazła się na miejscu Matthew, potrzebowałaby wsparcia przyjaciela. Czy ktoś taki powinien milczeć współczująco, czy wypełniać ciszę potokiem słów, tego nie była pewna, ale zdecydowanie powinien ofiarować wsparcie. A jak miał się zachować? Sama musiała do tego dojść.

Po nagłej ciszy poznała, że do pubu weszli Walkerowie. Wszystkie głowy odwróciły się ku drzwiom.

Pierwszy stanął w nich pan Walker; wysoki i barczysty musiał się schylić, żeby nie zahaczyć głową o framugę. Długie

jasne włosy opadły mu na twarz; odgarnął je z czoła. Podnosząc głowę, zobaczył skierowane na siebie oczy. Przystanął i się wyprostował. Powoli omiótł spojrzeniem salę, zatrzymując wzrok na twarzach zebranych, i jeszcze bardziej posmutniał. Rozpacz dodała mu lat. Za nim weszła do środka śliczna blondynka z twarzą mokrą od łez. Obejmowała ramieniem Matthew i prowadziła go tak, jak służby specjalne zazwyczaj przeprowadzały prezydenta Nixona przez niechętny tłum. Matthew szedł przygarbiony, ze zwieszonymi ramionami i z opuszczoną głową. Z tyłu za tą grupką plątał się Cal ze szklanymi oczami.

Pan Walker zobaczył mamę i do niej pierwszej podszedł.

– Wyrazy współczucia, Tomie – powiedziała przez łzy, zadzierając głowę.

– Powinienem z nimi być – odpowiedział zgnębiony, patrząc w dół, na mamę.

– Och, daj spokój, Tomie… – Dotknęła jego ramienia.

– Dzięki. – Głos miał zdławiony, ochrypły. Przełknął głośno ślinę i powiódł spojrzeniem po zgromadzonych wokół przyjaciołach.

– Wiem, że nie przepadamy tu za kościelnymi pogrzebami, ale na dworze jest cholerny ziąb, a Genevie pomysł z kościołem by się spodobał.

Po sali rozniósł się zgodny szum; wyraz ulgi pomieszanej ze smutkiem.

– Za Gen! – zawołała Duża Marge, po czym podniosła kieliszek z wódką.

– Za Gen!

Dorośli stuknęli się kieliszkami, wypili i ruszyli do baru po następną kolejkę. Leni patrzyła, jak rodzina Walkerów, idąc przez tłum, przystaje co chwila i zamienia parę słów ze znajomymi.

– Wielce paradny pogrzeb – skomentował na cały głos Szalony Earl, pijacko przeciągając słowa.

Leni zerknęła na Toma Walkera, by sprawdzić, czy to usłyszał, ale był akurat zajęty rozmową z Dużą Marge i Natalie.

– A czegoś się spodziewał? – Tata zawtórował Earlowi, wlewając w siebie kolejną whiskey. Oczy mu lśniły: znak, że się upił. – Dziwię się, że gubernator tu nie przyleciał, żeby nas pouczyć, co mamy czuć. Podobno razem jeżdżą na ryby. Tom lubi nam o tym przypominać.

– Ernt. – Mama przysunęła się bliżej. – On dziś pochował żonę. Nie możemy…

– Milcz, kobieto – syknął. – Widziałem, jak się do niego kleisz…

Przecisnęła się do nich Thelma.

– Boże jedyny, Ernt. To smutny dzień. Odłóż tę swoją zazdrość na dziesięć minut.

– Myślisz, że jestem zazdrosny o Toma? – Popatrzył czujnie na mamę. – A może powinienem być?

Leni odwróciła się do nich tyłem i patrzyła, jak Alyeska, lawirując pomiędzy żałobnikami, prowadzi Matthew w spokojne miejsce pod ścianą.

Ruszyła w tamtą stronę, prześlizgując się między ludźmi. Drażnił ją zapach drzewnego dymu na ich ubraniach, zaduch potu i niedomytych ciał. Kąpiel w zimie była luksusem. Rzadko sobie na nią pozwalali.

Matthew stał samotnie, oparty o okopconą ścianę, i patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Rękaw miał brudny od sadzy.

Zaskoczyło ją, jak bardzo się zmienił. Niemożliwe, aby aż tak schudł w takim krótkim czasie, a jednak kości policzkowe zdawały się przeświecać przez skórę nad zapadniętymi policzkami. Usta miał spękane, z krwawymi strupkami. Brudne

włosy opadały mu w strąkach na blade czoło i zwisały po bokach zaczerwienionej od mrozu twarzy.

– Cześć – odezwała się.

– Cześć – odpowiedział machinalnie.

Co teraz?

Nie powiedz czasem, że jest ci przykro. Tak mówią dorośli i to jest głupie. Pewnie, że jest mi przykro. No i co z tego?

Co teraz?

Przysunęła się bliżej, uważając, aby przypadkiem go nie dotknąć, i stanęła obok oparta o usmoloną ścianę. Ze swego miejsca widziała cały pub – latarnie wiszące pod krokwiami, ściany ozdobione zakurzonymi wiekowymi rakietami śnieżnymi, rybackimi sieciami i nartami biegowymi, przepełnione popielniczki oraz wszechobecny dym, który zasnuwał wszystko i wszystkich.

Rodzice trzymali się z Szalonym Earlem, Clyde'em, Thelmą i resztą klanu Harlanów. Nawet przez dymną zasłonę widziała, jak ojcu poczerwieniała twarz (znak, że wypił za dużo whiskey), jak mówiąc, mrużył oczy ze złością. Mama wyglądała na zrezygnowaną. Stała obok niego, bała się ruszyć, włączyć do rozmowy czy choćby na moment spojrzeć gdzieś w bok, oderwać oczy od męża.

– On mnie obwinia.

Matthew ją zaskoczył, musiała chwilę pomyśleć, co właściwie usłyszała. Jej wzrok powędrował do pana Walkera.

– Twój tata? – upewniła się. – Niemożliwe. Nie ma w tym twojej winy. Ona po prostu… no wiesz, lód…

Matthew się rozpłakał. Stał nieruchomo, napięty i rozedrgany, a łzy ciurkiem płynęły mu po twarzy. Widziała w jego oczach osamotnienie, lęk, obawę przed nieprzewidywalnym w gniewie ojcem; te wszystkie rzeczy, przez które śnią się koszmary.

Ale to i tak było niczym w porównaniu z patrzeniem na śmierć matki. Co się wtedy czuje? Jak żyć z takim obrazem w oczach?

I jak ona, czternastolatka z własnymi kłopotami, mogła pomóc Matthew?

– Znaleźli ją wczoraj – odezwał się. – Słyszałaś? Była bez nogi, a twarz…

Dotknęła go.

– Nie myśl o…

I wtedy z jego ust wyrwało się rozpaczliwe zawodzenie. Wszystkie głowy odwróciły się w ich stronę. Raz jeszcze jęknął jak ranne zwierzę i cały się zatrząsł. Leni na moment znieruchomiała, niepewna, co powinna zrobić. Zareagowała instynktownie – objęła go. Przylgnął do niej, trzymał ją tak mocno, że z trudem oddychała. Na szyi czuła mokre, ciepłe łzy.

– To moja wina – szeptał. – Śnią mi się koszmary. Budzę się taki wściekły, ledwo nad sobą panuję.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, znalazła się przy nich tamta ładna blondynka. Objęła Matthew i odciągnęła od Leni. Wsparł się chwiejnie na siostrze, jakby na nowo uczył się chodzić.

– Ty pewnie jesteś Leni? – zwróciła się do niej Alyeska.

Przytaknęła skinieniem głową.

– Jestem Aly. Starsza siostra Matthew. Opowiadał mi o tobie. – Wyraźnie usiłowała zdobyć się na uśmiech. – Mówił, że się przyjaźnicie.

– Tak – wyszeptała Leni przez ściśnięte ze wzruszenia gardło.

– Macie szczęście. Kiedy tu mieszkałam, w szkole nie było nikogo w moim wieku. Dlatego wyjazd do Fairbanks wydał się mi dobrym pomysłem. Czasami widzę Kaneq i dom jako takie małe, nieważne punkciki. Ale gdybym tu była…

– Przestań – odezwał się błagalnie Matthew. – Proszę.

Blady uśmiech zniknął z twarzy Aly. Leni nie znała tej dziewczyny, lecz jej zmagania o panowanie nad emocjami i miłość okazywana bratu sprawiały, że czuła się z nią dziwnie związana, jakby to właśnie je łączyło.

– Dobrze, że ma w tobie wsparcie. Jemu jest teraz bardzo ciężko, prawda, Matthew? – Głos Aly się załamał. – Ale on się pozbiera. Mam taką nadzieję.

Leni uświadomiła sobie, że nadzieja potrafi człowieka złamać, bywa zwodnicza, gdy nie podchodzi się do niej ostrożnie. Co się stanie z człowiekiem, który miał wielkie nadzieje, a spotyka go w życiu wszystko, co najgorsze? Może lepiej nie mieć nadziei i zachować czujność? Czy nie tego właśnie uczył jej tata? Bądź przygotowana na najgorsze.

– Na pewno – przytaknęła, wcale w to nie wierząc. Wiedziała, jak koszmary senne działają na człowieka i jak złe wspomnienia potrafią go zmienić.

W drodze powrotnej żadne z nich się nie odzywało. Dla Leni upływ każdej sekundy światła wraz z zapadaniem nocy miał dźwięk uderzenia tłuczkiem w kość. Wyobrażała sobie, że tata też słyszy te tracone sekundy, które jak kamyki toczące się z grzechotem po kamiennej ścianie wpadają z pluskiem w mętną czarną wodę.

Mama siedziała wciśnięta w fotel, skulona, i wciąż zerkała na tatę. Był pijany i zły. Wiercił się, uderzał dłonią w kierownicę.

Mama wyciągnęła rękę i pogładziła go po ramieniu.

Cofnął się gwałtownie.

– Lubisz to, co? Obmacywać facetów. Myślisz, że nie widziałem? Masz mnie za głupka?

– Jakbym mogła? – Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Strach ściągnął jej delikatne rysy.

– Widziałem, jak na niego patrzyłaś. – Mruknął coś pod nosem i odsunął się od niej.

Leni zdawało się, że powiedział do siebie „oddychaj", ale nie była pewna. Co do jednego natomiast nie miała wątpliwości: zanosiło się na kłopoty.

– Widziałem, jak dotknęłaś jego ręki.

Jest źle.

Od początku zazdrościł Tomowi Walkerowi pieniędzy, ale to było coś innego.

Przez resztę drogi bluzgał pod nosem: kurwa, dziwka, wywłoka, bębniąc palcami po kierownicy. Na podwórku wytoczył się z busa i stanął wpatrzony w chatę, chwiejąc się na nogach. Mama podeszła do niego. Patrzyli na siebie; oboje oddychali nierówno, chrapliwie.

– Znowu robisz ze mnie głupca, prawda?

Mama dotknęła jego ramienia.

– Chyba nie myślisz, że chcę Toma…

Chwycił ją i powlókł do chaty. Próbowała wyrwać ramię, potknęła się, usiłowała rozewrzeć jego zaciśnięte palce.

– Ernt, proszę!

Leni wbiegła za nimi do chaty.

– Tato, puść mamę, proszę cię.

– Leni, odejdź… – zaczęła mama.

I wtedy ją uderzył. Mama rąbnęła głową o ścianę i osunęła się na podłogę.

– Mamo! – krzyknęła rozpaczliwie Leni.

Podczołgała się na kolanach i słaniając się, podniosła z podłogi. Z rozciętej wargi leciała krew.

Tata zdzielił ją jeszcze raz, mocniej. Znowu poleciała na ścianę, a wtedy on spojrzał na swoje ręce i znieruchomiał

wpatrzony w krew na kostkach.

Zawył jak ranne zwierzę. Jego krzyk poniósł się echem po chacie. Odsunął się od nich, popatrzył na mamę ze smutkiem i nienawiścią, a potem wybiegł na dwór, trzaskając drzwiami.

Przerażenie, niedowierzanie, szok sparaliżowały Leni. Nic nie zrobiła.

Nic.

Powinna była rzucić się na tatę, rozdzielić ich, może nawet pobiec po broń.

Dopiero trzask zamykanych drzwi wyrwał ją z otępienia.

Mama siedziała na podłodze przed kozą, z dłońmi na podołku i ze zwieszoną głową. Włosy opadły jej na twarz.

– Mamo?

Powoli uniosła głowę, założyła kosmyk włosów za ucho. Miała rozmazaną krwawą plamę na skroni. Z przeciętej dolnej wargi krew kapała na spodnie.

Rusz się, zrób coś.

Leni pobiegła do kuchni, zamoczyła szmatkę w wiadrze i uklękła przy mamie, a ona ze znużonym uśmiechem odebrała od niej ściereczkę i przycisnęła do krwawiącej wargi.

– Przepraszam, córeczko – wyszeptała przez materiał.

– On ciebie uderzył – powiedziała osłupiała Leni.

Coś tak potwornego nie mieściło jej się w głowie. Krzyki, awantury, no tak. Ale pięści? Krew? Nie…

Dziecko ma prawo czuć się bezpiecznie we własnym domu, z rodzicami, a do nich należy chronić je przed zagrożeniami z zewnątrz.

– Od rana chodził podminowany. Niepotrzebnie rozmawiałam z Tomem. – Westchnęła. – A teraz pewnie

pojechał do osady chlać whiskey i karmić się nienawiścią z Szalonym Earlem.

Leni patrzyła na pokaleczoną twarz matki, szmatkę czerwoną od krwi.

– Chcesz powiedzieć, że to twoja wina?

– Jesteś za młoda, żeby takie rzeczy zrozumieć. On nie chciał. On czasami… po prostu… Za bardzo mnie kocha.

To prawda? Czy tak ma wyglądać miłość, kiedy będzie dorosła?

– Chciał – stwierdziła cicho Leni, czując, jak przebiega ją zimny dreszcz. Wspomnienia jak fragmenty puzzli wskoczyły na swoje miejsce, układając się w obraz. Tamte sińce. Jestem taka niezdarna, tłumaczyła się mama. Latami ukrywała przed nią tę ohydną prawdę. Obojgu udawało się ją chować za ścianami i kłamstwami, ale tutaj, w tej jednej izbie to nie było możliwe. – Już wcześniej cię bił.

– Nie – zaprzeczyła słabo mama. – Bardzo rzadko.

Leni usiłowała jakoś się z tym uporać. Ogarnąć rozumem, ale za grosz nie widziała w tym sensu. Jak miłość może tak wyglądać? I gdzie tu wina mamy?

– Musimy okazywać zrozumienie i wybaczać – tłumaczyła mama. – Tak się kocha kogoś, kto jest chory. Kogo niszczy choroba. Toczy rak. Tak właśnie musisz o tym myśleć. Ale on z tego wyjdzie. Na pewno. Tata bardzo nas kocha. – Rozpłakała się.

Ten płacz jeszcze bardziej przygnębił Leni, jakby łzy, nawadniając brzydotę, pozwalały jej rosnąć. Objęła mamę, przytuliła i gładziła po plecach, tak jak wielokrotnie robiła to ona, kiedy pocieszała Leni.

Nie wiedziała, ile czasu siedziała z mamą w objęciach, bez końca odtwarzając w głowie tamtą scenę. Z zamyślenia wyrwał ją warkot silnika.

A potem doszedł ją odgłos nierównych kroków na tarasie, grzebanie przy klamce. Mama też musiała to usłyszeć, bo z trudem dźwignęła się z podłogi i odsunęła od Leni.

– Idź na górę – powiedziała.

Leni patrzyła, jak mama się prostuje i odrzuca mokrą, nasiąkniętą krwią szmatkę, która spada na podłogę z pacnięciem.

Lodowate powietrze wdarło się do chaty wraz z otwarciem drzwi.

– Wróciłeś – wyszeptała mama.

Tata stał w otwartych drzwiach. Grymas cierpienia ściągał mu rysy, w oczach miał łzy.

– Coro, Boże drogi – wychrypiał. – Jasne, że wróciłem.

Zbliżyli się do siebie.

Tata padł przed mamą na kolana. Sądząc po odgłosie, jutro będzie miał na nich siniaki.

Mama przysunęła się jeszcze bliżej i wplotła dłonie w jego włosy, on targany spazmami przycisnął twarz do jej brzucha.

– Wybacz – tłumaczył się przez łzy. – Tak bardzo ciebie kocham… Doprowadza mnie to do szaleństwa. Jest ze mną coraz gorzej. – Podniósł na nią oczy, niemal zanosząc się płaczem. – Ja nie chciałem.

– Wiem, kochanie. – Uklękła razem z nim, objęła go i kołysała w ramionach.

Nagle świat Leni się rozsypał; cały wydał jej się niezwykle kruchym miejscem. Ledwo pamiętała czasy „zanim”. A może w ogóle nie pamiętała. Kto wie, czy tamtych obrazów (tata nosi ją na barana, zrywa stokrotki, łaskocze jaskrem w podbródek, czyta bajkę na dobranoc) nie wpisała w swoje życie, oglądając jakieś ilustracje.

Nie wiedziała. Skąd miała wiedzieć? Mama chciała, żeby Leni traktowała zachowanie taty z takim samym pobłażaniem jak

ona. Wybaczała, nawet gdy przeprosiny brzmiały nieprzekonująco, a przyrzeczenie poprawy – niewiarygodnie.

Leni od lat, całe swoje życie, tak właśnie się zachowywała. Kochała oboje rodziców. Widziała, że ta mroczna natura taty była zła i że źle postępował, ale też wierzyła w tłumaczenia mamy: tata jest chory, jest mu przykro, ale jeżeli będą go mocno kochać, wyzdrowieje i będzie tak samo jak przedtem.

Niestety, teraz tę wiarę straciła.

Tak naprawdę zima się dopiero zaczynała. Spędzą jeszcze wiele ciemnych i zimnych miesięcy uwięzione z tatą w tej chacie.

Nie miała jak zadzwonić na 911, nie miała kogo wezwać na pomoc. Tata opisywał jej niebezpieczeństwa czekające na nią na zewnątrz, tymczasem największe zagrożenie czaiło się w ich własnym domu.

10

– Wstawaj, śpiochu! – zawołała mama, radosna jak skowronek następnego ranka. – Czas się zbierać do szkoły.

Zabrzmiało to bardzo zwyczajnie, zapewne wszystkie matki budziły podobnie swoje czternastoletnie pociechy, ale ona usłyszała w tych słowach naleganie na zawarcie niebezpiecznego paktu: udawajmy, że nic się nie stało.

Wezbrał w niej gniew, poczuła się zagubiona. Wiedziała, co to strach i wstyd. Strach zmuszał do ucieczki, wstyd do milczenia, gniew natomiast potrzebował ujścia.

– Proszę cię – odezwała się mama. – Nie rób tego.

– Czego?

– Nie osądzaj mnie.

Rzeczywiście, pomyślała zaskoczona, osądzała matkę. Okazała się nielojalna. A nawet okrutna. Przecież wiedziała, że tata nie jest zdrowy. Przykucnęła i podłożyła książkę pod nogę kiwającego się stolika.

– To wszystko jest bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. On nie chciał. Naprawdę. A ja czasami go prowokuję. Chociaż wiem, że nie powinnam.

Leni westchnęła zrezygnowana i spuściła głowę. Powoli podniosła się z kucek.

– Mamo – zaczęła, odwracając się do niej. – Jesteśmy na Alasce. Nie możemy liczyć na pomoc. Chyba powinnyśmy stąd uciekać. – Dopiero gdy te słowa wybrzmiały, zorientowała się,

że ta myśl narodziła się w jej głowie. – Przed nami jeszcze kawał zimy.

– Ja go kocham. I ty też.

Zgadza się, ale czy to właściwa odpowiedź?

– Poza tym nie wiem, dokąd miałybyśmy pojechać, nie mówiąc już o tym, że jestem bez pieniędzy. Nawet gdybym z podkulonym ogonem chciała wrócić do domu, jak niby miałabym to zrobić? Musiałybyśmy pieszo dotrzeć do miasta, złapać okazję do Homer i stamtąd zadzwonić do rodziców po pieniądze na samolot.

– Pomogliby?

– Pewnie tak. Ale za jaką cenę? On – zawahała się, westchnęła – w życiu nie przyjąłby mnie z powrotem. Nie, gdybym coś takiego zrobiła. To złamałoby mu serce. On mnie bardzo kocha. Tak strasznie się stara. Sama widziałaś, jaki wrócił skruszony.

Oto smutna prawda. Mama za bardzo go kochała, żeby od niego odejść. Nawet teraz, posiniaczona, z opuchniętą twarzą. Może, jak zawsze powtarzała, rzeczywiście nie potrafiłaby bez niego oddychać, zwiędłaby jak kwiat pozbawiony słońca.

Zanim Leni zdążyła odburknąć: To tak ma wyglądać miłość?, drzwi chaty się otworzyły i lodowaty podmuch nawiał do środka śnieżnego pyłu.

Tata szybko wsunął się do środka, zdjął rękawice, pochuchał w dłonie, otupał śnieg z botów z foczego futra. Białe obwódki wokół stóp w mgnieniu oka zmieniły się w kałuże. Wełnianą czapkę, wąsy i brodę oblepiał mu śnieg. Dżinsy zesztywniały na blachę na mrozie. Tata wyglądał jak mityczny człowiek gór.

– O, moja mała bibliotekarka już wstała. – Przywitał ją smutnym, niemal błagalnym uśmiechem. – Nakarmiłem za ciebie kozy i kury. Mama powiedziała, że musisz się wyspać.

Miłość, która przebijała przez skruchę, osłabiała jej gniew, budziła wątpliwości. On nie chciał skrzywdzić mamy, nie miał

takiego zamiaru. Był chory…

– Spóźnisz się do szkoły – upomniała ją cicho mama. – Tu masz śniadanie.

Zgarnęła podręczniki i pudełko z Kubusiem Puchatkiem, nałożyła buty, gruby indiański sweter, naciągnęła czapę z wełny piżmowołu zrobioną na drutach, wzięła rękawice. Po drodze do drzwi chwyciła zrolowany naleśnik cienko posmarowany dżemem i wyszła na biały świat.

Jej oddech zmienił się w biały obłok; widziała tylko padający śnieg i człowieka, który tuż obok oddychał. Bus, już z pracującym silnikiem, powoli wyłaniał się z mlecznej przestrzeni.

Dłonią w rękawiczce nacisnęła klamkę po stronie pasażera. Drzwi puściły dopiero po kilku szarpnięciach. Rzuciła na podłogę plecak oraz pudełko ze śniadaniem i wdrapała się na fotel z podartą dermą na siedzeniu.

Tata usiadł za kierownicą i włączył wycieraczki. Z radia ryknął poranny serwis informacyjny *Peninsula Pipeline*. Wiadomości dla mieszkańców głuszy bez dostępu do telefonu i poczty. „Uwaga, Maurice Lavoux z McCarthy; mama prosi, żebyś zajrzał do brata, bo kiepsko się czuje…”.

Tata prowadził w milczeniu, ona siedziała zatopiona we własnych myślach.

– Jesteśmy na miejscu. – Głos ojca wyrwał ją z zadumy.

Zaskoczona podniosła głowę. Stali przed szkołą; budynek pojawiał się po każdym ruchu wycieraczek i z powrotem znikał.

– Lenoro?

Nie spojrzy na niego. Zachowa się jak twarda pionierka z alaskańskiego armagedonu, niech on wie, że jest zła, niech to będzie dla niego kara.

Niestety, skrucha, z jaką po raz drugi wymówił jej imię, nadwątliła tę zawziętość.

Odwróciła się do ojca.

Siedział skręcony, przyciśnięty plecami do drzwi. Z ciemnymi oczami, czarnymi włosami, bujnym wąsem i brodą wyglądał krzepko i rześko na tle śniegu i mlecznej mgły.

– Jestem chory, Rudzielcu. Wiesz o tym. Psychiatrzy nazywają to zespołem stresu pourazowego. Kupa cholernego medycznego bełkotu, ale halucynacje i koszmary naprawdę mnie dopadają. Nie mogę pozbyć się tego świństwa z głowy i to mnie doprowadza do szału. Szczególnie teraz, kiedy jest kiepsko z forsą.

– Picie nie pomaga – wytknęła mu, krzyżując ramiona.

– Nie, ani ta pogoda. Jest mi przykro. Cholernie przykro. Skończę z piciem. Nigdy więcej się to nie powtórzy. Przyrzekam, bo obie was bardzo kocham.

– Przyrzekasz?

– Będę się starał, Rudzielcu. Obiecuję. Kocham twoją mamę jak… – Obniżył głos do szeptu. – Ona jest moją heroiną. Rozumiesz?

Wiedziała, że nie tak wygląda normalny układ pomiędzy rodzicami. Nie podobało jej się porównanie miłości do narkotyku, który wyniszcza ciało, wypala mózg i doprowadza do śmierci. A oni bez przerwy coś takiego sobie mówili. Tak samo jak Ali McGraw w *Love Story*, która twierdziła, że miłość wszystko wybacza. Jakby to była święta prawda.

W tej chwili miała już dość tego kajania się, wstydu, pokory. Chciała tym razem, jak zawsze zresztą, naśladować mamę. Pragnęła uwierzyć, że ostatni wieczór był wyjątkiem i nigdy więcej się nie powtórzy.

Tata wyciągnął rękę i dotknął jej zimnego policzka.

– Wiesz, jak mocno cię kocham.

– Tak.

– To się więcej nie zdarzy.

Musiała mu uwierzyć, musiała uwierzyć w niego. Jak bez tego wyglądałby jej świat? Pokiwała głową i wysiadła z busa. Zapadając się w śnieg, dobrnęła do schodów i weszła do ciepłej szkoły.

Przywitała ją cisza.

Nikt nie rozmawiał.

Uczniowie siedzieli na swoich miejscach, a pani Rhodes pisała na tablicy. Druga wojna światowa. Alaska – jedyny stan zaatakowany przez Japończyków. Słychać było wyłącznie popiskiwanie kredy na tablicy. Dzieci nie rozmawiały, nie chichotały, nie poszturchiwały się.

Matthew siedział przy swoim stoliku.

Leni powiesiła gruby sweter obok czyjejś kurtki i strząsnęła śnieg z butów. Ani jedna głowa nie odwróciła się w jej stronę.

Odłożyła lunchowe pudełko, podeszła do stolika i jak zawsze usiadła obok Matthew.

– Cześć.

– Cześć – odpowiedział ze śladem uśmiechu, nie podnosząc oczu.

Pani Rhodes odwróciła się do uczniów. Jej spojrzenie spoczęło na Matthew i zmiękło.

– No tak. – Odkaszlnęła. – Axle, Matthew i Leni, otwórzcie podręcznik do historii naszego stanu na stronie sto siedemdziesiątej drugiej. Rankiem szóstego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku pięciuset żołnierzy japońskich wylądowało na wyspie Kiska należącej do archipelagu Aleutów. Tam doszło do jedynej bitwy rozegranej na amerykańskiej ziemi. Wielu ludzi o tym nie pamięta, ale…

Leni kusiło, żeby wsunąć rękę pod stolik, odszukać dłoń Matthew, poczuć przyjazny dotyk. A jeśli on cofnie rękę? Co wtedy?

Przecież po tym, co przeżył, nie mogła mu opowiedzieć o swoim rozpadającym się domu, wyznać, że nie czuła się tam bezpiecznie.

Powinna była zrobić to wcześniej – może – gdy życie ich obojga inaczej wyglądało, ale nie teraz, kiedy taki przybity nie był nawet w stanie siedzieć wyprostowany na krześle.

Chciała mu szepnąć: będzie lepiej, ale widok łez w jego oczach kazał jej zamknąć usta. Ani jej, ani jemu nie pomogą frazesy.

Oboje potrzebowali pomocy.

Styczeń przyniósł jeszcze gorszą pogodę. Przeraźliwy chłód i ciemności pogłębiły izolację Allbrightów. Podstawowym zadaniem stało się podtrzymywanie ognia w kozie. Żeby przeżyć, musieli dzień w dzień rąbać drewno i przynosić stosy polan. Jakby zgryzot było za mało, tata w złe noce – te z koszmarami – zrywał je ze snu i zmuszał do pakowania plecaków przetrwania, sprawdzał ich gotowość, kazał rozkładać broń na części i z powrotem ją składać.

Słońce wschodziło po dziesiątej rano i zachodziło przed piątą po południu, co w sumie dawało sześć godzin dziennego światła i szesnaście ciemności. W plastikowych kubeczkach poustawianych w chacie jak dotąd nic nie wykiełkowało. Czuli się coraz bardziej odcięci od świata i tylko tata z uchem przy radiu całymi godzinami rozmawiał z Szalonym Earlem i Clyde’em. Przynoszenie wody, rąbanie drewna, karmienie zwierząt, wyjazdy do szkoły – wszystko kosztowało mnóstwo wysiłku.

Jednak najgorszy był widok pustych półek w ziemiance. Nie mieli już ziemniaków, marchwi ani cebuli. Kończyły się zapasy

ryb, a w spiżarni na palach wisiało jedno karibu. Wiedzieli, że przy braku innych produktów mięsa nie wystarczy na długo.

Przez brak pieniędzy i zapasów między rodzicami bez przerwy dochodziło do kłótni. Od tamtego ataku szału w wieczór po pogrzebie tata coraz słabiej nad sobą panował. Zrobił się agresywny. Leni wyczuwała buzujący w nim gniew. Obie z mamą chodziły wokół niego na palcach, żeby przypadkiem go nie sprowokować.

Leni po ciemku wstała, po ciemku się ubrała i zjadła śniadanie i po ciemku przyjechała do szkoły. Blade słońce pokazało się dopiero po dziesiątej, ale kiedy nareszcie przebiło się przez chmury i jaskrawe promienie rozproszyły mrok w klasie oświetlonej mętnym światłem latarni oraz żarem z piecyka, wszyscy się ożywili.

– Mamy słoneczny dzień! Prognoza się sprawdziła! – ogłosiła pani Rhodes ze swojego miejsca przed tablicą. Leni wystarczająco długo mieszkała na Alasce, aby wiedzieć, że tutaj słońce w styczniu to rzadkość. – Szkoda w taki dzień siedzieć w klasie, wyjdźmy zaczerpnąć świeżego powietrza, wystawić twarze do słońca. Strząśnijmy z siebie pajęczyny zimy.

Axle sapnął niezadowolony. Nienawidził wszystkiego, co miało jakikolwiek związek ze szkołą.

– O jeny… Nie możemy po prostu wrócić do domu? Połowiłbym ryby spod lodu. – Wbił wzrok w nauczycielkę spod skołtunionej grzywy nigdy niemytych włosów.

Pani Rhodes udała, że nie słyszy.

– Niech starsi – Matthew, Leni i Axle – pomogą maluchom się ubrać i spakować plecaki.

– Nie będę pomagał – odburknął Axle. – Niech te gruchające gołąbki się tym zajmą.

Leni oblała się rumieńcem, wstydziła się spojrzeć na Matthew.

– Dobrze. Jak sobie chcesz – ucięła nauczycielka. – Możesz wrócić do domu.

Leni podniosła się i pomogła Marthe i Agnes nałożyć kurtki. Więcej dzieci dziś nie dojechało. Widocznie droga z Bear Cove okazała się za trudna.

Matthew ze zwieszonymi ramionami i opadającymi na oczy brudnymi włosami stał bezradnie przy swoim stoliku. Leni podeszła do niego i dotknęła rękawa flanelowej koszuli.

– Przynieść ci kurtkę?

– No. – Spróbował się uśmiechnąć. – Dzięki.

Wróciła po jego parkę moro i podała mu ją do rąk.

– Okej, wszyscy gotowi, wychodzimy. – Pani Rhodes wyprowadziła ich na zalany słońcem dwór. Przeszli przez miasto do portu.

W doku stał zacumowany hydroplan z poobijanym i odrapanym z farby kadłubem. Przy każdej fali przyboju potrzaskiwał i kołysząc się, napinał liny. Kiedy stanęli na nabrzeżu, z hydroplanu wyszedł żylasty mężczyzna z gęstą siwą brodą i w czapce bejsbolówce, który przeskoczył na pomost. Na nogach miał dwa różne buty.

– Dzieci – odezwała się nauczycielka – przedstawiam wam Dietera Manse'a z Homer. Kiedyś był pilotem w Pan Am. Wchodzimy na pokład. – Odwróciła się do Manse'a. – Dziękuję panu. Jestem bardzo wdzięczna. – Spojrzała niespokojnie na Matthew. – Przyda się nam trochę przewietrzyć umysły.

Stary pilot ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Tico.

W swoim wcześniejszym życiu Leni absolutnie nie uwierzyłaby, że ten człowiek był kiedyś kapitanem w wielkich liniach lotniczych. Ale tutaj mnóstwo ludzi zajmowało się zupełnie czymś innym niż tam, gdzie wcześniej mieszkali. Duża Marge była prokuratorem w wielkim mieście, a teraz myła się

pod prysznicem w samoobsługowej pralni i sprzedawała gumę do żucia. Natalie zamieniła wykłady ekonomii na uniwersytecie na rybacką łódź. Alaska przyciągała mnóstwo dziwnych ludzi. Na przykład takich jak tamta kobieta, która mieszkała w starym szkolnym busie w Anchor Point i wróżyła z ręki. Chodziły pogłoski, że kiedyś była policjantką w Nowym Jorku, a teraz przechadzała się z papugą na ramieniu. Tutaj wszyscy mieli dwie historie: tę sprzed przyjazdu i obecną. Jeżeli chcesz modlić się do jakiegoś dziwacznego boga, mieszkać w busie czy ożenić się z gęsią, to na Alasce nie usłyszysz z tego powodu złego słowa. Nikogo nie obchodziło, że trzymasz przed domem starego rzęcha, nie wspominając o zardzewiałej lodówce. Tu każdy żył, jak chciał.

Leni schyliła głowę i przygarbiona weszła do hydroplanu. Usiadła w środkowym rzędzie i zapięła pas. Pani Rhodes zajęła miejsce obok niej. Matthew, przechodząc do tyłu, nawet nie spojrzał w ich stronę.

– Tom mówi, że on się prawie nie odzywa – powiedziała cicho nauczycielka, przechylając się ku Leni.

– Nie wiem, jak mu pomóc. – Leni obejrzała się na Matthew. Akurat usiadł w fotelu i ciasno dociągnął pas.

– Przyjacielskim wsparciem – podpowiedziała jej pani Rhodes.

Beznadziejna rada. Oczywistość. Wyświechtany frazes w ustach dorosłych. Ale co w takich okolicznościach przyjaciel powinien robić?

Pilot wszedł na pokład, usiadł w fotelu, zapiął pas, nałożył słuchawki z mikrofonem i uruchomił hydroplan. Leni słyszała za placami chichot Marthe i Agnes.

Silnik zawarczał, blachy zadzwoniły, woda zachlupała pod pływakami.

Pilot mówił coś o poduszkach, tłumaczył, jak się zachować w razie nieplanowanego lądowania na wodzie.

– Zaraz! Chodzi o katastrofę. On mówi, co mamy robić, gdybyśmy się rozbili – mówiła gorączkowo Leni, czując narastającą panikę.

– Nic nam nie będzie – uspokajała ją nauczycielka. – Nie zostaniesz prawdziwą Alaskanką, bojąc się małych samolotów. Tak się tutaj przemieszczamy.

Wiedziała, że to prawda. Drogami można było się poruszać po niewielkiej części stanu, dlatego takie przydatne były tu samoloty i łodzie. W zimie zamarznięte jeziora i rzeki łączyły połacie lądu w wielkie przestrzenie. Latem te same rwące rzeki je rozdzielały. Awionetki umożliwiały dotarcie do najbardziej nawet niedostępnych miejsc.

Po raz pierwszy siedziała w samolocie i czuła się bardzo niepewnie. Kurczowo zaciskała dłonie na podłokietnikach. Walczyła ze strachem, gdy hydroplan otarł się o falochron, zadygotał, oderwał się od wody, wzbił i zakołysał, wyrównując lot. Wolała nie otwierać oczu i nie widzieć tych wszystkich strasznych rzeczy; przecież zasuwy mogły puścić, szyby roztrzaskać się, a podwozie zahaczyć o góry. Przypomniała jej się tamta katastrofa lotnicza w Andach. Rozbitkowie zostali kanibalami.

Bolały ją mocno zaciśnięte palce.

– Otwórz oczy – szepnęła pani Rhodes. – Zaufaj mi.

Posłusznie uniosła powieki, odgarnęła z twarzy niesforne loki.

Za szybą z pleksiglasu ukazał jej się niesamowity świat. Nigdy czegoś takiego nie widziała. Błękit, czerń, fiolet, biel. W jej głowie ożyło wspomnienie lekcji historycznej geografii Alaski. Zobaczyła gwałtowność jej narodzin: wybuchy gór Redoubt i Augustine, wynurzanie się z morza ostrych szczytów gór,

powstawanie lodowców, rzeźbienie fiordów przez rzeki ruchomego lodu. Dostrzegła Homer przycupnięte na pasie ziemi między urwiskami z piaskowca, polami przykrytymi śniegiem i ostrogą Spitu wbitą w zatokę. Tutaj lodowce uformowały krajobraz: nacierając i miażdżąc, wyżłobiły głębokie zatoki między górami.

Kolory były niesamowite, wysycone. Góry Kenai po drugiej stronie niebieskiej zatoki wyglądały jak żywcem wyjęte z bajki. Ich ostre białe szczyty celowały w błękitne niebo, gdzieniegdzie na stokach lśniły lodowce w bladoniebieskim odcieniu skorupek jaj rudzika.

Góry przesłaniały horyzont. Postrzępione grzbiety, wyżłobione czarne szczeliny i turkusowe lodowce ciągnęły się w nieskończoność.

– Super! – Leni aż sapnęła, przybliżając twarz do okna.

Przelatywali teraz nisko nad przesmykiem pomiędzy górami. Wszystko ginęło pod pokrywą bieli. Tu i ówdzie na plaży połyskiwały łaty zmrożonego śniegu. Hydroplan wykonał gwałtowny skręt, przechylił się, poderwał w górę i przeleciał ponad skupiskiem białych drzew. Leni zobaczyła potężnego łosia wędrującego w stronę zatoki.

Zostawili za sobą przesmyk i szybko schodzili w dół.

Leni ponownie chwyciła się podłokietników i zacisnęła powieki.

Mocny wstrząs i plaśnięcie pływaków o fale. Wylądowali.

Pilot wyłączył silnik, wyskoczył z maszyny na płyciznę, wzbijając bryzgi lodowatej wody, przyciągnął hydroplan bliżej brzegu i grzęznąc po kostki w błotnej brei, przywiązał linę do zwalonego pnia.

Leni bardzo ostrożnie wysiadła (na takim mrozie nie wolno przemoczyć ubrania), przeszła wzdłuż kadłuba i dała duży krok w błoto na plaży. Matthew szedł tuż za nią.

Pani Rhodes zebrała ich małą gromadkę na oblodzonym nabrzeżu.

– Słuchajcie, moi drodzy. Maluchy ze mną zdobędą tamten grzbiet. Leni i Matthew, daję wam wolną rękę. Bawcie się dobrze.

Leni rozejrzała się wokół siebie. Majestatyczne piękno tego miejsca chwytało za serce. Otaczał ją głęboki, niezmącony rozmowami, tupotem butów, śmiechem czy warkotem silnika wiecznotrwały spokój. Tu przemawiała natura: poszumem fal obmywających kamienie, pluskiem wody o pływaki hydroplanu, odległym poszczekiwaniem lwów morskich zbitych w gromadkę na skale i pokrzykiwaniem mew krążących nad głową.

Woda za pasem oblodzonej plaży miała odcień akwamarynu. Taką barwę według jej wyobrażeń powinno mieć Morze Karaibskie. Z białego nabrzeża wyrastały potężne czarne skały przykryte śnieżnymi czapami. Na ich niewiarygodnie stromych ścianach poruszały się rozrzucone punkciki w kolorze kości słoniowej – górskie kozy.

Nie mogła się doczekać, żeby wyciągnąć aparat. Niestety, musiała rozsądnie gospodarować filmem.

Od czego zacząć? Od pokrytych lodową glazurą kamyków na plaży, które wyglądały jak perły? Ściętych mrozem liści paproci wystających spod oblepionego śniegiem czarnego pnia? Turkusowej wody? Otworzyła usta, oglądając się na Matthew, ale jego za nią nie było.

Odwróciła się, lodowata woda chlupnęła na buty. Zobaczyła go na skraju plaży; stał z ze skrzyżowanymi ramionami. Parka leżała nieopodal przetaczających się fal. Wiatr zawiewał mu włosy na twarz.

Podeszła do niego po wodzie.

– Matthew, nałóż kurtkę. – Wyciągnęła do niego rękę. – Zamarzn…

Cofnął ramię, uchylił się.

– Odejdź – wychrypiał. – Nie chcę, żebyś widziała…

– Matthew? – Chwyciła go za rękaw, zmusiła, żeby na nią spojrzał. Wokół oczu miał czerwone obwódki.

Odepchnął ją. Zatoczyła się, potknęła o kawałek dryfującego drewna i runęła jak długa.

Wszystko trwało ułamek sekundy. Z wrażenia zaparło jej dech. Leżała na zamarzniętych kamieniach, blisko lodowatej wody, patrzyła na niego zdumiona, łokieć pulsował z bólu.

– O Boże! – jęknął. – Nic ci nie zrobiłem? Ja nie chciałem.

Ciągle patrząc na niego, pozbierała się z ziemi. Ja nie chciałem. Te same słowa słyszała od taty.

– Coś się ze mną dzieje – wyznał trzęsącym się głosem. – Tata mnie obwinia, w ogóle nie sypiam, a ta przeraźliwa cisza w domu bez mamy sprawia, że mam ochotę krzyczeć.

Nie przychodziło jej na myśl nic sensownego.

– Mam takie wizje… z mamą. Stoi mi przed oczyma jej twarz, jest pod wodą… krzyczy… Nie wiem, co robić. Nie chciałem ci o tym mówić.

– Czemu?

– Zależy mi na tobie. Czasami jesteś… To jedyne, co mam. Och, kurde, zapomnij. – Pokręcił głową i rozpłakał się. – Jestem beznadziejny.

– Nieprawda. Po prostu potrzebujesz pomocy. To oczywiste po tym, co przeszedłeś.

– Moja ciocia chce, żebym zamieszkał u niej, w Fairbanks. Uważa, że powinienem zacząć grać w hokeja, uczyć się latania. Według niej potrzebuję psychiatry. Byłbym razem z Aly. Chyba że… – Popatrzył na nią bezradnie.

– Jedź do Fairbanks – powiedziała cicho.

Westchnął ciężko. Podejrzewała, że już wszystko zostało ustalone i tylko czekał na odpowiedni moment, żeby o tym powiedzieć.

– Będę za tobą tęsknił.

A więc wyjeżdża.

Smutek zdawał się rozsadzać jej pierś. Będzie jej bardzo go brakowało, ale on naprawdę potrzebował pomocy. Wiedziała, jak niebezpieczne bywa takie połączenie braku snu, przygnębienia i wizji. Na przykładzie taty się przekonała, co może się stać z człowiekiem. Jaka byłaby z niej przyjaciółka, gdyby swoje potrzeby stawiała wyżej niż jego?

Też będę tęsknić, cisnęło jej się na usta, ale po co to mówić?

Słowa nie pomagają.

W styczniu po wyjeździe Matthew na niebie zawisły ciemne chmury i chwycił jeszcze większy mróz.

– Leni, nakryj do kolacji – poprosiła ją mama. Wieczór był potwornie zimny. Wiatr próbował wciskać się do środka i zarzucał śnieg na drzwi. Mama smażyła mielonkę, rozpłaszczając ją drewnianą łyżką na żeliwnej patelni. Dwa plastry na trzy osoby; tyle musiało wystarczyć.

Leni odłożyła podręcznik do nauki o społeczeństwie i skierowała się do kuchni, dyskretnie przyglądając się tacie. Przygarbiony chodził w tę i we w tę wzdłuż ściany, zaciskając i otwierając pięści. Bardzo wychudł, ręce miał jak patyki i zapadnięty brzuch pod wyplamionym ocieplanym podkoszulkiem.

W pewnej chwili stuknął się wierzchem dłoni w czoło i mruknął coś pod nosem.

Leni przemknęła obok stołu i rzucając mamie zaniepokojone spojrzenie, wśliznęła się do ciasnej kuchni.

– Coś powiedziała? – Tata niespodziewanie wyrósł za nią.

Mama przycisnęła łyżką plaster mielonki. Tłuszcz z patelni prysnął jej na nadgarstek.

– Au! Cholera!

– Rozmawiałyście o mnie? – Tata nie ustępował.

Leni delikatnie wzięła go pod ramię i zaprowadziła do stołu.

– Twoja matka coś o mnie mówiła, tak? Co powiedziała? Wspomniała o Tomie?

Leni wysunęła krzesło i posadziła go na nim.

– Tato, mama mówiła o kolacji. Tylko tyle. – Chciała odejść, ale on złapał ją za rękę i szarpnął tak mocno, że poleciała na niego. – Ty mnie kochasz, prawda?

Nie podobał jej się ten nacisk na słowo „ty".

– I ja, i mama, obie cię kochamy.

Mama jak na zawołanie wyszła z kuchni. Postawiła na stole talerzyk z mielonką i emaliowaną miseczkę z duszoną fasolą od Thelmy. Nachyliła się nad tatą, pocałowała go w policzek, pogładziła po twarzy.

Uspokoił się. Westchnął.

– Dobrze pachnie – pochwalił z cieniem uśmiechu.

Leni usiadła i rozdzieliła jedzenie na talerze.

Mama zajęła krzesło naprzeciw niej. Grzebiąc widelcem w fasoli, zerkała na tatę. Znowu burknął coś do siebie.

– Ernt, musisz coś zjeść.

– Nie będę jadł tego gówna! – Szurnął talerzem, a ten zjechał ze stołu i rozbił się o podłogę.

Zerwał się z krzesła, zamaszystym krokiem przeszedł przez pokój, ściągnął kurtkę z haka i szarpnięciem otworzył drzwi.

– Ani chwili cholernego spokoju – warknął, wychodząc i trzaskając drzwiami. Chwilę później doszło je rzężenie silnika

i oddalający się szurgot opon na śniegu.

Leni podniosła oczy znad talerza.

– Jedz – powiedziała mama, schylając się, żeby pozbierać skorupy.

Po kolacji razem pozmywały, wytarły naczynia i suche poustawiały na półce nad szafką.

– Chcesz zagrać w kości? – Leni przerwała ciszę. W jej pytaniu było tyle samo entuzjazmu co rezygnacji w przytaknięciu mamy.

Usiadły przy stole i grały, dopóki wystarczyło im siły na udawanie.

Leni wiedziała, że obie nasłuchują zdenerwowane, czy bus nie wjeżdża na podwórko, zastanawiając się , czy gorzej, kiedy on jest, czy kiedy go nie ma.

– Jak myślisz, dokąd pojechał? – odważyła się spytać Leni. Czas wlókł się niemiłosiernie.

– Do Szalonego Earla, jeżeli udało mu się tam dojechać, albo do pubu, jeśli droga jest w miarę dobra.

– Pije – podsumowała Leni.

– Pije.

– Może powinnyśmy…

– Ani słowa – ucięła mama. – Kładź się spać, dobrze? – Usiadła i zapaliła papierosa z kończącej się, cennej paczki.

Leni pozbierała do czerwonego pudełka kości, kartkę z zapisem wyników i żółty kubek ze sztucznej skóry.

Nie myjąc nawet zębów, wdrapała się na poddasze i wsunęła do śpiwora. Słyszała, jak mama krąży po pokoju.

Przewróciła się na bok, sięgnęła po papier i długopis. Po wyjeździe Matthew napisała do niego już kilka listów, które wysyłała dla niej Duża Marge. On solennie odpisywał. Przeważnie były to lakoniczne informacje o drużynie hokejowej i o szkole, w której są zespoły sportowe z prawdziwego

zdarzenia. Matthew bazgrał jak kura pazurem i niektórych słów nie umiała odcyfrować, ale niecierpliwie czekała na te listy i natychmiast je otwierała. Każdy z nich wielokrotnie czytała, jak detektyw szukając śladów emocji między wierszami. Oboje nie bardzo wiedzieli, o czym pisać, w jaki sposób na czymś tak bezosobowym jak słowa budować kładkę łączącą ich losy, ale wytrwale ze sobą korespondowali. Leni bezskutecznie doszukiwała się w jego listach wiadomości o tym, co czuje i czy otrząsnął się po śmierci matki. Jednego natomiast była pewna: Matthew myślał o niej. I tylko to się liczyło.

Drogi Matthew!

Dzisiaj w szkole uczyliśmy się o gorączce złota nad Klondike. Pani Rhodes, na przykładzie Twojej babci, opowiadała nam o kobietach, które ruszały na północ, nic nie mając i tam…

Usłyszała krzyk.

Wyskoczyła ze śpiwora i niemal zjechała z drabiny.

– Coś się rusza za drzwiami. – Mama, blada i przerażona, wyszła z sypialni z latarnią.

Skowyt wilka poniósł się w ciemnościach.

Gdzieś blisko.

Zawtórował mu inny wilk.

Spanikowane kozy odpowiedziały rozpaczliwym beczeniem, podobnym do ludzkiego płaczu.

Leni wyszarpnęła strzelbę ze stojaka i ruszyła do drzwi.

– Nie otwieraj! – krzyknęła mama, odciągając ją. – Nie wolno wychodzić. Mogą nas zaatakować.

Rozsunęły zasłonki i otworzyły okno. Poraził je ziąb.

Sierp księżyca rzucał na podwórze mleczne rozproszone światło, na tyle jasne, aby dostrzec ruch. Mignięcie srebrnego

futra, błysk czerwonych ślepi, kłów. Wataha wilków podchodziła pod zagrodę dla kóz.

– Wynocha! – wrzasnęła Leni. Podniosła strzelbę do twarzy, wymierzyła w ruszający się cel i pociągnęła za spust.

Huk poniósł się zwielokrotnionym echem. Wilk zaskomlał i zawył.

Strzelała teraz bez opamiętania, słysząc, jak kule uderzają w drzewa, dzwonią o metal.

Rozpaczliwe beczenie i piski owiec zdawały się nie mieć końca.

Cisza.

Leni otworzyła oczy; leżały z mamą na kanapie.

Ogień w kozie zgasł.

Dygocząc, wykopała się spod sterty futrzaków oraz wełnianych koców i rozpaliła go na nowo.

– Mamo, zbudź się! – Obie miały na sobie po kilka warstw ciepłych ubrań, ale kiedy wyczerpane padły na kanapę, zapomniały o ogniu. – Musimy wyjść na dwór.

– Wyjdziemy, jak się rozjaśni – odpowiedziała, siadając.

Leni spojrzała na zegar.

– Szósta rano.

Wiele godzin później, gdy wreszcie świt anemicznym światłem oblał ziemię, Leni wsunęła nogi w buty, wyjęła strzelbę ze stojaka przy drzwiach i naładowała komorę. Metaliczny szczęk towarzyszył zamknięciu zamka.

– Nie mam ochoty tam iść – przyznała się mama. – Nie, nie, oczywiście, że nie puszczę ciebie samej, moja ty Annie Oakley. – Z niepewnym uśmiechem na drżących ustach nałożyła buty

oraz kurtkę i nasunęła na głowę kaptur obszyty futrem. Naładowała drugą strzelbę i już gotowa dołączyła do córki.

Leni otworzyła drzwi i wyszła na pokryty śniegiem ganek ze strzelbą gotową do strzału.

Otoczyła ją biel i cisza. Śnieg cały czas sypał.

Zeszły z ganku po schodkach.

Poczuła zapach rzezi, zanim jeszcze zobaczyła jej skutki.

Kałuże krwi zakrzepłe na śniegu przy zagrodzie dla kóz. Bramka wraz ze słupkami leżąca na ziemi. Ciemne zwierzęce odchody wymieszane z krwią i wnętrznościami. Posoka i tropy prowadzące do lasu. Ruina. Wszystko zniszczone. Zagroda, wybieg dla drobiu, kurnik. Po zwierzętach nie było śladu.

Oniemiałe patrzyły na spustoszenie.

– Nie możemy tu zostać – odezwała się mama. – Zapach krwi może zwabić drapieżniki.

11

Szły, trzymając się za ręce. Leni czuła się jak astronautka poruszająca się we wrogiej białej przestrzeni. Słyszała wyłącznie własny oddech i skrzypienie butów na śniegu. Próbowała namówić mamę, żeby zatrzymały się w siedlisku Walkerów albo u Dużej Marge, ale ona się nie zgodziła. Nie chciała z nikim rozmawiać o tym, co się stało.

Miasto zdawało się kulić z zimna. Chodnik był pasem lodu przykrytym śniegiem. Z okapów dachów zwisały sople, wszędzie leżał śnieg. W porcie fale z białymi grzywami kołysały kutrami i naprężały cumy.

Kicking Moose był już – albo jeszcze – otwarty. Światło sączyło się na ulicę przez bursztynowe okna. Przed pubem stało zaledwie kilka ciężarówek i skuterów śnieżnych.

Leni szturchnęła mamę łokciem i ruchem głowy wskazała bus. Stał niedaleko wejścia.

Obie bały się ruszyć.

– Nie będzie zadowolony, kiedy nas zobaczy – stwierdziła mama.

Delikatnie powiedziane, pomyślała Leni.

– Może lepiej wróćmy do domu – zasugerowała mama, szczękając zębami.

Po drugiej stronie ulicy otworzyły się drzwi sklepu wielobranżowego. Leni usłyszała pożegnalny brzęk dzwonka na framudze.

Ze środka wyłonił się Tom Walker z kartonem zapasów. Zobaczył je i przystanął.

Leni domyślała się, jak obie muszą wyglądać, stojąc po kolana w śniegu z twarzami wyszczypanymi mrozem, w czapkach oblepionych podmarzniętym śniegiem. Nikt nie chodził na spacery w taką pogodę. Walker ustawił karton na pace i dosunął go do szoferki. Duża Marge wyszła za nim ze sklepu. Leni widziała, jak wymienili zdziwione spojrzenia, po czym oboje ruszyli w ich stronę.

– Cześć, Coro – odezwał się Walker. – To nie jest pogoda na wychodzenie z domu.

Mama trzęsła się z zimna.

– W nocy wilki podeszły pod dom – powiedziała, dzwoniąc zębami. – Nni-ie wiem, ile ich było. Z-zagryzły wszystkie kozy i kury, zniszczyły zagrodę i k-kurnik.

– Udało się Erntowi ileś zastrzelić? Potrzebujecie pomocy przy skórowaniu? Ich błamy są warte…

– N-nie. Było ciemno. Przyszłam… zamówić nowe kury. – Przeniosła spojrzenie na Dużą Marge. – Gdybyś jechała do Homer. I potrzebuję więcej ryżu i fasoli, ale… nie mam jak zapłacić. Mogę zająć się praniem. Cerować. Dobrze sobie radzę z szyciem.

Leni widziała ściągniętą gniewem twarz Marge, słyszała, jak zaklęła pod nosem.

– Byłyście same, kiedy wilki przyszły pod dom? Mogłyście zginąć!

– Nie było tak źle. Nie wyszłyśmy na dwór – zapewniła ją mama.

– Gdzie on jest? – wysyczał Walker.

– My… nie wiemy – skłamała mama.

– W Kicking Moose – warknęła Marge. – Tam stoi jego bus.

– Tomie, nie! – jęknęła mama, ale już było za późno. Odbił od nich i przeciął długimi krokami cichą ulicę, rozbryzgując śnieg.

Obie kobiety – oraz Leni – puściły się za nim biegiem, ślizgając się i potykając na oblodzonym chodniku.

– Tomie, nie, naprawdę! – krzyknęła za nim mama.

Walker z rozmachem otworzył drzwi pubu. Leni uderzył zaduch wilgotnej wełny, niemytych ciał, mokrej psiej sierści i palącego się drewna.

W środku siedziało z pięciu mężczyzn, nie licząc przygarbionego, bezzębnego barmana. Panował ogólny rejwach: wszyscy mówili naraz, uderzając dłońmi w stoły z beczek po whiskey, z radia na baterie nastawionego na cały regulator leciała piosenka *Bad, Bad Leroy Brown*.

– Tak! Tak jest! – wykrzykiwał Szalony Earl, patrząc na swoich towarzyszy szklistym wzrokiem. – Najpierw przejmą nasze banki!

– A potem zabiorą nam ziemię – wybełkotał Clyde.

– Ni cholery, nie oddam im mojej ziemi – ogłosił tata. Stał pod jedną z latarni, chwiejąc się na nogach. Oczy miał przekrwione.

– Ernt, ty śmieciu – wysyczał Walker.

Tata drgnął, odwrócił się. Przeniósł wzrok z Walkera na mamę.

– A to co, do diabła?

Walker ruszył do niego, roztrącając krzesła. Szalony Earl, zataczając się, umknął mu z drogi.

– W nocy twój dom zaatakowała wataha wilków, Allbright. Wilków! – powtórzył z naciskiem.

Wzrok taty spoczął na mamie.

– Wilki?

– Tak chronisz swoją rodzinę? One mogły zginąć – wycedził Walker.

– Posłuchaj…

– Nie, ty posłuchaj – przerwał tacie Tom. – Nie jesteś pierwszym lepszym patałachem, który przyjeżdża tu, nie mając o niczym zielonego pojęcia. I nie jesteś głupi. Ale mężczyzna, który nie zapewnia żonie bezpieczeństwa…

– A jakie ty masz prawo mówić o zapewnianiu kobiecie bezpieczeństwa, co, Tom? – odpalił tata.

Walker chwycił go za ucho i szarpnął tak mocno, że tata zapiszczał jak dziewczyna, a potem wyciągnął go z cuchnącej spelunki na ulicę.

– Powinienem skopać ci tyłek – wychrypiał.

– Tomie, proszę – odezwała się błagalnie mama. – Nie pogarszaj sprawy.

Zawahał się, obejrzał na nią. Stała przerażona, bliska łez. Leni zauważyła, że Walker stara się opanować gniew. Dotąd nie widziała takiego zachowania u mężczyzny.

Zawahał się, skrzywił, coś mruknął i pociągnął tatę do busa. Otworzył drzwi, podniósł go jak piórko i pchnął na siedzenie dla pasażera.

– Ty gnojku! – rzucił jeszcze na odchodnym.

Zatrzasnął drzwi i podszedł do mamy.

– Poradzisz sobie? – Leni usłyszała, jak ją zapytał.

Mama w odpowiedzi wyszeptała coś, czego Leni nie dosłyszała, i wtedy on, też szeptem, powiedział, jak się Leni zdawało, „zabij go”, a mama pokręciła głową.

Walker położył dłoń na jej ramieniu, przytrzymał ją nie dłużej niż sekundę, ale Leni nie umknął ten gest. Mama uśmiechnęła się do niego niepewnie.

– Leni, wsiadaj do busa – powiedziała, patrząc na Toma.

Posłusznie wsiadła do środka.

Mama zajęła miejsce za kierownicą, uruchomiła silnik.

Leni widziała, jak przez całą drogę w ojcu wzbiera złość; widziała, jak od czasu do czasu rozdyma nozdrza i na zmianę

zaciska i otwiera dłonie, słyszała słowa, które nie padały.

On, który wyrzucał z siebie tyle słów i szczególnie ostatnio, zimą, ciągle miał coś do powiedzenia, siedział teraz z zaciętymi ustami.

Wyobraźnia podsunęła jej obraz liny zawiązanej na knadze. Wiatr szarpał ją i naprężał, lina stawiała opór, potrzaskiwała. Jeżeli węzeł nie był odpowiednio zaciągnięty, wiatr mógł go rozwiązać, a nawet oderwać knagę od podłoża. Ona czuła się właśnie jak taka lina.

Tacie pozostał różowy ślad na małżowinie podobny do oparzenia, pamiątka po tym, jak pan Walker wyciągnął go za ucho na dwór i poniżył.

Dotąd nikt taty tak nie potraktował i wiedziała, że one słono za to zapłacą.

Bus zahamował gwałtownie, koła zabuksowały na lodzie.

Mama wyłączyła zapłon. Cisza, nieprzykryta teraz warkotem i dudnieniem silnika, zrobiła się jeszcze cięższa.

Obie szybko wysiadły, tata został w busie.

Idąc w stronę chaty, znowu musiały patrzeć na spustoszenie dokonane przez wilki. Sterczące słupki i sztachety były nakryte śnieżnymi czapami. Skłębione druty po wybiegu dla kur wystawały spod białego puchu. Leżała na wpół zasypana bramka. Kopy śniegu wokół drzew pokryła różowa skorupa, poznaczona zwierzęcymi odchodami. Tu i ówdzie walały się kolorowe pióra.

Mama wzięła Leni za rękę i poprowadziła przez podwórko do domu. Starannie zamknęła drzwi.

– On ciebie skrzywdzi – odezwała się Leni.

– Twój tata jest dumnym mężczyzną. Tak go upokorzyć…

Parę sekund później drzwi z hukiem otworzyły się na oścież i stanął w nich tata. Rozszerzone od alkoholu źrenice błyszczały z wściekłości. Błyskawicznie znalazł się w środku. Chwycił

mamę za włosy i z całej siły uderzył ją w szczękę. Jak szmaciana lalka poleciała na ścianę i osunęła się na podłogę.

Leni z wrzaskiem doskoczyła do ojca z pięściami.

– Leni, nie! – krzyknęła mama.

Ojciec przytrzymał ją za ramiona, potrząsnął nią, złapał za włosy, przeciągnął przez pokój, potykającą się o dywan, i wystawił na mróz.

A potem zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz

Napierając całym ciałem, tak długo waliła w nie pięściami, dopóki nie opadła z sił i zrezygnowana nie osunęła się na kolana pod wąskim okapem.

Usłyszała trzask; coś pękło, a zaraz po nim rozdzierający krzyk. Chciała uciekać, biec po pomoc, ale to tylko pogorszyłoby sytuację. Nie było dla nich ratunku.

Zacisnęła powieki i modliła się do Boga, o którego istnieniu nigdy nikt jej nie uczył.

Doszedł ją chrobot klucza w zamku. Ile czasu mogło minąć?

Nie miała pojęcia.

Skostniała z zimna pozbierała się z ziemi i wsunęła do chaty.

Pokój wyglądał jak pobojowisko. Złamane krzesło, odłamki szkła na podłodze, kanapa poplamiona krwią.

Mama wyglądała przerażająco.

Mógł ją zabić, pomyślała po raz pierwszy.

Zabić.

Musiały uciekać. Natychmiast.

Ostrożnie zbliżyła się do matki, bojąc się, że ona lada chwila może zemdleć.

– Gdzie tata?

– Padł. Jest w łóżku. On chciał… mnie ukarać… – Odwróciła się, zawstydzona. – Kładź się spać.

Leni podeszła do wieszaków przy drzwiach, zdjęła z haka mamy kurtkę i podniosła buty.

– Masz, tylko ciepło się ubierz.

– Czemu?

– Po prostu to zrób.

Na palcach przecisnęła się przez zasłonę z koralików. Rozejrzała się po sypialni, czując, jak serce tłucze jej się o żebra. Znalazła to, czego szukała.

Kluczyki. Torebka mamy. Niestety, bez pieniędzy.

Zgarnęła rzeczy i ruszyła do wyjścia. Przystanęła jeszcze przy zasłonie i obejrzała się na tatę.

Leżał na brzuchu wyciągnięty na łóżku, nagi, z kocem zarzuconym na pośladki. Jego barki i plecy pokrywały wypukłe blizny po oparzeniach. Skóra w półmroku wydawała się niebieskosina. Poduszka była poplamiona krwią.

Wróciła do pokoju. Mama stała na środku, paląc papierosa. Wyglądała jak obita kijem bejsbolowym.

– Chodź – odezwała się Leni, wzięła ją za rękę i lekko, a zarazem stanowczo pociągnęła za sobą.

– Dokąd idziemy?

Leni otworzyła drzwi, delikatnie wypchnęła mamę na dwór i złapała jeden z plecaków przetrwania, ten niemy symbol ochrony przed najgorszym, przypomnienie, że mądrzy ludzie zawsze są przygotowani.

Zarzuciła plecak na ramię, pochyliła się, chroniąc twarz przed śniegiem miotanym wiatrem, i dogoniła mamę. Skierowała ją do busa.

– Wsiadaj – powiedziała łagodnie.

Mama wspięła się na fotel kierowcy, wsunęła kluczyk w stacyjkę, przekręciła.

– Dokąd jedziemy? – spytała apatycznie, kiedy rozgrzewał się silnik.

Leni przerzuciła plecak na podłogę za siedzeniami.

– Wyjeżdżamy stąd, mamo.

– Co?

Leni usiadła na miejscu dla pasażera.

– Wyjeżdżamy stąd, zanim on zdąży ciebie zabić.

– Och. To. Nie. – Pokręciła głową. – Nigdy by się do tego nie posunął. On mnie kocha.

– Zdaje się, że masz złamany nos.

Mama siedziała ze zwieszoną głową chwilę dłużej, niż było to konieczne. Potem z ociąganiem wrzuciła bieg i wykręciła na podjazd. Reflektory wskazywały im wyjazd.

Zaczęła bezgłośnie płakać. Tak było zawsze, kiedy jej się wydawało, że w ten sposób ukryje łzy przed Leni. Bus toczył się między drzewami, a ona co chwila ocierała łzy, zerkając we wsteczne lusterko. Gdy wyjechały na drogę, chwycił je w szpony porywisty wiatr. Mama ostrożnie naciskała na gaz, pilnując, aby bus nie zsunął się ze śliskiej nawierzchni.

Minęły siedlisko Walkerów.

Przed następnym zakrętem podmuch wiatru zarzucił busem na pobocze. Złamana gałąź otarła się o szybę, zahaczyła o wycieraczkę, pojechała wraz z nią do góry, w dół, i odpadając, odsłoniła potężnego byka łosia stojącego dokładnie na zakręcie.

Leni krzyknęła ostrzegawczo, wiedząc, że pozostawało im albo gwałtownie skręcić, albo uderzyć w zwierzę, rozbijając bus.

Mama skręciła kierownicę, jednoczenie zdejmując nogę z pedału gazu. Bus, jak zawsze niestabilny na śniegu, wszedł poślizgiem w powolny piruet. Łoś przemknął tuż przed maską, Leni zobaczyła za szybą ogromny łeb z rozdętymi chrapami.

– Trzymaj się! – krzyknęła mama.

Bus uderzył w hałdę śniegu, przewrócił się, przekoziołkował, stoczył się z drogi i znieruchomiał przy zgrzycie żelastwa.

Leni mignęły drzewa odwrócone do góry nogami, ośnieżone zbocze, połamane gałęzie.

Uderzyła głową o szybę.

Kiedy się ocknęła, zaskoczyło ją wrażenie martwej ciszy. Dopiero potem poczuła ból głowy i smak krwi w ustach. Mama zwisała bezwładnie obok niej; obie na wpół leżały na miejscu dla pasażera.

– Leni? Co z tobą?

– Chyba… nie najgorzej.

Usłyszały syk dochodzący z silnika, a po nim metaliczny szczęk.

– Bus leży na boku. Zdaje się, na pewnym gruncie, ale kto wie, czy się nie zsunie – spekulowała mama.

Jeszcze jeden sposób na śmierć na Alasce.

– Znajdzie nas tu ktoś?

– Nikt nie wychodzi z domu w taką pogodę.

– A nawet jeżeli, i tak nas tu nie zobaczy.

Leni, odwracając się ostrożnie, namacała ciężki plecak i wygrzebała z niego czołową latarkę. Zamocowała ją na głowie i włączyła. W żółtym, jakby nie z tego świata świetle mama wyglądała upiornie. Poraniona twarz przypominała nadtopioną maskę z wosku.

Latarka oświetliła krew na kolanach mamy i złamaną rękę. Z rozerwanego rękawa wystawała kość.

– Mamo! Twoja ręką. Twoja ręka! O Boże…

– Spokojnie, Leni. Skup się, obejrzyj ją uważnie. To tylko złamanie. Zresztą nie pierwsze.

Leni usiłowała opanować panikę. Wzięła głęboki oddech, przytrzymała powietrze.

– Co zrobimy?

Mama sprawną ręką rozsunęła zamek kieszeni plecaka i zaczęła wyciągać rękawice oraz maskę neoprenową.

Leni nie mogła oderwać wzroku od sterczącej kości i rękawa nasiąkającego krwią.

– No, gotowe. Przede wszystkim musisz obwiązać mi ramię, żeby zatamować krwawienie. Uczyłaś się to robić. Pamiętasz? Oderwij pas materiału z dołu swojej koszuli.

– Nie dam rady.

– Lenoro, rozedrzyj koszulę – poleciła mama ostrym tonem.

Trzęsącymi się rękami Leni wyciągnęła nóż z pochewki przy pasku, nacięła materiał i ostrożnie pociągając za jego koniec, oderwała długi pas flaneli.

– Leni, powyżej złamania. Zawiąż najmocniej, jak tylko się da.

Owinęła ramię na wysokości bicepsa prowizorycznym bandażem, słysząc jęk mamy, kiedy go zaciskała.

– Wytrzymasz?

– Ciaśniej.

Dociągnęła mocno końce materiału i zawiązała je na węzeł.

Mama wydała ciche, drżące westchnienie i przesiadła się na fotel kierowcy.

– Oto, co zrobimy – zadecydowała. – Wybiję szybę, a ty wdrapiesz się po mnie na okno i zeskoczysz na ziemię.

– A-ale…

– Żadnych ale, Leni. Musisz być silna ze względu na mnie, rozumiesz? I na siebie. Ja się stąd sama nie wydostanę, a jeżeli tu utkniemy, obie zamarzniemy na śmierć. Potrzebuję twojej pomocy. Z tą złamaną ręką nie wyczołgam się na zewnątrz.

– Ja nie dam rady.

– Dasz, Leni. – Mama przytknęła zakrwawioną dłoń do opaski uciskowej na ramieniu. – Musisz.

– Zamarzniesz, kiedy mnie nie będzie.

– Jestem silniejsza, niż wyglądam. Pamiętasz? A dzięki rojeniom twojego taty o armagedonie mamy tu plecak przetrwania z kocem ratowniczym, jedzeniem i wodą. –

Uśmiechnęła się słabo. – Wytrzymam. A ty ściągnij pomoc. Dobrze?

– Dobrze. – Wmawiała sobie, że się nie boi, a jednak trzęsła się z nerwów. Nałożyła rękawice i neoprenową maskę, szczelnie zapięła kurtkę.

Mama wyciągnęła spod fotela młotek bezpieczeństwa.

– Najbliżej jest do Walkerów. Jakieś ćwierć mili. Tam się kieruj. To jak, Leni, dasz radę?

– Pewnie.

Bus zaskrzypiał, drgnął i się zakołysał.

– Kocham cię, córciu.

Leni walczyła ze łzami.

– Uwaga, wspinasz się – uprzedziła mama, po czym zdecydowanym ruchem mocno uderzyła młotkiem w okno.

Szyba pękła i lekko się ugięła. Trzymała się jeszcze z sekundę, podobna do pajęczyny, zanim z głośnym trzaskiem rozsypała się na drobne kryształki. Śnieg z mroźnym powiewem wpadł do środka, oblepił im ubrania.

Leni rzuciła się do przodu. Wspięła się po mamie, uważając na chore ramię. Usłyszała syk bólu, gdy mama próbowała popchnąć ją w górę zdrową ręką.

Niezgrabnie przecisnęła się przez okno.

Gałąź smagnęła ją po twarzy. Nie przystając ani na moment, czołgała się po karoserii, dopóki nie zawisła nad ziemią. Na pooranym po wypadku zboczu wystawały spod śniegu czarne koleiny, sterczały połamane gałęzie i korzenie.

Namacała butami oparcie pod stopy i zsunęła się na ziemię.

To wszystko zdawało się trwać wieki. Podciągała się po zboczu, chwytając się grud, gałęzi, kamieni. Dyszała ciężko, usta zalepiał śnieg. W końcu jednak się udało. Dźwignęła się ponad krawędź, padając twarzą w śnieg na poboczu. Zasapana

wypełzła na czworakach na drogę i nareszcie stanęła na nogach.

Otaczała ją zamieć i śnieżna mgła. Nałożyła latarkę z wiązką światła cienką jak brzytwa. Wiatr próbował spychać ją z drogi. Drzewa dokoła trzeszczały, konary się gięły. Gałęzie toczyły się po ziemi. Jedna o mało nie podcięła jej nóg.

Światło było jej liną ratunkową. Mroźne powietrze piekło w płucach, dokuczał ostry ból w boku. Pot spływał po plecach, spocone dłonie kleiły się w rękawicach.

Nie wiedziała, jak długo tak parła przed siebie, nie przystając, nie pozwalając sobie ani na krzyk, ani na płacz, gdy wreszcie zobaczyła przed sobą wysrebrzoną bramę z krową czaszką przystrojoną śnieżną czapą.

Uwiesiła się na bramie i odciągnęła skrzydło, przegarniając nim śnieg. Najchętniej rzuciłaby się biegiem, wzywając pomoc, ale wiedziała, że popełniłaby błąd. Szła, zapadając się w śnieg po kolana. Las po prawej stronie osłaniał ją od wiatru.

Piętnaście minut przedzierała się do domu Walkerów. Na widok światła w oknach łzy zakręciły jej się w oczach i zamarzły w kącikach, piekąc i zamazując widok.

Wiatr nagle ucichł. Ciszę zakłócał jedynie jej rwący się oddech i odległy poszum fal na zamarzniętym brzegu.

Słaniając się, przeszła między stertami rupieci przykrytych śniegiem, starymi samochodami i ulami. Odgłos jej kroków zaniepokoił zwierzęta. Krowy zamuczały i postukując kopytami, zbiły się w gromadkę w obawie przed drapieżnikami. Rozbeczały się kozy.

Weszła po śliskich stopniach na ganek i zaczęła walić pięścią w drzwi.

Pan Walker bardzo szybko otworzył.

– Jezu! – zawołał przerażony.

Wciągnął ją do środka, przeprowadził przez wiatrołap pełen kurtek, czapek i butów prosto pod piec na drewno.

Zęby jej szczękały. Bała się, że mówiąc, przegryzie sobie język. Ale nie miała chwili do stracenia.

– Roz-bi-łyśmy się. Mama jest uwięziona w busie.

– Gdzie?

Trzęsła się teraz cała, nie mogła dłużej powstrzymywać łez.

– Z-za… zak-krętem przed par-c-celą Marge.

Kiwnął głową.

– Dobrze.

Zostawił ją samą rozedrganą i ciągle trzęsącą się z zimna. Wrócił ubrany w puchowy zimowy kombinezon, z torbą przewieszoną przez ramię.

Podszedł do krótkofalówki, ustawił częstotliwość. Radio zatrzeszczało i zapiszczało przenikliwie. Podniósł mikrofon do ust.

– Marge! Tu Tom Walker. Wypadek samochodowy na drodze niedaleko mojego domu. Potrzebna pomoc. Jadę. Odbiór! – Zdjął kciuk z przycisku. Cisza. Powtórzył wiadomość i odwiesił mikrofon.

– Jedziemy!

Czy tata też go słyszał? Był na nasłuchu czy dalej leżał nieprzytomny?

Wyjrzała na dwór nerwowo, jakby się spodziewała, że ojciec wyłoni się z ciemności.

Walker ściągnął z oparcia kanapy pled w czerwono-żółto-białe pasy i zarzucił jej na ramiona.

– Ma złamaną rękę. Krwawi.

Walker kiwnął głową. Wziął ją za rękę i wyprowadził z ciepłego domu z powrotem na trzaskający mróz.

Silnik w ciężarówce w garażu natychmiast zaskoczył. Wnętrze kabiny wypełniło ciepłe powietrze z dmuchawy,

a mimo to Leni nie przestawała dygotać. Trzęsła się cały czas, gdy jechali podjazdem i zakręcili na główną drogę, gdzie wiatr, łomocząc o przednią szybę, poświstywał w szczelinach w metalowej ramie.

Tom zdjął nogę z gazu; ciężarówka zwolniła z pomrukiem silnika i chrzęstem opon.

– To tam! – zawołała, wskazując miejsce, gdzie wyrzuciło je z drogi.

Walker zatrzymał się na poboczu. Zobaczyli zbliżające się światła. Leni rozpoznała ciężarówkę Dużej Marge.

– Zostań – rzucił Walker do Leni.

– Nie!

– Siedź tutaj. – Chwycił za torbę i wyskoczył z kabiny, zatrzaskując drzwi.

Widziała w świetle reflektorów, jak Marge i Tom spotykają się na środku drogi.

Walker postawił torbę na ziemi i wyjął z niej zwój liny.

Leni przycisnęła się do szyby, para z oddechu zasłaniała widok. Ścierała ją niecierpliwie.

Walker przymocował linę do drzewa, asekuracyjnie się nią owinął, dał ręką znak Marge i opuścił się ze skarpy, znikając Leni z oczu.

Pchnęła drzwi i walcząc z wiatrem i zadymką, wyszła na drogę.

Duża Marge stała na brzegu skarpy.

Leni, wpatrując się w dół znad krawędzi, dostrzegła połamane drzewa i szary zarys cielska busa. Poświeciła latarką, ale światło było za słabe. Usłyszała zgrzyt żelastwa, łoskot i krzyk kobiety.

A po chwili… Walker pojawił się w mdłej plamie światła z przywiązaną do siebie mamą.

Duża Marge, trzymając linę przez rękawice, podciągała ich kawałek po kawałku, aż Walker wdrapał się na drogę z nieprzytomną mamą, zwisającą bezwładnie w asekuracyjnym uścisku.

– Kiepsko z nią! – zawołał, przekrzykując wiatr. – Wezmę ją łodzią do szpitala w Homer.

– A ja?! – pisnęła Leni. Wyraźnie o niej zapomnieli.

Walker posłał jej tak dobrze znane, współczujące spojrzenie, które zdawało się mówić: biedactwo.

– Popłyniesz ze mną.

W małej poczekalni szpitala w Homer panowała cisza.

Tom Walker siedział obok Leni z puchową kurtką na kolanach. Najpierw pojechali do Zatoczki Walkera, tam przeniósł mamę na przystań, ułożył ostrożnie na ławce w swojej aluminiowej łodzi i popędzili do Homer wzdłuż skalistego łuku wybrzeża.

W szpitalu zaniósł mamę do dyżurki. Leni, podbiegając obok, głaskała ją po kostce u nogi, po nadgarstku, po tym, czego udawało jej się dosięgnąć.

Przy biurku siedziała autochtonka z długimi warkoczami i stukała w maszynę do pisania.

Już po chwili dwie pielęgniarki wywiozły mamę.

– Co teraz? – spytała Leni.

– Czekamy.

Siedzieli w milczeniu. Leni z trudem przychodził każdy oddech, jakby płuca miały własny umysł, który postanowił odmówić posłuszeństwa. Tyle rzeczy budziło w niej strach: stan mamy, możliwość jej utraty, pojawienia się taty (nie myśl

o tym… będzie wściekły… co zrobi, kiedy się dowie, że uciekały), no i przyszłość. Jak teraz uciekną?

– Przynieść ci coś do picia?

Pogrążona w rozpaczliwych myślach nie od razu się zorientowała, że pan Walker do niej skierował to pytanie.

Podniosła na niego załzawione oczy.

– A to pomoże?

– Niee. – Wziął ją za rękę. Zaskoczona w pierwszej chwili chciała ją wyrwać, ale serdeczność tego gestu sprawiła, że odwzajemniła uścisk. Wbrew woli zaczęła się zastanawiać, jak wyglądałoby ich życie, gdyby to pan Walker był jej tatą.

– Co u Matthew? – spytała.

– Dochodzi do siebie, Leni. Brat Genny będzie go uczył latania. Chodzi na terapię. Cieszą go twoje listy. Dzięki, że jesteś z nim w kontakcie.

Jej też te listy sprawiały radość. Czasami miała wrażenie, że przyjaźń Matthew była najlepszą rzeczą, jaka spotkała ją w życiu.

– Brakuje mi go.

– Mnie też.

– Wróci?

– Nie wiem. Tam jest co robić. Ma rówieśników, kina, drużyny sportowe. Na ile znam Mattie, po pierwszym razie za sterami samolotu zakocha się w lataniu. Ten dzieciak kocha adrenalinę.

– Mówił mi, że chce zostać pilotem.

– Taak… Szkoda, że nie słuchałem go uważniej – powiedział Walker z westchnieniem. – Zależy mi, żeby był szczęśliwy.

Do poczekalni zajrzał lekarz. Podszedł do nich.

Był tęgim mężczyzną z wypukłą klatką piersiową, która zdawała się rozsadzać niebieski strój chirurga. Jak mnóstwo tutejszych mężczyzn miał wypisaną na twarzy skłonność do

alkoholu, ale był ostrzyżony, a jego gładko ogoloną twarz zdobiły sumiaste siwe wąsy.

– Doktor Irving. Ty pewnie jesteś Leni – odezwał się, ściągając czepek chirurgiczny.

Kiwnęła głową, zrywając się z krzesła.

– Co z mamą?

– Będzie dobrze. Ma rękę w gipsie, przez sześć tygodni będzie musiała na siebie uważać, ale nie przewiduję komplikacji. – Przez moment przyglądał się Leni. – Uratowałaś ją, młoda damo. Prosiła, żebym nie zapomniał ci tego powiedzieć.

– Możemy ją zobaczyć?

– Naturalnie. Chodźcie.

Podążyli za doktorem Irvingiem białym korytarzem do sali z tabliczką: POKÓJ WYBUDZEŃ. Lekarz otworzył drzwi.

Mama siedziała na wąskim łóżku za zasłoną z materiału. Miała na sobie szpitalną koszulę, jej nogi okrywał ciepły pled. Zagipsowane lewe ramię było zgięte pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Nos wyglądał na zdeformowany, pod oczyma wystąpiły ciemne sińce.

– Leni – odezwała się, zwieszając głowę w prawo i opierając ją o stos poduszek. Patrzyła na nią rozkojarzonym wzrokiem oszołomiona po narkozie. – Mówiłam ci, że jestem twarda – powiedziała trochę bełkotliwie. – Och, córeczko, nie płacz.

Nie potrafiła się dłużej powstrzymać. Patrząc na mamę, mając w oczach wypadek, myślała o tym, jakie życie jest kruche i jak łatwo mogła ją stracić. Przyszedł jej na myśl Matthew i tamta niespodziewana, gwałtowna śmierć.

Słyszała, jak lekarz się żegna i wychodzi.

Walker stanął przy łóżku.

– Uciekałaś od niego, prawda? Po co inaczej wyjeżdżałabyś w taką pogodę.

– Nie. – Pokręciła głową.

– Mógłbym ci pomóc. Pomoglibyśmy ci. Wszyscy. Duża Marge była prokuratorem. Powiadomiłbym policję, że się nad tobą znęca. Bo tak jest, prawda? Nie złamałaś nosa podczas wypadku, mam rację?

– Policja tu nie pomoże – odparła. – Wiem, jak wygląda system. Mój ojciec jest prawnikiem.

– Wsadziliby go.

– Na ile? Na dzień? Dwa? Wróciłby odegrać się na mnie. Na tobie. Albo na Leni. Myślisz, że mogłabym kogokolwiek narażać na takie ryzyko? Poza tym… hmm…

Ja go kocham, dopowiedziała w duchu Leni.

Walker przez jakiś czas przypatrywał się mamie. Obandażowana i potłuczona była ledwo rozpoznawalna.

– Wystarczy, że poprosisz – powiedział półgłosem. – Chcę ci pomóc, Coro. Na pewno wiesz, że ja…

– Tomie, nie znasz mnie, bo gdybyś…

Leni zobaczyła łzy w oczach mamy.

– Ze mną jest coś nie w porządku – wyznała zamyślona. – Czasami widzę w tym swoją siłę, a czasami słabość, ale nie wiem, jak miałabym przestać go kochać.

– Coro! – Leni usłyszała okrzyk ojca. Widziała, jak jego głos wcisnął mamę w poduszki.

Pan Walker natychmiast odsunął się od łóżka.

Tata przepchnął się obok niego, traktując go jak powietrze.

– O mój Boże, Coro? Jak się czujesz?

Mama jakby się coraz bardziej zapadała się w sobie.

– Rozbiłyśmy bus.

– Gdzie was poniosło w taką pogodę? – spytał, chociaż doskonale wiedział. Leni czytała to w jego oczach. Na policzku miał szramę po zadrapaniu.

Pan Walker wycofał się z sali. Ten postawny mężczyzna starał się niepostrzeżenie zniknąć. Rzucił jeszcze Leni smutne,

współczujące spojrzenie i wyszedł, cicho zamykając drzwi.

– Musiałyśmy kupić coś do jedzenia – tłumaczyła się mama. – Chciałam ci zrobić dobrą ko…lację.

Tata położył zrogowaciałą od pracy dłoń na jej zasinionym, spuchniętym policzku, jakby jego dotyk miał uzdrawiającą moc.

– Wybacz mi, skarbie. Zabiję się, jeśli mi nie przebaczysz.

– Nie mów tak – prosiła. – Nigdy tak nie mów. Wiesz, że cię kocham. Tylko ciebie.

– Wybacz – wyszeptał i odwrócił się do Leni. – Ty też mi wybacz, Rudzielcu. Wybacz głupcowi, którego czasem ponosi, ale ten głupiec bardzo ciebie kocha. I będzie bardziej się starał.

– Kocham cię – szepnęła mama, teraz już zalewając się łzami.

W tej chwili do Leni dotarła brutalna rzeczywistość, prawda, którą ujawniła Alaska przy całym swoim surowym pięknie. Stali się zakładnikami klimatu, braku pieniędzy, a przede wszystkim chorej, toksycznej miłości łączącej rodziców.

Mama nigdy nie odejdzie od taty. Nie ma znaczenia, że posunęła się nawet do zabrania plecaka przetrwania i ucieczki busem. I tak wróciłaby do niego, bo go kochała. Albo potrzebowała. A może zwyczajnie się go bała. Kto mógł to wiedzieć?

Leni nie pojmowała, na czym opierało się to ich uczucie. Była wystarczająco dojrzała, aby widzieć jego burzliwy charakter, a jednocześnie zbyt młoda, żeby zrozumieć, co właściwie rodziców łączyło.

Mama nigdy nie zostawi taty, ona nie zostawi mamy, a tata nigdy nie pozwoli im odejść. Żadne nie uwolni się z tego okropnego, toksycznego węzła, jakim była ich rodzina.

Wieczorem tata zabrał mamę ze szpitala do domu. Troskliwy i uważny trzymał ją, jakby była ze szkła. Ten widok napawał Leni bezsilnym gniewem. Jednak kiedy zobaczyła jego mokre oczy, jej gniew osłabiło coś w rodzaju gotowości do przebaczenia. Kochała tatę i nienawidziła zarazem. Nie wiedziała, jak stłumić którąś z tych emocji, i rozdarta czuła, jak walczą w niej o przewagę.

Tata ułożył mamę na łóżku i natychmiast poszedł narąbać drewna. Polan nigdy nie było za dużo, poza tym Leni wiedziała, że wysiłek fizyczny mu służy. Długo siedziała przy mamie, trzymając ją za zimną rękę. Tyle pytań cisnęło jej się na usta, ale wiedziała, że ostre słowa mogą wywołać płacz i dlatego zdecydowała się milczeć.

Następnego dnia rano, schodząc z drabiny, usłyszała szloch.

Weszła do sypialni. Mama oparta plecami o ścianę z okorowanych bali siedziała na materacu rozłożonym na podłodze (szumnie nazywanym łóżkiem). Twarz miała spuchniętą, pod oczyma czarnofioletowe sińce i nos skrzywiony lekko w lewą stronę.

– Nie płacz – poprosiła Leni.

– Musisz mieć o mnie fatalne zdanie – powiedziała mama, ostrożnie macając rozciętą wargę. – Sprowokowałam go, prawda? Powiedziałam coś, czego nie powinnam?

Leni zaniemówiła. Czyżby mama obwiniała siebie? Wydawało jej się, że gdyby mniej się odzywała, bardziej wspierała ojca i we wszystkim się z nim zgadzała, nie doszłoby do rękoczynów? Przecież to nieprawda! Czasami był agresywny, a czasem nie, i tyle. Niedobrze, że mama widziała w tym swoją winę. To było wręcz niebezpieczne.

– Kocham go – mówiła z wzrokiem spuszczonym na ramię w gipsie. – Nie wiem, jak przestać. Ale muszę o tym pomyśleć. O mój Boże… Nie rozumiem, co się ze mną dzieje. Dlaczego

pozwalam mu tak siebie traktować. Nie potrafię zapomnieć, jaki był przed wojną. Ciągle wierzę, że tamten mężczyzna, za którego wyszłam, jeszcze powróci.

– Nigdy go nie zostawisz – stwierdziła cicho Leni. Nie chciała, aby jej słowa zabrzmiały jak oskarżenie.

– Chciałabyś tego? Sądziłam, że pokochałaś Alaskę.

– Bardziej kocham ciebie. I… boję się.

– Tym razem posunął się za daleko, przyznaję. Sam się wystraszył. Naprawdę. Więcej do tego nie dojdzie. Przysięgał mi.

Leni westchnęła. Czym niezachwiana wiara mamy w tatę różniła się od jego przeświadczenia o nadchodzącym armagedonie? Czy dorośli widzieli to, co chcieli widzieć, myśleli tak, jak chcieli myśleć? Czy dowody i doświadczenie nic nie znaczyły?

Mama uśmiechnęła się słabo.

– Masz ochotę zagrać w Szalone Ósemki?

A więc tak to będzie wyglądało. Wszystko wróci na dawne tory. Będą rozmawiać tak jak zawsze i udawać, że nic się nie stało. Aż do następnego razu.

Kiwnęła głową. Wyjęła karty z palisandrowej skrzynki, w której mama trzymała ulubione drobiazgi, i usiadła na podłodze przy materacu.

– To wielkie szczęście, że mam ciebie – wyznała mama, usiłując poukładać karty jedną ręką.

– Stanowimy drużynę.

– Jesteśmy jak groszki w strączku.

– Dwa bliźniacze groszki.

Zawsze powtarzały to samo; tym razem te słowa zabrzmiały pusto, a nawet smutno.

W połowie gry Leni usłyszała warkot samochodu. Podbiegła do okna.

– Przyjechała Duża Marge! – zawołała do mamy. – I pan Walker.

– O cholera! Pomóż mi się ubrać.

Leni wróciła biegiem do sypialni, rozebrała mamę z flanelowej piżamy, pomogła naciągnąć wypłowiałe dżinsy i nałożyć obszerny sweter z kapturem i szerokimi rękawami, takimi, w których mieścił się gips. Uczesała ją, pomogła przejść do pokoju i posadziła na obszarpanej kanapie.

Przez otwarte drzwi wraz z podmuchem lodowatego wiatru wpadły do środka drobinki śniegu i osiadły na podłodze ze sklejki.

Duża Marge w ogromnej parce, w czapie z futra rosomaka, którą chyba sama uszyła, i w botach z foczej skóry wyglądała jak grizzly. Z rozciągniętych płatków uszu zwisały kolczyki zrobione z poroża jelenia.

– Pieprzony skurwiel – mruknęła na widok pokiereszowanej twarzy mamy. – Chętnie skopałabym mu ten chudy tyłek.

Walker stanął za Marge.

– Hej – przywitała ich mama, nie patrząc na Toma. Nie dźwignęła się z kanapy, może nie miała dość siły. – Napijecie się…

Tata wmaszerował do domu, głośno zatrzaskując drzwi.

– Ja zrobię kawę. Nie wstawaj, Coro.

Między dorosłymi zapanowało trudne do wytrzymania napięcie. Coś wisiało w powietrzu. Na coś się zanosiło.

Duża Marge stanowczym gestem chwyciła pana Walkera za ramię, podprowadziła do krzesła przy kozie.

– Siadaj! – poleciła, sadzając go, bo jak dla niej za wolno się ruszał.

Leni pobiegła do sypialni po stołek od stolika do kart i postawiła go dla Dużej Marge.

– Takie byle co? – fuknęła Marge. – Mój tyłek będzie wyglądać jak grzyb na wykałaczce. – Usiadła jednak i opierając masywne dłonie na biodrach, przyglądała się mamie.

– Nie jest tak źle, jak wygląda – odezwała się mama niepewnie. – Wiesz, że miałyśmy wypadek.

– Taa. Wiem.

Tata wszedł do pokoju z dwoma kubkami w niebieskie cętki pełnymi gorącej kawy. Jej aromat rozszedł się po pokoju. Podał po kubku Marge i Walkerowi.

– No… – zaczął z wahaniem. – Już dawno nie mieliśmy gości.

– Usiądź, Ernt – uciszyła go Duża Marge.

– Nie będę…

– Siadaj albo ja ciebie posadzę.

Mama wstrzymała oddech.

Tata usiadł obok niej na kanapie.

– Tak się nie mówi do mężczyzny w jego własnym domu.

– Erncie Allbright, nie chciej, żebym ci wytłumaczyła, kogo nazywa się prawdziwym mężczyzną. Staram się trzymać nerwy na wodzy, ale nie ręczę za siebie. I lepiej, żebyś nie zobaczył dużej kobiety w akcji. Uwierz mi na słowo. Więc zamknij jadaczkę i słuchaj. – Spojrzała na mamę. – Ty też.

Leni miała wrażenie, że nagle w pokoju nie ma czym oddychać. Całe powietrze wyparła ciężka, złowroga cisza.

– Ty wiesz, że wcześniej mieszkałam w Waszyngtonie – zwróciła się do mamy. – Byłam prawniczką. Prokuratorem w wielkim mieście. W firmowych ciuchach i w czółenkach na obcasie. Takie tam bajery. Kochałam to. I kochałam moją siostrę, która wyszła za mąż za faceta swoich marzeń. Niestety, okazało się, że on miał pewien problem, coś z nim było nie tak. Pił za dużo i lubił traktować moją młodszą siostrzyczkę jak worek treningowy. Na wszelkie sposoby próbowałam ją przekonać, żeby od niego odeszła, ale ona nie słuchała. Może się

bała, może go mimo wszystko kochała, a może była zagubiona i zrezygnowana. Nie wiem. Wiem natomiast, że gdy za którymś razem wezwałam policję, zrobiło się jeszcze gorzej. Błagała mnie, żebym więcej tego nie robiła. Usunęłam się. To był największy błąd w moim życiu. Rzucił się na nią z młotkiem. – Wzdrygnęła się. – Pogrzeb odbył się z zamkniętą trumną. Prawo jest łaskawe dla damskich bokserów. Facet żyje sobie spokojnie. Nigdy nie trafił do więzienia. Przyjechałam tutaj, żeby uciec od tego wszystkiego. – Przeniosła wzrok na Ernta. – No i proszę, pojawiłeś się ty.

Tata wykonał taki ruch, jakby chciał wstać z kanapy.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił – ostrzegł go pan Walker.

Tata powoli usiadł z powrotem. Był niespokojny. Oczy mu błyszczały, zaciskał i otwierał dłonie, nerwowo popukiwał butem w podłogę. Oni nie mieli pojęcia, ile ta wizyta będzie kosztować mamę. Odegra się na niej, gdy tylko znajdą się za drzwiami.

– Na pewno chcecie dobrze – odezwała się Leni. – Ale…

– Nie, Leni. – Walker uciszył ją łagodnie. – Nie do ciebie należy rozwiązanie tego problemu. Jesteś dzieckiem. Po prostu siedź i słuchaj.

– Omówiliśmy wszystko z Tomem – kontynuowała Duża Marge. – Znamy waszą sytuację. Jest kilka wyjść. Szczerze mówiąc, Ernt, najchętniej wyprowadzilibyśmy cię na dwór i skończyli z tobą raz na zawsze.

Tata zaśmiał się krótkim szczekliwym śmiechem i zamilkł, bo zorientował się, że oni wcale nie żartowali.

– A dokładnie to był mój pomysł – wtrącił Walker. – Duża Marge znalazła inne rozwiązanie.

– Spakujesz swoje manele, Ernt, i pojedziesz do roboty na rurze – oznajmiła. – Kierownictwo budowy rurociągu zatrudnia

takich ludzi jak ty w tej Sodomie i Gomorze. I szukają mechaników. Będziesz zarabiał niezłe pieniądze, których tak wam brakuje, i posiedzisz tam aż do wiosny.

– Nie zostawię rodziny samej aż do wiosny – zaprotestował tata.

– Och, jaki troskliwy – mruknął ironicznie Walker.

– Myślisz, że pozwolę ci ją odebrać? – postawił się tata.

– Chłopcy, dość tego – uciszyła ich Marge. – Kiedy indziej możecie się brać za łby. Teraz, Ernt, ty się stąd zabierasz, a ja się wprowadzam. Pomieszkam z twoimi dziewczynami do końca zimy. Zadbam, aby nikt i nic im nie zagrażało. Wiosną wrócisz. Może do tego czasu zrozumiesz, co masz, i zaczniesz traktować żonę jak należy.

– Nie możesz mnie zmusić do wyjazdu – oznajmił tata.

– To nie jest właściwa odpowiedź – skwitowała Marge. – Posłuchaj, Ernt. Na Alasce wychodzą z ludzi ich najlepsze albo najgorsze cechy. Może gdybyś „tam" nie pojechał, nigdy nie doprowadziłbyś się do takiego stanu. Wiem o Wietnamie. Serce mnie boli na myśl, przez co przeszli nasi chłopcy. Nie radzisz sobie z napadami agresji, prawda? Większość weteranów ma z tym problemy. Musisz to sobie uświadomić. Zrób to, co najlepsze dla twojej rodziny, bo przecież kochasz Corę i Leni, nie mylę się, prawda?

Wyraz twarzy taty zmiękł, gdy popatrzył na mamę. Jakby cały się rozluźnił. Na ułamek sekundy Leni zobaczyła tamtego tatę, jakim był, dopóki nie zniszczyła go wojna. Człowieka z czasów „zanim".

– Tak – wyznał.

– Doskonale. To znaczy, że jesteś gotowy wyjechać i łożyć na ich utrzymanie – podsumowała. – Idź teraz spakować klamoty i ruszaj w drogę. Zobaczymy się po twoim powrocie.

1978

12

Siedemnastoletnia Leni pewnie prowadziła skuter śnieżny w sypiącym śniegu. Była tylko ona i biały bezkres zimy. Blask przednich reflektorów wskazywał drogę w szarówce przedświtu. Skręciła na trakt do starej kopalni. Po mili czy dwóch droga zwęziła się do krętej ścieżki, która to wznosiła się, to opadała. Puste plastikowe sanki podskakiwały na śniegu za jej pojazdem. Liczyła, że wkrótce obciąży je zdobyczą. Tata co do jednego miał rację: musiała nauczyć się polować.

Pokonując rowy, lawirując między drzewami i ślizgając się po zamarzniętych rzekach, raz po raz odbijała się wysoko od siodełka, wpadała w poślizg, traciła kontrolę nad skuterem i wtedy popiskiwała z radości – albo ze strachu, a może z obu powodów. Tutaj była w swoim żywiole.

Bliżej grzbietu wzgórza drzewa rosły rzadziej. Między cienkimi pniami przeświecały klify i granitowe głazy przysypane śniegiem. Całkowicie skupiona na drodze Leni pięła się w górę, ślizgała w dół, przebijała się przez śnieżne pryzmy, zakosami omijała zwalone pnie.

Na wzniesieniu skuterem zarzuciło na lewo, płozy straciły przyczepność. Płynnie zwolniła i stanęła.

Oddychając z wysiłkiem przez neoprenową maskę, rozejrzała się wokół siebie. Ostre szczyty, białoniebieskie jęzory lodowców, czarny granit.

Zsiadła ze skutera, dygocząc z zimna. Skuliwszy się dla ochrony przed wiatrem, rozwiązała plecak, wyjęła rakiety,

dopchnęła skuter do grubego drzewa i nakryła go brezentem. Dalej musiała poruszać się pieszo.

Niebo się rozjaśniało. Z każdym oddechem przybywało dnia.

Ścieżka wznosiła się i zwężała. Po pół mili Leni natrafiła na kopczyk zamarzniętych owczych odchodów i zaczęła wspinać się na wzgórze, podążając za śladami kopyt.

Przyłożyła lornetkę do oczu i rozejrzała się.

Tam. Wysoko.

Kremowa owca jukońska z potężnymi, ślimakowato skręconymi rogami stąpała dostojnie po chropowatej skalnej półce.

Leni, przesuwając się ostrożnie wzdłuż stromej grani, weszła między drzewa. Kolejne ślady prowadziły do rzeki.

Świeże odchody.

W tym miejscu owce przeszły przez rzekę, krusząc lodową powłokę. Spore kawałki kry podskakiwały na wodzie uwięzione przez stały lód. W poprzek rzeki leżało stare drzewo z rozłożystymi, zamarzniętymi konarami. Tworzyły się przy nich niewielkie kałuże.

Śnieg wirował niesiony wiatrem, zbierał się po jednej stronie pnia i układał w wachlarze po drugiej. Tu i ówdzie połyskiwała spod śniegu spękana srebrnoniebieska tafla. Wiedziała, że przechodząc tędy, ryzykuje, ale szukanie lepszego dojścia mogłoby zająć wiele godzin. Poza tym nie wiadomo, czy w ogóle by je znalazła. Nie po to przejechała taki kawał drogi, żeby teraz odpuścić.

Zamknęła porządnie plecak, przywiązała sztucer, zdjęła rakiety i przymocowała je do plecaka.

Przyjrzała się krytycznie pniowi. Miał średnicę około dwóch stóp, był zamarznięty, oblodzony i częściowo obłupany z kory. Wzięła głęboki oddech i wczołgała się na niego na czworakach.

Cały jej świat ograniczył się do kłody i rzeki. Oblodzone kawałki kory kłuły w kolana. Pękanie lodu brzmiało w uszach jak wystrzały.

Nie odrywała wzroku od obłej powierzchni przed sobą.

Tam jest drugi brzeg. Tylko to miała w głowie. Nie myślała o chrupocie lodu i płynącej pod nim lodowatej wodzie. I absolutnie nie o tym, że może do niej wpaść.

Pełzła cal za calem pod wiatr i prószący śnieg.

Lód zatrzeszczał. Tym razem mocniej. Głośniej. Pień przechylił się, przebił lód przed nią. Woda z chlupotem wypłynęła na taflę. Pień z łoskotem zapadł się głębiej, o coś uderzył.

Podniosła się szybko i dla równowagi rozpostarła ramiona. Pień pod jej nogami zdawał się oddychać.

Lód załamał się w nowym miejscu. Tym razem odgłos przypominał grzmot.

Od brzegu dzieliło ją jakieś siedem stóp. Przyszła jej na myśl matka Matthew. Jej zmasakrowane przez zwierzęta ciało znaleziono wiele mil od miejsca wypadku. Śmierć pod lodem jest okropna. Nigdy nie wiadomo, gdzie wynurzą się zwłoki; na Alasce wszędzie płynie woda i odsłania rzeczy, które powinny pozostać ukryte.

Posuwała się drobnymi kroczkami. Gdy znalazła się w miarę blisko brzegu, skoczyła, machając rękami i nogami, jakby chciała wzbić się w powietrze niczym ptak, i runęła na ośnieżone skały.

Krew.

W ustach pojawił się metaliczny smak, ciepło rozlało się po lodowatym policzku.

Zaczęła dygotać. Teraz dopiero poczuła wilgoć pod ubraniem. Albo pot, albo krople wody, które wcisnęły się do rękawów i do

butów. Wodoodporne rękawice i buty były mokre jedynie z wierzchu.

Pozbierała się z ziemi i oceniła szkody. Tylko powierzchowne zadrapanie na czole i przygryziony język. Mankiety parki przemoczone, strumyczek wody na karku. Mogło być gorzej.

Poprawiła plecak, przesunęła sztucer i odbiła od rzeki, ciągle mając ją jednak na oku. Podążając po tropach i śladach odchodów, wspinała się na wystające półki skalne. Tu wysoko na górze panowała zupełna cisza, widok przesłaniał padający śnieg i para z oddechu.

Nagle doszedł ją jakiś dźwięk. Trzask gałęzi, praśnięcie racic na śliskiej skale. Poczuła piżmowy zapach przyszłej zdobyczy. Ostrożnie wsunęła się pomiędzy dwa drzewa, podniosła sztucer.

Namierzyła barana, wycelowała.

Oddychała spokojnie.

Odczekała.

Pociągnęła za spust.

Zwierzę nawet nie zdążyło zabeczeć. Czysty strzał. Dokładnie w cel. Bez zadawania cierpienia. Pod baranem ugięły się nogi, runął na ziemię, ześliznął się po kamiennej ścianie i znieruchomiał na ośnieżonej skale.

Dobrnęła w śniegu do zdobyczy. Chciała barana oskórować na miejscu i jak najszybciej ukryć mięso w plecaku. Postąpiła jak kłusownik, bo sezon polowań na owce przypadał jesienią. Niestety, widmo pustej zamrażarki skłoniło ją do złamania prawa. Tusza, na oko, mogła ważyć ze sto funtów. Z takim ciężarem na plecach czekał ją trudny powrót do skutera.

Ostrożnie manewrowała skuterem na długim białym dukcie do chaty. Delikatnie dodawała gazu, uważając na muldy i zakręty.

Przez ostatnie cztery lata Leni rosła tak jak wszystko na Alasce – dziko i nieokiełznanie. Włosy, teraz w odcieniu mahoniu, sięgały jej niemal do pasa (nie widziała powodu, żeby je skracać). Piegi na szczupłej, wcześniej dziecinnie zaokrąglonej twarzy przybladły, mleczna cera podkreślała niebieskozielony kolor oczu.

W przyszłym miesiącu ojciec miał wrócić do domu. Przez cztery lata trzymał się reguł ustanowionych przez Dużą Marge i Toma Walkera. Niechętnie i z buntowniczym nastawieniem postępował, jak mu „zalecili". Rok w rok po Święcie Dziękczynienia (kiedy nasilały się koszmary i coraz częściej, pomrukując pod nosem, zaciskał pięści) wyjeżdżał na North Slope do pracy przy budowie rurociągu. Dobrze zarabiał i co tydzień przysyłał pieniądze do domu, dzięki czemu zdecydowanie lepiej się im teraz żyło. Mieli kozy, kury, aluminiowy skif – jednoosobową łódkę do łowienia ryb i porządną cieplarnię. Starego busa volkswagena zastąpiła solidna ciężarówka. W ich busie ustawionym w lesie niedaleko McCarthy mieszkał obecnie stary pustelnik.

Z tatą w domu nadal trudno się żyło. Łatwo wpadał w gniew, chodził ponury. Ział nienawiścią do Toma Walkera, a najmniejszy powód do irytacji (albo whiskey wypita z Szalonym Earlem) nadal potrafił go sprowokować, ale się kontrolował, bo nie był głupi. Dobrze wiedział, że Walker i Duża Marge mają go na oku.

„Lepiej z nim, nie sądzisz?", słyszała często od mamy i nawet była skłonna przyznać jej rację. A może po prostu przyzwyczajone do jego humorów potrafiły się dostosować. Były jak pardwy, które w zimie zmieniają upierzenie na białe.

W szarzejących miesiącach przed wyjazdem do pracy i podczas weekendów, które tata spędzał w domu, śledziły jego nastroje ze skrupulatnością badaczy. Po najmniejszym drgnieniu powieki rozpoznawały wzbierające w nim napięcie. Leni nauczyła się je łagodzić, kiedy było to możliwe, albo schodziła mu z drogi; jej interwencje, jak się boleśnie przekonała, jedynie pogarszały sytuację mamy.

Wjeżdżając na białe podwórze, zobaczyła potężną ciężarówkę Toma Walkera i zaparkowany obok skuter śnieżny Dużej Marge. Zestawiła nogę ze skutera. But zapadł się w skrzypiący brudny śnieg. Tutaj, niżej, pogoda szybko się zmieniała. Ociepliło się. Marzec dobiegał końca. Niedługo z sopli na okapie zacznie ciurkać woda, a topniejący śnieg, spływając z wyżyn, zamieni ich podwórko w błotną maź.

Odwiązała tuszę od czerwonych plastikowych sanek przymocowanych do skutera. Zarzuciła biały worek z krwawym ładunkiem na plecy, przeszła obok zagrody i kurnika, budząc poruszenie wśród ptactwa i innych zwierząt, i wspięła się po wyremontowanych schodkach na ganek.

W chacie przywitały ją ciepło i światło. Zniknęła para z oddechu widoczna jeszcze przed chwilą. Buczał generator prądu. Z małej czarnej kozy, tej samej, którą tu kiedyś zastali, buchał żar.

Na nowym stole stało duże tranzystorowe radio. Leciała nastawiona głośno dyskotekowa piosenka Bee Gees. W całej chacie unosił się zapach świeżego chleba i piekącego się mięsa.

Pod nieobecność taty w domu panowała harmonia i swobodna atmosfera.

Duża Marge z Tomem grali w karty przy kwadratowym stole, który tata zrobił latem.

– Cześć, Leni! Dopilnuj, żeby nie oszukiwali! – zawołała mama z kuchennej wnęki. Stopniowo ją modernizowali:

pojawiła się już kuchenka na propan i lodówka. Walker wykafelkował blaty i zamontował lepszy zlew. Nadal nie mieli bieżącej wody ani ubikacji. Duża Marge powiesiła nad zlewem suszarkę do naczyń, kupioną w sklepie Armii Zbawienia podczas wyprawy do Homer.

– Oszukują! – doniosła Leni z uśmiechem.

– Nie ja – stwierdziła z godnością Duża Marge, wrzucając do ust kawałek kiełbasy z renifera. – Nie muszę, żeby wygrać z tymi dwojgiem. No, siadaj Leni, daj mi zarobić.

Pan Walker wstał od stołu, śmiejąc się pod nosem i szurając krzesłem o sklejkową podłogę.

– Zdaje się, że ktoś upolował owcę. – Wyciągnął spod zlewu płachtę białej folii i rozłożył ją na podłodze.

Leni zrzuciła ciężar z pleców i uklękła obok folii.

– Tak jest. Niedaleko Porter Ridge. – Rozsupłała worek i wyjęła oskórowaną tuszę.

Walker zaostrzył nóż ulu i wręczył go Leni.

Zaczęła wycinać z udźca porcje na steki i pieczeń, oddzielając połyskujące ścięgna. Rozbiór mięsa na podłodze. Kiedyś nie do pomyślenia, teraz norma. Tak wyglądało życie zimą.

Mama z uśmiechem na twarzy wyłoniła się z kuchni. W zimie zazwyczaj chodziła uśmiechnięta. Zima na Alasce im służyła. O ironio, właśnie wtedy, gdy świat się kurczył, a na zewnątrz czyhało tyle zagrożeń, one czuły się najbezpieczniej. Bez taty w domu mogły swobodnie oddychać. Leni zrównała się wzrostem z mamą. Dzięki diecie składającej się głównie z białka obie były szczupłe i gibkie jak baleriny.

– Uważajcie, będę grać o najwyższą stawkę – zapowiedziała mama, siadając do stołu. – Dam wam fory, przemyślcie strategię.

– Na całą partię? – chciał wiedzieć Walker. – Czy na jedno rozdanie?

Roześmiała się.

– Tom, zobaczysz, jeszcze to odszczekasz. – Zajęła się tasowaniem kart.

Leni nawykła do udawania, zarówno w lecie, jak i w zimie. Teraz udawała, że nie widzi, w jaki sposób Walker i mama patrzą na siebie, jak uważają, żeby przypadkiem się nie dotykać. Jak się mamie zdarza westchnąć, gdy wymawia jego imię.

Niektóre sprawy były ryzykowne; wszyscy doskonale to rozumieli.

Leni wróciła do swego zajęcia. Skupiona na pracy usłyszała warkot silnika, dopiero gdy światła reflektorów omiotły wnętrze chaty.

Chwilę później w otwartych drzwiach stanął tata.

Spod nasuniętej nisko na czoło złachanej bejsbolówki wystawały zmierzwione wąsy i broda. Wychudł po miesiącach pracy przy rurociągu w twardych warunkach alaskańskiej zimy. Sądząc po wyglądzie, musiał tam więcej pić niż jeść. Skórę na twarzy miał spierzchniętą i pooraną zmarszczkami.

Mama nerwowo zerwała się od stołu.

– Ernt! Wróciłeś! Tak wcześnie. Mogłeś dać mi znać.

– No – burknął, patrząc na Walkera. – Widzę, czemu wolałabyś wiedzieć.

– Zwykła sąsiedzka partyjka kart – odezwał się pan Walker, wstając z krzesła. – Zostawiam was samych. – Po drodze do drzwi musiał ominąć tatę, bo on nie usunął się ani o krok. Zdjął kurtkę z haka przy drzwiach. Ubrał się. – Dzięki, dziewczyny!

Po jego wyjściu mama blada jak płótno, z rozchylonymi ustami i ze wstrzymanym oddechem zawisła spojrzeniem na tacie.

Duża Marge wstała od stołu.

– Zrobiło się późno na zbieranie klamotów, chyba zostanę u was na noc, jeżeli nie macie nic przeciwko temu, oczywiście.

Tata nawet nie raczył na nią spojrzeć.

– Gdzie mnie tam mówić grubej kobiecie, co ma robić – powiedział, nie odrywając oczu od mamy.

Marge zbyła to śmiechem. Przeniosła się na kanapę, którą tata kupił na wyprzedaży z likwidowanego hotelu, i oparła stopy w papciach na nowej ławie.

Mama podeszła do taty, objęła go, przytuliła.

– Hej – szepnęła, całując go w szyję. – Tęskniłam.

– Wywalili mnie. Skurwysyny.

– O nie – jęknęła. – Co się stało? Dlaczego?

– Jakiś pieprzony kłamca doniósł, że piję w robocie. A mój szef to złamas. Nie moja wina.

– Ernt, biedaku. Zawsze ktoś musi się na ciebie uwziąć.

Tata pogładził mamę po policzku, odchylił jej twarz, unosząc za podbródek, i mocno pocałował.

– Boże, ale mi ciebie brakowało – wychrypiał jej w usta.

Mama z tęsknym jękiem przylgnęła do niego całym ciałem.

Odpłynęli do sypialni, przepychając się przez zasłonę z koralików, nie zważając, że nie byli w chacie sami. Leni usłyszała, jak padli na łóżko, i chwilę później doszło ją skrzypienie starych sprężyn oraz ich coraz szybsze oddechy.

Przysiadła na piętach. Dobry Boże. Nigdy nie zrozumie relacji między rodzicami. Paraliżował ją wstyd. Ta bezkrytyczna miłość mamy do taty budziła w niej niechęć i bunt. Było w tym coś chorego. Czasami widziała potwierdzenie swych obaw w spojrzeniu Dużej Marge, kiedy ta przyglądała się mamie.

– To nienormalne, dzieciaku – mruknęła Duża Marge.

– A co jest normalne?

– Kto to, do cholery, wie. Ze wszystkich małżeństw, jakie znam, najszczęśliwszy w swoim jest Stuknięty Pete.

– No cóż, Matilda nie jest taką sobie zwykłą gęsią. Zjadłabyś coś?

Marge poklepała się po obfitym brzuchu.

– Jasne. Uwielbiam potrawkę twojej mamy.

– Nałożę nam. Oni szybko stamtąd nie wyjdą.

Zawinęła poćwiartowane mięso, po czym umyła ręce wodą z wiadra przy zlewie. Podkręciła radio na cały regulator, jednak nie udało jej się zagłuszyć odgłosów dochodzących zza zasłony z koralików.

Przełom wiosenny na Alasce. Czas roztopów, poruszenia i dźwięków, kiedy pierwsze nieśmiałe promienie słońca padały na łaty brudnego śniegu. Świat ożywał, otrząsając się z zimna z hałasem podobnym do buczenia silnika. Oderwane bloki lodu, wielkie jak domy, spływały rzekami, miażdżąc wszystko, co napotkały na drodze. Drzewa przewracały się z hukiem wymywane z grząskiej ziemi. Śnieg zmieniał się w breję, a potem w wodę, która wypełniała wszelkie rowy i zagłębienia terenu.

Odnajdywały się rzeczy schowane pod śniegiem: czapka porwana przez wiatr, zwój liny. Na drogi spływały z błotem puszki po piwie ciskane na zwały śniegu na poboczach. Poczerniałe świerkowe igły unosiły się na powierzchni mętnych kałuż, w rzekach wirowały połamane konary. Kozy stały po kolana w błocie wymieszanym z łajnem. Żadne ilości siana wrzucane do zagrody nie zapewniały suchej podściółki.

Woda stała w wykrotach i prześwitach między drzewami, spływała po drogach i zbierała się w każdym zagłębieniu, przypominając wszystkim, że ta część Alaski praktycznie była lasem deszczowym. Zewsząd dochodziło trzaskanie lodu oraz

chlupot wody spływającej z konarów i okapów. Strumyki ciurkały po drogach, tworząc wiry przy szczelinach w namokniętym gruncie.

Zwierzęta powychodziły z ukrycia. Łosie leniwie spacerowały po mieście. Stada rozkwakanych kaczek unosiły się na falach w zatoce. Niedźwiedzie opuściły gawry i snuły się po wzgórzach w poszukiwaniu pożywienia. Natura robiła wiosenne porządki: wyganiała chłód, usuwała lód, zeskrobywała szron z okien na powitanie słońca.

W piękny niebieskawy wieczór pod bezchmurną kopułą nieba Leni w solidnych gumowcach wyszła nakarmić zwierzęta. Mieli teraz siedem kóz, trzynaście kur i cztery kaczki. Gdy brodziła w błocie do kostek w koleinach wyżłobionych przez opony, doszły ją głosy niosące się po wodzie. Obejrzała się na zatoczkę, ten ich łącznik ze światem. Chociaż mieszkali tu dobrych parę lat, przyroda na ich parceli nie pozwalała się okiełznać. Nawet na podwórku należało zachować ostrożność. Niemniej w takie dni jak ten, kiedy wysoka woda obmywała zasypany muszelkami brzeg, widok na zatoczkę zapierał dech w piersiach.

Teraz dopiero zobaczyła kajakarzy, flotyllę kolorowych łupinek sunących po wodzie.

Turyści. Zapewne nie podejrzewali, jak szybko wszystko potrafiło się zmieniać na Alasce. Woda na razie była spokojna, ale zatoczka wypełniała się i opróżniała dwukrotnie w ciągu dnia, a zdradliwe prądy mogły porwać łódkę albo wciągnąć ją pod wodę, zanim ktokolwiek zdążył przewidzieć zagrożenie.

Mama stanęła obok niej. Leni poczuła znajomy zapach dymu z papierosów, różanego mydła i lawendowego kremu do rąk. Ta kombinacja zawsze będzie się Leni z nią kojarzyła. Mama objęła ją ramieniem i żartobliwie stuknęła biodrem.

Patrzyły na kajaki opływające zatokę, słyszały śmiech niosący się po wodzie. Leni zastanawiała się, jak wygląda życie tamtych młodych ludzi „z zewnątrz". Przejeżdżali tutaj na wakacje, wędrowali po górach z plecakami, snuli marzenia o życiu w dziczy, a potem wracali do domów na przedmieściach, do swojego świata.

Z tyłu za nimi ożył silnik czerwonej ciężarówki.

– Dziewczyny, czas ruszać! – krzyknął tata.

Mama wzięła Leni za rękę i podeszły do samochodu.

– Nie powinniśmy jechać na to zebranie – powiedziała Leni.

Tata popatrzył na nią z uwagą. Postarzał się podczas tych lat na Alasce. Wychudł, jego ciało zrobiło się żylaste. Głębokie bruzdy znaczyły ogorzałe policzki, oczy okalała siatka zmarszczek.

– Niby czemu?

– Zdenerwujesz się.

– Myślisz, że będę uciekał przed Walkerem? Masz mnie za tchórza?

– Tato…

– Ja też należę do tutejszej społeczności. Nikt bardziej ode mnie nie kocha Kaneq. Skoro Walker zgrywa ważniaka i zwołuje zebranie, to na nie jedziemy. Wskakujcie do środka.

Wcisnęły się do kabiny starej ciężarówki.

W Kaneq zaszło sporo zmian od czasu, kiedy tu się sprowadzili, a tata ich nie cierpiał – wszystkich razem i każdej z osobna. Nie podobało mu się, że uruchomiono mały prom przywożący pieszych turystów z Homer. Złościło, że musiał zwalniać, gdy oni snuli się środkiem jezdni i rozglądali zauroczeni, pokazując sobie każdego orła, jastrzębia czy fokę. Wkurzało, że nowa firma czarterująca łodzie dla wędkarzy świetnie prosperowała i czasami w barze nie było wolnych miejsc. Nie znosił wycieczkowiczów zaglądających do Kaneq na

kilka dni (nazywał ich gamoniami), a już serdecznie nienawidził obcych, którzy się tutaj przeprowadzali, budowali domy za miastem, ogradzali działki płotami i stawiali garaże.

W ten ciepły wieczór bardziej wytrwali turyści nadal przechadzali się po Main Street. Robili zdjęcia i głośno rozmawiali, denerwując psy powiązane wzdłuż drogi. Sporo spacerowiczów gromadziło się przed nowo otwartym Snackle Shop, gdzie sprzedawano przekąski i sprzęt wędkarski.

Na drzwiach pubu Kicking Moose Saloon wisiał plakat z informacją: SPOTKANIE MIESZKAŃCÓW ODBĘDZIE SIĘ W NIEDZIELĘ O GODZ. 19.00.

– A to co? Jesteśmy w Seattle? – burknął tata.

– Ostatnie zebranie zwołano dwa lata temu – zauważyła mama. – Kiedy Tom Walker dał drewno na podstemplowanie nabrzeża doku.

– Myślisz, że nie wiem – odwarknął tata, wjeżdżając na wolne miejsce. – Musisz mi przypominać? Nie zapomniałem, jak jaśnie pan Walker machał nam pieniędzmi przed nosem – dodał, parkując ciężarówkę przed osmalonym frontem Kicking Moose Saloon. Drzwi pubu stały gościnnie otwarte.

Leni weszła do środka za rodzicami.

Przy tylu zmianach w mieście tutaj wszystko zostało po staremu. Nikomu z Kaneq nie przeszkadzały okopcone ściany i zaduch dymu, dopóki wódka lała się strumieniami.

Bar był już pełen ludzi. Kobiety i mężczyźni (głównie mężczyźni) we flanelowych koszulach okupowali bar. Kilka wychudzonych, skulonych psów drzemało pod barowymi stołkami. Wszyscy mówili naraz, w tle grało radio. Któryś z psów zaczął wyć do muzyki, ale szybko uciszył go czyjś but.

Szalony Earl pomachał do rodziców.

Tata skinął głową i ruszył do baru.

Za barem, jak zwykle od dobrych paru dekad, stał stary Jim.

– Podwójna whiskey! – krzyknął do niego tata – i piwo Rainier dla mojej pani. – Rzucił na szynkwas zwitek zmiętych banknotów.

Z whiskey i piwem dla mamy skierował się do narożnika, gdzie Szalony Earl, Thelma, Ted, Clyde i reszta klanu Harlanów siedzieli na plastikowych krzesłach ustawionych wokół odwróconej beczki pełniącej funkcję stolika.

Thelma uśmiechnęła się do mamy i podsunęła jej białe plastikowe krzesło. Obie natychmiast pochyliły się ku sobie i zatopiły w rozmowie. W ostatnich latach bardzo się zaprzyjaźniły. Leni darzyła Thelmę dużą sympatią; jak większość alaskańskich kobiet, które odważyły się mieszkać w głuszy, była twarda, stanowcza i do bólu uczciwa.

– Cześć, Leni! – odezwała się Moppet, pokazując szczerbaty uśmiech. Miała na sobie za dużą dresową bluzę i przykrótkie spodnie, spod których wystawały chude jak patyki nogi w wełnianych skarpetach i sznurowanych butach do kostek.

– Cześć, Mop! – odpowiedziała Leni, uśmiechając się do ośmiolatki.

– Axle zajrzał wczoraj do domu. O mało nie postrzeliłam go z łuku – pochwaliła się, szczerząc radośnie zęby. – O rany! Ale się wkurzył!

Leni stłumiła śmiech.

– Masz jakieś nowe zdjęcia do pokazania? – zainteresowała się Mop.

– Jasne. Pokażę ci, jak się znowu spotkamy. – Leni oparła się o ścianę z osmalonych bali. Moppet stanęła tuż przy niej.

We frontowej części baru odezwał się gong.

Głosy przycichły, ale nie zamilkły. W tym miejscu, oddzielonym od reszty świata, zebrania mieszkańców były ogólnie przyjętym zwyczajem, co wcale nie oznaczało, że w pomieszczeniu pełnym Alaskan można było liczyć na ciszę.

Tom Walker wszedł za bar.

– Witajcie! – Uśmiechnął się. – Dzięki, że przyszliście. Widzę mnóstwo znajomych twarzy, ale jest też sporo nowych ludzi. Witam serdecznie i pozdrawiam nowych sąsiadów. Dla tych, którzy mnie nie znają: nazywam się Tom Walker. Mój ojciec, Eckhart Walker, przybył na Alaskę, zanim większość z was przyszła na świat. Przyjechał szukać złota, a w sumie wzbogacił się dzięki ziemi tu, w Kaneq. Moi rodzice uzyskali prawo własności do sześciusetakrowej parceli i pobudowali dom.

– Teraz się zacznie. – Tata skrzywił się, wychylając duszkiem whiskey. – Zaraz usłyszymy o przyjaźni z gubernatorem i o tym, jak razem w dzieciństwie łapali kraby. Rany boskie…

– Trzy pokolenia mojej rodziny mieszkają na tej ziemi. Takie miejsce nie tylko określa, gdzie żyjemy, ale też definiuje, kim jesteśmy. Czasy się jednak zmieniają. Wiecie, o czym mówię. Świadczy o tym widok nowych twarzy. Alaska to dla wielu ludzi koniec świata. Są ciekawi, chcą zwiedzić nasz stan, zanim zajdą tu jeszcze większe zmiany.

– No i co z tego?! – krzyknął ktoś z sali.

– W sezonie turyści okupują brzegi Kenai River, pływają na kajakach, przybywają promami, masowo cumują jachty i łodzie w naszym doku. Statki wycieczkowe zaczną przywozić już nie setki, ale tysiące ludzi. Wiem, że czarterowa firma Teda podwoiła obroty w ostatnich dwóch sezonach, a latem znalezienie miejsca w barze graniczy z cudem. Chodzą słuchy, że prom dla pieszych między Seldovią, Homer i naszym miasteczkiem dzień w dzień będzie mieć pełne obłożenie.

– Przyjechaliśmy tutaj, żeby uciec od tego wszystkiego! – krzyknął tata.

– Tommy, czemu nam to wszystko mówisz? – zawołała Duża Marge ze swego narożnika.

– Słuszne pytanie, Marge – odparł Walker. – W końcu postanowiłem zainwestować trochę pieniędzy w Kicking Moose Saloon. Poprawić wygląd naszej knajpy. Czas, żebyśmy przestali brudzić ręce o stoliki i spodnie o krzesła.

Ktoś entuzjastycznie przytaknął.

Tata zerwał się z miejsca.

– Myślisz, że potrzebny nam taki wielkomiejski pub, że musimy podlizywać się tym idiotom, którzy łażą w sandałach z aparatami fotograficznymi na szyi?

Wiele głów odwróciło się w stronę taty.

– Nie sądzę, aby odrobina farby na ścianach i lodówki za ladą komukolwiek przeszkadzały – odpowiedział spokojnie Walker.

Wszyscy ryknęli śmiechem.

– Uciekliśmy na Alaskę od popieprzonego świata. Ja mówię, krzyknijmy nie na propozycję Pana Ważnego. Niech napływowi chodzą sobie na drinka do Salty Dawg.

– Na litość boską, nie planuję przerzucania mostu na kontynent – zniecierpliwił się Walker. – Nie zapominaj, że to miasto zbudował mój ojciec. Pracowałem w Moose Saloon, kiedy ty tam u siebie próbowałeś się dostać do Małej Ligi Baseballowej. To miejsce należy do mnie. – Zawiesił głos. – Całe jest moje. Czyżbyś o tym nie pamiętał? Wiecie co, właśnie przyszło mi do głowy, żeby także odnowić pensjonat. Ludzie muszą gdzieś się zatrzymywać. No i nazwę go Geneva. Gen byłaby zachwycona.

Drażnił się z tatą; Leni widziała to w jego oczach. Ci dwaj serdecznie się nie znosili. Oczywiście starali się nie wchodzić sobie w drogę, ale ta ich niechęć zawsze była widoczna. Tym razem Walker nie zamierzał ustąpić.

– Czy wy, kurde, to słyszycie? – Tata zwrócił się do Szalonego Earla. – A co potem? Kasyno? Diabelski młyn?

Szalony Earl podniósł się z krzesła naburmuszony.

– Chwila, Tom…

– Tylko dziesięć pokoi, Earl – uspokoił go Walker. – Ten zajazd istniał już sto lat temu, gdy po tych ulicach chodzili jeszcze rosyjscy kupcy skór i misjonarze. Moja matka namalowała witraże do holu. On jest częścią naszej historii, a niestety, wygląda jak rudera. Dopilnuję, żeby odzyskał blask. – Zamilkł na moment. – I nikt mnie nie powstrzyma przed modernizowaniem naszego miasta – dodał, patrząc wymownie na tatę.

– To, że masz forsę, wcale nie znaczy, że wolno ci wszystkimi pomiatać! – ryknął tata.

– Ernt, teraz chyba przesadzasz – próbowała uciszyć go Thelma.

Rzucił jej wściekłe spojrzenie.

– Nie chcemy, żeby kupa turystów właziła nam tutaj na głowę. Zdecydowanie mówimy nie. Nie, do cholery, niech…

Walker uderzył w gong nad bufetem.

– Drinki na koszt firmy – oznajmił z uśmiechem.

Zrobiło się ogólne zamieszanie; przepychankom do baru towarzyszyły oklaski i wiwaty.

– Nie dajcie się przekupić kilkoma drinkami! – wykrzykiwał tata. – Ten cały pomysł jest do bani! Gdybyśmy chcieli mieszkać w dużym mieście, pojechalibyśmy gdzie indziej! Niech to szlag! A skąd wiadomo, czy on na tym skończy?!

Nikt go już nie słuchał. Nawet Szalony Earl ruszył do baru po darmową whiskey.

– Ty, Ernt, nigdy nie wiesz, kiedy się przymknąć – odezwała się Duża Marge, niepostrzeżenie stając przy nim. Miała na sobie zamszową kurtkę do kolan wyszywaną koralikami i flanelowe spodnie od piżamy wpuszczone w wysokie buty z foczych skór. – Czy ktoś cię zmusza, żebyś uzyskał koncesję na naprawę silników w doku? Nie. Nikt. Jeżeli Tom chce zmienić to miejsce

w wymarzony domek dla Barbie, nikt mu nie zabroni. Dlatego właśnie tu mieszkamy. Każdy robi, co uważa. A nie to, co ty byś chciał.

– Całe życie gnoili mnie tacy jak on.

– No, pewnie. Może to z tobą jest problem, nie z nim – podsumowała Marge.

– Zamknij tę swoją tłustą gębę – fuknął. – Leni, wychodzimy! – Chwycił mamę za ramię i ciągnął za sobą, przepychając się przez tłum.

– Allbright!

Leni poznała donośny głos pana Walkera.

Tata był już przy drzwiach. Zatrzymał się i obejrzał. Szarpnięciem przyciągnął mamę do siebie. Potknęła się i o mało nie upadła.

Walker podszedł do taty, a wraz z nim grupka gapiów ze szklankami w rękach. Wydawał się spokojny. Tylko jego oczy mówiły co innego i zaciśnięcie ust, kiedy spojrzał na mamę. Był wkurzony.

– Allbright, nie uciekaj. Zachowaj się jak sąsiad – powiedział. – Chłopie, można na tym dobrze zarobić, a zmian nie da się uniknąć.

– Nie pozwolę ci zmienić tego miasta – wycedził tata. – Nie interesuje mnie twoja forsa.

– No, nie wiem. Nie masz wyboru. Odpuść więc i wyluzuj. Chodź się napić.

Wyluzuj?

Czyżby pan Walker jeszcze się na nim nie poznał?

Tata nigdy nie odpuszczał.

13

Następnego dnia tatę od rana nosiło. Chodził w kółko i kipiąc ze złości, burczał o niebezpiecznych zmianach w mieście. W południe usiadł przy krótkofalówce i zwołał na wieczór zebranie w osadzie Harlanów.

Leni nękały złe przeczucia. Nie mogła się pozbyć przykrego ucisku w żołądku. Czas wlókł się niemiłosiernie, ale godziny jednak mijały. Po kolacji pojechali do osady.

Teraz wszyscy niecierpliwie czekali na rozpoczęcie zebrania. Krzesła powyciągane z domów i ze składzików stały w nieładzie na błocie przed gankiem Szalonego Earla.

Thelma siedziała na białym plastikowym krzesełku ze zwisającą z jej kolan Moppet, bo ośmiolatka już się na nich nie mieściła. Ted stał za krzesłem żony, paląc papierosa. Mama usiadła przy Thelmie na ogrodowym fotelu z jednym tylko podłokietnikiem, a Leni rozstawiła obok rybacki stołek, którego metalowe nogi natychmiast zapadły się w błoto. Clyde i Donna stali po bokach Marthe i Agnes, jakby trzymali przy nich straż, a one zabawiały się struganiem strzał z patyków.

Wszystkie oczy były skierowane na tatę stojącego razem z Szalonym Earlem na ganku. Nie było widać butelki, ale Leni nie miała wątpliwości, że obaj zdążyli się napić.

Mżyło. Wszystko było szare: niebo, deszcz, drzewa tonące w rozpylonej mgle. Psy szczekały i powarkiwały, szarpiąc się na napiętych, pordzewiałych łańcuchach. Część z nich stała na budach, obserwując to, co działo się na podwórku.

Tata powiódł spojrzeniem po gromadce przed sobą, zdecydowanie mniej licznej niż kiedykolwiek wcześniej. W ostatnich latach sporo młodych ludzi opuściło ziemię dziadków w poszukiwaniu własnej drogi. Jedni pracowali na kutrach na Morzu Beringa, inni jako strażnicy w parku narodowym. W zeszłym roku Axle zafundował dzieciaka aborygence i zamieszkał z nią gdzieś w kolonii Yupik.

– Wszyscy wiemy, czemu się tu skrzyknęliśmy – zaczął tata. Brudne włosy zwisały mu w strąkach, zmierzwiona broda okalała twarz. Czerwona bandana zakrywała większą część głowy, nie pozwalając włosom opaść na oczy. – Ten człowiek – poklepał Szalonego Earla po kościstym ramieniu – przewidział przyszłość. Wiedział, że rząd się nie sprawdzi, że chciwość i przestępczość zniszczą wszystko, co kochamy w Ameryce. Przybył tutaj, zabierając was ze sobą, żeby zapewnić wam lepsze, prostsze życie. Chciał zdobywać jedzenie, polując, chronić swoją rodzinę przed tym kitem, który wciskają w miastach. – Tata przerwał i rozejrzał się po twarzach zebranych. – I tak się tutaj żyło. Do teraz.

– Powiedz im, Ernt – odezwał się Earl i pochyliwszy się po flaszkę ukrytą za krzesłem, odkorkował ją z głośnym puknięciem.

– Tom Walker to dziany arogancki dupek – ogłosił tata. – Wszyscy takich znamy. On nie był w Wietnamie. Tacy jak oni znajdą milion sposobów, żeby wykręcić się od poboru. W przeciwieństwie do mnie, do Bo i do naszych przyjaciół, którzy walczyli za nasz kraj. Dobra, było, minęło. Mniejsza o to, że udaje lepszego od nas, wymachuje mi pieniędzmi przed nosem. Przymknę oko na to, że uwodzi moją żonę. – Zbiegł po rozchwierutanych schodkach prosto w mętną kałużę. – Ale nie pozwolę mu zniszczyć Kaneq i naszego sposobu życia. Tu jest nasz dom. Chcemy żyć w nim po naszemu.

– On nie buduje centrum kongresowego, tylko chce odnowić pub! – zawołała Thelma. Moppet, ogłuszona tym okrzykiem, zeszła jej z kolan i dołączyła do Marthe i Agnes.

– I hotel – podpowiedział Szalony Earl. – Nie zapominaj o hotelu, panienko.

Spojrzała na ojca.

– Tato, przestań. Wy tu, chłopcy, robicie z igły widły. Nie ma u nas dróg, usług ani elektryczności. Całe to narzekanie nie ma sensu. Dalibyście już spokój.

– Ja nie narzekam – uniósł się tata. – Ja chcę działać i, na Chrystusa, nie odpuszczę. Kto jest ze mną?

– Cholerna racja – wybełkotał Szalony Earl.

– Podniesie cenę alkoholu – bąknął z żalem Clyde. – Zobaczycie.

– Nie przeniosłem się na to odludzie, żeby mieć hotel pod nosem – warknął tata.

Szalony Earl burknął coś niezrozumiale i pociągnął długi łyk.

Leni patrzyła, jak mężczyźni otaczają tatę i klepią po plecach, jakby powiedział coś odkrywczego.

Po chwili kobiety siedziały same na środku tonącego w błocie podwórka.

– Ależ Ernta ruszyła ta wiadomość o remoncie pubu – mruknęła Thelma, obserwując mężczyzn. Podekscytowani dyskutowali z ożywieniem, puszczając w obieg flaszkę. – Według mnie powinien odpuścić.

Mama zapaliła papierosa.

– On nigdy niczego nie odpuszcza.

– Wiem, że wy nie macie za bardzo na niego wpływu – Thelma przeniosła spojrzenie z mamy na Leni – ale on naprawdę może wywołać rozróbę. Owszem, Tom Walker jeździ nową ciężarówką i jest właścicielem najlepszego kawałka ziemi na półwyspie, ale to dusza człowiek. Oddałby ci ostatnią

koszulę. W zeszłym roku, kiedy dowiedział się od Dużej Marge, że Mop jest poważnie chora, przyjechał tutaj i samolotem zabrał ją do szpitala w Kenai.

– Wiem – powiedziała cicho mama.

– Twój mąż rozwali to miasto, jeżeli nie zachowamy czujności.

Mama zaśmiała się z rezygnacją. Leni dobrze ją rozumiała. Nawet gdyby obchodzić się z tatą jak chemik z nitrogliceryną, niczego to nie zmieni. Prędzej czy później dojdzie do wybuchu.

Rodzice kolejny raz się upili i Leni musiała ich zawieźć do domu. Zatrzymała ciężarówkę za chatą, pomogła mamie trafić do sypialni, a ona, zaśmiewając się, padła na łóżko i pociągnęła za sobą tatę.

Leni wdrapała się na stryszek, położyła na materacu wyciągniętym ze śmietnika i wyczyszczonym wybielaczem, nakryła się aż po czubek głowy derkami ze skór kuny i próbowała zasnąć.

Często wracała myślami do incydentu w pubie i spotkania w osadzie Harlanów. Tym wspomnieniom nieodmiennie towarzyszył głęboki niepokój, chociaż nie umiała sprecyzować, co dokładnie go budziło. Być może powodem było zachowanie taty. Co prawda zawsze łatwo wpadał w gniew, jednak ostatnio słabiej nad sobą panował.

Zmiana. Nieduża, ale niestety wyraźna.

Chodził zły. Może nawet wściekły. Dlaczego?

Bo wyrzucili go z pracy przy rurociągu? Bo w marcu widział mamę z panem Walkerem? Bo Walker był u nich w domu?

Nie, to musiało być coś poważniejszego. Czy możliwe, aby wiadomość o paru zmianach w mieście doprowadziła go do

takiego wrzenia? Przecież lubił popijać whiskey w Kicking Moose.

Przewróciła się na bok i przyciągnęła pudełko z listami od Matthew z ostatnich paru lat. Nie było miesiąca, żeby do niej nie pisał. Znała te wszystkie listy na pamięć, mogła cytować je na wyrywki. Niektóre zdania wracały do niej częściej od innych. *Czuję się już lepiej… Myślałem o Tobie wczoraj wieczorem, gdy poszliśmy na kolację, był tam dzieciak z takim dużym polaroidem… Wczoraj po raz pierwszy udało mi się strzelić gola…* i jej ulubione: *Tęsknię za Tobą, Leni* albo: *Wiem, że to głupio zabrzmi, ale mi się przyśniłaś. Czy ja też czasem się Tobie śnię?*

Dzisiaj jednak nie chciała myśleć ani o nim, ani o dzielącej ich odległości, ani o tym, jak bardzo doskwierała jej samotność. W Kaneq nie pojawili się nowi rówieśnicy. Przekonała się do Alaski, ale czuła się tutaj bardzo samotna. W kiepskie dni, takie jak ten, wolała nie czytać listów Matthew, nie zastanawiać się, czy on kiedykolwiek wróci. Poza tym obawiała się, że jeżeli chwyci za pióro, zwierzy mu się ze swoich lęków. Napisze: Słuchaj, boję się, jestem taka samotna.

Otworzyła swoją najnowszą książkę, *Ptaki ciernistych krzewów*, i zagłębiła się w historię o zakazanej miłości na niegościnnej ziemi.

Było już dobrze po północy, gdy od lektury oderwał ją szelest koralików. Spodziewała się skrzypnięcia drzwiczek kozy, a tymczasem usłyszała kroki na sklejkowej podłodze. Zsunęła się z materaca i podczołgała do krawędzi stryszka.

Zanim oczy nawykły do mroku, widziała jedynie poświatę z palących się drew. Dopiero po chwili zobaczyła tatę: ubrany na czarno, w bejsbolówce nasuniętej nisko na czoło przeszedł przez pokój z dużą torbą, w której coś grzechotało.

Otworzył drzwi i wyszedł na dwór.

Leni zeszła po drabinie i na palcach podbiegła do okna. Mleczna poświata księżyca w pełni odbijała się w leżących jeszcze tu i ówdzie zeskorupiałych łatach brudnego śniegu i wydobywała z mroku sterty rupieci: kartony ze sprzętem wędkarskim i kempingowym, pordzewiałe metalowe skrzynki i jakieś inne żelastwo, wyłamaną bramę, stos starych opon oraz drugi rower taty, ten, którego nigdy nie zreperował.

Tata zarzucił torbę na pakę ciężarówki i zniknął w szopie z dykty, gdzie trzymali narzędzia.

Chwilę później wyszedł stamtąd z siekierą na ramieniu.

Wsiadł do ciężarówki i odjechał.

Rano był w dobrym humorze. Potargane czarne włosy ściągnął w samurajski węzeł. Krzywo zawiązany opadał na bok jak oklapnięte psie ucho. W gęstej brodzie i w wąsach tkwiły strużyny.

– Jest nasz śpioch. Długo w nocy czytałaś?

– Tak. – Spojrzała na niego zdenerwowana.

Porwał ją w ramiona i wykręcił z nią pirueta. W końcu nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

Powoli opuszczał ją niepokój po tym, co widziała w nocy.

Jaka ulga. Akurat była pierwsza sobota kwietnia; jeden z jej ulubionych dni w roku.

Festiwal Łososia. Całe miasto będzie świętować otwarcie sezonu połowu łososi. W przeszłości rdzenne plemiona z Alaski skrzykiwały się na odprawianie rytuałów, które miały zapewnić obfite połowy. Teraz to była po prostu wielka wspólna feta. W taki dzień najlepiej odsunąć od siebie wszelkie złe myśli.

Parę minut po czternastej, gdy uporali się z robotą, Leni wyszła z chaty za rodzicami, niosąc zapas jedzenia. Lazur nieba

ciągnął się aż po horyzont, pokruszone muszelki na kamienistej plaży mieniły się w słońcu jak kryształki na ślubnej koronce.

Prowiant, koce, torbę z nieprzemakalnymi skafandrami i dodatkowe kurtki (pogoda o tej porze roku bywała nieprzewidywalna) wrzucili na pakę, Leni z mamą wcisnęły się na ławeczkę w szoferce i tata ruszył.

W mieście zostawili ciężarówkę przy moście i udali się w kierunku sklepu wielobranżowego.

– Co jest? – wyrwało się zaskoczonej mamie, gdy wyszli zza zakrętu.

Na Main Street kręcili się ludzie, jednak było ich zdecydowanie mniej niż zazwyczaj. O tej porze normalnie oblegano już grille z burgerami z łosia, kiełbaskami z renifera, ze świeżymi małżami i przy kuflu piwa dzielono się opowieściami o połowach. Zaaferowane kobiety krzątały się przy długich stołach przed barem, ustawiając na nich tace ze stosami kanapek z halibutem, misy pełne krabów, wiaderka parujących małży i kociołki z duszoną fasolą.

Tymczasem połowa mieszkańców stała na chodniku po stronie nabrzeża, a druga przed wejściem do pubu. Leni przyszedł na myśl kadr z filmu *Pojedynek w Corralu O.K.*

I wtedy zobaczyła pub.

Wszystkie szyby powybijane, szczątki drzwi wiszące na zawiasach i biały napis namalowany sprejem na osmolonej ścianie: TO OSTRZEŻENIE. ŁAPY PRECZ. BOGATY KUTAS. ŻADNYCH ZMIAN. Pan Walker stał przed zdewastowanym pubem z Dużą Marge i Natalie po lewej ręce oraz z panią Rhodes i jej mężem po prawej. Leni znała z widzenia wielu ze skupionych wokół niego ludzi. Przeważali wśród nich lokalni przedsiębiorcy, rybacy i właściciele sklepów ze sprzętem turystycznym. Ci ludzie przyjechali na Alaskę z konkretnymi planami i w określonym celu.

Zbieranina na chodniku po przeciwnej stronie ulicy składała się z nieudaczników i samotników żyjących w słabo dostępnych miejscach w głuszy oraz z wyrzutków najróżniejszego autoramentu, którzy ukrywali się tutaj przed wierzycielami, prawem czy alimentami. Oni, podobnie jak tata, nie chcieli na Alasce cywilizacji. Im nie były potrzebne telefony, elektryczność, turyści, asfaltowe drogi ani kanalizacja.

Tata chojracko wysunął się naprzód. Leni z mamą podreptały za nim.

Tom Walker długimi krokami wyszedł mu na spotkanie na środku ulicy. Cisnął puszkę po spreju tacie pod nogi. Z brzękiem uderzyła o chodnik i potoczyła się na bok.

– Myślisz, że nie wiem, czyja to robota? Sądzisz, że inni nie wiedzą, ty popieprzony dupku?

– Coś się stało w nocy, Tom? – wycedził tata z uśmiechem. – Doszło do wandalizmu? Jaka szkoda.

Leni widziała, jaki silny pan Walker wydawał się przy tacie, jaki opanowany. Nie wyobrażała sobie, żeby on mógł się zataczać pijany, mówić do siebie czy budzić się z krzykiem w nocy.

– Allbright, jesteś nie tylko tchórzem, ale też głupcem. Zakradasz się w nocy, tłuczesz szyby i smarujesz farbą po ścianach, dewastujesz coś, co i tak zamierzałem rozebrać.

– Tomie, on tego nie zrobił. – Mama stanęła w obronie taty, pilnując się, aby przypadkiem nie podnieść oczu. Dobrze wiedziała, że bezpieczniej będzie nie patrzeć na niego, szczególnie w tych okolicznościach. – Ernt spędził noc w domu.

Pan Walker postąpił krok do przodu.

– Posłuchaj uważnie tego, co powiem, Ernt. Tym razem przymknę oczy, uznam to za błąd. Ale postęp nieodwołalnie wkracza do Kaneq. Jeżeli posuniesz się do czegoś, czegokolwiek,

co będzie szkodzić moim interesom, nie zwołam miejskiego zebrania, nie wezwę policji. Sam się tobą zajmę.

– Nie przestraszysz mnie, nadziany pętaku.

Walker skwitował jego słowa uśmiechem.

– Tak jak mówiłem. Skończony głupiec.

Odwrócił się do stojących z tyłu ludzi, z których część podeszła bliżej, żeby nic nie uronić z kłótni.

– Jesteśmy wszyscy przyjaciółmi. Sąsiadami. Parę słów nabazgranych na ścianie nie ma znaczenia. Czas rozpocząć świętowanie.

Wszyscy natychmiast się rozbiegli. Kobiety odpłynęły do stołów z jedzeniem, a mężczyźni zajęli się rozpalaniem grilli. Gdzieś na końcu ulicy odezwała się muzyka.

Lay down, Sally, and rest here in my arms[4]…

Tata wziął mamę za rękę i odszedł z nią ulicą, kiwając głową w rytm muzyki.

Leni została sama.

Wyczuwała konflikt w mieście, rozłam, który łatwo mógł się przerodzić w walkę o dusze i o przyszłość Kaneq.

To mogło się źle skończyć.

Wiedziała, co zrobił tata. Ta dewastacja pokazała nową odsłonę wrzącego w nim gniewu. Przeraziło ją, że posunął się aż tak daleko. Odkąd Duża Marge z Walkerem wysłali go tamtej zimy do pracy przy rurociągu, bardzo się pilnował. Nigdy nie uderzył mamy w twarz ani w takie miejsca, gdzie mogłyby pokazać się sińce. Ciężko pracował i naprawdę starał się kontrolować gniew. A pana Walkera omijał szerokim łukiem.

Niestety, to się chyba skończyło.

– Masz przestraszoną minę – zaczepił ją Walker. Nie zauważyła, kiedy do niej podszedł.

– Ta sprawa między panem a moim tatą może poważnie podzielić Kaneq – powiedziała przygaszona. – Pan to wie,

prawda?

– Zaufaj mi, Leni. Nie zaprzątaj sobie tym głowy.

– Łatwo mówić. – Podniosła na niego wzrok.

– Za bardzo się przejmujesz – stwierdziła Duża Marge, kiedy nazajutrz Leni stawiła się w sklepie. Od roku po szkole pracowała u Marge: ustawiała towar na półkach, ścierała kurze, obsługiwała wiekową kasę. Za zarobione pieniądze kupowała filmy do aparatu i książki. Oczywiście tata był temu przeciwny, ale tym razem mama się postawiła. Stwierdziła, że siedemnastoletnia dziewczyna powinna mieć trochę pieniędzy na własne wydatki.

– Paskudna sprawa z tą demolką. – Leni zerknęła przez szybę w stronę zrujnowanego pubu.

– Oj tam, mężczyźni są głupi. Właśnie miałaś okazję się o tym przekonać. Popatrz sobie na byki łosi. Nacierają na siebie z impetem, trykają się rogami. Tak samo jest z baranami. Chłopy popyskują, wyładują złość i na tym się skończy.

Leni miała inne zdanie. Widziała, jak postępek taty wpłynął na ludzi. Kilka nabazgranych słów stało się kulami wycelowanymi w serce miasta. Co prawda zabawa się rozkręciła i trwała prawie do świtu, ale ludzie podzielili się na dwa obozy; jeden chciał postępu, a drugi sprzeciwiał się wszelkim zmianom. Po imprezie wszyscy się rozeszli. Każdy poszedł w swoją stronę. Osobno. W mieście, w którym dotąd mieszkańcy trzymali się razem.

W niedzielę wieczorem Leni pojechała z rodzicami do osady Harlanów na grilla. Potem, jak zwykle, na zabłoconym podwórzu rozpalili duże ognisko i grzejąc się przy nim, rozmawiali i popijali, a czerń nocy zmieniała ich sylwetki w fioletowe cienie.

Leni, siedząc na ganku u Thelmy, po raz kolejny czytała list od Matthew. Ze swego miejsca miała dobry widok na dorosłych skupionych przy ognisku. Dzban, który wyglądał jak duża czarna osa, krążył podawany z rąk do rąk. Przez potrzaskiwanie płonących gałęzi i syk płomieni przebijały gniewne męskie głosy.

– …przejąć nasze miasto…

– Bezczelny kutas, wydaje mu się, że jesteśmy jego własnością…

– …potem prąd i telewizja… Zrobi tu Las Vegas.

Z ciemności wynurzyły się dwa snopy światła. Na podwórko wtoczyła się duża biała ciężarówka, przywitana wściekłym ujadaniem psów, i ostro zahamowała, wyrzucając bryzgi błota spod kół.

Pan Walker wysiadł ze swojego drogiego nowego pojazdu i jak gdyby nigdy nic swobodnym krokiem zbliżył się do ogniska.

Oho.

Leni złożyła list, wsunęła go do kieszeni i zeszła z werandy na podwórko.

Twarz taty w blasku ognia była pomarańczowa. Samurajski węzeł zdążył mu opaść za lewe ucho.

– Ktoś chyba pomylił drogę. – Tata przywitał go butnie, głosem zmienionym przez alkohol. – Nie należysz tutaj, Walker.

– Mówi cheechako – odpalił Walker z szerokim uśmiechem.

Leni nie wiedziała, czy rzeczywiście nie poczuł się dotknięty, czy może tylko dobrze się maskował.

– Mieszkam tu od czterech lat – odparł tata, zaciskając usta w cienką kreskę.

– No proszę, aż tak długo? – Walker skrzyżował potężne ramiona na piersi. – Niektóre z moich butów przemierzyły większy kawał ziemi na Alasce niż ty.

– Słuchaj no…

– Dość już, chłopcze – uciął Walker, odsłaniając zęby w uśmiechu, który jednak nie sięgał oczu. – Nie przyjechałem tutaj gadać z tobą. Przyjechałem do nich. – Ruchem podbródka wskazał Clyde'a, Donnę, Thelmę i Teda. – Całe życie ich znam. Kurde, Clyde, pamiętasz, jak uczyłem cię strzelać do kaczek? A Thelma, kiedy jeszcze byliśmy smarkaczami, raz nieźle mi przyłożyła za chamskie odzywki. Ja tu przyjechałem rozmawiać z przyjaciółmi.

Tatę opuściła pewność siebie. Był rozdrażniony.

– Razem wypiliśmy nasze pierwsze piwo, pamiętasz? – zwrócił się do Thelmy, a ona uśmiechnęła się w odpowiedzi. – Moose jest naszym miejscem. Naszym. Donno, przecież wy mieliście tam wesele.

Donna spojrzała na męża, uśmiechnęła się niepewnie.

– Oto, z czym przyjechałem. Czas wyremontować naszą starą knajpę. Potrzebujemy miejsca, gdzie moglibyśmy się spotkać, pogadać, zabawić się, a wychodząc, nie wynosić na ubraniu zapachu spalonego drewna i plam z sadzy. Jednak to będzie wymagać sporo roboty. – Zrobił przerwę, powiódł spojrzeniem po ich twarzach. – Będę potrzebował wielu rąk do pracy. Mogę zatrudnić ludzi z Homer, płacąc im cztery dolce na godzinę, ale wolałbym, żeby pieniądze zostały tutaj, w mieście. Trafiły do moich sąsiadów i przyjaciół. Wszyscy wiemy, że dobrze mieć trochę gotówki przed zimą.

– Cztery dolce na godzinę? – podchwycił Ted. – To dużo. – Zerknął na Thelmę.

– Chcę, żeby było uczciwie – odparł Walker.

– Ha! – Tata nie wytrzymał. – Próbuje wami manipulować. Kupić was. Nie słuchajcie go. My wiemy, co jest dobre dla naszego miasta. Na pewno nie jego pieniądze.

Thelma rzuciła tacie poirytowane spojrzenie.

– Tomie, na jak długo starczy tej roboty?

Wzruszył ramionami.

– Powinniśmy skończyć przed załamaniem się pogody.

– A ilu ludzi potrzebujesz?

– Tylu, ilu uda mi się znaleźć.

– Earl?! – krzyknął tata. – Chyba na to nie pozwolisz?

Starzec się skrzywił. Jego pomarszczona twarz wyglądała teraz jak suszone jabłko.

– Tutaj trudno o robotę, Ernt.

Leni widziała, jak te słowa podziałały na tatę.

– Biorę tę robotę – odezwał się Clyde.

Walker z triumfującym uśmiechem przeniósł spojrzenie na tatę i je zatrzymał.

– Świetnie. Jeszcze ktoś?

Kiedy Clyde wysunął się do przodu, z ust taty wydobył się dźwięk podobny do odgłosu, jaki wydaje powietrze uchodzące z pękniętej opony. Złapał mamę za ramię i pociągnął za sobą przez podwórko. Leni musiała podbiegać na błocie, żeby dotrzymać im kroku.

Wsiedli do ciężarówki. Tata tak mocno nacisnął pedał gazu, że koła przez moment buksowały w mazi, zanim złapały grunt. Wrzucił wsteczny bieg, zawrócił i pędem wyjechał przez otwartą bramę.

Mama poszukała dłoni Leni. Obie wiedziały, że lepiej milczeć, kiedy zaczął mruczeć do siebie, uderzając dłonią w kierownicę dla podkreślenia wagi słów.

Cholerni idioci… Pozwolić mu wygrać… Przeklęci bogacze myślą, że świat należy do nich.

Zahamował gwałtownie przed chatą i zaparkował. Mama i Leni nie ruszały się z miejsca, bojąc się nawet głośniej oddychać.

Tata siedział ze wzrokiem wbitym w zakurzoną, oblepioną komarami szybę, za którą majaczyła wędzarnia na tle ciemnej kępy drzew. Brunatnofioletowe niebo znaczyły punkciki gwiazd.

– Wysiadać – warknął przez zaciśnięte zęby. – Muszę pomyśleć.

Leni otworzyła drzwi i obie prawie wytoczyły się z szoferki, byle szybko znaleźć się jak najdalej od niego. Ramię w ramię dobrnęły po błocie do chaty, wbiegły po schodkach i zatrzasnęły za sobą drzwi. Najchętniej zamknęłyby je na klucz, ale wiedziały, czym to groziło. Tata w przypływie szału byłby gotów podpalić chatę, żeby dopaść mamę.

Leni podeszła do okna, odgarnęła zasłonkę i wyjrzała na dwór. Ciężarówka stała z włączonym silnikiem, smuga białego dymu unosiła się nad rurą wydechową, reflektory rzucały dwa snopy ostrego światła.

Widziała zarys sylwetki w kabinie. Tata gestykulował i mówił coś do siebie.

– To on – zaczęła, podchodząc do mamy – zdemolował pub.

– Nie. Był w domu. Ze mną w łóżku. Poza tym nie posunąłby się do czegoś takiego.

Leni wolałaby przemilczeć to, co widziała, oszczędzić mamie cierpienia, jednak prawda ciążyła jej kamieniem na duszy. Dzieląc się z nią, mogła zrzucić choć część tego ciężaru. Ona i mama stanowiły drużynę. Wspierały się. Nie miały przed sobą tajemnic.

– Kiedy zasnęłaś, pojechał do miasta. Z siekierą. Widziałam, jak odjeżdżał.

Mama zapaliła papierosa. Zaciągnęła się głęboko, wydmuchała dym.

– A już myślałam, że wreszcie…

Jak dobrze Leni ją rozumiała. Nadzieja. Pociągająca ułuda dla nieprzezornych. Wiedziała, jaka bywa zwodnicza i… niebezpieczna.

– Co robimy? – spytała.

– Robimy? Już się w nim gotuje po stracie pracy przy rurociągu, a teraz jeszcze ta historia z pubem… i z Tomem. Wściekłość go roznosi.

Leni udzielił się strach mamy i jego cichy bliźniak, wstyd.

– Musimy bardzo uważać. W każdej chwili może dojść do nieszczęścia.

---

4 Eric Clapton, *Lay Down Sally*, sł. Eric Clapton, Marcelle Detroit, George Terry

14

Kwiecień w Fairbanks bywał nieprzewidywalny. W tym roku niespodziewanie chwycił mróz, spadł śnieg, ptaki się nie pojawiły, rzeki skuł lód. Nawet najstarsi ludzie, od dekad mieszkający w tym mieście uważanym za najzimniejsze w Ameryce, zaczynali narzekać.

Matthew po treningu zszedł z lodowiska z kijem hokejowym na ramieniu. Wiedział, że w przepoconym sportowym stroju wyglądał jak typowy siedemnastolatek, ale wygląd potrafi zwodzić. On to wiedział i wiedzieli jego rówieśnicy w szkole, do której chodził od paru lat. Oczywiście byli dla niego mili (tu na rubieżach, z dala od cywilizacji, nikogo się nie ocenia; możesz być, kim chcesz), ale traktowali go z dystansem. Pogłoski o „załamaniu nerwowym" rozeszły się szybciej, niż pleni się dzika roślinność na Kenai. Zanim jeszcze pojawił się w klasie, wszyscy znali jego historię. Uczniowie w szkole średniej, nawet na dzikiej Alasce, przypominają stadne zwierzęta. Natychmiast potrafią wytropić w swoim gronie słabszego osobnika.

Światło rozproszone w rozpylonych kryształkach lodu i szadź zmieniły Fairbanks w złudne miejsce, gdzie nic nie wydaje się do końca prawdziwe. W powietrzu nad miastem, jak na torze wyścigowym, wisiał nieruchomo zapach spalin.

Opuszczone piętrowe domy po drugiej stronie ulicy zdawały się wzajemnie wspierać, osamotnione we mgle. Wiele zabudowań w mieście wyglądało na skleconych naprędce, co tworzyło ogólne wrażenie tymczasowości.

Bezdomni kulący się w bramach i pijacy, którzy czasem wytaczali się z tawern i zamarzali na śmierć, przypominali w mroku sylwetki naszkicowane węglem. Matthew wiedział, że niektórzy mijani przez niego po drodze nie dotrwają do kolejnego dnia czy tygodnia, szczególnie teraz, gdy niespodziewany powrót mrozów przedłużył zimę ciągnącą się tutaj od września do kwietnia. Każdy dzień przynosił nowe ofiary. Ludzie znikali bez śladu.

Zanim zdążył dojść do auta, zapadła noc. W mgnieniu oka miasto ogarnęły ciemności rozpraszane jedynie żółtymi krążkami światła z nielicznych latarni. Od czasu do czasu ulicę omiatały jaskrawe smugi reflektorów przejeżdżających samochodów. Matthew pod parką miał hokejowy sweter, a pod treningowymi spodniami ciepłą bieliznę. Jak na tutejsze warunki nie było aż tak zimno. Zaledwie parę stopni poniżej zera. Dlatego zrezygnował z rękawic.

Silnik w miarę szybko zaskoczył. Inaczej niż w środku zimy, gdy płyn zamarzał w chłodnicy i robiąc zakupy czy załatwiając sprawy na mieście, zostawiało się samochód na chodzie.

Wsiadł do dużego czterodrzwiowego pikapa wujka i jechał przez miasto skupiony, bo na drogę często wychodziły zwierzęta, samochody wpadały w poślizg, a dzieci bawiły się tam, gdzie nie powinny.

Wyprzedził go poobijany dodge. Na tylnej szybie miał naklejkę: UWAGA! W PRZYPADKU WNIEBOWZIĘCIA SAMOCHÓD ZOSTANIE BEZ KIEROWCY.

Tu, w interiorze, z dala od nadmorskich miejscowości i majestatycznej góry Denali, miejsc masowo odwiedzanych przez turystów, widywało się mnóstwo podobnych nalepek. Na Alasce roiło się od nawiedzonych fiksatów, którzy czcili najdziwniejsze rzeczy, swoiście podchodzili do wiary w Boga i trzymali w piwnicach tyle samo egzemplarzy Biblii co sztuk

broni. Jeżeli nie życzysz sobie, aby ktoś dyktował ci, co masz robić, nie dbasz, że czyjaś przyczepa stoi na twojej działce, i nie przeszkadza ci widok lodówek na gankach, Alaska jest wymarzonym stanem dla ciebie. Według ciotki Matthew to urok prawdziwej przygody przyciągał tu tylu oryginałów. On nie potrafił powiedzieć, czy się z nią zgadza (niewiele myśli poświęcał takim sprawom), wiedział natomiast, że w miarę oddalania się od cywilizacji świat stawał się coraz dziwniejszy. Większość napływowych zapaleńców po spędzeniu jednej ponurej zimy, trwającej w Fairbanks aż osiem miesięcy, zwijała manatki i uciekała z krzykiem, natomiast romantycy, samotnicy, poszukiwacze przygód i wszelkiego rodzaju odmieńcy rzadko stąd wyjeżdżali.

Dojazd do drogi prowadzącej do siedziby wujostwa zajął mu prawie piętnaście minut, a kolejnych pięć dotarcie do domu, który od paru lat nazywał swoim. Dwie dekady wcześniej, gdy państwo przyznało ten teren rodzinie jego matki jako osadnikom, ich dom stał na odludziu. Miasto stopniowo się rozrastało, podchodząc coraz bliżej do granicy działki. Fairbanks może i leżało w środku pustkowia, niecałe sto dwadzieścia mil od północnego koła podbiegunowego, ale było drugim pod względem wielkości miastem w stanie i rozwijało się prężnie dzięki budowie rurociągu naftowego.

Długim podjazdem wijącym się między drzewami dojechał do dużego drewnianego garażu, który jednocześnie pełnił funkcję warsztatu, i ustawił pikapa pomiędzy trójkołowcem wuja a ratrakiem.

Ściany w domu zrobione z oheblowanych desek w grze światła i cienia sprawiały siermiężne wrażenie. Wujek i ciotka od niepamiętnych czasów zamierzali je otynkować, ale jakoś nigdy się do tego nie zabrali. Kuchnię wygradzały szafki z zielonymi frontami zestawione w kształcie litery L, nakryte

blatami z polerowanego drewna. Trafiły do nich z jednego z tych „wymarzonych” domów w Anchorage, zbudowanych przez przybyszów z nizin, którzy nie dotrwali na Alasce nawet do końca zimy. Barek z trzema wysokim stołkami oddzielał kuchnię od części jadalnej. Za nią znajdował się salon, w którym stała duża, obita tkaniną w szkocką kratę kanapa z dosuwanym podnóżkiem oraz dwa wyświechtane fotele ustawione przodem do okna z widokiem na rzekę. Ściany zakrywały regały z ciasno poupychanymi książkami. Wszędzie, gdzie się dało, poustawiano lampy naftowe i latarki, żeby zawsze były pod ręką podczas przerw w dopływie prądu, bo przy wielu wysokich drzewach oraz porywistych wiatrach dość często dochodziło do awarii. Mieli w domu prąd, bieżącą wodę i nawet telewizor, ale o zainstalowaniu ubikacji nie pomyślał żaden z mieszkających tu po kolei Walkerów. Szczerze mówiąc, nie czuli takiej potrzeby, bo wszyscy wzrastali w domach z wygódką na zewnątrz. Ludzie mieszkający na południu nawet nie przypuszczali, jakie czyste są te przybytki, kiedy odpowiednio się o nie dba.

– Hej! – przywitała go Aly, podnosząc głowę znad książki. Sądząc po okładce, odrabiała zadanie domowe.

Matthew rzucił torbę przy drzwiach, oparł kij o ścianę w wiatrołapie zawieszonym kurtkami i obstawionym butami. Powiesił parkę na haku i zdjął buty. Tak się ostatnio wyciągnął (miał już sześć stóp i dwa cale wzrostu), że wchodząc do środka, musiał schylić głowę.

– Hej! – Opadł na kanapę obok siostry.

– Capisz jak kozioł – powiedziała, zamykając książkę.

– Kozioł, który strzelił dwie bramki. – Przeciągnął się, odchylił głowę na oparcie i zapatrzył się na belkowany sufit. Nie wiedzieć czemu odczuwał dziwny niepokój. Bezwiednie popukiwał stopą o podłogę, bębnił palcami w podłokietnik.

Aly przyglądała mu się dyskretnie. Jej makijaż, jak zwykle, był bardzo oszczędny i sprawiał wrażenie, jakby straciła cierpliwość w połowie jego nakładania. Jasne włosy zebrała w swobodny koński ogon przesunięty nieco na lewo. Matthew nie miał pojęcia, czy celowo tak się uczesała. Aly była bardzo ładna, cechowała ją naturalna uroda alaskańskiej dziewczyny, która w weekendy woli spędzać czas na polowaniu niż w centrum handlowym czy w kinie.

– Znowu to robisz – wytknął jej.

– Co?

– Obserwujesz mnie. Jakbym miał wybuchnąć czy coś w tym rodzaju.

– Nie – zaprzeczyła, siląc się na uśmiech. – Tylko… No wiesz. Miałeś dziś zły dzień?

Przymknął powieki, westchnął. Niewątpliwie obecność starszej siostry okazała się dla niego zbawieniem. Po przyjeździe tutaj nie umiał poradzić sobie z żałobą i dręczącymi go snami. W Aly znalazł oparcie, ona jedna potrafiła przemówić mu do rozsądku, chociaż zajęło jej to trochę czasu. Przez pierwsze trzy miesiące prawie w ogóle się nie odzywał. Wysłali go do terapeuty, ale ten nie potrafił mu pomóc. Już podczas pierwszej sesji Matthew zrozumiał, że nie otworzy się przed obcym człowiekiem, szczególnie takim, który podchodził do niego jak do dziecka.

To Aly go uratowała. Nie odpuszczała, wciąż pytała, co czuje. Gdy wreszcie znalazł odpowiednie słowa, tama puściła, uwalniając pokłady potwornego cierpienia.

Nadal wzdrygał się na wspomnienie tamtego spazmatycznego płaczu.

Siostra trzymała go w ramionach i kołysała, tak jak kiedyś mama. Powoli oboje uczyli się mówić o żalu i poczuciu straty. Rozmawiali o tym, co czują, aż do wyczerpania się słów.

Czasami milczeli godzinami, łapiąc w rzece ryby na „muchę” albo wędrując po stromych górskich szlakach Alaski. Po jakimś czasie jego rozpacz przerodziła się w gniew, potem w smutek, a na koniec w nostalgię, która mimo że zawsze obecna, nie przesłaniała mu już całego świata. Ostatnio zaczęli rozmawiać o przyszłości, zamiast skupiać się na tym, co było.

Oboje widzieli pod tym względem dużą odmianę. Aly uciekła w naukę, używając szkoły jako tarczy przeciwko realiom życia dziewczyny dorastającej bez matki, i została w Fairbanks, żeby wspierać Matthew. Wcześniej, przed śmiercią mamy, snuła plany o ucieczce do Nowego Jorku albo do Chicago, w takie miejsce, gdzie jeżdżą miejskie autobusy, są teatry i opera. Jednak pustka po tamtej tragedii ją też zmieniła. Zrozumiała, jak ważna jest rodzina i bliskość tych, których się kocha. Ostatnio coraz częściej przebąkiwała o chęci powrotu do domu i być może dzieleniu się pracą z tatą. Matthew wiedział, że jego obecność w Fairbanks wiązała siostrze ręce. Ta sytuacja mogłaby trwać wieki, gdyby na to pozwolił, i jakaś część jego istoty tego pragnęła. Jednak miał już prawie osiemnaście lat i wiedział, że jeżeli nie zdobędzie się na jakiś krok, siostra utknie przy nim na dobre.

– Chcę dokończyć naukę w szkole w Kaneq – oznajmił i usłyszał niezadane pytanie siostry. – Nie mogę wiecznie się chować jak ślimak w skorupie.

Aly zrobiła przestraszoną minę. Trwała przy nim w najgorszym czasie. Wiedział, że się bała, aby przypadkiem nie wpadł z powrotem w depresję.

– Przecież lubisz hokej i dobrze grasz – zauważyła.

– Sezon kończy się za dwa tygodnie. A we wrześniu wyjeżdżam do college’u.

– Leni?

Wcale nie był zaskoczony, że się domyśliła. Rozmawiali o wszystkim, także o niej i o tym, ile jej listy znaczą dla niego.

– A jeżeli ona też wyjedzie gdzieś do college'u? Chcę się z nią zobaczyć. Drugiej szansy może nie być.

– Na pewno jesteś gotowy? Gdziekolwiek spojrzysz, będziesz widział mamę.

Właśnie. Istotne pytanie. Szczerze mówiąc, nie był pewien, czy to wszystko go nie przerośnie: powrót do Kaneq, widok rzeki, która ją pochłonęła, z bliska oglądane przygnębienie ojca. Co do jednego natomiast nie miał wątpliwości – listy Leni były dla niego ważne. Może ratowały go w takim samym stopniu co wsparcie siostry. Dzieliła ich odległość, wiedli odmienne życie, a jednak listy i zdjęcia, które mu przysyłała, nie pozwalały mu zapomnieć, kim zawsze był.

– Ona tutaj również cały czas stoi mi przed oczami. A tobie nie?

Aly powoli pokiwała głową.

– Mogłabym przysiąc, że widzę ją kącikiem oka. Rozmawiam z nią w nocy.

Pokiwał głową ze zrozumieniem. Zdarzało się, że rano, zaraz po przebudzeniu, w jego świecie przez ułamek sekundy istniał dawny porządek. Był zwykłym dzieciakiem w normalnym domu, a mama za chwilę miała zawołać go na śniadanie. Cisza w takie poranki bardzo bolała.

– Chcesz, żebym pojechała z tobą?

Chciał. Pragnął, żeby Aly była przy nim, trzymała go za rękę, pomagała utrzymać się w pionie.

– Nie. Musisz zostać w szkole do czerwca – powiedział, słysząc w swoim głosie wahanie, i nie wątpił, że ona też je usłyszała. – Poza tym muszę sam dać radę.

– Wiesz, że tata cię kocha. Ucieszy się, że wróciłeś.

Wiedział. Ale wiedział również, że miłość może zabić chłód, ściąć ją w cienką warstewkę lodu. W ostatnich latach trudno mu się z tatą rozmawiało. Żałoba i poczucie winy wypaczyły ich wzajemne relacje.

Aly wyciągnęła rękę i zamknęła jego dłoń w swojej.

Czekał, aż coś powie, ale ona milczała. Oboje wiedzieli, dlaczego: nic więcej nie zostało do powiedzenia. Czasami trzeba powrócić do punktu wyjścia, aby móc ruszyć do przodu. Mimo młodego wieku znali tę prawdę. Niestety, była też inna prawda, której woleli uniknąć. Powroty czasami sprawiają ból.

Kto wie, czy rozpacz przez cały ten czas nie czekała na jego powrót, przyczajona w mroku i chłodzie. Może w Kaneq Matthew ponownie się załamie i cały wysiłek pójdzie na marne.

– Jesteś teraz silniejszy – pocieszyła go Aly.

– To się okaże.

Trzy tygodnie później przyleciał hydroplanem wuja nad Otter Point, ustawił go do lądowania i łagodnie obniżając lot, usiadł na spokojnej niebieskiej wodzie. Z wyłączonym silnikiem podpłynął do łuku z posiwiałego drewna z wyrytym napisem: ZATOCZKA WALKERA.

Tata stał na końcu pomostu ze zwieszonymi ramionami.

Matthew zeskoczył na pływak, a stamtąd na pomost i pochyliwszy się, przycumował hydroplan do pala. Odwrócony plecami do ojca został w tej pozycji o moment dłużej, niż wymagała tego sytuacja, zbierając w sobie siłę na to spotkanie.

W końcu wyprostował się i odwrócił.

Ojciec w tym czasie znalazł się za nim i zamknął go w długim niedźwiedzim uścisku. Matthew z trudem łapał powietrze.

Kiedy tata wreszcie wypuścił go z objęć, w jego oczach była miłość, może zabarwiona smutkiem, ale jednak miłość.

Od ich ostatniego spotkania minęło zaledwie kilka miesięcy. Tata starał się przyjeżdżać na jego mecze i zaglądał do Fairbanks, kiedy tylko pozwalała na to pogoda i obowiązki w siedlisku, ale wtedy obaj skrzętnie unikali istotnych tematów.

Tata wyglądał starzej, na twarzy przybyło mu zmarszczek i bruzd. Uśmiechał się jak zawsze w ten swój charakterystyczny sposób, otwarcie i szczerze. Tak samo postępował w życiu. Był prawy, rzetelny, zdecydowany, nie kluczył i nie stosował gier. Już podczas pierwszego kontaktu z Tomem Walkerem rozmówca wiedział, że ma do czynienia z człowiekiem, który mówił prawdę, obojętnie, czy była wygodna, czy nie, i nie naginał wyznawanych przez siebie zasad. Matthew nie znał ludzi, którzy potrafili się śmiać tak jak tata, i tylko raz widział go płaczącego. Wtedy tam, na lodzie.

– Wyciągnąłeś się od ostatniego razu, kiedy się widzieliśmy – zauważył.

– Jestem jak ten Hulk z komiksu. Ubrania na mnie pękają.

Tata podniósł jego walizkę i ruszyli pomostem, mijając po drodze rybacką łódź kołyszącą się na naprężonych linach. Chłopca witał skrzek morskich ptaków, zapach wodorostów przygrzanych słońcem i czesanych przez fale.

Wspięli się schodkami na górę. Z tego miejsca Matthew widział cały duży dom z bali z wysokim łukowym wejściem i opasany tarasem. W miękkim świetle połyskiwały doniczki z uschniętym geranium zwisające z okapu.

Doniczki mamy.

Przystanął ze wstrzymanym oddechem.

Na sekundę stał się znowu tamtym zrozpaczonym czternastolatkiem targanym rozdzierającym płaczem.

Zmusił się, żeby dogonić tatę. Przeszedł obok poszarzałego stołu piknikowego, wszedł na schody i stanął przed pomalowanymi na fioletowo drzwiami. Obok wejścia wisiała wycięta z metalu orka z napisem: WITAMY! (prezent od niego, który tak bawił mamę).

Łzy zakręciły mu się w oczach. Otarł je szybko, skrępowany, że nie potrafi powściągnąć emocji przy swoim stoickim ojcu, i wszedł do środka.

W domu nic się nie zmieniło. W salonie te same, częściowo odnowione stare meble, na piknikowym stoliku nakrytym słonecznie żółtą serwetą wazon z niebieskimi kwiatami. Otaczała go niczym średniowieczna osada cała kolekcja świec. Wszędzie widać było rękę mamy. Miał wrażenie, że słyszy jej głos.

Światło z dużych okien padało na ściany z pociemniałych bali. Stały tam dwie obite brązową skórą kanapy i pianino sprowadzone przez babcię. Podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Przez rozmyte odbicie własnej twarzy widział zatokę i przystań.

Poczuł, że ojciec staje za nim.

– Witaj w domu.

Dom. To słowo miało tyle znaczeń. Miejsce. Emocje. Wspomnienia.

– Była kawał drogi przede mną – odezwał się drżącym głosem.

Słyszał, jak ojciec gwałtownie wciągnął powietrze. Czy powstrzyma Matthew, zdusi w zarodku rozmowę, na którą dotąd się nie odważyli?

Po chwili krótszej od oddechu tata położył mu dłoń na ramieniu.

– Twojej mamy nikt nie potrafiłby ograniczyć – powiedział cicho. – Nie było w tym twojej winy.

Matthew nie wiedział, jak zareagować. Tyle spraw pozostawało niedopowiedzianych, nigdy o nich nie rozmawiali. Od czego zacząć taką rozmowę?

Tata mocno przytulił go do siebie.

– Cieszę się, że wróciłeś.

– Ja też – wyznał głosem ochrypłym ze wzruszenia.

Środek kwietnia. Teraz świtało już dobrze przed siódmą. Była jeszcze czarna noc, kiedy Leni otworzyła oczy. Tej porze roku zawsze towarzyszył przypływ optymizmu. Jako Alaskanka wyczulona na zmiany oświetlenia widziała, jak atramentowa czerń rozrzedza się do grafitowej szarości. Wraz z przybywaniem dnia rosła nadzieja, że wszystko się ułoży, że będzie lepiej. Z nim będzie lepiej.

Jednak tej wiosny to się nie sprawdzało. Dzień się wydłużał, a z tatą było coraz gorzej. Chodził zły, podminowany. Rosła w nim zawiść w stosunku do Toma Walkera.

Leni prześladowało przeczucie, że w końcu wydarzy się coś złego.

Przez cały dzień w szkole zmagała się z bólem głowy. Jakby tego było mało, gdy wracała na rowerze ze szkoły, rozbolał ją żołądek. Wmawiała sobie, że pewnie dostanie okresu, chociaż dobrze wiedziała, że powodem był stres. Obie z mamą ani na chwilę nie traciły czujności. Co rusz wymieniały znaczące spojrzenia, chodziły na palcach, starały się pozostawać niewidzialne.

Jechała wprawnie po wyboistej drodze, uważając, żeby trzymać się garbu pomiędzy błotnistymi koleinami wyżłobionymi przez koła.

Na ciągle jeszcze podmokłym podwórzu nie zobaczyła czerwonej ciężarówki: znak, że tata albo udał się na polowanie, albo pojechał do Harlanów.

Oparła rower o chatę i zajęła się robotą. Nakarmiła zwierzęta, dolała im wody, zdjęła z linki suche pranie i wrzuciła je do wiklinowego kosza. Gdy z koszem opartym na biodrze miała już wrócić do chaty, usłyszała terkot silnika łodzi. Przesłaniając oczy dłonią, spojrzała na wysoką wodę.

Aluminiowy skif skręcił w ich zatokę. Terkotanie silnika było jedynym odgłosem burzącym ciszę. Rzuciła kosz z praniem na ganek i pobiegła na wzmocnione przez nich schodki na plażę. Prawie wszystkie stopnie były nowe, tylko gdzieniegdzie wystawały spod nich fragmenty zmurszałych desek. Schodziła w ubłoconych butach po ułożonych zygzakiem schodkach.

Skif ślizgał się po falach z dumnie uniesionym dziobem. Mężczyzna za sterem kierował łódkę ku plaży.

Matthew.

Wyłączył silnik i brodząc po kostki w wodzie, ciągnął łódkę na postrzępionej białej linie.

Skrępowana dotknęła ręką włosów. Nie zaplotła ich rano ani nawet nie uczesała. Miała na sobie to samo ubranie co dzisiaj i wczoraj w szkole. Flanelowa koszula na pewno nasiąkła zapachem dymu.

O Boże.

Matthew wyciągnął skif na brzeg, puścił linę i szedł do niej. Latami myślała o tej chwili, a słowa same układały się w głowie. W jej wyobraźni po prostu zaczęli ze sobą rozmawiać, jakby nigdy stąd nie wyjechał.

Jednego tylko nie przewidziała: w jej myślach on pozostał tamtym czternastolatkiem, który pokazywał jej żabi skrzek, pisklęta orłów i co tydzień pisał do niej listy. Droga Leni, ciężko mi w tej szkole. Chyba nikt mnie tutaj nie lubi… A ona na nie

odpisywała. Wiem, jak to jest. Wiele razy byłam nowa w klasie. Fatalna sytuacja. Coś ci doradzę…

On… to był ktoś inny, ktoś, kogo nie znała. Wysoki, jasnowłosy, niesamowicie przystojny. Jak się odezwać do tego Matthew?

Sięgnął do plecaka i wyjął stamtąd obdarty, pożółkły egzemplarz *Władcy Pierścieni*, który wysłała mu na piętnaste urodziny. Pamiętała dedykację. Przyjaciele na zawsze, jak Sam i Frodo.

Tamte słowa napisała inna dziewczyna, która nie znała jeszcze całej prawdy o życiu w toksycznej rodzinie.

– Jak Sam i Frodo – przerwał ciszę Matthew.

– Sam i Frodo – powtórzyła za nim jak echo.

Wiedziała, że to szalone, ale miała wrażenie, że rozmawiają teraz bez słów. O książkach, o nierozerwalnej przyjaźni, o pokonywaniu przeciwieństw losu. Może wcale nie chodziło o Sama i Frodo, może mówili o sobie, o tym, że nie wiadomo, kiedy dorośli, nadal jednak pozostając dziećmi.

Matthew wyjął z plecaka małe, owinięte w papier pudełko.

– To dla ciebie – powiedział, podając.

– Prezent? Nie mam dziś urodzin.

Trzęsącymi się rękami rozdarła opakowanie. W środku znalazła ciężki czarny aparat fotograficzny Canon Canonet w skórzanym futerale. Podniosła zaskoczony wzrok na Matthew.

– Tęskniłem za tobą – powiedział.

– Też tęskniłam – wyznała cicho. Już mówiąc te słowa, czuła, że wszystko się zmieniło. Nie mieli po czternaście lat. A co bardziej istotne, zmienił się jej ojciec. Dla Leni przyjaźń z synem Toma Walkera mogła oznaczać kłopoty.

Niepokoiło ją, że wcale się tym nie przejęła.

Następnego dnia w szkole nie mogła się skupić na lekcjach. Co chwila zerkała z ukosa na Matthew, jakby się upewniała, że on naprawdę tam jest. Pani Rhodes, zwracając się do niej, kilkakrotnie musiała podnieść głos, żeby ściągnąć na siebie uwagę Leni.

Po lekcjach wyszli razem ze szkoły i zbiegli po drewnianych schodach na rozświetloną słońcem, zabłoconą drogę.

– Później wrócę po motocykl – zaproponował, kiedy wyciągnęła rower zza ogrodzenia z łańcuchów, które założono przed dwoma laty, kiedy locha wraz z warchlakami podeszła pod same drzwi w poszukiwaniu jedzenia. – Odprowadzę cię do domu. Jeżeli chcesz.

Przytaknęła skinieniem głowy. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Przez cały dzień nie zamieniła z nim słowa, bała się, że powie coś nie tak i spali się ze wstydu. Już nie byli dziećmi, nie miała pojęcia, jak rozmawiać z chłopakiem w jej wieku, a tak bardzo chciała wypaść korzystnie w jego oczach.

Rower z odzysku podzwaniał na szutrowej drodze, gdy prowadziła go, zaciskając dłonie na plastikowych uchwytach kierownicy. Żeby przerwać ciszę, bąknęła coś o swojej pracy w wielobranżowym sklepie.

Nigdy dotąd w tak fizyczny sposób nie odbierała obecności Matthew. Jego wysoki wzrost, szerokie ramiona, swoboda, z jaką się poruszał, zapach gumy miętowej, mydła, szamponu. Wyczuwała między nimi dziwną więź, podobną do tej, jaka łączy drapieżnika i ofiarę, i zupełnie tego nie pojmowała.

Skręcili w Alpine Street i skierowali się do centrum.

– Miasto się zmienia – zauważył.

Zatrzymał się na wysokości pubu i osłaniając oczy dłonią, przeczytał białe graffiti na osmalonym froncie.

– Zdaje się, że niektórzy ludzie nie chcą zmian.

– Chyba nie.

Spojrzał na nią.

– Tata mówił, że to twój ojciec zdemolował pub.

Podniosła na niego oczy. Wstyd nerwowym skurczem zacisnął jej żołądek. Najchętniej by zaprzeczyła, ale nie mogła. Jednak, przytakując, postąpiłaby nielojalnie. Ludzie tatę tylko podejrzewali, jedynie ona i mama znały prawdę.

Matthew ruszył przed siebie. Zrównała się z nim, czując ulgę, że nie musi dłużej patrzeć na skutki ataku szału taty. Kiedy przechodzili obok sklepu, Duża Marge wybiegła na dwór z tubalnym okrzykiem i otwartymi ramionami. Wyściskała Matthew, klepnęła go w plecy, po czym cofnęła się parę kroków i objęła ich spojrzeniem.

– A wy oboje uważajcie. Między waszymi ojcami nie jest dobrze.

Tym razem Leni ruszyła pierwsza, a Matthew pozostał w tyle. Chciałaby się uśmiechnąć, ale widok zdemolowanego pubu i ostrzeżenie Dużej Marge położyły się cieniem na tym dniu. Marge miała rację. Leni igrała z ogniem. Tata w każdej chwili mógł przejeżdżać tą drogą. Nie byłoby dobrze, gdyby zobaczył, kto odprowadza ją do domu.

– Leni?

Dopiero teraz zauważyła, że Matthew idzie obok niej.

– Wybacz.

– Co mam wybaczyć?

Sama nie wiedziała. Czy miał jej wybaczyć, że są takie sprawy, o których nie miał pojęcia? A może przyszłe problemy, w które niewątpliwie go wciągnie? Żeby wypełnić ciszę, zaczęła nieskładnie opowiadać o ostatnio przeczytanej książce. Przez resztę drogi rozmawiali o błahostkach: o pogodzie, filmach,

które on obejrzał w Fairbanks, o najnowszych przynętach na czawyczę zwaną królewskim łososiem.

Czas mijał Leni niepostrzeżenie, a tymczasem, gdy zobaczyła przed sobą żelazną bramą z krowią czaszką, okazało się, że szli tak już prawie godzinę. Przy bramie obok dużej koparki stał pan Walker.

– Co twój tata robi? – spytała, przystając.

– Oczyszcza część terenu pod domki turystyczne. I buduje łuk nad podjazdem, żeby goście łatwiej mogli do nas trafić. To ma się nazywać Leśna Ostoja nad Zatoczką Walkera czy jakoś tak.

– Baza turystyczna? Tutaj?

Poczuła na twarzy jego spojrzenie mocne jak dotyk.

– Jasne. Można na tym zarabiać niezłe pieniądze.

Walker podszedł do nich, zdejmując z głowy bejsbolówkę. Czapka zostawiła biały odcisk na czole. Idąc, przygładził wilgotne włosy.

– Mojemu tacie ten łuk się nie spodoba – zauważyła Leni, podchodząc bliżej.

– Twojemu tacie wiele rzeczy się nie podoba – odpowiedział Walker, ocierając pot zgniecioną w kulkę bandaną. – A twoja przyjaźń z Mattie znajdzie się na czele listy. Wiesz o tym, prawda?

– Tak – przyznała.

– Chodź, Leni – odezwał się Matthew.

Wziął ją pod łokieć i z rowerem podzwaniającym u jej boku odciągnął od ojca. Kiedy dotarli przed jej podjazd, przystanęła, patrząc na ocieniony drzewami trakt.

– Powinieneś mnie tu zostawić.

– Chcę odprowadzić cię do domu.

– Nie.

– Twój tata?

Najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Pokiwała głową.

– Nie życzyłby sobie, żebym się z tobą przyjaźniła.

– Chrzanić go – podsumował. – Nie może nam zabronić się przyjaźnić. Nikt nie ma prawa. Tata mi mówił o tym idiotycznym sporze. Kogo to rusza? No i co to ma do nas?

– Ale…

– Leni, lubisz mnie? Chcesz być moją przyjaciółką?

Pokiwała głową. Ta chwila wydała jej się bardzo uroczysta. Poważna. Zawarli pakt.

– A ja lubię ciebie. I to wystarcza. I nic nikomu do tego.

Jaki on był naiwny, jak bardzo się mylił. Matthew nie miał pojęcia o nieprzewidywalnych zachowaniach irracjonalnych rodziców, o ciosach łamiących nosy i wybuchach wściekłości, które zaczynały się od dewastacji i nie wiadomo do czego mogły doprowadzić.

– Mój tata jest nieprzewidywalny. – To było jedyne oględne określenie, jakie przyszło jej do głowy.

– Co to znaczy?

– Mógłby coś ci zrobić, gdyby odkrył, że się lubimy.

– Oddałbym mu.

Leni poczuła, jak wzbiera w niej histeryczny śmiech. Przerażająca myśl, że Matthew mógłby się rzucić na ojca, nie mieściła jej się w głowie.

Powinna w tej chwili odejść, powiedzieć, że nie mogą się przyjaźnić.

– Leni?

Obezwładnił ją wyraz jego oczu. Czy kiedykolwiek ktoś tak na nią patrzył? Przebiegł ją dreszcz. Nie wiedziała, co go wywołało. Tęsknota, ulga, a może pożądanie. Wiedziała natomiast, że nie da sobie tego odebrać, nie po tylu samotnych latach, nawet jeżeli przyczajone niebezpieczeństwo w każdej chwili mogło uderzyć.

– Mój tata nie może się dowiedzieć, że się przyjaźnimy. W żadnym razie. Nigdy.

– Jasne – zgodził się, ale widziała, że on nie rozumie. Może poznał ból, stratę i cierpienie, bo mówił o tym smutek w jego oczach, ale nie miał pojęcia, co to strach. Uważał, że dramatyzuje.

– Matthew, mówię poważnie. On naprawdę nie może się dowiedzieć.

15

Śnił jej się deszcz. Stała nad rzeką przemoknięta do suchej nitki. Strugi wody spływały po włosach, widziała wszystko jak przez mgłę.

Rzeka wzbierała i nagle skorupa lodu pękła z ogłuszającym hukiem. Kawały kry wielkie jak chaty odrywały się od brzegu i rozpędzone porywały ze sobą wszystko, co znalazło się na ich drodze: domy, drzewa, łodzie.

Musisz przejść na drugą stronę.

Nie była pewna, czy to ona, czy ktoś inny wypowiedział te słowa. Wiedziała jedynie, że musi pokonać rzekę, zanim lód zmiecie ją z brzegu i woda dostanie się do płuc.

Jednak nigdzie nie widziała brodu.

Lodowate fale podmyły brzeg, ziemia się osunęła, runęły z trzaskiem drzewa. Usłyszała krzyk. Swój własny.

Kotłująca się woda uderzyła ją w głowę jak łopata, zwaliła z nóg. Bezradnie wymachując rękami, wpadła z krzykiem do rzeki.

– Tutaj! – zawołał jakiś głos.

Matthew.

On ją uratuje. Walcząc o oddech, usiłowała wypłynąć na powierzchnię, ale coś trzymało ją za nogi, ściągało na dno. Zabrakło jej powietrza, zapadła się w ciemność.

Obudził ją własny spazmatyczny oddech. Zobaczyła, że jest bezpieczna na swoim stryszku. Pod ścianami jak zawsze leżały

sterty książek i albumy pełne zdjęć, a obok materaca stało pudło z listami od Matthew.

Zły sen.

Przybladłe wspomnienie. Rzeka. Wiosenny przełom. Kolejny wariant śmierci na Alasce.

Ubrała się do szkoły we flanelową koszulę w szkocką kratę i w dżinsowe ogrodniczki. Włosy zaplotła w luźny francuski warkocz. Nie mogła sprawdzić, jak wygląda, bo tata zdążył wytłuc wszystkie lustra. Przywykła do oglądania siebie w odłamkach szkła. To jej nie przeszkadzało, dopóki nie pojawił się Matthew.

Zeszła na dół i usiadła przy stole, rzucając podręczniki na blat. Mama postawiła przed nią talerz z kiełbasą z renifera, bułeczkami i mięsnym sosem oraz miseczkę z borówkami, których nazbierały jesienią na wydmach nad Kachemak Bay.

Kiedy jadła, mama obserwowała ją z boku.

– Wieczorem przez godzinę targałaś wodę na kąpiel. I zaplotłaś włosy. Swoją drogą, do twarzy ci z tym uczesaniem.

– To się nazywa dbanie o higienę, mamo.

– Podobno wrócił Matthew Walker.

Powinna się spodziewać, że mama doda dwa do dwóch. Czasem przez tatę i to wszystko, co się działo, zapominała, jaka ona była bystra. Jaka spostrzegawcza.

Leni jadła, nie odrywając oczu od talerza. Z góry wiedziała, co usłyszy, dlatego nie zamierzała mamie czegokolwiek mówić. Alaska była wielka, miała wiele miejsc, gdzie można ukryć coś tak małego jak przyjaźń.

– Fatalnie, że twój tata tak nienawidzi jego ojca. I fatalnie, że ma problem z kontrolowaniem emocji.

– Tak to nazywamy?

Domyślała się, że mama wpatruje się w nią jak orzeł w wodę, kiedy czeka na błysk ryby pod powierzchnią. Leni po raz

pierwszy nie była z nią szczera.

– Masz prawie osiemnaście lat – powiedziała matka. – Jesteś młodą kobietą. A wy z Matthew wymieniliście chyba setki listów przez te lata.

– Co ma jedno do drugiego?

– Hormony są jak dopalacze. Odpowiedni dotyk i lecisz w kosmos.

– Hę?

– Mam na myśli miłość, Lenoro. Pożądanie.

– Miłość? Rany! Nie wiem, czemu mi to mówisz. Nie masz się czym przejmować, mamo.

– Jak uważasz, tylko bądź ostrożna, córciu. Nie popełnij tego samego błędu co ja.

Leni nareszcie oderwała oczy od talerza.

– Błędu? Chodzi o tatę? O mnie? Chcesz powiedzieć…

Do domu wszedł tata. Rano umył głowę i ubrał się w T-shirt oraz stosunkowo czyste brązowe spodnie z grubego płótna. Dopchnął za sobą drzwi nogą.

– Coro, coś tu dobrze pachnie. Dzień dobry, Rudzielcu. Wyspałaś się?

– Jasne, tato.

Cmoknął ją w czubek głowy.

– Gotowa do szkoły? Podrzucę cię.

– Pojadę na rowerze.

– Nie mogę podwieźć mojej drugiej w kolejności cudownej dziewczyny w taki ładny dzień?

– Możesz – ustąpiła. Zgarnęła książki i pudełko (to samo z Kubusiem Puchatkiem, które teraz bardzo lubiła) i wstała od stołu.

– Uważaj w szkole! – rzuciła za nią mama.

Nawet się na nią nie obejrzała. Wyszła z domu za ojcem i wsiadła do ciężarówki.

Wsunął kasetę do odtwarzacza i podkręcił radio. Z głośników ryknęła piosenka *Lyin' Eyes*.

Tata zaczął śpiewać na cały głos razem z Eagles.

– Też śpiewaj! – zachęcił ją, wykręcając na drogę do miasta.

Niespodziewanie nadepnął na hamulec.

– A to skurwiel – wysyczał.

Leni zarzuciło na szybę.

– Skurwiel – syknął ponownie.

Pan Walker stał na podjeździe pod łukiem z surowego drewna. LEŚNA OSTOJA NAD ZATOCZKĄ WALKERA, informował wyrzeźbiony napis.

Tata zaciągnął hamulec, wysiadł i zamaszystym krokiem podszedł do łuku, nie zważając na kałuże w dziurawej drodze.

Na jego widok Walker przerwał pracę i wetknął młotek w roboczy pas, który teraz w pochewce wyglądał jak broń.

Leni przechyliła się ze wzrokiem wlepionym w zakurzoną szybę, upstrzoną martwymi komarami.

Tata wykrzykiwał coś do pana Walkera, a on tylko się uśmiechał z ramionami splecionymi na piersi.

Przyszedł jej na myśl Jack Russell terrier, który rzucając się na napiętej smyczy, obszczekuje rottweilera.

W pewnej chwili Walker odwrócił się do niego plecami i znów zajął się pracą. Tata jeszcze trochę pokrzyczał, postał z minutę, cofnął się do ciężarówki, z całej siły zatrzasnął drzwi, wrzucił bieg i wdusił pedał gazu.

– Ktoś musi skurwielowi utrzeć nosa. Widziałem takich ważniaków w Wietnamie. Cholernych tchórzy, oficerów. Wysyłali porządnych chłopaków na śmierć, a sami dostawali medale.

Wiedziała, że najlepiej, jeśli będzie siedzieć cicho. „Skurwysyn, bezczelny kutas, myśli, że jest lepszy…". Tata złorzeczył pod nosem przez całą drogę. Była gotowa się założyć,

że prosto spod szkoły pojedzie do osady poszukać chętnych do psioczenia wśród Harlanów. Kto zresztą wie, czy tym razem skończy się na pomstowaniu.

Zajechali przed szkołę.

– Płynę dziś promem do Homer – poinformował ją. – Odbiorę cię o piątej.

– Dobra.

Wzięła podręczniki oraz pudełko z lunchem i wysiadła z ciężarówki. Nie obejrzała się, idąc do wejścia, a on nie pożegnał jej klaksonem. Odjechał z piskiem opon, wyrzucając kamyki spod kół.

Wszyscy już siedzieli na swoich miejscach. Pani Rhodes pisała na tablicy: pentametr jambiczny u Szekspira.

Matthew odwrócił się do niej. Jego uśmiech miał siłę przyciągania grawitacyjnego z jej fantastycznonaukowych powieści. Podeszła i usiadła obok.

Nie odrywał od niej oczu. Czy tak właśnie tata patrzył na mamę? Chyba podobnie. Czasami. Spojrzenie Matthew peszyło ją i krępowało.

Wyrwał kartkę z zeszytu, skreślił parę słów i przesunął do niej. Odpuścisz dziś pracę po szkole? Moglibyśmy gdzieś wyskoczyć.

Powiedz NIE, pomyślała, a szeptem odpowiedziała:

– Tata przyjedzie po mnie o piątej.

– Czyli tak?

Musiała się uśmiechnąć.

– Tak.

– Super.

Przez resztę dnia była zdenerwowana, a jednocześnie czuła przypływ energii. Nie mogła usiedzieć na miejscu, z trudem odpowiadała na pytania o *Hamleta*. Skupiła się na robieniu

notatek, żeby nikt, łącznie z Matthew, nie zauważył, że dzieje się z nią coś dziwnego.

Po lekcjach pierwsza zerwała się z krzesła. Wybiegła ze szkoły i popędziła prosto do sklepu kolonialnego.

– Marge! – zawołała, wpadając do środka przez wąskie drzwi.

Duża Marge rozpakowywała karton z papierem toaletowym. Cały towar kupowała hurtem w Soldotnie i po ustaleniu ceny wykładała na półki.

– Co tam, dzieciaku?

– Nie mogę dzisiaj przyjść do pracy.

– Aha. No dobrze.

– Nie chcesz wiedzieć, dlaczego?

Marge uśmiechnęła się, wyprostowała i potarła obolały od schylania się kark.

– Niee.

Dzwonek nad drzwiami zaanonsował wejście Matthew.

– Jak mówiłam – mruknęła Marge. – Nie chcę wiedzieć. – Odwróciła się do nich plecami, przecisnęła wąskim przejściem za ladę i zniknęła za piramidą z puszek z krabami.

– Chodź – ponaglił ją Matthew. – Wychodzimy.

Opuścili sklep, przemknęli obok robotników remontujących Kicking Moose i weszli na wzniesienie za rosyjskim kościołem prawosławnym, gdzie nikt nie mógł ich widzieć.

Przeszli kawałek i znaleźli polankę z widokiem na niebieskie wody Kachemak Bay. Kołysało się na nich co najmniej dziesięć małych łódek.

Matthew wyjął z futerału przy pasku ząbkowany nóż, naciął świerkowych gałęzi i rozłożył je w pachnący wachlarz na trawie.

– Chodź, siadaj tutaj.

Usiadł obok, a potem wyciągnął się na ziemi, podkładając ręce pod głowę.

– Popatrz w górę.

Zadarła głowę.

– Nie, połóż się.

Zrobiła to samo co on. Wysoko nad nimi na bladoniebieskim niebie płynęły białe obłoki.

– Widzisz pudla?

Leni zobaczyła pierzastą chmurę podobną do ostrzyżonego pudla.

– A tamta wygląda jak piracka korweta.

Wodziła spojrzeniem za powoli sunącymi obłokami, które na jej oczach przybierały coraz to inne kształty. Szkoda, że ludzie nie potrafili tak się zmieniać.

– Jak jest w Fairbanks? – spytała.

– Za tłoczno. Przynajmniej dla mnie. Chyba wolę ciszę i przestrzeń. I bywa tam niebezpiecznie. Najechało mnóstwo robotników do pracy przy rurociągu. Dużo piją i często wszczynają bójki. Ale u wujostwa było w porządku. No i miałem przy sobie Aly. Bardzo się mną przejmowała.

– Ja też.

– Wiem… I… chciałbym cię przeprosić – powiedział z wahaniem.

– Za co?

– Za tamto na wycieczce. Odepchnąłem ciebie wtedy… Wydawało mi się, że już panuję nad sobą. Znaczy, tak myślałem… ale wcale tak nie było.

– Rozumiem.

– Jak to?

– Mojemu tacie śnią się koszmary z wojny. Czasami wtedy wpada w szał.

– Widziałem ją. Moją mamę. Pod lodem, niedaleko moich stóp. Włosy jak wodorosty pływały wokół jej twarzy. Walczyła. Próbowała się wydostać. Chwilę później zniknęła. – Wypuścił

rwący się oddech. Leni czuła, że on odpływa myślami w ciemną, bolesną przeszłość A jednak szybko powrócił do niej. – Nie wiem, jak bym sobie poradził bez mojej siostry i… twoich listów. To głupio brzmi, ale to prawda.

Te wynurzenia nią wstrząsnęły. Miała wrażenie, że ziemia usuwa się spod niej, zupełnie jak w tamtym śnie. Jako czternastolatka nie miała pojęcia o takich rzeczach jak lód, śmierć, a nawet strach. W ogóle nie wyobrażała sobie, że mogłaby utracić mamę, a jeszcze to… Patrzeć bezradnie, jak znika pod lodem, nie móc jej uratować…

Odwróciła głowę i objęła spojrzeniem profil Matthew: czysty zarys nosa, cień jasnego zarostu, wygięcie ust. Malutka blizna pod łukiem brwiowym i brązowy pieprzyk na linii włosów.

– Poszczęściło ci się, że masz taką siostrę jak Alyeska.

– Tak. Myślała o tym, żeby pracować w „Vogue'u" czy w czymś takim. A teraz chce wrócić do domu i pomagać tacie. Zamierzają stworzyć bazę turystyczną na terenie siedliska. Tym sposobem kolejne pokolenie Walkerów będzie mieszkać w tym samym miejscu. – Roześmiał się, rozbawiony tą myślą.

– Nie odpowiada ci to?

– Bardzo mi odpowiada – powiedział cicho. – Będę uczył moje dzieci tego samego, czego kiedyś tata mnie.

Odwróciła głowę. To była ostatnia rzecz na świecie, jakiej ona chciałaby dla swoich dzieci. Zapatrzyła się z powrotem na niebo. Na pudla, który zdążył się zmienić w kosmiczną rakietę.

– Przeczytałam taką fajną książkę *Koniec dzieciństwa*, o ostatnim człowieku na Ziemi. Ciekawe, co taki ktoś mógłby czuć. Gdyby tak być jasnowidzem…

Poszukał jej dłoni. Nie cofnęła ręki. To, że ją trzymał, wydawało się najzwyklejszą rzeczą pod słońcem.

Szybko się zorientowała, że znalazła się w tarapatach. Matthew nie schodził jej z myśli. W szkole śledziła każdy jego gest. Obserwowała go, jak obserwuje się łowne zwierzę, próbując z jego zachowań odczytywać intencje. Zdarzało się, że pod ławką musnął jej rękę albo mijając się z nią w klasie, otarł się o nią ramieniem. Nie wiedziała, czy robił to celowo, niemniej jej ciało instynktownie reagowało na każdy taki przelotny dotyk. Raz, podnosząc się z krzesła, naparła ramieniem na jego rękę jak kotka domagająca się uwagi. Nie planowała tego, kierowała nią jakaś niezrozumiała potrzeba. Jakoś tak samo wyszło. Czasami, kiedy rozmawiali, czuła jego wzrok na swoich ustach. Łapała się na tym, że przyglądając mu się ukradkiem, uczyła się jego twarzy, próbując zapamiętać każdy, najdrobniejszy nawet szczegół.

W szkole, zamiast skupić się na lekturze, błądziła wokół niego myślami, w domu zapominała o pracy. Mama, chcąc zdobyć jej uwagę, nieraz musiała podnieść głos.

Leni mogłaby się zwierzyć matce z dręczącego ją niepokoju, opowiedzieć o zmysłowych snach, z których budziła się rozstrojona, o pragnieniu czegoś, czego nie umiała nazwać, ale stan taty wyraźnie się pogarszał i nie chciała dokładać jej zmartwień. Dlatego milczała, próbując samotnie uporać się z dręczącą ją dziwną i niezrozumiałą tęsknotą.

Teraz, w osadzie Harlanów, ona, mama i Thelma czyściły i kroiły ryby na wystawionym na dwór stoliku ze stali nierdzewnej. Filety trafią na wiele dni do marynaty, a potem będą się wędzić co najmniej przez trzydzieści sześć godzin.

Ted reperował jedną z psich bud, Clyde był zajęty wyprawianiem wołowej skóry na rzemienie. Trzynastoletnia Agnes, trzymając się na uboczu, ćwiczyła rzuty gwiazdkami ninja w drzewo. Marthe strugała procę. Donna rozwieszała na lince upraną pościel. Tata i Szalony Earl pojechali do Homer.

Thelma chlusnęła wiadrem mydlin na stół, zmywając z blatu na ziemię rybie wnętrzności, na które natychmiast rzuciły się psy.

Siedząca na plastikowym krześle Leni próbowała łatać siatkę na kraby. Moppet przykucnęła przy niej i paplała o ptasim gnieździe, które gdzieś tam znalazła.

W osadzie wyczuwało się napięcie. Leni widziała, jak dorośli patrzyli na siebie od tamtego dnia, kiedy Walker przyjechał do Harlanów, przypomniał o łączących ich więzach i zaproponował dobrze płatną pracę. Dokładniej mówiąc, nie tyle patrzyli na siebie, ile raczej uciekali przed sobą wzrokiem.

Doszło do rozłamu. Nie tylko w mieście, ale także tutaj, w osadzie. W przeciwieństwie do dorosłych ona nie potrafiła określić, kto stoi po czyjej stronie. Natomiast była pewna, że od tamtego wieczoru tata nie odezwał się słowem ani do Thelmy, ani do Teda.

Leni poderwał przeraźliwy dźwięk klaksonu. Siatka wypadła jej z rąk, trafiając metalowym pałąkiem w kostkę. Krzyknęła z bólu i kopnęła ją na bok.

Ciężarówka taty wtoczyła się na polanę i zatrzymała przy szopie na narzędzia. Z szoferki wysiedli tata i Szalony Earl. Tata wytaszczył z paki duży karton. Kiedy go niósł, w środku coś podzwaniało i łomotało. Wszedł na pagórek przy ulach i powiódł spojrzeniem po kręcących się na podwórzu ludziach. Szalony Earl wdrapał się tam za nim. Starzec wyglądał na zmęczonego albo raczej na bardziej znużonego niż zwykle. Przez ostatni rok prawie całkiem wyłysiał, czoło miał poorane bruzdami. Kępki białych jak mleko włosów rosły mu na policzkach i podbródku, sterczały z uszu i nosa.

– Zbierzcie się tutaj – zarządził Earl, przywołując krewniaków kiwnięciem ręki.

Thelma wytarła dłonie o nogawki spodni i dołączyła do męża.

Leni stanęła obok mamy.

– Wyglądają na pijanych – mruknęła.

Mama pokiwała głową i zapaliła papierosa. Razem podeszły do Thelmy.

Tata stał na wzniesieniu niczym jakiś wielki kapłan i uśmiechał się do zebranej przed nim gromadki.

Leni rozpoznała ten uśmiech sygnalizujący u niego Genialny Pomysł. Mnóstwo razy go widziała. Początek czegoś: on to uwielbiał.

Tata położył dłoń na ramieniu Earla.

– Ten człowiek – zaczął, ściskając wymownie ramię starca – zaprosił mnie i moją rodzinę do tego bezpiecznego wspaniałego miejsca, które wy stworzyliście. Czujemy się prawie Harlanami. Traktujecie nas bardzo życzliwie. Zdaję sobie sprawę, ile przyjaźń Thelmy znaczy dla Cory. Powiem szczerze, pierwszy raz czujemy, że gdzieś przynależymy. – Postawił z brzękiem karton na ziemi i odepchnął go czubkiem gumiaka. – Życzeniem Bo było, abym zamieszkał w jego chacie. Domyślacie się, dlaczego? Chciał, żebym podzielił się wiedzą z jego rodziną. Chciał, żeby ktoś, komu ufał, was bronił. Jak wiecie, traktuję swoją powinność bardzo poważnie. Wszyscy staliście się wyborowymi strzelcami. Radzicie sobie z łukiem i strzałami. Wasze plecaki przetrwania czekają spakowane. Nie zaskoczy nas stan wojenny, wojna atomowa czy pandemia. Tak przynajmniej sądziłem.

Leni zauważyła, że Thelma się krzywi.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Clyde, rozplatając muskularne ramiona.

– W zeszłym tygodniu wróg bez problemu przeszedł przez tę bramę. Nikt go nie zatrzymał. Nic go nie powstrzymało. Zjawił

się tutaj i za pomocą słów oraz przekupstwa wbił między nas klin. Wiecie, że to prawda. Pojawiły się niesnaski. A wszystko przez Toma Walkera.

– A ten znowu to samo – mruknęła pod nosem Thelma.

– Ernt – odezwał się Ted. – To tylko praca. Potrzebujemy pieniędzy.

Tata uniósł dłoń, uśmiechnął się.

(Leni znała ten uśmiech, nie wróżył nic dobrego).

– Do nikogo nie mam pretensji. Wszystko rozumiem. Ja tylko staram się wskazać wam zagrożenie, które uszło waszej uwadze. Kiedy dojdzie do GWWW, wasi sąsiedzi będą się przed wami wypłakiwać. Będą chcieli od was tego, co macie, a wy chętnie się z nimi podzielicie. Znacie się wszyscy od dawna. Rozumiem to i szanuję. I dlatego jestem tutaj, żeby bronić was przed wami samymi.

– Nasz Bo byłby zadowolony – poparł tatę Szalony Earl. Skręcił papierosa, zapalił i zaciągnął się łapczywie. Leni patrzyła, czy przypadkiem zaraz nie padnie trupem. – Powiedz im – rzucił do taty, gdy wreszcie wypuścił dym.

Tata przykucnął, otworzył karton i sięgnął do środka. Gdy się podniósł, w jednej ręce trzymał groźnie wyglądającą deskę gęsto nabitą gwoździami, a w drugiej granat.

– Nikt więcej, ot tak sobie, tutaj nie wejdzie. Najpierw zbudujemy mur z drutem kolczastym. Potem, na granicy osady, w miejscach narażonych na atak wykopiemy fosę. Na dno wrzucimy takie deski z gwoździami, tłuczone szkło, groty, szpikulce. Co tam komu przyjdzie do głowy.

Thelma parsknęła śmiechem.

– Tu nie ma nic śmiesznego, panienko – upomniał ją Szalony Earl.

– Umieścimy granat w słoju do weków. – Tata promieniał zachwycony swoją pomysłowością. – Usuniemy zawleczkę,

włożymy granat do słoja, dociśniemy łyżkę i zakopiemy słój. Kiedy ktoś na niego nadepnie, słój pęknie i bum!

Wszyscy stali jak zamurowani. Ciszę zakłócało jedynie szczekanie psów.

Szalony Earl klepnął tatę w plecy.

– Cholernie dobry pomysł, Ernt! Cholernie dobry.

– Nie – sprzeciwiła się Thelma. – Nie, nie i nie.

Rechot Earla zagłuszył jej protest. Przepchnęła się między krewniakami i wysunęła o krok przed wszystkich niczym grot strzały.

– Nie! – powtórzyła.

– Nie? – podchwycił jej ojciec, mlaskając bezzębnymi ustami.

– To szaleniec – wytknęła ojcu. – Mieszkają tutaj dzieci. I, nie bójmy się tego powiedzieć, sporo pijaków. Nie możemy zakopywać bomb pułapek na obrzeżach naszego domu. Prędzej czy później ktoś z nas zginie.

– Thelmo, bezpieczeństwo to nie twoja sprawa – zgasił ją tata. – Ja się tym zajmuję.

– Nie, Ernt. Do mnie należy zapewnienie bezpieczeństwa rodzinie. Gromadzę zapasy, filtruje wodę domowym sposobem. Uczę córki pożytecznych rzeczy: strzelania, polowania, zastawiania pułapek. Przymykam oko na to wasze ględzenie z ojcem o wojnie atomowej i pandemii, ale nie zamierzam martwić się każdego dnia, że ktoś przypadkiem zginie.

– Ględzenie? – wysyczał tata.

Wszyscy zaczęli mówić naraz, sprzeczać się, podnosić głos. Leni widziała, jak różnica zdań dzieli ich na dwa obozy. Na tych, którzy chcieli pozostać rodziną (większość), i tych gotowych zabić każdego, kto się do nich zbliży (tata, Szalony Earl i Clyde).

– Są tutaj dzieci. – Głos Thelmy górował nad gwarem. – Pamiętajcie o tym. Nie wolno nam instalować jakichś pułapek,

ładunków wybuchowych.

– A jak przyjdą z karabinami maszynowymi?! – krzyknął tata, oglądając się na swoich poplecznków. – Wybiją nas do nogi i wszystko zabiorą.

– Może tak być, mamo? Może? – Leni usłyszała pytanie Moppet.

Kłótnia rozgorzała na nowo. Krewniacy doskakiwali do siebie i krzyczeli poczerwieniali z emocji.

– Dość tego! – uciszył ich w końcu Szalony Earl, wyrzucając w górę chude ramiona. – Nie pozwalam, żeby takie rzeczy działy się w mojej rodzinie. I mamy tutaj dzieci. – Odwrócił się do taty. – Przykro mi, Ernt. Muszę stanąć po stronie Thelmy.

Tata cofnął się o krok.

– Jasne, Earl – wycedził, odchodząc na bok. – Jak sobie życzysz, chłopie.

W jednej chwili bojowy zapał opuścił Harlanów. Leni patrzyła, jak na powrót się jednoczą, przepraszają wzajemnie, zmieniają temat. Ciekawe, czy którykolwiek z nich zwrócił uwagę na tatę, który stojąc z boku, obserwował ich z zaciśniętymi szczękami.

16

W maju pojawiły się tysiące biegusów. Z łopotem skrzydeł przelatywały ludziom nad głowami i przysiadały na wodach zatoki przed odlotem na północ. W tym miesiącu na Alaskę wracały chmary ptaków; kotłowały się pod niebem, a powietrze wypełniał świergot, skrzek i krakanie.

Zazwyczaj o tej porze roku Leni, leżąc jeszcze w łóżku, nasłuchiwałaby tych odgłosów. Rozpoznawałaby ptaki po ich śpiewie i odmierzała czas do wyczekiwanego lata przylotami i odlotami poszczególnych gatunków.

Tym razem było inaczej.

Do końca roku szkolnego pozostały zaledwie dwa tygodnie.

– Jesteś strasznie markotna – zauważył tata, wjeżdżając na szkolny parking. Ustawił ciężarówkę obok pikapa Matthew.

– Nic mi nie jest – odparła, sięgając do klamki.

– Chodzi o bezpieczeństwo, tak?

– Co? – Odwróciła się do niego.

– Od ostatniej wizyty u Harlanów obie z mamą chodzicie przygnębione i zwarzone. Wiem, że się boicie.

Patrzyła na niego osłupiała, zupełnie nie wiedząc, co powiedzieć. Po porażce u Harlanów zrobił się jeszcze bardziej spięty.

– Thelma jest optymistką. Jedną z tych, co to chowają głowę w piasek. Oczywiście woli nie myśleć o przyszłości. Bo ta przyszłość może okazać się przykra. Ale udawanie, że problem nie istnieje, niczego nie załatwia. Musimy być przygotowani na

najgorsze. Prędzej bym umarł, niż pozwolił, żeby coś złego stało się tobie czy mamie. Wiesz o tym, prawda? Wiesz, że was bardzo kocham. – Wzburzył jej włosy. – Nie zamartwiaj się, Rudzielcu. Ja was obronię.

Wysiadła z szoferki, zatrzasnęła za sobą drzwi i zdjęła rower z paki. Zarzuciła pasek plecaka na ramię, oparła rower o płot i ruszyła do szkoły.

Tata zatrąbił na pożegnanie i odjechał.

– Pssst! Leni!

Rozejrzała się.

Matthew stał ukryty za drzewami naprzeciwko szkoły.

Odczekała, aż ciężarówka taty zniknie za zakrętem, i dopiero wtedy do niego podeszła.

– Co jest?

– Odpuśćmy dzisiaj lekcje, wsiądźmy na Tusty i popłyńmy do Homer.

– Wagary? Homer?

– Daj się skusić. Będzie fajnie.

Znała wszystkie powody, żeby powiedzieć nie. Wiedziała również, że przy dzisiejszym niskim poziomie wód tata przez całe przedpołudnie będzie zbierał małże.

– Nie wpadniemy, a nawet gdyby, to wielka mi rzecz. Chodzimy do ostatniej klasy. Jest maj. Dzieciaki w kontynentalnych stanach bez przerwy wagarują.

Pomysł nie był dobry, a nawet więcej, mógł okazać się niebezpieczny, jednak nie potrafiła odmówić Matthew.

Słyszała jękliwe zawodzenie syreny promu podpływającego do przystani.

Matthew wziął ją za rękę i zanim się obejrzała, wybiegli z parkingu przed szkołę, wspięli się na wzgórze ze starym kościołem, zbiegli na przystań i wsiedli na prom.

Stała na pokładzie, trzymając się relingu. Prom odbijał od brzegu.

Tustamena przez cały letni sezon przewoziła rybaków, podróżników, robotników, turystów, a nawet drużyny sportowe ze szkół średnich. W ładowni pod pokładem płynęły samochody i mnóstwo najróżniejszych towarów. Na Tusty transportowano sprzęt budowlany, traktory, koparki, stalowe belki. Dla co bardziej odpornych na niewygody turystów ta przeprawa promowa stanowiła atrakcję, a okolicznym mieszkańcom po prostu umożliwiała dotarcie do miasta.

Leni setki razy płynęła tym promem, ale nigdy wcześniej przeprawie nie towarzyszyło takie uczucie wolności… Oczekiwania. Jakby ta krypa miała ją dowieźć w zupełnie nową przyszłość.

Bryza burzyła jej włosy. Rozkrakane mewy kołowały nad ich głowami i niesione podmuchami wiatru ślizgowym lotem opadały na wodę. Śruby silników łodzi rysowały pieniste szlaczki na gładkiej zielonej tafli.

Matthew stanął za nią i uchwycił się relingu, otaczając ją ramionami. Odchyliła się, chłonąc jego ciepło.

– Nie mogę uwierzyć, że to robimy – wyznała. Czuła się jak normalna nastolatka. Jakby i ona, i Matthew stali się takimi dzieciakami, które w sobotnie wieczory chodzą do kina, a po filmie piją koktajle w A&W.

– Idę na studia do college’u w Anchorage – powiedział Matthew. – Będę grał w ich drużynie hokeja.

Odwróciła się do niego. Cały czas trzymał dłonie na relingu, czyli właściwie ją obejmował. Wiatr zawiewał jej włosy na twarz.

– Wyjedź ze mną – zaproponował.

Ten pomysł był jak piękny kwiat; rozkwitł i zaraz zwiądł w jej dłoni. Matthew miał inne możliwości. Był zdolny i bogaty. Panu

Walkerowi zależało, żeby syn poszedł na studia.

– Nie stać nas. Muszę pomagać w domu.

– Są stypendia.

– Nie mogę wyjechać – powiedziała cicho.

– Wiem, że twój tata jest dziwny, ale czemu nie mogłabyś wyjechać?

– Nie chodzi o tatę. Mama mnie potrzebuje.

– Jest dorosła.

Nie potrafiła się zdobyć na wyjaśnienia.

Nie zrozumiałby, dlaczego czasem miała wrażenie, że jej obecność trzyma mamę przy życiu.

Wziął ją w ramiona i przytulił. Ciekawe, czy czuł, jak ona drży.

– Jeezu, Len – wyszeptał z westchnieniem w jej włosy.

Czy celowo zdrobnił jej imię, czy chciał dać coś do zrozumienia?

– Wyjechałabym, gdybym mogła – wyznała.

Oboje zamilkli. Leni myślała o tym, w jak bardzo różnych żyją światach. A tam na Zewnątrz, w wielkim świecie, byli tylko dwójką dzieciaków pośród milionów swoich rówieśników.

W Homer zeszli z pokładu, niesieni przez tłum. Trzymając się za ręce, zniknęli w ciżbie ożywionych turystów i szaro ubranych tubylców. Zjedli halibuta z frytkami na tarasie w restauracji na samym cyplu Spitu, rzucając kręcącym się przy nim ptakom tłuste słone frytki. Matthew kupił Leni album na zdjęcia w sklepie z pamiątkami, gdzie handlowano bożonarodzeniowymi ozdobami z alaskańskimi motywami oraz T-shirtami z nadrukami w rodzaju: NIE JESTEM ŁOSIEM i MASZ CHĘĆ NA A-LASKĘ?

Rozmawiali o wszystkim i o niczym. Mówili o pięknie Alaski, o zdradzieckich pływach, o mrowiu ludzi i samochodów na Spicie.

Leni zrobiła Matthew zdjęcie na tle Salty Dawg Saloon.

Sto lat wcześniej w tym budynku, w miejscu, które nawet Alaskanie nazywali końcem świata, działała poczta i sklep spożywczy. Teraz w stylowej tawernie, o ciemnym wnętrzu ozdobionym mnóstwem pamiątek, okoliczni mieszkańcy bratali się z turystami. Matthew na jednodolarowym banknocie napisał ich imiona i przypiął go do ściany wśród tysięcy jednodolarówek i skrawków papieru z podobnymi napisami.

To był najlepszy dzień w życiu Leni. Dlatego kiedy dobiegł końca i wracali taksówką wodną do Kaneq, walczyła ze smutkiem. Na Tusty i w mieście otaczało ich mnóstwo ludzi. Tutaj był tylko kapitan, ich dwoje na ławeczce na rufie i wielka woda dokoła.

– Szkoda, że musimy wracać – powiedziała z żalem.

Otoczył ją ramieniem i przytulił. Przechylali się wraz z łodzią kołysaną falami.

– Ucieknijmy stąd – zaproponował.

Roześmiała się.

– Nie, mówię poważnie. Widzę nas, jak wędrujemy z plecakami przez Amerykę Środkową, wspinamy się na Machu Picchu. Ja mogę pracować jako pilot albo ratownik medyczny. Ty zostaniesz fotografką. A kiedy już wszystko zobaczymy, wrócimy tutaj, gdzie nasze miejsce, pobierzemy się i będziemy mieć dzieci, które nie będą nas słuchać.

Wiedziała, że on żartuje, roztaczając tę wizję, a jednak jego słowa obudziły w jej sercu głęboką tęsknotę, której istnienia dotąd nie podejrzewała. Żeby się ratować, musiała zmusić się do uśmiechu i dostosować do tej konwencji.

– Fotografką, tak? To mi pasuje. Z mocnym makijażem i w butach na obcasie odbiorę Nagrodę Pulitzera. Może zamówię martini. Ale co do dzieci, to sama nie wiem.

– Muszą być. Koniecznie. Ja chcę córkę z rudymi włosami. Nauczę ją skakać po skałach i łowić królewskie łososie.

Nie ciągnęła dalej tej zabawy. Jak to możliwe, że ta dziecinna rozmowa łamie jej serce? On nie powinien mieć takich marzeń, a już na pewno nie powinien się nimi dzielić. Stracił matkę, a ona miała niebezpiecznego ojca. Los ich rodzin i przyszłość wyglądały niepewnie.

Taksówka wodna, zwalniając, dobiła burtą do pomostu. Matthew wyskoczył i zarzucił pętlę z liny na pachołek. Kiedy Leni zeszła na pomost, odrzucił linę z powrotem do łodzi.

– Jesteśmy w domu – powiedział.

Popatrzyła na domki przycupnięte na palach oblepionych skorupiakami i mułem.

Dom.

Powrót do prawdziwego życia.

Nazajutrz po południu w sklepie popełniała błąd za błędem. Pomieszała kartony z trzycalowymi gwoździami, źle je poustawiała i ze wzrokiem wbitym w półkę myślała: mogłabym pójść na studia? Czy to w ogóle wchodziło w grę?

– Uciekaj do domu – odezwała się Duża Marge, stając za nią. – Wydajesz się błądzić myślami.

– Wcale nie.

– Ależ tak. Jesteś nieobecna. – Posłała jej wymowne spojrzenie. – Widziałam, jak wczoraj chodziliście z Matthew po mieście. Igrasz z ogniem, dziewczyno.

– C-co masz na myśli?

– Dobrze wiesz. Masz ochotę o tym pogadać?

– Nie ma o czym.

– Nie urodziłam się wczoraj. Bądź ostrożna, tylko tyle ci powiem.

Nie odpowiedziała. Brakowało jej słów, zawodziło logiczne myślenie. Wyszła ze sklepu, wsiadła na rower i pojechała do domu. Nakarmiła zwierzęta, przyniosła im wody ze źródła, które odkopali parę lat temu, i weszła do domu. Zatopiona w myślach i przytłoczona emocjami ocknęła się, dopiero gdy stanęła przy mamie w kuchni. Nawet nie pamiętała, kiedy do niej podeszła.

Mama miesiła ciasto na chleb. Podniosła głowę, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi.

– Co się dzieje? – zwróciła się do córki, wyciągając z misy dłonie oblepione ciastem.

– Skąd to pytanie? – obruszyła się Leni, dobrze znając odpowiedź.

Była bliska płaczu, chociaż nie bardzo rozumiała, z jakiego powodu. Wiedziała jedynie, że Matthew wywrócił jej świat do góry nogami. Potrząsnął nią, otworzył oczy. Myślała wyłącznie o końcu szkoły i o tym, że wyjeżdża na studia bez niej.

– Leni? – Mama wytarła ręce w ścierkę do naczyń i odrzuciła ją na stół. – Chodzisz taka przygnębiona.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, doszedł je warkot silnika. Na podwórze wjechał lśniący biały pikap.

Samochód Walkera.

– Jezu, nie. – Leni z rozmachem otworzyła drzwi i wybiegła na dwór.

Matthew zdążył już wysiąść.

Zbiegła po schodkach z werandy.

– Nie powinieneś tu przyjeżdżać.

– Byłaś dzisiaj w szkole taka milcząca, a potem uciekłaś do sklepu. Pomyślałem… czy to moja wina?

Była szczęśliwa, że go widzi, a jednocześnie przerażona, że się tutaj znalazł. Powinna zaprzeczyć i czym prędzej się z nim pożegnać, ale bardzo, bardzo chciała powiedzieć, że tak.

Zza chaty wyłonił się tata z siekierą. Twarz miał czerwoną z wysiłku, spływał potem. Na widok Matthew zatrzymał się w pół kroku.

– Matthew Walkerze, nie jesteś tutaj mile widziany. Jeżeli razem z ojcem chcesz niszczyć własną ziemię, nie mogę ci w tym przeszkodzić, ale trzymaj się z daleka od mojej ziemi i mojej córki. Zrozumiano? Wy, Walkerowie, jesteście jak gangrena. Przez to swoje unowocześnianie pubu, budowanie hotelu i cholernej Ostoi zniszczycie krajobraz. Doprowadzicie Kaneq do ruiny. Zmienicie miasto w pieprzony Disneyland.

Matthew uniósł brwi.

– Powiedział pan „Disneyland”?

– Zabieraj się stąd, bo jeszcze chwila, a uznam to za wtargnięcie i cię zastrzelę.

– Już idę.

Matthew zareagował tak spokojnie, a przecież niemożliwe, żeby się nie przestraszył. Był tylko chłopakiem, a wygrażał mu mężczyzna z siekierą.

Patrząc, jak Matthew się oddala, Leni nie spodziewała się, że będzie aż tak cierpieć. Odwróciła się od ojca, weszła do domu i zastygła wpatrzona w próżnię, przygięta tęsknotą za Matthew.

Po chwili zjawiła się mama. Przeszła przez chatę z otwartymi ramionami.

– Och, córciu!

Leni zalała się łzami. Mama tuliła ją do siebie, gładziła po głowie, a potem posadziła ją na kanapie i usiadła obok.

– Zakochałaś się w nim. Nic dziwnego. To świetny chłopak. A ty przez te wszystkie lata byłaś bardzo samotna.

Ubrała w słowa to, co Leni myślała. Rzeczywiście czuła się bardzo samotna.

– Dobrze cię rozumiem – wyszeptała mama.

Tych kilka słów uprzytomniło jej, że na wielkiej Alasce ich chata stanowiła odrębny świat. A mama zdawała sobie z tego sprawę.

– Niestety, sytuacja jest ryzykowna. Wiesz, prawda?

– Tak. Wiem – przyznała Leni.

Przeczytała tyle powieści o złamanych sercach i niespełnionej miłości, ale dopiero teraz pojęła ich sens. Cierpiała fizycznie. Tęsknota za Matthew była jak choroba.

Kiedy następnego ranka wstała po nieprzespanej nocy, miała piasek pod powiekami. Raziło ją światło wpadające przez świetlik. Naciągnęła na siebie wczorajsze ubranie i zeszła ze stryszku. Nie miała ochoty na śniadanie. Wyszła na dwór, nakarmiła zwierzęta, wsiadła na rower i pojechała do miasta. Pomachała do Dużej Marge, która akurat wyszła przed witrynę sklepu kolonialnego, przejechała obok Stukniętego Pete'a i skręciła na parking przed szkołą. Ustawiła rower w wysokiej trawie przy płocie i przyciskając plecak do piersi, weszła do klasy.

Krzesło Matthew było puste.

– Jasne – mruknęła do siebie. Po spotkaniu z jej szalonym ojcem pewnie jest już w połowie drogi do Fairbanks.

– Hej, Leni – przywitała ją radośnie pani Rhodes. – Możesz mnie dzisiaj zastąpić? W centrum Homer znaleziono rannego orła. Pomyślałam, że pojadę, zobaczę, co da się zrobić.

– Nie ma sprawy. Czemu nie?

– Wiedziałam, że w tobie nadzieja. Moppet ćwiczy dzisiaj dzielenie liczb wielocyfrowych, Agnes i Martha piszą wypracowanie z historii, a ty i Matthew mieliście czytać T.S. Eliota.

Leni pożegnała panią Rhodes wymuszonym uśmiechem. Zerknęła na zegar. Może się spóźni, pomyślała, i zajęła się pomaganiem dziewczynkom. Dzień ciągnął się w nieskończoność i co chwila sprawdzała czas. Wreszcie wskazówki dobrnęły do trzeciej.

– Dobra, dzieciaki. Na dzisiaj koniec.

Kiedy w opustoszałej klasie zapadła cisza, spakowała rzeczy i ostatnia wyszła ze szkoły.

Podniosła rower i jechała powoli po Main Street, odwlekając powrót do domu. Awionetka nisko nad miastem zakreśliła leniwie szeroki łuk, by pasażerowie mogli się przyjrzeć miastu skupionemu wzdłuż drogi przy pasie nadbrzeża. Na podmiejskich mokradłach w szuwarach kołysanych wiatrem kwitło mnóstwo dzikich kwiatów. Powietrze pachniało kurzem, stojącą wodą i młodą trawą. W zatoce czerwony kajak wynurzył się z sitowia przy brzegu, kierując się na otwarte morze. Z pubu dochodziło postukiwanie młotków, ale robotników na zewnątrz nie było.

Dojechała do mostka. Zazwyczaj na początku sezonu w taki pogodny dzień jak ten mnóstwo mężczyzn i kobiet stało tutaj rzędem, mocząc kije. Dzieciaki wspinały się na palce i wypatrywały ponad balustradą ryb w kryształowo czystej rzece.

Tym razem stała tam tylko jedna osoba.

Matthew.

Zahamowała, opierając jedną stopę na ziemi, a drugą na pedale.

– Co tu robisz?

– Czekam.

– Na co?

– Na ciebie.

Zsiadła z roweru i razem zawrócili ku miastu. Rower klekotał, podskakując na wybojach, od czasu do czasu pobrzękiwał grzybek dzwonka.

Kiedy mijali pub, Leni rozejrzała się nerwowo, ale nie dostrzegła ani Clyde'a, ani Teda. Lepiej, aby nikt nie doniósł tacie, że widział ją z Matthew. Wspięli się na wzgórze i weszli w zagajnik świerków sitkajskich. Leni położyła rower i podążyła za Matthew na występ skalny granitowego klifu.

– Nie zmrużyłem oka w nocy – odezwał się w końcu Matthew.

– Tak jak ja.

– Myślałem o tobie.

Mogłaby odwzajemnić się takim samym wyznaniem, ale zabrakło jej odwagi.

Wziął ją za rękę i zaprowadził w tamto miejsce, które kiedyś wysłał świerkowymi gałązkami. Usiedli oparci o zwalony, porośnięty mchem pień. Leni słyszała chlupot fal o skały. Zapach wilgotnej ziemi przenikał powietrze. Słońce przesiane przez gałązki kładło się gwiaździstymi plamami na trawie.

– Wieczorem rozmawiałem o nas z tatą. Nawet poszedłem do restauracji, żeby stamtąd zadzwonić do siostry.

O nas.

– No i?

– Tata stwierdził, że chcąc być z tobą, igram z ogniem.

Chcąc być z tobą.

– Aly zapytała, czy już ciebie pocałowałem. Kiedy powiedziałem, że nie, usłyszałem: „Do diabła, braciszku, na co ty czekasz". Ona wie, jak bardzo mi na tobie zależy. No to… czy mogę cię pocałować?

Zdobyła się na ledwo widoczne skinienie głową, ale to mu wystarczyło. Nieśmiało przycisnął wargi do jej ust. I wtedy stało się tak jak w tamtych wszystkich romansach, które czytała. Ten pierwszy pocałunek ją odmienił, otworzył przed nią świat doznań, których dotąd nie znała: świetlany bezmiar niespodziewanych możliwości.

Kiedy się odsunął, z napięciem popatrzyła mu w twarz.

– My. To wszystko. Ryzykowne.

– Pewnie tak. Ale to nie ma znaczenia, prawda?

– Nie – szepnęła, chociaż wiedziała, że może tej decyzji jeszcze gorzko żałować. – Oprócz nas nic nie ma znaczenia.

Leni, wyjedź ze mną na studia. Proszę…

Będzie cudownie… Możesz dołączyć jesienią. Bylibyśmy razem.

Razem…

Wróciła do domu i odstawiła rower. Karmiąc zwierzęta, roztargniona wysypała całe wiadro ziarna. Potem naniosła wody ze źródła na wzgórku. Godzinę później, gdy zrobiła już wszystko, co do niej należało, zobaczyła, że mama z tatą schodzą na plażę do łódki. Czyli wybierają się na ryby.

Wrócą za kilka godzin.

Mogłaby pojechać do Matthew, pozwolić mu się znowu całować. Rodzice nawet się nie dowiedzą, że nie było jej w domu.

Głupi pomysł. Jutro się z Matthew zobaczy.

Do jutra całe wieki.

Wyciągnęła rower, wskoczyła na siodełko i energicznie pedałując, ominęła kajak, który tata w zeszłym tygodniu przyciągnął z wysypiska, oraz fragmenty żelastwa,

wspomnienie po nienaprawionym do dziś rowerze. Cień rzucany na trakt przez rosnące wzdłuż drzewa chłodził jej rozpalone policzki.

Wykręciła na główną drogę zalaną słońcem i po przejechaniu pół mili znalazła się przed podjazdem zwieńczonym bramą. Była otwarta, więc nie zatrzymując się, przejechała pod łukiem z wyrzeźbionym łososiem.

To ryzykowne, podpowiadał jej rozsądek, ale nie zamierzała go słuchać. Myślała wyłącznie o Matthew, o tamtym pocałunku i o tym, jak bardzo chciała znowu poczuć dotyk jego ust.

Mocno naciskała na pedały, bo grunt na podjeździe był miękki. Ktoś zadał sobie trud i ściągnął warstwę ziemi, żeby obłożyć dojazd ubitym tłuczniem. Jej tata nigdy by tego nie zrobił, nie utwardziłby drogi. Po co ułatwiać sobie życie?

Zadyszana wyhamowała przed domem Walkerów.

Matthew akurat szedł z belą siana do zagrody dla krów. Gdy ją zobaczył, pobiegł do niej, rzucając po drodze siano. Był ubrany w przyduży hokejowy sweter i krótkie spodnie, a na nogach miał kalosze.

– Len? – Uwielbiała, kiedy zwracał się do niej tym zdrobnieniem. Stawała się wtedy inną osobą, kimś, kogo znał tylko on. – Stało się coś?

– Stęskniłam się – powiedziała. Idiotka. Przecież dopiero co się rozstali. – Chciałabym… Powinniśmy mieć więcej czasu dla siebie.

– Jutro w nocy przyjdę do ciebie – wyszeptał, biorąc ją w ramiona, tam gdzie pragnęła się znaleźć.

– J-jak to?

– Zakradnę się do was. – Powiedział to z takim przekonaniem, że na moment zbił ją z tropu. – Jutro w nocy.

– Nie możesz.

– O północy. Wymknij się z domu.

– Zbyt duże ryzyko.

– Masz prawo wyjść do wygódki, nie? A więc w czym problem? Czy twoi starzy kiedykolwiek zaglądają w środku nocy na stryszek?

Mogłaby ubrać się ciepło i wyjść z domu na jakiś czas. Mieliby dla siebie godzinę, dwie. Sami, tylko we dwoje.

Odmawiając, udowodni, że potrafi zachować rozsądek, ale też, że nie stać jej na miłość, którą można porównać do heroiny i która sprawia, że zasypiając, płacze się w poduszkę.

– Proszę! Muszę się z tobą zobaczyć – nalegał.

– Leni!

Doszedł ją gniewny głos ojca. Odepchnęła Matthew, niestety, za późno. Zdążył już ich razem zobaczyć i teraz zmierzał do nich długimi krokami. Mama biegła z tyłu.

– Co ty, do cholery, tutaj robisz? – Ojciec naskoczył na Leni.

– Ja… ja… – Nie mogła wydusić słowa. Głupia-głupia-głupia. Po co tu przyjechała?

– Zdaje się, mówiłem, że masz się trzymać z daleka od Lenory! – wysyczał do Matthew.

Chwycił ją za ramię i szarpnięciem przyciągnął do siebie. Zacisnęła zęby, żeby nie krzyknąć z bólu. Wolała ukryć przed Matthew, że tata trzyma jej rękę w żelaznym uchwycie.

– Leni! – Matthew próbował interweniować.

– Zostaw – ostrzegła go. – Proszę cię, nie podchodź.

– Idziemy! – warknął tata.

Ciągnął ją za sobą, a ona, podbiegając, potykała się i obijała o niego. Jeżeli się odtoczyła, szarpnięciem przyciągał ją z powrotem. Mama prowadziła rower, starając się dotrzymać im kroku.

Na podwórku wyrwała się ojcu z uścisku. Niewiele brakowało, a poleciałaby na ziemię jak długa.

– Nie zrobiłam nic złego! – wykrzyczała, chwiejnie odwracając się do niego.

– Ernt. – Mama starała się zapanować nad głosem. – Oni się tylko przyjaźnią…

– A więc wiedziałaś o nich! – naskoczył na nią.

– Niepotrzebnie się denerwujesz – próbowała go udobruchać. – Chodzą do jednej klasy. To wszystko.

– Wiedziałaś – powtórzył.

– Nie – wtrąciła nagle przestraszona Leni.

– Widziałem, jak wyjeżdżała – oznajmił tata. – I ty też, Coro, widziałaś, prawda? I dobrze wiedziałaś, dokąd się wybrała.

– Niee – zaprzeczyła, kręcąc głową. – Myślałam, że może jedzie do pracy. Albo do sklepu po maść z topoli balsamicznej.

– Okłamujesz mnie.

Leni nie wytrzymała.

– Tato, proszę cię, to moja wina.

Nie słuchał. W jego oczach pojawiły się niebezpieczne błyski.

– Dobrze wiesz, że nie należy niczego przede mną ukrywać. – Chwycił mamę za ramię i powlókł do chaty.

Leni pobiegła za nimi, próbowała ją uwolnić.

Brutalnie odsunął ją na bok, a mamę wepchnął do środka.

Drzwi zamknęły się z hukiem, zasuwa opadła ze szczękiem. Leni została odcięta.

Doszedł ją głośny trzask i okrzyk bólu.

Rzuciła się na drzwi, waliła pięściami, krzyczała, żeby ją wpuścili.

17

Rano mama miała spuchnięty lewy policzek, fioletową powiekę i ciemnosiną pręgę pod okiem. Siedziała przy stole z kubkiem kawy.

– Co ci strzeliło do głowy? Zobaczył, że wyjeżdżasz, i ruszył za tobą po śladach opon na błocie.

Leni, zawstydzona, usiadła przy stole.

– Nie pomyślałam.

– Hormony. Tłumaczyłam ci, jakie są niebezpieczne. – Przechyliła się do niej. – Posłuchaj, córciu. Stąpasz po kruchym lodzie. Ty to wiesz. I ja to wiem. Trzymaj się z daleka od tego chłopaka, bo inaczej może dojść do nieszczęścia.

– Pocałował mnie – powiedziała Leni. (Chce, żebym dziś w nocy wymknęła się z domu).

Mama znieruchomiała pochylona nad stołem.

– No cóż – odezwała się po dłuższym milczeniu – jeden pocałunek potrafi dziewczynie namieszać w głowie. Coś o tym wiem. Nie jesteś taką sobie zwykłą dziewczyną z przedmieścia, oczkiem w głowie wyrozumiałego tatusia. Wybory pociągają za sobą konsekwencje. I nie chodzi tylko o ciebie. Pomyśl o tym chłopaku. O mnie. – Dotknęła spuchniętego policzka, skrzywiła się z bólu. – Trzymaj się od niego z daleka.

Spotkajmy się. O północy.

Przez cały dzień te słowa dźwięczały jej w uszach. W szkole, ilekroć spojrzała na Matthew, wiedziała, o czym myślał.

– Proszę. – To było jego ostatnie słowo.

Odmówiła i naprawdę nie miała zamiaru się z nim spotkać, ale w domu, uwijając się przy swoich licznych obowiązkach, łapała się na tym, że niecierpliwie wygląda zachodu słońca.

Zazwyczaj nie przykładała zbyt dużej wagi do upływu godzin. W gospodarstwie to wydłużające się ciemności, odpływy i przypływy, zmiana ubarwienia zajęczego futra, powrót ptaków albo ich odloty narzucały rytm życia. Bieg czasu uświadamiały późne zachody słońca, okres połowów łososi, pierwsze opady śniegu. Nawet w te dni, kiedy chodziła do szkoły, raczej swobodnie traktowała zegar, bo tutaj nikt nie przejmował się punktualnością. W zimie trzaskający mróz unieruchamiał samochody, wiosną i jesienią szkoła przegrywała z obowiązkami w domu.

Tym razem wyjątkowo kontrolowała czas. Tata z mamą rozmawiali półgłosem przytuleni do siebie na kanapie. Tata gładził ją po obolałym policzku i zapewniając o swojej wielkiej miłości, szeptał słowa przeprosin.

– No, Coro, chyba pójdę się położyć. – Podsłuchała, jak powiedział parę minut po dziesiątej.

– Ja też będę się zbierać – odpowiedziała mama.

Wyłączyli generator i po raz ostatni dołożyli do ognia. Potem zagrzechotała zasłona z koralików i zapadła cisza.

Leni leżała na swoim stryszku i liczyła, co tylko przychodziło jej do głowy: oddechy, uderzenia serca. Ponaglała w myślach czas, jednocześnie bojąc się jego upływu. Spekulowała, czy pójdzie, czy zostanie w domu, nakryją ją czy się uda.

Wmawiała sobie, że wcale nie czeka na północ, że nie jest ani taka lekkomyślna, ani odważna, żeby wymknąć się z domu.

Tyknięcie dużej wskazówki zegara oznajmiło nadejście północy.

Ptasi trel za oknem nie zabrzmiał naturalnie.

Matthew.

Podniosła się z materaca i ciepło ubrała.

Zastygała przestraszona przy każdym skrzypnięciu drabiny. Z duszą na ramieniu przeszła przez pokój. Wsunęła stopy w gumiaki i nałożyła pikowaną kamizelkę.

Ze wstrzymanym oddechem przekręciła klucz w zamku, odciągnęła zasuwkę i uchyliła drzwi.

Przywitało ją chłodne nocne powietrze.

Na wzniesieniu nad plażą, na tle ametystowego nieba zobaczyła ciemną sylwetkę Matthew.

Zamknęła drzwi i pobiegła do niego. Wziął ją za rękę i ślizgając się na wilgotnej trawie, zbiegli razem z pagórka i zeszli po chwiejnych schodkach na plażę, gdzie Matthew zdążył już rozłożyć koc, przyciskając jego rogi otoczakami.

Wyciągnęła się. On poszedł w jej ślady. Pomimo ryzyka, na jakie oboje się narażali, ciepło jego ciała dawało złudne wrażenie bezpieczeństwa. Zapewne ich rówieśnicy w podobnej sytuacji śmialiby się i paplali jak najęci. Może piliby piwo, popalali trawkę albo się obściskiwali, lecz oni oboje wiedzieli, że nie byli zwykłymi nastolatkami i ten wybryk mógł ich sporo kosztować. Wisiała nad nimi groźba szaleństwa jej nieobliczalnego ojca.

Leni słyszała plusk fal o brzeg i potrzaskiwanie świerkowych gałęzi poruszanych bryzą. Niebo w kolorze lawendy otulało ziemię miękką poświatą. Matthew wskazywał jej konstelacje i opowiadał ich historie.

Świat wokół nich zmienił się w magiczne miejsce, gdzie zamiast czyhających zagrożeń czeka ich nieskończona ilość możliwości.

Matthew odwrócił się na bok; leżeli teraz przodem do siebie. Czuła na twarzy jego oddech, pasmo jego włosów łaskotało ją w policzek.

– Rozmawiałem z panią Rhodes – zaczął. – Uważa, że masz szansę dostać się do college'u w Anchorage. Pomyśl o tym, Len. Bylibyśmy razem, z dala od tego wszystkiego.

– To dużo kosztuje.

– Mają stypendia i nisko oprocentowane pożyczki. Dalibyśmy radę. Razem.

Na ułamek sekundy uciekła w świat marzeń. Życie. Jej życie.

– Mogłabym złożyć podanie. – Już mówiąc te słowa, wiedziała, że to nierealne. Mama drogo by za to zapłaciła. Jak miałaby żyć z takim obciążeniem?

Czy to znaczyło, że na zawsze pozostanie więźniem wyboru matki i wybuchowej natury ojca?

Matthew nałożył jej wisiorek na szyję. W ciemnościach zmagał się przez chwilę z zapięciem.

– Sam to wyrzeźbiłem.

Namacała serduszko z kości zawieszone na cienkim jak włos łańcuszku.

– Jedź ze mną do college'u – poprosił.

Pogładziła go po twarzy. Jego skóra była inna w dotyku niż jej: bardziej szorstka, tu i ówdzie pokryta włoskami.

Przywarł do niej całym ciałem. Całowali się. Słyszała, jak przyspiesza mu oddech.

Dotąd nie wiedziała, że miłość to siła, która potrafi pojawić się niespodziewanie i, niczym teoria Wielkiego Wybuchu, zmienić człowieka oraz cały otaczający go świat. W jednej chwili uwierzyła w Matthew, w nich, tak jak się wierzy w grawitację albo w to, że ziemia jest okrągła. To graniczyło z szaleństwem. Kiedy ją całował, otwierała się przed nią nowa rzeczywistość, widziała inną Leni.

Oderwała się od niego. Głębia tego nowego uczucia była porażająca. Prawdziwa miłość chyba powinna rozkwitać powoli? Nie spadać nagle z siłą walącego się firmamentu.

Zatracenie. Nareszcie zrozumiała, co to jest. Zatracenie. Stare słowo ze świata Jane Eyre, odkryte przez nią w tej sekundzie.

– Leni! Leni!

Ojciec wołał ją, krzycząc na całe gardło.

Zerwała się z ziemi. O Boże.

– Zostań tutaj – wyszeptała. Z rozpiętą kamizelką, zahaczając noskami butów o siatkę zabezpieczającą stopnie, wbiegła na podwórze po ułożonych zygzakiem schodkach.

– Tu jestem, tato! – zawołała zasapana, machając rękami.

– Dzięki Bogu! Wstałem na siku i zobaczyłem, że nie ma twoich butów.

Buty. Taki drobiazg, a wielki błąd.

Pokazała palcem na niebo. Czy zauważył jej przyspieszony oddech? Czy słyszał, jak wali jej serce?

– Popatrz na niebo – powiedziała. – Zobacz, jakie jest piękne.

– Aha.

Stała przy nim, za wszelką cenę starając się ochłonąć. Otoczył ją ramieniem. Ten gest był dla niej niczym zawłaszczenie.

– Lato ma szczególną magię, prawda, tato?

Dzięki Bogu trawiaste wzniesienie zasłaniało plażę. Nie było stąd widać widać pasa brzegu z otoczakami i pokruszonymi muszelkami, ani koca, ani Matthew.

Zamknęła dłoń na serduszku z kości. Ostry czubek wbił się w skórę.

– Nigdy więcej tego nie rób, Rudzielcu. Powinnaś mieć więcej rozumu. O tej porze roku niedźwiedzie są groźne. Już chciałem się cofnąć po strzelbę i zacząć ciebie szukać.

LIST MOTYWACYJNY
Lenora Allbright

„Czasem niebezpiecznie jest wyjść z domu, Frodo, gdy staniesz na drodze, nigdy nie wiadomo, dokąd cię nogi poniosą”.

Ktoś, kto mnie zna, nie byłby zdziwiony, że zaczynam mój list motywacyjny od cytatu z Tolkiena. Książki od zawsze towarzyszyły mi w życiu. Dla niektórych ludzi świadkami ich historii są albumy ze zdjęciami albo amatorskie filmy. Ja mam książki, postaci z powieści. Odkąd sięgam pamięcią, w książkach szukałam bezpiecznej przystani. Czytałam o miejscach, które z trudem obejmowałam wyobraźnią, gubiłam się podczas podróży po obcych lądach, żeby ratować dziewczynki, które nie zdawały sobie sprawy, że są księżniczkami.

Dopiero niedawno odkryłam, dlaczego szukałam tamtych odległych krain.

Ojciec wpajał mi lęk przed światem i niektóre z jego lekcji na dobre utkwiły w mojej pamięci. Czytałam o Patty Hearst, o seryjnym mordercy Zodiaku, o masakrze na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium, o Charlesie Mansonie i wiedziałam, że świat jest przerażającym miejscem. Ojciec utwierdzał mnie w tym przekonaniu, przypominając, że wybuchy wulkanów zabijają ludzi we śnie. Rządy są skorumpowane. A epidemia grypy, która nagle się pojawia, zbiera żniwo w postaci milionów ofiar. No i w każdej chwili może spaść bomba atomowa i zmieść ludzkość z powierzchni ziemi.

Nauczyłam się strzelać. W biegu trafiam w głowę na planszy. W moim domu przy drzwiach wejściowych stoi

gotowy plecak przetrwania. Potrafię rozpalić ogień za pomocą kawałka krzemienia i z zawiązanymi oczami złożyć broń. Wiem, jak należy prawidłowo nakładać maskę przeciwgazową. Dorastałam przygotowywana na wybuch wojny, anarchii czy jakiejś innej ogólnoświatowej tragedii.

Jednak to wszystko jest nieprawdziwe. Albo inaczej: jest prawdziwe, lecz nie jest prawdą. Tak różnicują to dorośli.

Moi rodzice przenieśli się ze stanu Waszyngton na Alaskę, gdy miałam trzynaście lat. Nauczyliśmy się tutaj samodzielnego życia w dziczy. Uwielbiam je. Kocham surowe, bezkompromisowe piękno Alaski. Imponują mi tutejsze kobiety, takie jak nasza sąsiadka Duża Marge, która w przeszłości była prawniczką, a teraz prowadzi sklep. Podziwiam jej hart ducha i empatię. Podziwiam również moją mamę. Jest delikatna jak liść paproci, a jednak umie przetrwać w tym klimacie, który z łatwością mógłby ją złamać.

Darzę miłością ten stan, bo tutaj znalazłam poczucie przynależności i dom. Uważam jednak, że nadszedł czas, abym opuściła rodzinne gniazdo i odnalazła własną drogę.

Chcę podjąć studia, aby lepiej zrozumieć świat.

Po tamtej nocy na plaży Leni została złodziejką. Całe dzieciństwo ćwiczyła się w sztuce pozostawania niewidzialną i teraz, kiedy zaczęła kraść czas, ta umiejętność okazała się bardzo przydatna.

Stała się również krętaczką. Kłamała ojcu w żywe oczy, wręcz z uśmiechem na twarzy. A to ze względu na sprawdzian musiała stawić się w szkole co najmniej godzinę wcześniej, a to wycieczka się przeciągnęła albo projekt badawczy wymagał

popłynięcia po materiały do biblioteki w Seldovie. Spotykała się z Matthew w lesie, za regałami w ciemnawym sklepie Dużej Marge lub w nieczynnej fabryce konserw. W klasie zawsze dyskretnie dotykali się pod stolikiem. Po lekcjach obeszli jego urodziny na przystani, siedząc ukryci za starym pordzewiałym kutrem.

To były cudowne, oszałamiające przeżycia. Żadna z przeczytanych książek nie przygotowała jej na emocje, jakich doświadczała. Zakochanie się było jedną wielką przygodą. Jej ciało zdawało się zmieniać pod dotykiem Matthew, ramiona omdlewały po godzinie trzymania go w ciasnym uścisku, usta obrzmiewały od pocałunków, piekła twarz otarta zarostem.

Kradzione chwile stały się siłą napędową jej egzystencji. W weekendy czas bez Matthew wlókł się niemiłosiernie. Najchętniej wymknęłaby się z domu, pobiegła do niego, pobyła z nim choćby dziesięć minut.

Ciążyło nad nią widmo końca roku szkolnego. Dziś w szkole, kiedy usiadła w ławce i spojrzała na Matthew, o mało nie uderzyła w płacz.

– Co się dzieje? – zapytał, przechylając się do niej i biorąc ją za rękę.

W przygnębienie wprawiała ją myśl, jak niewiele znaczą na tym wielkim niebezpiecznym świecie: są tylko dwojgiem młodych ludzi, którzy pragną się kochać.

Pani Rhodes wyszła na środek i klaśnięciem w dłonie uciszyła klasę.

– Został już tylko tydzień do końca roku. Przyszło mi do głowy, że to dobry dzień na wycieczkę. Pozbierajcie swoje rzeczy i zaraz ruszamy.

Wygoniła roztrajkotaną gromadkę ze szkoły. Poprowadziła ich przez miasto na przystań. Wsiedli do jej aluminiowej łodzi wędkarskiej.

Łódź wypłynęła z zatoki i pruła fale, posyłając na boki bryzgi piany. Nauczycielka wzięła kurs na wody przy fiordzie. Płynęli cieśniną między górami, zostawiając za sobą ludzkie siedziby i rybackie kutry. Tutaj woda miała barwę akwamarynu. Na niedostępnym brzegu Leni dostrzegła lochę spacerującą z dwoma czarnymi warchlakami.

Pani Rhodes skierowała łódź w wąską zatoczkę. Matthew wyskoczył pierwszy i przywiązał ją do poszarzałego pomostu.

– W tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku państwo przyznało tę ziemię dziadkom Matthew jako osadnikom – wyjaśniła nauczycielka. – Tutaj założyli swoją pierwszą siedzibę. Kto chce zobaczyć jaskinię piratów?

Odpowiedziały jej radosne piski.

Pani Rhodes poprowadziła młodsze dzieci plażą. Pomaszerowali po mokrym piasku, przechodząc nad zmurszałymi kawałami drewna, wyrzuconymi na brzeg przez morze.

Kiedy zniknęli za skałami, Matthew wziął Leni za rękę.

– Chodź – odezwał się wreszcie. – Pokażę ci coś fajnego.

Poprowadził ją na wyżynę porośniętą wysoką trawą, z kępą karłowatych drzew na górze.

– Ciii… – Dał jej znak, przykładając palec do ust.

Milczała, wyczulona teraz na każdy trzask gałązki pod stopami i każdy poszum wiatru. Gdzieś daleko niósł się warkot turystycznej awionetki. W pewnej chwili Matthew w ścianie bujnej alaskańskiej zieleni, nawadnianej rzekami spływającymi z gór, pokazał jej ścieżkę, której sama nie dojrzałaby za żadne skarby.

Weszli w cienisty chłód prowadzeni wąską strugą światła. Wzrok Leni powoli oswajał się z półmrokiem. Ścieżka kończyła się przesmykiem między gęsto rosnącymi wysokimi krzewami.

Dalej, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się bagna osłonięte pasmem gór. Sitowie porastało brzeg meandrującej leniwie rzeki.

Leni naliczyła na moczarach piętnaście brunatnych niedźwiedzi. Szczypały wysoką trawę, szukały ryb w stojącej wodzie. Te potężne kudłate drapieżniki z ogromnymi łbami w wielu częściach świata są nazywane niedźwiedziami grizzly. Poruszały się niezdarnie, jakby kości miały ściągnięte gumami. Mama niedźwiedzica trzymała swoje małe z daleka od samców.

Leni patrzyła z zachwytem na majestatyczne zwierzęta brodzące w wysokiej trawie.

– Niesamowite – szepnęła.

Awionetka, obniżając lot, zatoczyła krąg nad bagnami.

– Dziadek zabrał mnie tutaj w dzieciństwie – wyszeptał Matthew. – Pamiętam, jak powiedziałem, że zakładanie siedziby tak blisko niedźwiedzi to szaleństwo. A on odparł: „Jesteśmy na Alasce”, jakby to wszystko wyjaśniało. Moi dziadkowie liczyli, że psy odgonią niedźwiedzie, gdyby podeszły zbyt blisko. Potem rząd objął to miejsce ochroną i utworzył tutaj rezerwat przyrody.

– Tylko tutaj jesteśmy pod ochroną – zauważyła Leni ze śmiechem.

Przytuliła się do Matthew. Tylko tutaj.

Boże, jak ona kochała to miejsce, groźną dzikość Alaski, jej majestatyczne piękno. A jeszcze bardziej kochała ludzi, do których to piękno przemawiało. Dopiero tutaj zdała sobie sprawę, jak głęboka była ta miłość.

– Matthew! Leni! – Usłyszeli ponaglające wołanie pani Rhodes.

Pobiegli ścieżką z powrotem na plażę. Nauczycielka czekała już na nich z młodszymi dziewczynkami. Na wodzie przy brzegu kołysał się hydroplan.

– Pospieszcie się! – Kiwnęła do nich ręką. – Marthe, Agnes, wsiadajcie. Musimy wracać do Kaneq. Szalony Earl miał zawał.

Szalony Earl nie żyje.

Leni nie mieściło się to w głowie. Jeszcze wczoraj był pełen energii, pił bimber, opowiadał niestworzone historie. W osadzie zawsze panował ruch, tętniło życie: zgrzytały piły łańcuchowe, nad ogniskami hartowała się stal na ostrza, stukały siekiery, szczekały psy. Gdy zabrakło Earla, zapadła cisza.

Leni nie płakała z żalu po śmierci Earla. Nie była hipokrytką. To widok przygnębionych twarzy wyciskał jej z oczu łzy. Thelma i Ted, Moppet, Clyde i wszyscy pozostali mieszkańcy osady jeszcze długo będą odczuwać pustkę po jego śmierci.

Wszyscy teraz wypłynęli na zatokę, kierując się ku rampie u stóp wzgórza prawosławnego kościoła.

Leni siedziała za mamą w pogiętym aluminiowym kajaku, wyciągniętym przed laty z wysypiska. Tata wiosłował, siedząc na ławeczce na rufie.

W ten pogodny dzień mnóstwo łódek sunęło po gładkiej tafli w zatoce. Ludzi przybyli, aby po swojemu pożegnać Szalonego Earla. Zbliżało się lato, słońce mocniej przygrzewało. Powróciły setki gęsi śnieżnych. Oblodzone przez całą zimę skaliste nadbrzeże tętniło teraz życiem. Na czarnozielonych skałach pośrodku zatoki wygrzewało się stado lwów morskich. Mewy zataczały nad nimi koła, poszczekując jak teriery. Wodne ptactwo uwijało się przy budowie gniazd, nurkowały kormorany. Foki z czarnymi i srebrzystymi pyszczkami podobnymi do mordek cocker-spanieli wystawiały nosy spod wody. Pływające leniwie na grzbiecie wydry rozłupywały muszle małży, obracając je sprytnie w łapkach.

Aluminiowy skif z panem Walkerem i Matthew sunął niedaleko ich kajaka. Leni za każdym razem, gdy Matthew na nią spojrzał, czym prędzej odwracała wzrok, żeby przypadkiem nie zdradzić się ze swym uczuciem przed ludźmi.

– Mój tata kochał to miejsce. – Po wodzie poniósł się głos Thelmy przy akompaniamencie plusku jej wiosła. – Będziemy za nim tęsknić.

Leni patrzyła, jak Thelma wysypuje kupkę popiołu z tekturowego pudełka. Prochy, wirując, przez chwilę unosiły się na powierzchni, rozciągając się w mętną plamę, po czym powoli zniknęły pod wodą.

Zapadła cisza.

Dzisiaj ściągnęła tutaj większość mieszkańców Kaneq; przynajmniej na to wyglądało. Byli wszyscy Harlanowie, Tom i Matthew Walkerowie, Duża Marge, Natalie, Calhoun Malvey ze swoją nową żoną, Tica Rhodes i jej mąż oraz wszyscy miejscowi przedsiębiorcy. Przybyli nawet z głębokiej dziczy alaskańscy weterani, ludzie, których rzadko się tu widywało. Przeważnie byli bezzębni, mieli zapadnięte policzki i zmierzwione włosy. W wielu łodziach siedziały psy. Stuknięty Pete z Matildą stali na brzegu.

Łódki jedna za drugą wracały na nabrzeże, wyciągane na piach. Pan Walker przeniósł kajak Thelmy z plaży na pakę jej pordzewiałego pikapa.

Wszyscy oglądali się na Toma Walkera, podświadomie oczekując, że zabierze głos, powie coś, co w tych smutnych okolicznościach zjednoczy ich wspólnotę.

– Wiesz co? – Tom zwrócił się do Thelmy. – Co powiesz na to, abyśmy wszyscy pojechali do mnie? Rzucimy łososie na grill i wyciągniemy skrzynkę zimnego piwa. Pożegnamy Szalonego Earla jak należy.

– Pan Ważny zaprasza na stypę po pogrzebie człowieka, którego miał w głębokim poważaniu – odezwał się tata. – Nie potrzeba nam twojej łaski. Pożegnamy Earla po swojemu.

Nie tylko Leni wstrząsnął ostry ton ojca. Wiele twarzy zastygło ze zdumienia.

– Ernt, nie teraz – interweniowała mama.

– To właśnie jest idealny moment. Żegnamy człowieka, który przyjechał tutaj w poszukiwaniu prostego życia. Na pewno nie byłby zadowolony, że czcimy jego pamięć, pijąc z facetem, który chce zmienić Kaneq w Los Angeles.

Napędzany gniewem i wrogością tata zdawał się rosnąć. Wysunął się naprzód i podszedł do Thelmy. Stała przygięta, z brudnymi włosami, ze zwieszonymi ramionami i mokrymi od łez oczyma.

Tata położył jej dłoń na ramieniu i wtedy drgnęła, jakby spłoszona tym gestem.

– Nie przejmuj się, Thelmo. Ja zastąpię Earla. Zadbam, abyście byli przygotowani na najgorsze. Obiecuję, że będę uczył Moppet…

– Będziesz uczył moją córkę? – podchwyciła drżącym głosem. – Tak jak uczysz swoją żonę? Myślisz, że nie widzimy, jak ją traktujesz?

Mama zesztywniała, rumieńce wypłynęły jej na policzki.

– Mamy ciebie dość. – Głos Thelmy przybrał na sile. – Straszysz dzieci, szczególnie kiedy się napijesz. Mój tata tolerował cię przez pamięć dla mojego brata. Ja też jestem ci wdzięczna za to, co dla niego robiłeś. Niestety, z tobą jest coś nie tak. Nie zgadzam się na miny pułapki i na Boga, nie życzę sobie, aby ośmiolatka o drugiej w nocy ćwiczyła nakładanie maski przeciwgazowej czy biegała z plecakiem przetrwania. Mój tata rządził po swojemu. Teraz rządzę ja po mojemu. – Wzięła głęboki oddech. W jej oczach lśniły łzy, ale Leni widziała też

ulgę malującą się na jej twarzy. Ciekawe, jak długo Thelma czekała, żeby to wszystko z siebie wyrzucić? – A teraz razem ze starymi przyjaciółmi pojadę do Toma uczcić pamięć taty. Znamy się z Walkerami, odkąd sięgam pamięcią. Wszyscy się przyjaźniliśmy, stanowiliśmy zgodną społeczność, zanim ty się pojawiłeś. Możesz jechać z nami, jeżeli stać cię na normalne zachowanie. A jeśli wolisz siać nienawiść w naszym mieście, wracaj do domu.

Leni widziała, jak ludzie odsuwają się od taty. Nawet brodaci mieszkańcy dziczy cofnęli się o krok.

Thelma przeniosła spojrzenie na mamę.

– Zabierz się z nami, Coro.

– Co? Ale… – Mama pokręciła głową.

– Moja żona zostaje ze mną – oznajmił tata.

Po tych słowach zawisła nieprzyjemna cisza, nikt się nie odezwał ani nie poruszył. Dopiero po chwili Harlanowie, jeden po drugim, zaczęli się oddalać.

Tata rozejrzał się dokoła – był sam. Bez odrobiny żalu wykluczyli go ze swego grona.

Leni patrzyła, jak ich przyjaciele i sąsiedzi wsiadają do samochodów i odjeżdżają z łódkami na przyczepach albo na pakach pikapów. Matthew, zanim się odwrócił, posłał jej długie smutne spojrzenie.

Zostali sami, we trójkę. Bała się. Spojrzała na mamę i dostrzegła w jej oczach znajomy strach. Obie widziały, że gniew taty w każdej chwili może wymknąć się spod kontroli.

– Ernt?

– Zamknij się – syknął do mamy. – Myślę.

Przez całą drogę do domu nie odezwał się słowem. Krzyki i wrzaski byłyby mniej groźne od tej ciszy. Krzyk jest jak bomba leżąca w narożniku. Widzisz jej tlący się lont, wiesz, kiedy

bomba wybuchnie, masz jeszcze szansę uciec. Milczenie jest ukrytym zabójcą, który wyciągnie broń, kiedy śpisz.

W chacie tata chodził od ściany do ściany, mruczał pod nosem i kręcił głową, jakby chciał zagłuszyć tamte przykre słowa dźwięczące mu w uszach.

Obie z mamą schodziły mu z drogi.

Mama odgrzała na kolację resztkę gulaszu z jelenia, ale nawet apetyczny zapach rozchodzący się po chacie nie złagodził napięcia.

Kiedy postawiła jedzenie na stół, tata znieruchomiał i popatrzył na nie nieprzytomnym wzrokiem. Mrucząc coś o niewdzięcznych dziwkach i kutasach, którzy myślą, że do nich należy świat, wybiegł na dwór.

– Powinnyśmy zablokować drzwi – zauważyła Leni.

– I pozwolić, żeby wybił okno albo rozwalił ścianę?

Usłyszały dźwięk piły łańcuchowej.

– Mogłybyśmy uciec – podpowiedziała Leni.

Mama uśmiechnęła się do niej ponuro.

– Jasne. Oczywiście nie będzie nas szukał.

Obie wiedziały, że Leni być może udałoby się stąd wyrwać i zacząć gdzieś normalne życie. Niestety, w przypadku mamy to nie wchodziło w grę. Ojciec nie przestałby jej tropić, dopóki by jej nie odnalazł.

Jadły kolację w milczeniu, z niepokojem nasłuchując odgłosów z dworu.

Drzwi pchnięte z całej siły uderzyły o ścianę. W wejściu stanął tata z płonącymi oczami i z trocinami we włosach. W ręce trzymał siekierę.

Mama zerwała się od stołu i odskoczyła pod ścianę. Znalazł się przy niej w paru krokach, gniewnie pomrukując, szarpnięciem przyciągnął ją do siebie, wywlókł na dwór i pociągnął ze sobą na podjazd.

Leni pobiegła za nimi. Słyszała, jak mama przemawia do niego tym uspokajającym tonem.

Wskazywał na dwa okorowane pale barykadujące koniec podjazdu.

– Zbuduję palisadę. Założę szpikulce albo drut kolczasty. Będziemy bezpieczni tu, w środku. Nie potrzebujemy tych z osady. Pieprzyć Harlanów.

– A-ale, Ernt… nie możemy żyć…

– Pomyśl tylko – wszedł jej w słowo, przyciągając do siebie. Cały czas trzymał siekierę. – Nie będziemy dłużej bać się zagrożeń z zewnątrz. Zadbam o nasze bezpieczeństwo. Nas trojga. Ten skurwysyn może sobie robić z Kaneq Detroit. Nas to nie obchodzi. Obronię cię, Coro, przed nimi wszystkimi, bo bardzo cię kocham.

Leni z przerażeniem wpatrywała się w sterczące pale; oczyma wyobraźni widziała, jak ojciec wygradza ten kawałek ziemi o zarysie odcisku kciuka, odcina ich od cywilizacji.

Nikt nie przeszkodzi tacie w budowaniu palisady, w izolowaniu ich od świata. Policja ich nie ochroni, nie zjawi się w razie niebezpieczeństwa.

Leni objęła rodziców spojrzeniem: dwie pochylone ku sobie sylwetki zetknięte ustami i dłońmi, szepczące miłosne zaklęcia. Mama tonowała nastroje taty, a on kurczowo się jej trzymał. Tak było, jest i będzie, i nic nigdy tego nie zmieni.

W czasach dzieciństwa rodzice w jej naiwnym mniemaniu byli wszechmocni i mądrzy. To nieprawda. Miała przed sobą dwoje rozbitych, złamanych ludzi.

Powinna ich zostawić. Wziąć nogi za pas, poszukać własnej drogi. Myśl o ucieczce ją przerażała, ale jeśli będzie tu tkwić, patrzeć na ten toksyczny związek, pozwoli, aby ich świat wchłonął ją na zawsze, nic z niej nie zostanie.

18

W dzień pogrzebu Szalonego Earla o dziesiątej wieczorem niebieska kopuła nieba nad Zatoczką Walkera przybrała szafirowy odcień. Ognisko przygasało, zapadały się spopielałe polana.

Odpływ odsłonił szeroki pas połyskliwego błota, w którym jak w lustrze odbijało się niebo i pokryte śniegiem góry na przeciwległym brzegu. Pale pomostu były pokryte czarnymi, lśniącymi muszlami małży. Aluminiowy skif przywiązany do boi ugrzązł w mokrym piasku.

Zebrani przy ognisku ludzie gwarzyli przez wiele godzin. Przyciszone głosy przytaczały historie związane z Earlem. Niektóre wspomnienia były zabawne, lecz większość budziła nostalgię. Szalony Earl nie zawsze był takim krewkim zrzędą. Zmienił się na starość. Przygięła go rozpacz po śmierci syna. W przeszłości łączyła go wielka przyjaźń z Eckhartem, dziadkiem Matthew. Alaska bezwzględnie obchodziła się z ludźmi, szczególnie z tymi w podeszłym wieku.

Teraz ciszę zakłócało jedynie potrzaskiwanie ognia, szurgot osuwających się polan, plusk fal.

Matthew siedział w starym plażowym fotelu z wyciągniętymi przed siebie nogami skrzyżowanymi w kostkach. Obserwował młodego orła, który rozprawiał się ze szczątkami łososia na plaży. Dwie mewy podlatywały blisko niego, licząc na resztki.

Zostali już tylko we troje. Tata, Duża Marge i on.

– Pogadamy o tym, Tomie? – odezwała się Marge po długim milczeniu, kiedy Matthew już sądził, że dogaszą ogień i zejdą z plaży. – Thelma właściwie dała Erntowi do zrozumienia, że nie chce go widzieć w osadzie.

– Tak.

Matthew zaniepokoiło zrezygnowane spojrzenie, jakie tata posłał Dużej Marge.

– O czym mówicie? – zapytał.

– Ernt Allbright jest niezrównoważony – tłumaczył tata. – Wszyscy wiemy, że to on zdemolował pub. Thelma dzisiaj mówiła, że namawiał Harlanów do założenia min pułapek na granicy osady „na wypadek wojny”.

– No. On jest zwariowany jak Szalony Earl, ale…

– Szalony Earl był nieszkodliwy – ucięła Duża Marge. – Ernt nie pogodzi się łatwo z tym odrzuceniem. Na pewno jest wkurzony. Kiedy się wścieka, robi się niebezpieczny i wyładowuje złość na ludziach.

– Na ludziach? – podchwycił Matthew, czując dreszcz wzdłuż kręgosłupa. – Masz na myśli Leni? Może ją skrzywdzić?

Nie czekał na odpowiedź. Wbiegł po schodkach na podwórko, podniósł rower i wskoczył na siodełko. Pedałując ile sił w nogach, pędził po wilgotnej, gąbczastej ziemi i w niecałe dziesięć minut dojechał do głównej drogi.

Przed podjazdem Allbrightów zahamował gwałtownie, o mało nie spadając z roweru. Dwa pale zagradzały wąski dostęp na teren. Świeżo ociosane, różowe jak mięso łososia, z resztkami odstającej kory.

Co jest?

Rozejrzał się, nasłuchując. Cisza, żadnego poruszenia. Ominął pale, zwolnił i pojechał dalej. Miał złe przeczucia, serce tłukło mu się w piersi.

Na końcu podjazdu zsiadł z roweru i położył go na trawie. Omiótł spojrzeniem podwórze. Nie zauważył nic niepokojącego. Ciężarówka Ernta stała przed chatą.

Skradał się na palcach, krzywiąc się przy każdym trzasku gałązki, przystawał, gdy przypadkiem na coś nadepnął – może na puszkę, porzucony grzebień – nie bardzo widział w ciemnościach. Kozy zabeczały. Kury gdakaniem wszczęły alarm.

Przed kolejnym krokiem powstrzymał go jakiś hałas.

To skrzypnęły drzwi chaty.

Padł w wysoką trawę i leżał bez ruchu.

Kroki na werandzie. Trzeszczenie desek.

Bał się poruszyć, ale i bał się tak leżeć. Wychylił głowę z trawy.

Na skraju werandy stała Leni z kocem w czerwono-biało-żółte pasy zarzuconym na ramiona jak peleryna. W ręce trzymała rolkę papieru toaletowego.

– Leni – zawołał szeptem.

Spojrzała w stronę, skąd dochodził głos, zobaczyła go. Nerwowo obejrzała się na drzwi i podbiegła do niego.

Podniósł się z ziemi, objął ją i przytulił.

– Wszystko w porządku?

– Buduje palisadę – wyszeptała, co chwila zerkając za siebie.

– Dlatego te drągi leżą przy drodze?

Przytaknęła głową.

– Boję się, Matthew.

Gdy już otwierał usta, żeby ją uspokoić, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, usłyszał szczęknięcie klamki.

– Uciekaj – szepnęła Leni, odpychając go.

Schował się za drzewami akurat w chwili, gdy w drzwiach ukazał się Ernt Allbright.

– Leni?! – zawołał, stając na werandzie w obszarpanym podkoszulku i rozciągniętych bokserkach.

– Tu jestem, tato! – Pomachała do niego. – Upuściłam papier toaletowy. – Rzuciła rozpaczliwe spojrzenie na Matthew. Stał ukryty za drzewem.

Poszła do wygódki, zniknęła w środku. Ernt czekał na nią na werandzie i zagarnął do chaty, gdy tylko wróciła. Drzwi zamknęły się, szczęknęła zasuwa.

Matthew podniósł rower i najszybciej jak mógł wrócił do domu.

Tata z Dużą Marge stali przy jej ciężarówce.

– Buduje palisadę! – wysapał Matthew. Zeskoczył z roweru i rzucił go na trawę przy wędzarni.

– Co takiego? – zdziwił się Walker.

– Ernt. Wiecie, że ich działka jest wąska z przodu i rozszerza się dopiero nad wodą? Okorował dwa drągi i zagrodził nimi wjazd. Wiem od Leni, że on stawia palisadę.

– Jezu! – jęknął Tom. – On chce ich odciąć od świata.

Leni obudził zgrzyt piły i postukiwanie siekiery. Tata dzień w dzień od świtu na nogach przez cały weekend budował palisadę.

Jakoś przetrwała ten weekend i wreszcie nadszedł poniedziałek. Pojedzie do szkoły.

Matthew.

Radość zagłuszyła poczucie beznadziei przytłaczające ją w ostatnich dniach. Ubrała się do szkoły i zeszła na dół po drabinie.

W domu panowała cisza.

Mama w swetrze z golfem i w workowatych dżinsach wyłoniła się z sypialni.

– Dzień dobry.

– Musimy coś postanowić, zanim on skończy – powiedziała Leni, podchodząc do niej.

– Nie skończy. Nie jest aż tak szalony. Przejdzie mu.

– Masz zamiar na tym polegać?

Uderzyło ją, jak staro mama wygląda. Ściągnięte rysy mówiły o rezygnacji. Zgasło tamto dawne światełko w oczach, nie uśmiechała się.

– Zaparzę ci kawy – zaproponowała mamie.

Głośne puknięcie do drzwi zatrzymało Leni w drodze do kuchni.

– Cześć, domownicy! – Usłyszała przywitanie.

Duża Marge wmaszerowała do pokoju. Z dziesięć bransoletek podzwaniało na jej grubych przegubach, kolczyki, chwytając światło, połyskiwały jak błyszczyki na ryby. Włosy, które zaczęła zapuszczać, podzielone na środku przedziałkiem i związane w kitki podskakiwały w rytm kroków.

Tata wepchnął się za nią do środka.

– Cholera, powiedziałem, że nie wolno ci wejść. – Oparł dłonie na chudych biodrach.

Duża Marge uśmiechnęła się szeroko i podała mamie buteleczkę z tonikiem, a właściwie wcisnęła jej w ręce i zamknęła swoje duże palce na drobnych dłoniach mamy.

– Thelma zrobiła go z lawendy rosnącej w ogrodzie. Pomyślała, że się ucieszysz.

Leni widziała, jak wiele ten gest dla mamy znaczy.

– Nie potrzeba nam waszej łaski – burknął tata. – I bez tego gówna ona dobrze pachnie.

– Dziewczyny robią sobie prezenty, Ernt. A my z Corą się przyjaźnimy. I dlatego wpadłam. Pomyślałam, że napiję się

kawy z sąsiadami.

– L-leni, zrobisz kawę dla Marge? – wyjąkała mama. – I przynieś ciasto żurawinowe.

Tata z ramionami splecionymi na piersi stał oparty plecami o drzwi.

Duża Marge podprowadziła mamę do kanapy, posadziła ją i usiadła obok. Poducha zapadła się pod jej ciężarem.

– Tak szczerze, to chciałam pogadać z tobą o moim rozwolnieniu.

– Rany boskie! – mruknął tata.

– Dosłownie ze mnie leci. Może masz coś na to. A te kurcze w brzuchu są nie do wytrzymania.

Tata zmiął w ustach przekleństwo i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Duża Marge uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Jak łatwo wykiwać facetów. No, jesteśmy same.

Leni podała im kawę i przysiadła na fotelu, który przed rokiem kupili w sklepie z używanymi rzeczami w Soldotnie.

Marge popatrzyła uważnie na mamę, potem na Leni i z powrotem na mamę. Leni była pewna, że nic jej nie umknęło.

– Ernt pewnie nie jest zadowolony po tym, co usłyszał od Thelmy po pogrzebie Earla.

– Ach. To.

– Widziałam te pale na drodze. Wygląda na to, że wznosi ogrodzenie.

Mama pokręciła głową.

– Nie zrobi tego.

– Wiesz, po co są takie ogrodzenia? – spytała ją Duża Marge. – Żeby ukryć to, co się za nimi dzieje. Zamknąć ludzi jak w więzieniu. – Odstawiła filiżankę na ławę, przechyliła się do

mamy. – A jeżeli założy skobel na bramę i będzie trzymać klucz przy sobie, jak uciekniecie?

– On t-tego nie zrobi – wyjąkała mama.

– Och, czyżby? Tak samo mówiła moja siostra, kiedy po raz ostatni z nią rozmawiałam. Wszystko bym oddała, żeby móc cofnąć czas i nie dopuścić do tego, co się stało. Ona w końcu od niego odeszła, ale już było za późno.

– Odeszła od niego – powtórzyła cicho mama, pierwszy raz nie uciekając wzrokiem przed Marge. – To ją kosztowało życie. Tacy mężczyźni… nie odpuszczą, dopóki ciebie nie odszukają.

– Możemy was ochronić – zapewniła ją Duża Marge.

– Możemy?

– Tom Walker i ja. Harlanowie. Tica. Wszyscy w Kaneq. Należycie do naszej społeczności. Ty i Leni. Ernt jest obcy. Zaufaj nam. Pozwól sobie pomóc.

Leni całkiem poważnie rozważała ten pomysł; mogłyby ojca zostawić.

Ale to oznaczałoby wyjazd z Kaneq, a może nawet z Alaski.

Rozłąkę z Matthew.

I co dalej? Miałyby przez całe życie uciekać, ukrywać się może pod przybranym nazwiskiem? Jak by sobie poradziły? Mama nie miała pieniędzy, karty kredytowej ani nawet ważnego prawa jazdy. Zresztą ona też nie miała. Czy one w ogóle figurowały w jakichś dokumentach?

A jeżeli udałoby mu się je wytropić?

– Nie mogę – powiedziała w końcu mama. To były najsmutniejsze, najbardziej żałosne słowa, jakie Leni kiedykolwiek usłyszała z jej ust.

Duża Marge przypatrywała się jej przez chwilę z wyrazem twarzy mówiącym o rozczarowaniu.

– No cóż. Takie decyzje dojrzewają z czasem. Po prostu pamiętaj, że jesteśmy. Pomożemy ci. Wystarczy dać znać.

Choćby w środku nocy w styczniu. Przyjdź z tym do mnie. Nieważne, co zrobiłaś albo co on zrobił. Daj mi znać, a ja ci na pewno pomogę.

Leni wiedziona impulsem zerwała się z fotela, ominęła ławę i rzuciła się Dużej Marge w ramiona. Otulona jej masywnym ciałem poczuła się bezpiecznie.

– Chodź – powiedziała Marge. – Podwiozę cię do szkoły. Do końca roku zostało niewiele dni.

Leni chwyciła plecak, przewiesiła go przez ramię. Uściskała mamę.

– Pogadamy o tym później – szepnęła jej na ucho i wyszła z domu za Dużą Marge.

Kiedy były w połowie drogi do ciężarówki, zza chaty wyszedł tata z pięciogalonowym baniakiem z benzyną.

– Tak szybko? – zwrócił się do Marge.

– Tylko wpadłam na kawę, Ernt. Podwiozę Leni do szkoły. I tak jadę do sklepu.

Odstawił plastikowy baniak, rozchlapując benzynę.

– Nie.

Duża Marge ściągnęła brwi.

– Co „nie”?

– Nikt nie opuszcza tego miejsca beze mnie. Tam, na zewnątrz, nic dla nas nie ma.

– Ona za pięć dni odbiera świadectwo ukończenia szkoły. To oczywiste, że musi chodzić do końca roku.

– Marne szanse, paniusiu – odparł. – Jest potrzebna w gospodarstwie. Pięć dni nie ma znaczenia. I tak jej dadzą ten cholerny świstek.

– Chcesz wojny? – Podeszła do niego, pobrzękując bransoletami. – Jeżeli ta dziewczyna opuści choćby jeden dzień lekcji, zadzwonię do władz stanowych i złożę na ciebie doniesienie, Erncie Allbright. I nie myśl sobie, że się zawaham.

Może i jesteś złośliwym świrem, ale nie pozwolę, aby ta mądra dziewczyna nie skończyła szkoły średniej. Zrozumiano?

– Władz stanowych to nie obchodzi.

– Och, obchodzi. Uwierz mi. Chcesz, żebym zgłosiła tam, gdzie należy, co się tutaj dzieje, Ernt?

– Gówno wiesz.

– Może i tak, ale jestem dużą kobietą z niewyparzoną gębą. Starasz się mnie sprowokować?

– Dobra. Zawieź ją do tej szkoły, skoro tak ci na tym zależy. – Wbił oczy w Leni. – Przyjadę o trzeciej. I nie każ mi na siebie czekać.

Kiwnęła głową i szybko wsiadła do ciężarówki. Zostawiły za sobą wyboisty podjazd i świeżo okorowane pale. Dopiero gdy w tumanie kurzu pędziły po drodze, Leni potoczyły się łzy po policzkach.

To wszystko ją przerastało. Stawka była wysoka. A jeżeli mama zdecyduje się na ucieczkę, a potem ojciec ją odszuka i zabije?

Duża Marge podjechała pod szkołę.

– To nie w porządku, że musisz zmagać się z czymś takim. Ale życie nie jest sprawiedliwe. Podejrzewam, że już o tym wiesz. Możesz zawiadomić policję.

Leni spojrzała na nią.

– A jeśli on ją przeze mnie zabije? Jak będę z tym żyć?

Duża Marge pokiwała głową.

– Tak. W razie czego biegnij do mnie jak w dym, gdybyście potrzebowały pomocy. Okej? Obiecujesz?

– Jasne – przytaknęła ponuro.

Marge przechyliła się do Leni, uniosła skrzypiącą klapkę schowka i wyjęła stamtąd kopertę.

– Mam tu coś dla ciebie.

Leni często dostawała różne drobiazgi od Marge. A to batonik, a to książkę w miękkich okładkach, czasem klamrę do włosów. Nieraz po zamknięciu sklepu wciskała jej coś do ręki.

Spojrzała na kopertę. Było na niej logo Uniwersytetu Stanu Alaska. List został zaadresowany na jej nazwisko, a wysłano go na adres sklepu wielobranżowego Marge Birdsall w Kaneq.

Ręce jej się trzęsły, gdy rozrywała kopertę. Przeczytała pierwszą linijkę: *Mamy zaszczyt poinformować Panią…*

Podniosła oczy na Marge.

– Dostałam się!

– Gratuluję, Leni.

Z wrażenia kręciło jej się w głowie. Przyjęli ją!

Na studia.

– I co teraz? – spytała bezradnie.

– Pojedziesz – stwierdziła stanowczo Marge. – Rozmawiałam z Tomem. Pokryje czesne. Ja z Ticą kupimy ci książki, a Thelma zadba o kieszonkowe. Jesteś jedną z nas i musimy ciebie wspierać. I żadnego certolenia się, dziewczyno. Zmiataj stąd jak najszybciej. Uciekaj, dzieciaku, i nie oglądaj się za siebie. Ale, Leni…

– Tak?

– Do czasu wyjazdu bardzo, ale to bardzo uważaj.

W ostatni dzień lekcji bała się, że pęknie jej serce. Padnie martwa twarzą do ziemi i zwiększy statystykę zgonów na Alasce. Dziewczyna, która umarła z miłości.

Myśl o lecie, o tych wszystkich upalnych dniach wypełnionych harówką od świtu do zmierzchu, doprowadzała ją do szaleństwa. Jak dotrwa do września bez Matthew?

– Prawie nie będziemy się widywać – powiedziała, czując, jak żołądek podchodzi jej do gardła. – Oboje będziemy bez przerwy zajęci. Sam wiesz, jak wygląda lato. – Od dziś dni będą jej wypełniać wyłącznie obowiązki.

Lato. Sezon wędrówki łososi, ciągłe doglądanie ogrodu, zbieranie jagód dojrzewających na zboczach. Będą pasteryzować owoce i warzywa, wekować ryby, kroić łososie na płaty, które później zamarynują i uwędzą. Pozostają jeszcze naprawy, które trzeba wykonać, wykorzystując długie dni.

– Będziemy się wymykać – pocieszył ją Matthew.

W obecnej sytuacji chyba nie stać jej było na takie ryzyko. Ojciec rozjuszony odrzuceniem przez Harlanów przestał się kontrolować. Dzień w dzień ścinał drzewa i obłupywał je z kory, nocami chodził w kółko po chacie. Bez przerwy mruczał coś pod nosem i konsekwentnie wznosił tę swoją palisadę.

– We wrześniu razem wyjeżdżamy do college'u – przypomniał Matthew. (On potrafił marzyć i wierzył, że marzenia się spełniają).

– Jasne… – Leni niczego bardziej nie pragnęła. – W Anchorage będziemy normalnymi nastolatkami. – Powtarzali to sobie jak zaklęcie.

Podeszła razem z nim do drzwi, wybełkotała słowa pożegnania do pani Rhodes.

– Pamiętaj o dzisiejszej zabawie z okazji zakończenia roku – szepnęła nauczycielka, ściskając ją serdecznie. – Ty i Matthew będziecie gośćmi honorowymi.

– Dziękuję, pani Rhodes.

Rodzice już czekali na nią przed szkołą, trzymając tabliczkę z napisem: GRATULUJEMY! Aż przystanęła zdziwiona.

Leni poczuła dłoń Matthew na karku. Była pewna, że lekko ją popchnął. Ruszyła przed siebie z wymuszonym uśmiechem.

– Cześć! – przywitała podbiegających do niej rodziców. – Nie musieliście tego robić.

Mama obdarzyła ją promiennym uśmiechem.

– Chyba żartujesz! Zdałaś najlepiej z klasy.

– Z dwuosobowej klasy – zaznaczyła Leni z naciskiem.

Tata objął ją ramieniem i przygarnął do siebie.

– Ja nigdy w niczym nie byłem najlepszy, Rudzielcu. Jestem z ciebie dumny. A teraz pomachaj na pożegnanie pieprzonej szkole. Sayonara. Koniec z wciskaniem kitu.

Wsunęli się do szoferki i ruszyli. Nisko nad ich głowami przeleciała z terkotem awionetka.

– Turyści! – Tata wymówił to słowo jak przekleństwo, na tyle głośno, żeby wszyscy dokoła je usłyszeli. I zaraz z uśmiechem zwrócił się do Leni: – Mama upiekła twoje ulubione ciasto i zrobiła truskawkowy akutaq.

Przygnębiona skinęła głową, nie stać jej było nawet na uśmiech.

Na froncie na wpół odremontowanego pubu wisiał zaczepiony ukośnie transparent z napisem: GRATULACJE DLA LENI I MATTHEW. WIELKA FETA W PIĄTEK WIECZOREM O 9.00. PIERWSZY DRINK ZA DARMO!

– Leni, córeczko, coś ty taka markotna?

– Chcę pójść na imprezę pożegnalną w pubie – wyznała.

Mama wychyliła się i spojrzała tacie w twarz.

– Ernt?

– Mam wejść do cholernego pubu Toma Walkera i patrzeć na tych wszystkich ludzi, którzy rozwalają to miasto?

– Ze względu na Leni – podpowiedziała.

– Nie ma mowy.

Leni starała się w tym zapiekłym w gniewie mężczyźnie dojrzeć takiego, jakim go znała z opowieści mamy, zanim zmienił go Wietnam, a alaskańskie zimy wydobyły jego

najgorsze cechy. Usiłowała przywołać obraz tamtego Rudzielca, małej dziewczynki, którą nosił na barana na deptaku na Hermosa Beach.

– Tato, bardzo cię proszę. Chcę świętować koniec szkoły razem ze wszystkimi w mieście. To ty mnie do tego miasta przywiozłeś.

Kiedy spojrzał na nią, zobaczyła w jego oczach coś, co rzadko się tam pojawiało: miłość. Znużoną, sponiewieraną, przytępioną złymi wyborami, ale jednak miłość. Miłość i smutek.

– Przykro mi, Rudzielcu. Nie mogę tego zrobić. Nawet dla ciebie.

19

Wieczór.

Piła zajęczała, zawarkotała i ucichła.

Leni stała w oknie i wyglądała na dwór. Nadeszła siódma. Pora kolacji, przerwa w długim dniu pracy w jasnej porze roku. Lada moment tata wejdzie do chaty, a wraz z nim wróci napięcie. Resztki po trzyosobowej celebracji końca roku – ciasto marchewkowe i akutaq – deser lodowy zrobiony ze śniegu, z margaryny Crisco oraz owoców – dogorywały na stole.

– Tak mi przykro. – Mama podeszła do okna i stanęła obok niej. – Wiem, jak bardzo ci zależało na tej imprezie. Podejrzewałam nawet, że spróbujesz się wymknąć. Ja w twoim wieku bym tak zrobiła.

Leni nabrała trochę deseru na łyżeczkę. Normalnie za nim przepadała. Dzisiaj rósł jej w ustach.

– Wymyślałam setki sposobów – przyznała.

– I?

– Kończyły się identycznie; zostałabyś z nim sam na sam, okładana pięściami.

Mama zapaliła papierosa i w zamyśleniu wydmuchała dym.

– Ta… jego palisada. Zawziął się. Będziemy musiały bardziej uważać.

– Bardziej? – podchwyciła, odwracając się do matki. – Uważamy na każde słowo. Staramy się być niewidoczne. Udajemy, że oprócz niego i tego miejsca nic więcej nam nie

potrzeba do szczęścia. I to wszystko, mamo, za mało. Nie ma na niego sposobu.

Widziała, jaka trudna była ta rozmowa dla matki. Żałowała, że tym razem nie stać jej było na udawanie, że wszystko jeszcze się ułoży, że tacie się poprawi, że czegoś tam nie zrobił naumyślnie, że więcej tak nie postąpi.

Pozory!

Miała dość udawania.

– Mamo, dostałam się na studia w college'u w Anchorage.

– O mój Boże, cudownie! – Uśmiech, który rozświetlił twarz mamy, szybko zgasł. – Jak damy radę…

– Tom Walker, Duża Marge, Thelma i pani Rhodes biorą na siebie finanse.

– Pieniądze to niejedyny problem.

– Wiem – przytaknęła Leni, odwracając wzrok.

– Będziemy musiały to bardzo starannie zaplanować. Twój tata nigdy nie może się dowiedzieć, że Tom płaci za studia. Pamiętaj, nigdy.

– Nieważne. I tak mnie nie puści. Wiesz, że nie.

– Ależ puści. – Dawno nie słyszała takiej determinacji w głosie mamy. – Ja to załatwię.

Leni przez chwilę bujała w obłokach. Studia. Matthew. Nowe życie…

Akurat.

– Załatwisz to – podchwyciła z goryczą.

– Masz prawo we mnie nie wierzyć.

Leni starała się stłumić żal.

– Nie o to chodzi, mamo. Jak mam zostawić z nim ciebie samą?

Mama posłała jej smutny, znużony uśmiech.

– Ten temat w ogóle nie istnieje. Ani słowa o tym. Jesteś pisklęciem. A ja ptasią mamą. Albo wyfruniesz sama, albo

wypchnę cię z gniazda. Twój wybór. Tak czy owak, jedziesz na studia ze swoim chłopakiem.

– Myślisz, że się uda? – Leni puściła wodze fantazji. Jej marzenie przybrało jakby namacalną formę i teraz, obracając je w dłoniach, oglądała pod różnym kątem.

– Kiedy się rozpoczyna rok akademicki?

– Na początku września, zaraz po Święcie Pracy.

Mama pokiwała głową.

– Okej. Musisz bardzo ostrożnie postępować. Być sprytna. Nie zaprzepaść wszystkiego dla jednego pocałunku. Zrobimy tak: do września masz się trzymać z daleka od Matthew, w ogóle od Walkerów. Uciułam pieniądze na bilet autobusowy do Anchorage. Spakujemy twoje rzeczy do plecaka przetrwania. A potem wymyślę jakiś powód, żebyśmy we troje pojechali do Homer. Tam powiesz, że musisz poszukać toalety, i znikniesz. Potem, kiedy tata się uspokoi, niby przypadkiem znajdę list od ciebie, w którym piszesz, że pojechałaś do college'u – oczywiście nie podając miejsca – i obiecujesz wrócić do domu na letnie wakacje. Uda się. Zobaczysz. Jeżeli będziesz uważać, musi się udać.

– Bez Matthew przez całe lato?

– Niestety. Nie ma sensu ryzykować.

Czy wytrzyma? Kochała go żywiołową miłością, silną jak przypływ. Nikt nie wygra z potęgą fal.

Przypomniał jej się film, który oglądały z mamą całe wieki temu. *Wiosenna bujność traw*. Natalie Wood zakochana do szaleństwa w Warrenie Beattym traci go i ląduje w psychiatryku. Kiedy stamtąd wychodzi, on ma już żonę i dzieci. Jednak oboje wiedzą, że żadne z nich już nigdy nie przeżyje takiej miłości.

Mama zalewała się łzami na tamtym filmie.

Wtedy Leni jej nie rozumiała. Teraz – tak. Wiedziała, że miłość bywa niebezpieczna, wymyka się spod kontroli. Jest zachłanna. Taki rodzaj kochania matka przekazała jej w genach. Teraz już to wiedziała.

– Poważnie, Leni. – Mama patrzyła na nią z niepokojem w oczach. – Musisz się pilnować.

W czerwcu tata codziennie pracował przy budowie palisady. Pod koniec miesiąca wszystkie słupy zostały wkopane. Sterczały z ziemi w odległości dziesięciu stóp od siebie wzdłuż eliptycznej granicy między ich działką a główną drogą.

Leni próbowała zdławić tęsknotę za Matthew, ale ona się tym próbom nie poddawała. Czasami, zamiast skupić się na pracy, nieobecna duchem wyciągała z kieszeni dżinsów kościane serduszko i ściskała je mocno, kalecząc ostrym czubkiem dłoń do krwi. Robiła w myślach listę rzeczy, które chciała powiedzieć Matthew, w kółko odgrywała w głowie całe rozmowy. Nocami czytała tanie wydania powieści wyciągane z kosza z darmowymi książkami w sklepie wielobranżowym. Pochłaniała je jedną po drugiej; *Piekielne pożądanie*, *Wilk i gołębica*, *Zatracenie w blasku księżyca* – historyczne romansidła, których bohaterki walczyły o prawo do miłości i zawsze w końcu zwyciężały.

Wiedziała, że fikcja ma niewiele wspólnego z prawdziwym życiem, ale nie umiała zrezygnować z czytania romansów. Dawały jej poczucie, że kobiety potrafią kierować swoim losem. Nawet w najbardziej okrutnym, ponurym świecie ich bohaterki, cierpiąc nieraz do granic wytrzymałości, zawsze w końcu triumfowały i znajdowały prawdziwą miłość. Te powieści

pomagały Leni przetrwać samotne bezsenne noce i budziły nadzieję.

Długie, jakby niemające końca dni wypełniała jej praca. Zajmowała się ogrodem, zbierała śmieci do beczki po oleju, spalała je na popiół, który później podsypywała pod rośliny jako nawóz. Gotowała mydło i pieliła warzywne grządki. Nosiła wiadrami wodę, reperowała pułapki na kraby, rozplątywała sieci. Karmiła zwierzęta, zbierała jajka, naprawiała siatkę w zagrodach i wędziła łapane przez nich ryby. Cały czas w głowie dźwięczało jej jedno słowo: Matthew. Jego imię stało się mantrą.

Do września już niedaleko, w kółko powtarzała sobie w myślach.

Minął czerwiec, zaczął się lipiec, a one z mamą tkwiły w gospodarstwie uwięzione za palisadą wznoszoną przez tatę. Leni powoli opuszczał zdrowy rozsądek. Gdy nadszedł czwarty lipca, wiedziała, że całe miasto zaraz wylegnie na Main Street, żeby razem świętować Dzień Niepodległości. Jak bardzo pragnęła się tam znaleźć!

Tydzień za tygodniem, noc w noc, leżąc na swoim stryszku, tęskniła za Matthew. Miłość do niego – wojownika pokonującego góry i strumienie – zaczynała graniczyć z obsesją.

Pod koniec lipca pojawiły się czarne myśli: znalazł sobie inną, zakochał się, uznał, że z nią ładuje się w kłopoty. Tęskniła za jego dotykiem, marzyła o pocałunkach, mówiła do siebie na głos.

Zaczęło ją prześladować dziwne wrażenie, że niekończąca się tęsknota i strach zatruwają jej organizm. Przez jej skażony oddech pomidory nie dojrzeją, a dżem z jagód sfermentuje, jeśli wpadnie do niego choćby kropelka jej potu. W zimie rodzice będą się zastanawiać, co się dzieje z zapasami, które wcześniej przeszły przez jej ręce.

Zanim jeszcze nadszedł sierpień, stała się cieniem samej siebie. Budowa palisady dobiegała końca. Pale na granicy ich działki z główną drogą były już szczelnie obite deskami. Został tylko prześwit na podjeździe, szeroki na dziesięć stóp.

Leni nie bardzo przejmowała się palisadą. Wychudła i prawie nie sypiała. Co noc o trzeciej czy czwartej nad ranem wychodziła na werandę. On tam jest, powtarzała w myślach, wpatrując się w ciemność.

Dwa razy zdążyła już nałożyć buty; raz cofnęła się aż z końca podjazdu.

Musiała myśleć o mamie i o Matthew; nie wolno ich było narażać.

Do Święta Pracy został niecały miesiąc.

Musi wytrzymać, spotka się z Matthew w Anchorage, kiedy czas będzie po ich stronie.

To rozsądne rozwiązanie. Niestety, ona, zakochana, nie była rozsądna.

Musiała go zobaczyć, utwierdzić się, że nadal ją kocha.

Kiedy ta myśl stała się czymś więcej niż tylko tęsknotą, przerodziła się w konkretny plan?

Muszę go zobaczyć.

Być z nim.

Nie rób tego, ostrzegała ją dawna Leni, dziewczyna ukształtowana przez brutalność ojca i strach matki.

Tylko jeden, jedyny raz, upierała się ta nowa, rozpalona miłością.

Ale jak to zrobić?

Na początku sierpnia, kiedy dni wydłużyły się do osiemnastu godzin, czas wypełniało im gromadzenie żywności na zimę.

Robili przetwory ze zrywanych warzyw, smażyli konfitury z jagód, łowili ryby w oceanie, w rzekach i zatoce. Wędzili łososie, pstrągi i halibuty.

Dzisiaj wstali z samego rana i cały dzień łapali łososie. Łowienie ryb wymagało skupienia, niewiele się do siebie odzywali. Na koniec zanieśli ryby do domu i zajęli się konserwowaniem mięsa. Kolejny wyczerpujący dzień, wypełniony rutyną jak wszystkie inne.

Skończyli pracę dopiero w porze kolacji. Mama postawiła na stole zapiekankę z łososiem i fasolkę szparagową odsmażoną na bekonie.

– Pewnie nie możesz się już doczekać sezonu polowania na łosie – zagadnęła z uśmiechem, udając, że wszystko wygląda tak samo jak zawsze.

– No – przytaknęła Leni drżącym głosem. Wszystkie myśli wypełniał jej Matthew. Tęsknota za nim sprawiała fizyczny ból.

Tata rozgrzebywał widelcem skorupkę z ciasta, szukając pod spodem ryby.

– Coro, w piątek jedziemy do Sterling. Ktoś wystawił tam skuter śnieżny na sprzedaż. Nasz nadaje się już na złom. Poza tym potrzebne mi zawiasy do bramy. Leni, ty zostaniesz, zadbasz o zwierzęta.

O mało nie upuściła widelca. Mówił poważnie?

Sterling leżało co najmniej półtorej godziny drogi od nich. Jeżeli tata chciał przywieźć skuter, musiał wziąć ciężarówkę, a więc dochodziła półgodzinna przeprawa promem. Wszystko razem, łącznie z podróżą w obie strony, zajmie im cały dzień.

Tata wrócił do grzebania w zapiekance. Kiedy wyjadł całą rybę, zajął się ziemniakami, potem marchewką, a na końcu groszkiem.

Mama spojrzała uważnie na Leni.

– Ernt, to chyba nie najlepszy pomysł. Pojedźmy wszyscy razem. Wolałabym nie zostawiać Leni samej w domu.

Leni ze wstrzymanym oddechem czekała, aż tata skończy wycierać chlebem resztki sosu z talerza.

– To kawał drogi, niewygodnie się jedzie w szoferce we troje. Nic jej nie będzie.

Nareszcie nadszedł piątek.

– No, Leni – zaczął tata surowym głosem. – Jest lato. Wiesz, z czym to się wiąże. Brunatne niedźwiedzie. Strzelby są naładowane. Pilnuj, aby się zamykać w chacie na klucz. Idąc po wodę, rób dużo hałasu i nie zapominaj o gwizdku na niedźwiedzie. Powinniśmy być w domu przed piątą. Jeżeli zejdzie się nam dłużej, najpóźniej o ósmej masz znaleźć się w domu i siedzieć zamknięta na klucz. Nieważne, że na dworze jest jasno. I żadnego łowienia ryb na plaży. Zrozumiano?

– Tato, mam prawie osiemnaście lat. Wszystko wiem.

– Osiemnaście to dużo dla ciebie, dla mnie nie. Słuchaj, co mówię.

– Tak jest. Nie ruszę się poza obejście i zamknę się na klucz – obiecała.

– Grzeczna dziewczynka. – Tata złapał karton z wyprawionymi skórami, które zamierzał sprzedać kuśnierzowi w Sterling.

– Proszę cię, Leni – odezwała się mama, kiedy wyszedł na dwór. – Nie zrób jakiegoś głupstwa. Jesteś tak blisko wyjazdu do college'u. Wytrzymaj tych kilka tygodni. – Westchnęła. – Ty mnie w ogóle nie słuchasz.

– Słucham. Nie zrobię żadnego głupstwa – skłamała.

Tata ponaglił mamę klaksonem.

Leni uściskała ją na pożegnanie i dosłownie wypchnęła za drzwi.

Odprowadziła wzrokiem ciężarówkę i poczekała do godziny odjazdu promu.

Dokładnie czterdzieści siedem minut później wskoczyła na rower i pędząc po wyboistym podjeździe, wyjechała przez prześwit w palisadzie na główną drogę. Skręciła do siedliska Walkerów. Ostro zahamowała przed piętrowym domem z bali, zsiadła z roweru i rozejrzała się wokół siebie. W taki dzień jak dziś, wypełniony pracą, nikt nie siedział w domu.

Za drzewami na lewo od domu zobaczyła pana Walkera. Przerzucał zwały ziemi buldożerem.

Położyła rower na trawie, weszła na porośniętą zielskiem skarpę i spojrzała w dół na poszarzałe schody prowadzące na pas kamienistej plaży. Połamane muszle leżały między wodorostami i oblepionymi mułem otoczakami.

Matthew stał na płyciźnie i na metalowym stole filetował dużego srebrzysto-czerwonego łososia. Ostrożnie wyciągał pomarańczową ikrę i rozkładał ją do wysuszenia na słońcu.

– Matthew! – zawołała.

Zadarł głowę.

– Moi rodzice są na promie. Płyną do Sterling. Możesz przyjść? Mamy dla siebie cały dzień.

Odłożył składany nóż.

– O kurczę! Jestem za pół godziny!

Leni wróciła po rower i odjechała.

W domu nakarmiła zwierzęta, naniosła wody do poideł, a potem, uwijając się jak w ukropie, szykowała się do pierwszej prawdziwej randki. Spakowała piknikowy kosz, umyła zęby (jeszcze raz), ogoliła nogi i przebrała się w odświętną sukienkę z Gunne Sax w kolorze złamanej bieli; prezent od mamy na siedemnaste urodziny. Sięgające do pasa włosy splotła w gruby

warkocz i związała go na końcu rypsową wstążką. Co prawda rozciągnięte skarpety z szarej wełny i gumowce psuły nieco romantyczny efekt, ale na to nie było rady.

Teraz zostało już tylko oczekiwanie. Z piknikowym koszem i kocem stała na ganku, niecierpliwie przytupując. W zagrodzie dla kóz i kurniku po prawej stronie domu wzmógł się hałas. Zwierzętom i ptactwu wyraźnie udzieliło się jej zdenerwowanie. Chmury zasnuły chabrowe niebo, słońce świeciło przez mgłę.

Są teraz na promie, dobijają do Homer; muszą tam być. Błagam, oby tylko po coś się nie cofnęli.

Kiedy stała ze wzrokiem utkwionym w zacieniony podjazd, doszedł ją odległy warkot silnika. Łódź wędkarska. Tutaj, latem, ten odgłos był tak samo wszechobecny jak brzęczenie komarów.

Gdy zbiegła na skraj działki, aluminiowa łódka właśnie wpływała do ich zatoczki. Silnik zamilkł i teraz łódź, sunąc bezgłośnie, osiadła na plaży. Matthew pomachał do niej ze sterówki.

Zbiegła po schodkach na brzeg.

Matthew wyskoczył z łódki i brodząc w płytkiej wodzie, ciągnął ją za sobą. Leni wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana, oczarowana jego uśmiechem, ufnością i wyrazem oczu, w których widziała miłość.

W jednej sekundzie spłynęło z niej całe napięcie ostatnich miesięcy. Poczuła się beztroska i młoda. Była zakochana.

– Mamy czas do piątej – zastrzegła.

Poderwał ją z ziemi i pocałował.

Śmiejąc się radośnie, wzięła go za rękę i poprowadziła plażą na ścieżkę, która kończyła się w lasku z widokiem na przeciwległy brzeg zatoki. Osłaniały ich klify sterczące z wody – niemi świadkowie. Tutaj ocean uderzał o skaliste nadbrzeże,

rozpylając kropelki wody, które znaczyły im skórę wilgotnymi pocałunkami.

Leni rozłożyła koc i ustawiła na nim piknikowy kosz.

– Co tam masz? – zaciekawił się Matthew, siadając.

Leni przyklękła na kocu.

– Proste rzeczy. Kanapki z halibutem, sałatkę z krabów, zieloną fasolkę, kruche ciasteczka. – Posłała mu uśmiech. – To moja pierwsza randka.

– Moja też.

– Dziwne to nasze życie.

– Może inni też tak mają. – Przysunął się do niej, a potem położył na kocu, pociągając ją za sobą. Pierwszy raz od miesięcy swobodnie oddychała.

Długi pocałunek odebrał jej poczucie czasu, uwolnił od strachu, nie czuła nic poza pieszczotą języka i smakiem Matthew.

Odpiął perłowy guziczek sukienki i wsunął rękę w dekolt. Dotyk szorstkich palców przyprawił ją o gęsią skórkę. Dłoń zjechała niżej, wniknęła pod sprany bawełniany stanik, dotknęła sutka.

Przeszyły ją tysiące iskier.

Omdlała z pożądania przez sekundę myślała, że to wszystko jest grą wyobraźni.

I wtedy lunął deszcz. Chłostał strugami wody. Ze śmiechem zerwali się na nogi. Leni chwyciła koszyk. Popędzili wijącą się ścieżką wzdłuż plaży i wbiegli na wzniesienie przy wygódce.

Nie zwalniając ani na moment, zatrzymali się dopiero w chacie. Stali zapatrzeni na siebie. Leni czuła, jak krople deszczu toczą się jej po policzkach, kapią z włosów.

– Lato na Alasce – podsumował Matthew.

Wpatrzona w niego dokładnie w tej chwili zrozumiała, co do niego czuje.

To nie była toksyczna, głodna, rozpaczliwa miłość, jaką matka darzyła ojca.

Pragnęła Matthew, ale nie po to, aby ją ratował, uzupełniał czy wymyślał na nowo.

Jej miłość była najczystszym, najklarowniejszym i najsilniejszym uczuciem, jakiego kiedykolwiek doświadczyła. Była jak otwarcie oczu, jak nagłe dorośnięcie; odkrycie w sobie czegoś, co pozwala tak kochać. Na zawsze. Do końca. Albo przez cały czas, jaki pozostał.

Zaczęła rozpinać sukienkę. Koronkowy kołnierzyk zsunął się z ramienia, odsłaniając ramiączko biustonosza.

– Leni, czy na pewno…

Uciszyła go pocałunkiem. Niczego nigdy nie była tak pewna. Rozpięta sukienka opadła na podłogę koronkowym spadochronem wokół ciężkich butów. Wyszła z niej i kopnięciem odsunęła na bok.

Rozsznurowała buty i strząsnęła z nóg. Jeden z głuchym stuknięciem trafił w ścianę.

– Chodź. – W samym staniku i majtkach zaprowadziła go do siebie, na górę. Matthew zrzucił ubranie i pociągnął ją za sobą na przykryty futrem materac.

Rozbierał ją niespiesznie. Ustami i dłońmi odkrywał jej ciało, budząc każdy nerw.

Zatraciła się pod jego dotykiem. Jej ciało, teraz niezależne, poruszało się w jakimś instynktownym, pierwotnym rytmie, który od zawsze musiało znać, obdarzając ją intensywną, niemal bolesną rozkoszą.

Była płonącą gwiazdą, rozpadła się na drobne kawałeczki, sypiąc iskrami. Na ziemię wróciła jako inna dziewczyna, a może tylko inna wersja siebie. To przerażało, a jednocześnie budziło zachwyt. Czy istniało w życiu cokolwiek jeszcze, co mogłoby ją

aż tak odmienić? I jak po tym, co się stało, miałaby kiedykolwiek rozstać się z Matthew?

– Kocham cię – powiedział cicho.

– Też ciebie kocham.

To słowo wydawało się za małe, aby pomieścić to, co czuła.

Leżała przytulona do niego, patrząc, jak krople deszczu rozpłaszczają się na szybie świetlika. Wiedziała, że na zawsze zapamięta ten dzień.

– Jak myślisz, jak będzie w college'u? – spytała.

– Będziesz ty, będę ja. Już zawsze tak jak teraz. Jesteś gotowa wyjechać?

Szczerze mówiąc, obawiała się, że kiedy nadejdzie pora, nie będzie w stanie zostawić matki. Gdyby jednak została, nigdy nie odżałowałaby pogrzebanych marzeń. Wolała nie spoglądać brutalnej przyszłości w oczy.

Teraz, w jego ramionach, gdy otwierała się przed nimi magiczna perspektywa wspólnego życia, najbezpieczniej będzie milczeć. Nie chciała, aby słowa zmieniły się w mur między nimi.

– Chcesz porozmawiać o swoim tacie? – zapytał.

Jak zawsze, instynktownie cisnęło jej się na usta nie; obowiązywała tajemnica. Ale co to byłaby za miłość bez szczerości?

– Myślę, że to przez wojnę zrobił się nieobliczalny.

– Podnosi na ciebie rękę?

– Nie na mnie. Na mamę.

– Len, obie z mamą musicie uciekać. Słyszałem, jak mój tata rozmawiał o tym z Dużą Marge. Chcą wam pomóc, ale twoja mama się nie zgadza.

– To nie takie proste, jak się wydaje.

– Gdyby was kochał, nie krzywdziłby was.

Jak logicznie to zabrzmiało. Jak matematyczne równanie. Niestety, związek pomiędzy bólem a miłością nie był taki prosty. Raczej przypominał sieć.

– Jak to jest – zaczęła – czuć się bezpiecznie?

Pogładził ją po włosach.

– A teraz czujesz się bezpiecznie?

Rzeczywiście. Może pierwszy raz, choć zakrawało to na szaleństwo. Ten dom był ostatnim miejscem, gdzie powinna czuć się bezpiecznie w ramionach chłopaka, do którego jej ojciec ział nienawiścią.

– Matthew, mój tata cię nienawidzi, chociaż nawet ciebie nie zna.

– Nie pozwolę mu ciebie skrzywdzić.

– Rozmawiajmy o czymś innym.

– Na przykład… o tym, że nie schodzisz mi z myśli? To mnie doprowadza do paranoi. – Przygarnął ją do siebie i pocałował. Zatracili się w pieszczotach, czas zwolnił tylko dla nich; smakowali siebie wzajemnie, chłonęli. Trochę rozmawiali, szeptali sekrety, żartowali i milkli złączeni pocałunkiem. Leni uczyła się magii poznawania przez dotyk.

Jej ciało ponownie rozbudziło się w jego ramionach, ale tym razem coś się zmieniło. Wszystkie słowa odbijały się echem w jej głowie, wdzierała się rzeczywistość.

Prześladowało ją złe przeczucie, że ten dzień był wszystkim, co im zostało. Rodził się strach, że nigdy nie uda jej się dotrzeć do college'u, że gdy wyjedzie, tata zabije mamę. Bała się nawet, że to, co czuła do Matthew, nie było miłością, bo zatruta przez toksyczny związek rodziców być może nie wiedziała, co znaczy naprawdę kochać.

– Nie – powiedziała do siebie, do niego, do całego świata. – Kocham cię, Matthew.

Niczego nie była bardziej pewna.

20

Poczuła rękę na ustach.

– Obudź się, Len. – Usłyszała ochrypły szept.

Otworzyła oczy.

– Zasnęliśmy. Ktoś jest tutaj.

Deszcz przestał padać. Przez świetlik wpadało słońce.

Doszedł ją warkot silnika i łomot metalowej paki ciężarówki podskakującej na wybojach.

– O Boże – szepnęła. Przeszła ponad Matthew, złapała pierwsze z brzegu rzeczy i czym prędzej się ubrała. Była już przy barierce na skraju stryszka, gdy usłyszała skrzypnięcie drzwi.

Tata wszedł i zatrzymał się, patrząc pod nogi.

Stał na skłębionej, mokrej sukience.

Cholera.

Dała krok nad barierką i zeszła, a dokładniej zsunęła się po drabinie.

Tata pochylił się i podniósł ociekającą wodą suknię.

– Złap-pała mnie ulewa – wyjąkała. Serce tłukło się w piersi, z trudem chwytała powietrze. Półprzytomna z przerażenia prześliznęła się wzrokiem po chacie w poszukiwaniu śladów, które mogły ich zdradzić. Buty Matthew!

Jęknęła.

W stojaku za tatą stały strzelby, a na półce poniżej – skrzynki z amunicją. Wystarczył jeden mały ruch w lewo, żeby sięgnąć po broń.

Podbiegła do ojca i wyrwała mu sukienkę z rąk.

Mama ściągnęła brwi. Jej spojrzenie, wędrując za wzrokiem Leni, zatrzymało się na butach. Podniosła oczy na Leni, a potem na stryszek. Zbladła.

– Po co się wystroiłaś w tę sukienkę? – dociekał tata.

– Ernt, dziewczyny mają takie pomysły – wtrąciła się mama, przesuwając się niepostrzeżenie, aby zasłonić sobą buty.

Tata rozejrzał się po chacie, poruszając nozdrzami. Przypominał drapieżnika łapiącego trop.

– Jakoś inaczej tu pachnie.

Leni powiesiła sukienkę na kołku przy drzwiach.

– To jedzenie na piknik, który dla nas zapakowałam – powiedziała. – Chciałam… zrobić wam niespodziankę.

Tata podszedł do stołu, otworzył kosz, zajrzał do środka.

– Tylko dwa talerze?

– Zgłodniałam i zjadłam swoją porcję. A to dla was. Po-po-myślałam, że chętnie coś zjecie po powrocie ze Sterling.

Skrzypnięcie desek na górze.

Nasłuchując, tata spojrzał na stryszek i ruszył do drabiny.

Matthew, siedź cicho.

Tata oparł rękę o drabinę, zadarł głowę, skrzywił się. Postawił nogę na najniższym szczeblu.

Mama pochyliła się po buty Matthew i błyskawicznie wrzuciła je do kartonu na obuwie przy drzwiach. Zrobiła to wszystko jednym płynnym ruchem i stanęła obok taty.

– Chodź, pokażemy Leni skuter śnieżny – powiedziała specjalnie głośno, żeby Matthew ją usłyszał. – Stoi na ciężarówce przy zagrodzie dla kóz.

Tata oderwał się od drabiny i odwrócił się do nich z dziwnym wyrazem oczu. Czyżby coś podejrzewał?

– Jasne. Chodźmy.

Leni podążyła za nim do drzwi. Kiedy je otworzył, obejrzała się za siebie, zadzierając głowę.

Ruszaj, Matthew, pomyślała, uciekaj.

Kiedy schodzili z ganku, mama wzięła ją za rękę i mocno trzymała, jakby się bała, że może się wyrwać i uciec.

Jaskrawe światło odbijało się w aluminiowej łodzi w zatoczce. Połyskiwała srebrzyście na tle szarych kamyków. Ulewa oczyściła powietrze. Słońce odbijało się w lustrze wody, skrzyło się w kroplach na liściach i na płatkach polnych kwiatów.

Leni szybko coś powiedziała, nawet nie wiedziała co; chciała ściągnąć na siebie uwagę taty, żeby przypadkiem nie spojrzał na zatokę.

– Proszę bardzo – odezwał się, kiedy zatrzymali się przy zardzewiałej przyczepie przymocowanej do ciężarówki. Stał na niej powgniatany skuter z podartym siodełkiem i zbitą lampą. – Siodełko oklei się taśmą izolacyjną i będzie jak nowy.

Leni zdawało się, że usłyszała szczęknięcie drzwi i trzask desek na ganku.

– Jest super! – zawołała z udawanym entuzjazmem. – Możemy na nim łowić spod lodu i polować na karibu!

Doszło ją rzężenie startującego zaburtowego silnika i wizg łodzi nabierającej prędkości.

Tata odepchnął ją na bok.

– Czyżby kogoś przyniosło na naszą zatokę? – warknął.

Aluminiowy skif z dumnie zadartym dziobem pruł wodę, zostawiając za sobą grzywę fali.

Leni wstrzymała oddech. Jasne włosy. Nowiutka łódź. Czy tata go rozpoznał?

– Cholerni turyści – skomentował, odwracając się. – Tym bogatym smarkaczom z college’u się wydaje, że cała Alaska do nich należy. Porozstawiam wszędzie znaki zakazu wstępu.

Udało się. Matthew, udało się nam.

– Leni. – Głos mamy. Ostry. Zagniewany, a może przestraszony.

Oboje z ojcem patrzyli na nią.

– Co? – spytała.

– Tata do ciebie mówi.

Uśmiechnęła się.

– Ups. Przepraszam.

– Widzę, że bujasz w obłokach, jak zwykł mawiać mój ojciec – stwierdził ironicznie tata.

Wzruszyła ramionami.

– Zamyśliłam się.

– A o czym tak myślałaś?

Zaniepokoiła ją zmiana w tonie jego głosu. Widziała, jak uważnie się jej przyglądał. Może im z Matthew się udało, a może… on igrał z nią jak kot z myszą.

– Och, wiesz, jakie są nastolatki – wtrąciła mama drżącym głosem.

– Coro, pytałem Leni, nie ciebie.

– Myślałam o tym, że fajnie byłoby popłynąć do Pedersen's Resort na Kenai, zagrać na automatach. Zazwyczaj mieliśmy szczęście.

– Dobra myśl. – Tata cofnął się parę kroków od przyczepy, spojrzał na podjazd. – Ale cóż. Jest lato. Czeka mnie robota.

Zostawił je, poszedł do szopy z narzędziami po piłę łańcuchową. Zarzucił ją na ramię i skręcił na podjazd, znikając za drzewami.

Dopóki nie usłyszały zgrzytu piły, stały obie ze wstrzymanym oddechem.

– Głupia, głupia, głupia – wyszeptała szorstko mama. – Mogliście wpaść.

– Zasnęliśmy.

– Leni, błahe z pozoru błędy bywają tragiczne w skutkach. Chodź. – Zaprowadziła ją z powrotem do chaty. – Siadaj przy ogniu. Rozczeszę ci włosy. Ale masz bałagan na głowie. Dobrze, że on nie zauważył.

Leni przyciągnęła do kozy stołek na trzech nogach. Usiadła, opierając bose stopy na poprzeczce. Mama z niebieskiej puszki po kawie stojącej na prowizorycznej toaletce wyjęła grzebień o rzadkich zębach i zaczęła delikatnie rozczesywać splątane, sięgające do pasa włosy. Potem wymasowała jej skórę głowy i na koniec wtarła w spierzchnięte dłonie olejek, który wyciskały z pączków topoli balsamicznej.

– Kombinujesz, że skoro tym razem wam się dało, spróbujesz zobaczyć się z nim ponownie. To ci chodzi po głowie, prawda?

Oczywiście mama się nie myliła.

– Następnym razem będziemy mądrzejsi.

– Nie będzie następnego razu, Leni. – Trzymając ją za ramiona, obróciła na stołku przodem do siebie. – Poczekasz do wyjazdu do college'u, tak jak ustaliłyśmy. Będziemy trzymać się planu. We wrześniu spotkasz się z Matthew w Anchorage i będziesz żyć po swojemu.

– Umrę, jeśli nie będę go widywać.

– Nie, nie umrzesz. Proszę cię, nie myśl tylko o sobie, pomyśl też o mnie.

– Przepraszam, mamo – powiedziała skruszona, wstydząc się swego egoizmu. – Masz rację. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

– Seks wszystko zmienia – zauważyła cicho mama.

Kilka dni później, kiedy jadły owsiankę na śniadanie, tata wmaszerował do chaty, energicznie otwierając drzwi. Ciemne włosy i flanelową koszulę miał oprószone strużynami.

– Chodźcie! Obie. Szybko!

Leni podążyła za rodzicami. Tata długimi krokami ruszył na podjazd. Mama drobiła obok niego, ślizgając się na gąbczastej ziemi, i wciąż podbiegała, żeby nie zostać w tyle.

– O mój Boże! – Leni usłyszała szept mamy i spojrzała w górę. Miała przed sobą parkan, na który tata poświęcił całe lato. Skończony. Rząd świeżo ociosanych desek zwieńczonych drutem kolczastym. Jak w gułagu.

Ale nie to było najgorsze. Dostępu na podjazd broniła brama zabezpieczona grubym łańcuchem z masywną kłódką. Klucz do niej, jak Leni zauważyła, wisiał na łańcuszku na szyi taty.

Teraz z zadowolonym uśmiechem przyciągnął mamę do siebie. Pochylił się nad nią, wyszeptał jej coś na ucho i pocałował w małe purpurowe znamię u nasady szyi.

– Odgrodziliśmy się od całego zdradzieckiego świata – ogłosił. – Jesteśmy bezpieczni.

Dawniej Leni, myśląc o strachu, widziała ciasną komórkę z napierającymi ścianami, przytłaczającym sufitem oraz z lodowatą podłogą.

Nie. To nie tak.

Strach był gmachem z wieloma pomieszczeniami połączonymi niekończącym się korytarzem.

W tamtych dniach po zamknięciu bramy na podzwaniający łańcuch Leni dokładnie poznała ten gmach. W nocy leżała na swoim stryszku, walcząc ze snem, bo jeśli tylko przymknęła powieki, prześladowały ją koszmary. Strach, z którym zmagała się za dnia, powracał nocą. Śniła jej się śmierć. Ginęła na setki sposobów: tonęła, lód się pod nią załamywał, spadała ze stromego zbocza, dostawała kulę w głowę.

Metafory. Te wszystkie śmierci w tamtych snach i w tych, które jeszcze się przyśnią, to metafory.

Tata nie odstępował ich na krok, rozmawiał z nimi, jak gdyby nigdy nic, i po raz pierwszy po odrzuceniu przez Harlanów chodził w świetnym humorze. Żartował, śmiał się, pracował razem z nimi. W bezsenne noce dochodziły do niej odgłosy z dołu. Rodzice rozmawiali, kochali się. Mama była dobra w udawaniu, że wszystko wygląda normalnie. Leni straciła tę wpojoną w dzieciństwie umiejętność.

Jedna myśl cały czas chodziła jej po głowie: musimy uciekać.

– Musimy od niego uciec – oznajmiła stanowczo w sobotę rano, dokładnie tydzień po zamknięciu bramy. Po raz pierwszy tata zostawił je same.

Mama zastygła z rękami w cieście, które akurat wyrabiała.

– Zabije mnie – wyszeptała.

– Nie widzisz tego, mamo? Prędzej czy później zabije ciebie tutaj. Pomyśl o nadchodzącej zimie. O ciemnościach. O mrozie. I o nas uwięzionych za tą palisadą. W tym roku on nie wyjedzie do pracy przy rurociągu. Zostanie z nami. My troje i te ciemności. Kto go powstrzyma, kto nam pomoże?

Mama nerwowo spojrzała na drzwi.

– Dokąd miałybyśmy uciec?

– Duża Marge obiecała pomóc. Tak samo Walkerowie.

– Nie, byle nie Tom. To tylko pogorszyłoby sprawy.

– Mamo, za trzy i pół tygodnia zaczyna się rok akademicki. Muszę jak najszybciej się stąd wydostać. Wyjedziesz ze mną?

– Może raczej wyjedź sama.

Leni z góry wiedziała, że to usłyszy. Długo zmagała się z tym problemem, w końcu znalazła argument.

– Mamo, ja muszę się stąd wyrwać. Nie mogę dłużej tak żyć, ale potrzebuję ciebie. Boję się, że… nie wystarczy mi siły, żeby cię zostawić.

– Groszki w strączku – przypomniała mama smutnym tonem, doskonale ją rozumiejąc. Od zawsze były razem. – Ty musisz wyjechać. A mnie na tym zależy. Nie wybaczyłabym sobie, gdybyś tu została. Jaki więc masz plan?

– Uciekniemy, jak tylko nadarzy się sposobność. Może on pojedzie na polowanie, wtedy weźmiemy łódź. Wykorzystamy pierwszą lepszą okazję. Musimy zdążyć, zanim zaczną opadać liście, bo potem będzie za późno.

– A więc uciekniemy. Bez niczego.

– Z życiem.

Mama zapatrzyła się gdzieś w bok. Po dłuższym milczeniu przesądziła sprawę kiwnięciem głową i krótkim:

– Spróbuję.

Nie na taką odpowiedź Leni liczyła, ale dobre chociaż tyle. Modliła się tylko, aby mama nie stchórzyła, kiedy pojawi się szansa.

Pogoda zaczynała się zmieniać. Tu i ówdzie intensywnie zielone liście wybarwiały się na żółto, pomarańczowo i czerwono. Brzozy, przez cały rok schowane pośród innych drzew, teraz się wyłaniały, dumnie połyskując białą jak gołębie skrzydła korą i listkami podobnymi do migotliwych płomyków świec.

Wraz ze zmianą koloru liści rosło napięcie Leni. Do końca sierpnia zostało niewiele czasu, niedługo zacznie się wczesna jesień, a pogoda na Alasce bywa kapryśna.

Temat ucieczki zdawał się wisieć w powietrzu, mimo że już więcej o tym nie rozmawiały. Ilekroć tata wychodził z chaty,

spoglądały na siebie z niemym pytaniem w oczach: już czas?

Dzisiaj tata wrócił z dworu, kiedy obie były zajęte gotowaniem dżemu z czarnych jagód. Przyszedł brudny, spocony, z zaciekami z kurzu na twarzy. Leni pierwszy raz zauważyła pasemka siwizny w jego brodzie. Włosy miał zebrane w kucyk nisko nad karkiem, a nad czołem przewiązaną kolorową bandanę. Tupiąc gumiakami na sklejkowej podłodze, wszedł do kuchni i sprawdził, co mama zrobiła na obiad.

– Znowu? – mruknął, zaglądając do garnka z krokietami z łososia. – Żadnych warzyw?

– Konserwuję na zimę. Nie mamy mąki i kończy się ryż. Przecież ci mówiłam – odparła mama zrezygnowanym tonem. – Gdybyś mi pozwolił pojechać do miasta…

– Tato, powinieneś wybrać się do Homer po zapasy na zimę – odezwała się Leni, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie.

– Same w domu nie jesteście bezpieczne.

– Chroni nas palisada – przypomniała.

– Nie do końca. Przy wysokiej fali można tu podpłynąć łodzią – stwierdził tata. – Kto wie, co może się zdarzyć, kiedy mnie nie będzie. Chyba już lepiej razem pojedźmy do cholernego miasta po te zakupy.

Mama zerknęła na Leni.

Nasza szansa, odpowiedziało jej spojrzenie.

Mama otworzyła szeroko oczy i nieznacznie pokręciła głową. Leni rozumiała jej strach. Zamierzały się wymknąć pod nieobecność taty. Nie było mowy o ucieczce, kiedy będą razem z nim. Niestety, pogoda się psuła. Noce robiły się chłodne: znak, że zbliża się zima. Zajęcia na uniwersytecie stanowym zaczynały się za niecały tydzień. Pojawiła się nadzieja. Jeżeli dobrze zaplanują…

– Jedziemy – zdecydował tata. – No już, zbierać się. – Klasnął w dłonie, a mama drgnęła zaskoczona głośnym plaśnięciem.

Leni tęsknie popatrzyła na swój plecak przetrwania, jak zawsze wyładowany wszystkim, co mogło przydać się w dziczy. Nie mogła go wziąć ze sobą, nie budząc podejrzeń.

Uciekną w tym, co mają na grzbiecie.

Tata wyjął strzelbę ze stojaka przy drzwiach i oparł ją o ramię.

Czy to było ostrzeżenie?

– Idziemy!

Leni podeszła do matki, nakryła dłonią jej chudy nadgarstek.

– Chodź, mamo – ponagliła łagodnie, czując pod dłonią drżenie jej ręki.

Doszły do drzwi. Leni na sekundę przystanęła w progu i objęła spojrzeniem ciepłe, przytulne wnętrze. Mimo bólu, rozgoryczenia i bagażu złych wspomnień to był jedyny dom, jaki znała.

Miała nadzieję, że nigdy więcej go nie zobaczy. Smutne, że tej nadziei towarzyszyło poczucie straty.

W kabinie ciężarówki, siedząc pomiędzy rodzicami na ławeczce z podartą tapicerką, wyczuwała zdenerwowanie mamy: jej skóra wydzielała kwaśny zapach. Pragnęła ją pocieszyć, zapewnić, że się uda, uciekną, przeniosą się do Anchorage i wszystko dobrze się skończy, ale sama też płytko oddychała i musiała się trzymać, licząc, że kiedy nadejdzie czas, nie sparaliżuje ich strach.

Tata uruchomił silnik i podjechał do bramy.

Zatrzymał ciężarówkę, wysiadł, nie zamykając drzwi, podszedł do bramy i chwycił za kłódkę. Zdjął z szyi klucz, wsunął go w zamek i mocno przekręcił.

– Nareszcie – powiedziała Leni. – W mieście uciekamy. Za czterdzieści minut przybija prom. Znajdziemy sposób, żeby się

na nim znaleźć.

– Nie uda się. Złapie nas.

– W takim razie zwrócimy się do Dużej Marge. Ona nam pomoże.

– Chcesz ją narazić na śmiertelne niebezpieczeństwo?

Pałąk masywnej metalowej kłódki odskoczył z kliknięciem. Tata popchnął lewe skrzydło bramy, oparł je na wybrzuszeniu torfu, a następnie odciągnął prawe. Nareszcie widziały główną drogę.

– Mamy tylko jedną szansę – odezwała się mama, nerwowo skubiąc zębami dolną wargę. – Jeżeli miałoby się nie udać, lepiej nie ryzykować.

Miała rację, ale Leni nie wiedziała, czy zniesie wyczekiwanie. Teraz, kiedy wolność wydawała się w zasięgu ręki, myśl o powrocie do niewoli była nie do zniesienia.

Tata wsiadł do szoferki, zatrzasnął drzwi i ruszył. Kiedy przejeżdżali przez bramę, Leni odwróciła się i spojrzała za siebie przez lukę pomiędzy lufami strzelb ustawionych w stojaku. Przeczytała napis namalowany czarnym sprejem na kawałku deski.

ZAKAZ WSTĘPU
INTRUZI ZOSTANĄ ZASTRZELENI

Zapamiętała, że tata nie zamknął bramy. Skręcili na główną drogę, przejechali obok wjazdu z łukiem na siedlisko Walkerów, minęli podjazd Marge Birdsall.

Tuż za lądowiskiem zaczynała się nowa szutrowa droga. Kamyki chrzęściły pod oponami. Przed sobą mieli świeżo pomalowany drewniany mostek. Stało tam kilkoro ludzi ubranych w kolorowe kurtki. Przechyleni ponad barierką

przyglądali się czerwonym łososiom w ich wędrówce na tarło i śmierć.

Tata otworzył szybę.

– Wracajcie do Kalifornii! – wrzasnął i specjalnie dodając gazu, wypluł na nich chmurę czarnych spalin.

Wzdłuż Main Street biegła blokada z drewnianych kozłów, białych wiader i pomarańczowych pachołków, trzymająca turystów w bezpiecznej odległości od placu robót. Koparka pogłębiała rów przed restauracją. Cała ulica była rozorana, wzdłuż rozkopu piętrzyły się hałdy ziemi.

Tata gwałtownie zahamował. Ich ciężarówką zarzuciło w wysoką trawę na poboczu. Teraz zobaczyli operatora koparki: w kabinie siedział sam Tom Walker.

Tata zgasił silnik. Naparł barkiem na zacinające się drzwi, wyskoczył z szoferki i zatrzasnął je za sobą z rozmachem.

– Mamo, trzymaj się blisko, złap mnie za rękę.

Zanim Leni zdążyła coś więcej powiedzieć, tata wyrósł przy drzwiach pasażera, otworzył je, chwycił mamę za nadgarstek i wyciągnął z kabiny.

– Uciekaj – wyszeptała bezgłośnie, oglądając się na Leni z przerażeniem w oczach. Tata wlókł mamę za sobą, ściskając ją za nadgarstek, musiała podbiegać, żeby dotrzymać mu kroku.

– Cholera! – zaklęła Leni.

Widziała rodziców kluczących między turystami, którzy kręcili się po mieście w ten słoneczny dzień u schyłku sierpnia. Tata, torując sobie drogę łokciem, brutalnie roztrącał ich na boki.

Leni nie mogła dłużej usiedzieć na miejscu. Wyszła z ciężarówki i ruszyła za nimi. Może znajdzie się sposób na wyrwanie mamy z rąk ojca. Nie potrzebują dużo czasu, wystarczy chwila, żeby zniknąć. Do cholery, jeżeli nie będzie

innego wyjścia, nawet ukradną łódź. Może dobrze się stało, że wysiedli z ciężarówki.

– Walker! – wrzasnął tata.

Pan Walker wyłączył koparkę i zsunął bejsbolówkę ze spoconego czoła.

– Ernt Allbright – przywitał go. – Jaka miła niespodzianka.

– Do diabła, co ty tutaj robisz?

– Kopię rów.

– Po co?

– Elektryczność dla miasta. Z generatora.

– Co?!

Walker powoli przesylabizował słowo „elektryczność”, jakby miał do czynienia z kimś, kto słabo rozumie, co się do niego mówi.

– A jeżeli my nie chcemy elektryczności w Kaneq?

– Wszystkie firmy w mieście się zrzuciły, Ernt. Dawały gotówkę – oświadczył Tom. – Ludzie chcą mieć w zimie światło, działające lodówki i ogrzewanie. Aha, i lampy na ulicach. Będzie lepiej, nie?

– Nie pozwolę ci.

– I co zrobisz? Znowu złapiesz za sprej? Nie radziłbym. Nie będę już taki wspaniałomyślny.

Leni stanęła za mamą i chwyciła ją za rękaw, licząc, że w tym zamieszaniu uda jej się uwolnić od taty.

– Leni!

Matthew stał przed pubem z ogromnym kartonem.

– Pomóż nam! – krzyknęła na cały głos.

Tata zamknął jej ramię w żelaznym uścisku.

– Potrzebujesz pomocy? – Szarpnięciem przyciągnął ją do siebie. – A niby z jakiego powodu?

– Nie – wychrypiała, rozpaczliwie kręcąc głową. – Nie to miałam na myśli.

Kątem oka widziała, że Matthew odstawił karton, zszedł z chodnika i kierował się do nich.

– Lepiej powiedz temu smarkaczowi, żeby się zatrzymał, bo jak mi Bóg miły… – wysyczał ojciec, kładąc dłoń na rękojeści noża w pochewce przy pasku.

– Nic się nie dzieje! – zawołała do Matthew, jednak on jej nie uwierzył. Widział łzy w jej oczach. – N-nie-ppodchodź. Powiedz swojemu tacie, że nic nam nie jest.

Wymówił jej imię. Nie usłyszała, poznała po ruchu warg. Tata zacisnął mocniej rękę na jej ramieniu. Jego palce wpijały się w ciało jak szczypce. Popychając obie przed sobą, doprowadził je do ciężarówki, wepchnął do szoferki i zatrzasnął drzwi.

To wszystko – przyjazd do miasta, scysja z Walkerem, jej błaganie o pomoc, powrót do ciężarówki – trwało niecałe dwadzieścia minut.

Całą drogę do domu tata gniewnie mamrotał pod nosem. Leni wyławiała tylko dwa słowa: „kłamstwo” i „Walker”.

Kiedy podskakując na porytej drodze, wjechali na podjazd, mama ścisnęła jej rękę. Leni desperacko szukała w myślach sposobu na ułagodzenie taty. Po co było tamto wołanie o pomoc? Powinna mieć więcej rozumu.

Miłość i strach.

Dwie najbardziej destrukcyjne siły. Strach pozbawił ją logiki, miłość rozumu.

Tata, nie przestając mówić do siebie, przejechał przez bramę.

Kiedy wysiądzie, żeby ją zamknąć, kombinowała, wskoczę za kierownicę, wrzucę wsteczny i wcisnę gaz do dechy.

Tymczasem on zostawił bramę otwartą.

Otwartą. Uciekną w środku nocy…

Na polance zaciągnął hamulec, wyłączył silnik, wywlókł Leni z kabiny i ciągnął ją za sobą po trawie, po schodkach, po

werandzie. Brutalnie wepchnięta do domu, zatoczyła się i runęła na podłogę.

Mama wsunęła się do środka za nimi, panując nad wyrazem twarzy. Leni nie wiedziała, skąd ona czerpała siłę na to udawanie.

– Ernt, niepotrzebnie tak się denerwujesz. – Położyła mu dłoń na ramieniu. – Proszę cię, wyjaśnijmy wszystko spokojnie.

– Coro, uważasz, że potrzebujecie pomocy? – zwrócił się do niej niepokojąco zdławionym głosem.

– Ona jest młoda. Nie wiedziała, co mówi.

Leni słyszała chrapliwy oddech ojca, widziała, jak zaciska i prostuje palce. Kiwał się na piętach, wściekłość wykrzywiała mu twarz.

– Okłamujesz mnie.

– Nie. – Mama pokręciła głową. – Nie wiem, o co ci chodzi.

– Zawsze ci Walkerowie – warknął.

– Ernt, to szaleń…

Po silnym ciosie osunęła się po ścianie. Zanim zdążyła się podnieść, przygwoździł ją do podłogi i szarpnięciem za włosy odsłonił bladą szyję. Trzymając ją za włosy, przycisnął jej twarz do podłogi.

Leni doskoczyła do ojca.

– Puść ją! – krzyknęła, lądując mu na plecach i ciągnąc go za włosy.

Strząsnął ją z siebie, uderzył czołem mamy o podłogę.

Leni usłyszała skrzypnięcie drzwi, sekundę później ktoś odciągnął ją od ojca. Kątem oka zobaczyła Matthew. Oderwał tatę od mamy i potężnym ciosem w szczękę rzucił go na kolana.

Leni podbiegła do matki, pomogła jej się dźwignąć.

– Musimy uciekać. Już.

– Nie, ty sama. – Mama patrzyła z niepokojem na jęczącego z bólu tatę. – Biegnij. – Miała rozciętą wargę i twarz umazaną

krwią.

– Bez ciebie nie ucieknę.

Łzy spływały mamie po policzkach, mieszały się z krwią.

– On nigdy nie da mi spokoju. Ale ty idź. Uciekaj.

– Nie – stwierdziła stanowczo Leni. – Nie bez ciebie.

– Leni ma rację, pani Allbright – odezwał się Matthew. – Pani nie może tu zostać.

– Dobrze. – Westchnęła. – Pojadę do Dużej Marge. Ona mnie obroni, ale ty, Leni, nie zbliżaj się do mnie. Rozumiesz? Jeżeli on po mnie przyjdzie, masz być gdzieś daleko. – Przeniosła spojrzenie na Matthew. – Ona musi zniknąć co najmniej na dobę. Dobrze ją ukryj, żeby jej nie odnalazł. Ja w tym czasie skontaktuję się z policją. Złożę doniesienie.

Matthew skwapliwie pokiwał głową.

– Nie pozwolę, żeby coś jej się stało. Przyrzekam, pani Allbright.

Tata, jęcząc i klnąc, próbował wstać z podłogi.

Mama podniosła plecak przetrwania i wcisnęła go Leni do rąk.

– Szybko. Uciekajmy.

Wybiegli z chaty na słoneczne podwórze i popędzili do pikapa Matthew.

– Wsiadajcie! – zawołał do nich, a sam pobiegł do ciężarówki taty, podniósł maskę i coś stamtąd wyjął.

Drzwi chaty skrzypnęły, tata wytoczył się na werandę.

Leni usłyszała trzask odciąganego kurka.

– Coro, do cholery! – Krew z rozciętego czoła zalewała tacie oczy. – Gdzie jesteś?! – wrzasnął, celując do nich z broni.

– Wsiadajcie! – krzyknął Matthew, ciskając jakiś mały przedmiot między drzewa. Przy świście kul Leni wskoczyła do kabiny, mama wcisnęła się tuż za nią. Matthew wrzucił bieg i nacisnął na pedał gazu. Pikap zabuksował w wysokiej trawie,

wreszcie koła złapały przyczepność. Chwilę później wyjechali z podjazdu i pędzili po głównej drodze.

Skręcili do bramy Dużej Marge i przejechali przez cały podjazd, trąbiąc klaksonem.

– Zadbaj o jej bezpieczeństwo i nie pozwól zbliżać się do mnie – zwróciła się mama do Matthew, który w odpowiedzi skinął głową.

Leni utkwiła wzrok w mamie. Całe ich życie i cała miłość odbijały się w tym spojrzeniu.

– Nie wracaj do niego – poprosiła. – Wezwij policję. Złóż skargę. Spotkamy się za dwadzieścia cztery godziny. A potem uciekniemy. Obiecujesz?

Mama pokiwała głową, uściskała ją mocno, scałowała z jej twarzy łzy.

– Jedź już – ponagliła ją stanowczo, wysiadając z pikapa.

Odjechali, a Leni, cicho szlochając, myślała o tym, co się wydarzyło. Każdy oddech sprawiał ból, najchętniej zawróciłaby, została z mamą. Czy popełniła błąd, rozdzielając się z nią?

Matthew skręcił do bramy Walkerów, przejechał pod powitalnym łukiem.

– Nie możemy tutaj zostać! Będzie mnie tu szukał! – panikowała Leni. – Mama kazała nam zniknąć przynajmniej na dobę.

Zgasił silnik. Wysiadł.

– Wiem. Niestety jest odpływ. Nie możemy użyć ani łodzi, ani hydroplanu. Znam tylko jedno miejsce, gdzie możemy się ukryć. Poczekaj tutaj.

Pięć minut później wrócił z plecakiem. Rzucił go na skrzynię pikapa.

Leni cały czas oglądała się nerwowo na podjazd Walkerów.

– Nie bój się. On najpierw musi znaleźć kopułkę rozdzielacza zapłonu – uspokoił ją Matthew.

Wyjechali z powrotem na główną drogę i po jakimś czasie skręcili w lewo, w stronę gór.

Zakręty. Serpentyny. Przeprawa przez rzekę. Ciągle jechali pod górę.

Wreszcie dotarli na leśny parking. Matthew zatrzymał pikapa. Byli tutaj sami. Przed wejściem na szlak wisiała tablica informacyjna.

OBSZAR CHRONIONEGO KRAJOBRAZU
NIEDŹWIEDZI PAZUR

DOZWOLONE: piesze wycieczki, obozowanie, wspinaczka
DŁUGOŚĆ SZLAKU: 2,8 mili
STOPIEŃ TRUDNOŚCI: zaawansowany. Strome zbocza
RÓŻNICA POZIOMÓW: 2600 stóp
MIEJSCE BIWAKOWE: Sawtooth Ridge, przy oznakowanej ścieżce Eagle Creek.

Matthew pomógł Leni wysiąść, a potem przyklęknął i zawiązał porządnie sznurowadła przy jej traperkach.

– Jak się czujesz?

– A jeżeli on…

– Uciekła. Duża Marge ją obroni. Chciała, żebyś była bezpieczna.

– Wiem. Chodźmy – odpowiedziała drętwo.

– Czeka nas długa wędrówka. Dasz radę?

Kiwnęła głową.

Weszli na szlak, Matthew prowadził, Leni szła za nim, starając się dotrzymać mu kroku.

Droga pod górę zajęła kilka godzin, nigdzie nie natknęli się na ludzi. Szlak ciągnął się wzdłuż klifu z litego granitu. Daleko w dole woda napierała na skały. Ziemia drżała przy każdym uderzeniu fal, a może Leni tylko się tak wydawało, bo czuła się

tutaj niepewnie. Miała wrażenie, że stąpa po chwiejnym gruncie.

Wreszcie Matthew doprowadził ją do miejsca, którego szukał. Zatrzymali się na dużej łące porośniętej trawą i fioletowym łubinem. Na szczytach gór połyskiwał śnieg, poniżej na warstwach granitowych skał przemieszczały się białe punkty – owce jukońskie.

Matthew rzucił plecak na ziemię, odwrócił się do Leni i podał jej kanapkę z wędzonym łososiem oraz puszkę ciepławej coli. Zajęła się jedzeniem, a on w tym czasie rozłożył dwuosobowy namiot w wysokiej trawie.

Później usiedli przed namiotem z odwiniętymi pomarańczowymi klapami przy strzelającym iskrami ognisku. Matthew otoczył ją ramieniem, a ona oparła się o niego.

– Wiesz, nie musisz samotnie bronić mamy – zaczął. – Zaopiekujemy się wami obiema. Tak zawsze dzieje się w Kaneq.

Oby to była prawda. Pragnęła wierzyć, że jest takie miejsce, gdzie będą z mamą bezpieczne, zaczną nowe życie i nie będą go budować na zgliszczach po jakiejś strasznej tragedii. A przede wszystkim nie chciała już dłużej samotnie odpowiadać za jej bezpieczeństwo.

Odwróciła się twarzą do Matthew. Kochała go mocno i rozpaczliwie, ta miłość była dla niej jak tlen dla tonącego.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też – wyszeptał.

Tu w bezkresie Alaski te słowa wydawały się nieważkie, nieskończenie małe.

Jak drobna piąstka wygrażająca bogom.

21

Miał obowiązek jej strzec. Leni była jego Gwiazdą Polarną. Wiedział, że to głupio brzmiało, infantylnie i romantycznie, ludzie powiedzieliby, że jest za młody, aby rozumieć takie rzeczy, lecz to nie była prawda. Po stracie mamy szybko dojrzał.

Nie potrafił uratować mamy, obronić jej przed śmiercią.

Teraz był silniejszy.

Przez całą noc trzymał Leni w objęciach, kochał się z nią, wyczuwał każde drgnienie, kiedy dręczył ją zły sen, słuchał szlochu. Wiedział, czym są koszmary związane z matką.

Dopiero nad ranem, gdy brzask sączył się przez pomarańczowy tropik namiotu, wypuścił ją z ramion i uśmiechnął się, słysząc ciche posapywanie. Ubrał się we wczorajsze rzeczy, nałożył buty turystyczne i wyszedł przed namiot.

Szare chmury wisiały nisko nad szlakiem. Od morza wiała lekka bryza, ale to był koniec sierpnia. Liście przez noc zdążyły się przebarwić. Oboje wiedzieli, co to znaczy. Tu, wysoko, pogoda szybko się zmieniała.

Ułożył ognisko na wczorajszych zwęglonych resztkach drewna. Usiadł na kamieniu i zapatrzył się w ogień. Nasilający się wiatr ożywiał płomienie.

Teraz, siedząc samotnie, zmagał się z wątpliwościami, czy na pewno słusznie postąpił, zabierając tu Leni, i czy Cora powinna zostać w Kaneq. Bał się, że obejrzy się za siebie i zobaczy na

ścieżce Ernta ze strzelbą w jednej ręce i z butelką whiskey w drugiej.

Najbardziej jednak bał się o Leni, bo nawet jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem i ona uratuje siebie i matkę, w jej sercu już na zawsze pozostanie blizna. Nieważne, w jakich okolicznościach straciło się któreś z rodziców, jaki beznadziejny czy wspaniały ten rodzic był, dzieckiem jest się do końca życia. On tęsknił za matką taką, jaką miał. Leni pewnie będzie tęsknić za ojcem, jakiego chciała mieć.

Ustawił w żarze dzbanek do kawy.

Usłyszał za sobą chrobot rozsuwanego zamka. Leni odgięła klapy i wyszła z namiotu. Kiedy zaplatała włosy, pierwsza kropla deszczu spadła jej na powiekę.

– Hej! – przywitał ją, podając kawę. Kolejna kropla stoczyła się po metalowym kubku.

Objęła kubek dłońmi, usiadła obok Matthew, oparta o niego. Następna kropla odbiła się od dzbanka i z sykiem zmieniła w parę.

– Wspaniale – mruknęła. – Lada moment lunie.

– Na Glacier Ridge jest jaskinia.

Spojrzała na niego.

– Nie mogę tutaj tkwić bez końca.

– Ale twoja mama mówiła…

– Boję się – wyznała cicho.

Słyszał wahanie w jej głosie, domyślał się, że ona o coś go pyta, że targają nią wątpliwości.

Rozumiał ją.

Ona z kolei nie była pewna, co chciałaby usłyszeć, czy miała rację.

– Myślisz, że powinnam po nią wrócić?

– Nie zawodzi się ludzi, których kochamy.

Widział w jej oczach ulgę i miłość.

– Być może nic nie wyjdzie z moich studiów. Wiesz, że tak może się to skończyć? Kto wie, czy nie będziemy musiały uciekać. Ukrywać się gdzieś, gdzie on nie będzie nas szukać.

– Pojadę za tobą – obiecał. – Gdziekolwiek będziesz.

Wypuściła rwący się oddech.

– Wiesz, co najbardziej w tobie kocham?

– Co?

Uklękła przed nim na mokrej trawie, ujęła jego twarz w zimne dłonie i pocałowała w smakujące kawą usta.

– Wszystko.

Co więcej można powiedzieć? Widział, że była rozkojarzona, że myśli o mamie nie dawały jej spokoju, kiedy ze łzami w oczach myła zęby i zwijała śpiwór. Widział, że decyzja o powrocie sprawiła jej ulgę.

Uratuje ją.

Na pewno. Znajdzie sposób. Zwróci się do policji, do prasy albo do swojego ojca. A może sam zajmie się Erntem. Tyrani to tchórze, łatwo ich przestraszyć. To musi się udać.

Odseparują je obie od Ernta, Cora i Leni będą mogły zacząć nowe życie. Leni wyjedzie z nim na studia. Może nie do Anchorage. Może w ogóle wyniosą się z Alaski. Co za problem? Najważniejsze, żeby byli razem.

Gdzieś tam znajdą miejsce na nowy początek.

Zjedli śniadanie, zwinęli namiot i ruszyli w powrotną drogę. Zdążyli ujść jakieś pięćdziesiąt stóp, gdy burza rozpętała się na dobre. Szlak w tym miejscu był bardzo wąski, musieli iść jedno za drugim.

– Trzymaj się blisko! – ostrzegł ją, przekrzykując szum deszczu i wycie wiatru. Jego kurtka wydawała dźwięk podobny do tasowania kart. Strugi wody przeklejały mu włosy do twarzy, zalewały oczy. Sięgnął za siebie, wziął Leni za rękę. Wilgotna od deszczu wysunęła mu się z dłoni.

Woda zbierała się na trakcie, skały robiły się śliskie. Po ich lewej stronie łodygi wierzbówki leżały przygięte do ziemi wiatrem i deszczem.

Niebo pociemniało, nad szlakiem zawisła mgła. Musiał wytężać wzrok, żeby widzieć drogę.

Deszcz bębnił o kaptur, spływał po twarzy, sączył się za kołnierz kurtki. Krople wody drżały na rzęsach.

Coś usłyszał.

Jakby krzyk.

Odwrócił się. Leni za nim nie było. Cofnął się, nawołując ją. Zwieszająca się gałąź smagnęła go po twarzy. Mocno. I wtedy ją dostrzegł. Była jakieś dwadzieścia stóp od niego, niepotrzebnie zboczyła na prawo. To był błąd.

W tej samej chwili Leni pośliznęła się i zaczęła się staczać ze zbocza.

Krzycząc rozpaczliwie, próbowała złapać równowagę, machała rękami, szukając czegoś, czego mogłaby się uchwycić.

Niestety.

– Leniii! – wrzasnął.

Runęła w dół.

Ból.

Ocknęła się w czarnej czeluści. Leżała rozciągnięta w błocie. Każdy, najmniejszy nawet ruch sprawiał ból. Słyszała odgłos kapiącej wody. To deszcz uderzał o skałę. Czuła zaduch zgnilizny i padliny.

Kłuło ją w klatce; na pewno miała pęknięte żebro. I chyba złamaną lewą rękę. Złamaną albo wybitą z barku.

Leżała na plecaku przetrwania. Być może dzięki niemu przeżyła.

Co za ironia.

Nie zważając na przeszywający ból, zsunęła szelki z ramion. Uwalnianie się od plecaka zajęło całe wieki. Kiedy wreszcie się oswobodziła, jakiś czas leżała z rozrzuconymi ramionami i nogami. Z trudem oddychała, mdliło ją.

Rusz się, Leni.

Zaciskając zęby, po wielu próbach zsunęła się z plecaka, wpadając głębiej w śliskie błoto.

Obolała, tłumiąc szloch i łapczywie chwytając powietrze, uniosła głowę, rozejrzała się wokół siebie.

Ciemno. Zapach zgnilizny i pleśni. Błoto i mokre, oślizłe skały. Ile czasu leżała nieprzytomna?

Pełznąc, przesuwała się cal po calu, przyciskając do boku złamaną rękę. Walcząc z bólem, czołgała się do plamy światła na granitowym występie wyrzeźbionym przez czas i wodę na podobieństwo spodka.

Zwymiotowała z bólu, ale pełzła dalej.

Usłyszała wołanie.

Podciągnęła się na granitową półkę, zadarła głowę. Oczy zalał deszcz. Jak przez mgłę wysoko nad sobą zobaczyła czerwoną kurtkę.

– Leniii!

– Tutaj! – Ból w piersi zdławił krzyk. Pomachała zdrową ręką, świadoma, że on nie mógł tego widzieć. Otwór w szczelinie nie był szerszy od wanny. Lały się tamtędy strugi wody, ich szum odbijał się echem od skalnych ścian.

– Sprowadź pomoc! – krzyknęła najgłośniej, jak mogła.

Matthew wychylony nad krawędzią próbował uchwycić się drzewa, które chyba tylko dzięki woli przetrwania rosło w szczelinie między skałami.

On zamierzał po nią zejść.

– Nie! – krzyknęła.

Spuścił jedną nogę poza skalny występ i pochylony rozglądał się za podpórką dla stopy. Zastygł na moment, zapewne oceniając szanse.

Dobrze. Nie rób tego. To zbyt niebezpieczne. Leni wytarła oczy zalewane deszczem.

Znalazł podparcie i opuścił się w szczelinę uczepiony granitowej skały. Wisiał tak przez dłuższy czas jak czerwono-niebieskie X na szarym tle. Wreszcie oderwał lewą rękę, pochwycił gałąź, pociągnął, sprawdził, czy się nie złamie. Trzymając się jej, przeniósł stopę na podparcie nieco niżej.

Wtem Leni usłyszała rumor spadających kamieni; to, co się działo, przypominało przerażający film puszczany w zwolnionym tempie.

Drzewo oderwało się od skały.

Matthew ciągle trzymał się konaru. Obijając się o ściany, runął wraz z nim w dół z krzykiem, który zagłuszył łomot lawiny kamieni, odłamków skał, błota i deszczu.

Leni wcisnęła głowę w ramiona, nakryła twarz dłońmi, chroniąc ją przed gradem skalnych odłamków. Jeden z nich rozciął jej policzek.

– Matthew. Matthew!

Zobaczyła jeszcze staczający się z góry głaz. Za późno. Nie zdążyła osłonić głowy.

Leni z mamą pływają po Tutka Bay kajakiem, który tata wyciągnął z wysypiska. Mama streszcza jej swój ulubiony film *Bujność dzikich traw*, historię nieszczęśliwej młodzieńczej miłości. „Widać, że Warren jest zakochany w Natalie, ale to za mało”.

Leni słucha jej piąte przez dziesiąte. Słowa nie mają znaczenia. Liczy się chwila. Zrobiły sobie z mamą wagary, żyją inaczej niż zazwyczaj, nie przejmują się nawałem obowiązków, które czekają na nie w chacie.

Mama mówi, że taki pogodny, słoneczny dzień nazywa się „dniem drozda", chociaż ona na tle błękitnego nieba widzi przelatującego nad ich głowami bielika o skrzydłach rozpiętych na sześć stóp. Powarkują na niego foki, które wygrzewają się w pobliżu na czarnych skałach wystających z wody. Rozkrzyczane mewy na wszelki wypadek trzymają się w bezpiecznej odległości. Różowa psia obróżka połyskuje wysoko na gałęzi tuż obok orlego gniazda.

Motorówka, przepływając obok, wznieca fale na spokojnej wodzie.

Turyści machają do nich, podnoszą aparaty fotograficzne.

– Jakby nigdy wcześniej nie widzieli kajaka – komentuje mama i bierze do ręki wiosło. – Lepiej już wracajmy do domu.

– Nie chcę, żeby to się skończyło – protestuje żałośnie Leni.

Mama uśmiecha się jakoś obco. Jest coś dziwnego w tym uśmiechu.

– Musisz mu pomóc, córciu. Pomóc sobie.

Nagle kajak mocno się przechyla. Butelki, termosy, torba z jedzeniem, wszystko wpada do wody.

Mama z krzykiem wskakuje do wody, znika pod powierzchnią. Teraz kajak kołysze się spokojnie.

Leni wychyla się za burtę.

– Mamo! – krzyczy przerażona, wpatrując się w toń.

Z głębi wynurza się ostra jak nóż czarna płetwa. Cały czas rośnie. Jest już prawie wzrostu Leni. To oceaniczna orka.

Płetwa zasłania słońce, w jednej chwili pogodny dzień zmienia się w czarną noc.

Leni słyszy szurgot ciała orki o wodę, plusk, gdy wypływa na powierzchnię, szum strumieni wody tryskających z nozdrzy. Czuje zapach rozkładających się ryb.

Uniosła powieki, każdy oddech przychodził z wysiłkiem. Głowę rozsadzał ból, w ustach miała smak krwi.

Rzeczywiście otaczały ją mrok i smród zgnilizny.

Spojrzała w górę. Matthew, zaklinowany w szczelinie pomiędzy dwoma skalnymi blokami, wisiał z nogami nad jej głową, zablokowany własnym plecakiem.

– Matthew? Matthew?

Nie reagował.

(Może nie mógł. Może nie żył).

Coś kapnęło jej na twarz. Otarła policzek. Poczuła smak krwi.

Spróbowała się podciągnąć. Przeszył ją gwałtowny ból, szarpnęły nią torsje, zemdlała. Gdy się ocknęła, przez smród wymiocin na kurtce o mało znowu nie zwymiotowała.

Myśl. Ratuj go. Była Alaskanką. Do cholery, przecież umiała walczyć o życie. Właściwie tylko to potrafiła. Jedyna rzecz, jakiej nauczył ją ojciec.

– To tylko wyrwa w skałach, Matthew. Nie gawra niedźwiedzia. Nie jest źle. – Żaden niedźwiedź brunatny nie będzie tutaj szukał miejsca na nocleg. Przesuwając się cal po calu, wodziła dłońmi po wilgotnych, śliskich ścianach. Nigdzie nie znalazła otworu.

Doczołgała się z powrotem do skalnego spodka, zadarła głowę, popatrzyła na Matthew.

– Czyli jedyna droga to ta w górę.

Strużka krwi spływała po nodze Matthew i kapała na głaz obok niej.

Dźwignęła się z ziemi.

– Blokujesz wyjście. Muszę cię uwolnić. Wyciągnąć jakoś ten plecak. – Wielki tobół przyciskał Matthew do ściany. – Jeżeli mi

się to uda, spadniesz na dół.

Upadek na ziemię. Kiepski pomysł, ale nic lepszego nie przychodziło jej do głowy.

No dobrze.

Tylko jak.

Unieruchomiła chorą rękę, wsuwając dłoń pod pasek od spodni, i ostrożnie ześliznęła się ze „spodka” w grząskie błoto. Ostry ból przeszył jej pierś. Zakrztusiła się oddechem. Wygrzebała z plecaka nóż. Z rękojeścią w zębach podczołgała się pod nogi Matthew.

Teraz pozostało już tylko się wspiąć i go odciąć.

Ale jak? Nie sięgała nawet do jego stóp.

Musi się wspiąć. Z jedną zdrową ręką po śliskiej ścianie?

Głazy.

Znalazła kilka płaskich skał, dopchała je do ściany, ustawiła jedne na drugich. Trwało to całe wieki, chyba w tym czasie ze dwa razy zemdlała.

Kiedy wreszcie stopień wysoki na półtorej stopy był gotowy, wzięła głęboki oddech i stanęła na nim.

Pod jej ciężarem jedna ze skał wysunęła się z sterty.

Upadła, uderzając o coś chorym ramieniem. Krzyknęła z bólu.

Próbowała jeszcze czterokrotnie, za każdym razem spadając w błoto. Nierówne skały wyślizgiwały się ze sterty.

– No tak. – Może powinna była to przewidzieć.

Przesuwając się wzdłuż ścian, próbowała namacać jakiś występ, wgłębienie, gzyms. Odrobina światła przeciskała się po bokach Matthew. Poszukała w plecaku latarki czołowej, nałożyła ją na głowę. Teraz zobaczyła występy, wyżłobienia i wąskie półki.

Namacała mały gzyms, postawiła na nim stopę, a gdy złapała równowagę, znalazła następny.

Znowu runęła na ziemię i przez chwilę leżąc ogłuszona, patrzyła w górę, na Matthew.

– Dobrze. Jeszcze raz.

Przy kolejnych próbach starała się zapamiętać nowe wypukłości na ścianie szczeliny. Za szóstym razem udało jej się wspiąć na tyle wysoko, aby przytrzymać się jego plecaka. Lewa noga Matthew wyglądała tragicznie: miał otwarte złamanie, zdartą skórę i stopę niemal przekręconą do tyłu.

Zwisał bezwładnie z opuszczoną głową, jego twarz wymazana krwią przypominała maskę.

Nie mogła rozpoznać, czy oddycha.

– Matthew, jestem przy tobie. Trzymaj się – przemawiała do niego. – Zaraz cię uwolnię. – Wciągnęła głęboko powietrze w płuca.

Przepiłowała nożem szelki plecaka i poprzeczny pasek na brzuchu. Długo walczyła jedną, zdrową ręką, ale w końcu się udało.

Nic się nie wydarzyło.

Przecięła wszystkie trzy paski, a Matthew nawet nie drgnął.

Z całej siły pociągnęła go za zdrową nogę.

Nic.

Szarpnęła jeszcze raz i tracąc równowagę, zleciała na błoto i skały.

– Coo? – krzyknęła w prześwit nad głową. – Jak to?

Szczęk metalu. Coś zadzwoniło o skały.

Matthew runął w dół, odbił się od ściany i upadł bezwładnie w błoto obok Leni.

Podciągnęła się do niego, położyła jego głowę na swoich kolanach, ubłoconą ręką otarła mu krew z twarzy.

– Matthew? Matthew?

Wciągnął świszczący oddech. Kaszlnął. Leni z radości o mało nie wybuchnęła płaczem.

Wyłączyła czołową lampkę, przeciągnęła Matthew po błocie do skalnego spodka. Z wielkim wysiłkiem wtargała ciało lejące się przez ręce na wklęsły kamień.

– Jestem tutaj – powiedziała, siadając obok. Nie czuła, że płacze, dopóki łzy nie skapnęły na jego umazaną błotem twarz. – Kocham cię, Matthew – przemawiała do niego. – Wyjdziemy z tego. Ty i ja. Zobaczysz. My… – zająknęła się. Chciała mówić, potrzebowała tego, jednak słowa zagłuszała myśl, że on znalazł się tutaj przez nią. To jej wina. Spadł, próbując ją ratować.

Od głośnego krzyku rozbolało ją gardło, ale tam, na górze, nie było nikogo, kto mógłby ją usłyszeć. Nie miał im kto pomóc. Przecież nikt nie wiedział, że poszli na szlak, że wpadli w szczelinę.

Ona wpadła.

On ruszył jej na ratunek.

Utknęli tutaj. Poranieni. Krwawiący. Przytuleni do siebie na zimnej płaskiej skale.

Myśl.

Matthew leżał oparty o nią. Jego zakrwawiona, opuchnięta twarz była ledwo rozpoznawalna. Płat skóry zdarty z policzka wisiał jak psie ucho, odsłaniając biało-czerwoną kość.

Znowu zaczęło padać. Deszcz ściekał po ścianach i zmieniał błoto w bajorko. Wokół nich wszędzie płynęła woda: ciurkała w załomach skał, pluskała, kapała, zbierała się w kałuże. W słabym świetle dnia sączącym się przez otwór zobaczyła, że krew Matthew robi się różowa.

Pomóż mu. Pomóż nam.

Przeczołgała się nad nim, ześliznęła ze skały i poszukała w plecaku brezentowej pałatki. Z wielkim wysiłkiem jedną sprawną ręką podczepiła ją i podwinęła w coś w rodzaju rynny, z której mogła nazbierać wody do dwóch dużych termosów.

Kiedy jeden się napełnił, podstawiła drugi i wróciła do Matthew.

Uniosła mu głowę, wlała łyk wody do ust. Przełknął spazmatycznie, zakrztusił się, zakaszlał. Odstawiła termos, przyjrzała się jego lewej nodze. Wyglądała jak monstrualny hamburger ze sterczącym ze środka odłamkiem kości.

Wróciła do plecaka, wyciągnęła wszystko, co mogło się przydać. Apteczka była dobrze zaopatrzona. Znalazła sprej odkażająco-znieczulający, aspirynę, kompresy gazowe. Wyciągnęła pasek ze spodni.

– To nie będzie przyjemne. A może powiem ci wiersz? Uwielbialiśmy Roberta Service'a, pamiętasz? Jako dzieciaki znaliśmy mnóstwo jego wierszy na pamięć.

Owinęła pasek wokół jego uda i zacisnęła. Matthew jęknął i drgnął konwulsyjnie. Świadoma, jak bardzo musi cierpieć, z płaczem dociągnęła pasek jeszcze mocniej i wtedy on stracił przytomność.

Obłożyła ranę gazowymi kompresami i podpaskami. Zabezpieczyła opatrunek taśmą izolacyjną.

A potem, na ile to było możliwe z pękniętym żebrem i ze złamaną ręką, przytuliła do siebie.

Proszę, nie umieraj.

Może nic nie czuł. A może marzł tak samo jak ona. Obojgu mokre ubrania lepiły się do ciała.

Musiała jakoś dać mu znać, że jest przy nim.

Wiersze. Pochyliła się nad nim.

– *Czy poznałeś Wielką Samotność, kiedy księżyc oślepiał swym blaskiem…* – szeptała ochrypłym, słabym głosem, szczękając zębami.

Słyszy coś. Pomieszane dźwięki bez znaczenia, rozsypane głoski.

Próbuje się poruszyć. Nie może.

Jest bezwładny. Skóra piecze jak poparzona.

Ból. Potworny. Pęka mu głowa, noga płonie.

Jeszcze raz stara się poruszyć. Z gardła wyrywa mu się jęk. Nie może pozbierać myśli.

Gdzie jest?

Cały jest bólem. Ból. Ciemność. Samotność.

Nie.

Jest ona.

Co to wszystko znaczy?

MatthewMatthewMatthew.

Słyszy ten głos. Znajomy. Zna go. Ale nie wie, do kogo należy.

Wszystko przesłania ból. Rozsadza czaszkę, nie pozwala myśleć. Smród wymiocin, zgnilizny i rozkładu. Palą go płuca i nos. Z trudem chwyta powietrze.

Zaczyna śledzić ból, rozróżnia niuanse: rozpycha mu czaszkę, pulsuje, zaciska obręczą. W nodze jest ostry, szarpiący, na zmianę pali i mrozi.

– Matthew.

Głos. (Jej). Jak promień słońca na twarzy.

– Jestem tutaj. Jestem tutaj.

Nie rozumie.

Jestem tutaj. Opowiemciinnąhistorię. MożeoSamieMcGee.

Dotyk.

Męczarnie. On chyba krzyczy.

A może to wszystko tylko się wydaje…

Umiera. Życie z niego wycieka. Nawet ból zniknął.

Jest niczym. Mokrym, zziębniętym strzępem w wyziewach moczu i wymiocin. Krzyczy. Oddech mu się rwie, kaszląc, łapie hausty powietrza.

Okropny smród. Pleśń, błoto, zgnilizna, mocz, wymiociny. Obłazi go robactwo, brzęczy mu w uszach.

Tylko ona trzyma go przy życiu.

Cały czas coś mówi. Znane rymy i słowa, które jakby mają sens. Słyszy jej oddech. Wie, kiedy ona przysypia i kiedy się budzi. Podaje mu wodę, wlewa do ust.

Krwawi. Teraz krew leci mu z nosa. Usta wypełnia lepki śluz.

Ona siąpi.

Nie. Nie to słowo.

Płacze.

Stara się trzymać, lecz wszystko się mąci i szybko znika. Odpływa kolejny raz.

– KochamcięMatthewnieopuszczajmnie.

Traci przytomność. Walczy, przegrywa, z powrotem osuwa się w cuchnącą ciemność.

22

Po dwóch potwornie zimnych dobach Matthew pierwszy raz się poruszył. Nie ocknął się, nie otworzył oczu, tylko jęknął i wciągnął oddech z takim poświstem, jakby się dusił.

Miała nad sobą trapez błękitu. Nareszcie przestało padać. Teraz widziała na ścianach wszystkie rysy, wypukłości i występy.

Matthew płonął. Zmusiła go do przełknięcia paru aspiryn, wylała resztę płynu odkażająco-znieczulającego na ranę i zmieniła opatrunek, mocując go taśmą.

Patrzyła bezradnie, jak uchodzi z niego życie.

– Nie opuszczaj mnie, Matthew… – Nie było go w tym pokiereszowanym ciele obok niej.

Stłumiony hurkot łopat helikoptera odbił się od ścian ich pułapki.

Wysunęła się spod Matthew.

– Tutaj, tutaj! – krzyknęła, brnąc w błocie do otworu z trapezem nieba.

Przywarła do granitowej ściany.

– Tutaj! Na dole! – krzyczała, wymachując zdrową ręką.

Doszło ją szczekanie psów, gwar głosów.

Prześliznął się po niej snop światła z latarki.

– To ty, Lenoro Allbright?! – zawołał mężczyzna w brązowym mundurze.

– Lenoro, najpierw wyciągniemy ciebie – zdecydował jakiś głos. Nie wiedziała, do kogo należał, nie widziała twarzy, patrzyła pod słońce.

– Nie! Matthew pierwszy. On jest… w gorszym stanie.

Zanim się obejrzała, sunęła w górę po litej ścianie w metalowej klatce, zabezpieczona pasami. Klatka łomotała o skały, każde takie uderzenie odbijało się bólem w piersi promieniującym do ręki.

Klatka z łoskotem wylądowała na ziemi. Leni oślepiło słońce. Stało nad nią trzech umundurowanych mężczyzn, psy szczekały zajadle. Niósł się ostry dźwięk gwizdka.

Zamknęła oczy. Czuła, że przenoszą ją ścieżką na trawiastą polankę, słyszała nad sobą terkot łopat śmigłowca.

– Chcę poczekać na Matthew! – krzyknęła rozpaczliwie.

– Proszę się nie martwić. – Mundurowy pochylił się nad nią, z bliska jego nos wyglądał jak pieczarka rozpłaszczona na środku twarzy. – Odtransportujemy ciebie, dziewczyno, śmigłowcem do szpitala w Anchorage.

– Matthew – wyszeptała, zdrową ręką chwytając mężczyznę za kołnierz i przyciągając do siebie.

Nie umknął jej wyraz jego twarzy.

– Chłopak? Jest za tobą. Już go mamy.

Ani słowem nie wspomniał, w jakim jest stanie.

Powoli uniosła powieki. Zobaczyła nad sobą rząd jarzeniówek, pas światła na suficie z dźwiękochłonnych płyt. W pomieszczeniu obstawionym bukietami kwiatów i balonikami unosił się słodkawy zapach. Ciasno obandażowane żebra utrudniały oddychanie. Ręka w gipsie leżała nieruchomo. Niebo za oknem było w odcieniu fioletu.

– Moja córcia – odezwała się mama. Lewą połowę twarzy miała opuchniętą, a na czole granatowe sińce. Pogniecione brudne ubranie i zaniedbany wygląd wymownie świadczyły o jej stanie. Pocałowała Leni w czoło i delikatnie odgarnęła jej włosy z oczu.

– Żyjesz. – Leni odetchnęła z ulgą.

– Żyję. To o ciebie się martwiliśmy.

– Jak oni nas znaleźli?

– Wszędzie was szukaliśmy. Odchodziłam od zmysłów. Wszyscy byliśmy bliscy załamania. Tom w końcu przypomniał sobie o takim miejscu, gdzie jego żona lubiła biwakować. Poszedł się rozejrzeć i znalazł pikapa. Ludzie z ekipy ratowniczej natrafili na połamane gałęzie na Szlaku Niedźwiedziego Pazura, w miejscu, gdzie spadliście. Dzięki Bogu.

– Matthew próbował mnie uratować.

– Wiem. Powiedziałaś to ratownikom przynajmniej z dziesięć razy.

– Co z nim?

Mama położyła dłoń na jej poranionym policzku.

– Jest źle. Nie wiedzą, czy przeżyje tę noc.

Len podciągnęła się i usiadła. Każdy oddech, najmniejszy ruch sprawiały jej ból. W zasinionej dłoni tkwił wenflon zabezpieczony plastrem w cielistym kolorze. Wyszarpnęła go i odrzuciła

– Co ty robisz? – Zdenerwowała się mama. – Masz dwa pęknięte żebra.

– Muszę go zobaczyć.

– Jest środek nocy.

– Nieważne. – Opuściła posiniaczone, podrapane nogi poza krawędź łóżka i wstała. Mama podtrzymała ją i razem przeszły powoli przez salę.

Mama odgięła zasłonę w przeszklonych drzwiach, wyjrzała przez szybę i skinęła głową. Gdy wymknęły się na korytarz, cicho zamknęła drzwi. Leni przesuwała się za nią w szpitalnych skarpetkach. Każdy mały krok sprawiał jej ból. Dotarły korytarzem na oddział intensywnej opieki medycznej w jasno oświetlonej strefie z dużą ilością aparatury.

– Poczekaj – szepnęła mama i poszła przodem, zaglądając do kolejnych pomieszczeń. W końcu przystanęła przed wejściem po prawej stronie i gestem ręki przywołała Leni.

Na drzwiach za mamą wisiała podkładka z klipsem. MATTHEW WALKER, przeczytała Leni na zafoliowanej kartce.

– To może być dla ciebie szok – ostrzegła ją mama. – Bardzo źle wygląda.

Leni nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Całe pomieszczenie było obstawione aparatami. Buczały, syczały, szumiały, wydawały dźwięki podobne do oddechu.

Chłopak na łóżku w ogóle nie przypominał Matthew. Ogoloną głowę spowijał bandaż. Białe opatrunki na twarzy przesiąkły czymś różowym. Jedno oko osłaniał ochronny kapturek, drugie było mocno spuchnięte. Noga uniesiona na skórzanej podwieszce mniej więcej osiemnaście cali nad łóżkiem była gruba jak pień drzewa. Spod bandaży wystawały jedynie obrzmiałe, fioletowe paluchy. Rurka we wpół otwartych ustach była podłączona do maszyny, która sprawiała, że jego pierś unosiła się i opadała. Oddychała za niego.

Leni położyła rękę na jego suchej gorącej dłoni.

Był, dla niej trzymał się życia, bo ją kochał.

Nachyliła się nad nim.

– Matthew, nie zostawiaj mnie. Błagam. Kocham cię – wyszeptała.

Nic więcej nie przychodziło jej do głowy.

Stała nad nim tak długo, na ile pozwalało osłabienie, licząc, że on czuje jej dotyk, słyszy oddech, rozumie jej słowa. Wreszcie mama odciągnęła ją od łóżka.

– Bez dyskusji – ucięła stanowczo, odprowadziła ją do sali i pomogła się położyć.

– Gdzie tata? – Leni odważyła się w końcu zapytać.

– W areszcie, Marge i Tom się tym zajęli. – Wysiliła się na uśmiech.

– I bardzo dobrze – skwitowała Leni. Widziała, jak mama wzdrygnęła się po tej odpowiedzi.

Rano budziła się jak z letargu. Dopiero po chwili błogiej amnezji rzeczywistość przedarła się do świadomości. Jej wzrok zatrzymał się na mamie skulonej w fotelu przy drzwiach.

– Co z nim? – spytała.

– Przetrwał noc.

Zanim do Leni dotarło znaczenie tych słów, usłyszały pukanie.

Mama obejrzała się na drzwi. Stanął w nich wyczerpany i zgaszony Tom Walker. Wyglądał bardzo mizernie.

– Dzień dobry, Leni. – Ściągnął z głowy bejsbolówkę i nerwowo miął ją w dłoniach. Na moment zatrzymał wzrok na mamie, doszło między nimi do czegoś w rodzaju wymiany znaczących spojrzeń, po czym szybko z powrotem skupił się na Leni.

– Przyjechała tutaj Duża Marge z Thelmą i Ticą. A Clyde czuwa nad waszymi zwierzętami.

– Dziękuję – powiedziała mama.

– Jak Matthew? – Leni spróbowała usiąść i syknęła z bólu, czując ukłucie w piersi.

– Jest w śpiączce farmakologicznej. Doszło do urazu czaszkowo-mózgowego. Grozi mu paraliż. Mają niedługo go wybudzać. Chcą sprawdzić, czy może samodzielnie oddychać, ale jeszcze się wahają.

– Podejrzewają, że może umrzeć, jak go odłączą?

Pan Walker pokiwał głową.

– Myślę, że chciałby, abyś przy nim była.

– Oj, Tomie – wtrąciła się mama. – Sama nie wiem. Ona jest cierpiąca. To może pogorszyć jej stan.

– Nie wolno chować głowy w piasek, mamo – upomniała ją Leni, spuszczając nogi z łóżka.

Walker pomógł jej wstać, podtrzymał ją pod ramię.

– To wszystko stało się przeze mnie – powiedziała, podnosząc na niego oczy. – Próbował mnie uratować. To moja wina.

– Leni, on nie mógł postąpić inaczej. Nie po tym, co stało się z jego mamą. Znam swojego syna. Ratowałby ciebie, nawet gdyby z góry wiedział, jaką cenę za to zapłaci.

Te słowa wcale nie przyniosły jej ulgi, chociaż bardzo tego chciała.

– On ciebie kocha, Leni. Dobrze, że zdążył to odkryć.

To zabrzmiało tak, jakby Matthew już nie żył.

Walker wyprowadził ją z sali i razem ruszyli korytarzem. Mama podążyła za nimi. Od czasu do czasu wyciągała rękę i opuszkami palców muskała Leni po karku.

Weszli do pokoju Matthew. Alyeska już tam była, stała oparta plecami o ścianę.

– Cześć, Len – przywitała ją.

Len.

Nazywała ją tak jak Matthew.

Uściskały się. Mało się znały, ale ta tragedia stworzyła między nimi coś w rodzaju rodzinnych więzów.

– Ratowałby ciebie bez względu na wszystko. On taki jest, ten mój brat.

Wzruszenie ścisnęło Leni za gardło.

Do pokoju wszedł zespół medyczny z jakimś aparatem na wózku. Prowadził mężczyzna w białym fartuchu, za nim podążały dwie pielęgniarki w pomarańczowych uniformach z sali zabiegowej.

– Proszę się odsunąć – zwrócił się lekarz do mamy i Leni. – Tata niech zostanie przy pacjencie.

Leni cofnęła się, przywierając plecami do ściany. Stała blisko Alyeski, ale zdawał się dzielić je ocean: na jednym brzegu siostra, która go kochała, na drugim dziewczyna, przez którą znalazł się w krytycznym stanie. Alyeska poszukała jej dłoni i kurczowo ścisnęła.

Lekarz wraz z pielęgniarkami przystąpili do działania. Wymieniali uwagi, notowali coś, kiwając głową, sprawdzali na aparatach zapisy parametrów życiowych.

– Gotowy? – spytał lekarz.

Pan Walker pochylił się nad Matthew, wyszeptał do niego coś, czego Leni nie usłyszała, i pocałował w obandażowane czoło. Gdy odstąpił od łóżka, miał łzy w oczach. Odwrócił się do lekarza i skinął głową.

Z ust Matthew wyciągnięto powoli rurkę intubacyjną.

Odezwał się alarm.

– No, dalej, Matthew – szepnęła Alyeska. – Dasz radę. – Oderwała się od ściany i pociągając za sobą Leni, zbliżyła się do łóżka.

– Jesteś twardym dzieciakiem. Walcz – zawtórował córce pan Walker.

Alarm nie przestawał pikać.

Pielęgniarki wymieniły znaczące spojrzenia.

Leni, chociaż powinna milczeć, nie potrafiła się powstrzymać:

– Nie opuszczaj nas, Matthew… proszę…

Pan Walker popatrzył na nią z rozpaczą.

Matthew, zachłystując się, wciągnął haust powietrza.

Alarm umilkł.

– Oddycha samodzielnie – oznajmił lekarz.

Wrócił, pomyślała z ulgą Leni i ze szczęścia pokój zawirował jej przed oczami. Wyjdzie z tego.

– Dzięki Bogu – powiedział z westchnieniem pan Walker.

– Byłbym ostrożny co do rokowań – odezwał się lekarz i w pokoju zaległa cisza. – Matthew, nawet samodzielnie oddychając, może pozostać w stanie wegetatywnym. A jeżeli się wybudzi, może mieć poważnie upośledzone zdolności poznawcze. Oddychanie wcale nie gwarantuje powrotu do normalnego funkcjonowania.

– Proszę tak nie mówić – poprosiła Leni słabym szeptem. – On może pana słyszeć.

– Dojdzie do siebie – mruknęła stanowczo Aly. – Obudzi się, uśmiechnie i powie, że chce mu się jeść. On zawsze jest głodny. A potem poprosi o którąś ze swoich książek.

– On jest wojownikiem – dorzucił pan Walker.

Leni więcej się nie odezwała. Euforia, którą poczuła po tamtym oddechu, już ją opuściła. To było jak jazda kolejką górską. W jednej chwili radość, w drugiej strach i lot pionowo w dół.

– Dzisiaj cię wypisują – przypomniała jej mama, kiedy leżała, gapiąc się w telewizor zawieszony w sali na ścianie. Leciał

któryś z odcinków serialu *M*A*S*H*. Wcisnęła guzik na pilocie. Całe lata marzyła o oglądaniu telewizji. Teraz jej nie zależało.

Nie obchodziło jej nic poza Matthew. Nie potrafiła nazwać przeżywanych emocji.

– Nie chcę stąd wychodzić.

– Wiem – powiedziała mama ze zrozumieniem, gładząc ją po głowie. – Ale nie mogą nas tu trzymać.

– Dokąd pojedziemy?

– Do domu. Ale nie przejmuj się. Tata siedzi w areszcie.

Dom.

Cztery dni wcześniej, kiedy tkwili z Matthew uwięzieni w szczelinie, wbrew wszelkiej logice żyła nadzieją, że pomoc nadejdzie, zanim on umrze jej na rękach, i wszystko dobrze się skończy. Matthew wyzdrowieje, pójdą razem na studia, mama pojedzie z nimi do Anchorage, wynajmie mieszkanie i może będzie serwować drinki w barze Chilkoot Charlie's, zbierając hojne napiwki. Dwa dni temu, gdy patrzyła, jak z Matthew wyciągają rurkę intubacyjną, i zobaczyła, że samodzielnie oddycha, znowu wstąpiła w nią nadzieja, która roztrzaskała się przy słowach: „Może pozostać w stanie wegetatywnym".

Musiała zmierzyć się z prawdą.

Nie pójdą na studia, nie czeka ich nowy początek. Nie będą parą zwykłych zakochanych nastolatków.

Nie miała prawa dłużej się okłamywać, marzyć o szczęśliwym zakończeniu. Mogła jedynie trwać przy Matthew i nadal go kochać.

Nie zawodzi się ludzi, których kochamy. Tak powiedział i ona będzie się tego trzymać.

– Mogę zobaczyć Matthew, zanim stąd wyjdę?

– W nogę wdała się infekcja. Nawet Toma do niego nie wpuszczają. Ale przyjedziemy go odwiedzić tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Dobrze.

Apatycznie szykowała się do powrotu do domu.

Nie czuła zupełnie nic.

Z ręką w gipsie przyciśniętą do ciała szła z mamą korytarzem, powłócząc nogami, i skinieniem głowy odpowiadała na pozdrowienia pielęgniarek.

Czy się do nich uśmiechała? Chyba nie. Nie stać jej było na najmniejszy nawet wysiłek. Nigdy wcześniej nie czuła takiej rozpaczy. Przygniatała ją, dławiła, zasnuwała wszystko całunem szarej mgły.

W poczekalni natknęły się na pana Walkera. Przechadzał się nerwowo po korytarzu, popijając kawę ze styropianowego kubka. Alyeska siedziała na krześle pochylona nad czasopismem. Oboje przywitali je wymuszonym uśmiechem.

– Tak mi strasznie przykro – zwróciła się do nich Leni.

Pan Walker zatrzymał się przed nią i ujął ją za podbródek, zmuszając, aby spojrzała w górę.

– My, Alaskanie, jesteśmy twardzi, zgadza się? Nasz chłopak się z tego wygrzebie. Będzie dobrze. Zobaczysz.

Czy to nie Alaska omal go nie zabiła? Jak to możliwe, że to miejsce, takie piękne, bywa zarazem takie okrutne?

Nie, to nie wina Alaski. To ona, Leni, jest wszystkiemu winna. Stała się drugim błędem Matthew.

Alyeska podeszła do ojca.

– Leni, nie przekreślaj go. On jest twardy. Przetrwał śmierć mamy. I z tego też wyjdzie.

– Skąd będę wiedziała, jak on się czuje?

– Będę podawał informacje przez radio na kanale Peninsula Pipeline. W wiadomościach o siódmej wieczorem. Słuchaj ich – uspokoił ją Walker. – Zabierzemy go do domu, gdy tylko jego stan na to pozwoli. Przy nas szybciej do siebie dojdzie.

Drętwo pokiwała głową.

Mama zaprowadziła ją do ciężarówki i pomogła wsiąść do szoferki.

Przez całą długą drogę do domu mamie nie zamykały się usta. Wyraźnie się denerwowała. Zwróciła uwagę na niski poziom wody w przesmyku Turnagain Arm, skomentowała liczbę samochodów zaparkowanych przed Bird House Tavern w środku dnia, podziwiała tłum wędkarzy na brzegu Russian River (stali ramię w ramię, brali udział w zawodach wędkarskich). Kiedyś Leni bardzo lubiła jeździć tą trasą. Wypatrywała wysoko na zboczach ruchomych białych punkcików – owiec jukońskich, szukała w przesmyku nieco upiornych białuch arktycznych, które czasami tam podpływały.

Dzisiaj siedziała milcząca, ze zdrową ręką na kolanach.

W Kaneq zjechały z promu, przetoczyły się z klekotem po rampie z blachy falistej, przejechały obok rosyjskiego kościoła. Kiedy mijały pub, Leni odwróciła wzrok, ale i tak zdążyła zobaczyć wywieszkę z napisem: NIECZYNNE oraz kwiaty leżące przed wejściem. Poza tym wszystko wyglądało tak samo. Z bitej drogi skręciły na ich podjazd i wjechały na działkę przez otwartą bramę. Mama zatrzymała ciężarówkę przed chatą, wysiadła, obeszła szoferkę i otworzyła drzwi po stronie pasażera.

Leni zsunęła się z fotela i wsparta na mamie przeszła po wysokiej trawie do wejścia.

Kozy zbite w gromadkę od strony zagrody dla kur przywitały je głośnym pobekiwaniem.

Miękkie sierpniowe światło sączyło się do chaty przez zakurzone szyby.

W środku panował idealny porządek. Na podłodze nie było odłamków szkła czy postrącanych latarni, nie leżały wywrócone krzesła. Nie było śladu po tym, co wcześniej się tu wydarzyło.

Leni wciągnęła w nozdrza przyjemny zapach pieczonego mięsa. Ułamek sekundy później z sypialni wyłonił się tata.

Mama głośno zaczerpnęła tchu.

Leni nie poczuła nic, nawet zaskoczenia.

Stał przed nimi. Długie włosy, zebrane w wijący się kucyk, odsłaniały posiniaczoną, nieco zdeformowaną twarz. Jedno oko miał podbite. Był w tym samym ubraniu, w którym Leni po raz ostatni go widziała. Szyję znaczyły ślady z zaschniętej krwi.

– Wyp-puścili cię – wyjąkała mama.

– Nie wniosłaś oskarżenia – odpowiedział.

Oblała się rumieńcem. Nie spojrzała na Leni.

Tata zbliżył się do niej.

– Nie zrobiłaś tego, bo mnie kochasz i wiesz, że nie zrobiłem tego naumyślnie. Wiesz, jak paskudnie się z tym czuję. Więcej to się nie powtórzy – obiecał, wyciągając do niej ręce.

Leni nie wiedziała, czy to strach, miłość, czy przyzwyczajenie, a może toksyczna kombinacja tych wszystkich emocji pchnęły mamę w jego ramiona. Splotła blade palce z jego brudnymi paluchami.

Objął ją i trzymał kurczowo, jakby bronił ich przed jakąś niewidzialną siłą, która miałaby ich rozdzielić.

– Podobno umiera. Przykro mi – zwrócił się do Leni, kiedy wreszcie oswobodził mamę z uścisku.

Przykro mi.

Te słowa nią wstrząsnęły, radykalnie odmieniły jej nastawienie. To było jak wiosenny przełom, gwałtowna zmiana krajobrazu. Już się nie bała tego człowieka. A może przestała zauważać ukryty gdzieś głęboko strach. Czuła jedynie nienawiść.

– Leni? – Nachmurzył się. – Przykro mi. Powiedz coś.

Widziała, jak podziałało na niego jej milczenie, jak podkopało jego pewność siebie. W takim razie, postanowiła, więcej do ojca

się nie odezwie. Niech mama wraca do niego, tkwi uwikłana w toksycznym węźle ich rodziny. Ona nie zostanie tutaj ani chwili dłużej, niż to konieczne. Niech tylko Matthew dojdzie do siebie. Skoro mamie odpowiada takie życie, proszę bardzo. Ona ma go dość.

Niech tylko Matthew dojdzie do siebie.

– Leni? – odezwała się mama niepewnym tonem. Ją też zbiła z tropu i przestraszyła zmiana w jej zachowaniu. Wyczuwała bunt, który mógł zachwiać fundamentami ich życia.

Przeszła obok rodziców, z wysiłkiem wspięła się po drabinie na stryszek i wyciągnęła na łóżku.

Kochany Matthew!

Nigdy dotąd nie czułam takiego smutku, uginam się pod jego ciężarem, on oblepia mnie jak stary mokry sweter. Każda minuta bez wiadomości od Ciebie, bez szansy na wiadomość, ciągnie się jak dzień, a każdy dzień wydłuża się do miesiąca. Pragnę wierzyć, że któregoś dnia usiądziesz i powiesz, że chce Ci się jeść, spuścisz nogi z łóżka, ubierzesz się i przyjdziesz po mnie. Może zawieziesz mnie do Waszego domku myśliwskiego, gdzie zagrzebani w futra znowu będziemy się kochać. To mój cudny sen. O dziwo, on nie boli tak bardzo, jak to małe marzenie o tym, że otwierasz oczy.

Wiem, że ponoszę winę za wszystko, co się stało. Zbliżając się do mnie, zrujnowałeś sobie życie. Nie da się temu zaprzeczyć. Ja z moją okaleczoną psychicznie rodziną, z ojcem, który chciał Cię zabić za to, że mnie kochasz, i skatował matkę, bo o tym wiedziała.

Moja nienawiść do niego wypala mi trzewia jak żrąca trucizna. Ilekroć na niego spojrzę, coś we mnie twardnieje.

Przeraża mnie, że można kogoś aż tak nienawidzić. Od powrotu do domu nie odezwałam się do niego słowem.

Widzę, że to go drażni.

Szczerze mówiąc, nie wiem, jak sobie radzić z targającymi mną uczuciami. Jestem wściekła, zrozpaczona, przygniata mnie smutek, o jakiego istnieniu dotąd nie miałam pojęcia.

Nie znajduję ujścia dla tych emocji. Duszę je w sobie. Każdego dnia o siódmej wieczorem słucham radia. Wczoraj Twój tata podał wiadomość o Twoim stanie. Wiem, że się wybudziłeś i że nie jesteś sparaliżowany. A więc jest nadzieja, chociaż bardzo nikła. Nie chodzisz, nie mówisz, podobno w Twoim mózgu zaszły nieodwracalne zmiany. Tak przynajmniej twierdzą pielęgniarki.

Nic nie zmieni tego, co czuję. Kocham Cię.

Jestem. Czekam. Chcę, żebyś o tym wiedział. Będę czekać na Ciebie choćby całą wieczność.

Leni

Siedziała pochylona na dziobie skifu i ciągnąc palcami po wodzie, obserwowała tworzące się zmarszczki i wirki. Gips na tle brudnych dżinsów wyglądał na śnieżnobiały. Pęknięte żebra przypominały o sobie przy każdym oddechu.

Rodzice cicho rozmawiali. Mama zamknęła lodówkę turystyczną pełną srebrzystych ryb, ojciec uruchomił silnik.

Łódka z zadartym dziobem ruszyła ślizgiem po wodzie.

Na plaży zaszurała dnem o kamyki i piach z odgłosem podobnym do kiełbasy skwierczącej na gorącej patelni. Leni przełożyła nogi za burtę i brodząc po kostki w wodzie, chwyciła linę zdrową ręką i wyciągnęła skif na brzeg. Przywiązała go do

ciężkiego pnia wyrzuconego przez morze i wróciła po ociekający wodą podbierak z metalowej siatki.

– Mama sporo złapała – zagadnął ją ojciec. – Dzisiaj chyba to jej najlepiej poszło.

Nie odpowiedziała. Zarzuciła torbę na ramię, wspięła się po schodkach i powoli przeszła przez polanę.

Zrzuciła torbę na trawę i skierowała się do zagrody dla zwierząt. Sprawdziła, czy mają wodę w poidłach, nakarmiła kury, podrzuciła siana kozom, przemieszała pryzmę kompostu. Na koniec naniosła wody z rzeki. Z ręką w gipsie wszystkie prace zabierały dużo więcej czasu. Starała się jak najdłużej pozostać na dworze, w końcu jednak musiała wejść do domu.

Mama w kuchni szykowała kolację. Na patelni skwierczał świeżo złowiony łosoś na własnoręcznie zrobionym ziołowym maśle, fasolka szparagowa smażyła się na smalcu wytopionym z łosia, czekała gotowa surówka ze świeżo zerwanej sałaty wymieszanej z pomidorami.

Leni rozstawiła talerze i usiadła przy stole.

Tata zajął miejsce naprzeciwko niej. Nie podniosła oczu. Wystarczył szurgot nóg krzesła na podłodze i skrzypnięcie siedziska. Poczuła znajomą kombinację zapachu potu, ryb i nikotyny.

– Pomyślałem, że moglibyśmy się jutro wybrać do Bear Cove na jagody. Wiem, jak bardzo je lubisz.

Nie spojrzała na niego.

Mama wniosła metalowy półmisek z usmażoną na chrupko rybą, obłożoną soczyście zieloną fasolką. Zawahała się na moment, zanim postawiła półmisek obok puszki po zupie z polnymi kwiatami.

– Twoje ulubione – zwróciła się do Leni.

– Uhm.

– Cholera jasna, Leni. – Tata nie wytrzymał. – Jak długo będziemy znosić te twoje humory. Skończ z tym. Dzieciak zleciał. Co się stało, to się nie odstanie.

Puściła mimo uszu jego tyradę.

– Odezwij się, powiedz coś.

– Leni – wtrąciła mama. – Proszę.

Ojciec poderwał się od stołu i wybiegł na dwór, trzaskając drzwiami.

Mama opadła na krzesło. Leni widziała jej zrezygnowaną minę, trzęsące się ręce.

– Musisz z tym skończyć, Leni. To go denerwuje.

– I co z tego?

– Leni… Niedługo wyjedziesz. On teraz nie będzie się sprzeciwiał. Fatalnie się czuje po tym, co się stało. Dopniemy swego, sprawimy, że zgodzi się na studia. Możesz wyjechać. Tak jak chciałaś. Musisz tylko…

– Nie! – wyrwało jej się ostrzej, niż zamierzała. Widziała, jak mama instynktownie się skuliła.

Powinna poczuć wyrzuty sumienia, bo ją przestraszyła, a jednak nie potrafiła wykrzesać w sobie współczucia. To mama wybrała doszukiwanie się skarbu w brudzie toksycznej miłości taty. Nie ona. Już nie.

Widziała, jak działa na ojca jej przedłużające się milczenie, jak go denerwuje. Z każdą godziną stawał się coraz bardziej pobudliwy i zły. Bardziej niebezpieczny. Nie robiło to na niej wrażenia.

– On cię kocha – zapewniła ją mama.

– Ha.

– Igrasz z ogniem, Leni. Dobrze wiesz.

Nie mogła powiedzieć mamie o targającym nią gniewie, o tych wpijających się w nią drobnych ostrych zębach, które za każdym razem, gdy spojrzała na ojca, wyszarpywały kawałek

jej istoty. Wstała od stołu i poszła na górę napisać list do Matthew, odsuwając od siebie obraz mamy siedzącej samotnie przy stole.

Kochany Matthew!

Staram się żyć nadzieją, a przecież mnie znasz i wiesz, jak trudno mi to zawsze przychodziło. Nie widziałam Cię cztery dni, a wydaje się, że minęły wieki.

To zabawne, ale kiedy nadzieja stała się taka złudna i krucha, zdałam sobie sprawę, że przez całe dzieciństwo, gdy sądziłam, że nic dobrego mnie nie czeka, to właśnie ona podtrzymywała mnie na duchu. Mama karmiła mnie opowieściami o tym, jak bardzo tata się stara, a ja rzucałam się na nie jak terier na smaczne kąski. Bezgranicznie jej wierzyłam. Kiedy on uśmiechnął się do mnie, podarował mi sweter czy zapytał, jak minął dzień, myślałam: „Aha, troszczy się o mnie". Nawet gdy po raz pierwszy zobaczyłam, jak uderzył mamę, pozwalałam jej dalej stwarzać przede mną pozory.

Ale to się skończyło.

Może on jest chory. Może Wietnam go złamał. A może to tylko próby usprawiedliwiania człowieka, który gnije od środka.

Już mnie to nie obchodzi, nawet nie chcę tego wiedzieć.

Dla mnie on jest stracony. W Tobie jest cała moja nadzieja i w tym, że kiedyś będziemy razem.

Jestem, czekam.

23

Kierownik Działu Rekrutacji
Uniwersytet Stanu Alaska, Anchorage

Szanowny Panie,
z przykrością informuję, że nie będę w stanie uczestniczyć w zajęciach na uniwersytecie w tym kwartale.
Jednocześnie pragnę zapewnić, że z radością podejmę studia w kwartale zimowym, o ile pozwolą na to okoliczności.
Pozostaję dozgonnie wdzięczna za akceptację mojej aplikacji i liczę, że jakiś inny szczęśliwy kandydat zajmie moje miejsce.
Z poważaniem,

Lenora Allbright

We wrześniu zimny, porywisty wiatr szalał na półwyspie. Ciemności systematycznie i bezwzględnie pochłaniały ziemię. Krótka alaskańska jesień skończyła się jeszcze przed nadejściem października. Dzień w dzień o siódmej wieczorem Leni siadała z uchem przy radiu i nasłuchując pośród szumów i trzasków głosu pana Walkera, czekała na wiadomości o Matthew.

Mijały tygodnie, a poprawy nie było.

W listopadzie zaczął sypać śnieg, z początku tylko wirował lekki jak gęsi puch. Błotnistą ziemię ściął mróz. Twarda jak granit wkrótce zniknęła pod warstwą bieli. To był swego rodzaju nowy początek, piękny kamuflaż tego, co leżało ukryte pod spodem.

Matthew nadal nie był sobą.

W lodowaty wieczór po pierwszym w tym sezonie sztormie Leni w egipskich ciemnościach dokończyła prace gospodarskie i wróciła do chaty. Nie zwracając najmniejszej uwagi na rodziców, podeszła prosto do kozy, wyciągając ręce do buchających ciepłem blach. Ostrożnie poruszyła palcami lewej dłoni. Chociaż ręka nadal była osłabiona i nie do końca sprawna, po zdjęciu gipsu odczuła dużą ulgę.

Odwracając się, spojrzała na swoje odbicie w szybie. Zobaczyła bladą, wymizerowaną twarz ze szpiczastym podbródkiem. Po wypadku wychudła i rzadko miała ochotę na kąpiel. Rozpacz odebrała jej apetyt i sen, zacisnęła żołądek. Marnie wyglądała. Chodziła wycieńczona i wyczerpana z workami pod oczami.

Dokładnie o osiemnastej pięćdziesiąt pięć włączyła radio.

Usłyszała w głośniku spokojny głos pana Walkera:

– Do Leni Allbright z Kaneq: Przenosimy Matthew do szpitala opieki długoterminowej w Homer. Możesz go odwiedzić we wtorek po południu. Szpital nazywa się Peninsula Rehabilitation Center.

– Jadę go zobaczyć – oznajmiła.

Tata przestał ostrzyć nóż ulu.

– Wybij to sobie z głowy.

Leni nawet na niego nie spojrzała.

– Mamo, powiedz mu, że jeżeli chce mnie zatrzymać, najpierw musi mnie zastrzelić.

Usłyszała, jak matka głośno wciąga oddech.

Mijały sekundy. Leni wyczuwała gniew i wahanie ojca. Toczył wewnętrzną walkę. Najchętniej wybuchnąłby, narzucił swoją wolę, coś stłukł, ale wiedział, że ona nie ustąpi.

Cisnął imbrykiem przez pokój, mruknął coś, czego obie nie zrozumiały, zaklął, wyrzucając ramiona w górę, i zerwał się od stołu.

– Jedź – warknął. – Jedź go zobaczyć, ale dopiero jak skończysz robotę. A ty… – Dźgnął mamę palcem w pierś. – Ona pojedzie sama. Zrozumiałaś?

– Zrozumiałam – odpowiedziała.

Nareszcie nadszedł wtorek.

– Ernt – przypomniała mama po lunchu. – Leni musi się dostać do miasta.

– Powiedz jej, żeby wzięła stary skuter śnieżny, a nie przypadkiem ten nowy. I ma wrócić przed kolacją. – Spojrzał na Leni. – Mówię poważnie. Żebym czasem nie musiał cię szukać. – Gniewnym ruchem ściągnął żelazne pułapki z haka na ścianie i wyszedł na dwór, trzasnąwszy drzwiami.

Mama podeszła do Leni, nerwowo zerkając za siebie. Wcisnęła jej do ręki dwie złożone kartki.

– Listy. Do Thelmy i Marge.

Leni schowała je i kiwnęła głową.

– Leni, nie zrób jakiegoś głupstwa. Wróć przed kolacją. On w każdej chwili może znowu zamknąć bramę. Trzyma ją otwartą, bo mu głupio po tym, co zrobił, i stara się uważać.

– Nie obchodzi mnie to.

– A mnie tak i weź to pod uwagę.

– Dobra. – Poczuła wstyd, okazała się taką egoistką.

Na zewnątrz zgięta wpół brnęła po śniegu pod wiatr.

Kiedy nakarmiła zwierzęta, uruchomiła skuter i wskoczyła na siodełko.

W mieście zaparkowała przy wejściu do portu. Czekała na nią taksówka wodna. Mama zamówiła ją przez krótkofalówkę. Zbyt wysokie fale w zatoce nie pozwalały na użycie skifu.

Zarzuciła plecak na ramię i przeszła po śliskim pomoście.

Kapitan taksówki wodnej pomachał do niej na przywitanie. Wiedziała, że nie weźmie od niej pieniędzy. Uwielbiał żurawinowy sos mamy. Rok w rok dostawał od niej ponad dwadzieścia słoików. Tak tutaj wszyscy załatwiali sprawy – podstawą była wymiana.

Leni wręczyła mu słoik z żurawiną i weszła na pokład. Zajęła miejsce na ławeczce na rufie i patrząc na miasto na palach wzniesione nad mokradłami, obiecała sobie nie spodziewać się zbyt wiele po dzisiejszym dniu. Wiedziała, w jakim Matthew jest stanie. Uszkodzenie mózgu; te wielokrotnie słyszane słowa zapadły głęboko w jej świadomość.

A jednak w nocy, kiedy zasnęła po napisaniu listu do Matthew, przyśniło jej się, że z Matthew, tak jak ze Śpiącej Królewny, można zdjąć czar pocałunkiem. Wyjdzie za niego i być może jej miłość go obudzi.

Po czterdziestominutowej przeprawie przez wzburzoną Kachemak Bay taksówka dobiła do przystani i Leni zeskoczyła na pomost. W ten mroźny zimowy dzień linię brzegową Spitu spowijała mgła. Turystów nie było, po nabrzeżu kręciło się niewielu ludzi. Większość punktów handlowych i barów została po sezonie zamknięta.

Zboczyła z głównej drogi i idąc pod górę, skierowała się do centrum Homer. Powiedziano jej, że ma się rozglądać za domem z niezdjętą dekoracją na Dzień Niepodległości i różową

łódką na podwórku. Gdyby go minęła, zaszłaby za daleko i trafiła do Wardell.

Szpital znajdował się na obrzeżach miasta, na zalesionej działce ze żwirowym podjazdem.

Przystanęła na jego końcu. Ogromny bielik przycupnięty na słupie telefonicznym obserwował ją z góry jarzącymi się w mroku żółtymi ślepiami.

Przemogła się i weszła do środka. Skierowała się prosto do dyżurki i zgodnie z instrukcją pielęgniarki podeszła pod ostatnie drzwi na końcu korytarza.

Przystając na moment, wyrównała oddech i nacisnęła klamkę.

Pan Walker stał przy łóżku. Odwrócił się na odgłos otwieranych drzwi. Bardzo się zmienił w tych ostatnich miesiącach: sweter i spodnie na nim wisiały, a broda, którą zapuścił, była poprzetykana siwymi włosami.

– Witaj, Leni.

– Dzień dobry – odpowiedziała ze wzrokiem utkwionym w łóżko.

Matthew leżał zabezpieczony pasami. Ogoloną głowę obejmowało coś w rodzaju metalowej klatki. Wystające z niej śruby ginęły w czaszce. Wychudzony, wyglądał mizernie i staro. Przypominał ptaka oskubanego z piór. Pierwszy raz widziała jego twarz bez bandaży. Na policzkach przecinały się czerwone blizny po zdjętych szwach. Gruby fałd skóry ściągał kącik oka w dół. Nos był spłaszczony.

Leżał bez ruchu z otwartymi oczami i rozchylonymi ustami. Po wypukłej dolnej wardze ściekała nitka śliny.

Leni podeszła do łóżka, stanęła przy panu Walkerze.

– Myślałam, że już jest lepiej.

– Jest. Czasem jestem gotów przysiąc, że patrzy prosto na mnie.

– Cz-cześć, Matthew. – Pochyliła się nad nim.

Jęknął, krzyknął coś niewyraźnie. Cofnęła się, słysząc w jego głosie gniew.

Pan Walker położył jej dłoń na jego ramieniu.

– To jest Leni, synku. Znasz Leni.

Z gardła Matthew wydarł się rozpaczliwy okrzyk. Przypominał ściskający za serce skowyt zwierzęcia w pułapce. Prawe oko dziwnie poruszyło się w oczodole.

– Cooo.

Leni patrzyła na niego zrozpaczona. Wcale nie było lepiej. Ten jęczący, zawodzący strzęp człowieka to nie Matthew.

– Baaaa… – stęknął, naprężając ciało. Ohydny smród wypełnił izolatkę.

Pan Walker wziął Leni pod ramię i wyprowadził ją na korytarz.

– Susannah – zwrócił się do pielęgniarki. – Trzeba zmienić pampers.

Mało brakowało, a Leni osunęłaby się na podłogę, gdyby Walker w porę jej nie podtrzymał. Zaprowadził ją do poczekalni z automatem z napojami i posadził na krześle.

Usiadł obok niej.

– Nie bój się tych krzyków. Tak jest przez cały czas. Lekarze twierdzą, że to nieświadome odruchy, ale ja myślę, że on cierpi z bezsilności. Jest gdzieś… tam. Zbolały. Dobija mnie, że nie mogę mu pomóc.

– Mogłabym za niego wyjść, opiekować się nim – zaproponowała. W marzeniach widziała, jak jej starania i miłość przywracają go do zdrowia.

– To naprawdę szlachetne, Leni, i świadczy o tym, że Matthew pokochał właściwą osobę, ale kto wie, czy on kiedykolwiek podniesie się z łóżka i będzie w stanie powiedzieć tak.

– Przecież się zdarza, że chorzy ludzie, tacy, którzy nie mogą mówić, albo nawet umierają, biorą ślub, prawda?

– Ale nie z osiemnastoletnimi dziewczynami, które mają całe życie przed sobą. Co u twojej mamy? Podobno przyjęła Ernta z powrotem.

– Zawsze tak jest. Oni przyciągają się jak magnesy.

– Martwimy się o was.

– Taak… – Westchnęła. I co z tego przyjdzie? Tylko mama może to zmienić, ale ona nie chce.

Po tym westchnieniu zawisła między nimi cisza. Pan Walker sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd płaską paczuszkę zawiniętą w gazetę. Na ukos biegł napis zrobiony czerwonym flamastrem: LENI, WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI URODZIN!

– Alyeska znalazła to w pokoju Matthew. Zapewne kupił dla ciebie, zanim…

– Och… – Na nic więcej się nie zdobyła. Przez tragiczne wydarzenia tego roku zapomniała o urodzinach. Wzięła paczuszkę do ręki i zapatrzyła się na nią zamyślona.

Pielęgniarka wyszła z izolatki. Przez otwarte drzwi Leni usłyszała krzyki Matthew.

– Uszkodzenie mózgu… Jest źle, dziewczyno. Nie będę cię okłamywał. Słyszałem, że zrezygnowałaś ze studiów. Szkoda.

Schowała prezent do kieszeni parki.

– Nie mogłam inaczej. Oboje mieliśmy pójść do college’u.

– On chciałby, żebyś studiowała. Wiesz, że tak.

– W tej chwili nie wiemy, czego on chce, prawda?

Podniosła się z krzesła i wróciła do izolatki. Matthew leżał sztywno wyprostowany z zaciśniętymi dłońmi. Śruby i blizny upodobniały go do Frankensteina. Zdrowe, pozbawione wyrazu oko patrzyło w przestrzeń.

Nachyliła się i wzięła go za rękę. Bezwładna zdawała się ważyć tonę. Przycisnęła usta do wierzchu dłoni.

– Kocham cię.

Nie dostrzegła żadnej reakcji.

– Nigdzie nie wyjadę – obiecała zdławionym głosem. – Zawsze tutaj będę. Teraz ja, Matthew, zejdę po ciebie. Tak jak ty zszedłeś po mnie. Pamiętasz? Uratowałeś mnie. Jestem przy tobie, kocham cię. Mam tylko nadzieję, że mnie słyszysz.

Czuwała przy nim kilka godzin. Od czasu do czasu rzucał się i jęczał. Dwa razy zapłakał. W końcu wyproszono ją z izolatki, bo nadszedł czas kąpieli.

Dopiero gdy zawołała taksówkę wodną i siedząc w łodzi opryskiwana kropelkami rozpylonej wody, słuchała łomotu kadłuba o grzywy fal, tknęło ją, że zapomniała pożegnać się z panem Walkerem. Opuściła szpital pogrążona w niewesołych myślach i wlokła się noga za nogą przez miasto, mijając po drodze mężczyznę przed szopą oklejoną taśmą izolacyjną, grupkę dzieci grających w piłkę na szkolnym boisku, starą autochtonkę spacerującą z dwoma psami husky i gęsią na smyczy.

Myślała, że wydobyła się już z najgłębszej rozpaczy, że wylała wszystkie łzy, a tymczasem zobaczyła przed sobą cały ocean być może nigdy niekończącego się smutku. Ludzkie ciało w osiemdziesięciu procentach składa się z wody; w jej przypadku, z łez.

Kiedy w Kaneq wysiadła z taksówki, sypnął śnieg. Miast wypełniało przytłumione buczenie potężnego generatora. Płatki śniegu wirowały jak mąka w żółtawym świetle nowych latarni Walkera. Leni nie czuła zimna. Po drodze zaszła do sklepu wielobranżowego.

Brzęknął dzwonek nad drzwiami. Było zaledwie wpół do piątej, praktycznie jeszcze dzień, ale mrok zapadał błyskawicznie.

Duża Marge stała w sięgającej ud zamszowej kamizelce z frędzlami, spod której wystawały ocieplane spodnie. Jej włosy, tu i ówdzie przycięte do skóry, wyglądały jak przyklejone do czaszki. Zapewne chwyciła za nożyczki, nie mając pod ręką lustra.

– Leni! Co za niespodzianka! – przywitała ją swoim tubalnym głosem, którym z powodzeniem mogłaby poderwać ptaki z drzew. – Brakuje mi mojej najlepszej pracownicy!

Leni widziała współczucie malujące się w jej ciemnych oczach. Zamierzała powiedzieć: byłam u Matthew, a tymczasem ku swemu przerażeniu uderzyła w płacz.

Duża Marge zaprowadziła ją za ladę, posadziła na staromodnej sofce i podała chusteczkę.

– Widziałam Matthew – powiedziała Leni, zapadając się w sobie.

Duża Marge usiadła obok niej. Kanapa zaprotestowała stęknięciem.

– Byłam w Anchorage w zeszłym tygodniu. Smutny widok. Tom i Aly odchodzą od zmysłów. Ile nieszczęść może spaść na jedną rodzinę?

– Wydawało mi się, że jest z nim lepiej, skoro przenieśli go do szpitala rehabilitacyjnego. Myślałam… – Westchnęła. – Sama nie wiem, co myślałam.

– Z tego, co słyszałam, nastąpiła poprawa, na ile to było możliwe. Biedny dzieciak.

– Próbował mnie uratować.

Duża Marge zamilkła. Leni w tym czasie zastanawiała się, czy jedna osoba może naprawdę uratować inną, czy raczej każdy powinien sam zadbać o swoje bezpieczeństwo.

– Co u mamy? Nadal nie mogę uwierzyć, że dopuściła do powrotu Ernta.

– Tak. Policja ma związane ręce, dopóki ona czegoś nie zrobi. – Cóż więcej mogła powiedzieć? Wiedziała, że ktoś taki jak Duża Marge absolutnie nie jest w stanie zrozumieć, czemu taka kobieta jak Cora tkwi przy kimś takim jak Ernt. To powinno być tak proste jak podstawowe równanie: ciosy dodać połamane kości równa się odejście.

– Oboje z Tomem zaklinaliśmy twoją mamę, żeby wniosła oskarżenie. Chyba jednak za bardzo się boi.

– To coś więcej niż tylko strach. – Leni chciała jeszcze coś dodać, ale w tej samej chwili żołądek podszedł jej do gardła. Zbierało jej się na wymioty.

– Przepraszam – powiedziała, gdy mdłości nieco ustąpiły. – Ostatnio okropnie się czuję. Chyba przez te zmartwienia łapie mnie jakaś choroba.

Duża Marge przez dłuższy czas siedziała zamyślona, po czym podniosła się z kanapy.

– Poczekaj tutaj.

Leni chwilę ostrożnie oddychała. Po chwili również wstała i podeszła do regałów, po drodze uderzając się boleśnie o jedną z wiszących na ścianie żelaznych pułapek na zwierzęta.

Stanął jej przed oczami Matthew. Słyszała jego krzyk, widziała tamto wytrzeszczone oko. Trzeba zmienić pampers.

Jej wina. To wszystko jej wina.

Duża Marge wyłoniła się z zaplecza, wysypana trocinami podłoga zachrzęściła pod gumowcami.

– Coś mi się zdaje, że to ci się przyda. Zawsze mam jedną sztukę pod ręką.

Na jej otwartej dłoni leżało płaskie pudełeczko.

Pod Leni ugięły się nogi.

W ciemnościach wcześnie zapadającej nocy, pod usianym gwiazdami aksamitnie granatowym niebem Leni wracała z wygódki do chaty. Światło księżyca kładło się na śniegu srebrzystą poświatą. To był jeden z tych alaskańskich wieczorów, kiedy świat wyglądał baśniowo.

W chacie zamknęła drzwi na zasuwkę i przystanęła przy kartonie z czapkami i rękawicami oraz wiszącymi rzędem puchowymi kurtkami, grubymi swetrami i deszczowcami. Nic nie czuła, nie myślała, nie była w stanie zrobić kroku.

Dotąd, do tej chwili, gdyby ktoś ją zapytał, jaki jest jej ulubiony kolor, powiedziałaby, że niebieski (przeszła jej przez głowę taka absurdalna myśl). Błękit. Kolor poranka, zmierzchu, lodowców i rzek, Kachemak Bay, oczu mamy.

Teraz niebieski stał się symbolem zrujnowanego życia.

Nie miała pojęcia, co robić. Nie istniało dobre rozwiązanie. Była na tyle mądra, aby to wiedzieć.

I głupia, żeby znaleźć się w tej sytuacji.

– Leni?

W głosie mamy pobrzmiewało zatroskanie, ale jakie to miało znaczenie? Leni czuła, że coraz bardziej się od siebie oddalały. Pewnie dlatego, że dzieliło je tyle przemilczeń i ukrywanych prawd.

– Jak Matthew? – Mama pomogła Leni zdjąć kurtkę, powiesiła ją na haku i zaprowadziła córkę do kanapy. Żadna z nich jednak nie usiadła.

– Nie jest sobą – wyznała Leni. – Nie odzyskał świadomości, nie mówi, nie chodzi. Nie spojrzał na mnie, często krzyczał.

– Przynajmniej nie jest sparaliżowany. To już coś, prawda?

Leni też tak myślała. Do tej pory. Co z tego, że się porusza, skoro nie ma świadomości, nie widzi, nie mówi? Być może los obszedłby się z nim łaskawiej, pozwalając mu zgasnąć.

Ale los nigdy nie był łaskawy, szczególnie dla dzieciaków takich jak oni.

– Wiem, że myślisz o tym jak o końcu świata, ale jesteś jeszcze bardzo młoda. Znowu się zakochasz i… Co tam masz?

Leni wyciągnęła przed siebie zamkniętą dłoń, wyprostowała palce i pokazała fiolkę.

Mama wzięła ją do ręki, obejrzała.

– Co to?

– Test ciążowy. Niebieski oznacza pozytywny wynik.

Leni pomyślała o łańcuchu wydarzeń, które doprowadziły ją do tego miejsca. Wystarczyłaby nieznaczna zmiana kursu po drodze i być może wszystko ułożyłoby się inaczej.

– To musiało się stać w tamtą noc po ucieczce. Albo wcześniej. Skąd coś takiego można wiedzieć?

– Och, Leni.

Ona teraz potrzebowała jedynie Matthew. Takiego, jakim był wcześniej. Tkwiliby w tym razem. Gdyby był sobą, pobraliby się i mieli dziecko. A może nawet nie musieliby brać ślubu. Na miłość boską, w końcu był 1978 rok! Najważniejsze, że razem przeszliby przez to wszystko. Byli młodzi, studia mogły zaczekać, nie byłoby żadnej tragedii.

Jak miała sobie poradzić bez niego?

– Nie jest już tak jak za moich czasów – odezwała się mama – kiedy w atmosferze wstydu wyprawiano dziewczynę z domu i zakonnice zabierały dziecko. Teraz masz wybór. Można legalnie…

– Urodzę dziecko Matthew – przerwała matce stanowczo. Dotarło do niej, że w jej głowie decyzja już dawno zapadła.

– Nie dasz rady samotnie wychowywać dziecka. Nie tutaj.

– Masz na myśli tatę. – Tak, gorzej już być nie mogło. Nosiła dziecko Walkerów. Ojciec wpadnie w szał, kiedy się dowie.

– On ma się trzymać z daleka od mojego dziecka – ostrzegła.

Mama objęła ją i mocno przytuliła.

– Coś wymyślimy – obiecała, gładząc ją po głowie. Domyśliła się, że mama płacze, i zrobiło jej się jeszcze ciężej na sercu.

– A wy co? – Rozległ się tubalny głos ojca.

Mama drgnęła i odsunęła się od Leni ze skruszoną miną. Łzy lśniły jej na policzkach.

– Ernt! – Uśmiechnęła się niepewnie. – Wróciłeś.

Leni wpuściła fiolkę do kieszeni.

Tata przy drzwiach rozpinał watowany kombinezon.

– Jak tam szczeniak? Nadal warzywo?

Leni nigdy nie czuła do niego większej nienawiści. Odsunęła mamę i ruszyła do niego. Widziała jego zaskoczoną minę.

– Jestem w ciąży – oznajmiła.

Nie zdążyła zobaczyć podniesionej pięści. W jednej chwili stała, mierząc go nienawistnym wzrokiem, w drugiej cios w szczękę odrzucił jej głowę do tyłu. Zatoczyła się, straciła równowagę, uderzyła się o kant stołu i runęła na podłogę, czując w ustach smak krwi (szybki jest, błysnęła jej absurdalna myśl).

– Ernt, nie! – krzyknęła rozpaczliwie mama.

Ojciec rozpiął klamrę i z paskiem w ręce dopadł do Leni.

Zamroczona nie zdążyła się podnieść. Dzwoniło jej w uszach, kręciło się w głowie.

Przy świście paska klamra trafiła ją w policzek, rozcinając skórę. Krzyknęła z bólu.

Ojciec zamachnął się jeszcze raz. Mama doskoczyła do niego, rozorała mu twarz paznokciami. Odepchnął ją i ruszył z powrotem do Leni.

Szarpnięciem poderwał ją z podłogi i uderzył na odlew wierzchem dłoni. Usłyszała chrupnięcie, z nosa chlusnęła krew. Zatoczyła się i osunęła na kolana, instynktownie zasłaniając brzuch.

Huk wystrzału, zapach spalonego prochu. Brzęk szkła.

Tata stał na szeroko rozstawionych nogach z prawą dłonią ciągle zaciśniętą w pięść. Na sekundę wszyscy troje znieruchomieli. Tata zachwiał się, zatoczył ku Leni. Krew z rany na piersi wsiąkała w koszulę.

– Cora? – sapnął, oglądając się z niedowierzaniem.

Stała za nim z wycelowaną strzelbą.

– Nie Leni – wycedziła spokojnie. – Nie moją Leni.

Jeszcze raz nacisnęła na spust.

24

– Nie żyje – odezwała się Leni. Nie było cienia wątpliwości. Strzelba wybrana przez mamę powaliłaby byka łosia.

Teraz dopiero zobaczyła, że klęczy w kałuży krwi. Białe odłamki kości i chrząstek przypominały larwy. Przez wybitą szybę wpadało do chaty lodowate powietrze.

Mama upuściła strzelbę. Podeszła do ojca z szeroko otwartymi oczami. Usta jej drżały. Drapała się nerwowo po szyi, paznokcie zostawiały czerwone ślady na bladej skórze.

Leni dźwignęła się z podłogi i powlokła do kuchni. Powinna myśleć: jesteśmy bezpieczne, jego nie ma, a tymczasem, odrętwiała, nie czuła nawet ulgi.

Potwornie bolała ją twarz. Mdliło ją z bólu, krztusiła się spływającą do gardła krwią. Oddychała przez nos z poświstem. Zmoczyła szmatkę i przykładając ją do twarzy, ostrożnie zmyła krew.

Jak mama znosiła taki ból?

Przepłukała szmatkę, wycisnęła z zabarwionej na różowo wody, zmoczyła jeszcze raz i wróciła do pokoju. W powietrzu wisiał zapach prochu i krwi.

Mama klęczała na podłodze. Podciągnęła ciało ojca na kolana i kołysała je. Ręce, kolana i twarz miała umazane krwią.

– Mamo? – Leni nachyliła się i położyła jej dłoń na ramieniu.

Matka podniosła głowę, patrzyła na nią otępiała.

– Nie wiedziałam, jak inaczej go powstrzymać.

– Co teraz?

– Włącz krótkofalówkę. Wezwij policję – powiedziała martwym głosem.

Policja. W końcu. Po tych wszystkich latach wreszcie dostaną pomoc.

– Wszystko będzie dobrze, mamo. Zobaczysz – próbowała pocieszyć matkę.

– Nie, Leni, nie będzie.

Tak jak wiele razy wcześniej ocierała mamie krew z twarzy, a ona nawet nie drgnęła.

– Czemu tak mówisz?

– Stwierdzą zabójstwo.

– Zabójstwo? Rzucił się na nas. Ocaliłaś mi życie.

– Leni, strzeliłam mu w plecy. Dwa razy. Ława przysięgłych i sędziowie są źle nastawieni do ludzi, którzy strzelają w plecy. Nie szkodzi. Nie dbam o to. – Odgarnęła włosy z twarzy, zostawiając na policzku krwawy ślad. – Pojedź do Dużej Marge. Jest, czy też była, prawniczką. Zajmie się tym. – Cedziła słowa, spowolniona jak po narkotyku. – Zaczniesz wszystko od nowa. Wychowasz dziecko tu, na Alasce, pośród przyjaciół. Tom będzie dla ciebie jak ojciec. Duża Marge cię uwielbia. Może uda ci się ze studiami. – Spojrzała na Leni. – Było warto. Chcę, żebyś to wiedziała. Dla ciebie bez wahania zrobiłabym to jeszcze raz.

– Zaraz. Ty się ze mną żegnasz? Mówisz o więzieniu?

– Jedź już do Dużej Marge.

– Nie pójdziesz do więzienia za zabicie człowieka, którego całe miasto uważało za psychopatę.

– Nie dbam o to. Najważniejsze, że jesteś bezpieczna. Tylko to się liczy.

– A gdybyśmy się go pozbyły?

Mama zmrużyła oczy.

– Pozbyły się?

– Mogłybyśmy to zataić. – Leni podniosła się z kucek. Tak jest. Znajdą sposób na zatarcie śladów i zostaną tutaj z mamą, będą mieszkać wśród przyjaciół w miejscu, które zdążyły pokochać. Jej dziecko zaskarbi sobie miłość wszystkich dokoła, a kiedy Matthew w końcu wyzdrowieje, ona będzie tutaj na niego czekać.

– Leni, to nie takie proste, jak by się mogło wydawać – ostudziła jej nadzieje mama.

– To Alaska. Tutaj nic nie jest proste, ale my jesteśmy twarde, a jeżeli ty trafisz do więzienia, ja zostanę zupełnie sama. Z dzieckiem. Nie poradzę sobie bez ciebie. Potrzebuję cię, mamo.

– Musiałybyśmy ukryć ciało – odezwała się mama po chwili wahania – tak, aby nigdy go nie odnaleziono. Ziemia jest zamarznięta, nie da się go zakopać.

– Prawda.

– Leni – dodała ostrzegawczo. – Mówisz o kolejnym przestępstwie.

– Mam pozwolić, żeby zrobili z ciebie morderczynię? To dopiero byłaby prawdziwa zbrodnia. Myślisz, że się zgodzę oddać twoje życie w ręce prawników? Prawa? Sama mówiłaś, że ono nie stoi po stronie katowanych kobiet, i miałaś rację. On już po kilku dniach wyszedł z aresztu. Czy prawo kiedykolwiek cię przed nim obroniło? Nie. Nie!

– Jesteś pewna, Leni? Będziesz musiała z tym żyć.

– Z tym akurat sobie poradzę. Jestem pewna.

Mama po chwili zastanowienia wysunęła się spod zakrwawionych zwłok i wstała z podłogi. Poszła do sypialni i jakiś czas później wyłoniła się stamtąd w swetrze z golfem i ocieplanych spodniach. Rzuciła zakrwawione ubranie obok taty.

– Wrócę najszybciej, jak się da. Nikomu, oprócz mnie, nie otwieraj.

– Co chcesz zrobić?

– Na początek trzeba pozbyć się ciała.

– Myślisz, że będę tu czekać na ciebie z założonymi rękami?

– Ja go zabiłam i ja się tym zajmę.

– A ja ci pomagam zatrzeć ślady – powiedziała z naciskiem Leni.

– Nie ma czasu na sprzeczki.

– Właśnie. – Leni zdjęła poplamione krwią rzeczy. Chwilę później ubrana w ocieplane spodnie, puchową kurtkę i w wysokie sznurowane buty była gotowa do wyjścia.

– Weź te jego pułapki – poleciła mama.

Leni pozdejmowała z haków ciężkie żelazne potrzaski i wyniosła je na zewnątrz. Mama w tym czasie przywiązała duże czerwone sanie do skutera śnieżnego. Tata zwoził nimi drewno z lasu. Spokojnie mieściły się na nich dwie turystyczne lodówki, spora sterta polan czy nawet upolowany łoś.

– Połóż pułapki na saniach i idź po piłę łańcuchową i świder – dyrygowała nią mama.

– Gotowa na dalszy ciąg? – spytała, kiedy Leni wróciła z narzędziami.

Leni skinęła głową.

Pół godziny zajęło im wyniesienie bezwładnego ciała z chaty i przeciągnięcie go przez zaśnieżoną werandę, a kolejnych dziesięć minut ułożenie zwłok na saniach. Krwawa smuga znaczyła ich drogę, jednak przy tak gęsto sypiącym śniegu za godzinę nie będzie po niej śladu. Wiosną deszcz dokończy dzieła. Mama zarzuciła plandekę na ciało i przymocowała je do sań linką holowniczą.

– W takim razie gotowe.

Wymieniły między sobą spojrzenia – obie wiedziały, że ten czyn, ta decyzja zmieni ich życie na zawsze. Mama bez słów dała jej do zrozumienia, że ma jeszcze czas na zmianę zdania.

Leni już postanowiła. Będzie trwała lojalnie przy mamie. Pozbędą się ciała, wyszorują chatę, będą mówić, że Ernt zaginął – może lód załamał się pod nim podczas polowania albo zgubił się gdzieś w głuszy. Nikt się tym specjalnie nie przejmie ani nie będzie dociekał. Wszyscy wiedzieli, że tutaj można zniknąć na tysiąc sposobów.

A ona i mama nareszcie, w końcu, przestaną się bać o życie.

– W takim razie gotowe – powtórzyła Leni jak echo.

Mama odpaliła skuter, usiadła na dwuosobowym siodełku. Zakryła poranioną, podpuchniętą twarz neoprenową maską i ostrożnie nasunęła kask na głowę. Leni zrobiła to samo.

– Będzie piekielnie zimno! – zawołała mama, przekrzykując ryk silnika. – Jedziemy w góry!

Leni wsiadła na skuter i objęła mamę w pasie.

Ruszyły ostro, wzbijając tuman dziewiczego białego puchu. Za bramą skręciły w prawo na główną drogę, a jakiś czas potem zjechały w lewo na szlak wiodący do nieczynnej kopalni chromu. Była już noc, śnieg wirował gnany ostrym wiatrem. Prowadziła je żółta smuga światła z reflektora skutera.

W taką pogodę raczej nie musiały się martwić, że ktoś je zobaczy. Dwie godziny pięły się pod górę. Na głębokim śniegu mama z wyczuciem trzymała rękę na manetce gazu. Droga prowadziła przez wzniesienia, doliny, zamarznięte rzeczki, wiła się obok pionowych wysokich skał. Jechały w tempie zbliżonym do truchtu. W tym wypadku nie liczyła się prędkość. Najważniejsze, aby pozostały niewidzialne i uważały na sanie.

W końcu dotarły do niewielkiego jeziora wysoko w górach w niecce pośród strzelistych drzew i granitowych klifów. Godzinę wcześniej śnieg przestał padać. Księżyc, który

wychynął zza chmur na aksamitnie granatowe niebo poznaczone gwiazdami, zdawał się czuwać nad dwiema kobietami na białej połaci lodu i śniegu. A może lamentował nad ich decyzją. Okrągła, jasna tarcza wisiała dokładnie nad nimi, wysrebrzając śnieżny krajobraz.

W tę nagle pojaśniałą noc dwie kobiety na skuterze z trupem na saniach stały się bardzo widoczne na srebrnobiałym tle.

Nad brzegiem pokrytego lodem jeziora mama zredukowała gaz. Ciche buczenie silnika było tutaj jedynym odgłosem zagłuszającym chrapliwy oddech Leni pod neoprenową maską.

Czy na całym jeziorze lód był dostatecznie gruby? Nie miały jak tego sprawdzić. Raczej tak, biorąc pod uwagę wysokość, lecz zima dopiero niedawno się zaczęła. Śnieg mienił się na gładkiej, zamarzniętej tafli.

Leni mocniej objęła mamę.

Powoli wjechały na lód. Wyglądały jak astronautki poruszające się w dziwnej, niesamowicie oświetlonej przestrzeni. Lód wokół nich potrzaskiwał. Na środku jeziora mama wyłączyła silnik. Skuter wyhamował ślizgiem. Mama zsiadła. Tutaj lód strzelał głośniej, bardziej natarczywie, ale to niczym nie groziło. On tylko oddychał, prężył się; nie pękał.

Mama zdjęła kask, powiesiła go na manetce i zdjęła maskę. Przy jej ustach pojawił się biały obłok pary. Leni położyła swój kask na posklejanym taśmą winylowym siodełku.

W srebrno-biało-niebieskiej poświacie kryształki lodu na śniegu migotały jak drogie kamienie.

Ciszę zakłócał jedynie ich oddech.

Razem ściągnęły ciało z sań. Leni saperką zdrapała śnieg z tafli. Odłożyła łopatkę, sięgnęła po świder i piłę. Mama wywierciła ośmiocalowy otwór w lodzie. Woda, sącząc się na taflę, wypchnęła lodowy krążek.

Leni ściągnęła maskę, schowała ją do kieszeni i uruchomiła piłę. Cisza w tym miejscu potęgowała jej przeraźliwy zgrzyt.

Leni skierowała ostrze w dół, wsunęła je w otwór i mozolnie powiększała go do przerębli o zarysie sporego kwadratu.

Kiedy skończyła, spocona z wysiłku, mama zrzuciła pułapki z sań. Łomotnęły metalicznie o lód.

Potem stanęła nad tatą. Chwyciła go za lodowate, białe ręce i przyciągnęła do przerębli.

Ciało zdążyło już zesztywnieć, znieruchomiała twarz wyglądała jak maska wyrzeźbiona w kości słoniowej.

Dopiero teraz Leni naszła refleksja o tym, co zrobiły. Do czego się posunęły. Odtąd będą musiały żyć z tą świadomością. Zabójstwo, ukrycie zwłok, zatarcie śladów. Dotąd tuszowały jego postępki, kryły go, udawały. Teraz sytuacja się zmieniła. Zostały przestępczyniami i Leni musiała strzec własnego sekretu.

Porządny człowiek powinien umrzeć ze wstydu, a tymczasem w niej wrzał gniew.

Dawno mogły od niego uciec albo wezwać na pomoc policję. Gdyby mama zmieniła nieco swoje postępowanie, być może nie doszłoby do tej tragedii i na lodzie między nimi nie leżałby martwy mężczyzna.

Mama rozdzieliła pułapki, na siłę rozwarła czarne zęby. Wsunęła przedramię taty w szczękę potrzasku, a ta zamknęła się z chrupotem łamanej kości. Mama zbladła, brało ją na wymioty. Potrzaski złamały jeszcze obie nogi taty. Miały być obciążnikami.

Nad ich głowami wykwitła zorza polarna. Niewiarygodnie magiczna feeria barw. Żółte, neonowozielone i jaskraworóżowe pasma snuły się po niebie niczym jedwabne szale. To wszystko zdawał się obserwować rozjarzony księżyc.

Leni wpatrywała się w ojca. Widziała człowieka, który w gniewie używał pięści, widziała jego zakrwawione ręce i zapalczywie zaciśnięte szczęki. Ale miała też przed oczami drugiego mężczyznę, tamtego ze zdjęć, którego obraz stworzyła z własnych pragnień. Tamten kochał je z całego serca, zanim wojna odebrała mu umiejętność kochania. Bała się, że ów widok będzie ją prześladować. Może nie tyle widok, ile wyobrażenie o nim i smutna prawda, że można kogoś kochać i nienawidzić jednocześnie, że głębokie poczucie straty i wstydu za własną słabość może się mieszać z ulgą po potworności, która się dokonała.

Mama osunęła się na kolana, nachyliła się nad zwłokami.

– Kochałyśmy cię.

Podniosła oczy na Leni, chciała, być może potrzebowała, żeby ona powiedziała to samo, posłuchała jej, tak jak zawsze. Dwa groszki w strączku…

Połączyły ich lata wrzasków, bicia, ciągłego strachu… ale też radosnego śmiechu, tatowego „hej, Rudzielcu” i błagań o wybaczenie.

– Żegnaj, tato. – Na więcej się nie zdobyła. Może za jakiś czas to nie będzie jej ostatnie zachowane o nim wspomnienie, może zacznie wracać myślami do tamtych chwil, kiedy trzymał ją za rękę albo niósł na barana, idąc po deptaku.

Mama przy brzęku pułapek zepchnęła ciało do przerębli. Wpadło z pluskiem do wody. Twarz unosiła się na powierzchni niczym kamea w oprawie z czarnej wody. Blada skóra połyskująca w poświacie księżyca, zlodowaciałe wąsy i broda powoli się zanurzyły i zniknęły pod wodą.

Jutro nie będzie po nim śladu. Zanim ktokolwiek się tutaj zjawi, lód zdąży zamknąć przerębel. Potrzaski ściągną na dno zamarznięte zwłoki. Kiedy nadejdą roztopy, zostaną już same kości. Jeżeli woda przypadkiem wyrzuci je na brzeg, najpewniej

drapieżniki znajdą je przed policją. Tak czy owak, wtedy nikt już nie będzie go szukał. Pięciu ludzi na tysiąc ginie na Alasce, znika bez śladu. Takie są dane. Wpadają w szczeliny, gubią się na szlakach, toną porywani przez przypływ.

Alaska. Wielka Samotność.

– Wiesz, kim zostałyśmy – odezwała się mama.

Leni stała obok niej, ciągle mając przed oczami blade sztywne ciało wchłonięte przez ciemności, których tak nienawidził.

– Zostałyśmy uratowane – odpowiedziała.

Co za ironia! Przecież tego właśnie chciał dla nich tata. Pragnął je ratować.

Leni ciągle widziała twarz taty, zanim pochłonęła go woda. Ten widok będzie ją prześladować do końca życia.

Kiedy wreszcie przemarznięte do kości dotarły do chaty, musiały jeszcze nanosić drewna i podłożyć polan do kozy. Leni wrzuciła rękawice do ognia. Potem obie ogrzewały nad żarem drżące dłonie. Jak długo tak stały z wyciągniętymi rękami?

Nie wiadomo. Straciły rachubę czasu.

Leni wpatrywała się tępo w podłogę. Odłamek kości leżał niedaleko jej stóp, inny odprysnął na ławę. Sprzątanie zajmie im całą noc. Ogarnęło ją dziwne wrażenie, że nawet jeśli dokładnie zmyją całą krew, ona zacznie z bulgotem sączyć się ze szpar w podłodze, jak to pokazują w horrorach. Tak czy owak musiały zabrać się do roboty.

– Trzeba tu posprzątać. Będziemy mówić, że wyszedł z domu i nie wrócił – przerwała ciszę.

Mama ze ściągniętymi brwiami skubała zębami dolną wargę.

– Jedź po Dużą Marge. Powiedz jej, co zrobiłam. – Spojrzała na Leni. – Słyszysz? Masz jej powiedzieć, co ja zrobiłam.

Leni kiwnęła głową i wyszła, zostawiając sprzątanie mamie.

Śnieg znowu prószył, niebo zasnuła warstwa chmur, na dworze mocniej pociemniało. Zapadając się w białym puchu, doszła do skutera i wskoczyła na siodełko. Pierzaste płatki wirowały niesione wiatrem. Skręciła na działkę Dużej Marge i wjechała między drzewa, trzymając się śladów opon na krętej ścieżce.

Dotarła do niewielkiej owalnej polany, otoczonej przez wysokie białe drzewa. Duża Marge mieszkała w jurcie z drewna i brezentu. Podobnie jak inni osadnicy niczego nie wyrzucała, więc na całym podwórku piętrzyły się sterty rupieci przysypane śniegiem.

Leni zatrzymała skuter przed jurtą. Wiedziała, że wystarczy poczekać. Światło reflektora i warkot silnika zapowiedziały jej przyjazd.

Oczywiście po minucie w drzwiach jurty stanęła Duża Marge owinięta wełnianym pledem jak ogromną peleryną. Dłonią osłoniła oczy przed sypiącym śniegiem.

– Leni, to ty?

– Tak.

– Wchodź. Wchodź! – Zachęciła ją szerokim gestem.

Leni wbiegła po schodkach i weszła do środka.

Jurta była przestronniejsza, niż na to wyglądała z zewnątrz, i nienagannie czysta. Porozwieszane latarnie otulały wnętrze miodowym światłem, z piecyka z metalową rurą wypuszczoną przez otwór w koronie płynęło miłe ciepło.

Ściany tworzyły krzyżowo splecione drewniane żebra z brezentem napiętym na zewnątrz. Całość przypominała krynolinę na stelażu. Kopuła dachu opierała się na belkach. Nad normalnej wielkości kuchnią znajdowała się antresola

z widokiem na salon. Teraz, zimą, w środku było przytulnie i ciemnawo, natomiast latem przez odwijane brezentowe klapy na oknach wpadało mnóstwo światła.

Dużej Marge wystarczył jeden rzut oka na spuchniętą twarz Leni, stłuczony nos i podrapane policzki.

– Skurwysyn! – syknęła.

Przytuliła Leni i długo trzymała w objęciach.

– Wieczorem było bardzo źle – wyznała Leni, wysuwając się z jej ramion. Drżała na całym ciele. Może dopiero w tej chwili prawda w pełni do niej dotarła. Zabiły go, połamały kości, wrzuciły zwłoki w przerębel…

– Czy Cora…

– On nie żyje – odpowiedziała cicho.

– Dzięki Bogu.

– Mama…

– Nic mi nie mów. Gdzie on jest?

– Przepadł.

– A Cora?

– W domu. Mówiłaś, że nam pomożesz. Chyba teraz tego potrzebujemy. Wiesz, trzeba posprzątać. Ale nie chcę, żebyś wpadła w kłopoty.

– O mnie się nie martw. Wracaj do domu. Za dziesięć minut jestem u was.

Zaczęła się przebierać, nim Leni zdążyła wyjść z jurty.

W chacie znalazła mamę nad kałużą krwi. Wpatrywała się w nią z twarzą mokrą od łez i obgryzała poszarpany paznokieć na kciuku.

– Mamo? – odezwała się, niemal bojąc się ją dotknąć.

– Pomoże nam?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, snop światła wpadł przez okno i wydobył z mroku ściągniętą rozpaczą twarz mamy. Pojawił na niej cień ulgi.

Duża Marge energicznie pchnęła drzwi i wkroczyła do środka w watowanym kombinezonie, w czapie z futra rosomaka i botach z foczych skór. Omiotła spojrzeniem wnętrze chaty, na moment zatrzymując je na kałuży krwi i odłamkach kości.

Podeszła do mamy i delikatnie położyła dłoń na jej ramieniu.

– Rzucił się na Leni – tłumaczyła się mama. – Nie miałam wyjścia. Ale… Marge… ja mu strzeliłam w plecy. Dwa razy. Nie miał broni. Wiesz, co to oznacza.

– Wiem… – Westchnęła. – Oni mają w nosie, jak postępuje mężczyzna i to, że jesteś ofiarą jego przemocy.

– Obciążyłyśmy ciało i wrzuciłyśmy do jeziora, ale… sama wiesz, jak różne rzeczy odnajdują się na Alasce. Wiosną podczas roztopów wyłaniają się spod śniegu.

Duża Marge pokiwała głową.

– Nigdy go nie znajdą – wtrąciła Leni. – Będziemy mówić, że uciekł.

– Leni – zwróciła się do niej Marge. – Idź na górę, spakuj rzeczy. Tylko te niezbędne.

– Pomogę przy sprzątaniu.

– Idź już, Leni – ponagliła ją Marge.

Leni wdrapała się na stryszek. Słyszała, jak na dole mama z Marge naradzają się półgłosem.

Wybrała tomik Roberta Service’a i album od Matthew, zapełniony jej ulubionymi zdjęciami.

Razem z aparatem fotograficznym upchnęła te rzeczy na samo dno plecaka, nakryła ubraniem na zmianę i zeszła na dół.

Zobaczyła, jak mama w śniegowcach taty przeszła przez kałużę, odciskając czerwone ślady do drzwi. Potem odbiła na szybie dłoń umazaną we krwi.

– Co ty robisz? – spytała zaskoczona.

– Musi zasugerować policji, że oni byli tutaj oboje – wyjaśniła Duża Marge.

Mama zmieniła buty na swoje i odcisnęła więcej krwawych śladów. Potem sięgnęła po jedną ze swoich koszul, podarła ją i rzuciła na podłogę.

– Och! – jęknęła Leni.

– No, będą wiedzieli, że to miejsce zbrodni – podsumowała Marge.

– Przecież miałyśmy to posprzątać. – Leni nic nie rozumiała.

– Nie, córciu. Musimy zniknąć – odparła mama. – Jeszcze dziś.

– Zaraz – obruszyła się Leni. – Jak to? Ustaliłyśmy, że on odszedł, zostawił nas. Wszyscy w to uwierzą.

Mama z Marge wymieniły smutne spojrzenie.

– Ludzie bez przerwy giną na Alasce – dowodziła piskliwie Leni.

– Sądziłam, że to dla ciebie jasne – ucięła mama. – Po tym, co zaszło, nie możemy tutaj zostać.

– Co?!

– Nie możemy zostać – powtórzyła łagodnym, a jednocześnie stanowczym tonem. – Duża Marge tak samo uważa. Nie udowodnimy, że to było zabójstwo w obronie własnej. Przecież pozacierałyśmy ślady.

– Zabójstwo z zamiarem ewentualnym – podpowiedziała Marge. – Maltretowana kobieta, która zabije męża, jest na straconej pozycji. Chociaż tak nie powinno być. Nawet jeżeli świadkowie zeznają na jej korzyść. Owszem, może zapaść wyrok uniewinniający, jeżeli ława przysięgłych weźmie pod uwagę ciężar dowodów, ale czy naprawdę chcecie przez to wszystko przechodzić? Prawo nie jest łaskawe dla ofiar przemocy domowej.

Mama przytakiwała, kiwając głową.

– Marge porzuci ciężarówkę na jakiejś bocznej drodze. W kabinie też będzie krew. Za kilka dni zgłosi nasze zaginięcie i zaprowadzi policję do chaty. Śledczy dojdą do wniosku, miejmy nadzieję, że zabił nas obie i się ukrywa. Marge i Tom zeznają, że brutalnie nas traktował.

– Twoi rodzice mają tę samą grupę krwi – dodała Duża Marge. – Nie ma jednoznacznych testów na udowodnienie, czyja to krew. Przynajmniej mam nadzieję, że nie da się tego udowodnić.

– Trzymajmy się tej wersji o jego ucieczce – upierała się Leni. – Poważnie, mamo. Proszę. Ze względu na Matthew.

– Leni, oni nawet w buszu potrafią wytropić człowieka – tłumaczyła Marge. – Pamiętasz, jak wszyscy razem poszukiwali Genevy Walker? Zaczną od chaty. Jak wytłumaczysz przestrzelone okno? Znam Curta Warda. To służbista. Będzie gotów ściągnąć z Anchorage śledczych z psami. Możemy nie wiem jak dokładnie posprzątać, zawsze pozostanie ryzyko, że natrafią na dowody. Ułamek kości. Coś, co doprowadzi ich na ślad. A wtedy obie traficie do więzienia za zabójstwo.

– Przykro mi, córeczko – odezwała się mama, stając przy niej – ale sama tak postanowiłaś. Ja chciałam wziąć winę na siebie, nie pozwoliłaś. Razem w tym tkwimy.

Leni miała wrażenie, że ziemia usuwa jej się spod nóg. Naiwnie wierzyła, że za ten straszny czyn jedyną karą będzie poczucie winy i ewentualne wyrzuty sumienia. Tymczasem cena okazała się potwornie wysoka. Traciła wszystko, co kochała. Matthew. Kaneq. Alaskę.

– Nie mamy teraz wyboru, Leni.

– A miałyśmy go kiedykolwiek?

Miała ochotę wykrzyczeć się, wypłakać jak dziecko, którym nigdy tak naprawdę nie była, a jedyną umiejętnością, jaką przez całe dzieciństwo wpajali jej rodzice, było przetrwanie.

Mama miała rację. Absolutnie nie uda im się całkowicie usunąć śladów. Psy policyjne wytropią zapach krwi. A jeżeli tata był z kimś na jutro umówiony i – zanim one stąd znikną – ten ktoś zawiadomi policję, że się nie pojawił? Zawsze istnieje możliwość, że ciało uwolni się z potrzasków, wypłynie na powierzchnię i jakiś myśliwy znajdzie je wyrzucone na brzeg.

Jak zawsze, tak i tym razem Leni musiała myśleć o ludziach, których kochała.

Mama za wszelką cenę starała się ją chronić i dlatego zastrzeliła tatę. Nie mogła jej skazać na samotną tułaczkę, poza tym nie dałaby rady w pojedynkę wychować dziecka.

Przytłaczał ją potworny smutek, dławiło wrażenie, że przebiegła maraton tylko po to, żeby znaleźć się w tym samym punkcie.

Przynajmniej przejdą przez to razem, jak zawsze. A dziecko może czeka lepsze życie.

– Dobrze. – Odwróciła się do Dużej Marge. – W takim razie jaki jest plan?

Następną godzinę spędziły na dopracowywaniu szczegółów. Ciężarówka miała zostać porzucona w porcie z klamką umazaną krwią. Poprzewracały meble, położyły na podłodze pustą butelkę po whiskey. Duża Marge dwukrotnie wypaliła ze strzelby w ścianę z bali. Drzwi chaty postanowiły zostawić otwarte, niech zwierzęta buszują w środku, zacierając ślady.

– Gotowa? – spytała mama.

Nie, nie jestem gotowa, cisnęło się Leni na usta. Tu jest moje miejsce. Niestety, co się stało, to się nie odstanie. Z ponurą miną skinęła głową.

Duża Marge uściskała je obie serdecznie, ucałowała w wilgotne policzki i życzyła im szczęśliwej drogi.

– Zgłoszę wasze zaginięcie – wyszeptała Leni do ucha. – Dotrzymam tajemnicy. Przyrzekam.

Gdy w zadymce schodziły zygzakiem schodów na plażę, Leni czuła się jak stuletnia staruszka.

Wlokła się za matką po zaśnieżonym, rozmokłym piasku. Wiatr zarzucał mamie włosy na oczy, tłumił głos, szarpał za plecak. Leni słyszała, że coś do niej mówiła, ale nie rozumiała słów i wcale nie była ciekawa. Brodząc w lodowatej wodzie, dobrnęła do skifu. Rzuciła plecak na dno, przełożyła nogi przez burtę i usiadła na drewnianej ławeczce. Ślady ich butów na piasku szybko zasypie śnieg, tak jakby nigdy tamtędy nie szły.

Mama wskoczyła do łódki. W ciemnościach posuwały się powoli wzdłuż linii brzegu. Mama zaciskała na kole dłonie w rękawicach, wiatr targał jej włosami.

Gdy wypłynęły za cypel, wstał nowy dzień i blade światło wskazało im drogę.

Dotarły do przystani w Homer.

– Muszę pożegnać się z Matthew – oświadczyła Leni.

Mama rzuciła jej linę.

– Nie ma mowy. Musimy się spieszyć. Nikt nie może nas tutaj zobaczyć. Dobrze wiesz.

Leni przywiązała skif.

– Ja nie pytałam o pozwolenie.

Mama schyliła się po plecak, podniosła go, zarzuciła na plecy. Leni ostrożnie zeszła na oblodzony pomost. Napięta lina zatrzeszczała.

Mama zgasiła silnik i też zeszła z łódki. Stały razem na pomoście w prószącym śniegu.

Leni wyjęła szalik z plecaka, okręciła go wokół szyi, zasłaniając dolną połowę twarzy.

– Mamo, nikt mnie nie zobaczy. Idę.

– Za czterdzieści minut masz być w biurze Glass Lake – powiedziała mama. – Ani minuty później – zaznaczyła. – Słyszysz?

– Polecimy samolotem? Jakim cudem?

– Po prostu tam bądź.

Kiwnęła głową. Szczerze mówiąc, nie miała ochoty wnikać w szczegóły. Myślami była przy Matthew. Podniosła plecak i ostrożnie przeszła po oblodzonym pomoście. O tak wczesnej porze, w mroźny i śnieżny listopadowy dzień nabrzeże świeciło pustką.

Dopiero przed szpitalem zwolniła kroku. Tutaj musiała bardziej uważać. Nikt nie miał prawa jej zobaczyć.

Przeszklone automatyczne drzwi otworzyły się z cichym syknięciem. W twarz uderzył ją zapach środków dezynfekcyjnych z domieszką jakiejś metalicznej woni o gryzącym posmaku. Recepcjonistka siedziała z telefonem przy uchu. Nawet nie spojrzała na drzwi. Leni wsunęła się do holu. Masz być niewidzialna…

O tej porze na korytarzach panowała cisza, drzwi do sal były pozamykane. Przed izolatką Matthew przystanęła na moment, wzięła głęboki oddech i nacisnęła klamkę.

W środku było ciemno i cicho. Nie szumiały żadne aparaty. Przy życiu trzymało Matthew wyłącznie bicie jego serca.

Spał ułożony w pozycji półsiedzącej z obręczą wokół głowy wspartą na stelażu przymocowanym do kamizelki, która podtrzymywała bezwładne ciało. Twarz poznaczona różowymi bliznami wyglądała jak połatana maszyną do szycia. Co to za życie? Pozszywany, uwięziony w metalowej klatce, nie mógł mówić, nie myślał, nie miał czucia. Jak miała go zostawić w takim stanie?

Położyła plecak na podłodze, podeszła do łóżka, wzięła go za rękę. Skóra, kiedyś szorstka po czyszczeniu ryb i naprawach

sprzętu, zrobiła się delikatna jak u dziewczyny. Naszło ją wspomnienie szkolnych czasów, kiedy pod stolikiem trzymali się za ręce, pisali do siebie liściki, przekonani, że świat stoi przed nimi otworem.

– Mogło nam się udać, Matthew. Pobralibyśmy się, mieli dziecko, kochalibyśmy się. – Przymknęła powieki, wyobrażając sobie takie życie, widząc ich oczyma duszy. Zestarzeliby się razem; siwowłosa para w niemodnych ubraniach wygrzewająca się w południowym słońcu na werandzie.

Tak mogłoby być.

Niestety. Za późno.

– Nie mogę zostawić mamy. Ty masz tatę, rodzinę, Alaskę. – Głos jej się załamał. – Wiesz, kim jestem, prawda?

Pochyliła się, zamykając jego dłoń w uścisku. Jej łzy kapały mu na twarz, zatrzymywały się na różowych bliznach.

Sam Gamgee nigdy nie zostawiłby Froda. Żaden bohater absolutnie tak by nie postąpił. Ale literatura to nie prawdziwe życie. Książki nie mówią o chłopcach, którzy leżą połamani z uszkodzeniami pnia mózgu. Którzy nie mówią, nie poruszają się, nie rozpoznają ludzi. W książkach nie ma też nic o matkach i córkach dokonujących potwornych, nieodwracalnych wyborów. Ani o dzieciach, które zasługują na lepszy los niż ten zgotowany przez rodziców.

Przycisnęła rękę do brzucha. Tamto życie nie było większe od żabiego skrzeku, a jednak mogłaby przysiąc, że wraz z biciem swojego serca słyszy echo uderzeń tamtego serduszka. Przyszłość rysowała się niepewnie, wiedziała jedynie, że będzie dobrą mamą dla tego dziecka i że musi roztoczyć opiekę nad własną matką.

– Wiem, jak bardzo chciałeś mieć dzieci – wyszeptała. – A teraz…

Nie zawodzi się ludzi, których kochamy.

Matthew uniósł powieki. Jedno oko patrzyło przed siebie, drugie chaotycznie poruszało się w oczodole. Rozpoznawała w nim tylko to zielone, rozumnie patrzące oko. Matthew poruszył się i jęknął.

Z jego ust wyrwał się zwierzęcy skowyt… Zaczął się szarpać, prężyć, jakby chciał się wyrwać na wolność. Obręcz z metalicznym brzękiem uderzyła o barierkę łóżka. Skóra na skroniach wokół śrub podbiegła krwią. Uruchomił się alarm…

– Spokojnie – próbowała go uciszyć. – Proszę…

Skrzypnęły drzwi za jej plecami. Do izolatki wbiegła pielęgniarka.

Leni odskoczyła pod ścianę, naciągnęła kaptur. Kobieta nie zdążyła zobaczyć jej twarzy.

Matthew miotał się na łóżku, wydając nieartykułowane dźwięki. Pielęgniarka podłączyła kroplówkę.

– Już dobrze, Matthew. Uspokój się. Twój tata niedługo przyjdzie.

Leni tak bardzo chciała powiedzieć na głos: kocham cię, po raz ostatni zapewnić go o swojej miłości, lecz zabrakło jej odwagi.

Powinna stąd zniknąć, zanim ta kobieta się odwróci. A jednak stała jeszcze chwilę, nie odrywając dłoni od brzucha. Postaram się być dobrą mamą. Opowiem naszemu dziecku o nas. O tobie…

Z oczyma mokrymi od łez pochyliła się po plecak i wybiegła na korytarz. Zostawiła Matthew samego pośród obcych.

On nigdy by tak nie postąpił.

Ona.

Jest tutaj. Chyba? Nie wie, co jest rzeczywiste.

Zna słowa, zapamiętał, że są ważne, ale nie rozumie ich znaczenia. Koma. Stabilizator. Obręcz. Uszkodzenie mózgu. Widzi je i nie widzi, są jak obrazy oglądane z drugiego pokoju przez drzwi z matową szybą.

Czasami wie, kim jest i gdzie się znajduje. Zdarza mu się przez parę sekund pamiętać, że wyszedł ze śpiączki. Wie, że nie może się ruszać, bo go przywiązują. Głowę trzyma aureola ze śrubami wkręconymi w czaszkę. Wie, że cały dzień siedzi podparty, potwór z głową w metalowej klatce, z uniesioną sztywno nogą. Ciało świdruje ból. Ludzie, patrząc na niego, płaczą.

Czasami słyszy dźwięki. Głosy. Widzi kształty. Ludzi. Światło. Koncentruje się, chce dotknąć, zrozumieć, ale wszystko się oddala, rozwiewa.

Ona.

Zdaje się, że jest tutaj. Zna ją?

To ta, na którą czeka.

– Mogłonamsięudać, Matthew.

Matthew.

To on jest Matthew, tak? Mówi do niego?

– Wieszkimjestem…

Próbuje się przewrócić, chce ją zobaczyć zamiast sufitu, który nad nim roluje się i przetacza.

Woła ją, jęczy, chce przywołać z pamięci potrzebne słowa, ale nie może ich znaleźć. Czuje rozpacz, która tłumi nawet fizyczny ból.

Nie może się ruszyć. Jest skrętem… – nie, źle, nie to słowo – jest skrępowany pasami. Spętany.

Ktoś jeszcze tu jest. Inny głos.

Odpływa. Odpręża się, zapomina, co było chwilę temu.

Ona.

Co to znaczy?

Przestaje walczyć. Patrzy beznamiętnie na kobietę w pomarańczowym uniformie, słyszy jej łagodny głos.

Powieki mu opadają. Ostatnia myśl jest o Niej. Nie odchodź, ale co to znaczy?

Słyszy kroki. Tupot.

Jak bicie jego serca. Kroki cichną, znikają.

25

Sypiący śnieg zmienił Homer w rozmyty pejzaż w przytłumionych barwach z wypłowiałym niebem. Niewielu ludzi kręciło się po ulicach, a ci, którzy wyszli z domu, albo oglądali świat przez brudne szyby samochodów, albo znad wysoko postawionych kołnierzy. Nikt nie zwrócił uwagi na dziewczynę, która w puchowej kurtce z kapturem naciągniętym na głowę i szalikiem zasłaniającym połowę twarzy mozolnie schodziła ze wzgórza.

Nie zważała na piekące policzki i pulsujący nos, bo znieczulał ją inny ból. Na Airport Road śnieg nieco zelżał. Skręciła na płytę lotniska. Przed drzwiami do biura podciągnęła golf swetra, ukrywając rozbitą wargę.

Biuro znajdowało się w baraku nakrytym spadzistym dachem. Całość sklecona z drewna i blachy falistej przypominała duży kurnik. Z tyłu na pasie zobaczyła niewielki samolot rozgrzewający silnik. Odkąd Leni sięgała pamięcią, na szyldzie Glass Lake Aviation brakowało trzech liter, dowcipnie zmieniając nazwę na AS LAKE AVIATION. Właściciel twierdził, że raz domalował brakujące litery i więcej nie ma zamiaru się wysilać. Prawdopodobnie dzieciaki zdrapały je dla zabawy.

Wnętrze biura wyglądało na zorganizowane naprędce. Podłogę pokrywały kwadraty linoleum o różnych wzorach. Całe urządzenie stanowiła lada ze sklejki, stojak z prospektami dla turystów oraz toaleta z zepsutymi drzwiami. Obok tylnego

wyjścia piętrzyły się kartony, które albo niedawno dostarczono, albo czekały na wysyłkę.

Mama siedziała na plastikowym krześle z szalem owiniętym wokół dolnej połowy twarzy. Nisko naciągnięta czapka zakrywała jasne włosy. Leni usiadła na wyboistym fotelu z kwiecistą tapicerką poszarpaną kocimi pazurami.

Przed nimi na ławie z laminowanym blatem leżała sterta rozrzuconych czasopism. Leni nie miała już siły płakać, oczy ją piekły od płynących cały czas łez.

Mama wrzuciła niedopałek papierosa do stojącej na ławie puszki po coli. Zgasł z sykiem, smużka dymu rozpełzła się w nicość.

– Jak z nim? – spytała. Poprawiła się na krześle z westchnieniem.

– Bez zmian. – Leni przytuliła się do mamy, tęskniąc za ciepłem jej ciała. Włożyła rękę do kieszeni, natrafiając palcami na coś kanciastego.

Prezent od Matthew, przekazany przez pana Walkera. Przez to wszystko, co się działo, zupełnie o nim zapomniała. Wyjęła małą płaską paczuszkę zawiniętą w gazetę z odręcznym napisem: LENI, WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI URODZIN!

W tym roku jej urodziny minęły niezauważone, ale Matthew wcześniej pomyślał o prezencie. Może też zaplanował wspólne świętowanie.

Rozwinęła gazetę, poskładała ją pieczołowicie, bo zamierzała zostawić ten kawałek papieru na pamiątkę (Matthew go dotykał, myśląc o niej). Trzymała w ręce płaskie białe pudełeczko. W środku leżał starannie złożony, pożółkły, postrzępiony na brzegach wycinek z gazety z artykułem i czarno-białą fotografią pary osadników. Trzymając się za ręce, siedzieli na dwóch różnych fotelach przed chatynką z dachem

pokrytym mchem, otoczeni przez psy pociągowe. Podwórko było zasłane rupieciami. Jasnowłosy chłopczyk siedział na piasku. Leni rozpoznała to podwórko i werandę: miała przed sobą dziadków Matthew.

Pod zdjęciem dopisek Matthew: TO MOŻEMY BYĆ MY.

Znowu w oczach zakręciły jej się łzy. Przycisnęła zdjęcie do serca i pochyliła się nad artykułem.

MOJA ALASKA
Lily Walker, czwartego lipca, 1972

Wydaje ci się, że wiesz, co znaczy słowo „dziki". Całe życie używasz tego słowa. Dzikie są zwierzęta, dziko rosną kwiaty, dzikim określa się nieposłuszne dziecko. Dopiero tu, na Alasce, zrozumiesz, o co naprawdę chodzi.

Mój mąż Eckhart i ja przyjechaliśmy na Alaskę osobno, co być może nie wydaje się istotne, niemniej jednak jest. Każde z nas podjęło decyzję o przyjeździe z innych powodów, a w młodości wcale nie zależało nam na ucieczce od cywilizacji. To był czas Wielkiego Kryzysu. Mieszkałam w chacie z rodzicami i sześciorgiem rodzeństwa. Wiecznie wszystkiego brakowało – czasu, pieniędzy, jedzenia, miłości.

Skąd pomysł z Alaską? Nie potrafię sobie przypomnieć. Miałam trzydzieści pięć lat; stara panna bez szans na zamążpójście. Tak nas wtedy postrzegano. Moja najmłodsza siostra umarła – może pękło jej serce, a może do grobu wpędziła ją rozpacz, gdy patrzyła na cierpienie własnych dzieci – i wtedy wyjechałam.

Ot tak, po prostu. Z dziesięcioma dolarami w kieszeni, bez żadnych umiejętności, ruszyłam na Zachód. Dlaczego na Zachód? Bo przyciągał swoim romantyzmem. W Seattle

zobaczyłam ogłoszenie z Alaski. Szukali kobiet do opierania poszukiwaczy złota.

Umiem prać, pomyślałam, i wyruszyłam w drogę.

To była ciężka praca pośród narzucających się mężczyzn. Moje dłonie zrobiły się twarde jak podeszwy. Mniej więcej w tamtym czasie poznałam Eckharta. Był dziesięć lat starszy ode mnie i szczerze mówiąc, nie grzeszył urodą. A jednak zwróciłam na niego uwagę, a on opowiedział mi o swoim marzeniu. Chciał się osiedlić na Kenai Peninsula, bo władze stanowe proponowały wtedy działki. Wyciągnął do mnie rękę, a ja ją przyjęłam. Czy go kochałam? Nie. Ani wtedy, ani później. Dopiero kiedy zmarł, poczułam się tak, jakby Bóg wyrwał mi serce.

Dzikość. Wszystko tak postrzegam. Moją miłość, życie, Alaskę. Na dobrą sprawę dla mnie to jedno i to samo. Alaska nie przyciąga ludzi masowo, większość jest za słaba, żeby tutaj wytrwać. Kiedy jednak tobą zawładnie, zauroczy cię swoją urodą, nigdy się od niej nie uwolnisz. Dzikość. Brutalne piękno i dumna izolacja. Nie odnajdziesz się już w żadnym innym miejscu.

– Co tam masz? – spytała mama, wydmuchując dym.

Leni starannie złożyła kartkę.

– Artykuł napisany przez babcię Matthew. Zmarła kilka lat przed naszym przyjazdem na Alaskę. – Fotografia dziadków Matthew z 1940 roku leżała na jej kolanach. – Mamo, jak mam się uwolnić od tej miłości. Czy kiedykolwiek… zapomnę?

– Ach to. – Westchnęła. – Miłość nie umiera, córciu. Ludzie wmawiają ci, że tak jest, ale to nieprawda. Jeżeli teraz go kochasz, będziesz kochać go za dziesięć i za czterdzieści lat. Może inaczej, może nie aż tak, ale on jest częścią ciebie. A ty jego.

Leni nie wiedziała, czy te słowa powinny ją pocieszyć, czy przerazić. W tej chwili jej serce było otwartą raną. Czy kiedykolwiek jeszcze będzie szczęśliwa?

– Ale – ciągnęła mama – w życiu może przytrafić się więcej niż jedna miłość. O ile ci się poszczęści.

– Nie wydaje mi się, żeby Allbrightom sprzyjało szczęście – stwierdziła Leni.

– No, nie wiem. A jednak znalazłaś Matthew na tym odludziu. Jakie było prawdopodobieństwo, że się spotkacie, że on zakocha się w tobie, a ty w nim? Powiedziałabym, że masz szczęście.

– A potem runęliśmy w szczelinę, on ma uszkodzony mózg, a ty, żeby mnie bronić, zabiłaś ojca.

– Taak. Szklanka jest w połowie pusta albo do połowy pełna.

Leni wiedziała, że ta szklanka się stłukła.

– Dokąd lecimy? – spytała.

– Naprawdę cię to obchodzi?

– Nie.

– Wracamy do Seattle. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Dzięki Dużej Marge polecimy, zamiast przemieszczać się okazjami.

Do biura wbiegła kobieta w brązowej parce i wełnianym toczku nasuniętym nisko na czoło, a wraz z nią wpadł podmuch lodowatego powietrza.

– Samolot gotowy do startu. Lot do Anchorage.

Mama szybko podciągnęła szalik aż pod oczy, Leni nasunęła kaptur, zaciągając ciasno troczki.

– Jesteście naszymi pasażerkami? – spytała kobieta, patrząc na kartkę, która trzymała w dłoni w rękawiczce. Zanim mama zdążyła odpowiedzieć, zadzwonił telefon na biurku.

Pracownica podniosła słuchawkę.

– Glass Lake Aviation.

Mama i Leni wybiegły z biura na płytę, gdzie samolot czekał już z obracającym się śmigłem. Leni rzuciła ciężki plecak między kartony w tyle kadłuba i ruszyła za mamą między fotele.

Usiadła (były jedynymi pasażerkami) i zapięła pas.

Mały samolot ruszył z hurkotem, oderwał się od ziemi, zakołysał, wyrównał lot. Odgłos silnika przypomniał Leni taką zabawę z dzieciństwa z wkładaniem kart między szprychy roweru.

Z nosem przy szybie oglądała ponury krajobraz. Z tej wysokości wszystko: morze, ziemia i niebo, było czarno-szaro-białe. Białe grzbiety poszarpanych łańcuchów gór, biała grzywa piany na szarym morzu. Chatynki i domy przylepione do dzikiej linii wybrzeża.

Homer powoli znikało jej z oczu.

Seattle nocą w strugach deszczu.

Wąż żółtych reflektorów w ciemności. Neonowe reklamy odbijające się w mokrych chodnikach. Sygnalizacja świetlna zmieniająca kolory. Ostrzegawcze dźwięki klaksonów.

Muzyka wylewająca się na ulice z drzwi barów zakłócała nocną ciszę. Ostra i agresywna brzmiała inaczej niż tamta zapamiętana w przeszłości przez Leni. Niektórzy ludzie stojący przed barami wyglądali, jakby spadli tu z Marsa. Mieli agrafki w policzkach, niebieskie włosy postawione na irokeza i poszarpane czarne ubrania.

– Spokojnie. Oni są niegroźni. – Mama przyciągnęła ją do siebie, kiedy mijały w parku grupkę mężczyzn wyglądających na bezdomnych, którzy palili na spółkę jednego papierosa.

Leni oglądała rozmyte deszczem miasto spod opuszczonych powiek. Widziała kobiety z niemowlętami kulące się w bramach i mężczyzn w śpiworach pod wiaduktem. Nie mogła pojąć, dlaczego ci ludzie godzą się na takie życie, zamiast pojechać na Alaskę, uprawiać tam ziemię, zbudować dom. Nie mogła pozbyć się myśli o tamtych dziewczętach porwanych w 1974 roku, których ciała znaleziono potem niedaleko stąd. Ted Bundy siedział w więzieniu, ale czy to gwarantowało bezpieczeństwo na ulicach?

Mama znalazła budkę telefoniczną i wezwała taksówkę. Deszcz przestał padać.

Jaskrawożółta taksówka zahamowała przy ubłoconym krawężniku, ochlapując je wodą. Usiadły na tylnej kanapie. Wnętrze wypełniał chemiczny zapach sosnowego dezodorantu. Od tej chwili Leni oglądała rozświetlone miasto przez szybę. Kolorowe neony odbite w kałużach nadawały mu nierzeczywisty, karnawałowy wygląd.

Taksówka skręciła na wzgórze i wjechała w Pioneer Square – starą dzielnicę niskich ceglanych domów. To tutaj osiedlali się ludzie z pieniędzmi. Centrum miasta było betonowym kanionem z biurowców, drapaczy chmur i sklepów na ruchliwych ulicach z wystawami jak z planu filmowego, manekinami w efektownych garniturach o przesadnie zaznaczonych ramionach i podkreślonej talii. Szczyt wzgórza zajmowała enklawa okazałych rezydencji.

– To tutaj – powiedziała mama do taksówkarza, dając mu resztę pożyczonych pieniędzy.

Dom był większy, niż go Leni zapamiętała. Ze stromym dachem na tle nieba i z oknami o połyskliwych szybkach oprawionych w ołów wyglądał w mroku nieco upiornie. Dostępu na posesję bronił kuty płot z ostrymi szpikulcami.

– Jesteś pewna? – spytała cicho Leni.

Dobrze wiedziała, ile mamę kosztuje proszenie rodziców o pomoc. Mówił o tym wyraz jej oczu, zwieszone ramiona, dłonie nerwowo zamknięte w pięści. Powrót tutaj świadczył o porażce.

– Będą triumfować, że od początku mieli rację co do Ernta.

– Możemy stąd zmykać. Same się jakoś urządzić.

– Córciu, może spróbowałabym, gdyby chodziło wyłącznie o mnie. Ale jesteś jeszcze ty. Byłam kiepską matką. Chcę być dobrą babką. Proszę cię, nie namawiaj mnie do ucieczki. – Wzięła głęboki oddech. – Idziemy.

Wzięły się za ręce i ruszyły kamienną ścieżką pośród ozdobnie uformowanych krzewów oświetlonych latarniami oraz przyciętych na zimę krzaczków róż. Przystanęły przed rzeźbionymi drzwiami. Odczekały. W końcu mama zapukała.

Chwilę później w otwartych drzwiach ukazała się babcia.

Zmieniła się, przybyło jej zmarszczek na twarzy. I osiwiała, a może wcześniej była już siwa, tylko przestała farbować włosy.

– Mój Boże – wyszeptała, przykładając szczupłą dłoń do ust.

– Dobry wieczór, mamo – odezwała się niepewnie matka.

Leni usłyszała kroki.

Babcia usunęła się na bok, ustępując miejsca dziadkowi. Był potężnym mężczyzną. Niebieski kaszmirowy sweter opinał się na jego wydatnym brzuchu, miał obwisły podbródek i starannie zaczesane, przerzedzone włosy. Ściągnięte paskiem poliestrowe spodnie podkreślały chudość nóg. Wyglądał na więcej niż siedemdziesiąt lat.

– Witaj – powiedziała mama.

Dziadkowie przyglądali się im spod przymrużonych powiek. Widzieli sińce na ich twarzach, spuchnięte policzki, podbite oczy.

– Skurwysyn – syknął dziadek.

– Potrzebujemy pomocy – wyznała mama, ściskając Leni za rękę.

– Gdzie on jest? – Chciał wiedzieć dziadek.

– Zostawiłyśmy go – powiedziała mama.

– Dzięki Bogu. – Babcia westchnęła z ulgą.

– Mamy się bać, że któregoś dnia zjawi się po was, wyłamując mi drzwi? – spytał dziadek.

Mama pokręciła głową.

– Nie. Nigdy.

Dziadek zmrużył oczy. Czyżby zrozumiał znaczenie tego zapewnienia? Domyślił się, co zrobiły?

– Co ty…

– Jestem w ciąży – oznajmiła Leni. Wcześniej ustaliły z mamą, że na razie nie wspomną o dziecku, ale teraz, skoro tu się znalazły i prosiły o pomoc, nie potrafiła się powstrzymać. Miała dość tajemnic w swoim życiu. Nie chciała dłużej się z nimi męczyć.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni – podsumowała mama, siląc się na uśmiech.

– Historia zatoczyła koło – podsumował dziadek. – Zdaje się, pamiętam jeszcze, co ci wtedy radziłem.

– Chciałeś, żebym ją oddała i wróciła do domu jakby nigdy nic – wytknęła mu mama. – A ja marzyłam, żebyś powiedział, że nic złego się nie stało, i mimo wszystko nadal mnie kochał.

– Staraliśmy się ciebie przekonać – interweniowała łagodnie babcia – że w naszej parafii były kobiety, które nie mogły mieć dziecka i zapewniłyby twojemu maleństwu przyzwoity dom.

– Zatrzymam dziecko – powiedziała stanowczo Leni. – Jeżeli nie chcecie nam pomóc, trudno, ale nikomu mojego dziecka nie oddam.

Mama mocniej uścisnęła jej dłoń.

Po tej deklaracji zapadła cisza. Leni oczyma duszy widziała ogrom czekających ją i mamę problemów; cały ocean kłopotów, jednak myśl o nich nie przerażała tak bardzo jak możliwość oddania dziecka. Była na tyle dojrzała, aby wiedzieć, że po niektórych wyborach ludzie nigdy się nie podnoszą.

Wreszcie, po dłuższej chwili, która zdawała się trwać wieczność, babcia odwróciła się do dziadka.

– Cecilu, pamiętasz, ile razy rozmawialiśmy o dawaniu drugiej szansy? To jest właśnie taka sytuacja.

– A nie uciekniesz znowu w środku nocy? – Dziadek zwrócił się do mamy. – Twoja matka… ledwo to przeżyła.

W tych kilku starannie dobranych słowach pobrzmiewał żal. Leni słyszała w nich urazę, nieufność, zranione uczucia, ale było tam też coś jeszcze, jakby czułość.

– Nie, tato. Nie uciekniemy.

Nareszcie dziadek się uśmiechnął.

– Coraline, Lenoro, witajcie w domu. Trzeba przyłożyć lód do tych sińców. Na dobrą sprawę was obie powinien obejrzeć lekarz.

Leni wyczuła wahanie mamy przed przestąpieniem progu. Wzięła ją pod rękę, podtrzymała.

– Nie puszczaj mnie – szepnęła mama.

Wewnątrz uderzył Leni intensywny zapach kwiatów. Wazony z artystycznie ułożonymi bukietami stały na stołach na wysoki połysk i półeczkach pod lustrami w złoconych ramach.

Po drodze Leni dyskretnie zaglądała do mijanych pokoi. Widziała jadalnię ze stołem na dwanaście osób, bibliotekę z regałami sięgającymi sufitu, salon, gdzie wszystkiego – kanap, foteli, lamp i okien – była podwójna ilość. Schody na piętro wysłane puszystą jak mech wykładziną prowadziły na korytarz wyłożony mahoniową boazerią i udekorowany mosiężnymi

elementami oraz obrazami w bogato zdobionych złoconych ramach, przedstawiającymi psy i konie.

– Zrobimy tak. – Babcia w końcu przystanęła. Dziadek trzymał się z tyłu, jakby przydział pokoi był kobiecym zadaniem. – Lenoro, zajmiesz dawny pokój Coraliny. A ty, Coro, chodź ze mną.

Leni weszła do swojej nowej sypialni.

W pierwszej chwili oszołomił ją widok koronek. To nie były tandetne siatkowe wyroby, jakie widywała w sklepie z używanymi rzeczami w Anchorage. Te tutaj wyglądały jak połączone razem delikatne pajęczyny. W oknie wisiała koronkowa firanka w kolorze kości słoniowej. Koronkowa kapa na łóżku i abażury były w tym samym odcieniu. Na podłodze leżał jasnobeżowy dywan. Meble w kolorze kości słoniowej miały mosiężne okucia, a pod biureczkiem w kształcie nerki stał taboret obity materiałem również w kolorze kości słoniowej.

Powietrze wypełniał duszący zapach lawendy.

Leni podeszła do okna, podciągnęła ciężką szybę i wyjrzała na dwór. Wciągnęła w płuca kojący aromat nocy. Deszcz przestał padać, ukazując świat pogrążony w migotliwej ciemności. We wszystkich domach na ulicy paliły się światła.

Miała przed sobą mały występ mokrego dachu. Poniżej na zadbanym podwórku rósł stary klon, na nagich gałęziach nadal wisiało parę czerwono-złotych liści.

Drzewa. Nocne powietrze. Cisza.

Leni przełożyła nogi przez parapet i usiadła na pokrytym gontem dachu. W ich domu, podobnie jak w domach po przeciwnej stronie ulicy, paliły się w oknach światła, a jednak czuła się tu bezpiecznie. Czuła zapach drzew, zieleni, a nawet odległy słony posmak morza.

Niebo tutaj było inne. Czarne. Na Alasce w zimie miało odcień głębokiego granatu, a śnieg na ziemi i drzewach otulał wszystko magiczną poświatą i czasami nad głową tańczyła zorza polarna. Natomiast gwiazdy były te same, chociaż świeciły w innym miejscu. Wielki Wóz, Pas Oriona. Konstelacje, które Matthew nauczył ją rozpoznawać w tamtą noc, kiedy leżeli na plaży.

Zacisnęła palce na serduszku na szyi. Mogła je teraz otwarcie nosić bez strachu, że tata zapyta, skąd je ma. Nigdy już go nie zdejmie.

– Masz ochotę na towarzystwo?

– Jasne. – Przesunęła się na bok.

Mama wyszła przez otwarte okno i usiadła obok Leni, podciągając kolana do piersi.

– Jak byłam w szkole średniej, w sobotnie wieczory wymykałam się z domu po tym drzewie i przesiadywałam z chłopakami w Dick's Drive-In przy Aurora Avenue. Zawsze wszystko rozbijało się o jakichś chłopców. – Westchnęła i oparła podbródek na wgłębieniu między kolanami.

Leni przytuliła się do mamy, zapatrzona na dom naprzeciwko. Jakie marnotrawstwo światła. Przez okna dostrzegła przynajmniej trzy migające kolorami telewizory.

– Wybacz mi, Leni. Narobiłam takiego bałaganu w twoim życiu.

– Obie narobiłyśmy – odparła. – Razem. I musimy z tym żyć.

– Coś jest ze mną nie tak – wyznała mama po chwili.

– Nie – zaprzeczyła Leni stanowczo. – To z nim było nie tak.

– To będzie tutaj, na pewno. Dokładnie tu – upierała się mama, kiedy ich sińce przybladły na tyle, że mogły je

zamaskować pudrem. Prawie przez tydzień kryły się w domu, ani razu nie wystawiły nogi za próg. Ich zachowanie zaczynało graniczyć z obłędem.

Teraz, kiedy mama miała włosy obcięte na chłopaka i ufarbowane na brąz, wyszły nareszcie z domu i pojechały autobusem do centrum Seattle, gdzie wmieszały się w tłum turystów, mieszkańców robiących zakupy i snujących się po ulicach punkrockowców.

Mama wskazała palcem bezchmurne, niebieskie niebo.

Na Leni góra Rainier nie zrobiła wrażenia (tutaj przez wszystkich nazywana po prostu Górą, jakby była jedyna na świecie, a inne się nie liczyły). Nie podniecał jej również widok innych charakterystycznych miejsc, które mama pokazywała jej z taką dumą. Nie zrobił na niej wrażenia neonowy napis TARGOWISKO, migający nad zadaszonymi straganami rybnymi, ani wieża Space Needle, która wyglądała jak statek kosmiczny wsparty na bierkach, ani nowe akwarium wcinające się wyzywająco w zimne wody Elliott Bay.

Niewątpliwie Seattle pięknie wyglądało w ten słoneczny listopadowy dzień. Było tak samo zielone, jak je Leni zapamiętała, otoczone wodą, z asfaltowymi i betonowymi arteriami.

Ludzie biegali we wszystkich kierunkach jak mrówki. Wszędzie panował rwetes. Ostrzegawcze dźwięki klaksonów, szurgot butów, plujące dymem autobusy, wspinające się mozolnie na wzniesienia przy zgrzycie skrzyni biegów. Jak ona odnajdzie się w tym mieście pełnym ludzi?

Tutaj nie było mowy o ciszy. W ostatnie noce, kiedy próbowała umościć się w swoim nowym łóżku (z pościelą pachnącą płynem do płukania i proszkiem do prania ze sklepu), nagle odzywała się syrena radiowozu albo ambulansu

i czerwone światło omiatało sypialnię, malując krwiste wzory na koronkowej firance.

Teraz były z mamą w północnej części miasta. Dojechały tutaj publicznym transportem, usiadły w autobusie między ponurymi pasażerami, których konieczność wygnała z domu o tak wczesnej porze, a potem przeszły po ruchliwej Ave i wspięły się na wzgórze, gdzie ciągnęły się zabudowania Uniwersytetu Stanu Waszyngton.

Przystanęły na skraju Red Square. Plac, jak okiem sięgnąć, był wyłożony czerwonym brukiem. Potężny, również czerwony obelisk celował w niebieskie niebo. Na obrzeżach placu stały nowe ceglane budowle.

Kręciły się tu setki młodych ludzi, którzy wchodzili i wychodzili z budynków rozgadanymi falami.

W pewnej odległości od nich, po lewej stronie grupa studentów ubranych na czarno protestowała przeciwko produkcji energii nuklearnej i broni jądrowej. Część z nich domagała się zamknięcia czegoś o nazwie Hanford Site.

Leni przypomniała się młodzież z college'u, która co roku najeżdżała Homer, oraz młodzi ludzie w przeciwdeszczowych kangurkach, z zadartymi głowami wpatrujący się z podziwem w poszarpane szczyty z czapami śniegu, jakby dochodziło ich stamtąd boskie nawoływanie. Słyszała, jak mówili szeptem, że rzucą wszystko w cholerę i zamieszkają w dziczy, żeby żyć w zgodzie z naturą. Bliżej ziemi, powtarzali, jakby to był jakiś biblijny nakaz. Słynny John Muir kiedyś napisał: *Góry wzywają i muszę iść*. Na Alasce przybysze słyszeli takie głosy, budziły się w nich nowe marzenia. Większość nigdy nie poszła za głosem serca, a z tych niewielu, którzy się odważyli, prawie wszyscy uciekali przed końcem pierwszej zimy, ale Leni wiedziała, że wracali do siebie odmienieni przez samą potęgę marzeń i rysujące się przed nimi możliwości.

Leni kluczyła w tłumie, blisko mamy, ściskając w ręce mały plecak, który dostała jako dwunastolatka. Jej plecaczek z Alaski. Był dla niej jak amulet, ostatni namacalny ślad po porzuconym życiu. Żałowała, że nie mogła zabrać ze sobą lunchowego pudełka z Kubusiem Puchatkiem.

Weszły z mamą do gotyckiego budynku w kolorze różowego lukru, z dumnymi łukami, koronkowymi wieżyczkami i fantazyjnie wyciętymi oknami.

Takiej biblioteki Leni w życiu nie widziała. Nad rzędami drewnianych stolików pod łukowym sufitem świeciły lampy z zielonymi kloszami. Nad stolikami zwisały kryształowe żyrandole. A książki! Nigdy nie widziała tylu naraz. Szeptały do niej o nieodkrytych światach i nieznanych przyjaciołach. Tutaj poczuła, że nie jest sama w tym nowym świecie. Książki, jej przyjaciółki, stały grzbiet przy grzbiecie, czekając na nią, tak jak zawsze. Gdyby Matthew mógł to zobaczyć…

Szły z mamą w zgodnym rytmie, pukając zdartymi obcasami o drewnianą podłogę. Leni bała się, że ludzie będą podnosić głowy znad książek, uważać je za intruzów, a tymczasem żaden ze studentów w czytelni dla magistrantów nie zwrócił na nie najmniejszej uwagi.

Nawet bibliotekarki nie zainteresował ich wygląd, kiedy tłumaczyły, czego szukają. Obojętnie skierowała je do koleżanki, która wysłuchała ich prośby.

– Proszę bardzo – powiedziała druga bibliotekarka, kładąc przed nimi stertę powiązanych gazet.

– Dziękuję – odezwała się mama i usiadła. Leni nie sądziła, aby ta kobieta, w przeciwieństwie do niej, usłyszała drżenie w głosie mamy.

Usiadły blisko siebie na drewnianej ławce. Szybko znalazły to, czego szukały.

ZAGINIĘCIE RODZINY W KANEQ
ISTNIEJE PODEJRZENIE PRZESTĘPSTWA

Władze stanowe ujawniły informacje o zaginionej rodzinie z Kaneq. Trzynastego listopada sąsiadka, Marge Birdsall, skontaktowała się z funkcjonariuszami policji stanowej, aby zgłosić zaginięcie. Jak to ujęła, Cora Allbright i jej córka Lenora zniknęły bez śladu. „Miały mnie wczoraj odwiedzić, nie pojawiły się, bałam się, że Ernt mógł coś im zrobić”, powiedziała pani Birdsall. Czternastego listopada Thomas Walker powiadomił policję o ciężarówce stojącej w pobliżu jego sadyby. Pojazd zarejestrowany na Ernta Allbrighta został porzucony na wysokości dziesiątej mili przy drodze do Kaneq. Śledczy znaleźli ślady krwi na kierownicy i na tapicerce. Znaleziono również torebkę należącą do pani Allbright.

„Prowadzimy dochodzenie, biorąc pod uwagę zarówno zaginięcie, jak i podejrzenie zabójstwa”, powiedział nam Curt Ward, szef policji w Homer. Sąsiedzi donoszą, że Ernt Allbright był znany z agresywnych zachowań, i podejrzewają, że zabił żonę i córkę, po czym zbiegł.

Na tym etapie śledztwa nie dysponujemy żadnymi więcej informacjami. Wszystkie osoby, których wiedza mogłaby pomóc w sprawie rodziny Allbrightów, są proszone o kontakt z oficerem Wardem.

Mama z cichym westchnieniem odchyliła się na oparcie.

Leni widziała, że za to wszystko, co się stało, mama płaciła cierpieniem: za to, że nie odeszła od ojca, kiedy należało; za to, że go kochała i że w końcu zabiła. Jak na człowieka wpływa taki ból? Czy on powoli osłabnie i zniknie, czy zmieni się w truciznę?

– Mój tata mówi, że po jakimś czasie uznają nas za zmarłe, ale to może potrwać nawet siedem lat.

– Siedem lat?

– Musimy skupić się na przyszłości, nauczyć się być szczęśliwe, bo inaczej po co to wszystko było?

Szczęśliwe.

Dla Leni to było puste słowo. Szczerze mówiąc, nie wyobrażała sobie, aby kiedykolwiek mogła znowu być szczęśliwa.

– Oczywiście – obiecała, siląc się na uśmiech. – Teraz będziemy szczęśliwe.

26

Wieczorem po kolacji Leni siedziała na łóżku z *Bastionem* Stevena Kinga. Od przyjazdu do Seattle zdążyła przeczytać trzy jego powieści i odkryła w sobie nową pasję. Żegnaj, literaturo fantastycznonaukowa, żegnaj, fantastyko, witaj, horrorze.

Doszła do wniosku, że w horrorach odbijało się jej wewnętrzne życie. Wolała, żeby straszyli ją w snach Randall Flag, Carrie czy Jack Torrance niż epizody z własnej przeszłości.

Kiedy przewracała kartkę, usłyszała przyciszone głosy za drzwiami sypialni.

Spojrzała na zegar na szafce nocnej (jeden z dziesiątków w tym domu, tykających w równym rytmie jak bicie ukrytego serca). Dochodziła dziewiąta.

O tej porze dziadkowie przeważnie byli już w łóżku.

Odłożyła książkę, wsunęła zakładkę, podeszła do drzwi, uchyliła je i wyjrzała przez szparę.

Na parterze paliły się światła.

Wymknęła się z sypialni. Poruszając się bezszelestnie po mięsistej wykładzinie, zeszła na parter, sunąc dłonią po mahoniowej poręczy. Czarno-białe płytki na dole ziębiły w bose stopy.

Mama była z dziadkami w salonie. Leni przesunęła się nieco do przodu, żeby lepiej wszystko widzieć.

Mama siedziała na skórzanej kanapie w kolorze palonej sieny, a rodzice naprzeciw niej w głębokich fotelach obitych

tkaniną w tureckie wzory. Między nimi na klonowej ławie stała kolekcja porcelanowych figurynek.

– Oni podejrzewają, że on nas zabił – mówiła mama. – Przeczytałam dzisiaj w lokalnej gazecie.

– To byłoby całkiem prawdopodobne – odezwała się babcia. – Pamiętasz, ostrzegałam cię przed wyjazdem na Alaskę.

– Mówiliśmy ci, żebyś za niego nie wychodziła – dorzucił dziadek.

– Myślicie, że pomogą mi te wasze, „a pamiętasz, a mówiliśmy”? – zniecierpliwiła się mama. Westchnęła ciężko. – Kochałam go.

Leni słyszała żal i gorycz w głosach całej trójki. Jeszcze rok wcześniej taki smutek był jej obcy. Teraz go rozumiała.

– Nie bardzo wiem, co robić – wyznała mama. – Zniszczyłam życie sobie i Leni, teraz jeszcze was w to wciągam.

– No wiesz! – obruszyła się babcia. – To oczywiste, że w tym uczestniczymy. Jesteśmy twoimi rodzicami.

– To dla ciebie – odezwał się dziadek.

Leni korciło, żeby wysunąć głowę zza drzwi, ale zabrakło jej odwagi. Usłyszała skrzypnięcie odsuwanego fotela, a potem stukot zelówek na dębowej podłodze (dziadek od rana do wieczora chodził w wyjściowych butach), a na koniec szelest papieru.

– To metryka urodzenia – odezwała się mama po chwili. – Jakiejś Evelyn Chesterfield, urodzonej czwartego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Czemu mi to dajesz?

Leni ponownie usłyszała skrzypnięcie fotela.

– A tutaj masz fałszywe świadectwo ślubu. Wyszłaś za Chada Granta. Z tymi dwoma dokumentami możesz udać się do Biura Pojazdów Mechanicznych, by wyrobić nowe prawo jazdy i dostać numer ubezpieczenia. Mam też metrykę urodzenia dla

Leni. Jest twoją córką, Susan Grant. Wynajmiecie dom gdzieś w pobliżu. Będziemy wszystkim mówić, że należycie do dalekiej rodziny albo że ty prowadzisz nam dom. Zobaczymy, coś się wymyśli. Najważniejsze, żebyście były bezpieczne – zakończył dziadek ochrypłym ze wzruszenia głosem.

– Jak to zdobyłeś?

– Jestem prawnikiem. Znam ludzi. Zapłaciłem klientowi o, powiedzmy… elastycznych standardach moralnych.

– To do ciebie niepodobne – powiedziała cicho mama.

– Wszyscy się zmieniamy – odparł dziadek po chwili milczenia. – Uczymy się, niestety, na własnych błędach. Powinniśmy byli ciebie posłuchać, kiedy miałaś szesnaście lat.

– A ja powinnam była słuchać was.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

O tej porze ten nieoczekiwany dźwięk przeszył Leni niepokojem. Usłyszała kroki i szelest drewnianych żaluzji.

– Policja – doniósł dziadek.

Mama wybiegła z salonu i natknęła się za drzwiami na Leni.

– Idźcie na górę – polecił dziadek, wychodząc za nią z salonu.

Mama wzięła Leni za rękę i poprowadziła ją na schody.

– Tędy – powiedziała. – Tylko cicho.

Wbiegły na piętro i na palcach przeszły nieoświetlonym korytarzem do głównej sypialni – ogromnego pokoju z wielodzielnymi oknami i oliwkowozieloną wykładziną. Na łóżku z kolumienkami leżała koronkowa kapa dokładnie w takim samym oliwkowym odcieniu.

Mama podprowadziła Leni do przewodu wentylacyjnego. Ostrożnie wyjęła zasłaniającą go kratkę i odłożyła ją na bok.

Przyklękła i pokazała Leni, żeby zrobiła to samo.

– Tak podsłuchiwałam zakonnice, kiedy przyszły wyrzucić mnie ze szkoły – wyszeptała.

Leni usłyszała echo kroków.

Męskie głosy.

– Archer Madison i Keller Watt. Wydział dochodzeniowo-śledczy, komenda policji w Seattle – przedstawili się przybyli.

Głos dziadka:

– Czemu zawdzięczamy wizytę o tak późnej porze, panowie? Coś wydarzyło się w okolicy?

– Przyszliśmy… w imieniu policji stanowej Alaski… wasza córka, Cora Allbright… ostatnio widziano ją… istnieje prawdopodobieństwo, że nie żyje.

Leni usłyszała rozpaczliwy krzyk babci.

– Pani pozwoli, proszę usiąść.

Cisza. Długa. Potem brzęk zamka przy teczce, szelest wyjmowanych papierów.

– Znaleziono ciężarówkę… krew w kabinie, wybite szyby, oczywiste miejsce przestępstwa, ślady… przez zwierzęta… wyniki testów niejednoznaczne… zdjęcia rentgenowskie złamanej ręki… chrząstki nosa. Prowadzone są poszukiwania, ale o tej porze roku… Pogoda. Bóg jeden wie, co znajdziemy po roztopach… państwa informować…

– Zabił je – dobiegły ją głośne, gniewne słowa dziadka. – Skurwysyn.

– …wiele doniesień… o agresywnym zachowaniu.

Leni odwróciła się do mamy.

– A więc się udało?

– No wiesz, morderstwo nie podlega przedawnieniu. A wszystko, co zrobiłyśmy i zrobimy chociażby w Biurze Pojazdów Mechanicznych, będzie stanowić dowód naszej winy. On dostał kulę w plecy, pozbyłyśmy się ciała, uciekłyśmy. Jeżeli kiedykolwiek go znajdą, zaczną nas szukać, a teraz jeszcze moi rodzice zostali w to wmieszani. Kolejne przestępstwo. Musimy bardzo uważać.

– Jak długo?

– Do końca życia, córeczko.

Kochany Matthew!

W tym tygodniu dzień w dzień wydzwaniam do szpitala rehabilitacyjnego, podając się za Twoją kuzynkę. Odpowiedź jest zawsze taka sama: bez zmian. Za każdym razem krwawi mi serce.

Wiem, że nigdy nie będzie mi wolno wysłać tego listu, a nawet gdybym mogła to zrobić, Ty i tak byś go nie przeczytał ani nie zrozumiał treści. Ale ja muszę pisać do Ciebie, choćby nadaremnie. Powiedziałam sobie (i ciągle to słyszę od innych), że muszę zacząć nowe życie. I próbuję. Naprawdę się staram.

Jednak Ty cały czas jesteś we mnie, jesteś częścią mnie, kto wie, czy nie tą najlepszą. I nie mówię tutaj tylko o naszym dziecku. Słyszę w głowie Twój głos. Rozmawiasz ze mną we śnie, przywykłam do łez na policzkach po przebudzeniu.

Moja mama chyba miała rację co do miłości. Ona, taka emocjonalnie zwichrowana, jednak rozumie, czym jest trwałość i obłęd tego uczucia. Nie można na siłę się zakochać ani odkochać.

Staram się odnaleźć w moim nowym życiu. Niełatwo mi to przychodzi. To znaczy, niełatwo przychodzi to Susan Grant. Jezdnie są zakorkowane, a po chodnikach przemieszczają się tłumy pieszych. Nikt do nikogo się nie uśmiecha, nikt nikogo nie pozdrawia. Ale miałeś rację, kiedy mówiłeś o pięknie. Potrafię je dostrzec, jeżeli tylko chcę. Widzę je w górze Rainiera, która przypomina mi wulkaniczną Iliamnę, i potrafi magicznie pojawiać się

i znikać. Tutaj ludzie nazywają ją po prostu Górą, bo mają tylko tę jedną. Nie tak jak w domu, gdzie łańcuchy górskie tworzą kręgosłup naszego świata.

Moi dziadkowie przykładają wielką wagę do najdziwniejszych rzeczy. Do nakrycia stołu, do pory posiłków, do tego, czy porządnie posłałam łóżko i odpowiednio ciasno splotłam włosy. Któregoś dnia babcia wręczyła mi pęsetę, mówiąc, że powinnam uregulować brwi.

Mieszkamy z mamą w małym wynajętym domu niedaleko dziadków i możemy ich odwiedzać, pod warunkiem że zachowamy ostrożność. Wydaje mi się, że mama jest zaskoczona tym, że dobrze się czuje w towarzystwie dziadków. Mamy mnóstwo jedzenia i nowych ubrań. Kiedy siedzimy razem przy stole, próbujemy zszywać nasze życia, łapać pogubione oczka.

Może to właśnie jest miłość.

Kochany Matthew!

Boże Narodzenie tutaj przypomina igrzyska olimpijskie. W życiu nie widziałam tylu błyskotek i takiej fury jedzenia. Dziadkowie wprawili mnie w zakłopotanie mnóstwem prezentów. Później, kiedy siedziałam przy oknie sama w swoim pokoju, patrząc na sąsiadów, od których musimy się trzymać z daleka, na domy ozdobione migoczącymi światełkami, myślałam o prawdziwej zimie. O Tobie. O nas.

Wyciągnęłam zdjęcie Twoich dziadków i jeszcze raz przeczytałam artykuł babci.

Zastanawiam się, jak to wszystko wpływa na nasze dziecko. Czy wyczuwa moją niepewność? Czy słyszy łkanie mojego złamanego serca? Chcę, żeby nasza córeczka była

szczęśliwa. Żeby była dzieckiem naszej miłości, nas takich, jakimi byliśmy.

Zdaje się, że dziecko się dzisiaj poruszyło.

Dam jej na imię Lily. Po Twojej babci.

Dziewczyna musi być silna, jeśli ma przetrwać w tym świecie.

Kochany Matthew!

Nie mogę uwierzyć, mamy nowy rok 1979. Zadzwoniłam dziś do szpitala i usłyszałam to samo co zawsze. Bez zmian.

Niestety, moja mama nakryła mnie na tej rozmowie. Wpadła w szał, nazwała mnie idiotką. Podobno taki telefon może doprowadzić policję do domu dziadków. Już nie będę mogła więcej dzwonić. Nie mogę narażać nas na ryzyko, ale jak ja wytrzymam bez tych telefonów? To była jedyna nić łącząca mnie z Tobą. Wiem, nie ma co liczyć na poprawę, a jednak przed każdym telefonem tliła się we mnie iskierka nadziei, myślałam, a może tym razem… Nic nie zostało mi poza nadzieją, choćby nawet najsłabszą.

To zła wiadomość, zawsze o takie łatwo. Ale jest nowy rok. Pewnie chciałbyś usłyszeć coś dobrego.

Otóż chodzę na zajęcia na Uniwersytecie Stanu Waszyngton. Moja babcia pociągnęła za sznurki i Susan Grant przyjęto na uczelnię bez okazania świadectwa ukończenia szkoły średniej. Tu, na kontynencie, życiem rządzą inne zasady. Liczy się, ile masz pieniędzy.

Uczelnia mnie rozczarowała. Część dziewczyn nosi takie puchate szetlandzkie sweterki, plisowane spódnice i kolanówki. Jak mi się zdaje, to oznaka przynależności do żeńskiej korporacji. Rozchichotane zbijają się w grupki jak

owce, a chłopcy, którzy je otaczają, zachowują się tak głośno, że niedźwiedź namierzyłby ich z odległości mili.

Na zajęciach wyobrażam sobie, że siedzisz przy mnie. Raz tak mocno w to uwierzyłam, że prawie zaczęłam pisać liścik do Ciebie, żeby Ci go przekazać pod stolikiem.

Tęsknię za Tobą. Każdego dnia, a jeszcze bardziej każdej nocy. Tak samo jest z Lily. Czasem budzi mnie jej kopanie. Kiedy się tak wierci, czytam jej wiersze Roberta Service'a i opowiadam o Tobie, a wtedy ona natychmiast się uspokaja.

Kochany Matthew!

Wiosna tutaj nie przypomina alaskańskiego przełomu. Nie odrywają się kawały ziemi, nie pękają z hukiem płaty lodu wielkości domów, żadne zagubione rzeczy nie odnajdują się w błocie.

Tutaj jest kolorowo. Nigdy nie widziałam tylu kwitnących drzew. Różowe płatki unoszą się nad kampusem.

Dziadek mówi, że śledztwo jest w dalszym ciągu otwarte, ale nikt już nas dłużej nie szuka. Zakładają, że nie żyjemy.

W pewnym sensie to prawda. Rodzina Allbrightów zniknęła bez śladu.

Nocami rozmawiam z Tobą i z Lily. Czy to objaw wariactwa, czy samotności? Wyobrażam sobie, że przytuleni leżymy we troje w łóżku i wsłuchani w uderzenia wiatru o szyby oglądamy zorzę polarną. Tłumaczę mojemu dziecku, że musi być mądre i odważne. Odważne jak tatuś. Będę je uczyć, jak się bronić w obliczu trudnych wyborów. Boję się, że nad nami, kobietami Allbrightów, ciąży jakaś klątwa, może więc lepiej, aby ona jednak okazała się chłopcem. Pamiętam, jak mówiłeś, że chcesz nauczyć

swojego syna wszystkiego, czego sam nauczyłeś się w gospodarstwie. Kiedy przywołuję tamte słowa, robi mi się tak smutno. Naciągam wtedy kołdrę na głowę i udaję przed sobą, że jestem zimą na Alasce. Bicie mojego serca zmienia się w uderzenia wiatru o szyby.

Chłopiec potrzebuje ojca, a Lily nie ma nikogo poza mną.

Biedna dziewuszka.

– Ta szkoła rodzenia to bzdura – wyjęczała Leni, kiedy kolejny skurcz ścisnął jej wnętrzności i zmusił do krzyku. – Chcę znieczulenie.

– Chciałaś rodzić naturalnie. Teraz za późno na znieczulenie – powiedziała mama.

– Mam tylko osiemnaście lat. Dlaczego ktoś miałby słuchać, czego chcę. Ja nic nie wiem.

Skurcz puścił. Ból ustąpił. Leni ciężko oddychała. Swędziała ją skóra na głowie pod wilgotnymi włosami, kropelki potu spływały po czole.

Mama z plastikowego kubeczka na stoliku przy łóżku wyjęła kawałeczek lodu i wsunęła go Leni do ust.

– Mamo, dodaj do tego morfiny – błagała. – Proszę cię. Ja tego nie wytrzymam. To był błąd. Nie jestem gotowa na bycie matką.

Mama się uśmiechnęła.

– Nikt nigdy nie jest.

Ból znowu zaczął przybierać na sile. Leni zacisnęła zęby, skupiła się na oddechu (jakby to miało pomóc) i wpiła paznokcie w dłoń mamy.

Dyszała z zaciśniętymi powiekami, walcząc z potężniejącą falą bólu. Dopiero kiedy ta, w końcu, powoli zaczęła odpływać,

opadła na łóżko bez sił. Matthew powinien tu być, pomyślała i czym prędzej odsunęła od siebie tę myśl.

Po paru sekundach pojawił się kolejny skurcz. Tym razem Leni przygryzła język do krwi.

– Krzycz – poradziła mama.

Do sali weszła lekarka, chuda kobieta w czepku i chirurgicznym niebieskim stroju. Nierówno wydepilowane brwi nadawały jej twarzy nieco asymetryczny wygląd.

– Pani Grant, jak się czujemy? – zwróciła się do Leni.

– Niech doktor to ze mnie wyciągnie, błagam.

Lekarka kiwnęła głową i nałożyła rękawice.

– Zobaczmy, co tam się dzieje, dobrze? – Rozsunęła strzemiona przy łóżku.

Normalnie Leni paraliżowałby wstyd, gdyby obca osoba siedziała między jej nogami, ale w tej chwili byłaby gotowa rozłożyć nogi nawet na punkcie obserwacyjnym na Space Needle, gdyby to mogło zakończyć ból.

– No, wygląda na to, że zaraz urodzimy – oznajmiła spokojnie lekarka.

– O w mordę! – wrzasnęła Leni przy kolejnym skurczu.

– Dobrze, Susan. Przyj. Mocno. Mocniej.

Leni parła, krzyczała, pociła się, klęła.

I nagle ból zniknął tak samo szybko, jak się pojawił.

Leni opadła na łóżko.

– Chłopczyk – powiedziała lekarka, odwracając się do mamy. – Babciu Eve, chcesz przeciąć pępowinę?

Leni jak przez mgłę widziała mamę przecinającą pępowinę i podążającą za lekarką; razem owinęły noworodka jasnoniebieskim kocykiem. Spróbowała usiąść, ale nie miała siły się dźwignąć.

Chłopczyk, Matthew. Twój synek. Ta świadomość wprawiła ją w panikę. Matthew, on ciebie potrzebuje. Ja nie dam rady…

Mama pomogła jej usiąść i wsunęła w ramiona mały tobołek.

Jej synek. Niewiarygodnie mała kruszyna z brzoskwiniową buzią, zamglonymi niebieskimi oczkami, które to otwierały się, to zamykały, i z wypukłymi usteczkami, które jakby coś ssały. Różowa piąstka wysunęła się z kocyka.

Kiedy Leni ją pogładziła, maciupkie paluszki zamknęły się wokół jej palca.

Gorąca, oczyszczająca miłość wypełniła jej serce.

– O mój Boże! – wyrwał jej się zdumiony okrzyk pełen nabożnego podziwu.

– No, widzisz – ucieszyła się mama. – Pytałaś, jak to jest.

– Matthew Denali Walker, junior – wyrecytowała cicho Leni. – Alaskanin w czwartym pokoleniu, który nigdy nie pozna swojego ojca, nie poczuje silnych objęć Matthew, nie usłyszy jego głosu. Hej, maluszku! – Uśmiechnęła się do niego.

Teraz rozumiała, dlaczego musiała uciekać po tamtej zbrodni. Wcześniej nie do końca to pojmowała. Wtedy nie miała pojęcia, co musiałaby stracić.

Jej dziecko. Jej synek.

Zrezygnuje z własnego życia, żeby go chronić. Zrobi wszystko, aby tylko zapewnić mu bezpieczeństwo. Nawet jeżeli miało to oznaczać przecięcie ostatniej wątłej nitki łączącej ją z Alaską i z Matthew, czyli rezygnację z telefonów do szpitala rehabilitacyjnego. Posłucha mamy i więcej tam nie zadzwoni. Już na samą myśl krwawiło jej serce, ale czy miała wybór? Była teraz matką.

Szlochała cicho. Może mama ją słyszała, domyślając się powodu, ale wiedziała, że nie ma słów, które mogłyby ją pocieszyć. A może wszystkie świeżo upieczone mamy płakały w takiej chwili?

– Matthew – wyszeptała, gładząc opuszkiem aksamitny policzek. – Będziemy ciebie nazywać MJ. Na twojego tatę

czasami mówiono Mattie, ale ja ani razu tak go nie nazwałam… Wiesz, on potrafił latać… Kochałby ciebie bardzo, bardzo mocno…

1986

27

– Nie mogę się pogodzić z tym, co zrobiłam z jej życiem – wyznała Cora, wdychając.

– Minęło tyle lat – zbagatelizowała te słowa jej matka. – Spójrz tylko na nią. Jest szczęśliwa. Po co w ogóle o tym rozmawiamy?

Cora chętnie przyznałaby jej rację. Dzień w dzień powtarzała sobie: patrz, jest szczęśliwa. Czasami niemal w to wierzyła. A potem pojawiał się taki dzień jak dziś. Nie wiadomo skąd brała się u niej ta nagła zmiana nastoju. Wpływ pogody? Być może. Dawne nawyki? Rodzaj destrukcyjnego strachu, który zagnieździł się w jej kościach na zawsze?

Siedem lat upłynęło od dnia, kiedy wyrwała Leni z Alaski i przywiozła do tego miasta zawieszonego na skraju morza.

Widziała, jak bardzo Leni stara się zapuścić korzenie w tej urodzajnej, wilgotnej glebie i rozkwitnąć. Niestety, Seattle, z setkami tysięcy mieszkańców, nigdy nie przemówi chropawym językiem bliskim pionierskiej duszy Leni.

Zapaliła papierosa, łapczywie wciągnęła dym i przytrzymała go w płucach. Ten znany rytuał natychmiast ją uspokoił. Zadarła podbródek, wydmuchała dym i spróbowała znaleźć wygodną pozycję na krześle kempingowym. Po nocy spędzonej w namiocie w pseudodzikich warunkach łamało ją w krzyżu, a oddech miała świszczący z powodu niekończącego się przeziębienia.

Leni stała nad rzeką z małym chłopcem po jednej stronie i starszym mężczyzną po drugiej. Eleganckim, wprawnym ruchem zarzuciła wędkę. Żyłka napięła się i chwilę tańczyła w powietrzu, po czym łukiem wpadła do gładkiej wody. Wszystko: woda, te trzy jakże różne postaci i pobliskie drzewa, tonęło w późnowiosennym blasku. Słońce świeciło i jednocześnie zaczął padać deszcz. Drobniutkie krople zbierały się w wilgotnym powietrzu.

Byli w parku narodowym Hoh Rain Forest, ostatniej prawdziwie dzikiej enklawie w tej gęsto zaludnionej, zachodniej części stanu Waszyngton. Przyjeżdżali tutaj, kiedy tylko mogli, i rozbijali namioty na polu kempingowym wyposażonym w bieżącą wodę i elektryczność. Tutaj, daleko od ludzi, mogli być sobą. Nie musieli się przejmować, że ktoś ich razem zobaczy, kombinować, wymyślać jakichś historii, opowiadać kłamstw. Co prawda od lat nie mówiło się już o rodzinie Allbrightów z Alaski, dawno zaprzestano też poszukiwań, niemniej zawsze lepiej było zachować czujność.

Leni twierdziła, że tu, na łonie natury, gdzie potężne drzewa chroniły przed ostrym słońcem, wreszcie naprawdę mogła swobodnie oddychać. Mówiła, że musi uczyć syna rzeczy, które stanowiły część jego spuścizny i których absolutnie nie da się wpoić w wybrukowanym i oświetlonym ulicznymi latarniami świecie. Rzeczy, których nauczyłby go jego tata.

W ostatnich latach ojciec Cory stał się zapalonym wędkarzem – a może po prostu był zakochanym dziadkiem, gotowym zrobić wszystko, żeby sprowadzić uśmiech na twarz Leni i MJ. Zamknął praktykę prawniczą i oddał się życiu rodzinnemu.

Tak więc pojawiali się na kempingu, gdy tylko nadarzyła się okazja, nie zważając na deszcz, który witał ich tutaj dziesięć na dwanaście razy nawet w środku lata. Łapali ryby i smażyli je na żeliwnej patelni na palenisku ułożonym z kamieni. Wieczorem,

gdy siedzieli wokół ogniska, Leni recytowała wiersze i opowiadała historie z Alaski.

Dla niej to nie była zwykła rozrywka. To była życiowa konieczność, sposób na rozładowanie stresu, który narastał w niej przez cały tydzień, kiedy wraz z tłumem studentów krążyła po rozległym kampusie uniwersytetu, pracowała na pół etatu w ogromnej księgarni Shorey's Bookstore na First Avenue, a wieczorami chodziła na dodatkowe zajęcia z fotografii.

Leni przyjeżdżała tutaj odnajdywać się na nowo w naturze, podtrzymywać ten fragment alaskańskiej duszy, jaki w niej pozostał, tworzyć więź synka z ojcem, którego nie znał, i z życiem, do jakiego miał prawo z pochodzenia. Alaska, ostatni nieokiełzany obszar, na zawsze miał pozostać domem Leni. Miejscem, do którego przynależała.

– Ależ on się dużo śmieje! – zauważyła matka Cory.

Cora pokiwała głową. Rzeczywiście, mimo uporczywego bębnienia narastającego deszczu o nylonowe namioty, plastikowe stoliki i wielkie jak talerze liście słyszała radosny śmiech wnuka.

MJ był najszczęśliwszym dzieckiem – chłopcem, który łatwo nawiązywał przyjaźnie, był grzeczny i nadal pozwalał się prowadzić do szkoły za rękę. Zajmowały go sprawy typowe dla jego rówieśników. Zbierał ruchome figurki z gier i filmów, czytał komiksy, latem uwielbiał lody na patyku. Jeszcze był mały, nie zadawał zbyt wielu pytań o ojca, ale wszyscy wiedzieli, że prędzej czy później musi to nastąpić. Cora wiedziała też, że MJ na razie nie dostrzegał smutku kryjącego się w uśmiechu jego mamy.

– Myślisz, że ona mi kiedyś wybaczy? – spytała swoją matkę, patrząc na Leni.

– Och, na miłość boską! Co ma wybaczyć? Że uratowałaś jej życie? Ta dziewczyna cię kocha, Coraline.

Cora łapczywie zaciągnęła się papierosem i zamyślona powoli wypuściła dym.

– Wiem, że mnie kocha. Nigdy, ani przez moment w to nie wątpiłam. Ale przez mnie dorastała w atmosferze wojny. Widziała rzeczy, jakich żadne dziecko nie powinno oglądać. Żyła w strachu przed człowiekiem, który miał ją kochać. Potem zabiłam go na jej oczach i uciekłam, zmuszając Leni do życia pod fałszywym nazwiskiem. Może, gdybym była silniejsza, bardziej odważna, doprowadziłabym do zmiany prawa tak jak Yvonne Wanrow.

– Tak, ale jej sprawa ciągnęła się całymi latami, zanim w końcu wywalczyła sprawiedliwość w Sądzie Najwyższym. Poza tym ty byłaś na Alasce, nie w Waszyngtonie. Skąd pewność, że prawo stanęłoby w obronie ofiary przemocy domowej? Ojciec mówi, że nadal rzadko się to zdarza. Musisz przestać się tym gryźć. Leni nie ma ci tego za złe. Popatrz tylko, stoi z synem nad wodą i uczy go łowić ryby. Twoja córka jest szczęśliwa, Coro. Wybaczyła ci. I ty też musisz sobie wybaczyć.

– Ona powinna wrócić do domu.

– Do domu? Do tej chaty bez bieżącej wody i elektryczności? Do chłopaka z uszkodzonym mózgiem? A co z ryzykiem oskarżenia o współudział? Jest teraz takie nowe badanie krwi. Coś z DNA. Nie pleć więc bzdur. – Wyciągnęła rękę i dotknęła jej ramienia. – Lepiej pomyśl, ile dobrego się dzieje. Twoja córka studiuje, zostanie wspaniałą fotografką. Ty lubisz pracę w galerii sztuki. W twoim domu jest zawsze ciepło, masz rodzinę, na którą możesz liczyć.

Rzeczywiście, to, co zrobiła córce, zostało jej wybaczone i nie wątpiła tutaj w szczerość Leni. A jednak mimo starań przez te wszystkie lata sama sobie nie potrafiła wybaczyć. I to nie myśl o tamtych strzałach ją prześladowała, bo w podobnych okolicznościach zrobiłaby to samo.

Nie mogła sobie wybaczyć tego, na co pozwalała i na co się zgadzała w tamtych wcześniejszych latach, które w końcu doprowadziły do tragedii. Miała do siebie pretensje za przekazaną córce chorą definicję miłości.

To przez Corę Leni musiała nauczyć się cieszyć niepełnym życiem, udając kogoś innego w innym miejscu.

Przez nią Leni być może nigdy nie zobaczy człowieka, którego kocha, ani nie wróci do domu. Jak miała sobie to wszystko wybaczyć?

Uśmiech.

Jesteś szczęśliwa.

Leni nie wiedziała, dlaczego musiała przypominać sobie o uśmiechu, żeby wyglądać na szczęśliwą w ten słoneczny czerwcowy dzień, kiedy w parku świętowali ukończenie studiów.

Była szczęśliwa.

Naprawdę.

Szczególnie dzisiaj. Była z siebie dumna. Pierwsza kobieta w ich rodzinie po studiach.

(Długo to trwało).

Była dwudziestopięcioletnią samotną matką. Od jutra z tytułem magistra sztuk pięknych. Miała kochającą rodzinę, najsłodsze dziecko pod słońcem, ciepłe mieszkanie. Nigdy nie chodziła głodna, nie marzła, nie żyła w strachu o swoją matkę. Owszem, jak każdemu rodzicowi, towarzyszyły jej typowe obawy o dziecko. Przechodzenie przez jezdnię, spadanie z huśtawki, obcy ludzie pojawiający się nie wiadomo skąd. Ale nie zasypiała przy wrzaskach i płaczu, a budząc się rano, nie patrzyła na podłogę zasypaną kawałkami szkła.

Była szczęśliwa.

Nieważne, że czasami, w takie dni jak ten, przeszłość uparcie przypominała o sobie.

To oczywiste, że dzisiaj, w ten szczególny dzień, była myślami przy Matthew. Ileż to razy ich rozmowy zaczynały się: kiedy skończymy studia…

Instynktownie podniosła aparat do twarzy i popatrzyła przez wizjer, pomniejszając obraz. Tak radziła sobie ze wspomnieniami, tak przetwarzała świat. Zatrzymywała go na zdjęciach. Za pomocą aparatu mogła dowolnie przycinać i kadrować swoje życie.

Szczęśliwa. Uśmiech.

Klik, klik, klik i znowu była sobą. Dostrzegała to, co istotne.

Czyste błękitne niebo bez jednej chmury na horyzoncie. Ludzie wokół niej.

Słońce przemawiało do mieszkańców Seattle w znanym im języku, wyciągało ich z domów na wzgórzach, zachęcało do nałożenia drogich sportowych butów, kazało wylec nad jeziora, w góry i na kręte leśne trakty. W powrotnej drodze ludzie wpadali do miejscowego Thriftway Grocery Store po paczkowane steki, które później piekli na grillu.

W Seattle dobrze się żyło. Bezpiecznie i wygodnie. Przejścia dla pieszych, sygnalizacja, kaski, policjanci na koniach i rowerach.

Jako matka ceniła całą tę dbałość o bezpieczeństwo i starała się odnaleźć w wygodnym życiu. Nikomu nie mówiła – nawet Corze – jak bardzo jej brakuje wycia wilków w nocy, dnia spędzonego samotnie na skuterze śnieżnym czy echa odgłosu pękających lodów podczas wiosennych roztopów. Zamiast polować, kupowała mięso, odkręcała kurek i już leciała woda, jednym przyciśnięciem guzika spłukiwała toaletę. Łosoś, którego latem rzucała na grill, był już oczyszczony, pokrojony

i umyty. Kupowała go w postaci srebrno-różowych filetów zamkniętych próżniowo w foliowych osłonkach.

Dzisiaj otaczający ją ludzie śmiali się i rozmawiali. Psy szczekały, podskakując do rzucanych frisbee, nastoletni chłopcy grali w piłkę.

– Zobacz! – MJ pokazał palcem różowy balon z napisem: GRATULACJE, ABSOLWENTKO! podrygujący na żółtej serpentynie. Chłopczyk trzymał w ręce nadgryzioną babeczkę i miał podbródek oklejony lukrem.

Wiedząc, jak szybko dorasta (chodził już do pierwszej klasy), Leni musiała nacieszyć się przytulaniem i całowaniem, dopóki na to pozwalał. Wzięła go na ręce. Wycisnął jej na policzku lepkiego buziaka, zarzucając ramionka na szyję i zaciskając je mocno, jakby bez niej miał utonąć (a tymczasem to ona utonęłaby bez niego).

– Kto gotowy na leguminę? – zawołała babcia Golliher ze swego miejsca za piknikowym stołem. Właśnie wystawiła ulubiony deser Leni: akutaq. Eskimoskie lody zrobione ze śniegu, margaryny Crisco, czarnych jagód i cukru. Mama specjalnie na ten cel trzymała w zamrażalniku śnieg zebrany w zimie.

MJ wywinął się z objęć Leni.

– Ja! Ja chcę akutaq! – zawołał i na wszelki wypadek, żeby na pewno go zauważono, podniósł obie ręce.

Babcia wyszła zza stołu i podeszła do Leni. Bardzo się zmieniła w ostatnich latach. Złagodniała, jednak nadal, nawet na piknik, ubierała się elegancko niczym na wizytę w country clubie.

– Jestem z ciebie bardzo dumna – wyznała Leni.

– Też jestem z siebie dumna.

– Moja znajoma z country clubu, Sondra, mówi, że w czasopiśmie „Sunset” mają wolne stanowisko asystenta

fotografa. Mam do niej zadzwonić w imieniu Susan Grant?

– No – zgodziła się Leni. – Znaczy, tak, poproszę. – Ciągle nie mogła się przyzwyczaić do sposobu, w jaki załatwiało się tutaj różne sprawy. Życie zdawało się nagradzać koneksje, a nie to, co się sobą reprezentowało.

Co do jednej rzeczy natomiast nie miała wątpliwości: była kochana. Babcia i dziadek przyjęli je z otwartymi ramionami. Od kilku lat Leni, mama i MJ wynajmowali niewielki dom we Fremont i odwiedzali dziadków w weekendy. Na początku obie z mamą bardzo się pilnowały, bały się zawierać znajomości, unikały rozmów z nieznajomymi. Po jakimś czasie alaskańska policja zaprzestała poszukiwań i wtedy obawa, że ktoś je może rozpoznać, przestała kłaść się cieniem na ich życiu.

Niespożyta energia i żywiołowość MJ zmieniła stateczny dom na Queen Anne Hill w miejsce pełne radości. We wspólne wieczory rodzina gromadziła się przed telewizorem i oglądała programy, które według Leni były pozbawione sensu (ona wolała książki; po raz trzeci czytała *Wywiad z wampirem*). MJ był kołem, oni szprychami. Łączyła ich wszystkich miłość do niego. Jeżeli on był szczęśliwy, to oni też. A MJ należał do bardzo szczęśliwych dzieci. Ludzie często tak o nim mówili.

Leni odszukała wzrokiem mamę. Stała sama na skraju placu zabaw, paliła, trzymając się nienaturalnie wygiętą ręką za krzyż.

Patrząc teraz na mamę z profilu, widziała jej ostro zarysowane kości policzkowe, blade usta, wychudzoną twarz. Jak zwykle była bez makijażu, jej cera wydawała się wręcz przezroczysta. Od roku nie farbowała włosów; poprzetykane siwizną miały odcień popiołu.

– Chcę akutaq! – zawołał MJ, ciągnąc Leni za rękaw. Po ostatnim zaziębieniu głos miał nadal schrypnięty. Odkąd zaczął

chodzić do prywatnej szkoły blisko domu, co rusz łapał przeziębienia, przy okazje przenosząc je na domowników.

– Jak mówimy? – spytała Leni.

– Poprooooszę, mamo – poprawił się MJ.

– Dobrze. Idź po babcię Corę. Powiedz jej, żeby wyrzuciła tego paskudnego papierocha i przyszła do stołu.

Puścił się biegiem, młócąc chudymi bladymi nogami jak trzepaczką do jajek. Blond czupryna podskakiwała w rytm kroków, odsłaniając jasną trójkątną buzię.

Leni patrzyła, jak ciągnie mamę za rękę do piknikowego stołu, a ona zaróżowiona od śmiechu posłusznie daje mu się prowadzić.

Coś na moment przyciągnęło uwagę Leni. Przy wejściu do parku zobaczyła mężczyznę. Jasne włosy.

To on.

Znalazł ją.

Nie.

Z jej piersi wydarło się westchnienie. Od lat nie dzwoniła do szpitala rehabilitacyjnego. Często podnosiła słuchawkę, ale ani razu nie wybrała numeru. Owszem, niebezpieczeństwo, że zostaną znalezione, zmalało, niemniej nadal istniało. Poza tym ilekroć przed laty tam dzwoniła, zawsze słyszała to samo: bez zmian.

Wiedziała, że uszkodzenia po upadku były nieodwracalne i że chłopiec, którego kochała, żył wyłącznie w jej wspomnieniach. Czasami, w nocy, szeptał do niej we śnie. To nie zdarzało się często, a mimo wszystko podtrzymywało na duchu. W jej marzeniach Matthew nadal był tamtym uśmiechniętym chłopakiem, który podarował jej aparat i udowodnił, że nie każda miłość budzi przerażenie.

– Chodźmy! – Babcia wzięła ją pod rękę.

– Jest cudownie – powiedziała Leni trochę sztucznie, nieobecnie. Dopiero kiedy MJ, podskakując, zaczął wykrzykiwać: – Jest super, mamo! – tym swoim głosikiem Myszki Miki, musiała się uśmiechnąć.

Ponure cienie rozproszyły się, smutki rozwiały i znowu było tylko tu i teraz: słoneczny dzień, świętowanie, rodzina. Życie jest pełne zaskakujących zmian. Radość pojawia się tak samo niespodziewanie jak słońce.

Była szczęśliwa.

Naprawdę, była.

– Mamuś, opowiedz mi o Alasce – poprosił MJ tego wieczoru, kiedy wdrapał się do łóżka i wsunął pod kołdrę.

Leni odgarnęła mu z czoła białe loki, myśląc – po raz nie wiadomo który – jak bardzo jest podobny do ojca.

– Posuń się – powiedziała.

Położyła się na łóżku obok niego, a on oparł głowę na jej ramieniu.

Pokój oświetlała jedynie lampka nocna z motywami z *Gwiezdnych wojen*. W przeciwieństwie do niej syn rósł w kulturze komercyjnej Ameryki. Wiedziała, że po pikniku w parku i wszystkich towarzyszących mu atrakcjach jest wykończony, ale i tak nie zaśnie bez historyjki na dobranoc.

– Dziewczynka, która kochała Alaskę…

To była jego ulubiona historia. Leni zaczęła ją snuć przed laty i cały czas dodawała nowe wątki. Wymyśliła lud, który żył w turkusowych mroźnych wodach alaskańskiego fiordu, w budowlach, które zatonęły po erupcji potężnego wulkanu Mount Aku. Ludzie należący do Klanu Kruków rozpaczliwie pragnęli wydostać się na powierzchnię, żeby znowu żyć

w słońcu, ale klątwa rzucona przez najstarszego syna wodza Klanu Orłów skazywała ich na pozostanie w lodowatych odmętach fiordu, dopóki zaklinacz nie zdejmie z nich złego uroku. Katyaaq, dziewczyna z dalekich stron, była taką zaklinaczką. Miała czyste serce i tajemną moc.

Historia rozwijała się z każdym tygodniem, a Leni co wieczór opowiadała jej tylko tyle, ile wystarczało do uśpienia MJ. Pomysł na postać Katyaaq zaczerpnęła z alaskańskich mitów, które czytała w dzieciństwie, i z surowej urody Alaski. Uki, chłopak z krwi i kości, którego Katyaaq kochała, nawoływał ją z brzegu.

To oczywiste, kim w wyobraźni Leni byli kochankowie i dlaczego ta historia rozwijała się tak tragicznie.

– Katyaaq sprzeciwiła się bogom i ośmieliła popłynąć do brzegu. To wydawało się niewykonalne, a jednak miłość do Uki obdarzyła ją szczególną siłą. Młóciła wodę ramionami i nogami tak długo, dopóki nie wynurzyła się ponad fale i nie poczuła na twarzy ciepła słonecznych promieni. Uki skoczył do zimnej jak lód wody, wołając jej imię. Widziała jego oczy: zielone jak spokojne wody zatoki, które niegdyś były domem dla ludu. I widziała włosy: jasne jak słoneczny blask. „Kat – powiedział Uki – weź mnie za rękę”…

Zobaczyła, że MJ już śpi. Nachyliła się, pocałowała go i ostrożnie zsunęła się z łóżka.

W małym parterowym domu panowała cisza. Mama pewnie w salonie oglądała *Dynastię*. Leni wyszła do przedpokoju. Kiedyś ten mroczny korytarz obłożony boazerią z imitacji drewna, później ozdobiony jej fotografiami i „dziełami” MJ, budził w niej klaustrofobię. Ale to było dawno temu.

Walczyła z dzikuską w sobie z taką samą determinacją, z jaką dawniej zmagała się z dziką przyrodą. Nauczyła się poruszać w tłumie, żyć w przestrzeni ograniczonej ścianami,

zatrzymywać się na światłach. Nauczyła się wypatrywać rudzików zamiast orłów, kupować ryby w Safeway, wydawać pieniądze na nowe ubrania w domu towarowym Frederick & Nelson. Nakładała odżywkę na pocieniowane, sięgające ramion włosy, modelowała je suszarką, no i starannie dobierała stroje. Regulowała brwi, a nawet goliła nogi i pachy.

Kamuflaż. Sztuka wtapiania się w otoczenie.

Weszła do swojej sypialni i pstryknęła światło. Przez te wszystkie lata niczego w tym pokoju nie zmieniła, niczym go nie ozdobiła. Nie widziała sensu. Mało przytulne, surowe wnętrze urządzone meblami z wyprzedaży garażowych. O tym, że ten pokój należał do Leni, świadczył zgromadzony tu sprzęt fotograficzny – aparaty, obiektywy, żółte kasetki z filmami oraz sterty fotografii i albumów ze zdjęciami. Jeden album był w całości wypełniony zdjęciami Matthew oraz Alaski. W pozostałych znajdowały się nowe prace. Za ramą w narożniku lustra trzymała fotografię dziadków Matthew z napisem: TO MOGLIŚMY BYĆ MY. Obok zatknęła pierwsze zdjęcie, jakie zrobiła Matthew swoim starym polaroidem.

Otworzyła drzwi na biegnącą wzdłuż domu wąską werandę wyłożoną cedrowymi deskami. W ogródku na tyłach mama urządziła całkiem spory warzywnik. Leni wyszła na werandę i usiadła na jednym z drewnianych foteli, które zastały w tym domu, kiedy się do niego wprowadziły. Nad głową miała bezkres usianego gwiazdami nieba. Masywny cedrowy płot wyznaczał granicę ich niewielkiej działki. Czuła zapach pierwszych letnich biesiad przy grillu, słyszała podzwanianie odstawianych na noc dziecinnych rowerków i poszczekiwanie psów. Gdzieś niedaleko głośno zakrakała wrona.

Odchyliła się na oparcie, zadarła głowę i zapatrzyła się w niebo.

– Hej – odezwała się mama, stając za nią. – Masz ochotę na towarzystwo?

– Jasne.

Mama zajęła drugi fotel, ustawiony na tyle blisko, aby siedząc, mogły się trzymać za ręce. Ta wąska weranda stała się ich ulubionym miejscem. Czasami, szczególnie o tej porze roku, powietrze pachniało różami.

– Nie wiem, co bym dała za widok zorzy polarnej – wyznała Leni.

– O taak. Ja też.

Zapatrzyły się na kopułę nocnego nieba. Żadna z nich się nie odzywała; nie musiały nic mówić. Leni wiedziała, że obie myślą o miłości, którą kiedyś przeżyły.

– Ale mamy MJ. – Mama pierwsza przerwała ciszę.

Leni poszukała jej ręki.

MJ. Ich radość, ich miłość, ich ratunek.

28

Cora miała zapalenie płuc. Nic w tym zaskakującego. Od tygodni łapała wszystkie infekcje, które MJ przynosił ze szkoły.

Siedziała teraz w sterylnej poczekalni, coraz bardziej poirytowana. Spieszyło jej się do domu.

Czekała.

Oczywiście Cora doceniała znaczenie tych wszystkich „tak na wszelki wypadek” badań, na które nalegał lekarz jej matki, ale ona chciała tylko dostać receptę na antybiotyk i jak najszybciej stąd wyjść. Niedługo MJ wróci ze szkoły.

Niecierpliwie przerzuciła najnowszy numer magazynu „People”. Zaczęła rozwiązywać krzyżówkę na ostatniej stronie, ale słabo jej szło, bo nie śledziła popkulturowych zjawisk.

Ponad pół godziny później do poczekalni zajrzała pielęgniarka o niebieskich włosach, zaprowadziła ją do małego gabinetu ze ścianami obwieszonymi dyplomami oraz mnóstwem certyfikatów i wskazała twarde czarne krzesło.

Cora usiadła, instynktownie krzyżując nogi w kostkach, tak jak ją nauczono w dawnych czasach przynależności do elitarnego country clubu. Nagle przyszła jej do głowy abstrakcyjna myśl, że to metafora wszystkich zmian dotyczących kobiet, jakie dokonały się za jej życia. Ludzi przestało obchodzić, w jaki sposób siadają kobiety.

– A więc, pani Evelyn – zaczęła lekarka. Sprawiała wrażenie osoby nieprzystępnej, miała kędzierzawe włosy i wyraźną skłonność do szczodrego nakładania podkładu. Wyglądała,

jakby cała jej dieta składała się z czarnej kawy i surowych warzyw, jednak jakie prawo miała ona, Cora, do krytykowania kobiet za to, że były chude? Za biurkiem lekarki na podświetlonym ekranie wisiały klisze rentgenowskie.

– Gdzie widać to zapalenie płuc? – spytała Cora, ruchem podbródka pokazując na zdjęcia. To, co widziała, przypominało żerującą ośmiornicę.

Lekarka otworzyła usta, zawahała się.

– Pani doktor?

Doktor Prasher wskazała jedną z klisz.

– Widzi pani te duże białe przestrzenie? Tutaj, tutaj i tutaj? Cień wzdłuż kręgosłupa? To wszystko wskazuje na nowotwór płuc. Dla pewności musimy wykonać kolejne badania, ale…

Chwila. Co takiego?

Jak to możliwe?

No dobra. Była palaczką. A to rak płuc. Całe lata Leni namawiała ją do rzucenia nałogu, ostrzegała przed takim scenariuszem. A ona śmiała się i odpowiadała: do diabła, córciu, mogę stracić życie, przechodząc przez jezdnię.

– Tomografia wykazała przerzuty do wątroby.

Lekarka cały czas mówiła, ale w uszach Cory słowa brzmiały jak kakofonia samogłosek i spółgłosek przedzielanych oddechami. Bronchoskopia, guz, agresywna odmiana, zwykłe słowa użyte w niezwykłym, trudnym do ogarnięcia kontekście.

– Ile mam czasu? – zapytała Cora, zbyt późno orientując się, że weszła lekarce w słowo.

– Tego nikt nie potrafi przewidzieć, pani Grant. Ale nowotwór wygląda na agresywny. Czwarty stopień, już z przerzutami. Wiem, że to dla pani trudne.

– Ile czasu mi zostało?

– Jest pani stosunkowo młodą kobietą. Zastosujemy radykalne leczenie.

– Uhm.

– Zawsze jest nadzieja, pani Grant.

– Czyżby? – podchwyciła Cora. – Jest także karma.

– Karma?

– Miał w sobie truciznę – mruknęła Cora do siebie. – A ja ją wchłonęłam.

Doktor Prasher przechyliła się nad biurkiem.

– Pani Evelyn – zaczęła, ściągając brwi – mamy do czynienia z chorobą, a nie z karą czy pokutą za grzechy. To jakieś średniowieczne myślenie.

– Uhm.

– W takim razie – lekarka wstała zza biurka – dziś po południu zrobimy bronchoskopię. Badanie powinno potwierdzić diagnozę. Chciałaby pani do kogoś zadzwonić?

Cora podniosła się z krzesła. Zakręciło jej się w głowie, musiała przytrzymać się oparcia. Ból w dole kręgosłupa znowu się odezwał, teraz, kiedy wiedziała, co jej jest, był jakby silniejszy.

Rak.

Mam raka.

Nie wyobrażała sobie, że mogłaby powiedzieć to głośno.

Przymknęła powieki, powoli wypuściła oddech. Wyobraziła sobie – przywołała w pamięci – małą dziewczynkę z niesfornymi rudymi loczkami, pulchnymi łapkami i piegami jak płatki cynamonu. Ta dziewczynka wyciągała do niej ręce, wołając: mamo, kocham cię.

Cora tyle przeszła. Przeżyła, kiedy mogła umrzeć. Widziała swoje dalsze życie na sto sposobów, myślała o tysiącu możliwości rekompensaty. Wyobrażała sobie, jak się starzeje, a nawet dziecinnieje, śmieje się, kiedy powinna płakać, sypie sól zamiast cukru. W marzeniach widziała, jak Leni ponownie się zakochuje, wychodzi za mąż, rodzi drugie dziecko.

Marzenia.

W jednej chwili wyraźnie zobaczyła, co było sensem jej życia. Zniknęły lęki, rozczarowania i żale. Pozostała tylko jedna rzecz, która się liczyła: jak to możliwe, że od początku tego nie wiedziała? Po co zmarnowała tyle czasu na poszukiwanie siebie? Powinna była wiedzieć. Zawsze. Od samego początku.

Była matką. Matką. A teraz…

Moja Leni.

Jak kiedykolwiek zdoła się z nią pożegnać?

Leni stała przed zamkniętymi drzwiami sali, w której leżała mama, i starała się uspokoić oddech. Słyszała dochodzące zewsząd odgłosy: cichy szurgot butów na gumowych podeszwach, popiskiwanie wózków popychanych od drzwi do drzwi, wiadomości płynące z głośników.

Wreszcie wyciągnęła rękę i nacisnęła zimną metalową klamkę.

Weszła do dużego pomieszczenia podzielonego na części zasłonami przymocowanymi do karniszy na sufitach.

Mama siedziała na łóżku wsparta na stercie białych poduszek. Wyglądała jak zabytkowa lalka z woskową skórą naciągniętą zbyt ciasno na delikatnie wyrzeźbionej twarzy. Z dekoltu obszernej szpitalnej koszuli wystawały kości obojczyków.

– Cześć – odezwała się Leni. Pochyliła się nad łóżkiem i pocałowała mamę w miękki policzek. – Mogłaś powiedzieć, że wybierasz się do lekarza. Poszłabym z tobą… – Odgarnęła jej z oczu pasmo szaro-blond włosów. – Masz zapalenie płuc?

– Nowotwór płuc czwartego stopnia. Niestety, to podstępne małe paskudztwo zaatakowało kręgosłup i wątrobę. Mam je we

krwi.

Leni dosłownie odrzuciło o krok do tyłu. O mało nie zakryła dłońmi twarzy.

– Co?!

– Przykro mi, córeczko. Nie jest dobrze. Lekarka specjalnie nie daje nadziei.

W gardle Leni wzbierał krzyk.

Nie mogła złapać oddechu.

Nowotwór.

– Boli cię coś?

Nie. Nie to chciała powiedzieć. A co właściwie chciała?

– Ach tam. – Mama machnęła poznaczoną niebieskimi żyłkami ręką. – Jestem twardą Alaskanką. – Sięgnęła za plecami Leni po papierosa.

– Tutaj chyba nie wolno palić.

– Na pewno nie – przytaknęła, przypalając go drżącą dłonią. – Niedługo zaczynam chemioterapię. – Spróbowała się uśmiechnąć. – Już się nie mogę doczekać, kiedy zacznie mnie mdlić i stracę włosy. Na pewno będzie mi bez nich do twarzy.

Leni podeszła bliżej łóżka.

– Będziesz walczyć, tak? – Zatrzepotała powiekami, żeby powstrzymać łzy. Nie chciała, żeby mama je zobaczyła.

– Oczywiście, skopię gnojkowi tyłek.

Leni skinęła głową i wierzchem dłoni osuszyła oczy.

– Wyjdziesz z tego. Dziadek załatwi ci najlepszą opiekę w mieście. Ma znajomego w zarządzie Centrum Onkologicznego Freda Hutcha. Będzie…

– Będzie dobrze, Leni.

Mama pocieszającym gestem położyła dłoń na jej ręce. Leni stała nad matką połączona z nią oddechem, dotykiem i dożywotnią miłością. Chciała powiedzieć coś sensownego, ale

jaką wagę mogło mieć kilka marnych słów w obliczu morza nieszczęścia?

– Nie mogę cię stracić – wyszeptała.

– Tak. Wiem, córciu. Wiem.

Kochany Matthew!

Ostatni list do Ciebie napisałam zalewie przed kilkoma dniami. Zabawne, jak bardzo życie może się zmienić w ciągu tygodnia.

Nie, wcale nie zabawne. To jedno jest pewne.

Wczoraj, kiedy leżałam w moim wygodnym łóżku, w piżamie kupionej w sklepie, naszły mnie refleksje, które dotąd jakoś odsuwałam od siebie. I tak znowu myślami wróciłam do Ciebie.

Chyba za mało rozmawialiśmy o śmierci Twojej mamy. Może dlatego, że byliśmy jeszcze dzieciakami, a może dla Ciebie to była za duża trauma. Niemniej powinniśmy byli rozmawiać o tym później, kiedy dorośliśmy.

Dlaczego Cię nie zapewniłam, że zawsze będę gotowa dzielić Twój ból? Powinnam była poprosić Cię o wspomnienia związane z mamą.

Teraz widzę, że cierpienie przypomina stąpanie po kruchym lodzie. Nie straciłam jeszcze mojej mamy, ale jedno słowo oddaliło ją ode mnie, oddzieliło barierą, której nigdy wcześniej między nami nie było. Po raz pierwszy się okłamujemy. Czuję to. Kłamiemy, chcąc chronić siebie nawzajem.

Ale nie ma takiej ochrony, prawda?

Ona ma raka płuc.

Boże, jak bardzo bym chciała, żebyś tutaj przy mnie był.

Odłożyła długopis. Tym razem pisanie do Matthew nie przyniosło jej ulgi.

Właściwie poczuła się jeszcze gorzej. Bardziej samotna, opuszczona.

Jakie to żałosne, że nie miała nikogo, z kim mogłaby o tym wszystkim porozmawiać. Jej najbliższa koleżanka nie miała pojęcia, kim ona naprawdę była.

Złożyła kartkę i włożyła ją do pudełka po butach, w którym trzymała wszystkie napisane przez lata i nigdy niewysłane listy.

Tamtego lata Leni patrzyła, jak rak zjada jej mamę. Najpierw zniknęły włosy, po nich przyszła kolej na brwi. Potem zapadły się ramiona i cała sylwetka, coraz większy kłopot sprawiał ruch.

Pod koniec lipca, kiedy nowotwór już tyle mamie zabrał, najświeższe badanie tomograficzne pokazało prawdę. Nic, co robiono, nie przynosiło pozytywnych efektów.

Kiedy dowiedziały się, że wszelkie metody zawiodły, Leni akurat siedziała przy mamie, trzymając ją za rękę. Rak rozpełzł się po całym organizmie, wżerał się w kości, niszczył narządy. Nie było więcej mowy o podjęciu kolejnych terapii.

Zabrali mamę do domu Golliherów, ustawili szpitalne łóżko w nasłonecznionym ogrodzie zimowym i zatrudnili opiekunkę z hospicjum.

Mama walczyła o życie, walczyła z większą determinacją niż o cokolwiek kiedykolwiek przedtem, ale rak nic sobie nie robił z jej wysiłków.

Teraz powoli uniosła się na łóżku i usiadła wsparta bezwładnie na poduszkach. W poznaczonej żyłkami dłoni drżał niezapalony papieros. Oczywiście już nie paliła, ale lubiła go chociaż potrzymać. Na białej poszewce kilka pasemek włosów

wyglądało jak złota przędza. Przy łóżku stał zbiornik z tlenem, przezroczyste rurki wsunięte do nosa pomagały mamie oddychać.

Leni wstała z krzesła przy łóżku i odłożyła książkę, którą czytała na głos. Nalała wody do plastikowego kubeczka. Mamie tak bardzo drżały ręce, że musiała pomóc jej donieść kubek do ust. Mama upiła łyczek. Atak kaszlu zatrząsł wychudzonymi ramionami. Leni była gotowa przysiąc, że usłyszała grzechotanie kości pod skórą.

– Dziś w nocy przyśniła mi się Alaska – powiedziała mama, opadając z powrotem na poduszki. Podniosła wzrok na Leni. – Nie było tak źle, co?

Leni zmartwiała. Zgodnie z cichą umową od lat nie rozmawiały o Alasce ani o tacie czy Matthew, ale może kiedy zbliżał się koniec, powrót do początków był nieunikniony.

– Mnóstwo rzeczy było wspaniałych – zgodziła się. – Kochałam Alaskę. Kochałam Matthew. Kochałam ciebie. Nawet tatę kochałam – wyznała cicho.

– Było fajnie. Chcę, żebyś o tym pamiętała. Życie tam stanowiło przygodę. Wiem, że kiedy się wspomina, pierwsze przychodzą na myśl złe rzeczy. Agresja taty. Moje wieczne usprawiedliwianie jego zachowań. I ta żałosna miłość do niego. Ale były też dobre chwile. Pamiętaj o tym. Tata ciebie kochał.

Ta rozmowa sprawiała Leni ból, ale widziała, jak bardzo mama jej potrzebowała.

– Wiem – przytaknęła.

– Opowiesz o mnie MJ, dobrze? O tym, jak śpiewając, zawsze myliłam słowa, jak chodziłam w szortach i sandałkach i jak cholernie dobrze w nich wyglądałam. Opowiedz mu, jak nauczyłam się być twardą Alaskanką, chociaż wcale nie miałam na to ochoty, i że parłam do przodu, nie dając się złamać. A,

i koniecznie powiedz mu, że kochałam jego mamę od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałam, i że jestem z niej dumna.

– Mamo, ja ciebie też kocham – powiedziała Leni, czując, że to za mało. Absolutnie za mało, ale zostały im tylko słowa – mnóstwo słów – i tak niewiele czasu.

– Jesteś dobrą matką, Leni, mimo że masz tak niewiele lat. Ja nigdy nie byłam taką dobrą jak ty.

– Mamo…

– Żadnych kłamstw, córciu. Ja nie mam czasu.

Leni nachyliła się i odgarnęła jej z czoła parę kosmyków. Włosy były wiotkie i miękkie jak gęsi puch. Z bólem serca patrzyła, jak matka znika w oczach. Z każdym oddechem jej ubywało.

Mama z wysiłkiem sięgnęła do szafki nocnej. Górna szuflada wysunęła się bezszelestnie. Drżącą ręką wyjęła z niej kartkę staranie złożoną na trzy części.

– Masz.

Leni nie chciała tego wziąć.

– Proszę cię.

Leni wzięła kartkę, starannie ją rozłożyła i przebiegła wzrokiem drobne, ledwo czytelne pismo mamy.

Ja, Coraline Margaret Golliher Allbright, zastrzeliłam mojego męża, Ernta Allbrighta, podczas fizycznego ataku na mnie.

Obciążyłam zwłoki potrzaskami na zwierzęta i wrzuciłam je do jeziora Glass Lake. Uciekłam z obawy przed karą więzienia, mimo że nie miałam wątpliwości – i nie mam ich do dziś – iż tamtego wieczoru ocaliłam własne życie. Mój mąż przez całe lata zachowywał się wobec mnie agresywnie. Wielu mieszkańców Kaneq podejrzewało go o przemoc domową i starało się mi pomóc. Ja tę pomoc odrzucałam.

Śmierć mojego męża obciąża moje sumienie. Poczucie winy objawiło się u mnie rakiem, który w tej chwili mnie zabija. Boska sprawiedliwość.

Zabiłam go i pozbyłam się ciała. Zrobiłam to wszystko sama. Moja córka nie miała z tym nic wspólnego.

Z poważaniem,

Coraline Allbright

Pod złożonym drżącą ręką podpisem matki widniał podpis dziadka jako prawnika, a zarazem świadka, poświadczony pieczęcią notarialną.

Mama zakaszlała w kłąb chusteczek i wciągając zaflegmiony oddech, podniosła oczy na Leni. Na jedną straszną chwilę czas się zatrzymał, świat znieruchomiał.

– Pora, Leni. Żyłaś moim życiem, córciu. Czas, żebyś zaczęła żyć własnym.

– Dzięki temu, że nazywasz siebie morderczynią, udając, że jestem niewinna? Tak chcesz, żebym zaczęła własne życie?

– Wracając do domu. Dziadek mówi, że możesz złożyć całą winę na mnie. Twierdzić, że nic nie wiedziałaś. Byłaś dzieckiem. Uwierzą ci. Tom i Marge będą cię wspierać.

Leni pokręciła głową.

– Nie zostawię cię – powiedziała tylko. Na nic więcej nie było jej stać. Przytłaczał ją potworny smutek.

– Och, córeczko. Ile razy w swoim życiu musiałaś mnie o tym zapewniać? – Wydała z siebie znużone westchnienie, patrząc na Leni smutnymi, wodnistymi oczami. – To ja ciebie zostawię. Nie ma od tego ucieczki. Proszę cię – dokończyła szeptem. – Zrób to dla mnie. Bądź silniejsza, niż ja kiedykolwiek byłam.

Dwa dni później Leni stała przed wejściem do ogrodu zimowego, z niepokojem nasłuchując świszczącego oddechu mamy podczas jej rozmowy z babcią.

Przez otwarte drzwi doszło do niej „przepraszam” wypowiedziane drżącym głosem przez babcię.

Zdążyła już znienawidzić to słowo. Wiedziała, że w ostatnich latach obie kobiety powiedziały sobie wszystko, co było do powiedzenia. Przy różnych okazjach powracały do przeszłości. Nie doszło między nimi do jakiejś jednej oczyszczającej rozmowy z płaczem i przytulaniem; to były raczej takie momenty, kiedy temat przeszłości wypływał mimochodem. Analizowały decyzje i wyznawane poglądy, przepraszały się i wybaczały sobie nawzajem. To wszystko bardzo je do siebie zbliżyło. Znowu były matką i córką. Łącząca je więź – kiedyś tak wątła, że do jej przerwania wystarczyło wypowiedziane w złości słowo – w obliczu śmierci okazała się nierozerwalna.

– Mamuś! Tutaj jesteś! Wszędzie cię szukałem – zawołał MJ, wpadając na Leni z impetem. W ręce ściskał swoją ulubioną książeczkę *Gdzie mieszkają dzikie stwory*. – Babcia powiedziała, że mi poczyta.

– Nie wiem, skarbie…

– Obiecała. – Po tej deklaracji przepchnął się obok niej i wszedł do pokoju zimowego krokiem Johna Wayne’a szukającego zwady. – Tęskniłaś za mną, babciu?

Leni usłyszała cichy śmiech mamy. A zaraz potem metaliczny brzęk oraz pisk MJ po zderzeniu ze zbiornikiem z tlenem.

Jakiś czas później babcia, wychodząc z pokoju zimowego, zatrzymała się przy Leni.

– Pyta o ciebie – powiedziała cicho. – Cecil już u niej był.

Obie wiedziały, co to znaczyło. Wczoraj mama przez wiele godzin była nieświadoma.

Babcia wzięła Leni za rękę, chwilę przytrzymała jej dłoń, z ciężkim westchnieniem obejrzała się jeszcze na pokój zimowy, odeszła korytarzem i zniknęła na schodach prowadzących do jej sypialni, gdzie jak Leni podejrzewała, mogła sobie wreszcie pozwolić na łzy. Wszyscy z całej siły tłumili płacz przy mamie.

– Poczytaj mi, babciu. – Przez otwarte drzwi doszła Leni piskliwa prośba MJ i niezrozumiała odpowiedź mamy.

Zerknęła na zegarek. Obecność MJ nużyła mamę już po kilku minutach. Był dobrym dzieciakiem, ale hałaśliwym i niepotrafiącym usiedzieć na miejscu. Jak wszystkich chłopców w tym wieku rozpierała go energia.

– Tamtej nocy Max przywdział strój wilka i wyczyniał najróżniejsze psoty… – Słaby głos mamy popłynął w rozświetlonym słońcem powietrzu, niosąc ze sobą mnóstwo wspomnień.

Leni, od zawsze wyczulona na brzmienie głosu matki, teraz wsłuchiwała się w niego bardziej niż kiedykolwiek, bo każde słowo, każde tchnienie mogło być tym ostatnim. Nauczyła się tłumić strach, chować go głęboko i maskować uśmiechem, ale nieodmiennie towarzyszyła jej myśl: Czy to ten oddech? Czy już koniec?

Trudno było wierzyć w szansę na choćby chwilową ulgę. Mama bardzo cierpiała i nawet sama nadzieja, że przetrwa jeszcze jeden dzień, kolejną godzinę, wydawała się Leni egoistyczna.

Usłyszała, jak mama mówi:

– Koniec.

To słowo miało drastyczne, podwójne znaczenie.

– Babciu, przeczytaj jeszcze jedną historyjkę!

Leni weszła do pokoju zimowego.

Szpitalne łóżko ustawiono w takim miejscu, aby padało na nie jak najwięcej światła. Skąpane w słonecznym blasku,

otoczone zielenią domowych roślin wyglądało jak łoże z baśni.

Mama sama była jak Śpiąca Królewna albo Śnieżka. Tylko jej usta miały jeszcze ślad koloru, cała reszta, drobna i bezbarwna, zdawała się wtapiać w białą pościel. Przezroczyste plastikowe rurki wystające z nozdrzy i poprowadzone za uszami ginęły w zbiorniku z tlenem.

– Wystarczy, MJ – powiedziała stanowczo Leni. – Babcia musi się zdrzemnąć.

– Kurde, nie! – zaprotestował, zwieszając ramiona.

Mama prychnęła śmiechem, który przeszedł w atak kaszlu.

– Piękny język, wnusiu – wyszeptała chrapliwie.

– Babcia znowu pluje krwią – zauważył.

Leni wyciągnęła chusteczkę higieniczną z pudełka przy łóżku i delikatnie otarła mamie krew z twarzy.

– Daj babci buziaka i biegnij do dziadka. Ma dla ciebie nowy model samolotu, czeka, żeby go razem z tobą poskładać.

Ręka mamy zsunęła się poza krawędź łóżka. Wierzch dłoni znaczyły siniaki po licznych wkłuciach.

MJ z impetem przypadł do łóżka, trzęsąc nim i przy okazji uderzając kolanem w zbiornik z tlenem. Ostrożnie złożył pocałunek na zasinionej dłoni.

Kiedy zniknął, mama z westchnieniem opadła na poduszki.

– Ten dzieciak jest jak łoś. Zapisz go do baletu albo na gimnastykę – wyszemrała.

– Dobrze, zapiszę. – Leni ledwo ją słyszała. – Jak się czujesz? – spytała, nachylając się nisko.

– Zmęczona, córciu.

– Wiem.

– Jestem taka zmęczona, ale… nie mogę cię zostawić. Nie… mogę. Nie wiem jak. Jesteś dla mnie… Jesteś miłością życia.

– Groszki w strączku – szepnęła Leni.

– Jedyne takie. – Zakaszlała. – Jak myślę o tym, że zostaniesz sama, beze mnie…

Leni dotknęła ustami do czoła mamy. Zdawała sobie sprawę, co musi teraz powiedzieć, czego matka oczekuje. Zawsze wiemy, kiedy być silnym, gdy trzeba okazać wsparcie najbliższej osobie.

– Poradzę sobie, mamo. Wiem, że będziesz przy mnie.

– Zawsze – wyszeptała głosem, który bardziej przypominał tchnienie. Uniosła drżącą rękę i pogładziła Leni po policzku. Dłoń miała zimną. Ten niewielki ruch ręką kosztował ją mnóstwo wysiłku.

– Możesz odejść – wyszeptała Leni.

Mama wydała z siebie przeciągłe westchnienie. Słychać było, jak długą i trudną toczyła walkę. Jej dłoń opadła ciężko na pościel. Zamknięte palce otworzyły się jak kwiat, wypadła spod nich zmięta, poplamiona krwią chusteczka.

– Och, Leni… jesteś miłością mojego życia… Martwię…

– Będzie dobrze – skłamała Leni. – Kocham cię, mamo. –Łzy potoczyły jej się po policzkach.

Nie zostawiaj mnie. Nie poradzę sobie sama.

Powieki mamy opadły z drżeniem.

– Kochałam… cię… córciu.

Leni ledwo dosłyszała te ostatnie wyszemrane słowa. Odczuła ostatni oddech mamy tak mocno, jakby ona sama go wypuściła.

29

– Chciała, żeby ci to dać.

Babcia stała w otwartych drzwiach sypialni Leni, cała w czerni. Nawet w żałobie wyglądała elegancko. Niegdyś mama stroiłaby z tego żarty, bo patrzyła z góry na kobiety, które przejmowały się swoim wyglądem. Ale Leni wiedziała, że czasem człowiek chwyta się różnych sposobów, by utrzymać się na powierzchni. Może czerń była tarczą, komunikatem: nie rozmawiaj ze mną, nie zbliżaj się, nie zadawaj bezsensownych, zwykłych pytań, gdy świat wali mi się na głowę.

Leni natomiast wyglądała jak rozbitek wyrzucony na brzeg. Od doby, od śmierci mamy, nie wzięła prysznica, nie umyła zębów, nie zmieniła ubrania. Tkwiła w swoim pokoju za zamkniętymi drzwiami. Wywlokła się stamtąd o drugiej, bo musiała odebrać MJ ze szkoły. Kiedy nie było go w domu, tonęła samotnie w poczuciu straty.

Odrzuciła kołdrę i poruszając się sztywno, jakby wraz z odejściem mamy ubyło jej sił, przeszła przez pokój i odebrała szkatułkę od babci.

– Dziękuję.

Popatrzyły na siebie, obie, odzwierciedlenie rozpaczy. Babcia, nie mówiąc nic więcej (jakie znaczenie miały słowa?), odwróciła się i wyprostowana jak struna odeszła korytarzem. Gdyby Leni jej nie znała, powiedziałaby, że to kobieta pozbawiona emocji, twarda jak skała. Na schodach babcia zmyliła krok i przystając, chwyciła się poręczy. Dziadek, jak

zawsze w pogotowiu, kiedy go potrzebowała, wyłonił się z gabinetu i podał jej ramię.

Schodzili razem, z głowami przechylonymi ku sobie; portret ludzi przygiętych nieszczęściem.

Leni było przykro, że nie potrafi im pomóc, ale jak trzy osoby przygięte smutkiem miały wzajemnie się ratować?

Wróciła do łóżka. Siadając, położyła palisandrową szkatułkę na kolanach. Pamiętała ją, oczywiście. Kiedyś trzymali w niej karty do gry.

Ten, kto zrobił to puzderko, tak długo polerował drewno, że lśniło jak szkło. Zapewne rodzice kupili ją wieki temu gdzieś w drodze, kiedy mieszkając w przyczepie kempingowej, dotarli aż do Tijuany. To było jeszcze przed Wietnamem, Leni nie pamiętała tamtej podróży, ale słyszała, jak mama z tatą ją wspominali.

Z westchnieniem uniosła wieczko. Zobaczyła w środku mnóstwo drobiazgów. Tanią srebrną bransoletkę z wisiorkami, komplet kluczy z breloczkiem z napisem: TAK TRZYMAĆ, różową muszelkę przegrzebka, zamszową portmonetkę obszytą koralikami, talię kart, kościaną figurkę Eskimosa z dzidą.

Wyjmowała po kolei te przedmioty, usiłując dopasować do nich jakieś okoliczności z życia mamy. Bransoletka wyglądała na prezent od koleżanki ze szkoły. Uderzyło ją, że jednak sporo rzeczy o mamie nie wiedziała i nigdy już nie uzupełni tych luk. Wielu pytań nie zadała, o wielu sprawach mama nie zdążyła opowiedzieć. Leni pamiętała tamte klucze – były od domu w ślepej uliczce na przedmieściach Seattle. Obecność muszelki dowodziła, że mama lubiła szukać skarbów na plaży, a portmonetka najprawdopodobniej pochodziła z któregoś ze sklepów pamiątkarskich w rezerwacie.

Był też kieliszek do wódki z baru Salty Dawg w Homer. Zmurszałe drewienko z wyrytymi imionami „Cora i Ernt” i datą

1973. Trzy białe agaty. Zdjęcie rodziców w dniu ślubu zrobione w sądzie. Mama uśmiecha się promiennie. Jest w białej sukni z rozkloszowaną spódnicą sięgającą do połowy łydek. W dłoniach w białych rękawiczkach trzyma jedną białą różę. Tata w czarnym garniturze i w koszuli ozdobionej wąskim krawatem stoi bardzo blisko niej z nieco wymuszonym uśmiechem na twarzy.

I zdjęcie volkswagena busa z pudłami i walizkami na dachu. Przez otwarte drzwi widać stos rupieci leżący na podłodze. To fotografia sprzed ich wyjazdu na północ.

Wszyscy troje stoją obok busa. Mama w dżinsach dzwonach i w obcisłej bluzeczce odsłaniającej brzuch ma włosy zebrane w kitki, a na czole opaskę wyszywaną koralikami. Tata jest w bladoniebieskich poliestrowych spodniach i koszuli w takim samym odcieniu z kołnierzem o przesadnie wydłużonych rogach. Leni stoi przed rodzicami wystrojona w czerwoną sukienkę z białym kołnierzykiem typu bebe, na nogach ma tenisówki. Każde z rodziców opiera rękę na jej ramieniu.

Ona uśmiecha się szeroko. Jest szczęśliwa.

Zdjęcie drży w dłoni Leni, obraz traci ostrość.

Coś kolorowego i błyszczącego przyciąga jej uwagę. Odkłada zdjęcie, wyciera oczy.

Medal wojskowy: gwiazda z brązu na czerwono-biało-niebieskiej wstążce. Odwraca ją, czyta inskrypcję na rewersie: ZA BOHATERSTWO I ZASŁUGI BOJOWE. ERNT A. ALLBRIGHT. Pod spodem leży złożony artykuł wycięty z gazety pod tytułem „Jeniec wojenny ze Seattle uwolniony”. Jest zdjęcie taty. Wygląda jak zombi, patrzy przed siebie mętnym wzrokiem. Trudno doszukać się podobieństwa pomiędzy tym mężczyzną a tamtym na ślubnym zdjęciu.

Szkoda, że nie pamiętasz go z czasów, zanim… Ile razy w ciągu tych wszystkich lat słyszała to od matki?

Przytuliła zdjęcie i medal do piersi, jakby chciała odcisnąć je w sercu. Niektóre wspomnienia pragnęła zachować na zawsze: ich miłość, jego bohaterstwo, wspólne radosne chwile, obraz mamy przeczesującej plażę.

Jeszcze dwie rzeczy zostały na dnie w szkatułce. Koperta i złożona kartka z notatnika.

Leni odłożyła medal i zdjęcie, wyjęła kartkę i powoli ją rozprostowała. Zobaczyła staranne pismo mamy, wyćwiczone w prywatnej szkole.

Do mojej cudownej córki

Czas naprawić zło, które stało się z mojej winy. Żyjesz pod fałszywym nazwiskiem, bo ja zabiłam człowieka. Ja.

Może tego jeszcze nie widzisz, ale Ty masz dom, a dom wiele znaczy. Masz szansę zmienić swoje życie. Możesz dać swojemu synowi to wszystko, czego ja Tobie nie dałam, ale to wymaga odwagi. Musisz tylko wrócić na Alaskę i przekazać policji moje zeznanie. Powiedz im, że to ja jestem morderczynią i to wszystko skończy się raz na zawsze, a Ty wyjdziesz z tego niesplamiona. Zamkną sprawę i będziesz wolna. Wrócisz do swojego nazwiska i swojego życia.

Wróć do domu. Rozsyp moje prochy na plaży.

Będę nad Tobą czuwać. Zawsze.

Masz dziecko, sama więc wiesz, jak to jest. Jesteś moim skarbem, córciu. Jedyną rzeczą, która mi się w życiu udała.

W kopercie znalazła dwa bilety w jedną stronę na Alaskę.

W ostatnią sobotę lipca wypielęgnowane trawniki przy domach na całej ulicy Queen Anne Hill tętniły życiem. Sąsiedzi dziadków zgromadzeni wokół grilli piekli mięso kupione w sklepach, mieszali margarity w szejkerach, a ich dzieci bawiły się na huśtawkach, które kosztowały tyle co używany samochód. Ilu z tych ludzi zauważyło zasłonięte żaluzje w domu Golliherów? Czy ktokolwiek czuł smutek, którym emanowały mury i szyby? Golliherowie nie rozmawiali o swojej żałobie. Jak można czuć żal po stracie Evelyn Grant – kobiety, która tak naprawdę nigdy nie istniała?

Leni wyszła przez okno sypialni na dach kryty drewnianym gontem, wypolerowanym przez ludzi, którzy od lat siadywali w tym miejscu. Nigdzie tak intensywnie jak tutaj nie odczuwała obecności mamy. Miała wrażenie, że słyszy jej oddech, ale to tylko letni wiatr szeleścił w liściach klonu przed domem.

– Nieraz tutaj nakrywałam twoją mamę na paleniu, kiedy miała trzynaście lat – odezwała się cicho babcia. – Myślała, że dam się nabrać na zamknięte okno i miętowe dropsy.

Leni musiała się uśmiechnąć. Tych parę słów podziałało jak zaklęcie, przywołując mamę na jeden cudny moment. Rozwiane jasne włosy, śmiech niesiony wiatrem. Leni obejrzała się na babcię stojącą w otwartym oknie sąsiedniej sypialni. Chłodna wieczorna bryza wydymała bluzkę, burzyła wieńczącą ją riuszkę. Leni przeszła przez głowę dziwaczna myśl, że babcia już zawsze będzie chodzić w czerni, bo nawet jeżeli nałoży zieloną suknię, to smutek i żal sączące się przez skórę zabarwią materiał na czarno.

– Mogę ci potowarzyszyć?

– Już do ciebie idę! – zawołała Leni, wycofując się do środka.

Babcia wychyliła się przez okno, zahaczając fryzurą o ramę.

– Wiem, że dla ciebie jestem z epoki dinozaurów, ale potrafię wyjść na dach. Jack LaLanne miał sześćdziesiąt lat, kiedy

przepłynął z Alcatraz do San Francisco.

Leni przesunęła się w bok.

Babcia wyszła przez okno na dach i usiadła oparta plecami o mur.

Żeby się z nią zrównać, Leni zrobiło to samo. Od wczoraj nie rozstawała się z palisandrową szkatułką, ciągle musiała jej dotykać.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała.

– Wiem.

– Twój dziadek uważa, że to zła decyzja, a on swoje wie. – Zamilkła na moment. – Zostań tutaj. Nie pokazuj im tamtego pisma.

– To było jej życzenie na łożu śmierci.

– Jej nie ma.

Leni nie mogła się nie uśmiechnąć. Podziwiała to połączenie optymizmu i pragmatyzmu u babci. Optymizm pozwolił jej niemal dwadzieścia lat czekać na powrót córki. Pragmatyzm pomógł zapomnieć o bólu podczas wyczekiwania. Leni od lat wiedziała, że mama dawno już wybaczyła rodzicom, zrozumiała ich i żałowała, że potraktowała ich tak bezwzględnie. Być może taką drogę prędzej czy później musi pokonać każde dziecko.

– Czy mówiłam ci kiedyś, jaka jestem wdzięczna, że nas przyjęliście, że kochacie mojego synka?

– I ciebie.

– I mnie.

– Zrozum, Leni, ja się boję.

Leni zastanawiała się nad tym przez całą noc. Wiedziała, że to szalony, a może nawet niebezpieczny pomysł, ale też kryła się w nim nadzieja.

Chciała, musiała znowu stać się Leni Allbright. Żyć własnym życiem. Niezależnie od kosztów, jakie trzeba będzie ponieść.

– Ja wiem, babciu, że dla ciebie Alaska to surowa, niegościnna ziemia, miejsce, gdzie się pogubiliśmy. Ale tak naprawdę my się tam też odnaleźliśmy. Alaska jest we mnie. Ja do niej należę. Te wszystkie lata z dala od Alaski dużo mnie kosztują. I muszę też myśleć o MJ. Nie jest już dzieckiem. Szybko dorasta. Potrzebuje ojca.

– Ale jego tata…

– Wiem. Od zawsze opowiadam MJ o jego tacie tyle, ile on jest w stanie zrozumieć. Wie o wypadku i szpitalu rehabilitacyjnym. Ale same rozmowy nie wystarczą. MJ zna swoje pochodzenie i niedługo zacznie zadawać prawdziwe pytania. Należą mu się odpowiedzi. – Zamilkła na chwilę. – Moja mama w wielu sprawach nie miała racji, ale co do jednego się nie myliła. Miłość jest trwała. Czasem trwa wbrew wszystkiemu, nawet kiedy miesza się z nienawiścią. Opuściłam chłopca, którego kochałam, kiedy był chory i bezradny, i potępiam siebie za to. Matthew jest ojcem MJ. I nieważne, czy będzie w stanie zrozumieć, co to znaczy, czy będzie mógł przytulić syna, porozmawiać z nim, zawsze będzie jego ojcem. MJ powinien poznać swoją rodzinę. Tom Walker jest jego dziadkiem. Alyeska ciotką. To niewybaczalne, że oni nie wiedzą o jego istnieniu. Pokochają go tak samo mocno jak wy.

– Mogą próbować ci go odebrać. Przepisy prawa rodzinnego dotyczące opieki są bardzo zawiłe. Nie przeżyłabyś tego.

To było ciemne miejsce, gdzie Leni wolała nie zaglądać.

– Nie chodzi o mnie – powiedziała cicho. – Muszę zrobić to, co należy. W końcu.

– To zły pomysł, Leni. Straszny. Jeżeli nauczyłaś się czegoś na przykładzie swojej matki i wyciągnęłaś wnioski z tego, co się stało, powinnaś wiedzieć, że ani życie, ani prawo nie oszczędzają kobiet. Czasami uczciwe postępowanie wcale nie jest dobrym wyborem.

Lato na Alasce.

Leni nigdy nie zapomniała, jak wyjątkowo pięknie jest tutaj o tej porze roku, i teraz, podczas lotu małym samolotem z Anchorage do Homer, robiło jej się lekko na duszy. Po raz pierwszy od lat poczuła się w pełni sobą.

Lecieli nad zielonymi bagnami za Anchorage, nad srebrzystym bezmiarem Turnagain Arm, gdzie podczas odpływu szare piaszczyste dno zachęcało do brodzenia wielu nieroztropnych wędkarzy, a potem gwałtownie nadciągały fale przypływu, tak wielkie, że można było na nich surfować.

Na błękitnej Zatoce Cooka roiło się od kutrów. Samolot, przechylając się, skręcił w lewo ku pokrytym śniegiem górom i przeleciał ponad błękitnym polem lodowym Harding Icefield. Bujna roślinność na pofałdowanych obrzeżach Kachemak Bay miała odcień szmaragdu. Setki łódek pływało po zatoce, ciągnąc za sobą białe smugi spienionej wody.

W Homer wylądowali na szutrowym pasie startowym i MJ aż zapiszczał z radości, pokazując widok za oknem. Kiedy samolot wyhamował, pilot wyszedł z kabiny, otworzył tylne drzwi i pomógł Leni wynieść walizkę (taką bardzo kontynentalną, z kółkami, bez paska, który można zarzucić na ramię).

Trzymając MJ jedną ręką, a drugą ciągnąc za sobą walizkę, skierowała się do biura. Duży zegar ścienny pokazywał godzinę dziesiątą dwanaście.

– Przepraszam – zwróciła się do recepcjonistki siedzącej za kontuarem. – Podobno jest w mieście nowy posterunek policji.

– Cóż, nie taki znowu nowy. Przy Heath Street za urzędem pocztowym. Mam zawołać taksówkę?

Gdyby Leni nie była taka zdenerwowana, z pewnością parsknęłaby śmiechem, słysząc o wzywaniu taksówek

w Homer.

– Uhm. Tak. Poproszę. Bardzo chętnie.

Czekając na taksówkę w małym biurze, patrzyła ze zdumieniem na ścianę oblepioną kolorowymi plakatami reklamującymi atrakcje turystyczne: Alaskańska Baza Noclegowa w Sterling, Leśna Ostoja nad Zatoczką Walkera, domki letniskowe w Brooks Range, jednodniowe wycieczki szlakami wodnymi z przewodnikiem, polowania w okolicach Fairbanks. Alaska najwyraźniej stała się turystyczną mekką, tak jak to kiedyś wymarzył sobie Tom Walker. Leni wiedziała, że w lecie statki rejsowe raz w tygodniu zawijały do Seaward, przywożąc tysiące ludzi.

Taksówka w parę minut zawiozła ich przed posterunek: długi niski budynek z płaskim dachem.

Jasno oświetlone wnętrze pachniało świeżą farbą. Leni zmagała się z walizką na kółkach, przeciągając ją przez próg. Za biurkiem siedziała kobieta w cywilnym ubraniu. Leni stanowczo parła naprzód, tak mocno ściskając rękę MJ, że popiskując, próbował ją wyrwać.

– Dzień dobry – powiedziała do dyżurnej. – Chciałabym rozmawiać z szefem policji.

– W sprawie?

– Chodzi o… zabicie.

– Człowieka?

Tylko na Alasce mogło paść takie pytanie.

– Mam informacje o przestępstwie.

– Proszę ze mną.

Poprowadziła ją obok pustej celi i zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami z tabliczką: KOMISARZ CURT WARD.

Zapukała energicznie. Dwa razy. Po przytłumionym „Proszę!” otworzyła drzwi.

– Szefie, ta pani twierdzi, że ma informacje dotyczące zabójstwa.

Ward podniósł się powoli zza biurka. Leni pamiętała go z czasów poszukiwań Genevy Walker. Włosy miał ostrzyżone na jeża. Sumiaste rude wąsy odcinały się od rdzawego zarostu, który najwyraźniej zdążył już odrosnąć po porannym goleniu. Wyglądał jak dawny zabijaka z boiska hokejowego zmieniony w małomiasteczkowego gliniarza.

– Jestem Lenora Allbright – przedstawiła się. – Córka Ernta Allbrighta. Mieszkaliśmy kiedyś w Kaneq.

– Jasny gwint! Myśleliśmy, że nie żyjecie. Grupa poszukiwawczo-ratownicza przez wiele dni szukała ciebie i mamy. Kiedy to było? Sześć? Siedem lat temu? Dlaczego nie skontaktowałyście się z policją?

Leni ulokowała MJ na fotelu i dała mu do rąk książeczkę. Przypomniała jej się rada dziadka: „To zły pomysł, Leni, ale jeżeli rzeczywiście jesteś zdecydowana, musisz być bardzo ostrożna i dużo sprytniejsza od swojej matki. Nic nie mów. Po prostu daj im to jej zeznanie. Trzymaj się wersji, że nie wiedziałaś o śmierci ojca, dopóki matka nie dała ci tego pisma. Mów, że według jej słów uciekłyście przed przemocą domową i ukrywałyście się ze strachu przed zemstą Ernta. Wszystko, co zrobiłyście – zmiana nazwiska, wyjazd w inne miejsce, milczenie – pasuje do wersji o rodzinie ukrywającej się przed niebezpiecznym mężczyzną”.

– Mamuś, chodźmy stąd – niecierpliwił się MJ, podskakując na krześle. – Chcę zobaczyć tatusia.

– Za chwilę, skarbie. – Pocałowała go w czoło i wróciła do biurka komisarza. Dzielił ich szeroki blat z szarego metalu, ozdobiony rodzinnymi zdjęciami i zarzucony różowymi karteczkami samoprzylepnymi oraz czasopismami

wędkarskimi. Kołowrotek z poplątaną żyłką służył za przycisk do papierów.

Wyjęła z torebki złożoną kartkę. Drżącą ręką podała zeznanie komisarzowi.

Ward w skupieniu przeczytał pismo. Podniósł oczy na Leni.

– Wiesz, co tu jest?

Przysunęła krzesło i usiadła naprzeciw policjanta. Bała się, że nogi odmówią jej posłuszeństwa.

– Tak.

– A więc matka zastrzeliła ojca, pozbyła się ciała i obie razem uciekłyście.

– Ma pan list.

– A gdzie jest twoja matka?

– Umarła w zeszłym tygodniu. Dała mi to pismo na łożu śmierci i kazała zanieść na policję. Wtedy się o tym dowiedziałam. Znaczy… o zabójstwie. Myślałam, że uciekłyśmy przed brutalnością ojca. On… był agresywny. Czasami. W tamtą noc bardzo dotkliwie pobił mamę. Uciekłyśmy z domu, kiedy zasnął.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu śmierci matki.

Komisarz Ward przez dłuższy czas przyglądał się Leni spod przymrużonych powiek. Czuła się niepewnie pod tym spojrzeniem. Ledwo mogła spokojnie usiedzieć na krześle. Wreszcie policjant wstał, podszedł do szafki z dokumentami w głębi gabinetu, chwilę przewracał papiery w szufladzie, po czym wyjął stamtąd teczkę. Rzucił ją na biurko, usiadł i dopiero wtedy otworzył.

– Hmm. Twoja matka, Cora Allbright, miała pięć stóp i sześć cali wzrostu. Ludzie opisywali ją jako drobną, szczupłą kobietę. A ojciec mierzył prawie sześć stóp.

– Tak. Zgadza się.

– Czyli zastrzeliła męża, wywlekła ciało z domu i co – przywiązała je do skutera śnieżnego, pojechała na Glass Lake w zimie, wycięła przerębel, obciążyła zwłoki żelaznymi potrzaskami i wrzuciła je do wody? Sama. A gdzie ty wtedy byłaś?

Leni siedziała nieruchomo z dłońmi splecionymi na podołku.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, kiedy to się stało. – Chętnie dodałaby coś jeszcze, żeby uwiarygodnić kłamstwa, ale dziadek ostrzegał ją, żeby odzywała się tylko tyle, ile konieczne.

Komisarz Ward oparł łokcie na biurku i złożył grube palce w piramidkę.

– Mogłaś przysłać pocztą to zeznanie.

– Mogłam.

– Ale to nie w twoim stylu, prawda, Lenoro? Jesteś dobrym człowiekiem. Uczciwą osobą. W tej teczce mam więcej niż pozytywne opinie na twój temat. – Wychylił się do przodu. – Co się wydarzyło w tamten wieczór, kiedy uciekłyście? Co go rozwścieczyło?

– Odkryłam… że jestem w ciąży – wyznała.

– Matthew Walker – mruknął, zerkając na dokumenty w teczce. – Ludziska mówili, że byliście parą.

– Uhm – przytaknęła.

– To strasznie smutne, co mu się przydarzyło. Wam obojgu. Ale ty wyszłaś z tego cała, a on… – Ward zawiesił głos. Leni czuła przygniatający ją wstyd. – Podobno twój ojciec nienawidził Walkerów.

– To delikatnie powiedziane.

– A co się działo, gdy twój ojciec dowiedział się o ciąży?

– Wpadł w szał. Zaczął mnie okładać pięściami, pasem… – Tamta sytuacja sprzed lat jak żywa stanęła jej przed oczami.

– Z tego, co słyszałem, z twojego ojca był niezły drań.

– Czasami. – Leni odwróciła wzrok. Kątem oka widziała MJ nad książeczką. Sylabizował, bezgłośnie poruszając ustami. Miała nadzieję, że słowa, które padały, nie zagnieździły mu się w podświadomości, aby pewnego dnia stamtąd wychynąć.

Komisarz pchnął w jej stronę plik kartek. Na pierwszej w rogu widniał napis: ALLBRIGHT CORALINE.

– Mam tu złożone pod przysięgą oświadczenia Marge Birdsall, Natalie Watkins, Tiki Rhodes, Thelmy Schill oraz Toma Walkera. Wszyscy zgodnie zeznali, że przez całe lata widywali ślady pobicia na ciele twojej matki. Przy spisywaniu tych oświadczeń nie obeszło się bez łez. Powiem ci, że wielu ludzi bardzo przeżyło wasze zniknięcie, bo według nich można było temu zapobiec. Thelma wręcz powiedziała, że żałuje, iż nie zastrzeliła twojego ojca.

– Mama nigdy nie prosiła nikogo o pomoc – powiedziała Leni. – Do tej pory nie rozumiem, dlaczego.

– Czy skarżyła się komukolwiek, że on ją bije?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Musisz być ze mną szczera, jeżeli naprawdę chcesz, żeby ci pomóc – oznajmił Ward.

Leni znieruchomiała.

– Posłuchaj mnie. Oboje wiemy, co wydarzyło się wtedy wieczorem. Twoja mama nie zrobiła tego wszystkiego sama. Ty byłaś dzieckiem. Nie było w tym twojej winy. Zrobiłaś, o co poprosiła cię matka. I nic w tym dziwnego. Nie ma na ziemi człowieka, który nie potrafiłby tego zrozumieć. Na miłość boską, przecież on się nad wami znęcał. Prawo weźmie to pod uwagę.

Ward miał rację. Była wtedy dzieckiem. Przerażoną osiemnastolatką spodziewającą się dziecka.

– Pozwól sobie pomóc – ciągnął dalej. – Możesz raz na zawsze pozbyć się tego ciężaru.

Wiedziała, jak według mamy i dziadków powinna w tej sytuacji postąpić: miała kłamać, mówić, że nie była świadkiem zabójstwa, nie pojechała na Glass Lake, nie pomogła wrzucić zwłok do lodowatej wody.

Miała powiedzieć: nic nie wiem.

Mogła zrzucić całą winę na mamę, trzymać się swojej wersji.

I na zawsze pozostać kobietą z ponurym, potwornym sekretem. Żyć w kłamstwie.

Mama chciała, żeby Leni wróciła do domu, ale dom to nie tylko chata w lesie nad cichą zatoką. Dom to stan umysłu, spokój, który wypływa z bycia w zgodzie ze sobą. Nie mogła budować nowego życia na takim kruchym fundamencie, jakim jest kłamstwo. Nie po raz drugi. Nie na zawsze.

– Prawda przyniesie ci ulgę, Leni. Czy nie tego właśnie potrzebujesz? Nie dlatego tu jesteś? Powiedz mi, jak naprawdę wyglądał tamten wieczór.

– Uderzył mnie, kiedy dowiedział się o dziecku. Mocno. Pękła mi kość jarzmowa, złamał mi nos. Ja… nie pamiętam wszystkiego, wiem tylko, że nie przestawał mnie okładać. Usłyszałam krzyk mamy: „Nie moją Leni!”, a potem strzał. Widziałam… jak krew przesiąka mu przez koszulę. Strzeliła do niego dwa razy, w plecy. Inaczej zatłukłby mnie na śmierć.

– A ty pomogłaś pozbyć się ciała.

Zawahała się. Przemogła się, widząc współczucie w jego oczach.

– A ja pomogłam pozbyć się ciała – wyznała cicho.

Komisarz Ward milczał jakiś czas ze wzrokiem utkwionym w dokumenty rozłożone na biurku. Zdaje się, że chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Wyciągnął szufladę biurka (wysunęła się z oporem) i wyjął stamtąd arkusz papieru oraz długopis.

– Możesz to napisać?

– Wszystko już powiedziałam.

– Muszę mieć to na piśmie. Nie trać odwagi, Leni. Jesteś już bliżej niż dalej. Chyba chcesz mieć to za sobą?

Leni podniosła długopis i przysunęła kartkę. Przez chwilę wpatrywała się w biały arkusz.

– Może powinnam poprosić o adwokata? Mój dziadek na pewno tak by mi radził. Jest prawnikiem.

– Wolno ci – odparł Ward. – Tak postępują winni ludzie. – Zatrzymał rękę nad telefonem. – To jak? Mam zadzwonić?

– Pan mi wierzy, prawda? Nie zabiłam go, a mama też nie chciała. Obecnie prawo zna wiele przypadków znęcania się nad kobietami.

– Oczywiście. A poza tym już powiedziałaś mi prawdę.

– Czyli jeżeli to napiszę, sprawa zamknięta. Będę mogła pojechać do Kaneq?

Pokiwał głową.

W takim razie co za różnica. Napisze wszystko, tak jak on chce. Zaczęła powoli, przywołując w pamięci tamtą potworną noc. Pięści, pas, krew, odłamki kości. Jazda po zamarzniętym szlaku nad jezioro. Twarz ojca w blasku księżyca jak maska z kości słoniowej, ginąca w przeręblі. Plusk wody wypływającej na lód.

Przemilczała pomoc Dużej Marge. W ogóle pominęła Marge. Nie wspomniała o dziadkach, nie podała, dokąd udały się z mamą po ucieczce z Alaski.

Zakończyła zdaniem: „Z Homer poleciałyśmy do Anchorage i opuściłyśmy Alaskę”.

Przesunęła kartkę w stronę Warda.

Policjant wyjął okulary z kieszeni obwisłego munduru i przebiegł wzrokiem po tekście.

– Mamuś, skończyłem książeczkę – odezwał się MJ.

Leni przywołała go skinieniem ręką. Zamknął książeczkę i przebiegł przez biuro. Wdrapał się Leni na kolana jak małpka. Był już na to nieco za duży, chude nogi zwisały mu prawie do ziemi, czubkiem trampka kopał w metalowe biurko.

Komisarz Ward podniósł na nią oczy.

– Zostajesz aresztowana – oznajmił.

Miała wrażenie, że ziemia pod nią się rozstąpiła.

– Ale… mówił pan, że sprawa będzie zakończona, kiedy to napiszę.

– Między nami tak. Reszta nie zależy ode mnie. – Przegarnął włosy palcami. – Żałuję, że przyszłaś z tym do mnie.

Tamte wszystkie powtarzane latami ostrzeżenia. Jak mogła zapomnieć? Pozwoliła, aby pragnienie wybaczenia zagłuszyło głos rozsądku.

– Jak mam to rozumieć?

– Ja tu nic nie mogę. Decyzja należy do sądu. Muszę cię zamknąć. Przynajmniej do czasu postawienia w stan oskarżenia. Jeżeli nie stać cię na adwokata…

– Mamuś? – wtrącił zniecierpliwiony już MJ.

Komendant odczytał z kartki przysługujące jej prawa i dodał:

– Jeżeli nie masz komu powierzyć syna, mały trafi do Izby Dziecka. Będą nim się dobrze opiekować, obiecuję.

Leni nie mogła uwierzyć, że okazała się taka głupia, taka naiwna. Jak to możliwe, że tego nie przewidziała? A ostrzegano ją. Tymczasem ona uwierzyła policji. Przecież wiedziała, jak bezwzględne potrafi być prawo wobec kobiet.

Miała ochotę krzyczeć, płakać, ciskać meblami. Niestety, to byłoby nierozsądne. Popełniła niewybaczalny błąd. Nie może dołożyć drugiego.

– Tom Walker – powiedziała dobitnie.

– Tom? – Ward zmarszczył czoło. – Czemu akurat do niego miałbym zadzwonić?

– Proszę to zrobić. I powiedzieć mu, że potrzebuję pomocy. Zajmie się mną.

– Tobie potrzebny jest adwokat.

– Tak – potwierdziła. – To także proszę mu przekazać.

30

Wkręcona w tryby machiny.

Dotąd kojarzyła ten zwrot z żywnością, która przepuszczona przez jakąś maszynę zmienia się w coś nierozpoznawalnego i niezdrowego jak, na przykład, w ser w aerozolu.

Teraz to powiedzenie nabrało całkiem nowego znaczenia.

Odciski palców. Zdjęcia policyjne. Proszę się odwrócić w prawo. Niechciany dotyk rąk.

– Ale fajnie! – zawołał MJ, przebiegając wzdłuż celi i uderzając dłonią o kraty. – Terkoczę jak helikopter. Słuchaj. – Jeszcze raz przebiegł najszybciej jak mógł, przeciągając ręką po prętach.

Nie miała siły się uśmiechnąć. Gdy patrzyła na synka, czuła wyrzuty sumienia, a jednocześnie nie mogła od niego oderwać oczu. Długo nalegała, żeby pozwolili mu z nią zostać. Dzięki Bogu byli w Homer, a nie w Anchorage, gdzie zapewne bardziej rygorystycznie przestrzegano przepisów. Najwyraźniej tutaj przestępczość była niska. Do tej celi trafiali głównie pijacy w weekendy.

– MJ, przestań! – powiedziała ostrym tonem. Dopiero kiedy zobaczyła jego buzię: zdziwione zielone oczy, otwarte usta, zorientowała się, że podniosła na niego głos. – Przepraszam – wymamrotała speszona. – Chodź tu, skarbie.

Nastroje MJ zawsze przypominały morze; jeden rzut oka wystarczał, żeby wiedzieć, co czuł. Zaskoczyła go, a może nawet przestraszyła tym wybuchem.

Kolejny powód do wyrzutów sumienia.

MJ przeszedł przez celę, celowo szurając gumowymi podeszwami trampków.

– Jadę na łyżwach – oznajmił.

Leni wysiliła się na uśmiech i poklepała puste miejsce na cementowej ławce. MJ usiadł obok niej. Cela była bardzo ciasna, chłopiec praktycznie dotykał kolanem do sedesu bez pokrywy. Leni ze swego miejsca widziała prawie całe wnętrze komisariatu – recepcję, poczekalnię, drzwi do gabinetu komisarza Warda.

Broniła się, żeby nie pochwycić MJ w ramiona i z całej siły nie przytulić go do siebie.

– Muszę z tobą porozmawiać – zaczęła poważnym tonem. – Pamiętasz, co opowiadałam ci o twoim tacie?

– Ma uszkodzony mózg, ale i tak mnie kocha. Ta ubikacja jest fuj.

– I jest w takim specjalnym domu, gdzie opiekują się takimi ludźmi jak on. I dlatego nas nie odwiedza.

MJ pokiwał głową.

– On i tak nie może mówić. Wpadł do dziury i złamał szyję.

– Uhmm. I mieszka na Alasce. Tam, gdzie dorastała twoja mamusia.

– Wiem. Dlatego tu przyjechaliśmy. Czy ten tata umie chodzić?

– Nie sądzę. Ale… masz także dziadka, który tutaj mieszka. I ciocię Alyeskę.

MJ nareszcie przestał pukać plastikowym dinozaurem w ławkę i spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami.

– Jeszcze jednego dziadka? Jason ma trzech dziadków.

– A ty masz teraz dwóch. Fajnie, nie?

Usłyszała skrzypnięcie drzwi wejściowych. Z dworu doszło ją dudnienie silnika ciężarówki i chrzęst opon na żwirze. Odezwał

się klakson.

Chwilę później Tom Walker wmaszerował do komisariatu. Miał na sobie wyblakłe dżinsy wpuszczone w wysokie buty, czarny T-shirt z dużym kolorowym logo Leśnej Ostoi nad Zatoczką Walkera i rozpiętą flanelową koszulę, a na głowie przybrudzoną bejsbolówkę nasuniętą nisko na czoło.

Przystanął na środku posterunku, rozejrzał się.

Zobaczył ją.

Leni zerwała się z miejsca, odsuwając MJ.

Strach i radość dodały jej energii. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo brakowało jej pana Walkera. Przez lata mitologizowały go z mamą. Według mamy reprezentował sobą te wszystkie cechy, jakie powinien mieć mężczyzna. Dla Leni stanowił ideał ojca. Z początku często o nim rozmawiały, później przestały, bo dla obu ten temat stał się zbyt bolesny.

Walker ruszył w stronę celi, zdjął czapkę i miął ją w dłoniach. Zmienił się; może się nie zestarzał, ale doświadczenia ostatnich lat przysporzyły mu zmarszczek na twarzy. Jasne włosy poprzetykane siwizną na skroniach miał zebrane w kucyk. Ward najwyraźniej oderwał go od pracy w lesie, bo do flanelowej koszuli poprzyczepiały mu się gałązki i suche liście.

– Leni – odezwał się, kiedy dzieliły ich już tylko kraty celi. – W pierwszej chwili nie uwierzyłem Curtowi, kiedy powiedział, że przyjechałaś. – Zacisnął duże spierzchnięte dłonie na prętach. – Byłem pewien, że twój ojciec cię zabił.

Leni poczuła, że ze wstydu płonie jej twarz.

– Mama go zabiła. Kiedy rzucił się na mnie. Musiałyśmy uciekać.

– Pomógłbym wam. – Zniżył głos, przybliżając twarz do kraty. – Wszyscy byśmy pomogli.

– Wiem. Dlatego nie prosiłyśmy.

– A… Cora?

– Zmarła – powiedziała zdławionym głosem. – Rak płuc. Ona… często o tobie myślała.

– Oj, Leni. Tak mi przykro. Ona była…

– Taak. – Westchnęła cicho. Nie chciała myśleć o tym, jakie szczególne miejsce zajmowała w jej życiu mama i jak bardzo nadal przeżywa jej śmierć. To była świeża rana, nie nauczyła się jeszcze mówić o swoim bólu.

Szybko przesunęła się w bok, odsłaniając chłopca siedzącego na ławce.

– MJ, Matthew Juniorze, to jest twój dziadek Tom.

Walker, zawsze taki silny i opanowany, na widok chłopca tak bardzo podobnego do syna nie próbował nawet ukryć wzruszenia.

– Och, mój Boże…

MJ zeskoczył z ławki, ściskając w ręce dinozaura z czerwonego plastiku.

Walker przykucnął, wpatrując się w malca przez kraty.

– Przypominasz mi innego chłopca z jasnymi włosami.

Trzymaj się, Leni.

– Jestem MJ. – Uśmiechnął się szeroko, podskakując. – Chcesz zobaczyć moje dinozaury? – Nie czekając na odpowiedź, zaczął wyciągać z kieszeni plastikowe figurki, z dumą po kolei je prezentując.

– Ależ on podobny do swojego taty! – Słowa Walkera przebiły się przez powarkiwanie MJ, naśladującego odgłos wydawany przez tyranozaura.

– Tak. – Leni wpatrywała się w noski butów, nie mając odwagi podnieść oczu na Walkera. Przeszłość przebijała się przez teraźniejszość. – Wybacz, że nie powiedziałam – wydusiła w końcu. – Musiałyśmy szybko uciekać, nie chciałam wpędzać cię w kłopoty. Nie chciałam, żebyś przez nas kłamał,

a jednocześnie nie mogłam pozwolić, aby mama trafiła do więzienia…

– Och, Leni. – Walker z westchnieniem podniósł się z kucek. – Zawsze miałaś za dużo problemów jak na dziewczynę w swoim wieku. Właściwie dlaczego tu jesteś, skoro to Cora zabiła Ernta? Curt powinien wam obu przyznać jakiś pieprzony medal, a nie zamykać cię w celi.

Poczuła się fatalnie, widząc ogrom życzliwości w jego oczach. Jak to możliwe, że nie był na nią zły? Porzuciła jego niesprawnego syna, okłamywała, ukrywając się latami, pozbawiła radości z patrzenia, jak rośnie jego wnuk. A teraz jeszcze będzie musiała go prosić o kolejną przysługę.

– Pomogłam mamie. No wiesz… pozbyć się… ciała.

Przysunął twarz do krat.

– Przyznałaś się? – zapytał szeptem. – Dlaczego?

– Komisarz mnie podszedł. Nie wiem, może tak musiało się stać. Chciałam wyznać prawdę. Zmęczyło mnie udawanie kogoś innego. Jakoś z tego wybrnę. Mój dziadek jest prawnikiem. Najważniejsze, żeby MJ był bezpieczny, dopóki… mnie nie wypuszczą. Weźmiesz go do siebie?

– Oczywiście, ale…

– Wiem, że nie mam prawa o to prosić, ale nie mów nic Matthew o synu. Muszę sama to zrobić.

– Matthew nie…

– Wiem, że nie zrozumie, ale on ode mnie musi usłyszeć, że ma syna. Tak to się powinno odbyć.

Usłyszała podzwanianie kluczy i kroki. To komisarz Ward szedł do nich. Przecisnął się obok Walkera i otworzył drzwi celi.

– Już czas – oznajmił.

Leni pochyliła się nad synkiem.

– Posłuchaj, skarbie – zaczęła, walcząc ze łzami. – Musisz teraz pójść z dziadkiem. Mamusia ma… pewne sprawy do

załatwienia. – Delikatnie wypchnęła go z celi.

– Mamuś? Ja nie chcę.

Leni bezradnie spojrzała na Walkera. Nie wiedziała, jak ma przekonać MJ.

Walker położył dużą rękę na drobnym ramieniu wnuka.

– Wiesz, mamy różowy rok. – W jego głosie pobrzmiewał niepokój nie mniejszy od tego, który czuła Leni. – A to znaczy, że w rzekach aż kotłuje się od łososi. Pojedziemy dzisiaj nad Anchor River. Być może złowisz swoją największą rybę w życiu.

– Czy mamusia i tata mogą pojechać z nami? – zapytał MJ. – Oj, nie, zapomniałem. Mój tata nie może chodzić.

– Wiesz o swoim tacie? – zainteresował się Walker.

Mały z powagą pokiwał głową.

– Mamusia go kocha bardziej niż księżyc i gwiazdy. Tak samo mocno jak mnie. Ale on ma złamaną szyję.

– Chłopiec musi stąd wyjść – oznajmił Ward.

MJ obejrzał się na Leni.

– To ja teraz pojadę z dziadkiem na ryby. A potem pobawimy się jeszcze w więzienie, dobra?

– Uhm – przytaknęła, łykając łzy.

Uczyła synka prawdomówności, ufał jej, wierzył. Wyciągnęła ramiona i przytuliła go do siebie, starając się zachować wspomnienie dotyku dziecięcego ciała. Powrót na Alaskę, wyznanie prawdy, wezwanie Toma Walkera, to wszystko kosztowało ją dużo odwagi, ale najtrudniejszym przeżyciem okazało się rozstanie z synem.

– Pa, MJ! – Rozciągnęła drżące usta w nikłym uśmiechu. – Bądź grzeczny u dziadka. I postaraj się niczego nie popsuć.

– Pa, mamuś!

Walker poderwał MJ z ziemi i posadził go sobie na ramionach. Piskliwy chichot malca wypełnił posterunek.

– Patrz, mamuś, patrz! Jestem wielki!

– Ona nie zasłużyła na to, żeby tu być. – Walker naskoczył na Warda, a on w odpowiedzi wzruszył ramionami. – Zawsze byłeś cholernym służbistą.

– Obrażasz mnie. Taka moja rola. Powiedz to w sądzie, Tom. Rozprawa o trzeciej. Sędzia chce przed czwartą znaleźć się nad rzeką.

– Przykro mi. – Walker zwrócił się do Leni.

Słyszała współczucie w jego głosie. Bała się, że okazywana dobroć pozbawi ją resztek samokontroli, bo już z trudem panowała nad łzami.

– Dbaj o niego, Tomie. On jest całym moim światem.

Nie mogła oderwać oczu od synka siedzącego na barana u dziadka. Niech to się jakoś ułoży, zdążyła pomyśleć, zanim zatrzasnęły się drzwi celi.

Dzień mijał powoli, wypełniony obcymi odgłosami: dzwonił telefon, trzaskały otwierane i zamykane drzwi, przyjechał dostawca z zamówionym lunchem, ciężkie buty tupały o podłogę.

Siedziała na twardej betonowej ławce oparta plecami o ścianę. Słońce, wpadając przez wąskie okienko, nagrzewało ciasne pomieszczenie. Odgarnęła wilgotne włosy z oczu. Spływała potem. Dwie ostatnie godziny spędziła, płacząc i przeklinając na zmianę. Ubranie kleiło się do ciała, w ustach miała smak popiołu. Podeszła do małego sedesu bez pokrywy, skrępowana zsunęła majtki i usiadła, modląc się, aby nikt jej nie zobaczył.

Jak sobie radzi MJ? Miała nadzieję, że Walker znalazł w jego walizce pluszową orkę (nie wiadomo, czemu syn nazwał ją Bob). Mały nie potrafił zasnąć bez swojej przytulanki. Jak mogła nie wspomnieć o tym Tomowi?

Skrzypnęły drzwi. Do komisariatu wszedł jakiś mężczyzna o spadzistych ramionach z rozwichrzonymi, jakby

naelektryzowanymi włosami. Na nogach miał sięgające do bioder wodery, a w ręce trzymał porysowaną aktówkę z zielonego plastiku.

– Cześć, Marci! – rzucił tubalnym głosem do kobiety za biurkiem.

– Hej, Dem – odpowiedziała dyżurna policjantka.

– To ona? – Przybyły spojrzał na celę.

– No. – Policjantka kiwnęła głową. – Allbright Lenora. Rozprawa o piętnastej. John przyjeżdża z Soldotny.

Mężczyzna podszedł do kraty. Z westchnieniem wyciągnął skoroszyt z brudnej plastikowej teczki i przebiegł wzrokiem jego zawartość.

– Bardzo szczegółowe zeznanie. Nie ogląda pani telewizji?

– Kim pan jest?

– Demby Cowe. Adwokat z urzędu. Stawimy się, nie przyznamy do winy i po sprawie. Musi pani tylko wstać, kiedy sędzia każe, i powiedzieć, że nie przyznaje się do winy. – Zamknął skoroszyt. – Jest ktoś, kto mógłby wpłacić kaucję?

– Nie chce pan usłyszeć, co mam do powiedzenia?

– Wystarczy mi zeznanie. Pogadamy później, będzie dość czasu, obiecuję. I proszę się nie denerwować.

Sala rozpraw bardziej przypominała gabinet lekarski niż budzący nabożny szacunek przybytek sprawiedliwości. Nie było ścian wyłożonych lakierowanym drewnem, ław z wysokimi oparciami ani wielkiego biurka na froncie. Była za to podłoga pokryta linoleum, kilka krzeseł ustawionych w rzędy, dwa stoliki – jeden dla oskarżyciela, drugi dla obrońcy. W przedniej części pod wiszącym na ścianie oprawionym w ramy portretem

Ronalda Reagana stało długie biurko z laminowanym blatem dla sędziego oraz plastikowe krzesło dla świadków.

Leni wsunęła się na krzesło obok swego obrońcy, który pochylony nad stolikiem studiował tabelę pływów. Oskarżyciel, chudy mężczyzna z gęstą brodą, ubrany w rybacką kamizelkę i czarne spodnie, zajął miejsce przy stoliku po drugiej stronie przejścia.

Sędzia wkroczył do sali, a za nim weszła stenotypistka i woźny sądowy. Sędziemu spod długiej togi wystawały gumowce. Kiedy zajął miejsce za stołem, spojrzał na zegarek.

– Załatwmy to szybko, panowie.

Prawnik Leni podniósł się z miejsca.

– Wysoki sądzie, chciałbym…

W tej samej chwili huknęły drzwi w głębi sali.

– Gdzie ona jest?

Leni na końcu świata poznałaby ten głos. Serce podskoczyło jej z radości.

– Duża Marge!

Marge energicznie ruszyła przed siebie, podzwaniając bransoletkami. Jej śniadą, trochę pomarszczoną już twarz pokrywały czarne pieprzyki. Włosy skręcone w dredy przytrzymywała nad czołem opaska ze zwiniętej bandany. Była ubrana w przyciasną koszulę z denimu, opinającą się na obfitym biuście, i w poplamione jagodowym sokiem spodnie wpuszczone w kalosze.

Poderwała Leni z krzesła i zamknęła w niedźwiedzim uścisku. Pachniała szamponem domowej roboty i drzewnym dymem. Pachniała Alaską latem.

– Do diabła! – warknął sędzia, uderzając młotkiem w stół. – Co się tu dzieje? Na tej kobiecie ciąży zarzut popełnienia poważnego przestępstwa…

Duża Marge wypuściła Leni z objęć i posadziła ją z powrotem na krześle.

– Cholera, John, wszczęcie tego postępowania to jest dopiero przestępstwo. – Marge zamaszystym krokiem, skrzypiąc podeszwami kaloszy, podeszła do biurka sędziego. – Dziewczyna jest niewinna, a ten cholernik, Ward, wymusił na niej zeznanie. O co ją oskarżacie? O współudział? O poplecznictwo? Dobry Boże! Ona nie zabiła tego popaprańca, ona po prostu uciekła, bo tak jej kazała przerażona matka. Miała osiemnaście lat i ojca furiata. Każdy by uciekł na jej miejscu.

Sędzia ponownie użył młotka.

– Marge, ty masz gębę jak królewski łosoś. A teraz się zamknij. Tutaj ja rządzę. To jest tylko cholerne postawienie w stan oskarżenia. Jak dojdzie do procesu, będziesz mogła w odpowiednim czasie przedstawić swoje racje.

Duża Marge odwróciła się do prokuratora.

– Adrian, wycofaj to cholerne oskarżenie. No, chyba że chcesz spędzić ostatnie dni sezonu połowu na łososie w sądzie. Wszyscy w Kaneq i nawet robotnicy na rurze uważali Ernta Allbrighta za niezrównoważonego brutala. Złożę w sądzie niekończącą się listę świadków gotowych zeznawać na korzyść tej dziewczyny. A otworzy ją Tom Walker.

– Tom Walker? – podchwycił sędzia.

Duża Marge odwróciła się do oskarżyciela i splotła ramiona na piersi, dając w ten sposób do zrozumienia, że nie ustąpi i będzie bronić swoich racji, choćby miała tak stać cały dzień.

Sędzia zerknął na chudego prokuratora.

– Adrian?

Mężczyzna, postukując w blat długopisem, wbił wzrok w dokumenty rozłożone na biurku.

– No, nie wiem, wysoki sądzie…

Do sali wsunęła się kobieta z recepcji. Nerwowo wygładzając nogawkę mundurowych spodni, podeszła do sędziowskiego stołu.

– Panie sędzio?

– O co chodzi, Marci? – zagrzmiał. – Nie widzisz, że jestem zajęty?

– Mam gubernatora na linii. Chce z panem pilnie rozmawiać.

Leni, która jeszcze chwilę temu stała obok biurka swojego obrońcy, nie wiadomo kiedy znalazła się przed komisariatem.

Duża Marge czekała na nią przy swoim pikapie.

– Jak to się stało? – spytała oszołomiona Leni.

Marge odebrała od niej walizkę i rzuciła na pordzewiałą pakę samochodu.

– Alaska znowu tak bardzo nie różni się od innych miejsc. Dobrze mieć wysoko postawionych przyjaciół. Tommy zadzwonił do gubernatora, a ten polecił wycofać oskarżenie. Już po wszystkim, dzieciaku. – Położyła dłoń na ramieniu Leni.

– Nie całkiem – odparła. – Jest jeszcze coś.

– Taaa. Tom chce, żebyś przyjechała do siedliska. Zabierze cię do Matthew.

Leni na razie wolała o tym nie myśleć. Obeszła pikapa i usiadła na przykrytym kocem miejscu dla pasażera.

Marge wdrapała się do auta i umościła na siedzeniu kierowcy. Po przekręceniu kluczyka w stacyjce włączyło się radio. Kabinę wypełnił chropawy głos Janis Joplin. *Another little piece of my heart now, baby*[5]. Leni przymknęła powieki.

– Wyglądasz na wyczerpaną, dzieciaku – zauważyła Marge.

– Trudno się dziwić. – Leni przyszło na myśl, żeby zapytać o Matthew, ale bała się, że w tej chwili bardzo łatwo mogłaby

się załamać. Wolała więc w milczeniu wyglądać za okno.

Kiedy zjeżdżały w dół ku przystani, z zachwytem patrzyła na magiczną grę świateł. Ostre czarne i białe szczyty gór, soczystozielona trawa, niebieskie morze zdawały się jarzyć w słońcu, jakby oświetlone od wewnątrz. W doku tłoczyły się kutry, gwar niósł się po wodzie. Ptaki skrzeczały, silniki kutrów, bucząc, wyrzucały w powietrze kłęby czarnych spalin, wydry, popiskując, przemykały ślizgiem między łodziami.

Wsiadły do Fair Chase, czerwonego kutra Dużej Marge, i prując spokojne wody Kachemak Bay, wzięły kurs na strzelające pod niebo białe góry. Leni przymknęła powieki przed rażącym słońcem odbijającym się w wodzie, ale nie mogła zamknąć serca przed natłokiem wspomnień. Pamiętała wrażenie, jaki zrobił na niej widok tych gór, gdy zobaczyła je po raz pierwszy. Czy wtedy przypuszczała, że Alaska stanie się jej domem? Że ją ukształtuje? Nie umiała powiedzieć, nie pamiętała. To było całe wieki temu.

Okrążyły cypel Sadie Cove, wpłynęły między dwie pofałdowane zielone wyspy o kamienistych brzegach, pokrytych wodorostami i kawałkami drewna wyrzuconymi przez morze. Zwalniając, ominęły falochron.

Teraz Leni miała przed oczami Kaneq Harbor i górujące nad portem miasto na palach. Przycumowały kuter i przeszły po pomoście do płotu z drucianej siatki, który oddzielał port od miasta. Leni nie była pewna, czy Duża Marge milczała, czy raczej ona jej nie słyszała, bo w tym miejscu, z którym zawsze się będzie utożsamiać, szła wsłuchana we własne, na nowo odżywające ciało: w bicie serca, w oddech wciągany głęboko w płuca, w odgłos kroków na szutrowej Main Street.

Kaneq rozrosło się w ostatnich latach. Drewniane elewacje domów, pomalowane teraz na jaskrawe kolory, przypominały te w miasteczkach znad skandynawskich fiordów, jakie widywała

na pocztówkach. Promenada wyglądała na świeżo wybrukowaną. Latarnie stały rzędem niczym straże, donice z pelargoniami i petuniami zwisały z ich metalowych ramion. Sklep wielobranżowy z nowymi czerwonymi drzwiami podwoił powierzchnię. Wzdłuż promenady wyrosło mnóstwo punktów handlowych i usługowych. Minęły po drodze Snacle Shop, restaurację, pasmanterię, kioski z pamiątkami, budki z lodami, sklep turystyczny, biuro przewodników, wypożyczalnię kajaków, nowy pub Malamute Saloon oraz pensjonat Geneva Inn z porożem jelenia zdobiącym białą belkę nad drzwiami wejściowymi.

Leni przypomniał się ich pierwszy dzień w Kaneq. Zobaczyła mamę w nowych butach turystycznych i bluzeczce z bufkami. W uszach zadźwięczały jej tamte słowa: „Podejrzliwie patrzę na ludzi, którym łby martwych zwierząt służą za dekorację".

Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Rany boskie, oni przyjechali tutaj zupełnie nieprzygotowani.

Turyści (łatwo ich poznać po ubiorze) mieszali się z mieszkańcami. Przed Malamute Saloon stało sporo pojazdów: kilka trójkołowców, parę brudnych rowerów, dwa pikapy i ford pinto w kolorze limonki z błotnikiem oklejonym taśmą izolacyjną.

Leni wdrapała się do starej ciężarówki Marge. Zostawiły za sobą sklep wielobranżowy, przejechały nad krystalicznie czystą rzeką przez świeżo odmalowany most (z wędkarzami moczącymi kije przy obu balustradach) i wyjechały na szutrową drogę, którą wkrótce zastąpił piaszczysty trakt.

Na pierwszym półmilowym odcinku nie było widać śladów cywilizacji. W wysokiej trawie stała przyczepa turystyczna na drewnianych wspornikach zamiast kół i zardzewiały traktor. Nieco dalej minęły kilka nowych podjazdów ginących w lesie,

przyczepę mieszkalną i stary szkolny autobus bez opon zaparkowany przy rowie.

Leni zauważyła nowy szyld nad wjazdem na posesję Dużej Marge: WYPOŻYCZALNIA KAJAKÓW I ŁÓDEK!

– Uwielbiam wykrzykniki. – Usłyszała od Marge.

Nie zdążyła skomentować tej miłości do wykrzykników, bo oto dojeżdżały już do granicy siedliska Walkerów, gdzie łuk nad bramą zapraszał gości do leśnej ostoi, obiecując im najróżniejsze atrakcje: WĘDKARSTWO, SPŁYWY KAJAKOWE, PODGLĄDANIE NIEDŹWIEDZI, LOTY WIDOKOWE.

Przed wjazdem do siedliska Marge zdjęła nogę z gazu. Zerknęła na Leni.

– Na pewno jesteś gotowa? Możemy poczekać.

Leni słyszała troskę w jej głosie, wiedziała, że Marge chce dać jej czas na opanowanie zdenerwowania przed spotkaniem z Matthew.

– Jestem gotowa.

Przejechały pod łukiem. Ciężarówka toczyła się teraz po wyrównanej żwirowej drodze. Po lewej stronie między drzewami stało osiem nowych domków z bali ustawionych frontem do zatoki. Na plażę prowadziła wijąca się ścieżka zabezpieczona balustradą.

Po chwili zajechały przed dom Walkerów, teraz Ostoję. Nadal prezentował się imponująco: dwupiętrowy z okorowanych bali, z przestronną werandą i oknami wychodzącymi na zatokę i góry. Z podwórka zniknęły rupiecie; nigdzie ani śladu rdzewiejących ciężarówek, zwojów drutu czy stosów palet. Tu i ówdzie drewniane przepierzenia maskowały to, co powinno pozostać niewidoczne. Na tarasie stały fotele ogrodowe. Zagrody dla drobiu i zwierząt przeniesiono poza linię drzew w głąb terenu.

W dole na wodzie kołysał się hydroplan i trzy aluminiowe łódki rybackie przywiązane do pomostu. Turyści spacerowali alejkami, łowili ryby z brzegu. Pracownicy w brązowych uniformach krzątali się pośród gości w kolorowych kurtkach i polarowych bluzach.

MJ wypadł z domu, w podskokach pokonał werandę, klucząc pomiędzy fotelami, i przybiegł do Leni, machając czymś, co ściskał w ręce.

Pochyliła się, poderwała go z ziemi. Przytuliła go tak mocno, że protestując, aż zaczął się wyrywać. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się bała, że może go stracić.

Tom Walker wyszedł jej na spotkanie. Towarzyszyła mu ładna, szeroka w ramionach autochtonka z sięgającymi do bioder czarnymi włosami z jednym posiwiałym pasmem. Miała na sobie koszulę z wyblakłego denimu wetkniętą w spodnie khaki ze skórzanym paskiem, z którego zwisała pochewka z nożem, a z kieszeni na piersi wystawały szczypce do cięcia drutu.

– Hej, Leni! – zawołał na przywitanie. – Poznaj moją żonę Atkę.

Kobieta z uśmiechem wyciągnęła do niej rękę.

– Dużo słyszałam o tobie i o twojej mamie.

– Miło cię poznać. – Leni z gardłem stężałym ze wzruszenia uścisnęła szorstką dłoń Atki i przeniosła spojrzenie na Walkera. – Mama cieszyłaby się twoim szczęściem – powiedziała łamiącym się głosem.

Ciszę, jaka zapadła po tych słowach, przerwał dopiero MJ. Opadł na kolana na trawę z czerwonym tyranozaurem w jednej ręce i niebieskim nosorożcem w drugiej, naśladując odgłosy walki między figurkami.

– Chciałabym się z nim zobaczyć – powiedziała Leni, intuicyjnie wyczuwając, że Walker czeka na znak, że jest

gotowa. – Wolałabym sama. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Walker odwrócił się do żony.

– Atko, mogłybyście z Marge popilnować chłopca?

Atka uśmiechnęła się i zarzuciła długie włosy na plecy.

– MJ, pamiętasz, jak opowiadałam ci o rozgwieździe? To stworzenie, które mój lud nazywa Yuit, bardzo dzielnie zmaga się z falami. Chcesz je zobaczyć?

– Tak! Tak! – zawołał, zrywając się na równe nogi.

Leni z ramionami splecionymi na piersi patrzyła, jak Duża Marge, Atka i MJ oddalają się ku zejściu na plażę. Dziecinny głosik jej syna powoli przycichał.

– To nie będzie łatwe – uprzedził ją Walker.

– Tak mi żal, że nie mogłam do was pisać – wyznała. – Chciałam wam powiedzieć o MJ, ale… – Westchnęła. – Bałyśmy się, że trafimy do więzienia, gdybyśmy wróciły.

– Szkoda, że nam nie zaufałyście, ochronilibyśmy was, ale nie mówmy o tym, co było.

– Porzuciłam go – powiedziała cicho.

– Bardzo cierpiał, nie wiedział, kim jest, ciebie tym bardziej by nie rozpoznał.

– Myślisz, że to mnie rozgrzesza?

– Ty też wtedy cierpiałaś. Pewnie bardziej, niż mogę się domyślać. Wiedziałaś, że jesteś w ciąży?

Skinęła głową.

– Jak z nim jest?

– Przebył długą i mozolną drogę.

Cisza po tym wyznaniu jeszcze pogłębiła jej poczucie winy.

– Chodźmy. – Wziął ją pod rękę, podtrzymał. Przeszli obok domków letniskowych, minęli miejsce, gdzie wcześniej stała zagroda dla kóz, przecięli skoszoną łąkę i dotarli do zagajnika czarnych świerków.

Tam Walker się zatrzymał. Leni spodziewała się zobaczyć ciężarówkę.

– Nie jedziemy do Homer? – spytała zaskoczona.

Pokręcił głową. Wyprowadził ją przez zagajnik na chodnik ułożony z desek, zabezpieczony po obu bokach poręczami z sękatych konarów. Nieco w dole na spłachetku ziemi otoczonym drzewami stała chata z widokiem na zatokę. Dawna chata Genevy. Drewniany mostek stanowił przedłużenie chodnika do frontowych drzwi. Nie, nie mostek. To była rampa. Rampa dla wózka inwalidzkiego.

Walker ruszył przodem, dudniąc butami o drewniane klepki.

Zapukał do drzwi. Odpowiedział mu stłumiony głos. Walker otworzył drzwi i zrobił miejsce dla Leni.

– Wchodź, śmiało – zachęcił ją i delikatnie wypchnął przed siebie.

Znalazła się w niedużym, przytulnym pokoju z panoramicznymi oknami z widokiem na zatokę.

W pierwszej chwili jej uwagę przyciągnęła kolekcja malowideł. Jedno z nich – sporych rozmiarów niedokończony obraz – stało na sztaludze. Atakowało oczy eksplozją kolorów. Wielobarwne plamy i smugi wywołały u niej skojarzenia z zorzą polarną, chociaż nie umiałaby wytłumaczyć dlaczego. Wśród tych fantazyjnych deseni i linii kryły się zniekształcone litery; chyba tworzyły słowo ONA, ale nie była do końca pewna. Ten obraz ją poruszył. Wywołał ból, który szybko zastąpiła nadzieja.

– Zostawię was – odezwał się Walker, wychodząc z chaty i zamykając za sobą drzwi. W tej samej chwili Leni zobaczyła mężczyznę na wózku. Siedział tyłem do niej.

Mężczyzna oparł poplamione farbą dłonie na kołach i sprawnie manewrując, odwrócił wózek.

Matthew.

Uniósł głowę. Jego twarz poznaczona wypukłymi bladoróżowymi szramami wyglądała jak pozszywana z kawałków. Nos był spłaszczony jak u boksera, a dolną powiekę prawego oka nieznacznie ściągała w dół gwiaździsta blizna nad kością policzkową.

Tylko oczy pozostały te same. To w nich ujrzała swojego Matthew.

– Matthew? To ja, Leni.

Wpatrywał się w nią z napięciem. Liczyła, że się odezwie, powie coś, cokolwiek, przerwie tę trudną do zniesienia, przeciągającą się ciszę, którą w przeszłości wypełniłby potok słów.

Łzy napłynęły jej do oczu.

– To ja, Leni – powtórzyła, już ciszej.

Cały czas patrzył na nią, jakby pogrążony w myślach.

– Nie poznajesz mnie – stwierdziła, wycierając oczy. – Wiedziałam, że tak będzie. I że nie zrozumiesz, kiedy ci opowiem o MJ. Wiedziałam. Wiedziałam, tylko że… – Cofnęła się o krok. Nie, nic więcej teraz nie powie. Odłoży to na później.

Potem spróbuje jeszcze raz. Przećwiczy słowa. Wytłumaczy sytuację synkowi, przygotuje go. Mieli czas, chciała to zrobić, jak należy. Odwróciła się do drzwi.

---

5 Janice Joplin, *Piece of My Heart*, sł. Jerry Ragovoy, Bert Berns

31

– Zaczekaj.

Matthew siedział na wózku, zaciskając w dłoni lepki pędzel. Serce mu się tłukło, jakby chciało wyrwać się z piersi.

Mówili mu, że przyjdzie. On zapominał różne rzeczy, potem je sobie przypominał i znowu nie pamiętał. Czasami tak z nim było; co prawda rzadziej niż dawniej, niemniej się zdarzało. Informacje gubiły się gdzieś w labiryncie jego mózgu.

A może po prostu w to nie uwierzył. Może sądził, że wyobraźnia płata mu figle. Może oni chcieli poprawić mu humor, licząc, że i tak potem zapomni.

Nadal miewał takie dni, gdy ani słowa, ani pojęcia, ani zdania nie przedzierały się przez mgłę niepamięci. Pozostawało tylko cierpienie.

Ale ona tu była. Całe lata marzył o jej powrocie, wielokrotnie kreślił różne scenariusze. W samotności, w tym pokoju, gdzie stres go nie paraliżował i nie odbierał mowy, gdzie mógł udawać, że jest mężczyzną, do którego warto powrócić, odnajdywał w myślach i powtarzał słowa, które powie do niej.

Starał się odsunąć myśli o zniekształconej twarzy i niesprawnej nodze. Wiedział, że czasami uciekały mu myśli, mieszał pojęcia. Głos, kiedyś mocny, niejednokrotnie go zawodził, bełkotał jak idiota i wtedy myślał: to nie mogę być ja, a jednak tak, to był on.

Upuścił mokry pędzel i zaciskając dłonie na podłokietnikach, dźwignął się z wózka. Zawstydził go jęk bólu, który przy tym

wyrwał się mu z gardła, ale nie był w stanie go stłumić. Zaciskając zęby, stanął na chromej nodze. Za długo siedział bez ruchu pochłonięty malowaniem tego obrazu. Nazwał go ONA. Skupiony na wspomnieniu tamtej nocy na plaży zaniedbał ćwiczenia.

Utykając, stawiał chwiejne kroki. Zapewne myślała, że on lada moment się przewróci. Wiele razy padał, ale jeszcze więcej razy się podnosił.

– Matthew? – Stanęła przed nim, zadzierając głowę.

Jaka ona piękna. Patrzył na nią bliski łez. Chciał jej powiedzieć, że kiedy malował, była przy nim, pamiętał ją. To, co w szpitalu rehabilitacyjnym stanowiło terapię zajęciową, później stało się jego pasją. Siedząc przed sztalugą, zapominał o bólu i poczuciu straty, opuszczały go złe wspomnienia. Wyobrażał sobie przyszłość z Leni, ich miłość ciepłą jak nagrzana słońcem woda w lecie. Oczyma duszy widział ich dzieci i wspólną starość.

Wytężał umysł, szukał w głowie tych wszystkich słów. Zupełnie jakby nagle znalazł się w ciemnym pokoju. Wiedział, że gdzieś są drzwi, lecz nie potrafił ich znaleźć.

Oddychaj, Matthew. Zdenerwowanie ci nie pomaga.

Zaczerpnął powietrza i powoli wypuścił oddech. Dokuśtykał do nocnego stolika i podniósł pudełko pełne listów, które przysyłała mu przed laty do szpitala i jeszcze wcześniej, kiedy przygnieciony żałobą wyjechał do Fairbanks. Na tych listach na nowo nauczył się czytać. Podał jej pudełko. Nie zdobył się na prześladujące go od dawna pytanie: dlaczego przestałaś do mnie pisać?

Zobaczyła listy, podniosła na niego oczy.

– Zatrzymałeś je? Po tym, jak cię opuściłam?

– Twoje listy. – Słyszał, że przeciąga słowa. Musiał się bardzo koncentrować, żeby logicznie je łączyć. – Tak ja. Czytać od nowa

uczyłem się.

Wpatrywała się w niego.

– Modliłem się. Ty. Wrócisz – wyznał.

– Chciałam – szepnęła.

Uśmiechnął się, świadomy, że wtedy ze skórą naciągniętą pod okiem wygląda jeszcze bardziej dziwacznie.

Objęła go. Zdumiało go, że nadal tak do siebie pasują. Jego poskładane na nowo, zespolone śrubami, pozszywane ciało natychmiast zestroiło się z jej ciałem.

– Jesteś taki piękny. – Dotknęła jego pokrytej bliznami twarzy.

Przytulił ją mocniej, próbując zapanować nad ogarniającym go niezrozumiałym lękiem.

– Wszystko dobrze? Coś cię boli?

Nie wiedział, jak wyrazić to, co w tej chwili czuł, a może się bał, że po tym wyznaniu straciłby w jej oczach. Przez te wszystkie lata bez niej tonął w odmętach, ona była tym brzegiem, którego szukał, z trudem utrzymując się na powierzchni. Gdyby na widok jego zniekształconej, pokrytej bliznami twarzy uciekła, już na zawsze pogrążyłby się w ciemnej toni.

Wysunął się z jej ramion, utykając, wrócił do wózka i usiadł skrzywiony z bólu. Niepotrzebnie ją objął, niepotrzebnie poczuł bliskość jej ciała. Czy uda mu się wymazać z pamięci wspomnienie tamtej chwili? Bezskutecznie starał się zapanować nad emocjami. Drżał.

– Gdzie. Byłaś?

– W Seattle. – Stanęła nad nim. – To długa historia.

Pod jej dotykiem świat, jego świat, albo się otworzy, albo rozpadnie. Chciał rozkoszować się tą chwilą, zanurzyć w niej jak w stosie futer i dać się ogrzać, ale to wszystko nie wydawało się ani prawdziwe, ani bezpieczne.

– Powiedz mi.

Pokręciła głową.

– Jesteś rozczarowana. Mną.

– Nie, Matthew. Ja jestem rozczarowana sobą. Zostawiłam ciebie. Kiedy najbardziej mnie potrzebowałeś. Zrozumiem, jeżeli mi nie wybaczysz. Bo ja sobie wybaczyć nie umiem. Postąpiłam tak, bo, hmm… jest ktoś, kogo powinieneś poznać. Potem porozmawiamy, jeśli nadal będziesz chciał.

– Ktoś? Tutaj? – Nachmurzył się.

– Jest na dworze z twoim tatą i Atką. Wyjdziesz ze mną, żeby go poznać?

Ktoś. On.

Przepełniła go gorycz, wnikając aż do zespolonych śrubami kości.

– Nie potrzebuję poznać. Twojego on.

– Jesteś zły. Rozumiem. Powiedziałeś kiedyś, że nie zawodzi się ludzi, których kochamy, a ja zawiodłam. Uciekłam.

– Nie mów. Idź – wychrypiał. – Proszę. Idź.

Patrzyła na niego ze łzami w oczach. Jej uroda zapierała mu dech. Wzbierał w nim płacz, krzyk. Jak miałby kiedykolwiek pozwolić jej odejść? Przez te wszystkie lata, odkąd wróciła mu pamięć, czekał na tę chwilę, na nią, na nich. Nocami płakał przez sen dręczony potwornym bólem, ale każdego dnia budził się z myślą o Niej i walczył dalej. Wyobraźnia podsuwała mu milion wersji ich wspólnej przyszłości, ale tego, że ona wróci tylko po to, żeby się z nim pożegnać, nie przewidział w najczarniejszych snach.

– Matthew, ty masz syna.

Tak się czasami zdarzało. Słyszał co innego, niż do niego mówiono, przekręcał informacje. Wszystko przez ten uszkodzony mózg. Zanim zdążył się obronić, użyć wyuczonych technik, zadała mu tymi słowami potworny ból. To niemożliwe, chciał jej powiedzieć, musiał ją źle zrozumieć, ale z gardła

wydarł mu się jedynie ochrypły zwierzęcy krzyk. Wstrząśnięty na próżno szukał w głowie słów. Zerwał się z wózka, byle znaleźć się dalej od niej, i zatoczył na kuchenny blat. To jego uszkodzony mózg podsuwał mu to, co chciał usłyszeć, zamiast tego, co ona naprawdę powiedziała.

Leni zbliżyła się do niego. Widział, jak bardzo ją dotknął, zawstydzony najchętniej by się odwrócił, bo pewnie brała go za szaleńca.

– Wyjdź. Jeżeli odchodzisz. Wyjdź.

– Matthew, proszę. Uspokój się. Wiem, że cię zraniłam. – Wyciągnęła do niego rękę. – Wybacz mi, Matthew.

– Odejdź. Proszę.

– Masz syna – powiedziała powoli. – Syna. My mamy syna. Rozumiesz mnie?

Myślał intensywnie, ściągając brwi.

– Dziecko?

– Tak. Przywiozłam go, żeby cię poznał.

W pierwszej chwili poczuł niewysłowioną radość, którą szybko stłumiła bolesna prawda. Syn. Jego dziecko. Ich dziecko. Zbierał w nim szloch na myśl o tym, co stracił.

– Popatrz na mnie – powiedział cicho.

– Patrzę.

– Jak wyglądam. Poskładano mnie. Kiepską maszyną do szycia. Czasami boli. Tak bardzo. Dwa lata rzężenia i krzyków. Zanim wydobyłem pierwsze. Normalne słowo.

– I?

Myślał o tamtych wszystkich rzeczach, których kiedyś zamierzał nauczyć swojego syna. Stracone złudzenia. Nie mógł być dla nikogo oparciem, skoro sam potrzebował pomocy.

– Nie podniosę go. Na barana. Nie będzie chciał. Takiego taty. – Wiedział, że Leni słyszy w jego głosie tęsknotę i wzruszenie zawarte w słowie „tata”.

Przytknęła dłoń do jego twarzy i wodziła palcami po bliznach.

– Wiesz, co widzę? Człowieka, który powinien umrzeć, a jednak się nie poddał. Człowieka, który walczył, żeby od nowa nauczyć się myśleć, mówić i chodzić. Każda z twoich blizn łamie mi serce i scala je na nowo. Wszyscy rodzice mają podobne obawy do twoich. Widzę mężczyznę, którego kocham całe życie. Ojca naszego syna.

– Nie wiem. Jak.

– Nikt nie wie jak. Uwierz mi. Możesz go wziąć za rękę? Nauczyć łowić ryby? Zrobić mu kanapkę?

– Będzie się mnie wstydził.

– Dzieci są silne i taka sama jest ich miłość. Uwierz mi, Matthew, poradzisz sobie.

– Nie sam.

– Nie sam. Jest nas dwoje. Tak jak zawsze powinno być. Będziemy się wspierać. Zgoda?

– Przyrzekasz?

– Przyrzekam.

Ujęła w dłonie jego twarz i wspięta na palcach pocałowała w usta. Ten jeden pocałunek, tak podobny do tamtego sprzed wielu lat, kiedy oboje, wtedy jeszcze dzieci, wierzyli w szczęśliwe zakończenia, sprawił, że jego świat na nowo nabrał sensu.

– Chodź, poznaj się z nim – wyszeptała mu w usta. – Chrapie jak ty. Tak samo obija się o meble. I kocha wiersze Roberta Service’a.

Wzięła go za rękę. Razem wyszli z chaty. Wsparty na niej szedł powoli, utykając, i mocno ściskał jej rękę. W milczeniu pokonali odcinek drogi między drzewami, a za domem, teraz luksusową leśną ostoją, skręcili na nowe zejście na plażę.

Jak zwykle na brzegu kręciło się mnóstwo gości w kolorowych kurtkach przeciwdeszczowych. Niektórzy z nich łowili ryby. Ptaki, kreśląc koła nad ich głowami, czekały na smaczne kąski.

Trzymał się Leni jedną ręką, a drugą kurczowo poręczy i schodził mozolnie po schodach, przystając co kilka stopni.

Duża Marge nieco na uboczu popijała piwo na plaży. Alyeska uczyła turystów pływać kajakami po zatoce. Ojciec z Atką pilnowali jasnowłosego chłopczyka, który siedział w kucki i oglądał dużą purpurową rozgwiazdę.

Matthew zastygł w pół kroku.

– Mamuś! – zawołał malec na widok Leni, podrywając się z piasku. – Wiedziałaś, że rozgwiazdy mają zęby? Widziałem je! – Uszczęśliwiony uśmiech rozświetlił mu buzię.

Leni podniosła oczy na Matthew.

– Nasz syn – szepnęła, puszczając jego dłoń.

Zrobił kilka niepewnych kroków, przystanął. Chciał się nachylić, ale chora noga zawiodła nagle i z gardłowym jękiem osunął się na kolano, krzywiąc się z bólu.

– Warczysz jak niedźwiedź. Lubię niedźwiedzie i mój nowy dziadek też je lubi. A ty?

– Lubię – odpowiedział niepewnie.

Patrzył na syna i widział siebie sprzed lat. Niespodziewanie pamięć wyświetliła dawno zapomniane obrazy: galaretowaty żabi skrzek na dłoni, beztroski śmiech, który wstrząsa całym ciałem, opowiadania czytane przy ognisku, zabawa w piratów na plaży, domek budowany na drzewie. To wszystko kiedyś znał. O tylu rzeczach marzył przez te lata, walczył jak szalony, żeby nie stracić nadziei, kiedy ciało rozrywał potworny ból, ale to było coś, o czym nie śmiałby nawet pomyśleć. Ma syna.

– Jestem Matthew.

– Naprawdę? A ja jestem Matthew Junior. Ale wszyscy wołają na mnie MJ.

Matthew Junior, mój syn, powtórzył w myślach, czując przypływ nieznanych dotąd emocji. Chciał się uśmiechnąć, a tymczasem łzy zakręciły mu się w oczach.

– Jestem twoim tatą.

MJ spojrzał na Leni.

– Mamuś?

Podeszła do nich, położyła dłoń na ramieniu Matthew i z powagą pokiwała głową.

– Zgadza się, MJ. To twój tata. Długo czekał, żeby ciebie poznać.

Malec uśmiechnął się szeroko, pokazując lukę po dwóch mlecznych zębach i z impetem rzucił się Matthew na szyję, przewracając ich obu na piasek.

– Chcesz zobaczyć rozgwiazdę? – zapytał, zaśmiewając się i zrywając z ziemi.

– Pewnie.

Matthew podparł się ręką i próbował podźwignąć. Ale chora stopa zawiodła i kawałki muszelek wbiły mu się w dłoń; opadł z powrotem na kolano. Ale Leni już była obok, wzięła go pod ramię i pomogła mu wstać.

MJ, paplając radośnie, pobiegł w podskokach nad wodę.

Matthew nie był w stanie zrobić kroku. Stał, płytko oddychając, trochę przestraszony, że to wszystko może prysnąć jak bańka mydlana. Chłopiec z jasną czupryną, połyskującą w słońcu, który wyglądał jak kiedyś on, stał tam, na plaży, w dżinsach ze szlaczkiem ze słonej wody na nogawkach. Śmiał się. Patrzył na niego i zobaczył całe swoje życie: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. To była jedna z takich chwil – przebłysk łaski na tym szalonym, czasami niewyobrażalnie niebezpiecznym świecie – która odmienia cały los człowieka.

– Matthew, lepiej tam zejdźmy – odezwała się Leni. – Nasz syn bywa niecierpliwy, kiedy czegoś bardzo chce.

Spojrzał na nią. Boże, jak ja ją kocham, pomyślał tylko. Nie był w stanie wydobyć głosu, oszołomiony tą nową, odmienioną rzeczywistością. Rzeczywistością, w której został ojcem.

Zarówno on, jak i Leni przeszli długą drogę. Z początku byli dwójką poranionych przez los dzieciaków. Może to wszystko, co się stało, miało jakiś sens, może każde z nich musiało pokonać własny ocean – ona toksycznej miłości i straty, a on bólu, żeby znowu być razem w tym miejscu, do którego należeli.

– Dobrze, że jestem – wyszeptał.

Widział, ile te słowa dla niej znaczyły.

– Chciałam być przy tobie. Chciałam…

– Wiesz, co najbardziej w tobie kocham, Leni Allbright?

– Co?

– Wszystko. – Wziął ją w ramiona i pocałował. Ten pocałunek wyrażał to, co mógł jej teraz ofiarować i obiecać na przyszłość. Kiedy wreszcie niechętnie uwolnił ją z objęć i cofnął się o krok, milczeli zapatrzeni na siebie, pozwalając przemówić przyspieszonym oddechom.

– Lepiej już idź. – Leni pierwsza przerwała ciszę.

Matthew, ostrożnie stawiając kroki na kamienistej plaży, podszedł do chłopca na brzegu.

– Zobacz! – zawołał MJ, pokazując dużą purpurową rozgwiazdę. – Tutaj. Tato, patrz!

Tato.

Matthew schylił się po ciemnoszary, wygładzony przez fale kamyk, mały jak nowy początek. Położył go na otwartej dłoni. Miał idealny kształt i wagę.

– Zobacz. Pokażę ci. Jak. Puszczać kaczki. To fajne. Nauczyłem twoją mamę. Dawno temu…

– Zawsze wierzył, że wrócisz – powiedział Walker, stając obok Leni. – Twierdził, że gdybyś umarła, wiedziałby o tym. Wyczułby. „Ona” to pierwsze słowo, które wypowiedział. Nietrudno było odgadnąć, kogo miał na myśli.

– Opuściłam go, jak mam mu to wynagrodzić?

– Och, Leni. Takie jest życie. Nie zawsze wszystko układa się po naszej myśli. – Wzruszył ramionami. – Chyba nikt nie rozumie tego tak dobrze jak Matthew.

– Jak właściwie z nim jest?

– Walczy. Czasami cierpi. Kiedy się denerwuje, uciekają mu słowa, ale jako przewodnik rzeczny jest niezastąpiony, a goście go uwielbiają. Pracuje jako wolontariusz w centrum rehabilitacyjnym. No i widziałaś jego obrazy. Bóg wynagrodził mu to nieszczęście talentem. A co do przyszłości, raczej nie będzie wyglądać tak, jak ją sobie wyobrażaliście, kiedy mieliście po osiemnaście lat, bo on jednak różni się od swoich rówieśników.

– Ja też toczę swoje walki – powiedziała cicho. – Wtedy byliśmy jeszcze dzieciakami. Teraz jesteśmy dorośli.

Walker z zadumą pokiwał głową.

– Jest jedno zasadnicze pytanie. Wszystko od tego zależy. – Odwrócił się do niej. – Zostaniesz?

Zdobyła się na uśmiech. Była przekonana, że podszedł do niej właśnie po to, żeby je zadać.

– Nie mam pojęcia, jak będzie wyglądać moje nowe życie, ale tak, zostaję.

Położył jej dłoń na ramieniu.

Na dole, na plaży MJ podskoczył zachwycony.

– Udało się! Puściłem kaczki. Mamuś, widziałaś?

Matthew obejrzał się i uśmiechnął do Leni. On i syn byli tacy do siebie podobni, obaj uśmiechali się do niej, stojąc razem na tle chabrowego nieba. Groszki w strączku. Jedyne takie. Początek całego oceanu miłości.

Chociaż przez te lata często o nich myślała, a nawet je idealizowała, tak naprawdę zapomniała, ile magii mają w sobie takie letnie wieczory, kiedy nie zapada mrok.

Siedziała przy jednym z piknikowych stołów na plaży Walkera. Aromat opiekanych cukrowych pianek mieszał się ze słonym zapachem morza. Fale pluskały o brzeg. MJ stał nad wodą, zarzucał wędkę i zwijał żyłkę na kołowrotek. Obok stał Walker, coś mu doradzał, rozplątywał skłębioną żyłkę, uwalniał zaczepiony haczyk. Alyeska też łowiła ryby, trzymając się obok. Leni widziała, że jeszcze chwila i MJ zmorzy sen.

Mimo uroku tego wieczoru i radości, jaką sprawiało jej odnajdywanie się w nowym życie, myśl, że odwleka coś, co powinna zrobić, nie dawała jej spokoju.

W końcu kierowana wewnętrznym nakazem podniosła się z krzesła. Dawno już zapomniała, jak oceniać czas po kolorze nieba. W tej chwili było liliowe i obsypane gwiazdami. Spojrzała na zegarek. Prawie wpół do dziesiątej.

– Co takiego? – spytał Matthew. Trzymał ją za rękę i puścił dopiero wtedy, gdy wstając, delikatnie ją uwolniła.

– Muszę zobaczyć mój dawny dom.

Podniósł się i skrzywił z bólu, stając na chorej stopie. Wiedziała, że dla niego cały dzień spędzony na nogach stanowił ogromny wysiłek.

Pogładziła go po pokrytym bliznami policzku.

– Pojadę. Widziałam rower przy domu. Tylko tam zajrzę i zaraz wracam.

– Ale…

– Poradzę sobie. Widzę, że cię boli. Zostań z MJ. Kiedy wrócę, położymy go spać. Pokażę ci, bez których pluszaków nie potrafi zasnąć, i opowiem jego ulubioną bajkę. Wymyśliłam ją o nas.

Wiedziała, że Matthew będzie próbował oponować, ale mu na to nie pozwoliła. To była jej przeszłość, jej bagaż. Zeszła z plaży i wspięła się po schodach na górę. Paru gości nadal siedziało na tarasie przed domem, śmiejąc się i głośno rozmawiając. Zapewne snuli historie o wędkarskich sukcesach, którymi później będą chwalić się w domu.

Wyciągnęła rower ze stojaka, wskoczyła na siodełko, wolno pedałując na gąbczastym torfowisku, wyjechała na główną drogę, po czym skręciła w prawo, kierując się na cypel.

Zobaczyła palisadę, a właściwie to, co z niej zostało. Sterty porąbanych desek oderwanych od słupów leżały na ziemi pociemniałe i porośnięte mchem.

Duża Marge i Tom. Może Thelma. Wyobraziła sobie, jak rozzłoszczeni przyszli tutaj z siekierami porąbać płot.

Skręciła na podjazd zarośnięty chwastami i trawą po kolana. Drzewa broniły dostępu światłu; otaczała ją cisza typowa dla lasów i opuszczonych domostw. Jechała powoli, mocno naciskając na pedały.

Wreszcie skręciła na polanę. Chata nadal stała, ale nie oparła się wpływowi czasu i surowego klimatu. Natomiast sąsiadujące z nią zagrody dla zwierząt i kur popadły w ruinę. Prawdopodobnie buszowały tam najróżniejsze gryzonie, a dzikie zwierzęta połamały płoty. Stosy rupieci obrosła wysoka trawa poprzetykana kłującym kolcosiłem i kwitnącą na różowo wierzbówką. Tu i ówdzie walały się sterty pordzewiałego żelastwa i przegniłego drewna. Stara ciężarówka osiadła

z szoferką wygiętą ku górze niczym spracowana szkapa. Wędzarnia zmieniła się w piramidę posiwiałych, spleśniałych desek. O dziwo, linka na pranie nadal wisiała rozpięta między drzewami, a przyczepione do niej spinacze podrygiwały kołysane bryzą.

Leni zsiadła i położyła rower na trawie. Odrętwiała, na miękkich nogach skręciła w stronę chaty. Otoczyła ją chmara brzęczących komarów. Przystanęła przed wejściem. Dasz radę, pomyślała, i pchnęła drzwi.

Głosy i słowa zadźwięczały w uszach, obrazy przesunęły się przed oczami. Dobre, złe, zabawne, potworne. Wszystko powróciło w jednej elektryzującej chwili.

Zacisnęła dłoń na kościanym serduszku na szyi, jej talizmanie, czując, jak ostry kant kłuje skórę. Powoli obeszła wnętrze, odgarnęła zasłonę z psychodelicznych koralików, która dawała rodzicom iluzję prywatności. W sypialni zobaczyła stertę zakurzonych rupieci, mówiących o tym, kim kiedyś byli. Skłębione futra na łóżku. Kurtki wiszące na kołkach. Para butów z wygryzionymi noskami.

Znalazła starą bandanę ojca i schowała do kieszeni. Zamszowa opaska mamy wisiała na haczyku na ścianie. Wzięła ją i owinęła na nadgarstku jak bransoletkę.

Na stryszku ciągle leżały porozrzucane książki z pożółkłymi obgryzionymi kartkami. Wiele z nich, podobnie jak materac, stało się domem dla myszy. Powietrze było przesiąknięte zapachem ich odchodów. Zapachem brudu i rozkładu. Zapachem zapomnianego miejsca.

Zeszła na dół po drabinie i stając na lepkiej od brudu podłodze, rozejrzała się wokół siebie.

Tyle wspomnień. Ile czasu zajmie jej uporanie się z nimi wszystkimi? Nawet teraz, będąc tutaj, nie potrafiła nazwać emocji, jakie budziło w niej to miejsce, ale wiedziała, wierzyła,

że znajdzie sposób na zachowanie w pamięci tego, co było dobre. Owszem, nie pozbędzie się złych wspomnień, ale nie będzie ich pielęgnować. Absolutnie nie. Były też dobre chwile, jak powiedziała mama, i przygody.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi za plecami. I nierówne kroki.

– Samotność jest przereklamowana – stwierdził Matthew, stając przy niej. – Chcesz. To uporządkować? Mieszkać tutaj?

– Może. A może spalę to wszystko i odbuduję od nowa. Popiół doskonale wzbogaca glebę.

Nic nie planowała. Wiedziała jedynie, że nareszcie, po tych wszystkich latach, znalazła się z powrotem pośród tych nieugiętych oryginałów, którzy żyli, tak jak chcieli, w tym tak różnym od innych stanów, w miejscu pełnym majestatu, które ją ukształtowało i do którego należała. Kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, ze strachem myślała o niewiele od niej starszych dziewczynkach, które znikały bez śladu. Kiedy miała trzynaście lat, tamte historie śniły jej się po nocach. Teraz wiedziała, że zagubić się można na sto sposobów, a odnaleźć na jeszcze więcej.

Jakże cienki woal oddzielał przeszłość od teraźniejszości; jednakowo zakodowane w sercu. Wszystko – zapach morza podczas odpływu, krzyk mewy, turkusowy kolor rzeki karmionej wodami lodowców – pozwalało przenosić się w czasie. Głos niesiony wiatrem mógł być czyimś wołaniem albo wytworem wyobraźni. Szczególnie w tym miejscu.

W ten upalny letni dzień półwysep Kenai wibrował kolorami. Pod bezchmurnym niebem krajobraz był magiczną mozaiką lawendy, zieleni i lazuru dolin, klifów i szczytów. Na górach, wysoko ponad linią drzew ciągle leżał śnieg. Niemal gładka

woda w zatoce miała szafirowy odcień. Dziesiątki łodzi rybackich płynęło razem z kajakami i kanadyjkami. W taki dzień jak dziś Alaskanie spędzali czas na wodzie. Leni wiedziała, że Bishop's Beach, piaszczysty pas poniżej rosyjskiego kościoła w Homer, będzie zastawiony ciężarówkami i pikapami z pustymi przyczepami na łodzie i wiedziała także, że nieuważnych turystów, którzy zbierali małże, brodząc przy brzegu, zaskoczy przypływ.

Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniały.

Leni stała na zarośniętym podwórku przed chatą z Matthew u boku. Razem zeszli z trawiastego wzniesienia na plażę, gdzie czekali już na nich Atka i Tom Walkerowie, Alyeska i MJ. Alyeska przywitała Leni ciepłym uśmiechem, który mówił: Nie jesteś z tym sama. Masz rodzinę. W ostatnich dwóch dniach przez zamieszanie związane z jej powrotem na Alaskę nie mieli z Matthew zbyt wielu okazji do rozmów, ale oboje wiedzieli, że znajdą jeszcze mnóstwo czasu na wypełnienie luki w swoim życiu. To nie będzie trudne w otoczeniu tylu bliskich ludzi.

Leni wzięła syna za rękę.

Cała gromada ludzi czekała na nią na brzegu. Czuła na sobie ich wzrok, zauważyła, że przycichli na jej widok.

– Mamuś, patrz, foka! Och, ryba wyskoczyła z wody! O jejku! Możemy dziś z tatą popłynąć na ryby, możemy? Ciocia Aly mówi, że łososie wciąż wędrują.

Leni objęła spojrzeniem przyjaciół zebranych nad wodą. Stawiło się prawie całe Kaneq, zjawiło się nawet paru odludków, których zazwyczaj widywano jedynie w pubie i z rzadka w sklepie wielobranżowym. Wszyscy w milczeniu skierowali się do swoich łodzi. Ciszę mącił chrzęst muszelek i kamyków o dna, kiedy spychali je z brzegu, i plusk wody o kadłuby.

Matthew zaprowadził ją do skifu z logo Leśnej Ostoi Walkera. Nałożył MJ żółtą kamizelkę ratunkową i posadził go na ławeczce na dziobie, a sam jako wioślarz usiadł na środku. Leni zajęła miejsce na rufie i unosząc się na wodzie, dołączyli do pozostałych łodzi.

W ten ciepły wczesny wieczór woda była spokojna, a fiord w słońcu wyglądał majestatycznie.

Łodzie razem wypłynęły na zatokę, niemal ocierając się burtami. Leni rozejrzała się wokół siebie. Tom i Atka Walkerowie, Alyeska, jej mąż Darrow i ich trzyletni bliźniacy. Duża Marge, Natalie Watkins, Tica Rhodes z mężem, Thelma, Moppet, Ted i pozostali Harlanowie. Twarze zapamiętane z dzieciństwa. Twarze, które będą jej towarzyszyć w przyszłości.

Czuła, że wszyscy jej się przyglądają. Stawili się, żeby pożegnać jej mamę. Uderzyła ją myśl, ile to by dla niej znaczyło. Czy mama wiedziała, że się dla nich liczyła?

– Dziękuję – powiedziała, ale to jedno słowo utonęło w chlupocie wody o kadłuby łodzi. Co jeszcze mogła powiedzieć? – Nie wiem, jak…

– Po prostu mów o niej – podpowiedział cicho Walker.

Skinęła głową, otarła łzy.

– Nie wiem, czy jakakolwiek inna kobieta – zaczęła najgłośniej, jak potrafiła – przyjechała na Alaskę gorzej przygotowana od mojej mamy. Wtedy nie umiała gotować, piec ani robić dżemów. Przed Alaską liczyły się sztuczne rzęsy i wysokie obcasy. Rany boskie, ona przywiozła tutaj fioletowe szorty!

Zrobiła przerwę, wzięła głęboki oddech.

– Ale mama pokochała to miejsce. Obie je pokochałyśmy. „Wróć do domu”, to były jej ostatnie słowa przed śmiercią. Wiedziałam, o czym myśli. Gdyby was teraz zobaczyła,

zapytałaby z tym swoim promiennym uśmiechem: „Co wy, ludzie, tutaj robicie, zamiast pić i się bawić?”. Tobie, Tomie, podałaby gitarę, ciebie, Thelmo, zapytałaby, gdzie się, do diabła, podziewałaś, a Dużą Marge wyściskałaby z całej siły. – Głos Leni załamał się pod ciężarem wspomnień. Powiodła spojrzeniem po znajomych twarzach. – Mama byłaby wzruszona, widząc was wszystkich, wiedząc, że poświęciliście swój czas, oderwaliście się od swoich zajęć, żeby ją wspomnieć. Pożegnać. Kiedyś mi powiedziała, że czuje się nikim, że jest zaledwie cieniem innych ludzi. Nie doceniała siebie. Mam nadzieję, że teraz patrzy na nas z góry i nareszcie wie… jak bardzo była kochana.

Odpowiedziały jej przytakujące pomruki i znów zapadło milczenie. Smutek przeżywa się samotnie, w ciszy. Odtąd Leni będzie słyszeć głos mamy wyłącznie w swoich myślach. Głos przetworzony przez własny umysł, a więc przez świadomość innej kobiety, żyjącej w ciągłym poszukiwaniu więzi, próbującej to wszystko zrozumieć. Jak wszystkie osierocone dziewczyny, będzie próbowała odkryć tę utraconą część swej istoty – matkę, która ją wychowywała i kochała. Leni stanie się jednocześnie matką i dzieckiem; to w niej mama będzie trwać, starzeć się i nie zniknie, dopóki ona ją pamięta.

Duża Marge rzuciła wiązankę kwiatów do wody.

– Będziemy za tobą tęsknić, Coro.

Walker rzucił bukiet wierzbówki. Kwiaty rozsnuły się na falach w jaskraworóżową plamę i przepłynęły obok łódki Leni.

Matthew ściągnął ją wzrokiem. Trzymał pęk wierzbówki i łubinów. Razem z MJ nazbierali ich rano.

Sięgnęła ze schowka słój z prochami. Na jedną cudną chwilę świat zasnuła mgła i pojawiła się mama. Żartobliwie kuksnęła ją biodrem. Tańcz, córciu, powiedziała z twarzą opromienioną uśmiechem.

Kiedy Leni podniosła załzawione oczy, łódki były kolorowymi plamami na tle niebieskozielonej przestrzeni.

Otworzyła słój i powoli wysypała zawartość do wody.

– Kocham cię, mamo – szepnęła przepełniona smutkiem i miłością. Były kimś więcej niż najlepszymi przyjaciółkami. Stały się sojuszniczkami. Mama nazywała ją wielką miłością swego życia, a Leni sądziła, że to oczywiste dla wszystkich rodziców i dzieci. Miała w pamięci tamte słowa, które kiedyś usłyszała od mamy. „Miłość nie słabnie ani nie umiera, córciu". Mówiła wtedy o Matthew, chcąc ją pocieszyć, ale ta prawda tak samo dotyczyła matek i ich dzieci.

Miłość, którą Leni darzyła matkę, synka i Matthew, a także wszystkich ludzi wokół siebie, była trwała, wielka jak otaczający ją krajobraz, niezmienna jak morze. Niepokonana przez czas.

Wychyliła się za burtę i rzuciła do wody kilka gałązek wierzbówki. Patrzyła, jak leniwie toczące się fale unoszą jaskraworóżowe kwiaty w stronę brzegu. Wiedziała, że już zawsze będzie czuć dotyk mamy w morskiej bryzie, będzie słyszeć jej głos w szumie przypływu. Zapewne nieraz się rozpłacze, zbierając jagody, piekąc chleb, a może nawet wdychając zapach kawy. Do końca życia, spoglądając na bezkresne alaskańskie niebo, będzie mówić „Cześć, mamo" i pamiętać.

– Zawsze będę cię kochać – szepnęła i wystawiła twarz do wiatru. – Zawsze.

MOJA ALASKA
4 lipca 2009 roku
Lenora Allbright Walker

Gdyby ktoś w dzieciństwie mi powiedział, że pewnego dnia zjawią się u mnie ludzie z prasy, żeby porozmawiać o pięćdziesiątej rocznicy wejścia Alaski do Unii jako czterdziestego dziewiątego stanu, parsknęłabym śmiechem. Kto mógłby przypuszczać, że moje fotografie zyskają taką popularność? Albo że zdjęcie wycieku ropy, które zrobiłam po katastrofie tankowca Exxon Valdez, będzie mieć wpływ na moje życie i trafi na okładkę czasopisma?

Tak szczerze mówiąc, osobą, z którą należałoby rozmawiać, jest mój mąż. To on musiał sprostać wielu wyzwaniom, jakie stawia przed ludźmi ten stan, i wyszedł z nich zwycięsko. Jest jak jedno z tych drzew wyrastających z nagiego klifu, które powinno runąć pod naporem lodowatych wiatrów, a jednak stoi. Uparcie trwa. I świetnie rośnie.

Ja jestem zwykłą alaskańską żoną i matką, przede wszystkim dumną z dzieci i z tego, że udaje mi się żyć pełnią życia w otoczeniu surowej natury. Ale moja historia, podobnie jak wielu kobiet, ma więcej odcieni, niż się na pierwszy rzut oka wydaje.

Rodzina mojego męża to praktycznie alaskańska arystokracja. Jego dziadkowie marzeniami i siekierą kształtowali życie w tych dzikich ostępach. Typowi amerykańscy pionierzy na setkach akrów przyznanych im jako osadnikom zapoczątkowali budowę miasta, w którym osiedli. Moje dzieci: MJ, Kenai i Cora są czwartym pokoleniem dorastającym na tej ziemi.

Inaczej wyglądały losy rodziny, z której sama pochodzę. Przybyliśmy na Alaskę w latach siedemdziesiątych. To był burzliwy czas, pełen protestów, marszów, zamachów bombowych, porwań. Młode kobiety znikały bez śladu

z kampusów uniwersyteckich. Wojna w Wietnamie podzieliła kraj.

Przyjechaliśmy na Alaskę, żeby uciec od takiego świata. Jak wielu cheechako przed nami i po nas, kiepsko to zaplanowaliśmy. Nie mieliśmy wystarczająco dużo jedzenia, niezbędnych rzeczy ani pieniędzy. Nasze umiejętności były mizerne. Wprowadziliśmy się do chaty w odległej części Kenai Peninsula i szybko się przekonaliśmy, jak niewiele wiemy. Nawet nasz samochód, volkswagen bus, nie nadawał się na tutejsze warunki.

Ktoś mi kiedyś powiedział, że Alaska nie kształtuje charakteru – ona go obnaża. W przypadku mojego ojca okazało się to smutną prawdą: tutejsze ciemności ujawniły mroczną stronę jego natury.

Był weteranem wojny w Wietnamie, jeńcem wojennym. Wtedy jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy, jakie ma to konsekwencje. Teraz to wiemy. Jesteśmy światlejsi i potrafimy już pomagać takim ludziom. Rozumiemy, że wojna może złamać najsilniejszą nawet psychikę. W tamtym czasach ojciec nie mógł liczyć na pomoc. Tak samo jak kobieta, która stała się jego ofiarą.

Alaska – ciemności, mróz, izolacja – to wszystko miało fatalny wpływ na ojca, zmieniło go w jedno z dzikich zwierząt zamieszkujących tutejsze tereny.

Ale na początku nie mieliśmy o tym zielonego pojęcia, bo i skąd? Jak wielu innych ludzi z głowami pełnymi marzeń i planów zupełnie nieprzygotowani ruszyliśmy na północ w naszym busie z transparentem „Alaska albo klapa" przymocowanym taśmą izolacyjną.

Ten stan nie przypomina żadnego innego miejsca na ziemi. To piękno i groza. Wybawca i wróg. Tutaj, w tym najdzikszym miejscu w Ameryce, na obrzeżach cywilizacji,

gdzie woda w każdej postaci może człowieka zabić, a przetrwanie zależy od ciągle dokonywanych wyborów, dowiadujesz się, kim jesteś. Nie, kim chciałbyś być albo jak siebie postrzegasz czy na kogo cię wychowano. Stracisz złudzenia podczas miesięcy spędzanych w ciemnościach. Kiedy mróz na szybach zaciera widok za oknem i świat się staje bardzo mały, zderzasz się z prawdą o sobie. Uczysz się, co robić, żeby przetrwać.

Ta lekcja, to odkrycie – o czym kiedyś wspominała moja matka, mówiąc o miłości – jest wielkim, a jednocześnie strasznym darem Alaski. Ci, których przyciąga tu jedynie piękno albo wizja urojonego życia czy też poszukiwanie bezpiecznej przystani, poniosą klęskę.

W nieprzewidywalnej, dzikiej alaskańskiej przestrzeni albo się wzmocnisz i rozwiniesz, albo uciekniesz z krzykiem od ciemności, zimna i trudów życia. Wielka Samotność nie uznaje kompromisów i nie oferuje bezpieczeństwa.

Dla nielicznych: niezłomnych, silnych marzycieli, Alaska na zawsze stanie się domem, pieśnią, którą można usłyszeć, gdy cichnie i nieruchomieje świat. Albo się tu odnajdziesz, dziki jak tutejsza przyroda, albo nie.

Ja się odnalazłam.

Podziękowania

Pochodzę z rodziny poszukiwaczy przygód z długą historią. Mój dziadek opuścił Walię w wieku czternastu lat i został kowbojem w Kanadzie. Mój tata, niespokojny duch, spędził życie na poszukiwaniu tego, co wyjątkowe, dalekie, niezwykłe. Nosi go w miejsca, o których inni ludzie tylko marzą.

W 1968 roku ojciec uznał, że w Kalifornii zrobiło się za tłoczno. Razem z mamą postanowili coś z tym zrobić. Zapakowali nas (troje dzieci, psa i dwójkę przyjaciół) do volkswagena busa. Wyruszyliśmy w środku upalnego lata. Objechaliśmy kawał Ameryki, przemierzyliśmy kilkanaście stanów w poszukiwaniu miejsca dla siebie. Znaleźliśmy je na zielono-niebieskim północno-zachodnim wybrzeżu.

Po latach tata znowu udał się na poszukiwanie przygód. Wylądował na Alasce, na brzegu niesamowitej Kenai River. Tam moi rodzice poznali Laurę i Kathy Pedersen, matkę i córkę, osadniczki, które od lat prowadziły kompleks turystyczny na malowniczym pasie nadbrzeża. Na początku lat osiemdziesiątych te dwie pionierskie rodziny wspólnie zorganizowały przedsięwzięcie, znane jako Great Alaska Adventure Lodge. Pracowały tam trzy kolejne pokolenia. Wszyscy zakochaliśmy się w Alasce.

Chciałabym podziękować rodzinie Johnsów: Laurence’owi, Sharon, Debbie, Kentowi i Julie, oraz Kathy Pedersen Haley za ich niewyczerpane pokłady entuzjazmu oraz wizję przy tworzeniu tego magicznego miejsca.

Dziękuję Kathy Pedersen Haley i Anicie Merkes za dzielenie się wiedzą i pomoc w odtwarzaniu realiów życia na Alasce i na Kachemak Bay w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Wasza wnikliwość i wsparcie podczas pisania tej powieści bardzo dużo dla mnie znaczą. Wszelkie ewentualne nieścisłości pojawiły się wyłącznie z mojej winy.

Dziękuję mojemu brat, Kentowi – kolejnemu amatorowi przygód – za to, że tak chętnie odpowiadał na moje niekończące się, czasem dziwaczne pytania dotyczące Alaski. Kent, jesteś prawdziwą gwiazdą!

Wielkie podziękowania dla Carla i Kirsten Dixonów i grona fantastycznych ludzi w Tutka Bay Lodge nad Kachemak Bay za zaproszenie mnie do tego uroczego zakątka.

Chcę również podziękować kilku bardzo ważnym dla mnie osobom, które ogromnie mi pomogły podczas pisania tej książki, szczególnie w najtrudniejszych chwilach, kiedy byłam gotowa się poddać. Myślę tu o mojej wspaniałej redaktorce Jennifer Enderlin, która cierpliwie czekała, doradzała i znowu wytrwale czekała. Jestem bardzo wdzięczna za poświęcony mi czas i wsparcie. Dziękuję Jill Marie Landis i Jill Barnett za mobilizowanie mnie, kiedy najbardziej tego potrzebowałam, Ann Patty za to, że nauczyła mnie wierzyć w siebie, Andrei Cirillo i Megan Chance za trwanie przy mnie. Dziękuję Kim Fisk, która od samego początku wierzyła w tę historię i osadzenie jej na Alasce i zawsze otwarcie o tym mówiła.

Podziękowania dla Tuckera, Sary, Kaylee i Bradena. Wasze serca otworzyły przede mną całkiem nowe światy w połowie mojego życia.

Na koniec składam podziękowania Benjaminowi, mojemu mężowi od trzydziestu lat. Partneruje mi w pisarstwie od samego początku i żadna z książek nie powstałaby bez jego

miłości i wsparcia. Zakochanie się w tobie było najlepszą rzeczą, jaka mi się w życiu przydarzyła.